ILUSTROWANY KALENDARZ ZWIĄZKOWY

50-cio LECIE ZAŁOŻENIA KOLEGIUM Z. N. P.

SZKOŁA ZWIĄZKOWA

E. P. KOZMOR
Cenzor Z. N. P.

KAROL ROZMAREK
Prezes Z. N. P.

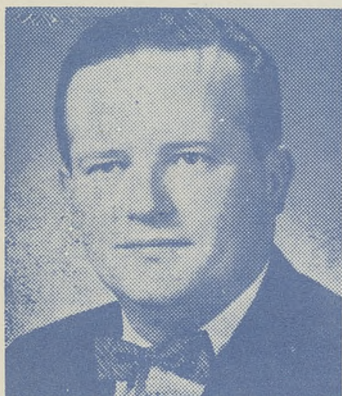
NA ROK 1962

CENA $1.50

Nowa Siedziba Spółki Liberty Savings

Przy Milwaukee Avenue i Fullerton





C. W. SMIGIEL, Prezes i Zarządca

63 Letnia Rocznica Spółki Liberty

Zauważcie Nowy Adres przy Milwaukee i Fullerton

41,000,000 Dolarów Majątku

Przynieście Wasze Pieniądze

i otwórzcie sobie konto w Liberty. Tu gdzie wasze pieniądze przyniosą znaczny dochód (4% bieżąca rata), z zapewnionym bezpieczeństwem. Wszystkie konta są ubezpieczone do $10,000.

W razie potrzeby możecie wycofać swoje oszczędności i gdzie otrzymacie najwyższą ratę Dywidendy.

OSZCZĘDZAJCIE PRZEZ POCZTĘ

Od swego założenia w roku 1898 Spółka LIBERTY przetrzymała wszystkie paniki i kryzysy i NIGDY nie była Zamknięta.

UDZIELAMY POŻYCZKI NA DOMY NA ŁATWE SPŁATY MIESIĘCZNE

LIBERTY SAVINGS and LOAN ASSOCIATION OF CHICAGO

LIBERTY BUILDING

MILWAUKEE AVE. PRZY FULLERTON AVE.

Chicago 47, Illinois **Phone EVerglade 4-4000**

C. W. SMIGIIEL, Prezes i Zarządca
F. J. STERMER, Wiceprezes i Przewodniczący Dyrekcji
JAN R. GURBACKI, Sekretarz Skarbnik



Liberty Służy Swoim Akcjonariuszom Przez 63 Lat

GODZINY BIUROWE:

Poniedziałki od 9-ej rano do 8-ej wieczorem. W piątki od 9-ej rano do 8-ej wieczorem.
Wtorki i Czwartki od 9-ej do 4-ej po południu. W Soboty od 9-ej do 12-ej w południe.
W Środy zamknięte cały dzień.

CAŁA DYREKCJA SKŁADA SIĘ Z POLAKÓW

BEZPŁATNE NOWE PARKOWANIE PRZY BUDYNKU

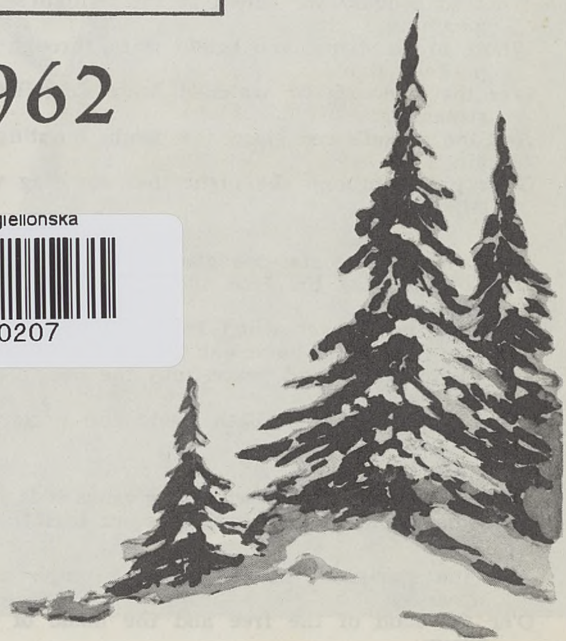




Kalendarz Związkowy

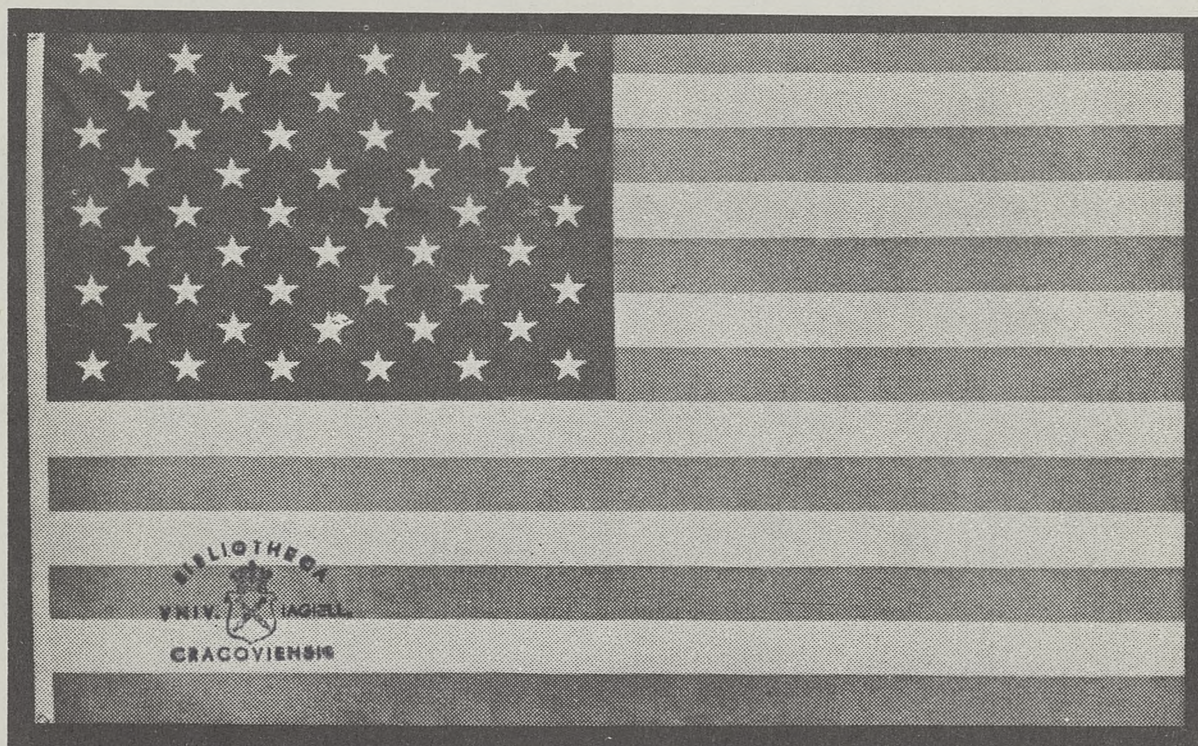
Na Rok

1962



WYDANY NAKŁADEM WYDAWNICTW
ZWIĄZKU NARODOWEGO POLSKIEGO
CHICAGO, ILLINOIS

THE STAR SPANGLED BANNER



Nauczcie się słów pieśni—śpiewajcie je—gdy inni śpiewają. Czasami aż przykro, gdy Polacy na zebraniach nie wtórują, gdy hymn narodowy jest śpiewany. To hymn umiłowanej przez nas Ameryki—to hymn wolności—to wyznanie naszej wiary. Każdy Polak w Ameryce powinien znać te słowa—jak zna słowa "Jeszcze Polska nie zginęła—".

Oh, say can you see, by the dawn's early light,
What so proudly we hailed at the twilight's last
gleaming;
Whose broad stripes and bright stars, through the
perilous fight,
O'er the ramparts we watched, were so gallatnly
streaming;
And the rocket's red glare, the bombs bursting in
air,
Gave proof through the night that our flag was
still there.

Oh, say does the star-spangled banner yet wave
O'er the land of the free and the home of the
brave?
Oh! thus be it ever when free men shall stand
Between their loved home and the war's desolation.
Blest with vict'ry and peace, may the heav'n-rescued land
Praise the Pow'r that hath made and preserved
us a Nation.

Then conquer we must, when our cause it is just,
And this be our motto, "In God is our trust."

And the star-spangled banner in triumph shall
wave
O'er the land of the free and the home of the
brave.

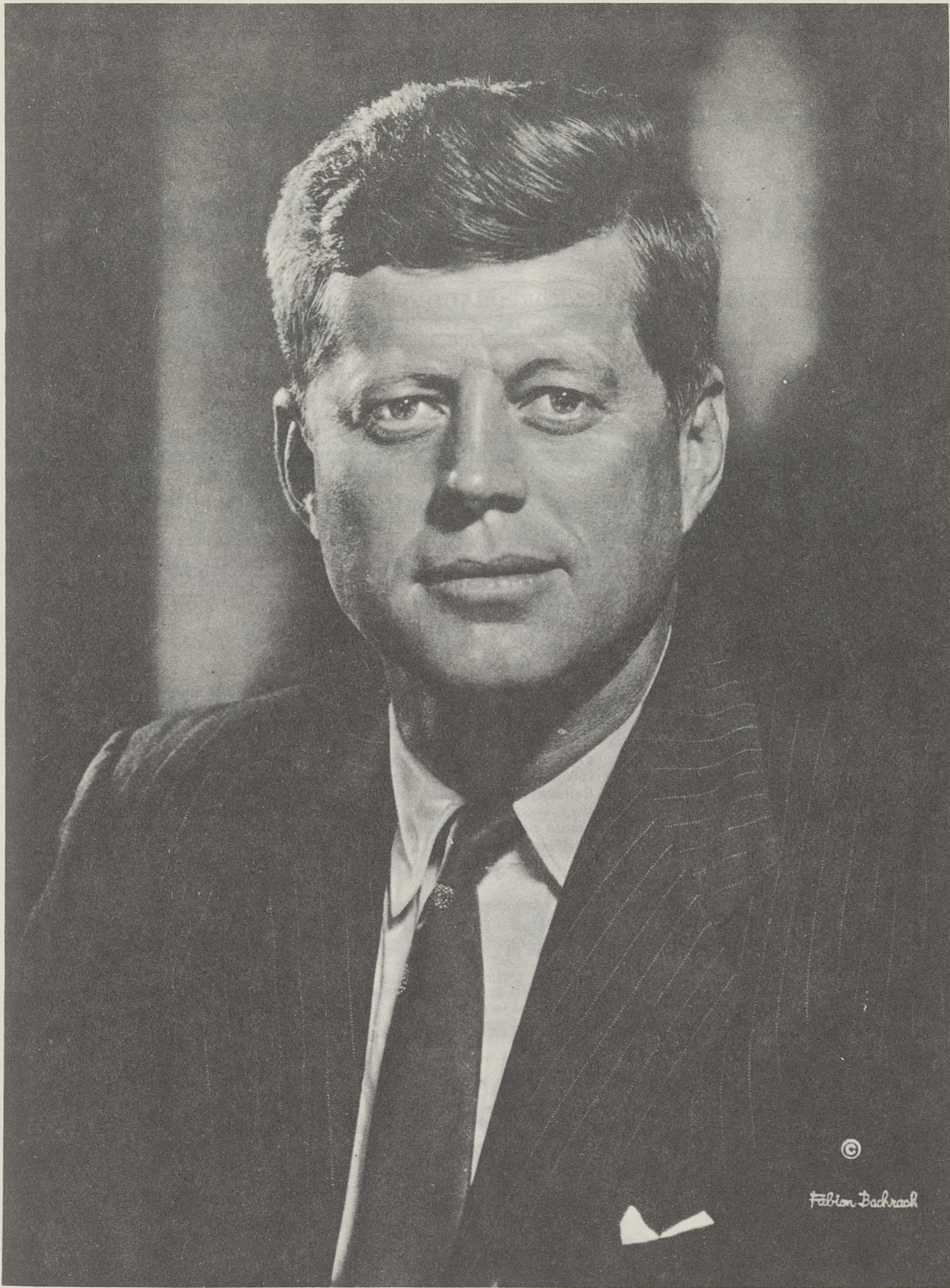
Star Spangled Banner w tłómaczeniu na polskie:

Oh, patrz jak dumnie w słońca wczesnym świcie
Powiewa sztandar nasz ze snu zbudzony nocy!
W czerwieni, bieli, błysku gwiazd na baszt obronnych szczycie
Łopotem swym grał w boju więzów kres, przemocy.
Gdy w krwawym blasku rakiet, pocisków tnie ulewa
Oh, patrz jak dumnie sztandar nasz nad nami wciąż
powiewa!
I powiedz mi, że wiecznie już na straży będzie stać
Nas wolnych — co za wolność swe życie zdolni dać!

Czy widzisz, hen na brzegu, gdzie chmury szarpie
szkwał
Gdzie pełen pychy wróg w złowrogiej zapadł ciszy
Czy widzisz co na wietrze, na tle wyniosłych skał
Rozwija się i zwija i jak furkoce słyszysz?
Czy widzisz jak się mienią czerwono-białe końce
Jak w gwiazdach i szafirze poranne błyszczy słońce?
To sztandar nasz gwiaździsty! Na straży będzie stać
Nas wolnych — co za wolność swe życie zdolni dać!

Gdzież chełpliwości pełna i wraża dziś nawała
Co ogniem i co mieczem i co najeźdźczym butem
Ojczystą naszą ziemię grabieżczo tratowała?
Już krwią jej myśmy zmyli te ślady jej zatrute!
Wróg krwawi się i pada tam w pobitewnym pyle
W proch zmienia się najeźdźca i rośnie stos w
mogile.
A sztandar nasz gwiaździsty na straży będzie stać
Nas wolnych — co za wolność swe życie zdolni dać!

I domostw naszych wolnym po wieki będzie próg!
Bo bronić my od wojny i ognia i od głodu
Będziemy zawsze kraju, by nigdy nie mógł wróg
Puklerza mocy przebić i serca zgnieść narodu.
I bronić naszych praw będziemy my przed wrogiem
Po prostych krocząc ścieżkach i zawsze krocząc
z Bogiem.
A sztandar nasz gwiaździsty na straży będzie stać
Nas wolnych — co za wolność swe życie zdolni dać!

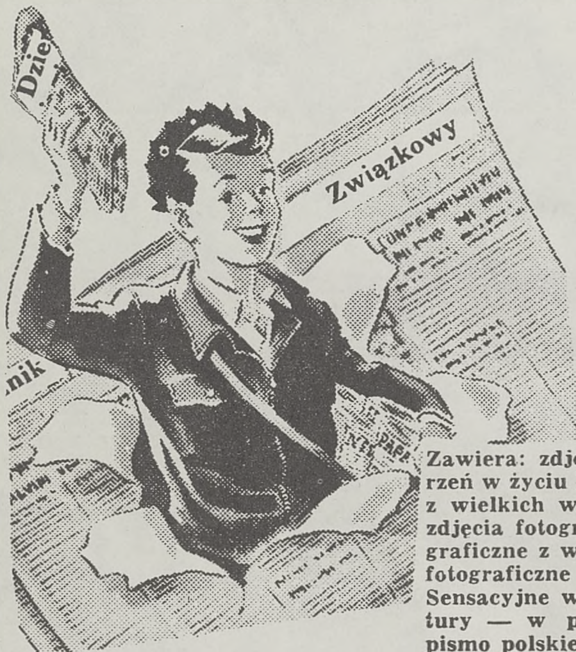


John F. Kennedy
Prezydent Stanów Zjednoczonych

Zawsze Na Czele—

Dziennik Związkowy

WYDAWANY PRZEZ KORPORACJĘ WYDAWNICZĄ Z. N. P.
ALLIANCE PRINTERS AND PUBLISHERS, Inc.



Podaje wiadomości z pierwszej ręki, mając obsługę telegraficzną i połączenie z całym światem. Dziennik Związkowy stoi niezachwianie na gruncie narodowym i dzielnie broni spraw ludu, któremu służy.

Sobotnie Wydanie Posiada Sekcję Ilustracji w Kolorach

Zawiera: zdjęcia fotograficzne z najważniejszych wydarzeń w życiu Polonii Amerykańskiej, zdjęcia fotograficzne z wielkich wydarzeń w naszych organizacjach polskich, zdjęcia fotograficzne ze zniszczeń w Polsce, zdjęcia fotograficzne z ważnych wypadków w całym świecie, zdjęcia fotograficzne od naszych korespondentów fotografów. Sensacyjne wypadki, katastrofy, sport, mody, piękno natury — w pięknych, artystycznych obrazach! Jedyne pismo polskie w Ameryce, posiadające taki dodatek fotograficzny co sobotę!

Zamówienia na wszelkie **DRUKI** **w języku polskim lub angielskim**

Wykonanywane fachowo przez unijnych drukarzy po cenach przystępnych. Zamówienia przyjmujemy na najmniejsze lub najwykwitniejsze druki w jednym lub więcej kolorach, dostarczamy klisz i t. d.

Adresować wszelkie listy:

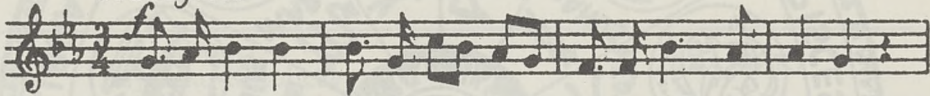
Dziennik Związkowy

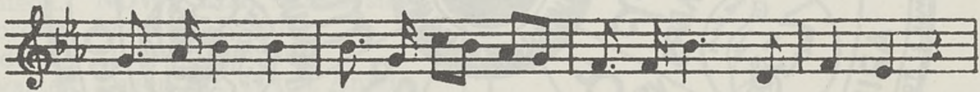
1201 Milwaukee Avenue **Chicago, (22) Illinois**

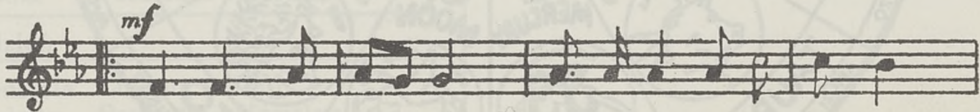


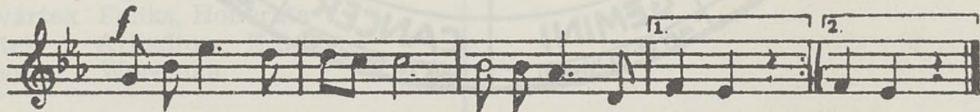


Słowa
Józef Wybicki









Przejdziem Wisłę, przejdziem Wartę,
będziem Polakami,
dał nam przykład Bonaparte,
jak zwyciężać mamy.

Marsz, marsz, Dąbrowski...

Jak Czarniecki do Poznania
po szwedzkim zaborze,
dla ojczyzny ratowania
wrócim się przez morze.

Marsz, marsz, Dąbrowski...

BOŻE COŚ POLSKĘ

Boże coś Polskę przez tak liczne wieki
Otaczał blaskiem potęgi i chwały.
Coś Ją osłaniał tarczą Swej opieki
Od nieszczęść które przygnębić ją miały,

Przed Twe ołtarze zanosim błaganie,
Ojczyznę wolną racz nam wrócić Panie

ZWIERZYNIEC NIEBIESKI



(ZODIAK)

Dwanaście gwiazdozbiorów znajdujących po obu stronach ekliptyki (koła), wewnątrz której poruszają się słońce, księżyc i planety.—Koło to podzielone jest na 12 równych części i starożytni nadali poniżej wyrażone nazwy różnym gwiazdozbiorom, jakie się w tych przedziałach znajdują. Początek temu zwierzyńcowi niebieskiemu daje baran.

ARIES — THE RAM — BARAN
Nazwę swoją otrzymał od pierwszego miesiąca babilońskiego, w którym palono barany na ofiarę bogom.

TAURUS — THE BULL — BYK
Nazwany tak przez starożytnych, ponieważ wyrażali oni słońce w postaci byka, któremu oddawali cześć.

GEMINI — THE TWINS — BLIŹNIĘTA
Wywodzą się z legendy o bliźniętach, których wykarmiła wilczyca, którzy potem założyli Rzym.

CANCER — THE CRAB — RAK
Słońce zaczyna swój ruch wsteczny—stąd porównanie i nazwa rak.

LEO — THE LION — LEW
Starożytni używali lwa jako symbolu gorąca, to oznacza upalny miesiąc.

VIRGO — THE VIRGIN — PANNA
Szósty ten znak Zodiaku wzięty został od czci składanej bogini wojny Ishtar—przez babilończyków.

LIBRA — THE BALANCE — WAGA
Noce i dnie równają się prawie ze sobą co do długości—symbolizowane w wadze.

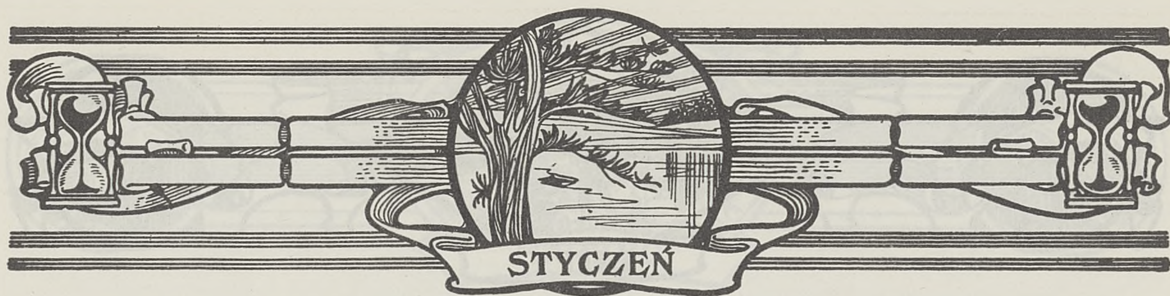
SCORPIO — THE SCORPION — SKORPION
Oznacza ciemność — ponieważ dzień staje się coraz krótszy po jesiennym porównaniu dnia z nocą.

SAGITTARIUS — STRZELEC
THE CENTAUR
Babiloński bóg wojny — wyobrażony w półczłowieku pół-koniu — z łużkiem w ręku.

CAPRICORN — KOZIOROŻEC
THE GOAT
Legenda mówi, że koziorożec był piastunem młodego bożka—skońce.

AQUARIUS — WODNIK
THE WATER BEARER
Bierze swój początek z legendy o deszczach jakie padały i powodowały rozlew Nilu w Egipcie.

PISCES — THE FISHES — RYBY
Symbolizują wiarę starożytnych narodów w życie pozagrobowe.

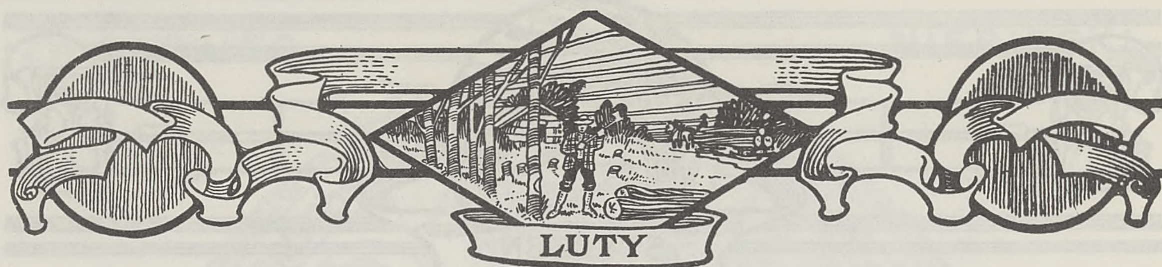


31 DNI — Angielski JANUARY—Litewski—SAUSIS, Niemiecki JANUAR—Ruski SICZEŃ — 31 DNI

Dni Tygodnia		Święci Rzymsko-Katoliccy
1szy Tydzień		
1	Poniedz.	**NOWY ROK**, Mieczysław
2	Wtorek	Makary, Bazyli
3	Środa	Daniel, Genowefa
4	Czwartek	Eugeniusz, Tytus, Aniela
5	Piątek	Telesfor, Emilian, Edward
6	Sobota	TRZECH KRÓLI
2gi Tydzień		
7	**Niedziela**	Łucjan, Julian
8	Poniedz.	Seweryn, Mścisław
9	Wtorek	Julian, Bazyli, Marcjanna
10	Środa	Agaton, Wilhelm
11	Czwartek	Feliks, Honorata
12	Piątek	Arkadiusz, Ernest
13	Sobota	Weronika
3ci Tydzień		
14	**Niedziela**	Hilary, Feliks
15	Poniedz.	Paweł, Marek
16	Wtorek	Marcel, Włodzimierz
17	Środa	Antoni
18	Czwartek	Kat. Św. Piotra w Rzymie
19	Piątek	Henryk, Mariusz, Marta
20	Sobota	Fabian i Sebastian
4ty Tydzień		
21	**Niedziela**	Agnieszka, Jarosława
22	Poniedz.	Wincenty, Anastazy
23	Wtorek	Zaśl. N.M.P., Rajmund
24	Środa	Tymoteusz, Felicjan
25	Czwartek	Nawr. Św. Pawła
26	Piątek	Polikarp, Paulina
27	Sobota	Jan Złotousty, Agnieszka
5ty Tydzień		
28	**Niedziela**	Karol, Walery, Piotr
29	Poniedz.	Franc. Salezy, Zdzisław
30	Wtorek	Felicjan, Martyna, Hiacynta
31	Środa	Jan Bosko, Ludwik, Marcela

ZAPISKI

Post obowiązuje: 5, 12, 19, 28.



28 DNI — Angielski FEBRUARY—Litewski VASARIS / Niemiecki FEBRUAR—Ruski LUTYJ — 28 DNI

Dni Tygodnia		Święci Rzymsko-Katoliccy	ZAPISKI
1	Czwartek	Ignacy, Brygida	
2	Piątek	M.B. Gromnicz., Mirosław	
3	Sobota	Błażej, Wawrzyniec	
6ty Tydzień			
4	**Niedziela**	Andrzej, Weronika	
5	Poniedz.	Izydor, Albin, Agata	
6	Wtorek	Bogdan Tytus, Dorota	
7	Środa	Romuald, Ryszard	
8	Czwartek	Jan z Malty, Emilia	
9	Piątek	Cyryl, Apolonia	
10	Sobota	Jacek, Scholastyka	
7my Tydzień			
11	**Niedziela**	Honorata, Adolf	
12	Poniedz.	**Ur. Lincolna i Kościuszki**	
13	Wtorek	Grzegorz, Katarzyna	
14	Środa	Walenty, Zenon	
15	Czwartek	Klaudiusz	
16	Piątek	Bernard, Julianna	
17	Sobota	Donata, Julian	
8my Tydzień			
18	**Niedziela**	Szymona, Marianny	
19	Poniedz.	Konrad, Marceli	
20	Wtorek	Leon, Zenobiusz, Eustachy	
21	Środa	Feliks, Robert, Eleonora	
22	Czwartek	**Ur. Washing. i Pułaskiego**	
23	Piątek	Piotr, Roman, Marta	
24	Sobota	Maciej, Cezary	
9ty Tydzień			
25	**Niedziela**	Wiktor, Izabela, Anastazja	
26	Poniedz.	Aleksander, Mirosława	
27	Wtorek	Gabriel, Nestor	
28	Środa	Teofil, Roman, Antonina	

Post obowiązuje: 2, 9, 16, 23.



31 DNI | Angielski MARCH—Litewski KOVAS
Niemiecki MAERZ—Ruski BEREZEŃ | 31 DNI

Dni Tygodnia		Święci Rzymsko-Katoliccy
1	Czwartek	Albin, Antonina
2	Piątek	Helena, Amelia
3	Sobota	Kunegunda, Teresa
10-ty Tydzień		
4	**Niedziela**	Kazimierz
5	Poniedz.	Wacław, Euzebiusz
6	Wtorek	Jan B., Wiktor, Róża
7	Środa	**Popielec,** Tomasz z Akw.
8	Czwartek	Jan B., Wincenty, Emil
9	Piątek	Franciszka
10	Sobota	40 Męczenników, Cyprian
11-ty Tydzień		
11	**Niedziela**	Pelagii, Konstantyn
12	Poniedz.	Grzegorz
13	Wtorek	Marek, Krystyna, Sabina
14	Środa	Leon, Matylda, Bożenna
15	Czwartek	Klemens, Longin
16	Piątek	Hilary, Eufrozyna
17	Sobota	Jan, Patryk, Zbigniew
12-ty Tydzień		
18	**Niedziela**	Cyryl, Edward
19	Poniedz.	Józef, Bogdan
20	Wtorek	Aleksander, Anatol, Teodozja
21	Środa	Benedykt
22	Czwartek	Oktawiana, Katarzyny
23	Piątek	Feliks, Wiktor, Pelagia
24	Sobota	Marka i Gabriela
13-ty Tydzień		
25	**Niedziela**	ZWIASTOWANIE N. M. P.
26	Poniedz.	Emanuel, Teodor, Tekla
27	Wtorek	Jana z Damaszku
28	Środa	Jana Kapistrana
29	Czwartek	Cyryla, Jonasza
30	Piątek	Jan, Aniela
31	Sobota	Beniamin, Balbina

ZAPISKI

Post obowiązuje: 2, 7, 9, 14, 16, 17, 23, 30.

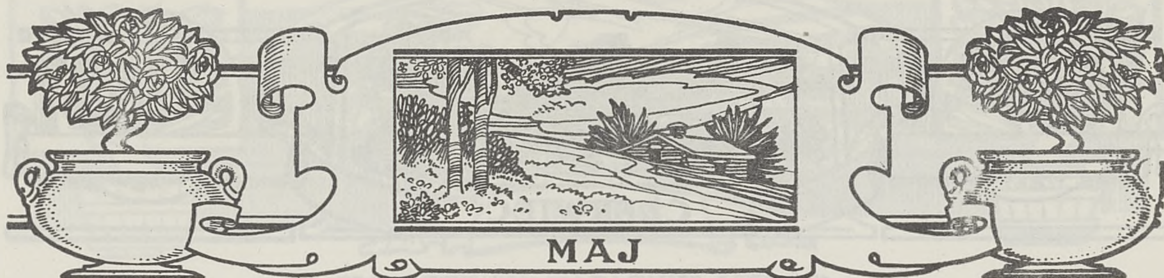


30 DNI | Angielski APRIL—Litewski BALANDIS
Niemiecki APRIL—Ruski KWITEŃ | 30 DNI

Dni Tygodnia		Święci Rzymsko-Katoliccy
14-ty Tydzień		
1	**Niedziela**	Hugon, Teodora
2	Poniedz.	Franciszek, Leopold
3	Wtorek	Ryszard, Pankracy
4	Środa	Izydor, Benedykt, Ambroży
5	Czwartek	Wincenty, Irena
6	Piątek	Celestyn, Julianna
7	Sobota	Herman, Saturnin
15-ty Tydzień		
8	**Niedziela**	Dionizy, January
9	Poniedz.	Hugon, Maria
10	Wtorek	Michała
11	Środa	Filip, Leon
12	Czwartek	Juliusz, Wiktor, Zenon
13	Piątek	Hermenegilda, Krystyna
14	Sobota	Walerian
16-ty Tydzień		
15	**Niedziela**	**PALMOWA**, Bazyli
16	Poniedz.	Benedykt, Marcelian
17	Wtorek	Robert, Inocenty
18	Środa	Bogumił, Rudolf
19	Czwartek	WIELKI CZWARTEK
20	Piątek	WIELKI PIĄTEK
21	Sobota	WIELKA SOBOTA
17-ty Tydzień		
22	**Niedziela**	**WIELKANOC,**
23	Poniedz.	Wojciech, Jerzy
24	Wtorek	Fidelis, Grzegorz
25	Środa	Marek, Jarosław, Grzegorz
26	Czwartek	Marceli
27	Piątek	Teofil, Piotr, Zyta
28	Sobota	Witalis, Paweł, Waleria
18-ty Tydzień		
29	**Niedziela**	Piotr, Robert, Bogusław
30	Poniedz.	Marian, Katarzyna

ZAPISKI

Post obowiązuje: 6, 13, 20, 21, 27.



31 DNI — Angielski MAY—Litewski GEGUŻIS
Niemiecki MAI—Ruski TRAWEŃ — 31 DNI

Dni Tygodnia		Święci Rzymsko-Katoliccy
1	Wtorek	Józefa Robotnika
2	Środa	Zygmunt, Anastazy
3	Czwartek	ROCZ. KONST. 3 MAJA
4	Piątek	Florian, Monika
5	Sobota	Pius, Izydor, Irena
19-ty Tydzień		
6	**Niedziela**	Jan w Oleju
7	Poniedz.	Floriana, Benedykta
8	Wtorek	Stanisław, Michał
9	Środa	Grzegorz
10	Czwartek	Izydora, Antoniego
11	Piątek	Filip, Jakub
12	Sobota	Pankracy
20-ty Tydzień		
13	**Niedziela**	**Dzień Matek,** Bonifacy
14	Poniedz.	Bonifacy
15	Wtorek	Jan, Izydor, Zofia
16	Środa	Jan Nep., Andrzej Bobola
17	Czwartek	Paschalis, Brunon
18	Piątek	Feliks, Bogdan
19	Sobota	Piotr, Mikołaj, Celestyn
21-szy Tydzień		
20	**Niedziela**	Bernardyn, Zuzanna
21	Poniedz.	Wiktor, Julia
22	Wtorek	Emil, Helena, Julia, Róża
23	Środa	Dezydery, Jan
24	Czwartek	Joanna, Estera, Zuzanna
25	Piątek	Grzegorz, Urban
26	Sobota	Filip, Augustyn
22-gi Tydzień		
27	**Niedziela**	Jan Papież
28	Poniedz.	Germana, Małgorzaty
29	Wtorek	Magdalena
30	Środa	**MEMORIAL DAY**
31	Czwartek	WNIEBOWSTĄPIENIE

ZAPISKI

Post obowiązuje: 4, 11, 18, 25.



Angielski JUNE—Litewski BERŽELIS
Niemiecki JUNI—Ruski CZERWEŃ

30 DNI | 30 DNI

Dni Tygodnia		Święci Rzymsko-Katoliccy
1	Piątek	Jakub, Konrad
2	Sobota	Erazm, Marcelina
23-ci Tydzień		
3	**Niedziela**	Leszek, Klotylda
4	Poniedz.	Franciszek, Teodora
5	Wtorek	Bonifacy, Waleria
6	Środa	Norbert, Łucja
7	Czwartek	Robert, Wiesław
8	Piątek	Medard, Elżbieta
9	Sobota	Felicjan
24-ty Tydzień		
10	**Niedziela**	Zesłanie Ducha Św.
11	Poniedz.	Barnaba, Feliks
12	Wtorek	Jan, Onufry
13	Środa	Antoni z Padwy, Łucjan
14	Czwartek	**DZIEŃ FLAGI**, Bazylį
15	Piątek	Witold, Jolanta
16	Sobota	Alina, Justyna
25-ty Tydzień		
17	**Niedziela**	DZIEŃ OJCÓW, Adolf
18	Poniedz.	Marek, Elżbieta
19	Wtorek	Alojzy, Gerwazy, Protazy
20	Środa	Juliana, Florentyny
21	Czwartek	BOŻE CIAŁO
22	Piątek	Paulina
23	Sobota	Zenon, Wanda, Agrypina
26-ty Tydzień		
24	**Niedziela**	Jan Chrzciciel
25	Poniedz.	Wilhelm, Łucja
26	Wtorek	Jan, Paweł
27	Środa	Władysław
28	Czwartek	Ireneusz, Leon
29	Piątek	PIOTR i PAWEŁ
30	Sobota	Ernest, Lucyna, Emilia

ZAPISKI

Post obowiązuje: 1, 8, 15, 22, 29.



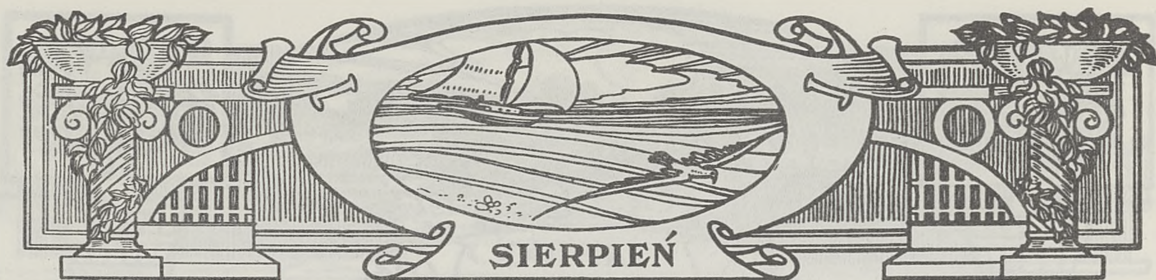



Angielski JULY—Litewski LIEPOS
Niemiecki JULI—Ruski ŁYPIEŃ

31 DNI | 31 DNI

Dni Tygodnia		Święci Rzymsko-Katoliccy	ZAPISKI
27-my Tydzień			
1	**Niedziela**	Przem. Krwi P. J., Juliusz	
2	Poniedz.	Nawiedz. N.M.P., Urban	
3	Wtorek	Anatol, Leon, Alfred, Jacek	
4	Środa	**DZIEŃ NIEPODLEGŁOŚCI**	
5	Czwartek	Antoni, Filomena	
6	Piątek	Dominik, Romuald, Łucja	
7	Sobota	Cyryl i Metody	
28-my Tydzień			
8	**Niedziela**	Prokop, Elżbieta	
9	Poniedz.	Tomasz, Weronika, Mikołaj	
10	Wtorek	7 Braci Męczen., Amelia	
11	Środa	Pius, Olga, Pelagia	
12	Czwartek	Jan, Gwalbert	
13	Piątek	Eugeniusz, Małgorzata	
14	Sobota	Bonawentura, Marceli	
29-ty Tydzień			
15	**Niedziela**	Henryk, Wit	
16	Poniedz.	N.M.P. Szkapl., Andrzej	
17	Wtorek	Aleksy, Bogdan	
18	Środa	Kamil, Szymon	
19	Czwartek	Wincenty a Paulo	
20	Piątek	Czesław, Hieronim, Małg.	
21	Sobota	Wiktor, Andrzej, Prakseda	
30-ty Tydzień			
22	**Niedziela**	Maria Magdalena	
23	Poniedz.	Apolinary	
24	Wtorek	Kunegunda, Kinga, Kryst.	
25	Środa	Jakub, Krzysztof	
26	Czwartek	Anna, Mierosława	
27	Piątek	Pantaleon, Natalia	
28	Sobota	Innocenty, Wiktor	
31-szy Tydzień			
29	**Niedziela**	Urban, Fel. Marta Beatr.	
30	Poniedz.	Abdon, Donat, Rufin	
31	Wtorek	Ignacy L., Justyn, Helena	

Post obowiązuje: 6, 13, 20, 27.



31 DNI | Angielski AUGUST—Litewski RUGPIUTIS
Niemiecki AUGUST—Ruski SERPEŃ | 31 DNI

Dni Tygodnia		Święci Rzymsko-Katoliccy	ZAPISKI
1	Środa	Piotr w Okowach	
2	Czwartek	N.M.P. Anielska, Gustaw	
3	Piątek	Znal. Relikwii św. Szczep	
4	Sobota	Dominik	
32-gi Tydzień			
5	**Niedziela**	N.M.P. Śnieżna, Stanisława	
6	Poniedz.	Przemienienie Pańskie	
7	Wtorek	Kajetan, Donat	
8	Środa	Cyriak, Emilian, Justyn	
9	Czwartek	Roman, Jan	
10	Piątek	Wawrzyniec, Bogdan	
11	Sobota	Tybercjusz, Zuzanna	
33-ci Tydzień			
12	**Niedziela**	Hilary, Klara	
13	Poniedz.	Hipolit, Jan, Helena	
14	Wtorek	Euzebiusz	
15	Środa	**WNIEBOWZIĘCIE N.M.P.**	
16	Czwartek	Roch, Joachim, Ambroży	
17	Piątek	Jacek, Paweł, Julian	
18	Sobota	Klara, Włodzimierz	
34-ty Tydzień			
19	**Niedziela**	Bolesław, Ludwik, Marian	
20	Poniedz.	Bernard, Samuel	
21	Wtorek	Daniel, Joanna	
22	Środa	Tymoteusz, Hipolit	
23	Czwartek	Filip, Apolinary, Wiktor	
24	Piątek	Bartłomiej, Jerzy	
25	Sobota	Ludwik, Grzegorz	
35-ty Tydzień			
26	**Niedziela**	N.M.P. Częstochowskiej	
27	Poniedz.	Józef Kalasanty	
28	Wtorek	Augustyn	
29	Środa	Ścięcie Św. Jana, Sabina	
30	Czwartek	Feliks, Róża z Limy	
31	Piątek	Rajmund, Marek	

Post obowiązuje: 3, 10, 17, 24, 31



30 DNI — Angielski SEPTEMBER—Litewski RUGSEJAS / Niemiecki SEPTEMBER—Ruski WERESEŃ — 30 DNI

Dni Tygodnia		Święci Rzymsko-Katoliccy
1	Sobota	Idzi, Bronisława
36ty Tydzień		
2	**Niedziela**	Stefan
3	Poniedz.	**ŚWIĘTO PRACY**
4	Wtorek	Rozalia, Róża
5	Środa	Wawrzyniec, Dorota
6	Czwartek	Zachariasz, Eugeniusz
7	Piątek	Melchiora, Reginy
8	Sobota	Narodzenie N. M. P.
37my Tydzień		
9	**Niedziela**	Piotr, Sergiusz
10	Poniedz.	Mikołaj, Łukasz, Łucja
11	Wtorek	Prot, Jacek, Pafnucy
12	Środa	Im. N.M.P., Gwidon, Klara
13	Czwartek	Filip, Eugenia
14	Piątek	Podw. Św. Krzyża, Kalikst
15	Sobota	M.B. Bolesnej, Nikodem
38my Tydzień		
16	**Niedziela**	Kornel, Cyprian, Ludmiła
17	Poniedz.	Franciszek, Jacek
18	Wtorek	Józef, Tomasz, Irena
19	Środa	January, Gustaw, Teodor
20	Czwartek	Eustachy, Filipina
21	Piątek	Mateusz,
22	Sobota	Tomasz, Maurycy
39ty Tydzień		
23	**Niedziela**	Tekli, Boguchwała
24	Poniedz.	N. M. P. od Wyk. Niewol.
25	Wtorek	Władysław, Kleofas
26	Środa	Cyprian, Justyn
27	Czwartek	Władysław, Damian
28	Piątek	Wacław, Marek
29	Sobota	Michał Archanioł
40ty Tydzień		
30	**Niedziela**	Hieronim, Grzegorz

ZAPISKI

Post obowiązuje: 7, 14, 19, 21, 22, 28.



31 DNI | Angielski OCTOBER—Litewski SPALIUS
Niemiecki OKTOBER—Ruski ŻOWTEŃ | 31 DNI

Dni Tygodnia		Święci Rzymsko-Katoliccy
1	Poniedz.	Jan z Dukli, Remigiusz
2	Wtorek	Aniołów Stróżów, Teofil
3	Środa	Teresa od Dziec. Jezus
4	Czwartek	Franciszek z Asyżu
5	Piątek	Placyd, Apolinary
6	Sobota	Brunon, Artur, Emil
41szy Tydzień		
7	**Niedziela**	N.M.P. Różańcowa, Marek
8	Poniedz.	Brygida, Pelagia
9	Wtorek	Dionizy, Ludwik, Bogdan
10	Środa	Franciszek Borg. Paula
11	Czwartek	**DZIEŃ PUŁASKIEGO**
12	Piątek	**COLUMBUS DAY**, Serafin
13	Sobota	M. B. z Fatima, Edward,
42gi Tydzień		
14	**Niedziela**	Kalikst
15	Poniedz.	Jadwiga, Teresa
16	Wtorek	Leopold, Gaweł, Florentyna
17	Środa	Wiktor, Małgorzata, Maria
18	Czwartek	Łukasz Ewangelista
19	Piątek	Piotr, Pelagia
20	Sobota	Jan Kanty, Irena
43ci Tydzień		
21	**Niedziela**	Hilarion, Urszula
22	Poniedz.	Filip, Wojciech, Salomea
23	Wtorek	Seweryn, Ignacy, Roman
24	Środa	Rafał Archanioł, Marcin
25	Czwartek	Kryspin, Bonifacy
26	Piątek	Ewaryst
27	Sobota	Sabina
44ty Tydzień		
28	**Niedziela**	Szymon, Tadeusz
29	Poniedz.	Abraham, Narcyz, Euzebia
30	Wtorek	Alfons, Edmund
31	Środa	DZIEŃ WILKOŁAKÓW,

ZAPISKI

Post obowiązuje: 5, 12, 19, 20, 26, 27.



30 DNI — Angielski NOVEMBER—Litewski LAKPRITYS
Niemiecki NOVEMBER—Ruski PADOŁYST — 30 DNI

Dni Tygodnia		Święci Rzymsko-Katoliccy	ZAPISKI
1	Czwartek	**WSZYSTKICH ŚWIĘTYCH**	
2	Piątek	DZIEŃ ZADUSZNY	
3	Sobota	Hubert, Sylwia	
45ty Tydzień			
4	**Niedziela**	Karol Borom., Witalis	
5	Poniedz.	Zachariasz, Elżbieta	
6	Wtorek	Leonard, Feliks	
7	Środa	Ernest, Antoni, Salomea	
8	Czwartek	Bogdan, Sewer, Ida	
9	Piątek	Teodor, Orest	
10	Sobota	Andrzej, Lubomir	
46ty Tydzień			
11	**Niedziela**	**Święto Niepodl. Polski**	
12	Poniedz.	Mateusz, Witold	
13	Wtorek	Stanisław Kostka	
14	Środa	Józefat	
15	Czwartek	Leopold, Wojciech	
16	Piątek	M.B. Ostrobram., Edmund	
17	Sobota	Grzegorz, Salomea	
47my Tydzień			
18	**Niedziela**	Katedry Św. Piotra, Roman	
19	Poniedz.	Felicjan, Elżbieta	
20	Wtorek	Feliks, Edmund, Anatol	
21	Środa	Ofiarowanie NMP., Janusz	
22	Czwartek	**ŚWIĘTO DZIĘK.**, **Cecylia**	
23	Piątek	Klemens, Felicyta	
24	Sobota	Jan, Aleksander	
48my Tydzień			
25	**Niedziela**	Katarzyna, Erazm	
26	Poniedz.	Konrada, Jana	
27	Wtorek	Walerian	
28	Środa	Grzegorz	
29	Czwartek	Błażeja, Saturnina	
30	Piątek	Andrzej, Zbysława	

Post obowiązuje: 2, 3, 9, 16, 23, 30.



31 DNI — Angielski DECEMBER—Litewski GRUODIS / Niemiecki DEZEMBER—Ruski HRUDEŃ — 31 DNI

Dni Tygodnia		Święci Rzymsko-Katoliccy
1	Sobota	Eligiusz, Natalia
49ty Tydzień		
2	**Niedziela**	**1 Niedz Adwentu,** Bibiana
3	Poniedz.	Franciszek
4	Wtorek	Piotr, Barbara
5	Środa	Anastazy, Saba, Krystyna
6	Czwartek	Mikołaj, Emil
7	Piątek	Ambroży
8	Sobota	**NIEP. POCZ. N. M. P.**
50ty Tydzień		
9	**Niedziela**	**2 Niedz. Adw.,** Wiesława
10	Poniedz.	N. M. P. Loret. Julia
11	Wtorek	Damazy, Sabina
12	Środa	Aleksander, Konstanty
13	Czwartek	Władysław, Łucja, Otylia
14	Piątek	Teodor, Alfred
15	Sobota	Walerian, Wiktor, Celina
51szy Tydzień		
16	**Niedziela**	**3 Niedz. Adw.,** Zdzisław
17	Poniedz.	Łazarz, Florian
18	Wtorek	Gracjan, Bogusław
19	Środa	Grzegorz, Urban
20	Czwartek	Teofil, Juliusz, Bogumiła
21	Piątek	Jan, Tomasz
22	Sobota	Leon, Zenon
52gi Tydzień		
23	**Niedziela**	**4 Niedz. Adw.,** Wiktoria
24	Poniedz.	WIGILIA, Adam, Ewa
25	Wtorek	**BOŻE NARODZENIE**
26	Środa	Szczepan
27	Czwartek	Jan Ewangelista
28	Piątek	Ś.Ś. Młodziaków, Teofil
29	Sobota	Tomasz
Ostatni Tydzień Roku		
30	**Niedziela**	Eugeniusz, Sabina
31	Poniedz.	Sylwester, Melania

ZAPISKI

Post obowiązuje: 7, 14, 19, 21, 22, 24, 28.

ALFABETYCZNY WYKAZ IMION ŚWIĘTYCH

A

Abdona Męczennika 30 Lipca
Adama 24 Grudnia
Adelajdy 10 Grudnia
Adolfa Biskupa 17 Czerwca
Adryana Męczen. 9 Września
Agapita Męczen. 18 Sierpnia
Agatona Papieża 10 Sstycznia
Agnieszki P-ny Męcz. 21 Sty.
Agaty Panny Męcz. 5 Lutego
Agrypiny 23 Czerwca
Albina Biskupa 1 Marca
Albiny Panny 16 Grudnia
Alexandra M. w Rzymie 26 Lutego
Alexandra Męcz. 3 Maja
Alexandra M. w Alex 12 Grudnia
Alexego Wyznawcy 17 Lipca
Alfonsa 2 Sierp. i 22 Paźdz.
Alfreda 3 Lipca
Alodji P. M. 21 Października
Alojzego Gonzagi 21 Czerwca
Amelii księżnej 10 Lipca
Ambrożego Biskupa 7 Grud.
Amalii Panny 2 Marca
Anastazego M. 22 Stycznia
Anastazego Papieża 27 Lutego
Anastazego Wyznaw. 29 Mar.
Anastazji Panny 27 Lutego
Anastazji Rzymian. 26 Paźdz.
Anatoli Męczenniczki 9 Lipca
Anatoliusza Biskupa 3 Lipca
Andrzeja Apostoła 30 Listop.
Andrzeja Polaka Pust. 6 Maja
Andrzeja z Krety 7 Paźdz.
Angeli Mer. P. 31 Maja
Angeli 30 Marca
Anny Matki N.M.P. 26 Lipca
Aniołów Stróżów 2 Paźdz.
Ansgarego Biskupa 4 Lutego
Antoniego Opata 17 Stycznia
Antoniego Padew. 13 Czerw.
Antonina Arcybis. 10 Maja
Antoniny 16 Grudnia
Anzelma 23 Kwietnia
Apolinarego Biskupa 23 Lipca
Apolonii Pan. Męcz. 9 Lutego
Apoloniusza Męcz. 18 Kwiet.
Arkadyusza Męcz. 12 Stycz.
Arseniusza Biskupa 19 Lipca
Artura Biskupa 6 Paździer.
Atanazego Biskupa 2 Maja
Augusta Wyznawcy 3 Sierp.
Augustyna Biskupa 28 Sierp.
Aurelii Panny 25 Września
Awita Męczennika 12 Stycznia

B

Balbiny Panny 31 Marca
Barlaama 27 Listopada
Barbary Panny 4 Grudnia
Barnaby Apostoła 11 Czerw.
Bartłomieja Apost. 14 Sierp.
Bazylego Biskupa 14 Czerw.
Beaty Panny 8 Marca
Bedy Kapłana 27 Maja
Benedykta Opata 21 Marca
Benigny Panny 19 Sierpnia
Benona Biskupa 16 Czerwca
Bernarda Opata 20 Sierpnia
Barnarda Seneńskiego 30 Maja
Bibianny Panny 2 Grudnia
Błażeja Biskupa 7 Lutego
Bogumiła 10 Czerwca
Bonawentury Kard. 14 Lipca
Bonifacego Męczen. 14 Maja
Bonifacego Biskupa 5 Czerw.
Bonifacego B. Forent. 30 Maja
Bony Panny 24 Kwietnia
Bronisławy 18 Sierpnia
Brunona Wyznawcy 6 Paźdz.
Brygidy Panny 1 Lutego
Brygidy Wdowy 8 Paździer.

C

Cecylii Panny Męcz. 22 List.
Celestyna 6 Kwietnia
Celsa Męczennika 28 Lipca
Cezaryusza Biskupa 27 Sierp.
Cypriana Biskupa 16 Wrześ.
Cypriana Męcz. 26 Września
Cyrylla Biskupa 10 Marca
Cyrylla Biskupa 9 Lipca
Cyrylla Diakona 22 Marca
Cyriaka Kapłana 16 Marca
Cyriaka Męczennika 8 Sierp.
Czesława Wyznawcy 20 Lipca
Czterdziestu Męcz. 10 Marca
Czterech koronatów 8 Listop.

D

Damazego Papieża 11 Grudnia
Damiana Męcz. 27 Września
Daniela Męczennika 3 Stycz.
Daniela Proroka 21 Lipca
Dawida Króla 30 Grudnia
Dezyderiusza Biskup. 21 Maja
Domiceli Panny 7 Maja
Dominika Wyznaw. 4 Sierp.
Dominiki Panny 6 Lutego
Donata Pustelnika 17 Lutego
Doroteusza Męczen. 28 Marca
Doroty Panny 6 Lipca
Dydaka Wyzn. 12 Listopada
Dygny 11 Sierpnia
Dionizego Biskupa 8 Kwiet.
Dionizego Męczen. 9 paźdz.

E

Edmunda Biskupa 16 Listop.
Edyty Królewny 15 Grudnia
Edwarda Króla 13 Paździer.
Eleonory Panny 21 Lutego
Eliasza Proroka 20 Lipca
Eligiusza Biskupa 1 Grudnia
Elizeusza Proroka 2 Paźdz.
Elżbiety Wdowy 8 Lipca
Elżbiety Panny 5 Listopada
Elżbiety Królow. 19 Listop.
Emeryka Królew. 5 Listop.
Emiliana Biskupa 11 Wrześ.
Emilianny 5 Stycznia
Emilii 30 Czerwca
Engielberta 7 Listopada
Epifaniusza Bisk. 7 Kwietnia
Erazma Biskupa 2 Czerwca
Estery Królowej 18 Listop.
Euchariusza Bisk. 20 Lutego
Eudoxiusza M. 5 Września
Eufenii Panny 16 Września
Eufrozyny Męcz. 3 Września
Eufrozyny Panny 11 Lutego
Eugenii P. M. 24 Grudnia
Eugeniusza 18 Listopada
Eugeniusza Bisk. 30 Grudnia
Eulalii Panny 10 Grudnia
Eustachiusza Męcz. 20 Wrześ.
Euzebii P. M. 29 Października
Euzebiusza W. 14 Sierpnia
Euzebiusza Bisk. 16 Grudnia
Ewarysta Papieża 26 Paźdz.
Ewy 24 Grudnia
Ezechiasza Króla 30 Paźdz.
Ezechiela Proroka 20 Kwiet.

F

Fabiana 20 Stycznia
Faustyny Męczen. 15 Lutego
Faustyny Wdowy 19 Grudnia
Felicjana Biskupa 24 Stycznia
Felicjana Męczen. 9 Czerwca
Feliksa Kapucyna 18 Maja
Feliksa Papieża 30 Maja
Feliksa z Noli 18 Stycznia
Feliksa Męczen. 30 Sierpnia
Feliksa Walezy 20 Listopada
Ferdynanda Króla 30 Maja
Filipa Apostoła 1 Maja
Filipa Neriusza 26 Maja
Filipa Benicjusza 23 Sierpnia
Filomeny P-ny Męcz. 5 Lipca
Flawiana Męcz. 25 Lutego
Flawii Panny 5 Października
Floriana Męczennika 4 Maja
Floriana Męcz. 17 Paździer.
Florentyna Bisk. 16 Paździer.
Fortunata Męcz. 26 Lutego
Franciszka Borg. 10 Paźdz.
Franciszka Salezego 29 Kwiet.
Franciszka a Paulo 2 Kwiet.
Franciszka Seraf 4 Paździer.
Franciszka Ksaw. W. 3 Grud.
Franciszki Wdowy 9 Marca
Fryderyka Opata 5 Marca
Fulgentego Biskupa 1 Stycz.

G

Gabriela Archanioła 18 Marca
Gaudencji Panny 30 Sierpnia
Gaudentego Bisk. 12 Lutego
Gawła Opata 16 Października
Gedeona Sędziego 18 Czerw.
Genowefy Panny 3 Stycznia
Gerarda Biskupa 24 Września
Germana Biskupa 24 Wrześ.
Germana Biskupa 28 Maja
Gertrudy Panny 17 Marca
Gerwazego 19 Czerwca
Gotfreda (Bogumiła) 13 Sty.
Gotfreda Biskupa 8 Listop.
Graciana Biskupa 18 Grudnia
Grzegorza Biskupa 4 Stycznia
Grzegorza Papieża 12 Marca
Grzegorza Naziańskiego 9 Maja
Grzegorza Cudotwór. 18 List.
Gustawa 2 Sierpnia
Gwidona Wyznaw. 12 Wrześ.

H

Heleny Cesarzowej 2 Marca
Heleny Królowej 22 Maja
Heliodora 3 Lipca
Henryka Cesarza 15 Lipca
Henryka 19 Stycznia
Hermenegilda M. 13 Kwiet.
Hermogenesa 19 Kwietnia
Hiacynty Panny 30 Stycznia
Higina Papieża 11 Stycznia
Hilarego 14 Stycznia
Hieronima Dr. Kościoła 30 Września
Hipolita 13 Sierpnia
Honoraty Panny 12 Stycznia
Huberta Biskupa 3 Listopada
Hugonota 1 Kwietnia

I

Idy Panny 13 Kwietnia
Idziego Opata 1 Września
Ignacego Biskupa 1 Lutego
Ignacego Lojoli Wyznawcy 31 Lipca
Ildefonsa 23 Stycznia
Imienia Jezus 19 Stycznia
Imienia Marii 14 Września
Inocentego Papieża 28 Lipca
Ireneusza Smyrneńskiego 25 Marca
Ireneusza Męcz. 15 Grudnia
Ireny Panny 20 Października
Iwona Wyznawcy 19 Maja
Izabeli Panny 15 Marca
Izabeli Królowej 3 Września
Izajasza Proroka 6 Lipca
Izydora Biskupa 4 Kwietnia
Izydora Oracza 10 Maja

J

Jacka Wyznawcy 18 Sierpnia
Jadwigi Wdowy 16 Paździer.
Jakóba Apostoła 1 Maja
Jakóba Apostoła 25 Lipca
Jakóba Patriarchy 21 Kwiet.
Jakóba z Nizybu 15 Lipca
Jakóba Pustelnika 17 Lutego
Jana Jałmużnika 23 Stycznia
Jana Chryzostoma 27 Stycz.
Jana Franciszka 16 Czerwca
Jana z Matty Wyzn. 8 Lutego
Jana Bożego 8 Marca
Jana w Oleju 6 Maja
Jana Nepomucena 16 Maja
Jana Papieża 27 Maja
Jana Chrzciciela 24 Czerwca
Jana Męczennika 26 Czerwca
Jana Gwalberta 12 Lipca
Jana z Dukli 7 Lipca
Jana Kantego 27 Października
Jana Kapistrana W. 23 Paźdz.
Jana od Krzyża 24 Listop.
Jana Ewangelisty 27 Grud.
Januariusza Bisk. 19 Wrześ.
Jerzego Męczen. 24 Kwietnia
Joachima Ojca NMP. 1 Wrześ.
Joanny Wdowy 24 Maja
Joanny Fremiot 21 Sierpnia
Jordana Wyznawcy 13 Lutego
Jowity Męczen. 15 Lutego
Józefa Obl. N.M.P. 19 Marca
Józefa Kalasant. W. 4 Lipca
Józefa z Kopertynu 18 Wrześ.
Judy Tadeusza Ap. 28 Paźdz.
Judyty Wdowy 16 Listopada
Juliana Męczen. 27 Stycznia
Juliana Męczen. 13 Lutego
Julianny Panny 16 Lutego
Julii Panny Męcz. 22 Maja
Juliusza Papieża 12 Kwietnia
Julity P. M. 30 Lipca
Justa Biskupa 2 Września
Justyna Męczen. 17 Września
Justyniana Bisk. 5 Września
Justyny Panny Męcz. 7 Paźdz.
Juwencjusza Męcz. 1 Czerw.

K

Kaja Męczen. 22 Kwietnia
Kajetana Wyznaw. 7 Sierp.
Kalixta Papieża 14 Paźdz.
Kamilla Wyznawcy 18 Lipca
Kandyda Męcz. 9 Paździer.
Kanuta Króla 19 Stycznia
Karola W. Cesarza 28 Stycz.
Karola Boromeusza 4 Listop.
Karoliny 5 Lipca
Kassjana Męczen. 13 Sierpnia
Kasyldy 15 Kwietnia
Katarzyny Szwedzkiej 23 Mar.
Katarzyny Seneńskiej 30 Kw.
Katarzyny Panny M. 25 List.
Katedry św. Piotra w Rzymie 18 Stycznia
Kat. św. Pawła w Antiochii 22 Lutego
Kazimierza Królew. 4 Marca
Kiliana Biskupa 8 Lipca
Klary Panny 12 Sierpnia
Kleta Papieża 23 Listopada
Klemensa Bisk. Męcz. 13 Lut.
Klemensa Papieża 23 Listop.
Kleofona Męczen. 25 Wrześ.
Klotyldy Królowej 6 Czerw.
Kolety Panny 6 Marca
Konstancji Panny M. 18 Lut.
Konstantyna Wyzn. 11 Marca
Konstancji 12 Kwietnia
Konrada Wyznaw. 19 Lutego
Konrada Bisk. 26 Listopada
Kofduli Panny 22 Paździer.
Korneli Męczen. 31 Marca
Kozmy Męczennika 27 Wrześ.
Kryspina i Kryspianina 27 Października
Krystyny Panny 24 Lipca
Krzysztofa Męcz. 25 Lipca
Kunegundy Cesarz. 3 Marca
Kunegundy Królow. 28 Lipca
Kwiryna Męczen. 20 Marca

L

Lamberta 16 Kwietnia
Larga Męczennika 8 Sierpnia
Leandra Bisk. W. 27 Lutego
Leokadii Panny 9 Grudnia
Leona I Papieża 11 Kwietnia
Leona XI Papieża 8 Czerw.
Leonarda Wyznaw. 5 Listop.
Leonilii Panny M. 18 Stycz.
Leontyny Panny 15 Marca
Leopolda Margr. 15 Listopad.
Longina Męczen. 15 Marca
Lusjana Męczen. 7 Stycznia
Lucyny Panny 30 Czerwca
Lucyny Męcz. 17 Paździer.
Ludgardy Panny M. 16 Czerw.
Lugdera Biskupa 26 Marca
Ludomira 3 Października
Ludwika Wyznaw. 12 Lutego
Ludwika Króla Syc. 19 Sierp.
Ludwika Króla 25 Sierpnia
Ludwiki Panny 15 Kwietnia

Ł

Ładysława z Gieln. 22 Wrześ.
Łazarza Biskupa 17 Grudnia
Łucji Panny 13 Grudnia
Łukasza Ewang. 18 Paźdz.

M

Macieja Apostoła 25 Lutego
Magdaleny 25 Maja i 22 Lipca
Makarego Opata 2 Stycznia
Makryny M. 21 Lipca
Małgorzaty Kr. Węgierskiej 13 Lipca
Małgorzaty Kr. Szw. 10 Czer.
Małgorzaty P. Męcz. 20 Lipca
Mamerta Biskupa 11 Maja
Mansweta Biskupa 28 Listop.
Marcella Papieża 16 Stycznia
Marcelli Wdowy 31 Stycznia
Marcellana Papieża 18 Czerw.
Marcellina Papieża 26 Kwiet.
Marcina Biskupa 11 Listop.
Marcina Papieża 12 List.
Marcjana Męcz. 17 Kwietnia
Marcjanny P. Męcz. 9 Stycz.
Marka Ewangelisty 25 Kwiet.
Marka Męczennika 24 Marca
Marka z Rzymu M. 18 Czerw.
Marty Panny 29 Lipca
Martyny Panny 30 Stycznia
Marty Męczen. 19 Stycznia
Marii Egipcjanki 10 Kwietnia
Marii z Engli 23 Czerwca
Marii Kleofy 9 Kwietnia
Marii Magdaleny we Fl. 31 Maja
Marii Magdaleny w Jeroz. 22 Lipca
Mariusza 19 Stycznia
Mateusza Apostoła 21 Wrześ.
Matyldy Królowej 14 Marca
Maurycjusza 22 Września

Maurycego 13 Września
Maksymiliana Bisk. 12 Paźdz.
Maxymina Bisk. 3 Czerwca
Medarda Bisk. 3 Czerwca
Melanii P. M. 18 Lutego
Metodego B. W. 10 Marca
Michała Arch. 29 Września
Mikołaja z Tolent. 10 Wrześ.
Mikołaja Biskupa 6 Grudnia
Mirona Męczen. 17 Sierpnia
Młodzianków 28 Grudnia
Modesty Panny 15 Czerwca
Moniki Wdowy 4 Maja

N

Narcyza Biskupa 20 Paźdz.
Narodzenie Chrystusa 25 Grudnia
Narodzenie N.P.M. 8 Wrześ.
Natalji Panny 27 Lipca
Nawróc. św. Pawła 25 Stycz.
Nazarjusza M. 12 Czerwca i 28 Lipca
N. M. Anielskiej 2 Sierpnia
N. M. P. Bolesnej 4 Kwiet.
N. M. P. od wyzw. niew. 24 Września
N.M.P. Loretańskiej 10 Grud.
N. M. P. Łaskawej 11 Maja
N. M. P. Różańcowej 6 Paźdz.
N. M. P. Śnieżnej 5 Sierpnia
N. M. P. Szkaplerz. 16 Lipca
Nawiedzenie N. M. P. 2 Lipca
Nemezjusza Męcz. 19 Grud.
Nicefora Męczen. 29 Lutego
Nicefora Biskupa 13 Marca
Niepok. Pocz. N.M.P. 8 Grud.
Nikodema Męcz. 15 Września
Norberta Biskupa 6 Czerwca

O

Oczyszczenie N.M.P. 2 Lutego
Ofiarowanie N.M.P. 21 List.
Oktawiana Męcz. 22 Marca
Olimpji 26 Marca
Onufrego Pustel. 12 Czerw.
Opieka św. Józefa 21 Kwiet.
Opieki N. M. P. 10 Listopada
Optata Biskupa 4 Czerwca
Ottona Biskupa 2 Lipca
Ottona Męczennika 16 Stycz.
Otylji Panny Męcz. 13 Grud.

P

Pafnucego Męcz. 19 Kwiet.
Pankracego 12 Maja
Pantaleona Męcz. 27 Lipca
Paschalisa 17 Maja
Paschazego Bisk. 22 Lutego
Patrycjusza Bisk. 17 Marca
Patrycji Męcz. 13 Marca
Paulina Biskupa 22 Czerwca
Pauliny Wdowy 26 Stycznia
Pawła Biskupa 22 Marca
Pawła Męcz. 26 Czerwca
Pawła I Pustel. 15 Stycznia
Pawła Apostoła 29 Czerwca
Pelagji Panny 11 Lipca
Pelagji Pokutnicy 12 Paźdz.
Petroneli 31 Maja
Pięciu ran. św. Franciszka 17 Września
Piotra Chryzologa 4 Grudnia
Piotra Egzorcysty 2 Kwietnia
Piotra Nolaski 31 Stycznia
Piotra Męczen. 29 Kwietnia
Piotra Celestyna 19 Maja
Piotra z Werony Męczen. 20 Kwietnia
Piotra i Pawła 29 Czerwca
Piotra w Okowach 1 Sierpnia
Piotra z Alkantary 19 Paźdz.
Piusa Papieża 5 Maja
Placydy Męcz. 5 Października
Placydy P. 11 Października
Podwyższenie św. Krzyża 14 Września
Polieukta Męczen. 21 Maja
Polikarpa Bisk. Męcz. 26 Sty.
Praxedy Panny 2 Lipca
Prokopa Męczennika 4 Lipca
Prokula Męczen. 1 Czerwca
Prospera Biskupa 25 Czerwca
Prota Męczen. 11 Września
Protazego 19 Czerwca
Pryma Męczen. 9 Czerwca
Pryski Panny 18 Stycznia
Przeniesienie św. Kazimierza 27 Sierpnia
Przeniesienie św. Wojciecha 20 Października
Pulcherji Męczennicy 7 Lipca
Pulcherji Panny 10 Września

R

Rafała Archanioła 24 Paźdz.
Rajmunda 23 Stycznia
Rajmunda Kard. 31 Sierp.
Reginy Panny 7 Września
Remigjusza Bisk. 1 Paźdz.
Roberta Opata 7 Czerwca
Rocha Wyznawcy 16 Sierpnia
Romana Opata 28 Lutego
Romana Męcz. 9 Sierpnia
Romany Panny 23 Lutego
Romualda Opata 7 Lutego
Rozalji Panny 4 Września
Rozesłanie Apost. 15 Lipca
Róży Panny 26 Sierpnia
Róży Limańskiej 30 Sierpnia
Rudolfa 17 Kwietnia
Rufy Męczenniczki 28 Listop.
Rufina Wyznawcy 19 Sierp.
Rufiny Panny 31 Sierpnia
Ruperta Biskupa 27 Marca
Ryszarda Biskupa 3 Kwietnia

S

Sabby Opata 5 Grudnia
Sabina Wyznawcy 11 Lipca
Sabiny Męcz. 27 Października
Salezego Męcz. 12 Sierpnia
Salomei Panny 17 Listopada
Salwiana 17 Marca
Saturnina Męcz. 29 Listopada
Saturniny Panny i Męczen. 4 Marca
Scholastyki Panny 10 Lutego
Ścięcie św. Jana Chrzciciela 29 Sierpnia
Serapiona Wyz. Męcz. 14 List.
Serca Pana Jezusa 7 Czerw.
Sergiusza Męcz. 24 Lutego
Serwacego Biskupa 13 Maja
Serwiliana Męcz. 20 Kwietnia
Seweryna Opata 8 Stycznia
Siedmiu Braci Śpiących 10 Maja
Sebastjana 20 Stycznia
Sennena Męcz. 30 Lipca
Sotera Papieża 22 Kwietnia
Spirydona Biskupa 14 Grud.
Stanisława Biskupa 8 Maja
Stanisława Kostki 13 Listop.
Stefana Kr. Węg. 2 Września
Sulpicjusza Męcz. 20 Kwiet.
Sygfryda B. M. 25 Lutego
Sylwerjusza 20 Czerwca
Sylwestra Papieża 31 Grud.
Sylwiana Biskupa 17 Lutego
Symforjana Męcz. 22 Sierp.
Synezjusza Męcz. 12 Grudnia
Syxta Papieża 28 Marca
Szczepana 1 Męcz. 26 Grud.
Szczepana Papieża 2 Sierpnia
Szymona z Lipnicy 28 Lipca
Szymona Apostoła 28 Paźdz.
Szymona z Edesy 5 Lipca

T

Tadeusza Apostoła 28 Paźdz.
Tarsylji Panny 24 Grudnia
Tekli Panny 23 Września
Telesfora Pap. Męcz. 5 Stycz.
Teobalda Pustelnika 1 Lipca
Teodora Męcz. 9 Listopada
Teodora Zakonnika 7 Stycz.
Teodory Męczen. 1 Kwietnia
Teodory Pokutnicy 11 Wrześ.
Teodezji Panny Męcz. 29 Maja
Teodozjusza Wyzn. 11 Stycz.
Teodoryka 1 Lipca
Teofila Biskupa 27 Kwietnia
Teofila Męczen. 20 Grudnia
Teresy Panny 15 Paździer.
Tomasza z Akwinu 7 Marca
Tomasza z Wilan. 18 Wrześ.
Tomasza Apostoła 21 Grud.
Tomasza Kantuar. 29 Grud.
Trzech Króli 6 Stycznia
Tyburcjusza 14 Kwietnia
Tymoteusza B. M. 24 Stycz.
Tytusa Biskupa 4 Stycznia

U

Ubalda Biskupa 16 Maja
Urbana 25 Maja
Urszuli Panny 21 Paździer

W

Wacława Króla 28 Września
Walentego Kapł. Męcz. 14 Lut.
Walerego Bisk. 12 Grudnia
Walerego Męcz. 12 Września
Walerji Męcz. 5 Czerwca
Walerji Panny 9 Grudnia
Walerjana Męcz. 14 Marca
Wawrzyńca Męcz. 10 Sierp.
Wenantego Męcz. 18 Maja
Wenefrydy Panny 3 Listop.
Weroniki Panny 13 Stycznia
Weroniki z Julianu 17 Maja
Wiktora 1 Września
Wiktorji Panny 23 Grudnia
Wiktoryna Męcz. 6 Marca
Wiktoryna Biskupa 5 Wrześ.
Wiktora Biskupa Męcz. 2 List.
Wilhelma Arcyb. 10 Stycz.
Wilhelma Opata 6 Kwietnia
Wilhelma księcia 28 Maja
Wilibalda Biskupa 7 Lipca
Wilibrarda Biskupa 7 List.
Wincentego Biskupa 20 Marca
Wincentego Męcz. 22 Stycz.
Wincentego Fer. W. 5 Kwiet.
Wincentego a Paulo 19 Lipca
Wincentego Kadłubka 9 Paź.
Wita 15 Czerwca
Witalisa Męcz. 28 Kwietnia
Władysława Króla 27 Czerw.
Wniebowz. N. M. P. 15 Sierp.
Wojciecha Biskupa 23 Kwiet.
Wolfganga Biskupa 31 Paźdz.
Wszystkich Św. 1 Listopada

Z

Zacharjasza Proroka 6 Wrześ.
Zacharjasza Papieża 5 List.
Zaślubienie N. M. P. 23 Stycz.
Zefiryna Papieża 26 Sierp.
Zenobji Panny 30 Paździer.
Zenobiusza 30 Października
Zenona Żołnierza 22 Grudnia
Znalezienie św. Krzyża 3 Maja
Zofji z 3-ma córkami 15 Maja
Zuzanny P. Męcz. 11 Sierp.
Zwiastowanie NMP. 25 Marca
Zygmunta Króla 2 Maja

KALENDARZYK ŚWIĄT LEGALNYCH W STANACH ZJEDN.

Arbor Day. — Zwykle wyznaczany przez Gubernatora.
Armistice Day (Dzień Rozbrojenia) — 11 listopada.
Christmas Day (Boże Narodzenie) — 25 grudnia.
Columbus Day — 12 października.
Decoration Day, zobacz: Memorial Day.
Defense Day (Dzień Obrony) — 12 września.
Father's Day (Dzień Ojców) Druga Niedziela Czerwca
Flag Day — 14 lipca.
Independence Day (Dzień Niepodległości) — 4 lipca.
Indian Day. — Czwarty piątek we wrześniu.
Jeffersona urodziny — 13 kwietnia.
Labor Day (Dzień Pracy) — Pierwszy poniedziałek we wrześniu.
Lincolna urodziny — 12 lutego.
Memorial Day (Dzień Wieńczenia) — 30 maja we wszystkich stanach; w Alabama, Georgia, Florida i Mississippi 26 kwietnia; w North i South Carolina 10 maja.
Mother's Day (Dzień Matek) Druga niedziela w maju.
Nowy Rok — 1 stycznia.
Thanksgiving (Dzień Dziękczynienia) — Ostatni czwartek w listopadzie.
Washingtona urodziny — 22 lutego.

NARODOWE ŚWIĘTA RÓŻNYCH KRAJÓW

Argentyna — 25 maja.
Armenja — 28 maja.
Bałtyckie Kraje — 18 listopada.
Boliwja — 6 sierpnia.
Brazylja — 7 września.
Bułgarja — 5 października.
Chiny — 10 października.
Columbia — 20 lipca.
Costa Rica — 15 września.
Czechosłowacja — 28 października.
Ecuador — 10 sierpnia.
Finlandja — 6 grudnia.
Francja — 14 lipca.
Grecja — 7 kwietnia.
Guatemala — 15 września.
Haiti — 1 stycznia.
Honduras — 15 września.
Liberja — 26 lipca.
Meksyk — 16 września.
Nikaragua — 15 wrzesnia.
Niemcy — 9 listopada.
Norwegja — 17 maja.
Panama — 28 listopada.
Paragwaj — 14 i 15 maja.
Peru — 28—30 lipca.
Polska —3 maja.
Portugalja — 1 grudnia.
Rosja Sowiecka — 7-go listopada.
Salvador — 10 września.
Uruguaj — 28 lutego.
Wenezuela — 4 lipca.

ŚWIĘTA LEGALNE W KANADZIE

Nowy Rok — 1 stycznia.
Popielec.
Wielki Piątek.
Niedziela Wielkanocna.
Empire Day — 24 maja.
Dominion Day — 1 lipca.
Labor Day — Pierwszy poniedziałek we wrześniu.
Thanksgiving (Dzień Dziękczynienia) — Zwykle proklamowany na ostatni poniedziałek w październiku.
Christmas (Boże Narodzenie) — 25 grudnia.

TABELKA PORÓWNAWCZA TERMOMETRÓW

Fahrenheit	Celsius	Reaumur	Fahrenheit	Celsius	Reaumur	Fahrenheit	Celsius	Reaumur
212	100.	80.	122	50.	40.	32	0	0
210	98.9	79.1	120	48.9	39.1	30	— 1.1	— 0.9
208	97.8	78.2	118	47.8	38.2	28	— 2.2	— 1.8
206	96.7	77.3	116	46.7	37.3	26	— 3.3	— 2.7
204	95.6	76.4	114	45.6	36.4	24	— 4.4	— 3.6
202	94.4	75.6	112	44.4	35.6	22	— 5.6	— 4.4
200	93.3	74.7	110	43.3	34.7	20	— 6.7	— 5.3
198	92.2	73.8	108	42.2	33.8	18	— 7.8	— 6.2
196	91.1	72.9	106	41.1	32.9	16	— 8.9	— 7.1
194	90.	72.	104	40.	32.	14	—10.	— 8.
192	88.9	71.1	102	38.9	31.1	12	—11.1	— 8.9
190	87.8	70.2	100	37.8	30.2	10	—12.2	— 9.8
188	86.7	69.3	98	36.7	29.3	8	—13.3	—10.7
186	85.6	68.4	96	35.6	28.4	6	—14.4	—11.6
184	84.4	67.6	94	34.4	27.6	4	—15.6	—12.4
182	83.3	66.7	92	33.3	26.7	2	—16.7	—13.3
180	82.2	65.8	90	32.2	25.8	0	—17.8	—14.2
178	81.1	64.9	88	31.1	24.9	— 2	—18.9	—15.1
176	80.	64.	86	30.	24.	— 4	—20.	—16.
174	78.9	63.1	84	28.9	23.1	— 6	—21.1	—16.9
172	77.8	62.2	82	27.8	22.2	— 8	—22.2	—17.8
170	76.7	61.3	80	26.7	21.3	—10	—23.3	—18.7
168	75.6	60.4	78	25.6	20.4	—12	—24.4	—19.6
166	74.4	59.6	76	24.4	19.6	—14	—25.6	—20.4
164	73.3	58.7	74	23.3	18.7	—16	—26.7	—21.3
162	72.2	57.8	72	22.2	17.8	—18	—27.8	—22.2
160	71.1	56.9	70	21.1	16.9	—20	—28.9	—23.1
158	70.	56.	68	20.	15.	—22	—30.	—24.
156	68.9	55.1	66	18.9	15.1	—24	—31.1	—24.9
154	67.8	54.2	64	17.8	14.2	—26	—32.2	—25.8
152	66.7	53.3	62	16.7	13.3	—28	—33.3	—26.7
150	65.6	52.4	60	15.6	12.4	—30	—34.4	—27.6
148	64.4	51.6	58	14.4	11.6	—32	—35.6	—28.4
146	63.3	50.7	56	13.3	10.7	—34	—36.7	—29.3
144	62.2	49.8	54	12.2	9.8	—36	—37.8	—30.2
142	61.1	48.9	52	11.1	8.9	—38	—38.9	—31.1
140	60.	48.	50	10.	8.	—40	—40.	—32.
138	58.9	47.1	48	8.9	7.1	—42	—41.1	—32.9
136	57.8	46.2	46	7.8	6.2	—44	—42.2	—33.8
134	56.7	45.3	44	6.7	5.3	—46	—43.3	—34.7
132	55.6	44.4	42	5.6	4.4	—48	—44.4	—35.6
130	54.4	43.6	40	4.4	3.6	—50	—45.6	—36.4
128	53.3	42.7	38	3.3	2.7	—52	—46.7	—37.3
126	52.2	41.8	36	2.2	1.8	—54	—47.8	—38.2
124	51.1	40.	34	1.1	0.9	—56	—48.9	—39.1

PORÓWNANIE TERMOMETRÓW

Są trzy rodzaje termometrów czyli ciepłomierzy różniące się skalą stopni, a mianowicie: Najczęściej używany Fahrenheita, Reaumura i Celsiusa. Punkt marznięcia i punkt wrzenia wyrażone stopniami, w trzech wyż wspomnianych termometrach wykazują następującą różnicę:

Nazwa termometru	Punkt marznięcia wody	Punkt wrzenia wody
Fahrenheit	32	212
Reaumur	0	80
Celsius	0	100

Chcąc przemienić stopnie jednego na stopnie drugiego termometru postępuje się jak następuje:

Zamieniając Fahreinheita na Reaumura odciąga się od stopni Fahrenheita liczbę 32 a pozostałość mnoży przez 4/9 n.p. Termometr Fahrenheita wskazuje 68 stopni a chcemy się dowiedzieć ile jest stopni Reaumura więc od 68 odciągamy 32 pozostaje nam 36 te mnoży przez 4/9 i otrzymamy 16.

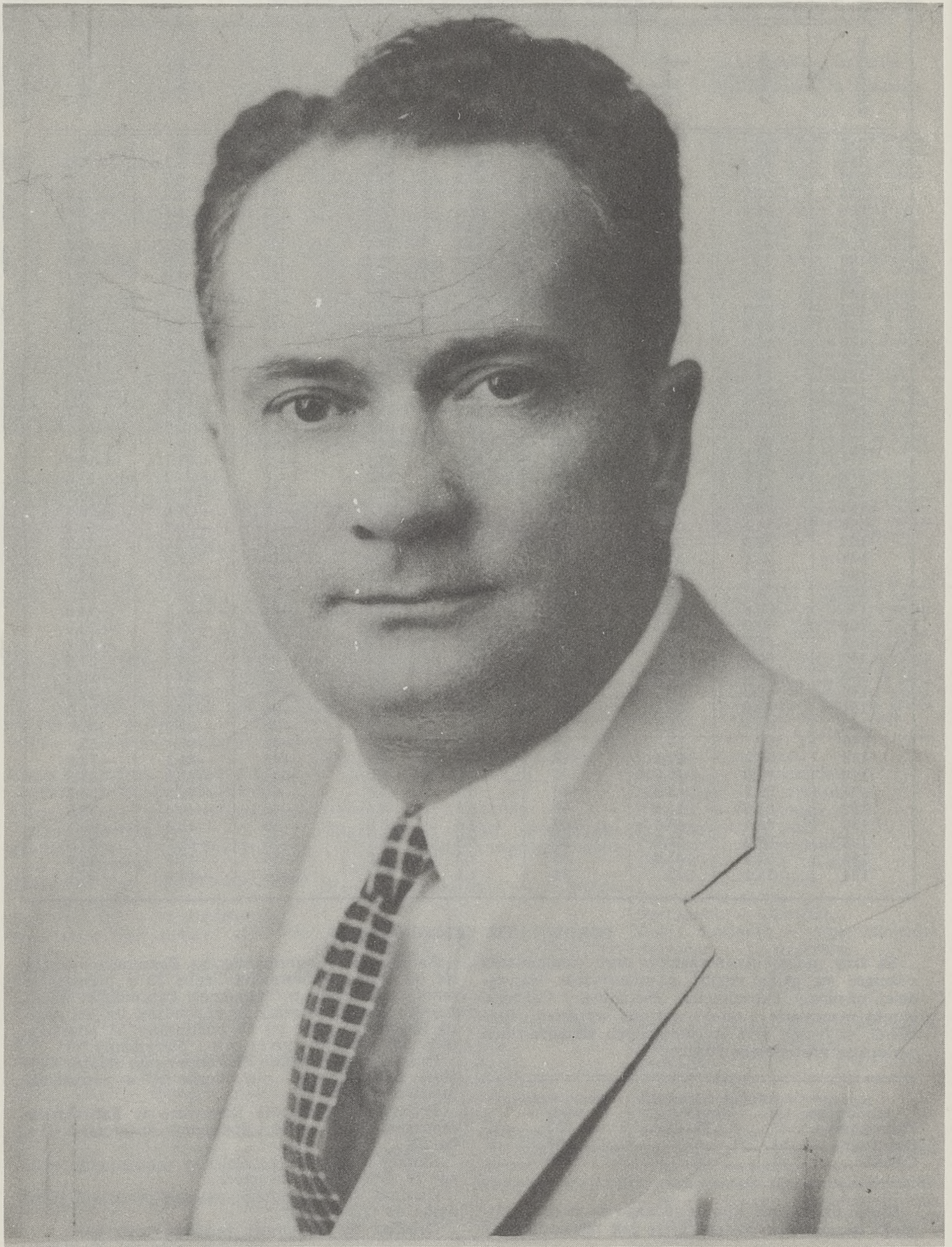
Przemieniając stopnie Fahrenheita na stopnie Celsiusa odciągamy od nich liczbę 32 a pozostałość mnożymy przez 5/9.

Przemieniając stopnie Reaumura w Fahrenheita mnożymy je przez 9/4 i dodajemy do iloczynu liczbę 32.

Stopnie Reaumura na Celsiusa zamieniamy mnożąc je przez pięć czwartych.

Celsiusa na Fahrenheita mnożąc przez 9/5 i dodając do iloczynu 32.

Celsiusa na Reaumura mnożąc przez 4/5.



EDWARD KOZMOR
Cenzor Z. N. P.



WŁADYSŁAW L. DWORAKOWSKI
Wicecenzor Z.N.P.



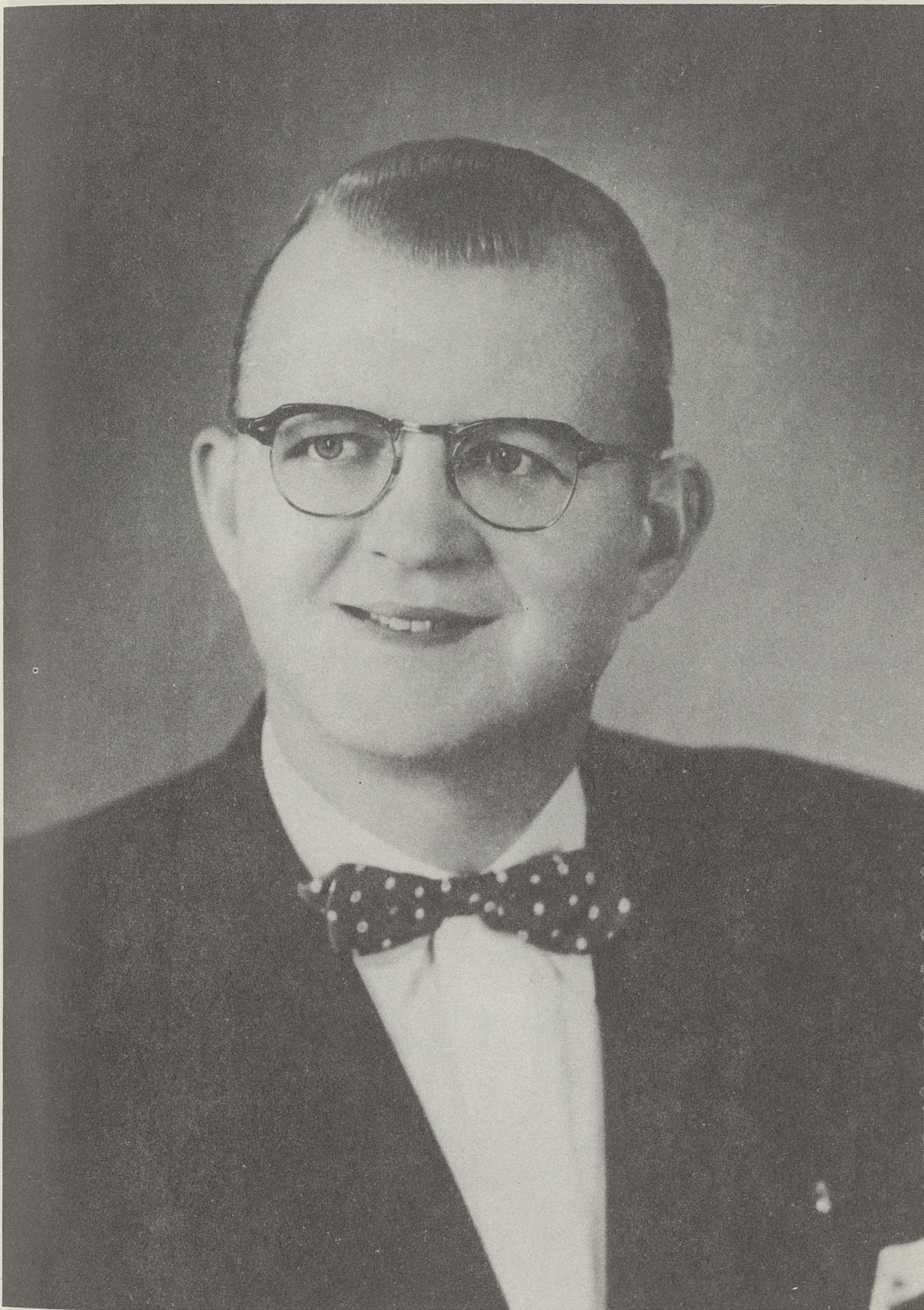
KAROL ROZMAREK,
Prezes Z. N. P.



FRANCISZKA DYMEK
Wiceprezeska Z.N.P.



FRANCISZEK PROCHOT
Wiceprezes Z.N.P.



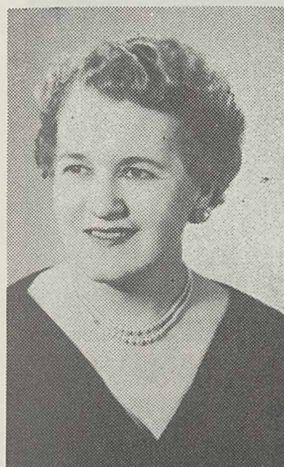
JÓZEF F. FOSZCZ
Sekretarz Generalny Z.N.P.



JAN ULATOWSKI
Skarbnik Z.N.P.

DYREKTORZY I DYREKTORKI

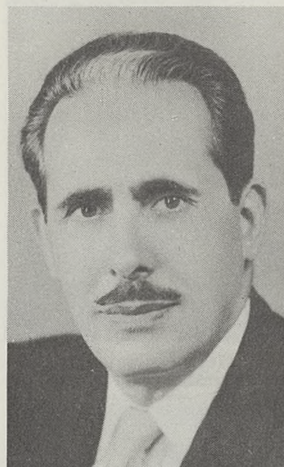
Zarządu Centralnego Związku Narodowego Polskiego



Bron. Helkowska
Dyrektorka Z. N. P.



Kat. Ziemba-Dienes
Dyrektorka Z. N. P.



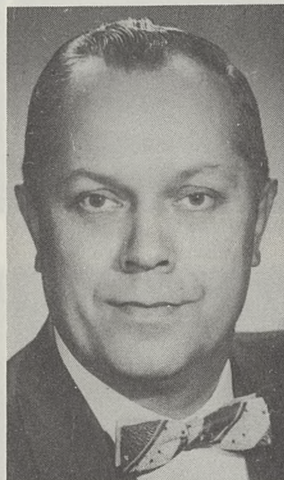
Bonawentura Migała
Dyrektor Z. N. P.



Karolina Spisak
Dyrektorka Z. N. P.



Michał Hołodnik
Dyrektor Obwodu "C"



Jan J. Ziemba
Dyrektor Z. N. P.

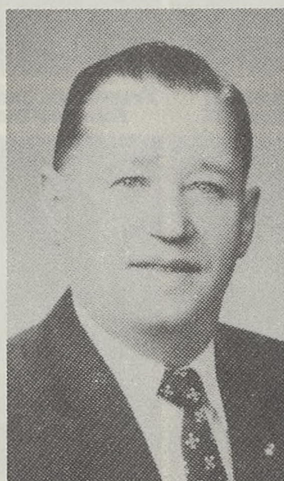


Irena Wallace
Dyrektorka Obwodu "D"



Adolf Pachucki
Dyrektor Obwodu "B"

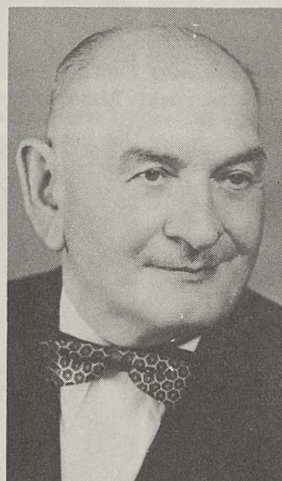




Henryk J. Spindor
Dyrektor Z. N. P.



Edward S. Gembara
Dyrektor Z. N. P.



Dr. Ant. Sampoliński
Lekarz Naczelny Z. N. P.



KOMISARZE OKRĘGÓW Z. N. P.

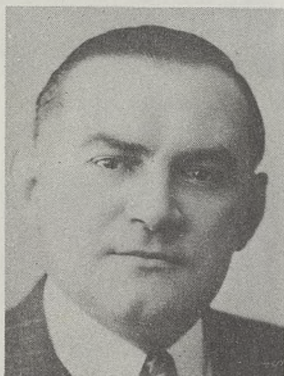
Członkowie Rady Nadzorczej Związku Narodowego Polskiego


Józef Dancewicz
Komisarz Okręgu I


Henryk Borowy
Komisarz Okręgu II


Leopold Babirecki
Komisarz Okręgu III


Jan F. Nowak
Komisarz Okręgu IV


Tadeusz Giergielewicz
Komisarz Okręgu V


Jan Jaje
Komisarz Okręgu VI


Ludwik Śliwiński
Komisarz Okręgu VII


Antoni Czeleń
Komisarz Okręgu VIII

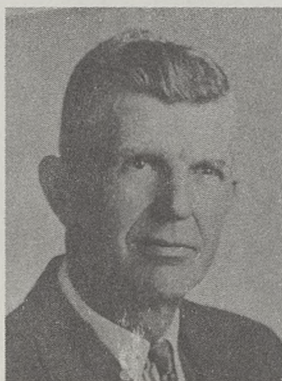

Aleksander A. Kopczyński
Komisarz Okręgu IX


Mieczysław Odrobina
Komisarz Okręgu X

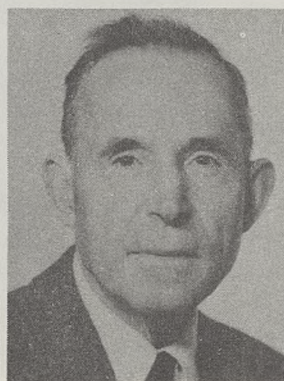

Dr. S. J. Sulkowski
Komisarz Okręgu XI


Franciszek Jendryaszek
Komisarz Okręgu XII


Walenty J. Kożuch
Komisarz Okręgu XIII


Jakób Fatla
Komisarz Okręgu XIV


Tadeusz Wachel
Komisarz Okręgu XV


Bolesław A. Wójcik
Komisarz Okręgu XVI

KOMISARKI OKRĘGÓW Z. N. P.

Członkinie Rady Nadzorczej Związku Narodowego Polskiego


Bronisława F. Niemyska
Komisarka Okręgu I


Ewelina Gavalis
Komisarka Okręgu II


Anna Tuman
Komisarka Okręgu III


Maria Tuchewicz
Komisarka Okręgu IV


Felicja J. Żochowska
Komisarka Okręgu V


Apolonia H. Danielewicz
Komisarka Okręgu VI


Zofia Wójcik
Komisarka Okręgu VII


Emilia Janowska
Komisarka Okręgu VIII


Genowefa Gratzko
Komisarka Okręgu IX


Józefa M. Wolas
Komisarka Okręgu X


Maria Godlewska
Komisarka Okręgu XI


Maria Gierut-Szeląg
Komisarka Okręgu XII

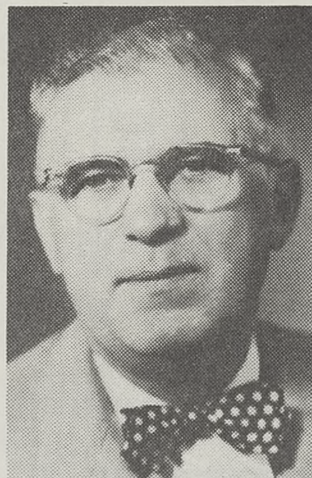

Adela Ćwik
Komisarka Okręgu XIII


Władysława Podkomorska
Komisarka Okręgu XIV

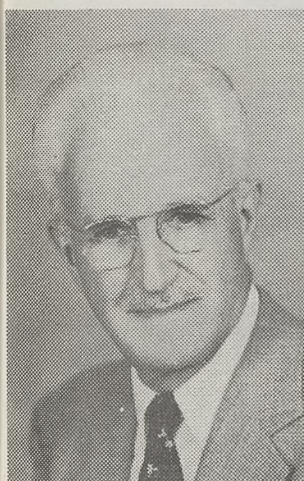

Wiktoria L. Basińska
Komisarka Okręgu XV


Stanisława M. Nieder
Komisarka Okręgu XVI

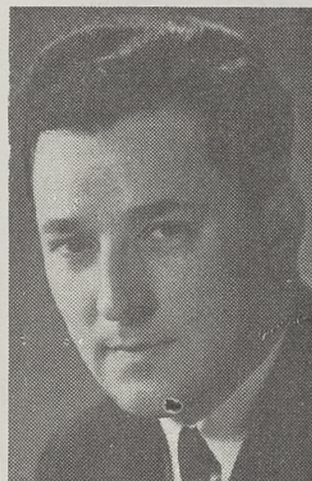
Szefowie Wydziałów Biur, Wydawnictw i Kolegium Związku Narodowego Polskiego

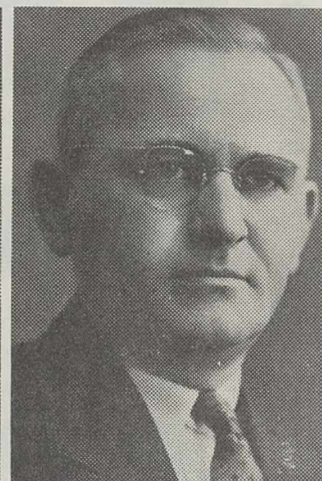

J. S. ŚWIERCZYŃSKI,
Zarządca Pism Z.N.P.

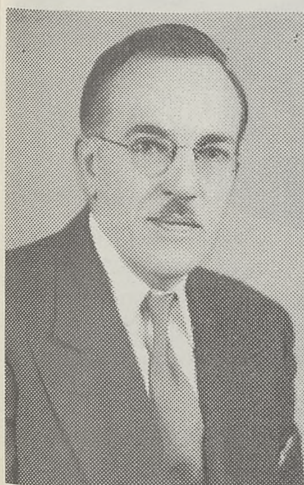

KAR. PIĄTKIEWICZ,
Redaktor Nacz. Pism Z.N.P.

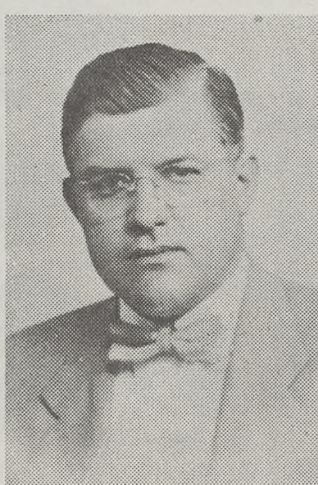

K. MIDOWICZ,
Rzecznik Z.N.P.


TOM. PACZYŃSKI,
Gen. Organizator Z.N.P.

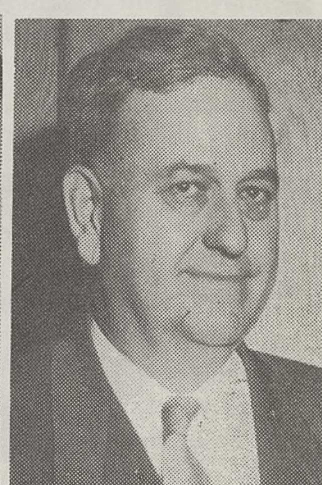

TAD. JASIORKOWSKI,
Szef Asekuracji Z.N.P.


J. BRONARS,
Kontroler Z.N.P.


JAN WOJCIECHOWSKI,
Kierownik Biura Sekr. Gen.

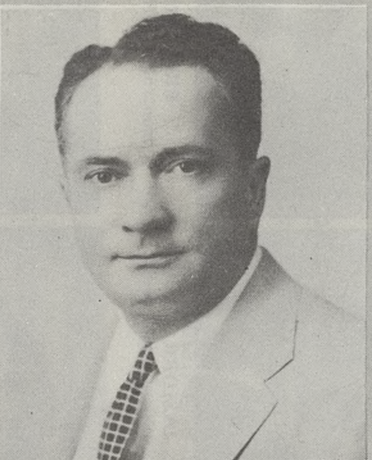

JÓZEF R. MAJERCZAK
Szef Personalny Biur ZNP.


A. WOLANIN,
Zarządca Adm. Kolegium Z.N.P.

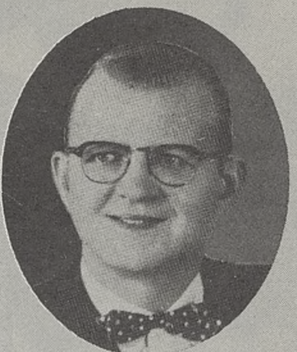

DR. A. P. COLEMAN,
Prezydent Kolegium Z.N.P.

RADA SZKOLNA— Związku Narodowego Polskiego


Jan Ulatowski
Skarbnik


Cenzor E. Kozmor


Prezes K. Rozmarek


Józef Foszcz
Sekretarz






St. Borsa


R. Zawierucha


Tad. Adesko


St. Samek


Ed. Sitnik


M. Hołodnik
Doradca



ZŁOTY JUBILEUSZ SZKOŁY ZW. NAR. POL.

Kolegium Związkowe w Cambridge Springs, Pa., święci 50-lecie swego założenia. Obchodzi więc jubileusz szlachetnego czynu, dokonanego przez najpotężniejszą organizację polską, która w zacnej trosce o przyszłych działaczy Wychodźtwa, o następne pokolenia pierwszych Pionierów Związkowych, stworzyła to pomnikowe dzieło. Obchodzi równocześnie Jubileusz całego zastępu Młodzieży Polskiej, która z tej Uczelni czerpała naukę, zamiłowanie do najszlachetniejszych zdobyczy polskiej kultury i należyte przygotowanie do wzniesienia się na wyższy szczebel dobrobytu.

50-letni okres bytowania Kolegium był ciężki i twardy. Zaledwie bowiem wydobyło się ono z pierwszych lat pracy twórczej, nastąpiła siedmioletnia prawie wojna światowa, która uszczuplała ciało profesorskie i kwiat młodzieży polskiej, zabierała pod sztandar walki o niepodległość i demokrację narodów.

W roku 1931, gdy Kolegium po kilku latach niezmordowanej pracy zaczęło wstępować na arenę prawdziwego rozwoju, wybuchł w starym głównym budynku szkolnym katastrofalny pożar i w ciągu niespełna paru godzin potężny niegdyś gmach zamienił w dymiące zgliszcza i ruiny.

Nadto pogrążyły kraj żywiołowe fale długotrwałego kryzysu ekonomicznego. Paniki, bezrobocie, utrata oszczędności w pozamykanych bankach, cały ocean ludzkiej niedoli, który najbardziej dotknął naszych rodaków — wszystko odbiło się niekorzystnie na normalnym rozwoju Kolegium.

Pomimo tych niepomyślnych dla szkoły naszej warunków i pomimo tego, że system naukowy musiał ulegać wpływom przełomowych czasów, plon 50-lecia jest jednak takim, który przynosi zaszczyt Związkowi Narodowemu Polskiemu, okrywa zasługą Pionierów i Budowniczych Kolegium, a imieniowi polskiemu niesie chlubę.

Kolegium Związkowe wydało dotąd 47 roczników Abiturientów. Instytut Rzemieślniczy wykształcił liczny szereg uzdolnionych mechaników. Wielki jest już zastęp tych, którzy Związkowi Narodowemu Polskiemu mają do zawdzięczenia nie tylko wiedzę, nie tylko byt, ale, co więcej, wpojenie cnót obywatelskich, utrwalenie miłości Ojczyzny, opanowanie skarbnicy mowy polskiej i powzięcie głębokiej czci dla Sztandaru Gwiaździstego, który szczytnie zespala umiłowanie Ameryki z umiłowaniem Polski.

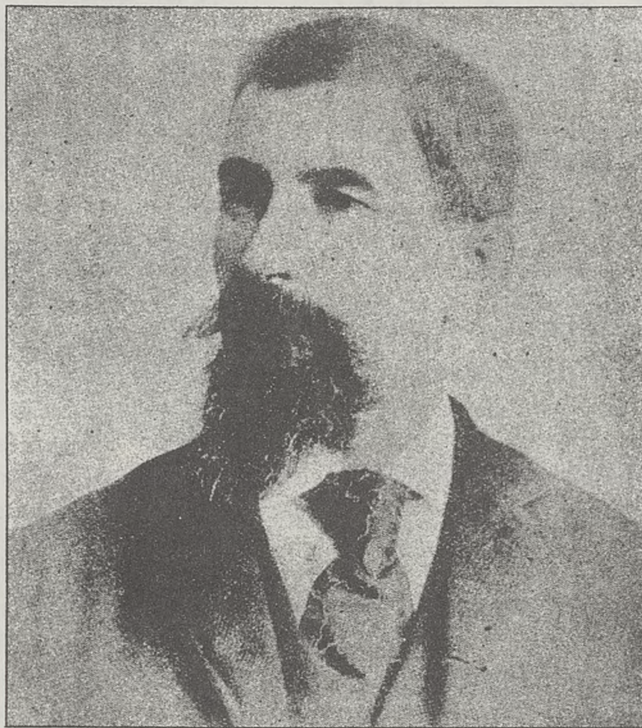
Obrachunek 50-lecia Kolegium Związkowego jest niezawodnym dokumentem, że tą doniosłą Instytucję Związkową czeka przyszłość wielka, ponieważ dowiodła ona już swej potężnej racji bytu, bo niepomyślne, twarde czasy przetrwała i dała Wychodźtwu całe pokolenie pełnych zapału młodzieńców, przyszłych szermierzy, dzielnych jutrzejszych luminarzy i działaczy.

Niechże ten złoty Jubileusz Kolegium będzie punktem zwrotnym w rozwoju Szkoły Związkowej, niech skupi dookoła Alma Mater tych wszystkich, którzy z Jej łona wyszli i niech dźwignie Kolegium na taki szczebel, aby ziściły się pragnienia szlachetne Związkowców, aby Kolegium promieniowało we współzawodnictwie z pierwszymi zakładami naukowymi—amerykańskimi, a narodowi polskiemu tutaj i za oceanem było wawrzynem i było ogniskiem.

Julian Szajnert — Jeden z Twórców Związku Narodowego Polskiego

Napisał

KAROL PIĄTKIEWICZ



Założyciel Z. N. P. i Pierwszy Jego Sekretarz Jen.

W galerii wielkich związkowców i twórców naszej potężnej organizacji, jedno z najprzedniejszych miejsc zajmuje Julian Szajnert, mąż wielkiego serca, wielkiego umysłu, zdolny do ujmowania wydarzeń i wypadków w jedną całość, przewidujący przyszłość. Zrazumiał on konieczność, aby na ziemi amerykańskiej powstało trwałe, silne i liczne zrzeszenie imigrantów polskich, które by pracowało nie tylko nad swym własnym podniesieniem na ziemi przybranej, ale także stało na straży polskości i przewodziło w pracach nad wywalczeniem Polsce niepodległości.

Było to w roku 1871 w mieście Filadelfii. Liczna wówczas gromada polskich emigrantów, patriotów i prawdziwych pracowników społecznych zorganizowała w tym mieście Towarzystwo Bratniej Pomocy im. Tadeusza Kościuszki, powołując na swego sekretarza Juliana Szajnerta, wówczas 23-letniego młodziana, pełnego zapału i chęci do pracy narodowej.

Szajnert był idealistą i marzycielem, jednym z tych rzadkich patriotów, którzy myśli potrafią ucieleśniać i zamieniać w czyn, którzy nie kończą na obmyśleniu oczyma duszy obrazu akcji jaka powinna być zamierzana, ale to marzenie potrafią urzeczywistnić.

Szajnert widział przybywających co tydzień, czy co miesiąc, nowych emigrantów z Polski, rozpraszających się potem po całej Ameryce, widział naszych starych wiarusów z Wielkopolski, dawnego Królestwa, Galicji z tobołami i walizami w ręku, z małemi dziećmi ciągnącymi z przystani do stacji kolejowych i rozjeżdżających się po całej Ameryce.

Całymi latami studiował i robił zapiski, notatki i kreślił uwagi na ten temat, marząc o stworzeniu kiedyś jakiegoś wielkiego jednego towarzystwa, któreby objęło wszystkich tych imigrantów nie tylko w Filadelfii, ale także w pobliskim Nowym Yorku, odległym Buffalo i bardzo dalekim, położonym

gdzieś na "Dzikim Zachodzie", jak im się wtedy zdawało, w Chicago.

Tak długo Szajnert chodził, starał się, szukał, badał, aby zebrać wszystkie adresy wszystkich polskich skupień i towarzystw w Filadelfii i okolicy, i zwołał na dzień 14go lutego 1881 roku wspólne zebranie do kuchni swego mieszkania. Po długich obradach, po wywodach za i przeciw, zebrani patrioci zadecydowali utworzyć centralną organizację dla wszystkich osad polskich, pod nazwą "Związku Narodowego Polskiego", organizację, któraby jednoczyła nietylko poszczególne jednostki, ale także istniejące już i rozwijające się towarzystwa narodowe.

Pierwszym sekretarzem Związku Narodowego Polskiego wybrano Juliana Szajnerta, gdyż on był duszą i twórcą, on o stworzenie zabiegał i starał się. On to podpisywał pierwsze odezwy wraz z pierwszym prezesem Andrzejkowiczem, on jeździł po osadach okolicznych i organizował pierwsze grupy związkowe, zachęcał do zbiorowych wystąpień i do wspólnej pracy w mię starej maksymy: "W Jedności Siła".

Znamienne są słowa jednej odezwy napisanej przez Szajnerta, w której czytamy między innymi te wzniosłe i natchnione słowa: "Rodacy. Mamy tu punkt oparcia, mamy wolność stowarzyszania się, mamy wolność prasy i słowa, mamy liczbę, tylko brak nam siły, bo jesteśmy jak ziarnka grochu rozsiane powierzchni ziemi. Zebrane w kupę, wsypane do miny, te ziarnka utworzą wielką siłę, co góry rozsadza. W rozsypce, w osamotnieniu jesteśmy niczem, niezdolni poradzić sami sobie, ani pomóc krajowi. Zebrani i zorganizowani w potężny Związek, nie tylko dźwigniemy sami siebie, moralnie i materialnie, ale utworzymy potężną siłę, której będziemy mogli użyć dla dobra Ojczyzny"...

Jakże proroczymi stały się słowa tego wielekiego ojca Związku Narodowego Polskiego. Jakżeż wiele też Związek zdziałał w przeszłości i jak wiele działa dzisiaj dla sprawy polskiej, walcząc o Polskę na forum świata, śląc narodowi polskiemu pomoc i przedstawiając postulaty Polski przed mocarstwami.

Żadnych stanowisk organizacyjnych w Z. N. P. Szajnert nie pragnął i zadowolił się godnością komisarza, żadnego innego urzędu nie przyjął. Radowała go myśl, że jego marzenie ziściło się i spełniło, że z luźnych towarzystw powstał wielki Związek Narodowy Polski.

W miarę jak wzrastał Związek Narodowy Polski, tak wzrastało przywiązanie i miłość ludu związkowego do Juliana Szajnerta, który zawsze przez cały okres swego życia, spieszył chętnie swej ukochanej organizacji z serdeczną radą w chwilach przełomowych, z zajętego raz stanowiska nigdy się nie cofał a w chwilach krytycznych dla naszej organizacji zawsze potrafił bronić jej mienia z godnością i odwagą. W uznaniu jego wielkich zasług Sejmy Związkowe obdarzyły go godnością honorowego komisarza Z. N. P. na wszystkie stany.

Zmarł w dniu 20go października 1928 r. w Minneapolis, Minn, doczekawszy się odbudowy niepodległości Polski po pierwszej wojnie światowej, zmarł na 11 lat przed wybuchem drugiej wojny światowej, zyskując w sercach wszystkich Związkowców miłość i uznanie, ze swe prace dla powstania naszej organizacji położone.



O PRZESZŁYCH LATACH Z.N.P.

"Związek Narodowy Polski nie został zorganizowany w tym celu, aby wypłacał pośmiertne po zmarłych swych członkach".

A jeżeli chcemy wiedzieć w jakim celu został Związek zorganizowany i jak został zorganizowany, to jedynem dla nas dziś źródłem jest **"Historia Związku Narodowego Polskiego"**, która wyszła z pod wielce pracowitego pióra **ś.p. Stanisława Osady** na 25-lecie naszej organizacji. Autor tej cennej pracy zmarł na ziemi ojczystej po kilkudziesięcioletniej tułaczce, — ale praca jego żyje i żyć będzie. A jeżeli na każdem posiedzeniu Grupy, czy Gminy nie czerpiemy natchnienia do pracy związkowej z tej cennej księgi, to powinniśmy się zwrócić do jej pożółkłych kart przynajmniej w okresie sejmowym.

Historia Związku ś.p. Osady, to nie tylko Historia Związku, ale historia całego Wychodztwa Polskiego w Ameryce. Sięga on w niej do pierwszych dni naszego zbiorowego istnienia, kiedy to już w roku 1842 powstało w New Yorku "Towarzystwo Polaków w Ameryce", do którego mógł się przyłączyć "każden emigrant, Polak, bez względu na stan i wyznanie".

W dwa lata później w organizacji tej pracuje dzielnie ś. p. Henryk Kałusowski z Waszyngtonu, który pragnie zorganizować całe Wychodztwo w jedną silną organizację, która oprócz celów narodowych miała mieć "na pierwszem względzie braterstwo i wzajemną pomoc".

Organizacja ta urządziła pierwszy w Ameryce obchód polski, a mienowicie obchód 14-tej rocznicy Powstania Listopadowego, lecz potem mało się o niej słyszy, aż dopiero w roku 1863, na wieść o wybuchu Powstania Styczniowego, organizuje się gminy polskie pod kierownictwem Juljana Lipińskiego, a Kałusowski zbiera fundusze na Skarb Narodowy dla Powstańców. Emigracja polska w Ameryce ma już wówczas pierwsze pismo — "Echo z Polski", bo już ci pierwsi pionierzy nasi wiedzieli, że **prasa polska jest duszą życia polskiego na obczyźnie.**

W roku 1870 ten sam Kałusowski krząta się około zorganizowania "Związku Narodowego Polskiego" w New Yorku, który wydaje inne pismo pod nazwą "Orzeł Polski". Pismo to na początek nie miało stu abonentów. Pierwszym redaktorem był Ignacy Wędziński, późniejszy redaktor "Zgody".

Po upadku "Orła Polskiego" w New Yorku organem polskiej imigracji w Ameryce stała się "Gazeta Polska" Dyniewicza w Chicago, gdzie silniej pulsuje zbiorowe życie polskie. I już wtedy bierze się pod dyskusję drażliwą kwestię, która później stała się niejakoby zarzewiem walki wśród naszego Wychodztwa.

Na obchodzie w roku 1874 ks. Zwiardowski przemawia, że nie **lud**, jak na sztandarze Gminy wypisano, ale **cud**, przy modlitwie, Polskę zbawi". Na to odpowiedział mu Dyniewicz: "Polska nigdy o modlitwie nie przepominała i nie przepomina, ale też przytem nie potępiała i nie potępia innych wyznań". Bo właśnie chodziło tu o te inne wyznania. Światlejsi pionierzy nasi pragnęli połączyć wszystkich Polaków, bez względu na ich stan, albo wyznanie, a to nie podobało się innym.

Już w roku 1875 ks. Gieryk organizuje w Detroit "Zjednoczenie Rzymsko-Katolickie Polskie", które miało budować szkoły wyższe, założyć bank polski, klasztor żeński, seminarium nauczycielskie, biblioteki i szpital polski, ale już w dwa lata później energiczny ks. Gieryk był zmuszony organizację tę opuścić bez urzeczywistnienia tych śmiałych planów.

Podejmowano jeszcze kilka innych prób połączenia emigracji, ale dopiero konkretne plany przyszły na emigrację z listem Agatona Gillera, który wyraźnie nakreślił że w Ameryce potrzeba "organizacji, któraby dała emigrantom **wykształcenie narodowe**, utrwaliła poczucie narodowe, które na obczyźnie zwykle się potęguje, a w **miarę jak życie w organizacji oświecać ich i wzmacniać będzie, sprawi, że każdy dbać też będzie, ażeby i potomkowie jego byli wychowani w polskiej narodowości"**. Widzimy więc, że już ten list duchowego założyciela Związku nakreśla troskę o młodzież, którą w pół wieku później uwypuklił Sejm w Scranton przez założenie Harcerstwa.

List Gillera robi silne wrażenie na światlejszych emigrantach. W roku 1888 Juljusz Andrzejkiewicz z Filadelfji pisze do "Gazety Polskiej" i przypomina, że emigracji

włoskiej zawdzięczają Włochy swą niepodległość. Podobnych rzeczy dla Polski może dokonać emigracja polska w Ameryce. Do apelu Andrzejkiewicza przyłączyli się—Juljan Lipiński, Julian Sztajnert i Jan N. Popieliński i na dzień 14-go lutego, 1880, zwołali pierwsze zebranie w celu zorganizowania Związku Narodowego Polskiego. Na zebranie to przybyło piętnastu ludzi, a jedenastu z nich podpisało deklarację o zorganizowaniu Wychodztwa w jeden Związek.

Deklaracja ta była jednocześnie odezwą do całego ówczesnego Wychodztwa i odezwa ta robi wielkie wrażenie. Jedynie "Gazeta Katolicka" przeraża się jej siłą, bo obawia się, że to może być jakaś loża oparta na zasadach masońskich.

Ale praca, mimo przeszkód, idzie całą siłą. W lecie siedemnaście organizacyj oświadczyło chęć połączenia się w jeden Związek i organizacje te drogą listowną wybrały Andrzejkiewicza na swego pierwszego Cenzora, który dnia **10go sierpnia, 1888** wydaje swoje pierwsze orędzie, **zawiadamia o zorganizowaniu Związku Narodowego Polskiego** i zwołuje Pierwszy Sejm tegoż Związku na 21go września tegoż roku.

"Dokonaliśmy tego — pisze pierwszy Cenzor — mimo stawianych nam przeszkód ze strony tych, którzy głosząc nową dla Polski naukę, której by się zaparli Skarga, Kordecki, Sołtyk, Woronicz, zmierzają w krok za moskiewskim nihilizmem do jednego celu, a tym jest **śmierć narodowości—kosmopolityzm.** Oni chcą nam wydrzeć, co obok wiary ojców najdroższego przechowaliśmy w sercach naszych, co wyssaliśmy z mlekiem matki — **Miłość Ojczyzny".**

Nie asekuracja, nie walka o lepszy byt na obcej ziemi, ale Miłość Ojczyzny była główną podstawą, na której spoczęły podwaliny naszej wielkiej organizacji — miłość ojczyzny i w miłości tej łączność z resztą naszej braci!

Potrzebę tej łączności nawet z biednym, uciemiężonym krajem, rozumieli dobrze pierwsi założyciele Związku. Już w odezwie na Sejm II czytamy takie wyznanie: "Stary Kraju! wspieraj nas radą i zachętą, nie patrz na nas obojętnie, **my potrzebujemy twoich słów pociechy,** by niemi się zagrzać wśród doli na obczyźnie;"

Sejm II powołał do życia "Zgodę" jako organ Związku Narodowego Polskiego, na wydanie którego zdeklarowano 694 dolarów. Pierwszy numer "Zgody", której Związek w głównej mierze zawdzięcza swój rozwój, wyszedł pod redakcją Odrowąża w dniu 23 listopada, 1881, a redaktor stara się w te słowa uzasadnić przyjęcie tej nazwy organu:

"Zgoda! Rozwiń to słowo, przejrzyj się w zwierciadle jego duchowej treści, a jeśli nie ujrzysz się w nim, nie wierzysz w twój naród, nie wierzysz w siebie, rzuć marną nazwę i przestań być Polakiem! Zgoda! — jest to jedno krótkie słowo, ale w niem się mieści potęga, którą się wznoszą ludy, zgodą uświęcają się cele, zgodą miażdży się wroga. Jest to broń, która umiejętnie kierowana, przezwycięża wszystkie trudności".

I "zgodą'" Związek przezwyciężył wszelkie trudności. A miał tych trudności całe morze. Przez piętnaście lat walono w Związek, jak w taraban, walono ze wszystkich stron. Ale jednak, oparty na miłości ojczyzny i na zgodnej akcji rozumnych i wiernych członków, Związek przetrwał to wszystko i począł święcić triumfy.

Pierwsze te triumfy dadzą się zauważyć po Sejmie XI, który odbył się w Cleveland w roku 1895. Na Sejmie tym uchwalono wybudować Dom Związkowy, powołano do życia Wydział Oświaty, który należy uważać za najpiękniejszą i najważniejszą instytucję w Związku, a co najważniejsze — na Sejmie tym przyjęto nowe niejakoby "Credo" Związku, którego treścią i celem było:

> **"Zadrzierżgnięcie jednego węzła i stworzenie jednej duszy polskiej, przeplecionej nieograniczoną Miłością Ojczyzny i przekonanie o potrzebie łączności z Macierzą".**

Największą zatem zasługą Związku Narodowego Polskiego nie jest tylko jego wielo milionowy majątek, nie są miliony pośmiertnego, jakie dotąd wypłacono, ale to, że od samego założenia

> **budził do życia SUMIENIE POLSKIE i w świadomości narodowej stale je utrzymywał.**

Praca ta ideowa i moralna nie została bez nagrody, a nagrodą tą jest nie tylko osiągnięcie celu, do którego Wychodztwo ze Związkiem na czele dążyło, ale również rozwój materialny Związku, którego nie moglibyśmy dzisiaj widzieć, gdyby nie było tego duchowego podłoża, tego bodźca do pracy, a tem bodźcem, tem natchnieniem była **Miłość Ojczyzny i łączność duchowa z Macierzą.**

"PODAJMY SOBIE BRATNIĄ DŁOŃ"

Podajmy sobie bratnią dłoń! Takiemi słowy zakończyli swą pracę organizatorską Andrzejkiewicz, Białyński, Blachowski, Lipiński, Popieliński, Szajnert, pierwsi założyciele Związku Narodowego Polskiego, w roku 1880, w Philadelphia, Pa.

Te ściśnięte bratnie dłonie stały się i są dziś symbolem i godłem Związku Narodowego Polskiego.

Dzielni ci założyciele nie tracąc z oczu obowiązków względem nowoprzybranego kraju i narodu swego, zorganizowali Związek Narodowy Polski w Stanach Zjednoczonych Północnej Ameryki w celach: doskonaleszego zespolenia Ludu Polskiego na wychodźtwie; zapewnienia mu należytego rozwoju pod względem moralnym, umysłowym, ekonomicznym i społecznym; uchronienie języka ojczystego, oraz kultury i obyczajów narodowych od zaniku, i skuteczniejszego działania wszelkimi godziwymi środkami na korzyść przywrócenia i utrzymania niepodległości ziem polskich w Europie.

Od tego czasu Związek stopniowo wzrasta i rozszerza swą działalność na wszystkie stany, w których zamieszkuje ludność polska. Ze wzrostem liczbowym członkostwa, wzrasta również Związek finansowo, licząc dziś przeszło 76 milionów dolarów. W okresie swego istnienia dochodząc do przeszło 338,000 członków, skupionych w Grupach, podzielonych terytorialnie na Gminy i na Okręgi. Grupy Związku mają charakter bratniej pomocy, poza ubezpieczeniem i wspólnym ideowym kierunkiem prowadzą automatyczną działalność w dowolnym zakresie kulturalnonarodowym.

Ze wzrostem Związku rozszerza się również działalność w kierunku spełnienia ogólnych celów, mianowicie: Związek zakłada czytelnie, szkółki języka polskiego, a w roku 1912 zakłada Szkołę Związkową w Cambridge Springs, Pa., dziś akredytowane Kolegium koedukacyjne — Alliance College; pomaga również zdolnej, a uboższej młodzieży do osiągnięcia wykształcenia, udzielając jej stypendiów przez swój Wydział Oświaty. Dzięki tej działalności Związku, tysiące wykształconej młodzieży związkowej zajmuje stanowiska wyższe we wszystkich dziedzinach życia społecznego i ekonomicznego kraju.

Związek w czasie swego istnienia miał różne rolę do spełnienia. Akcja jego rozwijała się zawsze po linii niesienia wzajemnej pomocy swoim członkom i służby narodowej. Idąc po lnii wskazań założycieli, Związek nigdy nie zbaczał z drogi i zawsze skutecznie pokonywał trudności i każdą przeszkodę stojącą na drodze do zrealizowania jego zamierzeń.

Przyjście pierwszej wojny światowej zastało nas już dobrze duchowo przygotowanych. Opatrzność dała nam duchowego wodza, Mistrza Paderewskiego, pod którego kierownictwem genialnego umysłu i wielkiego serca, wychodźtwo polskie w Ameryce zostało zjednoczone i zdobyło się na wysiłek wielki, moralnego, finansowego i zbrojnego czynu w pomnożeniu zdobycia Polsce niepdległści. Związek Narodowy Polski miał w tej zasłudze tym większy udział, bowiem poszedł na zew, stając na czele wszystkich innych organizacji polskich w Ameryce.

Uchwały wszystkich Sejmów były zawsze nowymi wskazaniami i zawsze potęgowały zapał do nowej pracy. Tam, gdzie chodziło o ogólne dobro organizacji i narodu, zdołano zawsze osiągnąć zgodność myśli, bo tak nakazywał obowiązek, bo taką była przewodnią myśl i idea tych, którzy kładli pierwsze podwaliny pod ten potężny już dzisiaj gmach organizacji, Związku Narodowego Polskiego, który jest dziś potęgą.

Związek, będąc organizacją bratniej pomocy, rozwijał system ubezpieczeniowy równolegle z innymi podobnymi organizacjami w Stanach Zjednoczonych. Dziś posiada najlepsze rodzaje ubezpieczenia dla pełnoletnich i małoletnich.

Jednym z głównych problemów Związku jest praca wśród młodzieży polsko-amerykańskiej. Związek, zaciągając młodzież w swe szeregi, nie chce stwarzać z tej młodzieży mniejszości polskiej w Stanach Zjednoczonych i nie chce seperować jej od reszty społeczeństwa amerykańskiego, lecz celem i zadaniem Związku jest, ażeby młodzież polsko-amerykańska stanowiła składową część społeczeństwa amerykańskiego, ażeby zdobyła wyższe wykształcenie, brała czynny udział w socjalnym, społecznym i politycznym życiu amerykańskim, i ażeby stopniowo wybijała się na jak najwyższy poziom życiowy.



PROF. ROMUALD PIĄTKOWSKI,
Pierwszy Rektor Kolegjum Związkowego
(1912—1916)

Krótki Zarys Historji Instytutu Zawodowo-Technicznego w Cambridge Springs, Pa.

● HISTORJA Szkoły Związkowej zajmuje jedno z najwybitniejszych miejsc w dziejach wychodźtwa polskiego w Ameryce. Szkoła Związkowa jest symbolem tego niepokonanego dążenia w Narodzie Polskim do wolności. Jak historja o tem świadczy, powstanie Związku Narodowego Polskiego nie było przypadkiem, początek tej największej organizacji polskiej dali najlepsi mężowie jakich naród nasz posiadał w epoce popowstaniowej w roku 1863. Przez wiele lat Związek Narodowy Polski był jedynem schronieniem myśli narodowej politycznej, przybytkiem ideałów narodowych, zadatkiem lepszego jutra dla ciemiężonego przez zaborców Narodu Polskiego.

Cele i zadania Szkoły Związkowej nie mogły być jasno i dobitnie skrystalizowane w pierwszych latach jej egzystencji. Wkrótce wyłoniły się daleko idące różnice zdań w interpretacji tych celów. Wielu Związkowców uważało że Szkoła powinna rozszerzyć swój zakres działania przez otwarcie średnich kursów zawodowo-technicznych i przez to umożliwić szerszemu ogółowi młodzieży naszej zdobycie nauki. W społeczeństwie naszym dawał się dotkliwie odczuwać brak wyszkolonych zawodowców i techników, którzy mogliby przez wiedzę i przygotowanie swoje zdobyć dla siebie jak i też dla polskości wybitniejsze stanowiska w przemyśle amerykańskim. Poglądy te podzielały szersze koła Związkowców.

W roku 1915-tym na Sejmie XXI w Schenectady, N. Y., przyjęto i zatwierdzono akt inkorporacyjny i zasadnicze Prawa Korporacji Szkolnej. "Celem Korporacji Szkolnej," głosi powyższa uchwała, "jest dać możność zdobycia kosztem jak najniższym lepszego wykształcenia wszystkim, którzy je zdobyć pragną. Główna podstawa działalności Korporacji Szkolnej ma być prowadzenie pierwszorzędnej Szkoły Wyższej z kursami przygotowawczymi do studjów uniwersyteckich lub kolegjalnych jakiegokolwiek kierunku.

"Wedle potrzeby i możności Korporacja Szkolna ma rozszerzać swą działalność tak w kierunku szkół wyższych jak i niższych i pośrednich, przez otwieranie kursów kolegjalnych, przez otwieranie średnich kursów rzemieślniczych, technicznych i innych."

W tymże roku otwarto Instytut Techniczny. W małym budynku 24 przez 25 stóp pomieszczono zaledwie 15 maszyn obrabiarczych, które w ten sposób dały początek wydziałowi mechanicznemu (machinists and tool and die makers). Do nauki zgłosiło się 51 studentów-mechaników.

Pomimo braku odpowiednich urządzeń i wyekwipowania, młodzież ta z zapałem wzięła się do pracy, mając wiarę w lepszą przyszłość. W roku następnym liczba studentów już wynosiła 102, więc zaszła potrzeba rozszerzenia Instytutu, uzupełnienia jego programu nauki jako też powiększenia wyekwipowania. Otworzono nowy kurs modelarstwa w drzewie (pattern making). Wydział drzewny otrzymał 20 warsztatów, do wydziału metalowców dodano 7 maszyn obrabiarczych.

Wojna światowa przeszkodziła szybkiemu rozwojowi Szkoły Związkowej. Jednakże Instytut Rzemieślniczy w tym okresie czasu chlubnie wywiązał się ze swego zadania.

W roku 1934 wprowadzono do szkoły ruch harcerski, do którego przystąpiła duża liczba młodzieży wraz z całym fakultetem. W roku tym został wykończony nowy budynek—Hala Związkowa (Alliance Hall)—w którym mieszczą się obecnie sale wykładowe, laboratorja wydziału kolegjalnego i biura Administracji Szkoły.

Następne pięć lat odznaczyły się większym napływem studentów do Instytutu. Jednakże brak pomieszczenia spowodował odmówienie przyjęcia wielu aplikantów. Sprawa drugiego dormitorjum przedstawia w obecnym czasie najważniejszy problem w życiu Szkoły Związkowej.

W ostatnich latach, chociaż zasoby szkoły były ograniczone, Rada Szkolna nie szczędziła wszelkich możliwych środków, aby przyprowadzić wyekwipowanie Instytutu do wysokiego poziomu i przez to dać młodzieży naszej jak najlepszą sposobność wykorzystania swego czasu nauki w Cambridge Springs. Każdego roku wyasygnowano poważną sumę pieniędzy na zakupno potrzebnych maszyn i narzędzi. Przez to stopniowo zastępuje się stare zużyte maszyny nowemi, bez znaczniejszego wysiłku. To przezorne, stopniowe odnawianie i powiększanie wyekwipowania szkoły wydaje już dzisiaj pożądane owoce. Podnosi to poziom szkolenia we wszystkich wydziałach, umożliwia wykonywanie więcej skomplikowanych i precyzyjnych prac mechanicznych. Tak naprzykład, wydział metalowców już wyprodukował swoimi środkami pięć maszyn tokarskich. Wyekwipowanie działu elektrotechnicznego umożliwia studentom nawijanie motorów elektrycznych do użytku ogólnego, umożliwia też szybszą reperację radio-aparatów i innych przyrządów elektrycznych. Studenci kursu automobilowego otrzymują praktykę, pracując przy automobilach przysłanych do naprawy.

Czy Pamiętacie Te Chwile?

(OTWARCIE SZKOŁY ZWIĄZKOWEJ)

Cambridge Springs, Pa., dnia 28-go listopada, 1912 roku. — Sobota rano... Miasteczko Cambridge Springs godnie wystąpiło w dniu "święta Polaków". Instytucje rządowe, miejskie i prywatne domy toną we flagach, girlandach i emblematach narodowych. Co tylko żyje, wyległo na ulice i wraz z przybyłymi gośćmi — Polakami i Amerykanami — cieszy się, że dzięki Polakom, którzy nabyli Vanadium Hotel i utworzyli uczelnie polską, gościć będą w swoich murach Prezydenta Stanów Zjednoczonych.

Wszystkie składy i handle zamknięte... Napływ gości wielki. Tramwaje kursujące pomiędzy Erie i Cambridge Springs co chwila przywożą nowych przybyszów. Przybywający goście na stacjach kolejowych witani są przez orkiestry dostarczone darmo przez miasta Cambridge Springs i Erie. Również te same miasta dostarczyły darmo automobili i powozów.

Ponad Cambridge Springs dumnie się wznosi gmach Kolegium Związku przedstawiający dla widza widok czarujący; gmach przybrany w flagi i emblamaty daje się widzieć na kilka mil.

PORZĄDEK PARADY.

O godzinie 9-ej rano wszystko gotowe na przyjęcie prezydenta. Komitet przyjęć przygotował porządek pochodu, który wedle narady pomiędzy zarządem miasta, izbą handlową i urzędnikami Związku, jest następujący:

Prezydent Taft po wyjściu z prywatnego pociągu zajmie miejsce w automobilu. Na stacji kolejowej będzie przygotowanych 50 automobilów.

Porządek pochodu:

Szwadron policji lokalnej i weterani z Erie, Pa.

Prezydent ze świtą.

Urzędnicy Związku Narodowego Polskiego wraz z mayorem, p. John C. Rider.

Panie w powozach.

Komitet recepcyjny.

Pochód przejdzie ze stacji Erie do skweru w mieście, następnie do Kolegium. Przed głównem wejściem do Kolegium, studenci uszykują się w szpaler, a obok nich będą dzieci szkolne z miasta w liczbie przeszło 400.

Sobota południe. — Pogoda śliczna, to też całe miasto tonie w powodzi wstąg, girland i festonów i chorągiewek o barwach polskich i amerykańskich.

Miasto jako takie jest przepełnione. Polacy wzięli je szturmem. Tysiące rodaków z Pittsburgha, Buffalo, Erie i Cleveland, oraz z dalszych okolic kraju tak zalały miasto, że wzsędzie słychać mowę polską.

Gmach szkoły ślicznie udekorowany, miłe i niezatarte pozostawi wspomnienie u tych, którzy go widzieli w tak uroczystej chwili.

PRZYJAZD PREZYDENTA.

Prezydent Taft przybył nieco po 1-ej godzinie w specjalnym wagonie, przyczepionym do pociągu kolei Erie. Na dworcu powitał go komitet recpecyjny, wobec tłumu gości, Polaków i Amerykanów, witających dostojnego gościa owacyjnie.

Prezydent otoczony towarzyszami a strzeżony przez władze bezpieczeństwa wsiadł do automobilu, a zaraz za nim ruszył ulicą Venango cały pochód wedle programu.

Licznie i okazale wystąpili obywatele z Cambridge Springs, których było 25 pełnych automobilów. Polacy wystąpili również okazale. Liczba ich imponująca robiła wspaniałe wrażenie.

Szeregi automobilów wiozących prezydenta, jego świtę, Komitet Z. N. P. i gości, zatrzymał się przed Kolegium o godzinie 2:30 po południu. Przed gmachem ustawili się Sokoli umundurowani, którzy stanowili przednią straż. Dowodził nimi druh Wojciech Rajski.

Za Sokołami ustawiła się dziatwa z miejscowych szkół publicznych w liczbie 400; za nią ustawili się studenci z Kolegium Związkowego. Prezydent w otoczeniu swojej świty i Komitetu Przyjęć, kłaniając się licznie zebranym tłumom Polaków i Amerykanów, wszedł do Kolegium, gdzie Cenzor Schreiber przedstawił mu Rektora Kolegium R. Piątkowskiego, a ten przedstawił grono profesorów.

Poczem na werandzie gmachu kolegialnego zasiadł prezydent z gronem swoich adjutantów i komitetu przyjęć.

PROGRAM UROCZYSTOŚCI.

Uroczystość otwarcia Kolegium rozpoczął śpiew studentów z Kolegium, "Star Spangled Banner", wykonany bez zarzutu, poczem modlitwę odmówił ksiądz rzymsko katolicki dr. J. M. Cannon, proboszcz miejscowej parafii św. Antoniego.

Po modlitwie wystąpił z mową pomitalną mayor miasta Cambridge Springs, John C. Rider, który wyraził zadowolenie z przybycia głowy Państwa w to zaciszne ustronie, i za to złożył swoje uznanie Polakom, że ufundowaniem Kolegium podnieśli sławę powiatu Crawford i przyczyniają się do rozwoju m. Cambridge Springs.

Po mowie mayora wystąpił Cenzor Z. N. P. Antoni Schreiber, który w doskonale opracowanej mowie powitał prezydenta, złożył mu podziękowanie za przybycie na tak rzadką a wielką uroczystość polską, oraz w dobitnych słowach wyjaśnił, czem jest Związek Narodowy Polski, do czego dąży i wykonuje rzeczy wielkie, bo funduje instytucje naukową, aby kształcić młodzież i wyrabiać ją na dobrych Polaków a zarazem na dobrych obywateli tego kraju.

W toku mowy Szan. Cenzor wręczył prezydentowi klucze od Kolegium złożone na poduszce atłasowej, na której były artystycznie wyszyte herby polskie i Stanów Zjednoczonych.

Następnym punktem była mowa prezydenta trwająca przeszło trzy kwadranse czasu. Tekst całej mowy podany jest na innem miejscu.

Dodać trzeba, że prezydent zrobił wyjątek, gdy poza programową mową dodatkowo przemówił do studentów Kolegium, którym po ojcowsku radził, aby kochali naród z którego wyszli, aby kształcili się w języku ojczystym i przechowywali tradycje ojców swoich, a przytem niech uczciwie pracują dla tego kraju, a wtedy wartość ich będzie podwójna.

Znamienne były słowa prezydenta, gdy rzekł do studentów:

"Gdy nie będziecie dobrymi członkami swojego wielkiego narodu, który wydał Kazimierzów Wielkich, Sobieskich, Kościuszków, Pułaskich i setki innych wielkich mężów, to nie będziecie również dobrymi obywatelami tego kraju, bo kto zdradza własny naród, ten zdradzić może każdego".

Każdy zwrot z życzliwej mowy prezydenta tłum zebranych przyjmował rzęsistemi oklaskami. I nietylko Polacy unosili się nad Jego słowami, ale i Amerykanie, obecni w liczbie trzech tysięcy, klaskali i wznosili okrzyki na cześć Polski, Związku, Kolegium jego i Prezydenta.

Chwila to była wspaniała, uroczysta, która na całe życie będzie pamiętna uczestnikom.

Po mowie prezydenta, studenci z Kolegium Związkowego odśpiewali pieśń "America", poczem krótko, lecz znakomicie przemówił obywatel Juliusz Śmietanka, rzecznik Z. N. P., który zaznaczył, że jest synem wychodźcy i rzemieślnika ciężko pracującego na chleb, a który jednak dbał o jego wykształcenie, jak dbają tysiące ciężko pracujących Polaków, którzy synów swoich oddali do Kolegium przez siebie ufundowanego, aby stanęli wyżej w społeczeństwie amerykańskim.

Mowa ta wywarła potężne wrażenie i była serdecznie oklaskiwana.

Po mowie tej ze śpiewem wystąpili studenci z Kolegium i doskonale odśpiewali po polsku marsz Związku Narodowego Polskiego (kompozycji Konstkiego), opracowany na chóry i orkiestrę przez Antoniego Małłka. Śpiew ten ogólnie podobał się zebranym, choć obcy nie rozumieli słów.

MOWA PREZESA Z. N. P.

Następnie przedstawiony przez Cenzora z mową polską wystąpił prezes Z. N. P., Kazimierz Żychliński, który aczkolwiek mówcą jest znakomitym w każdym wypadku, jednakże w tej tak ważnej i uroczystej chwili przeszedł nawet samego siebie. Mówił z przejęciem, uczuciem wielkim, a słowa jego brzmiące jak głos dzwonu, płynęły do serc słuchaczów; i ci, co zrozumieli polską mowę, wstrzymać się nie mogli od wzruszenia. Widzieliśmy naszych rodaków tam zebranych, którym łzy — łzy radości i rozrzewnienia płynęły z oczu, gdy słuchali słów serdecznych swojego wodza.

Po mowie prezesa przemówił serdecznie i ze znajomością historii Polski kongresman Bates, którego za życzliwe słowa serdecznie oklaskiwano.

W tem nadspodziewanie i poza programem wystąpił wicecenzor Z. N. P., Henryk Niedźwiedzki z Cleveland, O. i przemówiwszy kilka słów do prezydenta, w imieniu organizacji naszej, przypiął prezydentowi odznak złoty związkowy, mianując go tem samem członkiem honorowym Związku.

Prezydenta snać to zadowolniła, gdyż serdecznie podziękował za zaszczyt.

Śpiewem "Boże coś Polskę" wykonanym znakomicie przez studentów z Kolegium Związkowego zakończono tę tak podniosłą uroczystość, która głęboko wryła się w serca i umysły obecnych tamże.

Prezydent, żegnany okrzykami zebranego tłumu, udał się do automobilu i odjechał do blisko położonego hotelu Bartlett, gdzie wieczorem urządzono dla niego wspaniały bankiet.

"Dziennik Związkowy".



Historyczne zdjęcie fotograficzne z otwarcia Szkoły Związkowej w dniu 26-go września 1912 roku. Na fotografii widzimy Prezydenta Stanów Zjednoczonych William Howard Taft (w cylindrze), obok stoi Cenzor ZNP Antoni Schreiber (trzymając kapelusz w ręku), przed hotelem Bartlet w śródmieściu Cambridge Springs, Pa.

Mowa Prezydenta Tafta

Wygłoszona Przy Uroczystem Otwarciu Kolegium Z. N. P.
Dnia 26-go Października, 1912 Roku

PANIE PRZEWODNICZĄCY, Członkowie Z. N. P. w Ameryce Północnej, Panie i Panowie!

Zeszliśmy się tutaj dzisiaj, aby otworzyć Kolegium założone przez Związek Narodowy Polski i mające pozostawać pod jego kierunkiem.

Ten wyraz ze strony Polaków osiadłych w Stanach Zjednoczonych chęci utrzymania na zawsze w tym przybranym dla nich kraju, najwyższej instytucji naukowej w celu dostarczania swej wykształconej młodzieży sposobności uczenia się języka, literatury i historii polskiej, przedstawia zajmującą fazę zaludnienia tutejszego kraju przez emigrantów z krajów enropejskich.

Gdyby instytucja tego rodzaju, jak ta, której ukazanie się witamy w tej chwili, miała na celu wywołać izolowanie się Polaków przybywających do Ameryki w osobne społeczeństwo, lub powstrzymywać ich od uczenia się języka angielskiego, zmniejszać ich interesowanie się życiem politycznem Stanów Zjednoczonych i osłabiać ich uczucie względem przybranego kraju i jego rządu, w takim razie możnaby było kwestjonować, czy ci z nas, którzy nie są Polakami i których pierwszym interesem jest interes kraju, mieliby rację pochwalać takie przedsięwzięcie. Lecz na szczęście żaden z tych ciasnych motywów nie leży w podstawie ruchu, którego rezultat dziś obchodzimy.

Doświadczenie dowiodło, że wolne powietrze Ameryki wytwarza u tych, którzy tu przychodzą, aby żyć z nami i korzystać z naszych instytucji, naturalną dążność do uczenia się miejscowego języka, do zlewania się z innymi narodowościami i do czynnego interesowania się polityką tego kraju; ta dążność jest tak silna, że niema żadnej obawy, aby ostatecznie nie stała się ona naturalnym i przeważającym czynnikiem w życiu całej naszej ludności obcego pochodzenia. Gdy przybywa do nas rodzina z obcego kraju, przekonuje się ona, że jej dzieci rychło uczą się języka angielskiego i jeżeli rodzina chce utrzymać swój własny język, to musi czynić na to nacisk w swem życiu domowem. Innemi słowy, długie nasze doświadczenie potwierdza, że niema żadnej niekonsekwencji w tem, że przybywający do nas z innych krajów szanują i uczą szanować swe tradycje narodowe, swój język ojczysty, swoją literaturę i przystosowywać swoje dążności polityczne, społeczne i ekonomiczne do dążności ludów swej przybranej ojczyzny.

W rzeczy samej zapał, z jakim oni obchodzą swe pamiątki narodowe, entuzjazm, z jakim śpiewają swe narodowe pieśni i przypominają wielkie czyny swych narodowych bohaterów, nie tylko nie osłabia ich lojalności względem ich nowej Ojczyzny i jej rządu, lecz z biegiem lat wzmacnia tę lojalność, robi z nich lepszych Amerykanów, dzięki temu, że jak to się dzieje w tej chwili robi z nich lepszych Polaków. Wobec tego nie zawahałem się przybyć na łaskawe zaproszenie Z. N. P. w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej, aby wziąć z Wami udział w uroczystości założenia tego polskiego uniwersytetu, w którym szczęśliwsi z pomiędzy polskiej młodzieży, życzący udoskonalić się w polskim języku i literaturze, a jednocześnie otrzymać wysokie wykształcenie, będą mogli spędzić kilka lat wrażliwego wieku swojego życia nabywając wiedzy, która przyczyni się do ich szczęścia przez całe ich życie i da im możność korzystania z literatury, historii i ducha dwóch języków i dwóch krajów zamiast jednego.

Historia Polski opisuje dzieje zasługującego na podziw narodu, którego osobliwa forma rządu i położenie geograficzne w Europie dały mu od początku wielki wpływ i wielką moc na dobre w obronie zachodniej cywilizacji europejskiej przeciw najazdom Tatarów i pogańskich ludów ze wschodu, a potem sprowadziły bezrząd i wystawiły jego terytorjum, nieobronione przez naturalne granice w środku Europy na podział pomiędzy trzy państwa, posiadające bardziej trwałe rządy, lecz całkowicie zapominające wdzięczności należnej Polsce za to, co uczyniła ratując Europę.

Czas pozwala nam tylko na krótkie wspomnienie szlachetnego rekordu, który naród polski zrobił w okresie swojej niepodległości. Terytorjum Polski w najdłuższej linji miało przeszło 700 mil długości i nie mniej szerokości w najszerszem swym miejscu. Obejmowało ono przestrzeń 282,000 mil kwadratowych, kraj, którego ludność dziś wynosi 40,000,000. Sięgało ono od Bałtyku w jednym roku od morza Czarnego w drugim, góry Karpackie oddzielały Polskę od Austrii i księstw naddunajskich, leżała ona w środku Europy, bogaty kraj rolniczy, bez żadnej naturalnej ochrony, którąby ją dostatecznie osłaniała. Posiadała ona szlachtę, władającą ziemią i stan włościański, a jak się zdaje nie było mieszczaństwa, czyli klasy średniej, zajmującej się handlem i przemysłem. Ta funkcja była pełniona przez Niemców i innych obcokrajowców, zamieszkałych w miastach. Naród polski od wczesnych swych dni był uzdolniony do rolnictwa i do wojny. Władza rządowa spoczywała w ręku sejmów z łona arystokracji. Rządziła się ona konstytucją, która zawierała w sobie ziarna przyszłej zguby, albowiem w sejmie każdy szlachcic posiadał tak zwane "liberum veto", czyli prawo zatamowania obrad, a ta przesada władzy jednostki jako członka sejmu sprzyjała rozwojowi partyjności, co potężnie osłabiało siłę jedności, składników rządu. Stosownie do idei równości władzy pomiędzy szlachtą, wybór króla odbywał się przez sejm. Niezgoda i zawiść pomiędzy szlachtą dawała pokusę innym państwom wysuwać swoich kandydatów na

królów polskich i niemało takich kandydatów dostąpiło wyboru. W czasach wcześniejszych bywali silni ludzie obierani z polskich rodów i ci podtrzymywali potęgę państwa i wywierali wpływ obszerny; od czasu do czasu i później obierano Polaka w miejsce cudzoziemca. Rywalizacja powstająca podczas elecji i obecność znacznych sił zbrojnych przy każdym kandydacie przyczyniały się do rozruchów niemal przy każdej elekcji. Te nieszczęśliwe właściwości w połączeniu ze wspomnianem wyżej położeniem geograficznem umożliwiły podział dawnego Królestwa Polskiego; potężnego wpływu tych przyczyn na nieszczęścia Polski lekceważyć nie można. Nie można zaprzeczać, przeciwnie widać to ze wszystkiego, że żaden naród w Europie nie miał w swem sercu bardziej mocnego poczucia swej narodowości jak Polacy. W pierwszej linii skutkiem swego położenia geograficznego byli oni stróżami naturalnymi cywilizacji chrześcijańskiej w zachodniej Europie, a ta cywilizacja przez znaczny okres czasu była wcielona i reprezentowana przez Kościół Rzymsko-Katolicki. Polacy mieszkali na rubieży, gdzie się objawiała rywalizacja greckiego i bizantyjskiego katolicyzmu z religią Rzymu i nigdy ani na chwilę nieustąpili. Rezultat był ten, że u nich połączyła się religia z narodowością całkowicie, i nawet w dniach Lutra i następnie w okresie wojny 30-letniej liczba Polaków, którzy się oderwali od Kościoła lub go opuścili, aby wziąć udział w nowym ruchu religijnym była nieznaczna.

Gdy więc spojrzymy na dzieje Polski i widzimy, że pomimo tak silnego z duchem religii nastąpiły kilkakrotne podziały Polski, musimy uznać potężny wpływ, jaki miały formy rządu, ustrój polityczny i położenie geograficzne Polski na smutny jej los jako państwa. Przyjmując taki naród do naszego obywatelstwa, jako jeden ze składników naszego ustroju politycznego, i jako zlewający się ze wszystkimi tutaj innymi narodami, musimy uznać i cieszyć się ze znaczenia i wartości tego ducha narodowego i tej nieśmiertelnej lojalności względem idei, albowiem te właściwości napewno uczynią z Polaków silną podporę niepodległości amerykańskiej; są oni lojalni do głębi serca, mieszkając w kraju wolnym, w którym mogą rozwijać wszystkie swe najlepsze cechy charakteru i korzystać z politycznej, społecznej i religijnej wolności, którą tak wysoko cenią.

Smutny to zaprawdę przykład wdzięczności narodów, i państw, gdy się czyta historię Jana Sobieskiego, największego z królów polskiej krwi i polskiego rodu i gdy się widzi, jak los całej Europy zależał od walki, którą on sam ze swojem względnie małem wojskiem prowadził i szczęśliwie przeprowadził — walki przeciw hordzie wojowników rzuconych przez wielkiego mocarza Turcji nad granicę Austrji i Polski na zdobycie Wiednia i innych miast Europy. Ta cudowna jazda, którą Sobieski zebrał w Polsce, prowadzona przez polskich rycerzy i to męstwo polskiego włościanina utworzyły armię, której starczyło na danie oporu dziesiękroć do dwadzieściakroć liczniejszemu wrogowi i do rozbicia go przez swą rzutność i solidarność z jednej strony a dzięki geniuszowi strategicznemu swego wielkiego wodza z drugiej. Czuły list, jaki Sobieski napisał do swej żony, opisując zwycięstwo pod Wiedniem, jaśnieje jak promień słońca w dziejach Europy. Listy te dają z jednej strony cenne szczegóły przez naocznego świadka, z drugiej upiększają opowiadanie barwami rycerskiej i szlachetnej miłości, którą tak miło widzieć u człowieka zajętego tak bohaterską służbą dla dobra ludzkości, jak służba Sobieskiego. A gdy o wiele lat później usiłując ratować swoją Ojczyznę i przywrócić do całości jej rozdarte części, Tadeusz Kościuszko odniósł drugie zwycięstwo, jakkolwiek bezpłodne w skutkach, radujemy się jego bohaterstwu, że znajdujemy w nim tę samą szlachetną rycerskość, ten sam geniusz wojenny i tę samą wysokość dążeń społecznych, jakieśmy uznali cokolwiek wcześniej w Sobieskim. Dla Amerykanina jest to niezwykłą przyjemnością dowiedzieć się, że ten Kościuszko i drugi waleczny Polak Pułaski, uczuli się pociągniętymi przez naszą Ojczyznę i stawili się, aby jej dopomódz w jej walce o wolność i niepodległość w wojnie rewolucyjnej; że Pułaski po tylu walecznych czynach złożył swe życie za swój kraj przybrany i że jego popioły dziś spoczywają w ziemi narodu, któremu dopomógł do samodzielnego bytu i dla którego dobra całego siebie poświęcił.

Nie było sądzone Kościuszce położyć swe życie w naszej rewolucji, lub pozostać z nami po jej szczęśliwem zakończeniu. Wrócił on do swej ukochanej Polski. My z radością uznajemy dług nasz względem tych dwóch bohaterów i posągi spiżowe na cześć ich ozdabiające obecnie piękne place w Washingtonie są wiernym wyrazem wdzięczności narodu za ich tak bardzo cenne usługi w chwili potrzeby.

Polacy są narodem posiadającym zalety, które my bardzo chętnie możemy wcielić w zbiorowego obywatela amerykańskiego, jakiego wytwarza nasza polityka gościnności narodowej.

Jako naród szlachetny, praktykujący gościnność u siebie w domu, Polacy umieją oceniać gościnność i czuć za nią wdzięczność, gdy sami są jej przedmiotem. Waleczni i wspaniałomyślni aż do przesady, ze sercem gorącem, posiadają oni sympatyczne zalety charakteru irlandzkiego i wesołość i miłe obejście Francuzów.

Zamiłowani z natury we wszystko co jest malownicze i poetyczne, kochają oni tradycje, legendy i zwyczaje, które dodają tyle przyjemności ich życiu domowemu. Są oni narodem rolników. Kochają ziemię i umieją się z nią obchodzić. Siła okoliczności zwróciła ich w tym kraju do pracy w przemyśle, w większym może być stopniu, niżby sobie sami tego życzyli i większym stopniu, niż to przypadnie na nich w przyszłości przy dalszym rozwoju naszego kraju. My cierpimy na zagęszczenie ludności robotniczej w wielkich miastach, a na brak rąk roboczych na wsi. My potrzebujemy rolników. My potrzebujemy robotników rolniczych. Wzrost wartości produktów rolnych i lepsze dochody obecnie z rolnictwa napewno pociągną rolników i robotników na rolę, a w tym ruchu niema na świecie narodu bardziej uzdolnionego do powodzenia, jak Polacy. Rolnictwo stało się obecnie naukowem powołaniem.

Problemy, które tu mamy, są problemami starego świata, tylko w stopniu wzmocnionym; my musimy doprowadzić w przyszłości do tego, aby jeden akier rodził tyle, ile dwa akry dziś wydają. W tej walce z naturą, w tem usiłowaniu wydarcia jej sekretu produkcji tak, aby nasza roczna produkcja znacznie wzrosła, można polegać na Po-

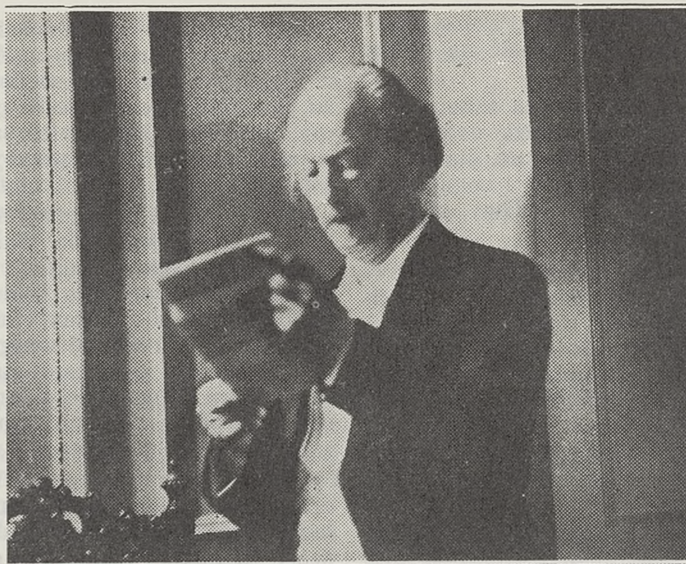
lakach, jako na naszych najlepszych w przyszłości pracownikach.

Znaczna większość naszego narodu jest pochodzenia angielskiego; odziedziczyła ona po swych przodkach skłonność do smutku nawet w zabawie, która tak charakteryzuje Purytanów, a w gruncie rzeczy wszystkich Anglików. Polacy są Słowianami, i jak Celtowie posiadają oni filozofję wyciągania z życia przyjemności, którą Amerykanie pochodzący z Purytanów mogliby z korzyścią dla siebie przyswoić. Polacy są artystami pod każdym względem. Szopen i cały szereg kompozytorów dostarczyli światu dowodów, jak Polak kocha harmonię i lepszych dowodów na to nie potrzeba. Polscy malarze, polscy poeci stwierdzają tę miłość piękna, która prowadzi naród do rozwoju sztuki w jej wszystkich objawach. Dalej Polacy ze wszelką słusznością uważają za członka swego narodu wielkiego myśliciela i astronoma, który skierował myśl naszą na prawdziwy ustrój wszechświata, Kopernika. Poglądy, które on w swoim czasie ogłosił, były tak radykalne, że narazie nie dozwoliły mu zebrać zasłużonej przez niego wdzięczności, lecz dziś stoi on w historii nauk, jak jeden z pionierów na równi z Galieuszem, Newtonem, Kepplerem i Humboldtem. W ostatnich latach jeden z największych powieściopisarzy z nowej epoki, autor malujący historję w swojej powieści jest to Sienkiewicz, który otworzył wobec świata widok na Polskę, taką jaką ona była i na Polaków, jakimi oni byli i są, z taką siłą i żywością opowiadania, że dzieła jego zajęły wieczne miejsce pomiędzy wielkiemi powieściami świata. Posiadając język tak bogaty w poezje, legendy, historię i powieść, nic też dziwnego, że synowie Polski, którzy się zebrali w tym kraju, uczuli potrzebę założenia instytucji naukowej, w którejby ich dzieci mogły w dalszym ciągu napawać się duchem swych przodków i podtrzymywać w sobie miłość do tego, co jest najlepszem i ich dziedzictwie narodowem.

Przeszło pięć wieków temu Kazimierz Wielki, Król Polski, w swej wspaniałej szczodrobliwości założył w Krakowie bibliotekę i nadał czarter uniwersytetowi z trzema wydziałami prawa, filozofii i teologii. Wojny przeszkodziły temu dziełu, aż dopiero król polski Jagiełło w roku 1400 założył uniwersytet krakowski. I oto ta instytucja naukowa kwitnie przez pięć wieków i służy wielkiej liczbie Polaków, jako miejsce dla nabywania wyższego wykształcenia. Uniwersytet ten w połączeniu z drugim uniwersytetem we Lwowie są to dwie uczelnie, które utrzymały najwyższy poziom polskiej kultury.

Rozumiem naturalnie, że ten uniwersytet, który my dziś zakładamy, nie jest pierwszą instytucją naukową, założoną przez Polaków w tutejszym kraju. Jest wiele seminariów, kolegiów i szkół w Stanach Zjednoczonych, które zawdzięczają swój byt Polakom amerykańskim; lecz rozumiem, że w dzisiejszych czasach ten instytut jest najdalej sięgającym z tych przedsięwzięć i najlepiej reprezentuje dążenie Polaków amerykańskich do posiadania wielkiego i bogatego zakładu naukowego dla zachowania artystycznego ducha polskiego, miłości wysokiej literatury i rozwoju wszelkich sztuk i nauk. Oby ta szkoła rosła w znaczenie i w siłę! Oby przechowała ona w Polaku amerykańskim cenne rysy charakteru jego polskich przodków! Oby umożliwiła Polakom amerykańskim wnoszenie w skład zbiorowego Amerykanina tych wysokich rycerskich i artystycznych właściwości wspólnie z duchem nieśmiertelnej lojalności i nacjonalizmu, tak aby Polak tutejszy dopomógł do zaokrąglenia rasy amerykańskiej, aby była ona zawsze godną wielkiego dziedzictwa, którym Bóg raczył ją obdarżyć.

Nie mógłbym zakończyć bez wzmianki o kwestii emigracyjnej i o stosunku, jaki względem tej kwestii powinni zachowywać wszyscy, co kochają nasz kraj. Jestem jednym z tych, którzy wierzą, że Ameryka jest o wiele lepszą w swym stanie obecnym i będzie ciągle zyskiwać w przyszłości, dzięki przypływowi dzielnego włościaństwa i lepiej wykształconych sfer przybywających do nas z różnych krajów Europy i wcielających się w nasz ustrój polityczny i społeczny. Byłoby niepodobieństwem dla nas spełnić to wszystko, cośmy spełnili dla rozwoju kraju, a więc: zbudować koleje żelazne, rozwinąć rolnictwo, stworzyć nasz przemysł, gdybyśmy nie posiadali tu silnych rąk i zdrowych rozumów tych ludzi, którzy przybyli do nas z Europy kontynentalnej. Przyjmując ten fakt, że fundament naszego kraju pochodzi z Anglji i Irlandji i uważając kwestję emigracyjną, jako kwestję napływu z Europy kontynentalnej, powtarzam, że nie podzielam obaw, aby nasze obywatelstwo ostatecznie miało ucierpieć przez napływanie z krajów kontynentalnych, któregokolwiekbądź z narodów, które przybywają tu obecnie w celu stałego osiedlenia. Mamy prawo posiadania i powinniśmy posiadać prawa emigracyjne, któreby chroniły nas przed narzucaniem nam niepożądanych członków innych narodowości, jak naprzykład kryminalistów, umysłowo niedołężnych, warjatów i ludzi stale niezdolnych do pracy; lecz posiadamy obszerne jeszcze, niezaludnione terytorjum, które dla swego rozwoju potrzebuje pracy ręcznej, stałej i uporczywej i sądzę, żeśmy już wykazali w przeszłości i wykażemy na przyszłość, że nasz system wychowawczy jest całkowicie wystarczającym i dostatecznie pociągającym dla tych, którzy tu przybywają i że korzystają oni z niego chętnie i z powodzeniem. Mam głęboką wiarę we wpływy naszych instytucji na każdego, kto tu przybywa, jakkolwiekby był mało wykształcony. Jeżeli ludzie posiadają dość odwagi i przedsiębiorczości, aby opuścić dom swój i przybyć do Nowego Kraju szukać nowego szczęścia, to są warci przyjęcia. Odwracają się od wykształcenia nie ci ludzie, którzy go nie posiadają, przeciwnie oni oceniają jego wartość i poświęcają oni wszystko, aby dostarczyć swym dzieciom, czego sami nie otrzymali. Drugie pokolenie pracowitego, chociaż niewykształconego włościaństwa, zaprawione w tym kraju do ciężkiej pracy i oszczędności i posyłane przez swych rodziców do szkoły okazywało się zawsze czynnikiem siły dla naszego narodu i nadal się będzie takim okazywać. Nieznajomość języka opóźnia, być może, proces amalgamacji, lecz go nie powstrzymuje. Dumny jestem ze swojej Ojczyzny, że tak chętnie otwierała ona zawsze swe podwoje dla pracowitych ludzi z innych krajów, którzy szukali u nasz lepszego szczęścia i rozwoju, i ślepym byłby ten, którby zaprzeczał, że pokaźna część naszego postępu jest następstwem tej wspaniałomyślnej polityki względem wszystkich poszukujących tu wolności i lepszej sposobności do pracy.



Mowa Mistrza Paderewskiego w Kolegium Z. N. P.

(Wygłoszona w czerwcu, 1916 roku, na uroczystości zakończenia roku szkolnego).

Prześwietna Rado Szkolna, Dostojni Goście,
Czcigodni Profesorowie i Ty Polska Młodzieży!

DOZNAJĘ tu dziwnie miłego wrażenia. Tysiące mil dzielą mnie od Ojczyzny, a widzę tu tyle polskich twarzy. Polska mowa rozbrzmiewa dookoła, zewsząd wieje polskości tchnienie, tak, że zdaje mi się, iż wśród Polaków jestem i w Polsce jestem, w Polsce Wolnej i napozór szczęśliwej. Znikają dawne udręki i cierpienia, a z ramion mych spada ciężar przejść tylu i wołać mi każe każda myśl: Polsko, Ojczyzno Ty Moja, bądź pozdrowioną i błogosławioną tu i tam daleko, na każdym kroku i w każdej życia godzinie.

Jestem tu pod gościnnym dachem największej świeckiej polskiej uczelni w Stanach Zjednoczonych. Znalazłem się tutaj w wesołej godzinie, bo ten akt uroczysty zakończenia roku szkolnego jest dniem nadziei wszystkich. Dla profesorów zapowiedź do zasłużonego wypoczynku, dla młodzieży rwącej się do igraszek i swobody jest dniem uciechy i skończenia trosk szkolnych, a uciechy wspomnieniem dla tych, którzy te mury dziś opuszczą. Za szczególny zaszczyt poczytuję sobie, że odezwać się mogą w chwili tej do tych, za którymi dziś zamkną się bramy, którzy dziś ruszą w świat szeroki.

Młodzi przyjaciele! Urodziliście się w tej wolnej, bogatej, potężnej krainie z rodziców polskich, których tu przywiodło ubóstwo, długa praojców niedola i niewola. Przybyli tu po wolność, szczęście i prawo do swobodnego bytu — słowem poto wszystko, czego im Polska, Ojczyzna nasza na trzy rozdarta części, nie była dać w stanie; przybyli tu dobrowolnie, jak wygnańcy, jak tułacze, bo każdy — dopóki Polska nie będzie wolną, każdy z jej synów za tułacza i wygnańca uważać się ma.

Ale rodzonej matki nie wyrzekli się nigdy i zawsze byli czuli na jej cierpienia. Niegodnym byłby, ktoby im z tego zarzut śmiał uczynić.

Za to, co tu dostali, płacą sowicie, bo podejmują się najcięższych prac, bo padają najliczniej na posterunku, jak żołnierze. Dzięki ich pracy spotężniało bogactwo tego kraju, dzięki ich zabiegom przemożnym wzrosło niejedno przedsiębiorstwo. Posłuszni prawom, uczciwi, pracowici, w spełnianiu obywatelskich obowiązków, nie dają się uprzedzić nikomu, jak się nikomu i nigdy nie

dali uprzedzić Polacy. Lecz oni przybysze. Czasem tylko ktoś stara się ich nawrócić na swoją wiarę. . . .

Z Wami będzie inaczej. Za bramą szkoły czekają już na Was dwa rodzaje ludzi, dwie siły, które się Was będą starały pozyskać dla siebie i przyciągnąć. Jedni tutejsi — możni i bogaci, ale duchem Wam obcy; drudzy krwią bliscy, ale duchem Wam dalecy.

Na Waszą krew gorącą, na dusze czyste czychają oni. Chcąc Was przyciągnąć na swoją stronę, będą Wam źle mówić o Polsce. Pierwsi powiedzą Wam, że Wy Amerykanie, że Wy tu urodzeni, że Polska Was nic obchodzić nie winna. Powiedzą Wam, że Polska to chimera, że naród Polski jest słabym, że wydał wprawdzie Kościuszkę i Pułaskiego na obronę Ameryki, że wydał Sobieskiego na obronę Austrji, ale to naród mały, który upaść musiał.

Czy Polska jest chimerą—niech odpowie Wam język ojców Waszych, którym dziś włada 35 milionów, ten język, który przetrwał tyle prześladowań i da Bóg wszystkich wrogów przeżyje.

Że Polska nie jest kraikiem małym, o tem wszyscy wiecie. W r. 1772, w czasie pierwszych rozbiorów, Polska liczyła 100 tysięcy mil kwadratowych więcej — niż całe współczesne cesarstwo niemieckie. A dziś, gdy ta ogromna, na nieszczęście bratobójcza wojna rozszalała się na ziemiach polskich przeważnie, to jako wymowny znak siły polskiej stanęło w armiach najeźdźców dwa i pół miliona Polaków do bratobójczej walki, czyli 32 razy tyle, ile wynosi cała armja Stanów Zjednoczonych.

Co wycierpiał naród polski, nie da się w krótkich słowach powiedzieć. Czego dokonał w czasie swego niezależnego bytu, to trudno określić. — Zmuszany do ciągłych wojen z chciwymi wrogami — musiał wydawać wodzów. Wodzowie polscy odznaczali się nie tylko męstwem i bohaterstwem przeogromnem, nie tylko odwagą —ale i cnotą, charakterem i duchem poświęcenia się. Obok świetlanej postaci Kościuszki ileż tych charakterów! Ażali jest w dziejach innego narodu czystszy charakter nad Stefana Czarneckiego? Czy jest czystsza, piękniejsza, szlachetniejsza postać nad Stanisława Żółkiewskiego, tego hetmana sławnego męża stanu, który w 74 roku przywdział na się zbroję i jako prosty żołnierz, padł w bitwie pod Cecorą. Ale poza wodzami, mężami stanu i politykami wydał nasz naród ludzi zasłużonych, wielkich, poczet wspaniałych.

W duchowym ludzkości dorobku nie było dziedziny, na którejby Polak nie wycisnął swego piętna, jakto wspaniale określił Sienkiewicz, mówiąc, że "w wielkim ludzkości chórze nigdy polskiego nie zabrakło głosu." Prawodawstwo, nauka, umiejętności ścisłe, poezja, muzyka, sztuka, a nawet żegluga — wszystko to stało otworem dla polskiego ducha. Niejeden naród czerpał ze źródeł naszej twórczości, niejeden zapożyczył się u naszej narodowej myśli.

Jeśli Amerykanom za dobro dziś poczytujemy, że przyjmują gościnnie obcych, to niezapominajmy, że Polska czyniła to samo już w XI wieku, zapewniając każdemu przybyszowi opiekę prawną, swobodę wiary, praw i obyczajów.

Były w Polsce nadużycia, ale gdzież ich nie było?! Zapytujemy się Was tu urodzonych, czy tu się ludzie nie kłócą, nie swarzą, czy tu w polityce nie popełniają się nadużycia? Wszak co cztery lata podczas elekcji tworzą się dwie, trzy, czasami i więcej wrogich partji, które również wszelkimi sposobami starają się dojść do władzy i steru. Pomyślcie o tem i porównajcie to ze sprawami Polski dawnej, a nie pójdziesz Młodzieży za tymi, co ci o Polsce źle mówić będą.

Drugi zastęp — co na Was czychać będzie, co chciałby objąć nad Wami panowanie, to Polacy. Znajdują się tam ludzie nauki, ale większość to nieuki. Jednymi i drugimi rządzi pycha, zarozumiałość, jedni i drudzy niezgodni, jedni i drudzy chcą błyszczeć jako światło, a niechcą widzieć na niebie tych gwiazd, które Bóg pozapalał. Lekceważą oni wszystko, urągają wszystkiemu, plwają bezwstydnie w zakrwawioną twarz Ojczyzny. Oni Wam powiedzą, że wiara to przesąd, oni Wam powiedzą, że Polska upadła, bo ludzie źli nią rządzili, księża i szlachta.

Nie moją rzeczą mówić tu o znaczeniu wiary. Niech to zrobią inni, ale Was tu zapewniam uroczyście, że niema narodu, któryby miał takie jak Polska duchowieństwo. Ono niosło przez szereg lat oświatę, ono zapoczątkowało reformę szkolnictwa w Polsce, ono podniosło ekonomicznie lud polski, ono na wychodźtwie pozakładało szkoły parafialne. Oni dziś na gruzach Polski zniszczonej, na ruinach zburzonych kościołów i spalonych domów pozostali wiernie na posterunku, broniąc wdów i sierot, a jeśli uchodzą, to tylko gnani przemocą w głąb Rosji, przez niezmiennego wroga.

A tu kto najwięcej pracuje nad ratunkiem Polski? Ja wiem, że księża, kto daje najwięcej — księża. Szczęśliwym się czuję, że mogę tu hołd głęboki złożyć niespożytej zasłudze polskiego duchowieństwa, bezwzględu na to czy tu są księża, czy ich niema.

Daleką jest mi myśl obrony ustroju dawnego społecznego w Polsce. Wszystko na świecie się przeżywa, chyli do upadku. Nasz ustrój się także przeżył. Konstytucja 3go maja zadała mu cios na pozór łagodny, lecz stanowczy. O wiele dalsza mi jest myśl oczyszczania plam arystokracji polskiej. Była ona złą, ale była lepszą niż gdzieindziej — mimo to ochydnych plam nikt i nic zmyć z jej sumienia nie zdoła. Możnowładztwo siało w Polsce niesnaki, podkopywało znaczenie rządu i zdradzało. Było w Polsce wiele potężnych rodów nieskalanych, ale było trochę i tych, o któ-

rych bez zgrozy mówić nie można. Przypisywać wszystko złe szlachcie polskiej byłoby błędem. Szlachta polska arystokracją nigdy nie była. Była ona uprzywilejowaną demokracją, tłum ludzi, który za męstwo, za waleczność dostawał szlachectwo, a każdemu szlachcicowi przysługiwało prawo wyborcze. Chlubiła się szlachta polska, że "szlachcic na zagrodzie — równy wojewodzie." Ale szlachcic szlachcicem był i basta.

W r. 1848 za panowania Ludwika Filipa było w konstytucyjnej Francji na 35 milionów ludności 150 tysięcy wyborców. W 200 lat przedtem w Polsce było tych wyborców 300 tysięcy.

Szlachta polska na długo przed rozbiorami zaczyna uwłaszczać stan włościański. — Wy tu urodzeni powinniście wiedzieć o tem, że podczas walki o niepodległość stanu był tylko tutaj jeden taki generał, który nie miał niewolników, a tym był szlachcic polski Tadeusz Kościuszko, który przed wyjazdem do Ameryki obdarował swoich włościan ziemią i wolnością.

To też, gdy Wam mówić będą, że szlachta polska była ludów ciemiężcą — odpowiedzcie im, jak ja Wam tu mówiłem.

Dzieje porozbiorowe, sto lat ostatnich naszej historji — to olbrzymi łez i krwi szlacheckiej potok, ale nie tylko krwią pisane dzieje nasze sławne. Z niej się wiodą najwięksi polscy pisarze, najwięksi poeci nasi. Wydała ona przecież narodu sławę najszczytniejszą — czy to rycerzy w stal okłutych czy to w kontusz strojnych, czy powstańczą czamarą lub sutanną okrytych.

Dziś rola szlachty, jako uprzywilejowanego stanu jest skończona. W nowej odrodzonej i — da Bóg — niepodległej Polsce powołane zostaną do pracy siły świeże jeszcze nie napoczęte . . . wejdzie Lud polski — ten dobry, uczciwy i sprawiedliwy lud polski. Potępi on występki różnych, a wdzięcznem wspomnieniem uczciwych, co dziejowe spełnili posłannictwo.

Młodzieży Polska! Ty nie pójdziesz za głosem tych, co Polsce urągają, co o Polsce źle mówią.

Za czyim-że tedy głosem póść mamy — zapytasz kochana Młodzieży.

Odpowiedź gotowa: Za głosem Ojców Waszych.

Ależ my z ojcami rzadko mówić możemy?! W ciężkim trudzie dnia wychodząc z rana i późno do domu wracając, nie mogą często znaleźć chwilki czasu na rozmowy.

Gdybyście jednak do duszy ich zajrzeli, ileż tam nadziei, ile poświęcenia, sił tęsknoty nieprzepartej, zapału i chęci upartych nawet, a wszystko za Nią, wszystko o Niej, wszystko dla Niej, wszystko dla Polski. . . .

Ojcowie Wasi mówić napróżno nie lubią, oni działać wolą i oto Związek Narodowy Polski, ten dostojny Ojców Waszych Związek przemówił nie słowy, ale czynem ofiarnym, wspaniałym, — czynem tym to polska wyższa uczelnia na wychodźtwie.

W tym czynie całe Waszego życia wskazanie, cała Wasza prawda i droga na przyszłość. Ojcowie Wasi pragną w Was widzieć dobrych tego kraju obywateli, ale nie chcą byście o Polsce zapomnieli. Miłujcie ten kraj za swobody, za gościnność, za prawa ludzkie sprawiedliwe i wszystkim opieki użyczające.

Ale kochajcie Polskę, bo niema kraju, któryby był kochania godniejszym.

Czcijcie sztandar gwiaździsty i gdyby zaszła tego potrzeba, stańcie przy nim ochoczo i brońcie go odważnie, dzielnie, do krwi kropli ostatniej, uczciwie i wiernie jak tylko Polak bronić potrafi.

Ale o Białym Orle nie zapominajcie, bo niema Orła, coby był czyściejszym.

Kościuszko i Pułaski, choć się tam rodzili, bohatersko walczyli tutaj za wolność Stanów, a Pułaski oddał za nią życie. To też Wy do takiej walki, do takiej ofiary powinniście być gotowi.

Ale Kościuszko na Narodu przemożne wołanie, który go wezwał na bój przesławny, pośpieszył skwapliwie, by Ojczyźnie z krwi swojej złożyć daninę. Do tego czynu i Wyście zdolnymi być winni, boście polskiego Narodu latoroślą, a niema narodu coby był szlachetniejszym.

Urodziliście się tutaj, lecz Ojcowie Wasi przywieźli tu ze sobą życia Waszego pierwiastki, jak dobre ziarno, przywiezione z Europy, przyniosło w sobie przyszłych żniw zarodki. I jako złote pszenicy ziarna, na bujnych niwach Ameryki posiane, tylko pszeniczne wydają kłosy, tak i krew krwi polskiej, kość polskiej kości samych tylko Polaków wydawać musi.

Młodzieży Polska! Wychodzisz dziś na długi gościniec; idziesz na pracę, na walkę, na trud, na znój, na bój. Idź w Polski imię, idź w Boga imię, a zwyciężysz. Odwieczna ziemia Ojców twych serdecznie Ci błogosławi i niech Ci Bóg szczęci.



Ostatnie Zdjęcie Mistrza Przed Zgonem. Ignacy Paderewski na Pikniku Stowarzyszenia Weteranów Armii Polskiej.

(Piękny ten utwór amerykańskiego poety, A. Bensona, ukazał się w piśmie "The Enterprise-News" w Cambridge Springs, Pa., w roku 1912, z okazji otwarcia Kolegjum Związkowego. Uwaga red.)

Polak

(Przełożył z angielskiego W. J. Fronczak)

Polak,—tak Polak—uczony i dzielny,
Zostawił światu dowód nieśmiertelny,
Że ziemia nie jest płaska i stojąca,
Lecz będąc globem, krąży wokół słońca.

I gdyby nie on, bylibyśmy w błędzie,
Że ziemia stoi, słońce krąży wszędzie
I tak w bezruchu wieki byśmy trwali
I może dotąd prawdy nie poznali.

Wielkie i mężne Kopernika plemię
Wstrzymało słońce, poruszyło ziemię
I umysł ludzki przesłało w przestworze
Gdzie nowe prawdy rozpoznawać może.

Duch Kopernika jest wrogiem ciemności,
A duch Kościuszki—symbolem wolności,
A dzieje świata są jasnym dowodem,
Że ludność polska jest wielkim narodem.

Chociaż im wrogów okrutnych nawała
Gwałtem i zdradą ojczyznę zabrała,
Polacy tutaj, w pocie i mozole,
Śnią o wolności—i kształcą się w szkole.

Szkoła Związkowa, w Cambridge Springs otwarta,
To piękna w dziejach emigracji karta,
To duch potężny, co żyje i działa
Ażeby z grobu Polska zmartwychwstała.

Wśród ciężkich życia trudów i kolei
Szkoła ta dzisiaj jest twierdzą nadziei,
Ostoją wiary dla polskiego ludu,
Że kształcąc młodzież—doczeka się cudu.

. . . .

Boże, daj Polsce wolność, dawną sławę,
Silne granice, utracone role,
Szczerbiec Chrobrego, Cecorską Buławę
I świetny rozwój daj—Związkowej Szkole.

Wspomnienia z Przeszłości



Od pierwszych chwil istnienia tego zakładu było mi danem zacząć pracę nauczycielską. Było to we wrześniu roku 1915-go. Przypominam sobie jeszcze dzisiaj tych 19-tu pierwszych studentów Instytutu. Jeden kurs nauki; dwóch nauczycieli; kilka starych maszyn obrabiarczych; bardzo mało narzędzi—taki to był skromny początek Instytutu. Tu musimy dać szczególne uznanie ś. p. Prof. S. J. Zwierzchowskiemu, Inż. A. Gwiazdowskiemu i ś. p. M. B. Stęczyńskiemu za ich wielkie zasługi położone przy organizowaniu Instytutu.

Pierwszy Dyrektor Instytutu, Prof. J. S. Kozaczka, przez swoją wieloletnią pracę i odpowiedni dobór fakultetu dał tej uczelni mocne podwaliny, zdobył jej prestyż i poważanie, i przez to zapewnił poparcie społeczeństwa. Rezultatem tego było wprowadzenie w życie stałego programu ulepszeń w wyekwipowaniu warsztatów, w metodach nauczania i, co za tem idzie, w doborze materjału studenckiego. W obecnym czasie nasz Instytut Techniczny stoi w rzędzie najprzedniejszych uczelni tego typu. Świadczą o tem ostatnie raporty fachowców, złożone na ręce administracji szkoły.

Nie oznacza to jednak, że nasza Szkoła już osięgła szczyt swego rozwoju. Tego nie można powiedzieć o żadnej instytucji naukowej, gdyż powszechne prawo życia wskazuje, że gdzie kończy się proces rozwoju tam następuje rozkład i chylenie się ku upadkowi. Więc nasz Instytut musi iść z postępem czasu.

Mówiąc o przeszłości mimowolnie zwracamy nasze myśli w przyszłość. Najlepszą gwarancją przyszłości każdej instytucji naukowej jest jej zespół nauczycielski. Że nasz Instytut posiada dziś prestyż i poważanie u instytucyj amerykańskich przemysłowych i naukowych, zawdzięczamy to w dużej mierze Fakultetowi. Nauczyciele Instytutu poświęcili wiele lat pracy lojalnej dla Szkoły, w warunkach nie zawsze sprzyjających, mając na oku tylko dobro i przyszłość młodzieży im powierzonej. Ten duch szczerego zapału dla dobra sprawy jest najpewniejszym zadatkiem na przyszłość.

Szybkie postępy techniki w ostatniem ćwierćwieczu nietylko że dźwignęły przemysł amerykański na wyższy szczebel rozwoju, ale też kompletnie zmieniły metody produkcji. W początkach swej egzystencji działalność Instytutu z natury rzeczy musiała być ograniczoną. Dzisiaj żyjemy w odmiennych warunkach. Maszyna stopniowo zajmuje miejsce rąk ludzkich. Z biegiem czasu zmienia się stale stosunek fachowych pracowników do niefachowych na korzyść tych pierwszych. Szkoła nasza musi więc być źródłem świeżych sił technicznych tak potrzebnych dzisiaj do wypełnienia luk w przemyśle amerykańskim.

Program Instytutu szczególniej odpowiada młodzieży naszej z wyszkoleniem średniem (high school), tym którzy chcą się przygotować do pracy technicznej i zawodowej w różnych gałęziach przemysłu.

Od czasu kiedy dopływ świeżych sił emigracji został wstrzymany, sprawa młodzieży naszej wysunęła się na czoło jako najważniejsze zagadnienie naszego społeczeństwa. Utrzymanie młodego pokolenia w szeregach naszych organizacyj stało się hasłem obecnej chwili. Tu nasza Szkoła Techniczna może odegrać ważną rolę. Chociaż ta młodzież przybywa do Instytutu przedewszystkiem aby zdobyć naukę, Szkoła nasza daje każdemu coś więcej. Tem jest poznanie naszych tradycyj historycznych, przez to wzmacnianie poczucia odrębności narodowej, i duchowe zbliżenie się ku polskości.

Dla tej idei Szkoły Związkowej poświęcono wiele, włożono w nią olbrzymi kapitał energji, pracy i doświadczeń. Jednakże wartość Szkoły nie do się ująć przez cyfry, gdyż Szkoła Związkowa jest symbolem najszczytniejszych wysiłków i aspiracyj Ludu Związkowego.

—E. J. KRUSZKA, Dyr. Inst. Tech.

Krótki Zarys Historji Kolegium Związkowego

Opracował W. J. Fronczak

Ktokolwiek pragnie zapoznać się z genezą i rozwojem Kolegjum Związkowego, powinien wczytać się głęboko w karty historji Związku Narodowego Polskiego, tej największej i najpiękniejszej organizacji naszego Ludu, który po utracie wolności we własnej Ojczyźnie zmuszony był wyemigrować za morze w poszukiwaniu lepszej doli.

Gromada patrjotów, której przewodniczyły takie umysły i duchy jak: Agaton Giller z Rappersvillu, Juljusz Lipiński, Juljusz Andrzejkowicz, Juljusz Szajnert, Wincenty Domański, Jan Białyński, Antoni Wojczyński, Jan Nepomucyn Popieliński, Jan Blachowski, Teofil Kucielski i Piotr Beczkiewicz, założyła w Philadelphi, Pa., dnia 15-go lutego, 1880 roku, Związek Narodowy Polski w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej, w celach: zespolenia Ludu Polskiego na Wychodźtwie, zapewnienia mu należytego rozwoju pod względem moralnym, umysłowym, ekonomicznym i społecznym, i uchronienia kultury i obyczajów polskich od zagłady przed bezwzględnym amerykanizmem.

Jednym z najgłówniejszych motywów założenia Z. N. P., było szerzenie Oświaty jako najskuteczniejszego środka do wzniesienia się na wyższy szczebel dobrobytu. Pierwsi pionierzy Związkowi nie żałowali trudów i poświęceń, aby swe gorące marzenia przekształcić w rzeczywistość.

* * *

I oto w roku 1903, na Sejmie XV-tym ZNP., odbytym w Wilkes Barre, Pa., powołana została do życia **Komisja Szkolnictwa** z siedzibą w Pennsylvanji, której polecono zbieranie funduszu na Wyższą Szkołę Związkową. Dzięki niezmordowanej pracy Komisji, do której weszli: Jan M. Majewski i M. Wężyk i na skutek umiejętnej propagandy ze strony prasy polskiej, rozpoczęło się zbieranie dobrowolnych ofiar na fundusz szkolny.

Idea założenia wyższej szkoły świeckiej spotkała się z poparciem i aprobatą Ludu Związkowego, czego najlepszym dowodem jest fakt, że na Sejmie XVI-tym, odbytym w Buffalo, N. Y., w roku 1905, nałożony został stały podatek szkolny na wszystkich członków Związku, a następne Sejmy (Sejm XVII, odbyty w Baltimore, Md., w roku 1907 i Sejm XVIII, odbyty w Milwaukee, Wis., w roku 1909), podatek ten nietylko zatwierdziły, ale go jeszcze podniosły i przez to samo zachęciły szersze warstwy Ludu do dorzucenia cegiełek ofiarnych na szkołę.

* * *

W roku 1911, gdy Związek liczył 74,123 członków, fundusz szkolny wystarczał już do rozpoczęcia dzieła. W tym roku, w St. Louis, Mo., Sejm XIX Z. N. P., uchwalił na wniosek ówczesnego Cenzora p. Antoniego Schreibera, aby Komisja Szkolnictwa, wspólnie z Radą Nadzorczą i Zarządem Centralnym Z. N. P., przystąpiła do budowy, względnie zakupienia odpowiedniego gmachu na Szkołę Związkową. W wykonaniu tej uchwały Cenzor Schreiber zwołał Zjazd Komisji Szkolnictwa, Rady Nadzorczej, Zarządu Centralnego oraz wybitnych działaczy społecznych i przedstawicieli prasy polskiej na Wydzodźtwie. W Zjeździe, który na sugestję ks. Seweryna Niedbalskiego (Proboszcza Parafji św. Trójcy w Erie, Pa.), odbył się w Cambridge Springs, Pa., dnia 4-go grudnia, 1911 roku, uczestniczyli: Antoni Schreiber, Cenzor Z. N. P.; H. Niedźwiecki, Wicecenzor; M. B. Stęczyński, Prezes Z. N. P.; M. Rzeszotarski, Wiceprezes; Szymon Czechowicz, Sekretarz; Jan M. Majewski, Skarbnik; oraz Dyrektorzy, Komisarze, Urzędnicy i inni, mianowicie: Walerja Lipczyńska, Marja Sakowska, Władysława Chodzińska, Leon Olszewski, ks. S. Niedbalski, Juljusz Śmietanka, Profesor Romuald Piątkowski, Paweł Lipiński, Marceli Burzyński, Leon Małłek, Antoni Głowczewski, Kazimierz Żychliński, Maksymiljan Powicki, obecny Wicecenzor, dr. Rusin, Stanisław Mermel, Adam Mikiewicz, Władysław Urbański, Antoni Karabasz, Józef P. Szymański, Józef Nowicki, Antoni Zwoliński, Juljan Gronkowski, N. Złotnicki i wielu innych. Prasę polską reprezentowali: Profesor T. Siemiradzki, ("Zgoda"); Stanisław Orpiszewski ("Dziennik Związkowy"); Michał Kruszka ("Kurjer Polski", Milwaukee, Wisconsin); Rąpała ("Nowiny", Milwaukee); Jan Szwarce ("Ameryka Echo, Toledo, Ohio); Stanisław Dangiel ("Narodowiec"); Jan Chrzanowski ("Dziennik Narodowy") i inni.

Na zjeździe zapadła jednogłośnie uchwała zakupienia i przerobienia na szkołę wspaniałego gmachu podupadłego hotelu Vanadium (dawniej Hotelu River) w Cambridge Spring, Pa., wzniesionego przed kilku laty kosztem przeszło pół miljona dolarów.

Gmach został zakupiony wraz z innymi budynkami i 160-cio akrowem obszarem ziemi za sumę $175,000.00. Po uskutecznieniu przeróbek otwarto w dniu 7-go września, 1912 roku, podwoje Wyższej Szkoły Związkowej dla 326 młodzieńców, poszukujących wiedzy.

Na pierwszego Rektora powołano Prof. Romualda Piątkowskiego, znakomitego pedagoga, a na zarządcę pana Marjana B. Stęczyńskiego, ówczesnego prezesa Związku Narodowego Polskiego.

Uroczystość otwarcia Kolegjum Związkowego, która się odbyła 28-go listopada, **1912** roku, przy współudziale ówczesnego Prezydenta Stanów Zjednoczonych, ś. p. W. H. Tafta i olbrzymiego napływu wybitnych gości, wywołała olbrzymi zapał wśród Związkowców w Ameryce, a echem dumy i radości odbiła się poza Oceanem — w naszej Ojczyźnie — gdzie szkół polskich zakładać nie było wolno.

Ci, którym uczelnia nasza nie była na rękę, zaczęli natychmiast wygłaszać słowa cierpkiej krytyki, wytykając, że Kolegjum nie ma jeszcze należytego wyposażenia, że nie ma "czarteru" od władz stanowych, i że dyplomy tego zakładu nie zostaną nigdy uznane przez uniwersytety amerykańskie.

Tej i innej krytyce przypisać należy, że w następnym roku szkolnym **(1913)** liczba studentów spadła do 134.

* * *

W roku **1914** (6-go listopada) Kolegjum zostało zainkorporowane w Sądzie Powiatowym w **Crawford,** County, Pa. Liczba studentów pomimo to nie podniosła się jednak znacznie, bo ciągle jeszcze odzywały się ataki krytyków, którzy nie mogli zrozumieć, że Kraków nie od razu został zbudowany.

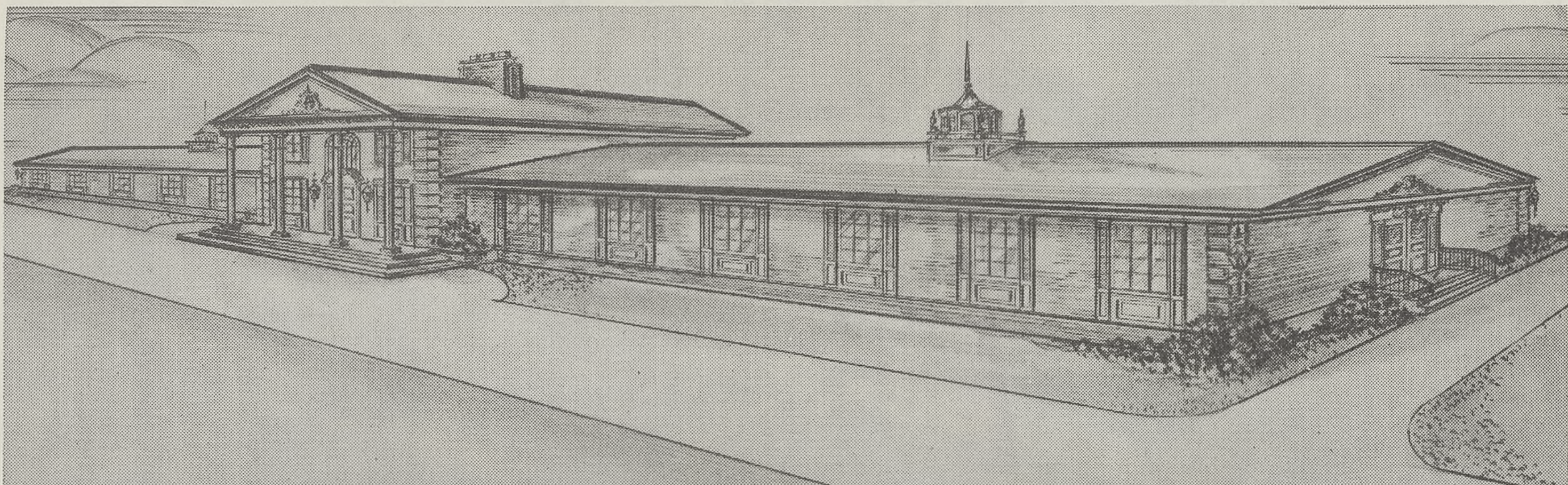
* * *

Nikt nie może zaprzeczyć, wobec niezbitych dowodów, że pomimo wielu ciężkich przejść i obojętności ze strony pesymistycznie nastrojonych mas, Kolegjum Związkowe odegrało niezmiernie ważną rolę w wychowaniu obecnej generacji na pożytecznych obywateli i pracowników społecznych. Stykając się codziennie z żywiołem angielskim, abiturjenci Kolegjum Związkowego zapoznawają go z najlepszymi zdobyczami polskiej kultury, prostują zeszpecone pojęcie o narodzie polskim i zdobywają wśród obcych wyższe stanowiska, poważanie i należny prestyż.



Wykopanie pierwszej łopaty ziemi pod nowy gmach dormitorium dla dziewcząt w Cambridge Springs, w Kolegium Z. N .P., przez prezesa K. Rozmarka.

NOWY GMACH W SZKOLE ZWIĄZKOWEJ W CAMBRIDGE SPRINGS, PA.



Na skutek usilnych starań i zabiegów Cenzora ZNP Ed. Kozmora i dzięki czynnemu poparciu prezesa mec. Karola Rozmarka, który umożliwił sfinansowanie budowy przez udzielenie pożyczki przez ZNP, Rada Szkolna przystąpiła do budowy nowego gmachu na gruntach Szkoły Związkowej w Cambridge Springs, Pa. Jest to nowy budynek mieszczący dormitorium czyli mieszkania dla dziewcząt, uczęszczających do Kolegium ZNP. Jest to najnowszego typu budynek, zaopatrzony we wszystkie najnowsze nowoczesne urządzenia, wygodny, blisko gmachu szkolnego i blisko biblioteki oraz sal jadalnych i sal gimnastycznych.

CO DAJE ZWIĄZEK NARODOWY POLSKI?

Przede wszystkim to wewnętrzne zadowolenie, że przez członkostwo podnosisz moc odporności na wszelkie zakusy wrogów naszych, a przez to pomagasz do osiągnięcia wolności i niepodległości Polsce.

Że podnosisz dobrobyt narodowy i wytwarzasz siłę społeczną na korzyść Wychodztwa polskiego w Ameryce.

Zabezpieczasz byt rodzinie swojej przez ubezpieczenie swego życia na wypadek śmierci.

Ubezpieczyć się możesz na sumę od $100 do $10,000 w jednej z pięciu klas ubezpieczenia.

Związek Narodowy Polski to kooperatywa myśli i czynów i opiekun w nieszczęściu członka.

Podstawowymi zasadami Związku Narodowego Polskiego są: **Równość, Wolność i Braterstwo!**

CZYM JEST ZWIĄZEK NARODOWY POLSKI?

Związek jest organizacją **Społeczną**, obejmującą wszystkie dziedziny życia zbiorowego, dążącą do lepszej przyszłości i dobrobytu swych członków.

Związek jest organizacją **Ludową** dla wszystkich stanów i zawodów, obejmującą całe Wychodztwo, opiekującą się wysiedleńcami, której to opieki wyrazem jest Kongres Polonii Amerykańskiej.

Związek jest organizacją **Narodową**, skupiającą wszystkich godzących się na postulat państwowości polskiej w myśl zasad demokratycznych.

Związek jest organizacją **Oświatową**, dążącą do wytworzenia zastępów inteligencji w zawodach wyzwolonych przez udzielanie stypendiów dla niezamożnej młodzieży polskiej! Związek posiada własną szkołę wyższą (Kolegium) w Cambridge Springs, Pa.; Instytut Techniczny w tymże mieście; wydaje pisma najlepsze i stara się o rozwój szkolnictwa.

Związek jest organizacją **Kulturalną**, szerzącą wśród Wychodztwa zamiłowanie do wszystkiego co piękne i szlachetne; do podniesienia intelektualnego szerokich mas ludowych.

Związek jest organizacją **Humanitarną**, śpieszącą z pomocą najbardziej potrzebującym rodakom, czy to w Ameryce czy w Europie.

Przez cały czas swej egzystencji budził życie społeczne i kulturalne, tworzył placówki oświatowe, wpajał wiarę w przyszłość narodu, wcielał w czyn hasła wolnościowe i hojną dłonią rozdzielał pomoc finansową.

CI, KTÓRZY POWINNI SIĘ ZAPISAĆ DO Z. N. P.

Rodzice młodych dzieci.

Rodzice, które noszą się z zamiarem dania dzieciom swym wykształcenie.

Głowy rodzin, których dochód zależny jest od stałej pracy.

Kobiety i mężczyźni nie posiadający rodzin, którzy pragnęliby mieć jakieś zabezpieczenie na ostatnie lata .

Ci, którzy mają zahipotekowane domy.

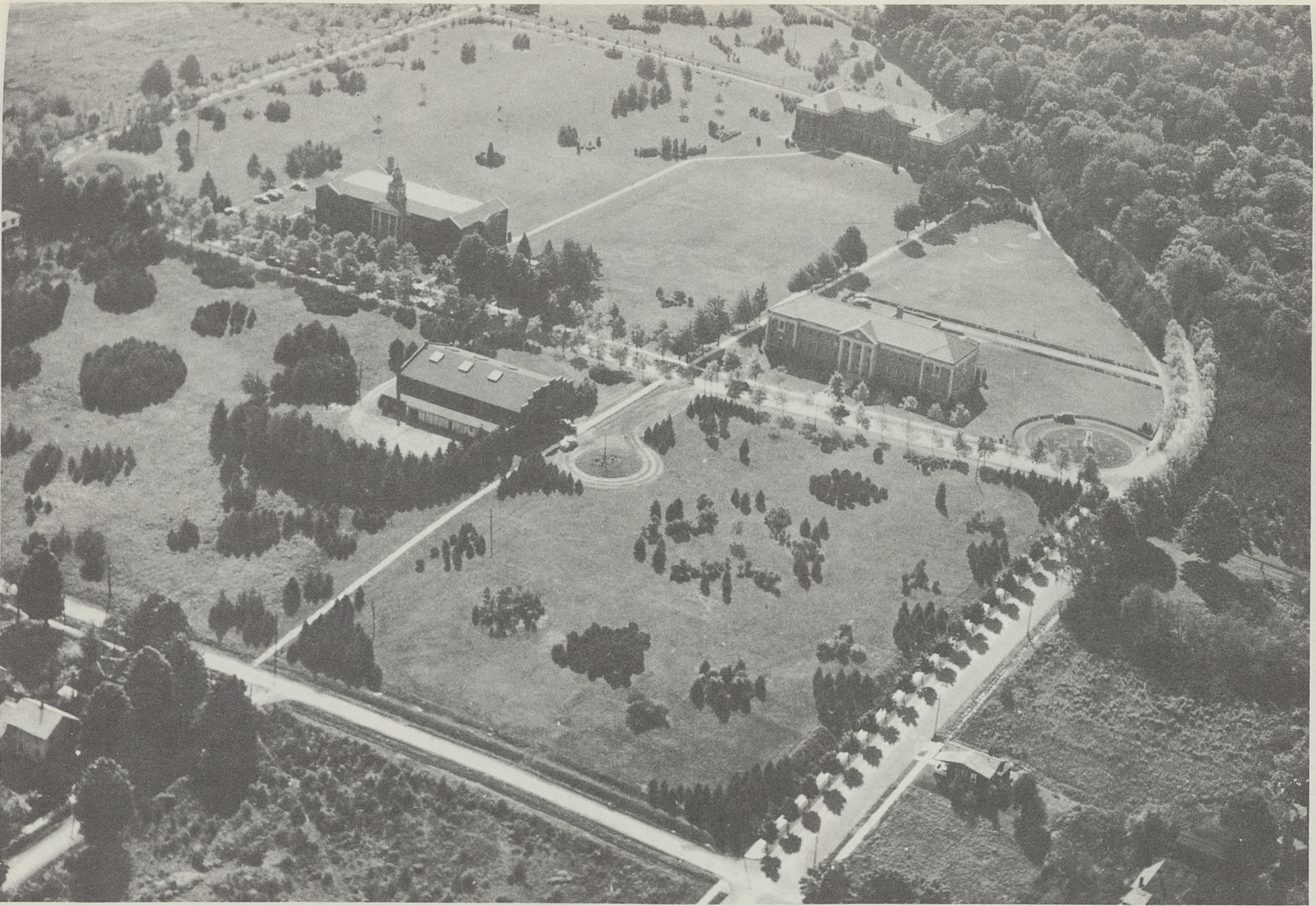
Ci, którzy nie są w stanie odkładać systematycznie sum pewnych do kasy.

Ci, którzy są podporą ludzi starszych lub inwalidów.

Młodzi mężczyźni żonaci.

Młodzi mężczyźni, zamierzający wstąpić w związki małżeńskie.

Kobiety, które same się utrzymują.



Widok na część zabudowań szkolnych w Kolegium ZNP w Cambridge Springs, Pa.



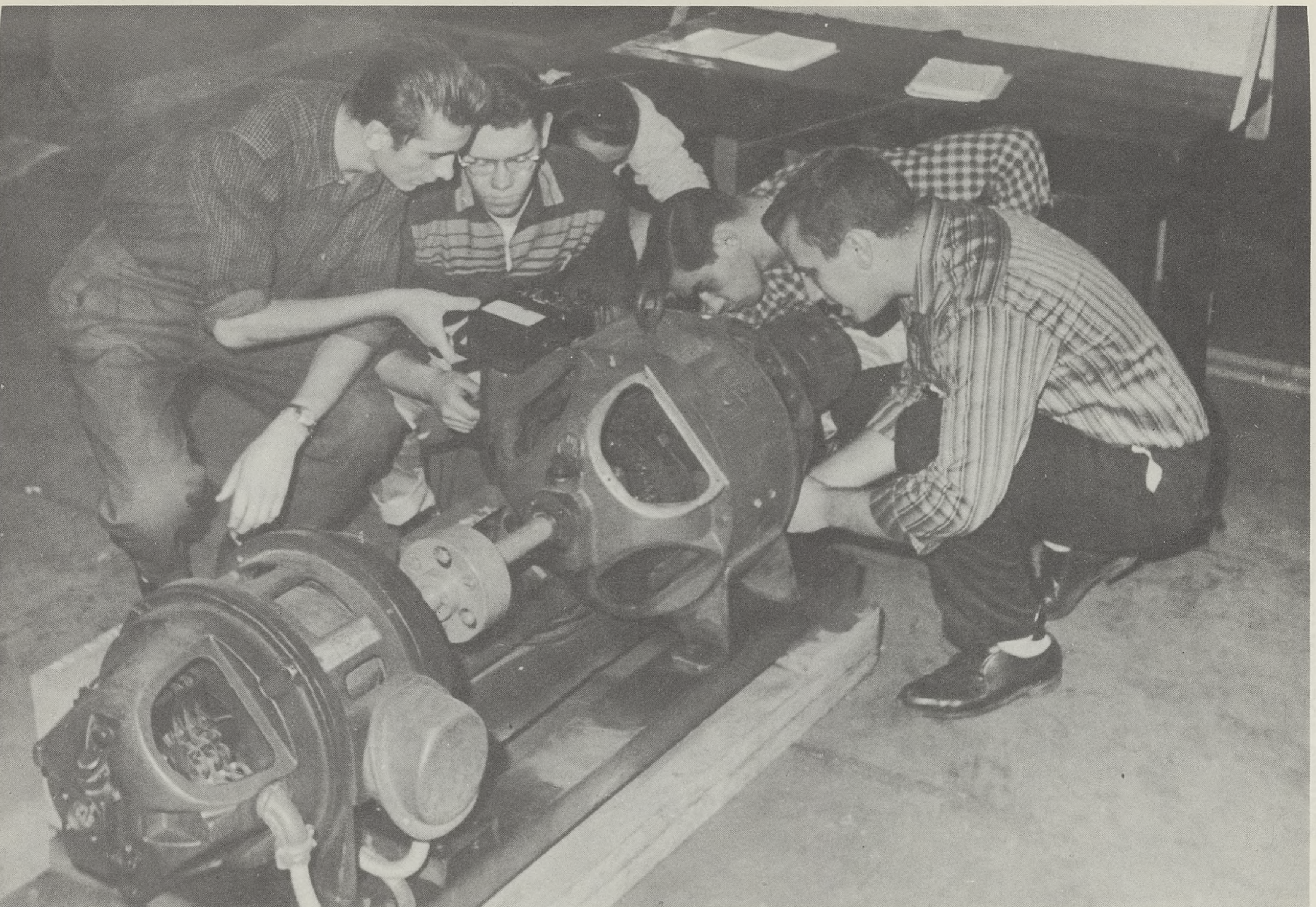
Nauka skończona . . . studenci opuszczają Gmach Szkolny w Kolegium ZNP w Cambridge Springs, Pa. i udają się do



Szkoła Związkowa w Cambridge Springs, Pa., ma doskonale wyposażone korty tenisowe dla studentów i studentek



Koszykówka jest ulubionym sportem w Szkole Związkowej Cambridge Springs, Pa. Grają w nią i chłopcy i dziewczęta.



W Instytucie Technicznym Z.N.P. młodzież uczy się wiedzy o mechanice.

Nauka w laboratoriach Szkoły Związkowej stoi na najwyższym poziomie!

GRADUANCI INSTYTUTU TECHNICZNEGO Z. N. P. CAMBRIDGE SPRINGS, PA.



Instytut Techniczny Z. N. P. w Cambridge Springs, Pa., ukończyli w roku 1961 (28-go Maja) następujący:

Pierwszy rząd: Pat Abbondanza, Meadville, Pa.; Lewis Clark, Meadville (uzyskał nagrodę za postęp w mechanice); Włodzimierz Rzepka, Detroit, Mich.; Janusz Karpowicz, Detroit; Raymond Horos, Oil City, Pa. (nagrodę za postęp w nauce); Carl Hucke, Carey, Ohio.

Drugi rząd: James Schlosser, Saegertown, Pa.; Edward Latos, Corry, Pa. (nagrodę American Society Tool and Mfg. Engineers); Kazimierz Wolwowicz, Springfield, N. J.; Jan Doviak, Oswego N. Y.; Józef Konopka, Bridgeport, Conn.; John Powell, Cambridge Spring; Robert Paściak, N. Tonawanda, N. Y.; John Sonnett, Allison Park, Pa.

Nieobecni: Robert Gallo, Valley Stream, N.Y.; Edward Pruszynski, Pittsburgh, Pa.

Wszyscy otrzymali stopień "Associate in Applied Science" — po ukończeniu dwuletnich kursów w Instytucie Związkowym.



Abiturienci i abiturientki Szkoły Związkowej w Cambridge Springs, Pa.,
po otrzymaniu dyplomów w roku 1961.



Gdy "Ike" przemówił do Polonii amerykańskiej. Fotografia z Konwencji Kongresu Polonii Amerykańskiej, jaka odbyła się w Hotelu Sherman w Chicago. Do konwencji przemówił obszernie ówczesny prezydent Stanów Zjednoczonych Dwight D. Eisenhower, oklaskiwany gorąco przez konwencję. Po lewej stoi prezes ZNP i prezes Kongresu Polonii Amerykańskiej Karol Rozmarek.

Prezydent Stanów Zjednoczonych John F. Kennedy (wówczas kandydat demokratyczny na prezydenta), przemówił na Konwencji Kongresu Polonii Amerykańskiej, mówiąc o Polsce dużo i dobrze i przedkładając ośmio-punktowy program pomocy Polsce. Siedzą od lewej do prawej: mayor miasta Chicago Daley, prezes Kongresu i prezes ZNP Karol Rozmarek, prezes Stanów Zjednoczonych John F. Kennedy; (stoi za nim po prawej) Cenzor ZNP Edward Kozmor; przemawia sędzia powiatowy Tadeusz Adesko. Za prezesem Karolem Rozmarkiem stoi książe Radziwiłł z siostrą prezydenta, Eunice Shriver; klerk miasta Chicago John Marcin; W. Dołęgowski z Pa.; komisarz ZNP A. Czelen; komisarz ZNP T. Giergielewicz; komisarka F. Żochowska; dyr. ZNP J. Ziemba; poborca ceł J. Rostenkowski i inni.

Z BANKIETU 80-CIO LECIA ZWIĄZKU NARODOWEGO POLSKIEGO



Podsekretarz Departamentu Stanu C. Douglas Dillon (na lewo), wiceprezeska ZNP Franciszka Dymek, prezes Kongresu PA i prezes ZNP mec. Karol Rozmarek i senator ze stanu Ohio Frank J. Lausche na Bankiecie 80-lecia ZNP.

Przy głównym stole zasiadali—górne zdjęcie od lewej:—cenzor ZNP Edward Kozmor; prezes Kongresu PA i prezes ZNP, mec. Karol Rozmarek; wiceprezeska ZNP, Franciszka Dymek; podsekretarz Departamentu Stanu C. Douglas Dillon; Benjamin Adamowski, prokurator stanowy; ks. prał. Wacław Filipowicz, rektor Seminarium Polskiego w Orchard Lake, Mich.; sędzia powiatu Cook, Tadeusz Adesko. Dolne zdjęcie—od lewej: Edmund J. Kucharski, skarbnik pow. Cook; Adela Łagodzińska, prezeska Związku Polek; Stanisław Turkiewicz, prezes Zjedn. Pol. Rzym. Katolickiego; Wanda Rozmarek, żona prezesa ZNP; senator Frank J. Lausche z Ohio i cenzor ZNP Edward Kozmor.



Górne zdjęcie, od lewej: pani Dworakowska, adw. Władysław Dworakowski, wicecenzor ZNP; Franciszek Prochot, wiceprezes ZNP; ks. Walerian Karcz, sekretarz gen. Kongresu Pol. Amer.; J. S. Świerczyński, zarządca Wydawnictw ZNP; John B. Richardson, prezes International Rescue Committee i organizator budowany szpitala dla dzieci w Krakowie; sędzia Zygmunt Stefanowicz, dr. Franciszek Dulak, sekretarz Wydziału Zdrowia Chicago i Jan C. Marcin, klerk miejski. Dolne zdjęcie—od lewej: dr. Karol Ripa, były konsul Polski; Edmund C. Lewandowski, przew. Sejmu 32go ZNP; Wiktoria Pietkiewicz, naczelna organizatorka Wydz. Kobiet ZNP; Stanisława Wiśniewska, wiceprezeska Zjedn. P.R.K.; sędzia Fain Tucker; kongresman Jan Kluczyński; dr. Antoni Sampoliński, lekarz naczelny ZNP; kongresman Romand Puciński i redaktor naczelny Pism ZNP, Karol Piątkiewicz.



Górne—od lewej—stoją: Tadeusz Wachel, komisarz Okr. 15go; Tad. Giergielewicz, komisarz Okr. 5go; Franciszek Jendryaszek, komisarz Okr. 12go i Bolesław A. Wójcik, komisarz Okr. 16go. Siedzą: Felicja Żochowska, komisarka Okr. 5go; Władysława Podkomorska, komisarka Okr. 14go; Bronisława Niemyska, komisarka Okr. 1go; Józef Dancewicz, komisarz Okr. 1go; Anna Tuman, komisarka Okr. 3go; N. N. Dolne—od lewej: pp. Henrykostwo Dudek z Philadelphia (b. dyrektor ZNP); pani Jaje; Apolonia Danielewicz, komisarka Okr. 6go; Maria Szeląg, komisarka Okr. 12go i Zofia Wójcik, komisarka Okr. 7-go. Stoją: Jan Jaje, komisarz Okr. 6go; pan Danielewicz, Władysław Szeląg i Ludwik Śliwiński, komisarz Okr. 7go.



Górne zdjęcie, od lewej: Helena Ulatowska z mężem Janem Ulatowskim, skarbnikiem ZNP; Bronisława Helkowska, dyrektorka ZNP z mężem Andrzejem; dyrektorka ZNP Karolina Spisak z mężem Stanisławem; Janina Migała, żona dyrektora ZNP i Stefania Foszcz, żona sekr. gen. ZNP. Stoją: dyr. Bonawentura Migała i sekr. gen. Józef Foszcz. Dolne zdjęcie, od lewej: dyrektorka Irena Wallace; dyrektorka Katarzyna Ziemba-Dienes; Julia Prochot, żona wiceprezesa ZNP; dyr. Michał Hołodnik; dyr. Jan Ziemba z żoną i pani Spindor. Stoją—dyrektorzy Edward Gembara i Henryk Spindor.

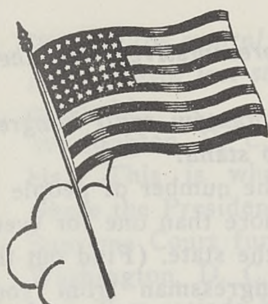


Na pierwszym planie przy stołach dla wybitnych gości zauważymy od lewej: kongresman Roman Puciński; ks. Władysław Szczypuła; redaktor naczelny pism ZNP, Karol Piątkiewicz; pani Dworakowska; adw. Władysław Dworakowski, wicecenzor ZNP i wiceprezes ZNP, Franciszek Prochot. Przy stole mówców—od lewej: Adela Łagodzińska, prezeska Związku Polek; Stanisław Turkiewicz, prezes Zjedn. P. R. K.; Wanda Rozmarek; senator Frank J. Lausche; Karol Rozmarek, prezes KPA i prezes ZNP; Franciszka Dymek, wiceprezeska ZNP; C. Douglas Dillon, podsekretarz Departamentu Stanu z Washingtonu; Benjamin Adamowski, prokurator stanowy i ks. prał. Wacław Filipowicz, rektor Seminarium Polskiego w Orchard Lake, Mich.

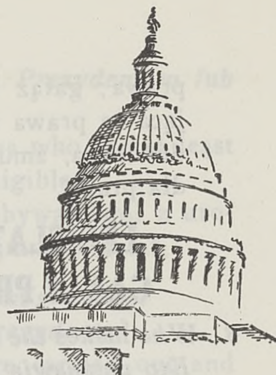


Parada Pułaskiego w Chicago—trybuna główna—stoją od lewej: Wład. Podkomorska, komisarka Okr. 14go ZNP; Bronisława Hełkowska, dyrektorka Z. C. ZNP.; Piotr Kezon, zarządca Supreme Building and Loan ze swym synem; Karol Rozmarek, prezes ZNP; Richard J. Daley, mayor miasta Chicago, Franciszka Dymek, wiceprezeska ZNP, przewodnicząca Parady Pułaskiego; Stanisława Wiśniewska, wiceprezeska Zjednoczenia Polskiego Rz. Kat.; Józef Mioduski, Asystent Prokuratora; Zygmunt Stefanowicz, redaktor "Narodu Polskiego"; Wincenty Versen, sekretarz Zjednoczenia Pol. Rz. Kat.; Stanisław Turkiewicz, prezes Zjednoczenia Polskiego Rz. Kat.; ks. Walerian Karcz, sekretarz wykonawczy Kongresu Polonii Am.; pani E. Ronk z Kalifornii i p. Izydor Brudziński, prezes Wydziału Kongresu P. A. na stan Kalifornii.

PARADA PUŁASKIEGO W CHICAGO. U góry—Młodzież Związku Narodowego Polskiego w pochodzie. U dołu—Rydwan Związku Narodowego Polskiego, przedstawiający pierwszych Polaków w Jamestown.



Czy Starasz Się o Obywatelstwo?





Pytania i Odpowiedzi Najczęściej Zadawane Przy Egzaminie Obywatelskim

A. THE FORM OF OUR GOVERNMENT

A. FORMA NASZEGO RZĄDU

1. *What is the form of our government?*
Jaką jest forma naszego rządu?
The United States is a republic.
Stany Zjednoczone są republiką.

2. *What is a republic?*
Co to jest republika?
It is a government in which the people rule through officers whom they elect.
Jest to taki rząd, w którym rządzi lud przez obieranych przez ten lud urzędników.

3. *What is the Constitution of the United States?*
Co to jest Konstytucja Stanów Zjednoczonych.
The Constitution is the supreme law of the United States.
Konstytucja jest to najwyższe prawo Stanów Zjednoczonych.

4. *What does the Constitution provide for?*
Co ustanawia Konstytucja?
The Constitution provides for the organization of our government and the rights and duties of the people.
Konstytucja ustanawia organizację naszego rządu, oraz prawa i obowiązki ludu.

5. *Can the Constitution be changed?*
Czy Konstytucja może być zmieniona?
Yes, by amending it. There are at present twenty-one amendments to the Constitution.
Tak jest, przez wprowadzenie do niej poprawek. Obecnie jest takich poprawek do Konstytucji dwadzieścia jedna.

6. *How many branches are there in our government?*
Z ilu gałęzi składa się nasz rząd?
There are three branches.
Rząd nasz składa się z trzech gałęzi.

7. *What are these three branches?*
Jakie są te trzy gałęzie rządu?
The legislative branch which makes the laws.
The executive branch which carries out the laws.
The judicial branch which enforces the laws.
G a ł ą ź prawodawcza, ustanawiająca

prawa; gałąź wykonawcza, wprowadzająca te prawa w wykonanie, i gałąź sądownicza, zmuszającą do posłuszeństwa dla prawa.

LEGISLATIVE BRANCH
GAŁĄŹ PRAWODAWCZA

8 ***Who makes the laws of the United States?***
Kto ustanawia prawa w Stanach Zjedn.?
Congress makes the laws.
Kongres ustanawia prawa.

9. ***How many parts has Congress?***
Z ilu części składa się Kongres?
There are two parts, the Senate or the Upper House, and the House of Representatives or the Lower House.
Z dwuch części: Senatu czyli Izby Wyższej, i Izby Reprezentantów, czyli Izby Niższej.

10. ***How many members has the Senate?***
Z ilu członków składa się Senat?
There are 100 Senators. Two are elected by the voters of each state. (Find out and memorize the names of the senators from your state).
Jest stu Senatorów. Wyborcy każdego stanu obierają dwuch senatorów. (Dowiedźcie się, jak się nazywają senatorowie z waszego stanu, i zapamiętajcie ich nazwiska.

11. ***Who presides over the Senate?***
Kto przewodniczy w Senacie?
The Senate is presided over by the Vice-President of the United States.
Przewodniczącym Senatu jest Wice-Prezydent Stanów Zjednoczonych.

12. ***For what term is a Senator elected?***
Na jaki termin jest obierany Senator?
His term of office is six years.
Termin urzędowania Senatora wynosi sześć lat.

13. ***The House of Representatives consists of how many members?***
Z ilu członków składa się Izba Reprezentantów?
There are 437 members of the House of Representatives.
Izba Reprezentantów składa się z 437 członków.

14. ***How many Representatives are there from each state?***
Ilu jest Reprezentantów czyli kongresmanów z każdego stanu?
In according to the number of people in each state. Not more than one for every 30,000 people in the state. (Find out the name of the Congressman from your district.)
Zależy to od liczby ludności w tym stanie. Nie więcej, niż jeden na każde 30,000 ludności w tym stanie. (Dowiedźcie się nazwisko kongresmana z waszego okręgu zapamiętajcie je.)

15. ***For what term is a Representative elected?***
Na jaki termin obierany jest Reprezentant?
His term of office is two years.
Termin urzędowania kongresmana wynosi dwa lata.

16. ***Who presides over the House of Representatives?***
Kto przewodniczy w Izbie Reprezentantów?
The House of Representatives is presided over by the Speaker, who is selected by all the members of the House of Representatives.
Przewodniczącym Izby Reprezentantów jest tak zwany Speaker, obierany przez wszystkich członków Izby Reprezentantów.

17. ***How are the laws of the United States made?***
Jak są ustanawiane prawa Stanów Zjednoczonych?
The laws must be passed by a majority of both Houses of Congress with the approval of the President, or by a two-thirds vote of Congress after a veto by the President.
Prawa muszą być uchwalone przez większość obu Izb Kongresu i otrzymać aprobatę (zatwierdzenie) Prezydenta, albo też, po veto Prezydenta, to jest odmowie aprobaty uchwalonego przez Kongres prawa, większością dwuch trzecich części głosów.

18. ***What is the capitol of the United States?***
Jakie miasto jest stolicą Stanów Zjednoczonych?
Washington, D. C. (District of Columbia). This is where Congress meets, where the President stays and where the Supreme Court functions.
Washington, D. C. (District of Columbia). Tam zasiada Kongres, mieszka Prezydent i urzęduje Sąd Najwyższy.

EXECUTIVE BRANCH
GAŁĄŹ WYKONAWCZA

19. ***Who is our Chief Executive?***
Kto jest naszym naczelnym urzędnikiem wykonawczym?
The President.

Prezydent.

20. ***Who takes office if the President dies?***
Kto obejmuje urząd Prezydenta w razie jego śmierci?
The Vice-President.

Wice-Prezydent.

21. ***Who elects the President and Vice-President?***
Kto obiera Prezydenta i Wice-Prezydenta?
They are elected by the people.
Są obierani przez lud.

22. ***Do the people vote directly for the President and Vice-President?***
Czy lud głosuje bezpośrednio na Prezydenta i Wice-Prezydenta?
No. They vote for their electors.
Nie. Lud głosuje na ich elektorów.

23. ***For what term are the President and Vice-President elected?***
Na jaki termin obierany jest Prezydent i Wice-Prezydent?
Their term of office is four years.
Termin ich urzędowania wynosi cztery lata.

24. ***Is anyone eligible to be the President or Vice-President?***
Czy każdy może być Prezydentem lub Wice-Prezydentem?
All native-born citizens who are at least 35 years of age are eligible.
Nie. Muszą oni być obywatelami z urodzenia, w wieku conajmniej 35 lat.

25. ***What are the President's duties?***
Jakie są obowiązki Prezydenta?
He sees that laws are carried out and approves them before they become laws. He also appoints certain officials and he is the Commander-in-Chief of the Army and Navy.
Dogląda on wykonywania praw oraz aprobuje je, zanim staną się prawem. Prócz tego mianuje on niektórych urzędników oraz jest Naczelnym Wodzem Armii i Floty.

26. ***How does he carry out the laws?***
W jaki sposób Prezydent wykonuje prawa?
By appointing a cabinet and judges with the consent of the Senate.
Przez mianowanie Gabinetu oraz sędziów, za zgodą Senatu.

27. ***What is the Cabinet?***
Co to jest Gabinet?
The cabinet consists of ten secretaries appointed by the President to be the heads of the Executive departments. They advise the President and administer the laws.
Członkami Gabinetu jest dziesięciu Sekretarzy Departamentów Wykonawczych, mianowani przez Prezydenta na naczelników departamentów wykonawczych. Są oni doradcami Prezydenta i administratorami praw.

JUDICIAL BRANCH
GAŁĄŹ SĄDOWA

28. ***What is the highest court in the United States?***
Jaki jest najwyższy sąd w Stanach Zjednoczonych?
It is the Supreme Court, which has nine justices, appointed by the President for life.
Jest to Sąd Najwyższy, który składa

się z dziewięciu sędziów, mianowanych przez Prezydenta dożywotnio, to jest na całe życie.

29. ***What is the function of the Courts?***
Jakie są czynności sądów?
They enforce the laws and interpret them.
Przymuszanie do posłuszeństwa prawom oraz ich interpretowanie, czyli tłumaczenie znaczenia praw.

STATE GOVERNMENT
RZĄD STANOWY

30. ***Who makes the laws in the 48 states?***
Kto ustanawia prawa w 48 stanach poszczególnych?
The state legislatures.
Stanowe legislatury.

31. ***What does the state legislature consist of?***
Z czego się składa legislatura stanowa?
Generally an upper house called the Senate, and a lower house called the Assembly or House of Representatives.
Legislatura stanowa składa się zazwyczaj z Izby Wyższej, zwanej Senatem stanowym, oraz z Izby Niższej, zwanej Zgromadzeniem lub Izbą Reprezentantów.

32. ***Who is the chief executive of each state?***
Kto jest naczelnym urzędnikiem wykonawczym w każdym stanie?
The Governor. (Find out and memorize the name of your governor and for how long he is elected.)
Gubernator. (Dowiedzcie się, jak się nazywa gubernator waszego stanu oraz na jaki termin jest on obierany i zapamiętajcie to.)

33. ***What is the highest state law?***
Co jest najwyższem prawem stanowem?
The State Constitution.
Konstytucja Stanowa.

MUNICIPAL GOVERNMENT
RZĄD MUNICYPALNY

34. ***Outside of federal and state, what goverments have we?***
Prócz rządu federalnego i rządów stanowych jakie mamy jeszcze rządy?
Municipal government generally headed by a mayor. (Find out the name of your mayor and the term of his office.)
Rządy municypalne, na których czele stoi zazwyczaj major. (Dowiedzcie się, jak się nazywa wasz mayor i na jaki termin jest obierany i zapamiętajcie to.)

B. HISTORY OF THE UNITED STATES
B. HISTORIA STANÓW ZJEDN.

35. ***Who discovered America?***
Kto odkrył Amerykę?
Christopher Columbus, an Italian explorer, discovered America in 1492.
Krzysztof Kolumb, żeglarz włoski, odkrył Amerykę w roku 1492.

36. ***Who was George Washington?***
Kto był Jerzy Washington?
George Washington is known as the Father of Our Country. He was the first president of the United States. He was the leader of our army during the Revolutionary War, which was fought to free us from England.
Jerzy Washington znany jest, jako Ojciec Kraju Naszego. Był on pierwszym Prezydentem Stanów Zjednoczonych. On to był wodzem armii naszej podczas Wojny Rewolucyjnej, stoczonej dla uwolnienia nas od panowania Anglii.

37. ***What is the Declaration of Independence?***
Co to jest Deklaracja Niepodległości?
It is a document, written by Thomas Jefferson who later became President of the United States, which declared our independence from England and laid down the principles of liberty, equality and justice for our democratic government.
Jest to dokument, napisany przez Tomasza Jeffersona, który później został Prezydentem Stanów Zjednoczonych, obwieszczający naszą niepodległość od Anglii i wykładający zasady wolności, równości i sprawiedliwości dla naszego rządu demokratycznego.

38. ***When was the Declaration of Independence adopted?***
Kiedy została przyjęta Deklaracja Niepodległości?
The Declaration of Independence was adopted on July 4th, 1776 in Philadelphia. We therefore celebrate the Fourth of July as Independence Day.
Deklaracja Niepodległości została przyjęta 4 Lipca, 1776 roku w Filadelfii. Dlatego obchodzimy 4 Lipca jako Dzień Niepodległości.

39. ***Who was Abraham Lincoln?***
Kto był Abraham Lincoln?
Abraham Lincoln was President during the Civil War, which was fought to preserve the United States from disruption and to free the slaves.
Abraham Lincoln był Prezydentem podczas Wojny Domowej, toczonej o zachowanie Stanów Zjednoczonych od rozbicia i o uwolnienie niewolników.

40. ***Who was Woodrow Wilson?***
Kto był Woodrow Wilson?
Woodrow Wilson was President during the World War I.
Woodrow Wilson był Prezydentem podczas I-ej Wojny Światowej.

41. ***The American flag has how many colors in it?***
Ile kolorów ma sztandar amerykański i jakie?
Three: Red, white and blue.
Trzy: czerwony, biały i niebieski.

42. ***How many stars and stripes are there in the American flag?***
Ile gwiazd i pasów jest na sztandarze amerykańskim?
50 stars, one for each of the 50 states, and 13 stripes, one for each of the 13 original states.
50 gwiazd, po jednej dla każdego z 50 stanów, i 13 pasów po jednym dla każdego z 13 stanów pierwotnych.

43. ***What are the names of the 13 original states?***
Które stany zaliczają się do 13 stanów pierwotnych?
New Hampshire, Massachusetts, Connecticut, New York, Rhode Island, Pennsylvania, New Jersey, Maryland, Delaware, Virginia, North Carolina, South Carolina and Georgia.
New Hampshire, Massachusetts, Connecticut, New York, Rhode Island, Pennsylvania, New Jersey, Maryland, Delaware, Virginia, North Carolina, South Carolina i Georgia.

C. RIGHTS AND DUTIES OF CITIZENS
C. PRAWA I OBOWIĄZKI OBYWATELI

44. ***What is the most important right of a citizen?***
Jakie jest najważniejsze prawo obywatela?
The right to vote.
Prawo głosowania.

45. ***What does the citizen do by voting?***
Czego dokonuje obywatel, głosując?
He participates in the government of the the United States by electing Senators and Representatives to Congress who make the laws, and by electing the President who administers the laws and appoints judges to enforce them.
Bierze on udział w rządzie Stanów Zjednoczonych przez obiór Senatorów i Reprezentantów do Kongresu, którzy ustanawiają prawa w Kongresie, i przez obiór Prezydenta, który zawiaduje administracją praw oraz mianuje sędziów dla ich przestrzegania.

46. ***Can the Constitution be changed?***
Czy Konstytucja może być zmieniona?
Yes. It may be changed by the will of the people, in a lawful way, prescribed in the Constitution itself.
Tak jest. Może ona być zmieniona wolą ludu w drodze praworządnej, przepisanej w samej Konstytucji.

47. ***What is the Bill of Rights?***
Co to jest Statut Praw?
The first ten amendments to the Constitution are called the Bill of Rights.
Pierwsze dziesięć poprawek do Konstytucji zwane jest Statutem Praw.

48. What rights are guaranteed by the Bill of Rights?

Jakie prawa zagwarantowane są Statutem Praw?

Freedom of religion, freedom of speech, freedom of the press, trial by jury. Also, the right to peaceably assemble. Life, liberty and property can be taken only after a trial in accordance with the law.

Wolność religii, wolność słowa, wolność prasy, sąd przez Ławę przysięgłych, jakoteż prawo spokojnego zgromadzania się. Życie, wolność i własność mogą zostać odebrane tylko po osądzeniu na mocy prawa.

49. What do other amendments to the Constitution provide?

Co ustanawiają inne poprawki do Konstytucji?

There shall be no slavery. That women shall have the right to vote. In other words, equal rights for all without regard to color, creed or sex.

Że nie może być niewolnictwa. Że kobiety posiadają prawo głosowania. Innemi słowy, równe prawa dla wszystkich bez różnicy koloru skóry, wyznania lub płci.

50. What are the duties of citizens?

Jakie są obowiązki obywateli?

To uphold the Constitution and the laws of the United States and to defend the country against outside and inside enemies.

Podtrzymywać Konstytucję i prawa Stanów Zjednoczonych oraz bronić kraju od wrogów zewnętrznych i wewnętrznych.



WALKA ZE STAROŚCIĄ

UMYSŁ człowieka od niepamiętnych czasów trudzi się nad rozwiązaniem problematu przedłużania życia i opóźnienia starości. W dawniejszych czasach usiłowano koniecznie wynaleźć tak zwany "eliksir młodości", ale wszelkie wysiłki dawnych uczonych spełzły na niczem. Natomiast najrozmaitsi oszuści i szarlatani potrafili sprytnie wykorzystać łatwowierność ludzką i ciągnęli poważne dochody z ludzi bogatych lub wpływowych, obiecując zniszczonym i przeżytym starcom przywrócenie sił i wyglądu młodości. Ostatecznie uznano wszelkie marzenia o powstrzymaniu pochodu starości za mrzonkę i niedościgłą fantazję spryciarzy.

Teraz jednak już nie w tajemniczych laboratoriach szarlatanów, ale w pracowniach rzeczywistych uczonych, na cały świat znanych z prac naukowych, pojawiają się pewne oznaki, zapowiadające urzeczywistnienie marzeń o przedłużeniu życia i wstrzymaniu niedołężnej starości.

Uczony francuski, profesor Brown-Sequard, odkrył po długoletnich badaniach właściwą drogę, po której powinna kroczyć nauka w walce ze starością. Sposób francuskiego profesora polega na przestrzykiwaniu do żywego organizmu soków, które są zdolne dokonać zadania odmłodzienia. Doświadczenia w tym kierunku są obecnie czynione przez uczonych całego świata.

Uczony wiedeński, doktór Steinach, dokonał już licznych prób według własnego systemu, przeprowadzając szereg doświadczeń na szczurach. Steinach niezbicie udowodnił, że drogą przeszczepienia staremu szczurowi (samcowi) nasiennika młodego szczura, a starej samicy jajników młodej, daje się przywrócić tym zwierzętom słabnące na starość siły, czyli zwrócić organizmowi to, co jak sądzono dotychczas, uszło już bezpowrotnie. Prostszy jeszcze sposób Steinacha polega na przewiązywaniu samcowi przewodów nasiennych. W następstwie takiego zabiegu samiec odzyskiwał siłę, sprężystość mięśni i energję życiową a wyłysiały grzbiet i boki tułowia zarastały nanowo gęstym włosem.

Podobne wyniki osiągnął profesor Woronow w doświadczeniach, dokonanych na baranach i innych zwierzętach. Znakomity ten uczony nie poprzestał na próbach odmładzania zwierząt w celach doświadczalnych, ale system swój zastosował do ludzi i w licznych wypadkach rzeczywiście przywrócił starcom siły żywotne i dokonał częściowego odmłodzenia. System profesora Woronowa polega na przeszczepianiu ludziom gruczołów małpich, szympansa lub pawiana. Na jednym ze zjazdów chirurgów w Paryżu Woronow przedstawił swego pacjenta, 74-letniego starca, na którym dokonał przeszczepienia gruczołów. W przeciągu kilku miesięcy po dokonaniu operacji starzec ów w zdumienie wprowadził wszystkich, którzy go przedtem znali. Człowiek ten rzeczywiście odmłodniał o przynajmniej dwadzieścia lat. Stał się ruchliwym, sprężystym, wesołym mężczyzną, podczas gdy przed operacją Woronowa był zniedołężniałym starcem.

W doświadczeniach profesora Steinacha szczur-samiec, po dokonaniu operacji przeszczepienia nasienników wydzielał mleko, jak samica. Profesor Zawadowski w Moskwie dokonywał licznych prób z kogutami i kurami. Przez przeszczepienie kura przybierała wygląd, to jest kształt i upierzenie prawdziwego koguta, kura zaś, przerobiona z koguta, wyglądała najzupełniej jak prawdziwa kokoszka. Cała różnica polegała tylko na tem, że kura, z której zrobiono koguta, nie była zdolna do zapłodzenia innej kury, kogut zaś zamieniony na kurę nie mógł znosić jajek.

Niemniej jednak organizm koguta zmieniał się w organizm kury i przeciwnie. Idąc dalej po tej drodze, uczeni chcieliby doprowadzić do takiej zamiany organizmów, żeby koguty mogły znosić jaja. Tu już byłoby konieczne zastosowanie chirurgji, jednak nie po wykłuciu się kurczęcia z jaja, ale przedtem, gdyż u kur odpowiednie organy tworzą się już w czasie znajdowania się płodu w jajku. Takiej operacji jednak zrobić żaden uczony dotychczas nie był w stanie.

Nie należy przypuszczać, że wszelkie tego rodzaju doświadczenia, czynione na zwierzętach, mają na celu jedynie zaspokojenie ciekawości uczonych. Żadnemu biologowi z pewnością nie zależy na zamianie koguta na kurę lub kury na koguta. Doświadczenia takie mają niezmierną doniosłość dla uczonych, którzy przez nie poznają tajemne właściwości ustroju żywego i zmian jakie się w ustroju dokonują, a poznawszy wszystkie te tajemnice, potrafią je zastosować ku dobru ludzkości. Dobrem takiem będzie przywracanie organizmowi człowieka sił i energji, inaczej opóźnianie starości albo odmładzanie.

ADAM ASNYK — *Wielki Poeta i Wielki Myśliciel*

Znakomity ten nasz poeta urodził się we wrześniu roku 1838-go w Kaliszu. Ojcem jego był oficer Powstania Listopadowego, który zesłany na Syberię, po powrocie osiedlił się w Kaliszu i zajmował się kupiectwem. Matka Adama Asnyka była prawdziwym typem dawnej niewiasty polskiej, poświęconej wyłącznie tylko cichemu domowemu życiu i obowiązkom gospodyni i "pani domu".

W spokojnej, zacisznej atmosferze domowej wychowywał się młody Adam i od wczesnego dzieciństwa okazywał gorący patriotyzm i wybitne zdolności poetyckie. W roku 1849-ym wstąpił do szkoły realnej w Kaliszu i ukończył ją mając lat zaledwie piętnaście. Po pewnej przerwie w naukach zapisał sie na agronomię w Marymoncie pod Warszawą, a stamtąd przeniósł się na wydział medyczny do Wrocławia. W roku 1860-ym Asnyk powrócił do Warszawy, ale nie bawił długo w stolicy i wyjechał na studia do Francji, Niemiec i Anglii. W Heidelbergu studiował filozofię i nauki społeczne.

Przed wybuchem powstania styczniowego Asnyk wrócił do kraju i przez pewien czas brał żywy udział w pracach Rządu Narodowego. Po stłumieniu powstania wyjechał zagranicę i przez kilka miesięcy podróżował po Holandii, Niemczech, Włoszech i Szwajcarii. W roku 1865-ym powrócił na uniwersytet w Heidelbergu, gdzie otrzymał doktorat filozofii. Jako doktór filozofii powrócił znów do kraju i osiedlił się we Lwowie, skąd przeniósł się do Krakowa, gdzie zamieszkał do końca życia.

Od roku 1881-go Asnyk brał czynny udział w życiu politycznym i społecznym austriackiego zaboru Polski. Jako poseł na sejm krajowy, radny miasta Krakowa, Prezes Towarzystwa Szkół Ludowych i redaktor oddał wielkie usługi i zjednał sobie goraca miłość i poważanie wśród mieszkańców Krakowa i okolicznego obywatelstwa.

Łagodny i stały w obcowaniu z ludźmi, twardy w zasadach i dążeniach zmierzających do dobra ogólnego, Adam Asnyk wysoko cenił honor i godność osobistą. Nie piął się na urzędy, nie szukał odznaczeń i zaszczytów, ale gdy został posłem, radnym miasta lub prezesem wielkiego towarzystwa, pełnił swe obowiązki z całą gorliwością i zapałem. Malowanym prezesem, posłem lub redaktorem Asnyk być nie umiał.

Przepiękne poezje jego przy świetnej formie i poprawności wiersza uderzają głębokością myśli. Są to utwory patriotyczne, marzycielskie i filozoficzne, często zabarwione sporą dozą ciętego humoru i satyry. Sam wrażliwy i uczuciowy, Asnyk nie dał się w swych poezjach zbytnio porwać uczuciu,— poezje jego cechuje głęboka idea ubrana w barwną szatę rymów i wykwintnej formy wiersza.

Nie brak jednak w utworach Adama Asnyka i ciepłego, serdecznego uczucia, ani tęsknej nuty, właściwej wszystkim prawie naszym poetom z czasów porozbiorowych. Uczucie to przebija się szczególnie w poezjach ludowych, które, jako przystępniejsze, zdobyły mu szerokie uznanie i popularność wśród wszystkich sfer społeczeństwa.

Życie tego wielkiego Polaka było skromne, ciche, i pracowite. Nie uchylając się nigdy od obowiązków obywatelskich, zmuszony do twardej pracy na kawałek chleba, każdą wolną chwilę poświęcał pisaniu poezji i pod pseudonimem "El . . . y" oddał literaturze naszej cały szereg pierwszorzędnych utworów poetycznych i scenicznych. Z tych ostatnich odznaczają się bogactwem myśli i wykwintną formą utwory: "Walka stronnictw", "Cola Rienzi", "Żyd", "Gałązka heliotropu" i "Komedia konkursowa".

Oprócz zbioru utworów poetycznych i scenicznych Asnyk napisał cały szereg artykułów i odczytów. Krytycy literaccy nazywali tego poetę rzeźbiarzem słowa i wirtuozem formy i myśli.

Jak ciche było życie jego, tak była spokojną i cichą śmierć poety. Otoczony powszechną miłością i szacunkiem. Adam Asnyk umarł w Krakowie dnia 2-go sierpnia 1987-go roku. Pogrzeb jego był wymownym świadectwem uznania, jakim otaczał go cały naród.

JEDNEGO SERCA! TAK MAŁO . . .

Jednego serca! Tak mało! Tak mało!
Jednego serca trzeba mi na ziemi!
Coby przy mojem miłością zadrżało,
A byłbym cichym pomiędzy cichymi.

Jednych ust trzeba! skądbym wieczność całą
Pił napój szczęścia ustami mojemi,
I oczu dwoje, gdziebym patrzał śmiało,
Widząc się świętym pomiędzy świętymi.

Jednego serca i rąk białych dwoje,
Co by mi oczy zasłoniły moje,
Bym zasnął słodko, marząc o aniele,
Który mnie niesie w objęciach do nieba . . .

Jednego serca! Tak mało mi trzeba!
A jednak widzę, że żądam—za wiele.

ADAM ASNYK.

Ludwik Jerzy Kern

SŁOMIANE MIASTO

Nie wiem,
może ja się mylę,
może ja nie mam racji,
ale miasto najbardziej cenię w czasie wakacji.

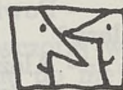
Robi się wtedy pusto.
zostaje tylko kto musi:
prezydent miasta,
strażacy,
trochę milicji
i my —
paru tatusi.



Możecie się uśmiechać w duchu,
możecie mówić, że nie wierzycie,
a my tatusie dajemy Wam słowo, że wtedy się zaczyna życie.

Na śniadanie sami sobie gotujemy mleczko,
do mleczka podajemy sobie bułeczkę i jajeczko,
gazetę rozkładamy przed sobą na stole i voilà! nikt nam nie mówi:
„Heniu!
Ile razy mam cię prosić, żebyś nie czytał przy jedzeniu?!"

Jemy, jemy, potem wstajemy z krzesełka czy stołka
i do pracy pędzimy weseli,
jak na skrzydełkach,
ruchem aniołka.



Obiad zjadamy skromny, ot pomidorek jakiś albo ogórek,
chodzimy po pustych mieszkaniach w gatkach
i okna otwieramy od podwórek.
Bo na podwórkach jest cicho. Nie do wiary lecz tak jest po prostu,
na wsi cichej spokojnej drze się w tym czasie bowiem
większość naszego naturalnego przyrostu.

Z przyrostem pojechały piłki, gitary i wszystkie „Szarotki",
zabiję każdego kto powie, że urlop w mieście nie jest słodki.

Więc drzemka po obiedzie, nie za długa, w normie,
by tatuś był na wieczór w idealnej formie.



A gdy wieczór nadejdzie,
gdy na niebo wypłynie gondola księżyca,
tatusie...
Nie, nie! Milcz serce, to przecież tajemnica.
Dość na tym, że rano sami sobie gotujemy mleczko,
do mleczka podajemy sobie bułeczkę i jajeczko,
gazetę rozkładamy przed sobą na stole i voilà! nikt nam nie mówi:
„Heniu!
Ile razy mam cię prosić, żebyś nie czytał przy jedzeniu?!"

KOBIETA Z FELEREM

Olaf Petersen, bogaty farmer w stanie Oklahoma, doszedł do wniosku, że jednak życie bez kobiety jest szare, nudne, monotonne. Więc postanowił jak najszybciej poślubić jaką dziewczynę.

Pojechał najbliższej niedzieli do miasta, gdzie odnowił dawne znajomości. Rozpoczął gorączkowe poszukiwania za wybranką. Złożył wizyty wszystkim znajomkom, ich krewnych przyjaciołom. Ale jakoś nie mógł znaleźć poszukiwanego ideału.

Bo Olaf pragnął poślubić dziewczynę całkowicie odpowiadającą skali jego wymagań.

— Jeżeli mam się ożenić, — mówił z przekonaniem — to tylko z taką, która najzupełniej będzie harmonizowała z moimi wymaganiami, nadziejami i poglądami.

— W takim razie, — poradził mu jeden ze znajomków — poznam cię z Molly.

— Molly? Cóż to za jedna?

— Najpiękniejsza dziewczyna w całym stanie.

— To pewnie ma brzydki charakter?

— Anioł, nie dziewczyna. Słodka, jak miód.

— Może nerwowa, złośliwa, krzykliwa?

— Nic podobnego. Potulna, łagodna milutka, nieśmiała.

— W takim razie musi mieć niewyraźną przeszłość?

— Lilia! Nigdy nie widziano jej, flirtującej z chłopcem.

— To pewnie głupia, jak gęś?

— Przeciwnie, bardzo mądra dziewczyna. Kończyła w Oxfordzie.

— Hm... To pewnie bez posagu?

— Ojciec daje 100 tysięcy dolarów.

— Powiedz mi w takim razie, jakie ma felery?

— Ależ zapewniam cię, nie ma najmniejszego feleru. Wymarzona dziewczyna. Nie zastawiaj się, tylko pędź do Molly. Chodź, przedstawię cię.

Olaf znalazł się wkrótce w luksusowo urządzonej willi, ewentualnych teściów. Przyjęli go bardzo życzliwie. Po chwili zjawiła się również Molly. Na jej widok Olaf formalnie osłupiał.

To, co ujrzał, przewyższało stukrotnie pochwały znajomka. Dziewczyna była skończenie piękna. Olbrzymie, zachwycające oczy koloru nieba. Przepyszne, malinowej barwy usteczka. Buzia — krew z mlekiem. Platynowe włosy. Wiotka, zgrabna postać. Jednym słowem — cudo.

Pozostawiono ich we dwoje w ogrodzie, aby pomówili o wszystkim. Usiedli w altance. Zaczęli szeptać. Mijały wolno minuty. Znajomy Olafa czekał przy furtce.

Nagle z altany wyskoczył wzburzony Olaf i bez pożegnania gospodarzy, zmierzył prosto ku wyjściu...

— Hallo, Olaf, co się stało? Panna dała ci kosza?

— Nie, — odparł ponuro młody farmer.

— Więc może nie spodobałeś się jej?

— Spodobałem.

— A może ona się tobie nie spodobała?

— Jest prześliczna. Cudowna.

— Może wyznała jakiś grzech przeszłości?

— Nie. Jest niewinna, bez skazy.

— A może ma jaką ukrytą ułomność, lub wadę?

— Zbadałem dokładnie. Dziewczyna zbudowana, jak łania.

— To może z posagiem bujda?

— O tyle bujda, że rodzice nie dają 100, lecz 130 tysięcy.

— Więc do stu piorunów, co się stało, że rezygnujesz z tak znakomitej partii?

— Widzisz, ja chcę mieć żonę, któraby pod każdym względem odpowiadała mi w każdej dziedzinie.

— A Molly ci nie odpowiada?

— Niestety, nie odpowiada pod jednym względem.

— Pod jakim, do diaska?

— Ona nie potrafi doić krowy.

Butni Tchórze

Dwaj lotnicy niemieccy, ujęci przez policję angielską po przymusowym lądowaniu za pomocą spadochronów podczas jednego z nalotów na Londyn, oburzali się, że policjanci nie stanęli na baczność przed oficerami. Domagali się, aby przesłuchani zostali przez oficerów tej samej rangi, co i oni. Dano im herbatę i nie chcieli napoju przyjąć.

Kiedy jednak wpakowano ich do celi na posterunku policyjnym, w małym budynku na peryferiach miasta, znikła ich buta, opuściła ich bezczelność. Błagać zaczęli, aby umieszczono ich w schronie, bo przecież, mówili, nalot trwa jeszcze.

"Trudno Panowie—odpowiedział policjant, którego przedtem besztali.—Musicie tak samo ryzykować, jak i my."

Przechodząc obok celi nad ranem, kiedy nalot jeszcze trwał, kiedy słychać było jeszcze świst bomb niemieckich i huk angielskich dział przeciwlotniczych, jeden z policjantów zauważył hardych Niemców, skulonych ze strachu w kącie celi, pod stołem.

Dobrze posłużyła im ta lekcja. Nazajutrz rano odstawiono ich do obozu internowanych, potulnych i grzecznych. Nie domagali się aby oficerowie eskortowali ich, nie zaś prości żołnierze.

Lęk Przed Diabłami

Diabeł odgrywa dużą rolę nietylko w mitologii, ale i w życiu codziennym Chińczyków. Obawa przed diabłem i diablątkami jest w Chinach bardzo wielka. Całe Chiny "nawiedzone" są przez diabła i jego ród, to też w kraju tym opracowany jest cały system obrony przed wpływami złych duchów.

Na szczęście dla Chińczyków złe duchy i czarty, mimo całej swej mocy, związane są pewnymi "określonymi przepisami," którym muszą się podporządkowywać. Jeden z przepisów, zapewniający ustrzeżenie się od złych duchów, to posuwanie się tylko w linii prostej. Wystarczy ustawić naprzeciw drzwi parawanik, a już diabeł nie może się dostać do domu. Dlatego też w Chinach spotyka się często zygzakowate mosty, przerzucone przez małe rzeczki. Ponieważ czart nie umie pływać, przeto budynki, zbudowane na wyspie i oddzielone od stałego lądu przez zygzakowaty most—zabezpieczone są przed inwazją czarta.

Pozostaje mu coprawda inna droga, której upilnowanie jest znacznie trudniejsze. Są to samoloty wojskowe, w których—zdaniem ludu chińskiego—mieści się zły duch. Chińczycy wierzą jednak, że ukryty w samolocie czart nie może przeniknąć przez dach.

Diabeł jest bardzo chytry, lecz mimo to łatwo go oszukać. Przy budowie domu wszystkie jego kąty przystraja się zielonymi gałęziami. Czarty przyjmują je za las i domów takich unikają. Małym dzieciom zawiesza się często lusterko na czole. Nadbiegający czart, widząc w lustrze swe odbicie, tak się lęka swej szpetoty, że w przerażeniu ucieka.

FRASZKA

Idylla maleńka taka:
Wróbel połyka robaka,
Wróbla kot dusi niecnota,
Pies chętnie rozdziera kota,
Psa wilk z lubością pożera,
Wilka zadławia pantera,
Panterę lew rwie na ćwierci,
Lwa—człowiek, a sam po śmierci
Staje się łupem robaka,
Idylla maleńka taka.

Najłatwiej znaleźć męża, gdy się go wcale nie szuka.

Każda panna życzy sobie, aby się zaczęło od . . . ślubnej obrączki na palec—!

Kobieta stworzona jest do kochania, stąd też chce być wciąż kochaną.

ZŁOŚLIWY

Jeden z humorystów spotyka się w towarzystwie z jakąś panienką z prowincji, która dowiedziawszy się, że rozmawia z humorystą, na wszelkie sposoby starała dowiedzieć się, jak to człowiek może robić dowcipy.—Nasz współpracownik wykręcał się tym i owym, ale panienka nie dawała mu spokoju, tak, że w końcu męczennik humoru i ciekawości panieńskiej postanowił uratować się z opresji choć w niezbyt delikatny sposób i nagle wśród rozmowy przechylając się ku owej panience szepnął z westchnieniem:

—Ach! gdybyś pani miała skrzydła. . . .

—Tobym była aniołem, nieprawda?—zaśmiała się panienka.

—Aniołem? a dlaczego nie gęsią?!—brzmiała złośliwa odpowiedź zmęczonego humorysty.

Matka—"Gdzie ty byłaś tak długo, Dorciu?"

Córka—"W parku, mamo."

Matka—"Z kim? Sama tylko? Rzeczywiście sama?"

Córka—"Sama jedna tylko! Ale dlaczego mama się tak wypytuje?"

Matka—"Bo ja nie mogę tego pojąć, jak się to stało, że poszłaś na spacer z parasolką a przychodzisz . . . z laską w ręku!"

CIEŃ

Co jest lepsze: kapitał bez żony, czy żona bez kapitału?

—I to złe i tamto niedobre. Kapitał bez żony to światło bez cienia, a żona bez kapitałów, to cień bez światła.

NA ULICY

—Stój łotrze! Przecie to ciebie wczoraj w nocy spłoszyłem, gdy dobierałeś się do mej ogniowej kasy!

—Tak, to ja jestem. . . . Chciałem prosić, możeby pan oddał mi dłuto i pilnik, które w pośpiechu zostawiłem.

DOBRA RADA

—Gdybym tak mogła doprowadzić do tego, by mój mąż częściej spędzał w domu wieczory.

—Wiesz, dam ci dobrą radę. Wychodź także z domu wieczorami!

ZŁOŚLIWE PYTANIE

—Poezje moje ukażą się w przyszłym tygodniu w drugim wydaniu.

—Tak? . . . A cóż zrobiłeś z pierwszym?

WIZYTA U ROCKEFELLERA

W sekretariacie słynnego milionera Rockefellera zameldował się niepozorny człowiek i wręczywszy sekretarzowi wizytówkę z napisem "Icek Szapiro" zażądał rozmowy z potentatem.

Sekretarz ze zdumieniem spojrzał na dziwnego interesanta i zapytał:

— Pan w jakiej sprawie?

— Osobista.

— Mister Rockefeller nie może pana przyjąć.

— Co znaczy nie może? On musi!

— Proszę nie zawracać głowy. Mister Rockefeller jest zajęty. Każda minuta ma dla niego wartość 10 dolarów.

— Ja płacę 20 dolarów za 2 minuty rozmowy z nim.

Sekretarz ustąpił, sądząc, że Szapiro ma rzeczywiście ważną sprawę do omówienia i zaniósł wizytówkę milionerowi.

— Proszę, mister Rockefeller czeka na pana, — odezwał się, wracając i wskazując drzwi gabinetu.

— Czym mogę służyć? — zagadnął gościa krezus.

— Z niczym, panie Rockefeller, Masz pan 20 dolarów za 2 minuty rozmowy.

— A cóż mi pan ma do zakomunikowania?

— Absolutnie nic.

— Więc po co pan przyszedł?

— Ja się założyłem z Mońkiem Cypkinem o 50 dolarów, że pan mnie przyjmiesz w swojego gabinetu na 2-minutowe konferencje.

AUTENTYCZNE

W ostatnim programie cyrku występuje bajecznie zbudowana poskramiaczka lwów. Między innymi — co wieczór pokazuje efektowny numer: wziąwszy w usta kawałek cukru daje znak najdzikszemu z lwów, który podbiegłszy — bierze cukier delikatnie, końcami warg groźnej paszczy — wprost z ust swej pani.

— Wielka sztuka, wielka — odzywa się głos z galerii. — Każdy to potrafi . . .

— Przyjdź pan, spróbuj! — woła z oburzeniem poskramiaczka.

— Czemu nie . . . Mogę . . . Zrobię to napewno jeszcze lepiej, niż lew!!!

SZCZEROŚĆ PRZEDEWSZYSTKIM

— Rozmawiałam dziś z Ciumrakowską przez trzy godziny.

— O jakich potwornościach mówiła pani ta stara plotkarka?

— Mówiłyśmy o pani.

NAGROBEK POSŁOWI

Tu leży poseł, jak pchła w galarecie
Dnie całe spędzał w Sejmie przy bufecie,
Co pół godziny stawiał bombę piwa,
A teraz spokojnie tu w ziemi spoczywa.

NIESZCZERY

—Proszę cię, bądź tak dobry i pożycz mi dziesięć dolarów.

—Pożyczyłbym ci, ale nie mogę, bo jestem nieszczery.

—Jakto nieszczery?

—Ano tak, bo właściwie powinieneś powiedzieć: Proszę cię bądź tak głupi i pożycz mi dziesięć dolarów.

W KOMISARIACIE

—Panie komisarzu, za co jest aresztowany mój Lejbuś?

—Za dezercję.

—Co to jest, z przeproszeniem pana komisarza dezercję?

—Za to, że uciekł przed wojskiem.

—Panie komisarzu, proszę jemu darować, bo to w jego wrodzony feler.

—Co takiego?

—On od maleńkości zawsze przed wojskiem uciekał.

NA ULICY

Młody chłopiec (do przechodzącej damy): —Litościwa osobo, daj mi złoty, żebym mógł się dostać do rodziny.

Dama (podając mu pieniądz):—Masz biedaku, a gdzież to jest twoja rodzina?

Chłopiec:—W kinematografie.

Gdy mąż stara się być uprzejmym dla żony, ta gotowa go zaraz o skrywanie jakichś tajemnic podejrzewać.

W miłości można łatwiej stracić głowę, aniżeli serce.

Bajki—to są powiastki, które czuła matka opowiada swym dzieciom, lub też niewierny mąż swej żonie. . . .

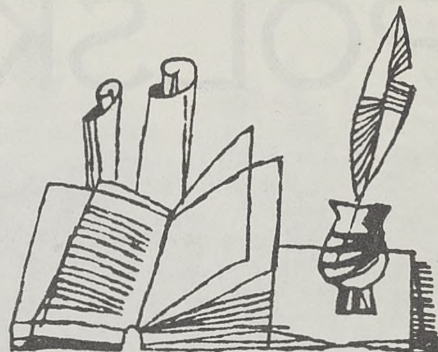
Kobiety są naszymi najgorszymi wrogami, ale Stwórca i wrogów miłować nakazał.

Nie każdy mąż bywa ojcem, ale i nie każdy ojciec bywa mężem.

Mężczyzna sądzi inne kobiety według swej żony, a żona zazwyczaj sądzi swego męża gorzej od wszystkich.

IGNACY KRASICKI

WSTĘP DO BAJEK



Był młody, który życie wstrzemięźliwie pędził;
był stary, który nigdy nie łajał, nie zrzędził;
był bogacz, który zbiorów potrzebnych udzielał;
był autor, co się z cudzej sławy rozweselał;
był celnik, który nie kradł; szewc, który nie pijał;
żołnierz, co się nie chwalił; łotr, co nie rozbijał;
był minister rzetelny, o sobie nie myślał;
był na koniec poeta, co nigdy nie zmyślał.
„A cóż to może być za bajka? Wszystko to być może!“
Prawda; jednakże ja to między bajki włożę.

SZCZUR i KOT

„Mnie to kadzą“, rzekł hardzie do swego rodzeństwa
siedząc szczur na ołtarzu podczas nabożeństwa.
Wtem gdy się dymem kadzideł zbytecznych zakrztusił,
wpadł kot z boku na niego, porwał i udusił.

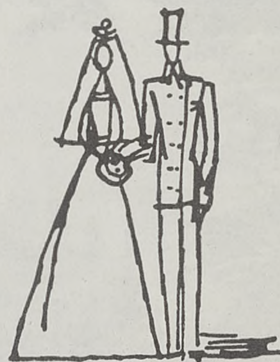


PTASZKI W KLATCE

„Czego płaczesz?“, staremu mówił czyżyk młody,
„masz teraz lepsze w klatce niż w polu wygody“.
„Tyś w niej zrodzon“, rzekł stary, „przeto ci wybaczę;
jam był wolny, dziś w klatce, i dlatego płaczę“.

PRZYJACIEL

„Uciekam się“, rzekł Damon, „Aryście, do ciebie,
ratuj mnie, przyjacielu, w ostatniej potrzebie:
kocham piękną Irenę; rodzice i ona
jeszcze na moje prośby nie jest nakłoniona“.
Aryst na to: „Wiesz dobrze, wybrany z śród wielu,
jak tobie z duszy sprzyjam, miły przyjacielu;
pójdę do nich za tobą“. Jakoż się nie lenił,
poszedł, poznał Irenę i — sam się ożenił.



DEWOTKA



Dewotce służebnica w czymsiś przewiniła
właśnie natenczas, kiedy pacierze kończyła;
obróciwszy się przeto z gniewem do dziewczyny,
mówiąc właśnie te słowa: „I odpuść nam winy,
jak i my odpuszczamy“, biła bez litości.
Uchowaj, Panie Boże, takiej pobożności!

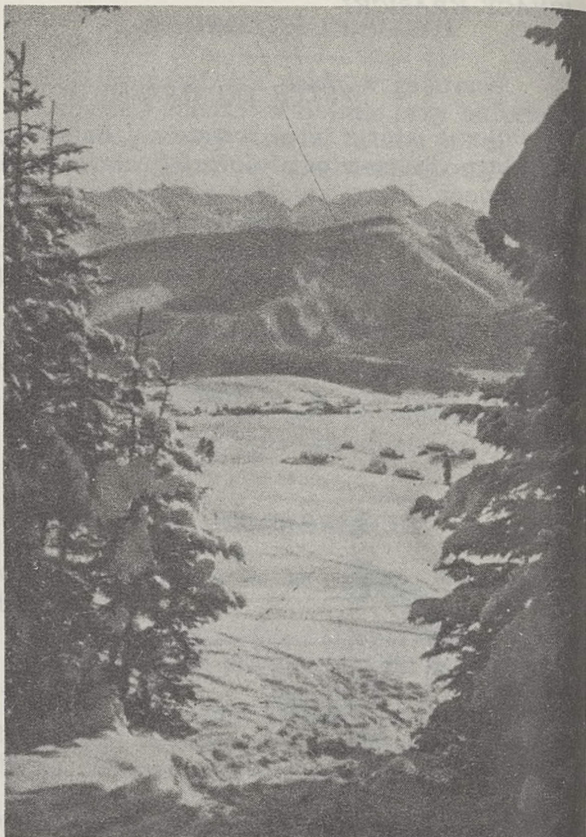
PAN i PIES

Pies szczekał na złodzieja, całą noc się trudził,
obili go nazajutrz, że pana obudził.
Spał smaczno drugiej nocy, złodzieja nie czekał;
ten dom skradł; psa obili za to, że nie szczekał.

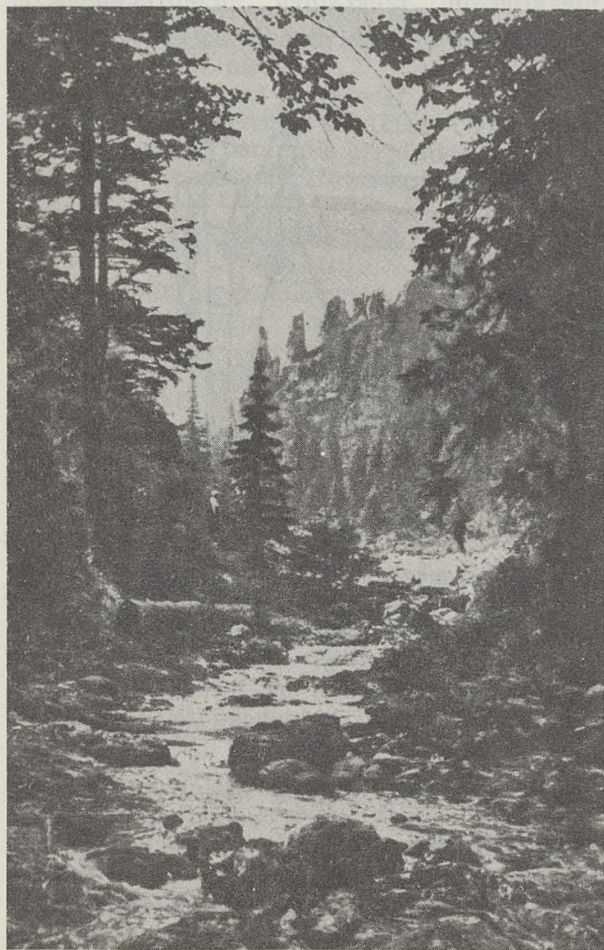
POLSKĄ



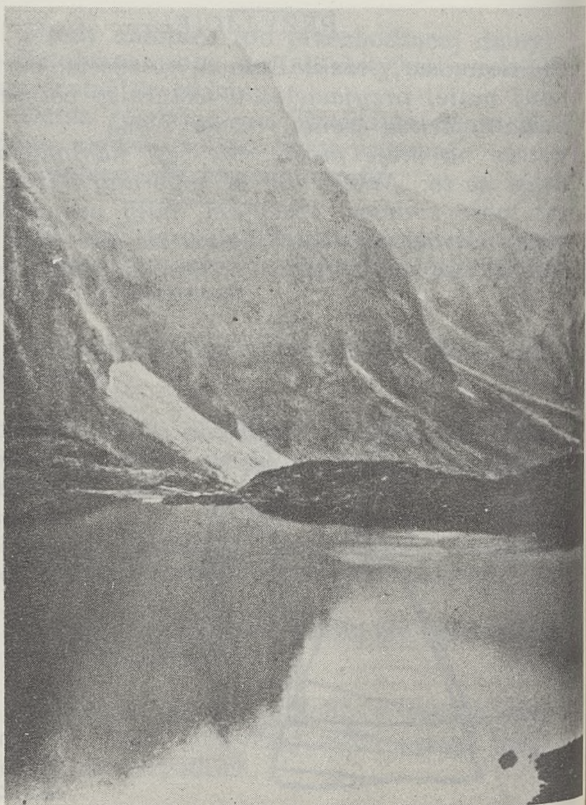
Mięguszowieckie Szczyty



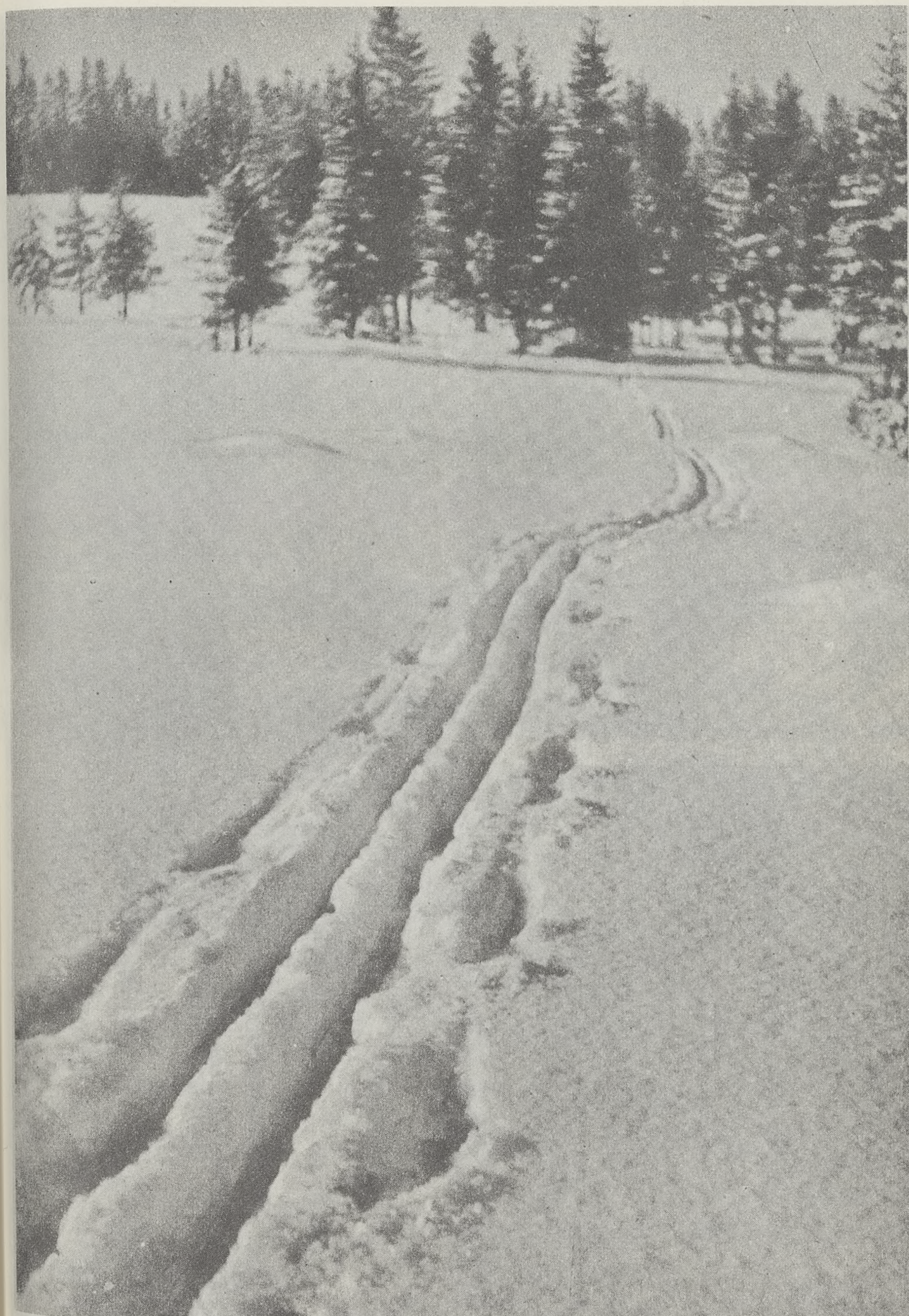
Dolina Zakopanego



Kominy w Dolinie Strążyskiej



Czarny Staw Nad Morskiem Okiem



Narciarskim Śladem



KRZEMIENIEC. Fragment Liceum krzemienieckiego.



KRZEMIENIEC. Liceum krzemienieckie.

Piękno Ziemi

Polskiej,

Stary Gród

Polski

Krzemieniec

Na Wołyniu



KRZEMIENIEC. Góra Królowej Bony

Dawna resursa, teraz internat w Suwałkach w Polsce

Pielgrzymka w czasie procesji w Częstochowie

Przy ulicy Książęcej
tak jak w starej piosence
park na stoku zakwita zielony.
Gdy tam wejdziesz, wnet powiesz:
cóż, sielanka, więc kto wie,
może Laurę tu spotkam z Filonem?

I spotykasz zdziwiony,
wśród szpalerów strzyżonych
nie podskarbich, nie książąt, nie damy
ani panów podstolich,
tylko dzieci z przedszkoli,
uśmiechnięte i szczęśliwe mamy.

Od srebrnego wybrzeża
świat otwarty na ścieżaj,
odmłodzony przez nowe trawniki.
Tu ogrodnik warszawski
sadząc drzewka i krzaczki
do śpiewania ośmieli słowiki.

A gdy lata przeminą,
drzewa w las się rozwiną,
w las wokoło szumiący jak rzeka,
przyjdą starzy i młodzi,
by się tutaj ochłodzić
i pomarzyć o szczęściu człowieka.

Słowa: T. FANGRAT
Muzyka: A. BARCHOCZ



Piosenka O WARSZAWSKIM PARKU

Umiarkowanie

1. Przy u - li cy Ksią - żę cej, tak jak w sta-rej pio - sen - ce, park na sto - ku za - kwi-ta zie - lo - ny. Gdy tam
wej-dziesz, wnet po-wiesz: cóż, sie - la-nka, więc kto wie, mo-że Lau-rę tu spo-tkam z Fi - lo - nem? I spo - ty-kasz zdzi-
- wio-ny, wśród szpa-le-rów strzy - żo - nych nie pod-skar-bich, nie ksią-żąt, nie da - my a - ni pa - nów pod-sto-lich, tyl-ko
dzie-ci z przed-szko-li, u-śmie-chnię-te i szczę-śli - we ma - my. Tu gdzie o - ngi brat kró-la w sztucznych gro-tach pił,
hu-lał, o - to-czo-ny przez rój fa - wo-ry - tów, sie-dzi u-czeń z Po-wi-śla i nad ksią-żką roz - my-śla, wiatr mu ska-cze po
kar-tkach ze - szy - tu, sie-dzi u-czeń z Po-wi-śla i nad ksią-żką roz-my-śla, wiatr mu ska-cze po kar-tkach ze - szy - tu.

Zespół Pieśni i Tańca „Śląsk" w swojej siedzibie w Koszęcinie.

DZIADEK

Idzie stary dziadek, kijem się podpiyro,
za nim szwarno dzioucha na niego spoziyro.
Uoj, ty dziadu, dziaduleńku, obejrzyj się pomaleńku,
kto za tobą idzie drogą drobnymi kroczkami,
Uoj, ty dziadu, dziaduleńku, obejrzyj się pomaleńku,
kto za tobą idzie drogą, hej!

Idzie stary dziadek, nic sie nie oglądo,
choć tam szwarno dzioucha na niego spoglądo.
Uoj, ty dziadu, dziaduleńku itd.

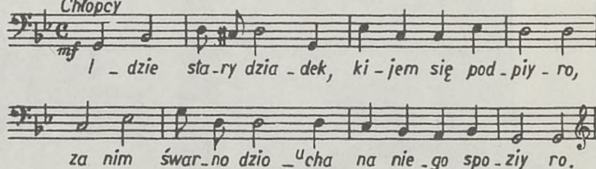
Nie uoglądnym jo sie poza siebie przecie,
choć tam szwarno dzioucha cosik do mnie plecie.
Uoj, ty dziadu, dziaduleńku itd.

Zaśmioł sie ten dziadek, u cha cha cha cha cha!
Uoj, wy mili moi, nie kuście wy dziada.
Uoj, ty dziadu, dziaduleńku itd.

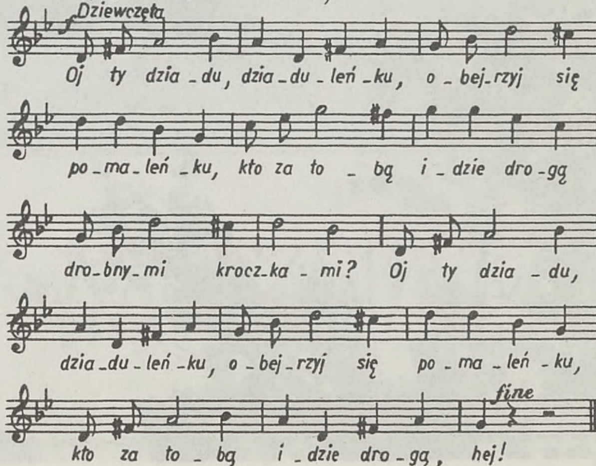
Nie uoglądnym jo sie poza siebie przecie,
bobych sie zakochoł nade wszystko w świecie.
Uoj, ty dziadu, dziaduleńku itd.

Muzyka: S. HADYNA
Opr. słów: S. HADYNA

Rubasznie (Rividamente)

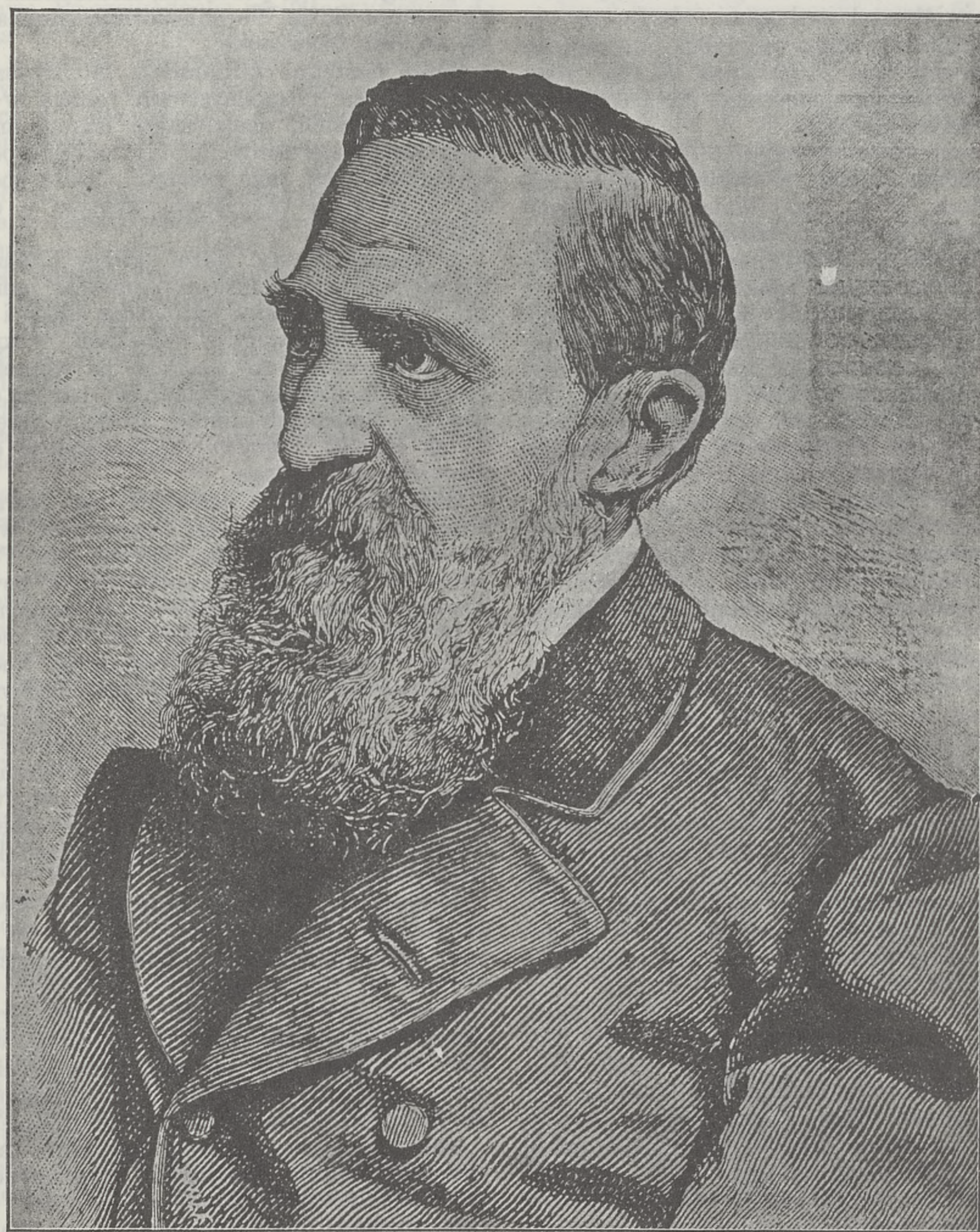


Żywo, figlarnie (Vivo scherzando)



Kościółek Gimnazjalny w Suwałkach w Polsce

Odbudowane domy zabytkowe przy ulicy Długiej w Gdańsku



JÓZEF IGNACY KRASZEWSKI

JÓZEF IGNACY KRASZEWSKI

JÓZEF IGNACY KRASZEWSKI, jeden z największych zasługami, a bodaj czy nie największy pracą syn Polski, urodził się w Warszawie, dnia 28-go lipca 1812-go roku, jako syn obywatela ziemskiego, Jana Kraszewskiego i Zofji z Malskich.

Lata dzieciństwa spędził pod okiem rodziców we wsi Dołhem, częścią w Romanowie na Podlasiu, w domu babki, Anny Malskiej. Gdy skończył dziesięć lat życia, posłano go do szkoły wydziałowej w Białej, gdzie spędził cztery lata na nauce, robiąc znakomite postępy we wszystkich przedmiotach, jakich tam uczono. Młodziutki Kraszewski już jako uczeń tej szkoły okazywał nadzwyczajne zdolności do pisania i w tym okresie napisał kilka utworów wierszowanych. W utworach tych, szczególnie w baladzie pod tytułem "Klasztor na górze" przebija się wielkie bogactwo myśli i fantazji, które zwróciło na młodego ucznia uwagę profesora Adama Bartoszewicza. Wielki ten pedagog posiadał ogromne zbiory książek i chętnie wypożyczał Kraszewskiemu dzieła poetów naszych i w ten sposób pobudzał fantazję młodziutkiego pisarza.

Po ukończeniu szkoły w Białej Kraszewski uczęszczał do szkoły w Lublinie, następnie do gimnazjum w Swisłoczy na Litwie, poczem wstąpił na uniwersytet w Wilnie.

Już na pierwszym roku uniwersytetu Kraszewski napisał kilka krótszych i dłuższych powieści, ale ukrywał się z tem przed rodzicami, gdyż ojciec jego nie byłby zadowolony, gdyby wiedział, że syn ma zostać literatem. Nie wiedział i nie przewidywał wówczas ojciec wielkiego pisarza, że syn jego rozsławi imię Kraszewskich po całej Polsce. Dopiero po zamknięciu uniwersytetu wileńskiego przez Rosjan, Kraszewski zabrał się na dobre do pisania powieści i do pracy w innych dziedzinach literatury. Tłumaczył z obcych języków, układał wielki słownik polsko-rosyjsko-francuski, pracował nad historją miasta Wilna i przy tych wszystkich zajęciach poświęcał także wiele czasu muzyce, w której robił wielkie postępy.

Gdy rodzina i przyjaciele, zaniepokojeni o jego zdrowie, radzili mu, żeby mniej pracował, oświadczył w jednym z listów do matki, że "będzie czas odpocząć, gdy już ręce nie będą mogły trzymać pióra, oczy nie zobaczą liter na papierze, głowa nie usnuje myśli, gdy wydam ze dwieście tomów dzieł, kiedy będę stary, sparaliżowany, niedołężny".

Na żądanie ojca Kraszewski został ziemianinem i pierwsze kroki na tem polu stawiał na dzierżawie we wsi Omelno, w powiecie łuckim na Wołyniu. Przyprowadziwszy gospodarstwo do jakiegotakiego porządku, Kraszewski ożenił się z panną Zofją Woroniczówną i zamieszkał z nią na swej dzierżawie.

Przez następne kilkanaście lat Kraszewski zajmował się gospodarstwem rolnem w kilku miejscowościach, poświęcając jednak znaczną część czasu literaturze. W tym okresie powstało bardzo wiele jego powieści, które spotkały się z gorącem przyjęciem krytyki i czytelnictwa.

W czasach kiedy Józef Ignacy Kraszewski był obywatelem ziemskim, panowała pańszczyzna i stan wieśniaków był bardzo ciężki i wyzyskiwany. Kraszewski w wioskach, w których czy to dzierżawił czy posiadał na właność majątek, obchodził się z poddanymi bardzo dobrotliwie, a w pismach i listach swoich występował w ich obronie i wzywał społeczeństwo do poprawienia doli chłopa.

Chcąc całkowicie poświęcić się literaturze Kraszewski porzucił wieś i zamieszkał w Żytomierzu, gdzie przebywał siedem lat. Podczas pobytu w Żytomierzu napisał wiele powieści, rozpraw naukowych i dzieł historycznych.

W roku 1859-ym Kraszewski objął redakcję "Gazety Codziennej" w Warszawie. Pod jego kierownictwem pismo to dosięgło najwyższego stopnia rozwoju. Jako redaktor polskiego pisma, Kraszewski naraził się ówczesnemu zastępcy namiestnika carskiego, margrabiemu Aleksandrowi Wielopolskiemu, który dopatrywał się w artykułach Kraszewskiego krytyki swego postępowania i rozkazał mu opuścić redakcję, a potem wyjechać z kraju.

Wygnany z ojczyzny, Józef Ignacy Kraszewski osiadł w Dreźnie i tu przebywał lat 22. W roku 1864-ym doszła go wieść o śmierci ojca, w kilka lat później umarła zamężna jego córka, a jeszcze później ukochana wnuczka Kraszewskiego opuściła ten świat. Nieszczęśliwy wygnaniec nie mógł nawet na pogrzeb swych najbliższych pospieszyć do kraju, tylko w samotności, na obczyźnie musiał opłakiwać ich zgon.

Jak od najwcześniejszej młodości, tak i w późnym wieku, Kraszewski niezmordowanie pracował nietylko całemi dniami, ale i po nocach. Czczony przez wszystkich co go znali, otaczany przez swoich i obcych szacunkiem i poważaniem, sędziwy starzec zamiast spocząć wygodnie, gdyż stosunki materjalne pozwalały mu na zaprzestanie pracy zarobkowej, godziny jednej nie chciał spędzić bez pożytku dla swego narodu i literatury.

W roku 1879-ym Polacy zamieszkali w Dreźnie obchodzili pięćdziesięcioletni jubileusz autorskiej pracy Kraszewskiego. Z całego świata nadchodziły telegramy gratulacyjne od ziom-

ków wielkiego pisarza, jak również od wybitnych osobistości zagranicznego świata naukowego i literackiego.

Jubileusz ten obchodzony był także i w Krakowie i trwał pięć dni. Z różnych stron Polski przybyło na ten obchód przeszło 15,000 osób do Krakowa. Po czcigodnego jubilata wyjechała do Drezna specjalna deputacja, która towarzyszyła mu w drodze. Na dworcach kolejowych oczekiwały Kraszewskiego tłumy ludu. Gdy pociąg wiozący jubilata stanął w Krakowie, Kraszewski przeszedł wśród szpalerów utworzonych przez młodzież akademicką i straż ogniową i wsiadł do powozu z ówczesnym prezydentem miasta, a dokoła pojazdu ugrupowały się stowarzyszenia i cechy miejskie ze sztandarami. Wśród nieustannych okrzyków wielotysięcznych tłumów publiczności przejechał powóz przez miasto do Sukiennic, gdzie Kraszewski zasiadł na wysokiem krześle, aby wysłuchać kantaty odśpiewanej na jego cześć. W ten sposób oddawał naród polski hołd i cześć temu olbrzymowi pracy, który niezmożone zasługi oddał literaturze polskiej.

Przez 57 lat Kraszewski pisał dla wszystkich i o wszystkiem. A działalność jego pisarska rozwijała się w czasach, kiedy nieprzyjaciele tępili i prześladowali język polski. Panowie, szlachta i duchowieństwo, to jest oświecone warstwy narodu doznawały srogiego ucisku ze strony wrogich rządów zaborczych i nie śmiały nawet myśleć o ratowaniu polskości. Chłopi żyli w nędzy i ciemnocie i z małemi wyjątkami nie rozumieli nawet, jak straszna klęska spotkała naszą ojczyznę. Poeci nasi przebywali na obczyznie, na wygnaniu, w kraju panowało przygnębienie i rozpacz.

W takim czasie zaczął Kraszewski przemawiać do społeczeństwa polskiego i nakłaniać do czytania polskich książek. Przekonał też ziomków, że polskie książki są odpowiedniejsze i lepsze dla Polaków niż książki francuskie, które dotychczas wyłącznie czytywano w domach panów i szlachty. W powieściach swych wzywał szlachtę i wielkich panów, aby się pozbyli pychy, niezgody, lenistwa, aby oświecali lud i z nędzy go dźwigali. Przez pisma swoje pragnął Kraszewski Żydów zamienić w gorliwych Polaków.

Nie szło Kraszewskiemu o sławę ani majątek; do pracy popychało go ukochanie prześladowanej ojczyzny, którą chciał podnieść i uszczęśliwić. Wierzył zawsze w miłość i braterstwo, a unikał nienawiści i zemsty, wierzył w prawo sumienia, w sprawiedliwość bożą i we wszystko, co człowieka podnosi, co dobre, wielkie i piękne.

Józef Ignacy Kraszewski przez 57 lat swej działalności literackiej napisał około sześćset tomów powieści, dramatów, poezyj i dzieł naukowych. Niezmordowany pracownik zajmował się przez wiele lat gospodarstwem rolnem, wydawaniem czasopism, malarstwem i muzyką. Był dyrektorem teatru i założycielem Macierzy Polskiej.

Budził życie narodowe tam, gdzie ono gasło, dodawał odwagi, pocieszał, napominał, ośmieszał wady, wysławiał cnoty. Pracował od młodości do późnej starości, w kraju i zagranicą, na wolności i w więzieniu, do którego wtrącili go Prusacy. Wiek podeszły, choroby, nieszczęścia nie potrafiły zmniejszyć ani osłabić jego pracowitości, energji i wytrwałości. Książki jego zachęcały cały zastęp pisarzy do twórczej pracy, a cały naród do czytania polskich powieści.

Pracowity i zbożny swój żywot zakończył Józef Ignacy Kraszewski w Genewie, w dzień swego patrona, świętego Józefa, 19-go marca 1887-go roku. Zwłoki jego zabalsamowano i tymczasowo złożono na cmentarzu genewskim, aby je później przewieźć do kraju. Życzeniem narodu było, żeby znakomity ten mąż, wielki obywatel i pisarz, spoczął na wieki w grobie zasłużonych w Krakowie na Skałce.

Pogrzeb Kraszewskiego, w Krakowie, który odbył się dnia 18-go kwietnia 1887-go roku był wymownym dowodem, jak bardzo kochany i czczony przez wszystkie warstwy społeczeństwa był ten wielki pisarz. Przy dźwiękach Zygmunta, i wszystkich dzwonów świątyń posuwał się orszak pogrzebowy ku Skałce, a za nim wielotysięczne tłumy ludu ze wszystkich stron Polski, poważne, korne, przejęte żałobą po wielkim człowieku. Delegacje z całego kraju i z zagranicy niosły setki wieńców z napisami, całe miasto, kraj cały pokryty był żałobą.

Trumna ze złokami Kraszewskiego spoczywa w krypcie zasłużonych, obok sarkofagu Długosza. Tak uczcił naród polski wielkiego męża, który pracą swą znakomicie przyczynił się do rozwoju literatury polskiej i przez całe życie wzywał do braterstwa i miłości ojczyzny.





MISS PUK

FIGURYNKA PORCELANOWA

PANNA EMILJA nerwowo rozdarła opaskę pocztową. Był to ostatni numer tygodnika wychodzącego w stolicy p. t. "Kobieca Dusza". Oczy panienki gorączkowo przebiegły rubrykę "Odpowiedzi i Rady Redakcji", aż znalazły to, czego tak szukały.

— Pannie Emilji z Rożniatowa. Pyta nas miła pani, jak przezwyciężyć wstydliwość w towarzystwie? Sama byłam panną i odznaczałam się również ogromną nieśmiałością. Proszę nie rozpaczać i być cierpliwą — to winno wkrótce przejść i przejdzie. Nazwę kremu na porost brwi podałam już w tamtym numerze. Na wypadek jakichkolwiek nowych wątpliwości, proszę pytać szczerze. Podpisana panią zrozumie i odczuje.

Figurynka Porcelanowa."

Panna Emilja z radością przytuliła tygodnik do serca i siadła do pisania.

* * *

Hapuński, sekretarz redakcji tygodnika "Kobieca Dusza" nienawistnie spojrzał na stos listów, złożonych na jego biurku, podrapał się w resztę włosów na tyle głowy i z westchnieniem otworzył list pierwszy. Po przeczytaniu zamyślił się głęboko, poczem szybko napisał:

— Pannie Emilji w Rożniatowie. Zapytuje pani, jak należy, przy dzisiejszej szczupłej modzie, postępować z biustem? I ja byłam panną, a chyba sam ten fakt już wystarczy do uspokojenia obaw pani. Z własnego doświadczenia gorąco polecić mogę do tego celu francuski biustospinacz "Ballon Captif".

Hapuński wziął list następny.

— U mego dziecięcia kiełkują pierwsze ząbki. Jakie jest pani zapatrywanie na korzeń fiołkowy? O radykalną odpowiedź prosi: Stroskana Matka.

Hapuński splunął i już pisał.

— Sama jestem matką i spędziłam wiele bezsennych nocy nad kolebką moich wielu nowonarodzonych dzieci. Pomimo to w stosunku do korzenia fiołkowego stoję na stanowisku negatywnem.

Dalszy list przyniósł czytającemu dość kłopotu.

— Mimo moich zaledwie dwudziestu lat, jestem bardzo głęboko nieszczęśliwa. Mąż nie rozumie mnie wcale i codziennie brutalnie pastwi się nad moją duszą. Jaka na to rada? Czy to prawda, że w Paryżu chodzą obecnie elgantki już bez pończoch, lecz zato z nogami aż do kolan malowanemi w ręczne, kolorowe rysunki? Zapoznana z Buczacza.

— Tak, — odpisywał Hapuński — paryżanki nierzadko obecnie ozdabiają swe minjaturowe nóżki malowidłami. Sama jestem kobietą, to też z radością witam nasze paryskie siostrzyce, jako pionierki nowej, światoburczej mody. Czem jest w istocie nasz mały pantofelek...

Tu popatrzał na swoje olbrzymie, pokręcone, niemodne trzewiczyska.

...ten czarujący drobiazg, ścigający łakome spojrzenia mężczyzn?...

Przy tych słowach but pokręcił zadartym nosem i szybko a wstydliwie schował się pod biurko.

Hapuński przeczytał z dużem zadowoleniem ostatnią odpowiedź.

— Coby się stało z "Duszą Kobiety", gdyby mnie tu nie było?...

. . . .

Panna Emilja czytała ostatnią odpowiedź "Figurynki" z łatwo zrozumiałem wzruszeniem.

— Czuła, subtelna, wyrozumiała, uprzejma — szeptała sama do siebie — taka rozumna, a odpowiedziała mi na wszystkie moje pytania. I zawsze tak trafnie, z czuciem, prawdziwie po kobiecemu... Muszę pojechać, aby ją poznać i poradzić się jeszcze w wielu innych moich zwątpieniach i troskach.

Niedługo potem wchodziła Emilja z bijącem sercem do redakcji "Duszy Kobiety".

— Chciałabym mówić z panią "Figurynką Porcelanową..."

— Pierwsze drzwi na prawo. Pokój sekretarza redakcji.





Drżąc zapukała do wskazanych drzwi.

— Proszę! — huknął opryskliwy głos.

— To chyba nie tutaj — pomyślała, otwierając z trwogą.

— Czego pani sobie życzy?— warknął gruby, łysy jegomość z za biurka.

— Czy mogłabym mówić z panią "Figurynką Porcelanową"? Przepraszam, że nie znam właściwego nazwiska...

— Klemens Hapuński... sekretarz redakcji.

— Bardzo mi miło. Czy mogłabym widzieć teraz tę osobę?

— Owszem. Do usług pani.

Emilja sądziła, że teraz łysy jegomość zawoła lub zadzwoni na kogo.



— Nie, to nie ból gardła. To krawat, który mu kupiłam na święta.

Hapuński skrzyżował ręce na brzuchu i puścił palcami młynka.

— Słucham. O co chodzi?

— Ja nie do pana. Ja do niej. Do "Figurynki". Jestem Emilja Barańczykówna z Rożniatowa. Ta pani mnie już zna. Z listów oczywiście.

— Emilja z Rożniatowa?!— huknął łysy. — Zaraz. Przypominam sobie coś o tej Emilji...

— Czyżby panu mówiła o mnie ta przemiła kobieta?

— Już wiem. Woda na piegi... balon captif... krem na liszaje... wągry na nosie i pocące się ręce... Nie, przepraszam, wągry i ręce, to zdaje się, u "Marzycielki" z Tarnopola... Tak, to pani także pytała o środek na ząbkowanie w siódmym miesiącu? Czy to "Kobieta z Tyśmienicy"?... Już nie pamiętam.

Emilja uczuła, jak śmiertelnie zimny pot rosi jej twarz.

— Zaraz. Tu leży jeszcze ostatni list pani. Oto jest: Emilja z Rożniatowa... to pani?...

— Pan nie ma prawa czytać cudzych listów! — wyrwała mu list z ręki i podarła na drobne kawałki.

Hapuński zachmurzył się.

— A pani niema prawa drzeć listów, będących własnością redakcji.

— Mam prawo! Pisałam do "Figurynki", a nie do pana!

— Powtarzam pani po raz czwarty, że 'Figurynka" to przecież ja. W życiu jestem Hapuńskim, w odpowiedziach redakcji "Figurynką"...

Emilji oczy rozszerzyły się, pobladła, jęknęła głucho i głowa jej nieprzytomnie opadła na stół.

— Wody!! — ryknął Hapuński i pobiegł z dzbankiem do wodociągu w przedpokoju. Przyklęknął przed nią, przytknął jej dzbanek do ust. Szloch jej wstrząsał całym pokojem.

— Pij pani, pij, woda dobrze robi na zawody życiowe, proszę pić, panno Emiljo, wypij wszystko... znowu przyniosę.



Ogarnęło go wzruszenie i żal, więc głosem miękkim i głębokim, choć beznadziejnie basowym, zaczął mówić:

— Panno Emiljo, nie trzeba tak... Sama byłam panną... ja rozumiem pani rozczarowanie...

Histeryczny okrzyk odrzucił go wraz z dzbankiem w drugi kąt pokoju.

— Precz! Oszust! Udawał kobietę, by wdzierać się w tajniki niewieście!

W tem miejscu przerwała się granica wzruszenia Hapuńskiego.

Wstał i brutalnie huknął:

— A więc tak! Nie byłem nigdy kobietą. Jestem od urodzenia pięćdziesięcioletnim mężczyzną, a nie żadną... psiakrew! figurą porcelanową! Dziennikarz musi często udawać wiele rzeczy. Nawet czasem kobietę. Ale prenumeratorkom w to wglądać nie wolno! "Dusza Kobiety" udziela porad tylko listownie! Proszę opuścić lokal redakcyjny!!!



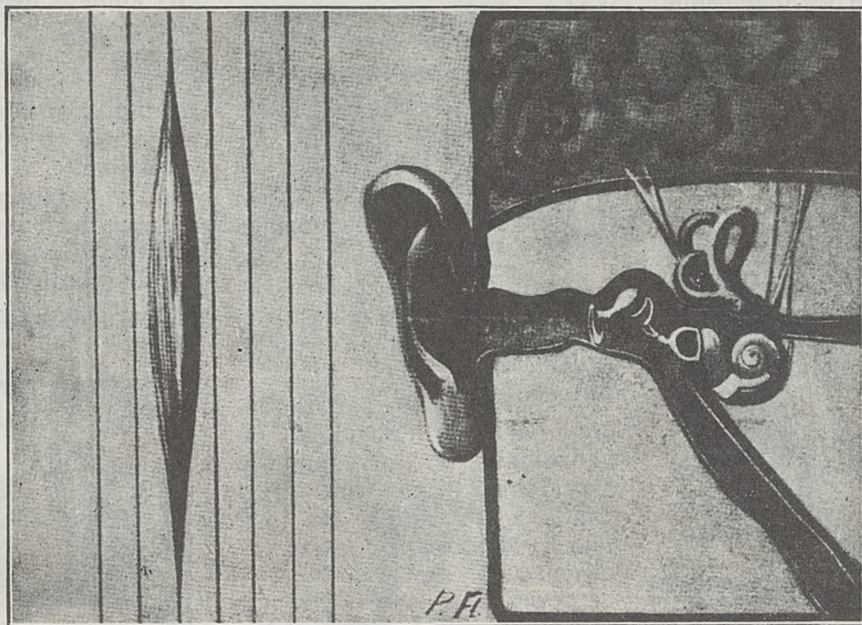
A ten aparat ile kosztuje?

SŁUCH I UCHO

NIEMA na świecie lepszego inżyniera, technika, mechanika lub architekty ponad naturę. Wytrwała praca ludzkości, badania i dociekania uczonych prowadzone przez całe stulecia, dały światu wynalazki, graniczące niemal z nieprawdopodobieństwem, ale żaden wynalazca ani uczony nie byłby w możności zbudować coś tak niesłychanie skomplikowanego a działającego sprawnie i dokładnie, jak pierwszy lepszy narząd ludzkiego czy zwierzęcego ustroju.

Codziennie patrzymy na te cuda natury i nawet nie zastanawiamy się nad ich misternością, codziennie posługujemy się nimi nie zdając sobie sprawy z ich cudownej budowy. Patrzymy oczami, nie myśląc, że oko jest najcudowniejszym aparatem fotograficznym. Chwytamy dźwięki uchem i nie przychodzi nam na myśl, że to ucho jest jednym z największych cudów naszego ustroju.

Jakkolwiek wiedza potrafiła już zbadać dokładnie budowę tego misternego narządu słuchu, właściwy sposób jego funkcjonowania pozostaje jeszcze nierozwiązaną zagadką. Znany jest tylko mechanizm działający w chwili, gdy słyszymy, to znaczy w chwili, gdy drganie powietrza wywołane przez jakiś ton dostaje się do ucha i tam przemienia się w dosłyszalny dźwięk. Ale ów czynnik ostateczny, powodujący, że drgające fale powietrza, same przez się nieme, stają się dla nas dosłyszalnym głosem człowieka, przyjemnemi tonami muzyki, twardym hukiem uderzeń młota, przeraźliwem wyciem trąbki samochodowej lub głośnym gwizdem lokomotywy kolejowej, stanowi do dziś nierozwiązaną tajemnicę. Tajemnica ta ma swoje rozwiązanie w mózgu, a poznanie wszystkich procesów, jakie się tam odbywają, na długo jeszcze pozostanie dla ludzkości niedoścignionem marzeniem. Natura jest zazdrosna o swoje cuda i niechętnie je odsłania naszym oczom.



Rysunek 1.

Pierwszym odbiorcą drgających fal powietrza jest małżownica ucha. Nie należy jednak sądzić, żeby ona właśnie odgrywała najważniejszą rolę w procesie słuchowym. Liczne badania, wykazały, że człowiek pozbawiony małżownicy słyszy gorzej w tym tylko stopniu, w jakim słyszałby, gdyby miał małżownicę przywiązaną mocno do głowy. Inaczej dzieje się u zwierząt, posiadających wielkie małżownice, specjalnie do ich potrzeb przystosowane. W sposobie słuchania zachodzi wielka różnica między człowiekiem a zwierzęciem. Człowiekowi niepotrzebna jest wielka małżownica, gdyż chodzi prosto, może z łatwością obracać głowę na wszystkie strony i temsamem chwytać zewsząd fale dźwiękowe, podczas gdy niektóre zwierzęta, nie mogąc wykonywać takich ruchów, jak

człowiek, muszą być zaopatrzone w wielką małżownicę.

Małżownicę można sobie wyobrazić jako bramę prowadzącą do naszego ucha. Drgające fale powietrza dostają się do zewnętrznego "kanału słuchowego" i tym kanałem przedostają się do znajdującej się na jego końcu delikatnej błonki, tak zwanego "bębenka". Bębenek nie jest mocno naprężony i może kołysać się w jedną lub drugą stronę, ku górze lub ku dołowi, odpowiednio do uderzających weń drgających fal powietrznych.

To wolne kołysanie się bębenka jest pierwszym cudem naszego narządu słuchowego, polegającym na równomiernem ciśnieniu powietrza z obu stron. Gdyby nie to równomierne ciśnienie, błonka musiałaby się poddawać silniejszemu ciśnieniu i nie mogłaby się swobodnie kołysać. Od strony małżownicy ciśnie powietrze z takąsamą siłą, z jaką ciśnie od wewnątrz ucha. Ciśnienia te utrzymuje w równowadze rurka, prowadząca od wewnętrznego kanału słuchowego do jamy ustnej, zwana "trąbką Eustachjusza". Temu działaniu trąbki Eustachjusza możemy przypisać, że, wsłuchując się w bardzo ciche tony, mimowoli otwieramy usta. Z tegosamego powodu artylerzyści obsługujący armaty otwierają szeroko usta, gdy działo ma wystrzelić. Gdyby tego nie robili, nagłe podwyższenie zewnętrznego ciśnienia, spowodowane silnie drgającemi falami wybuchu, nie działałoby z zewnątrz na bębenek, który z powodu powstałej nierównowagi mógłby pęknąć.

Kiedy człowiek jest silnie zakatarzony, trąbka Eustachjusza często puchnie i dlatego słuch nasz staje się nieco przytępiony, doznajemy dziwnego uczucia w głowie i nierzadko ucisku w okolicy ucha.

Za bębenkiem znajduje się jama z kości, czyli tak zwane



Rysunek 2.

"ucho środkowe" zawierające trzy małe kosteczki dziwnego kształtu (zobacz rysunek I). Jedna z tych kosteczek nazywa się "młotkiem", którego rączka jest mocno przytwierdzona do bębenka, druga — "kowadłem", na którego wierzchu spoczywa główka młotka, trzecia to "strzemię" którego jeden koniec przylega do kowadła, a drugi zamyka owalny otwór, znajdujący się w jamie naprzeciw bębenka (zobacz rysunek 2).

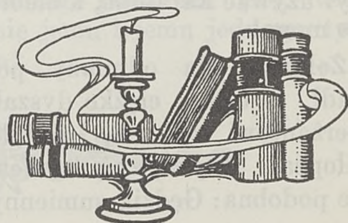
Wszystkie te trzy kosteczki są ze sobą połączone w tak gibki sposób, że ciśnienie wywierane przez fale dźwiękowe na bębenek, wywołuje falisty ruch młotka, który z tego powodu nie uderza w kowadło, lecz wprawia je w ruch kołyszący, ten zaś udziela się natychmiast strzemieniu, a w końcu owalnemu otworowi, zwanemu "okienkiem".

Dlaczegoż aż tak skomplikowany system przenoszenia drgań bębenka? Wszak byłoby o wiele prościej, gdyby bębenek znajdował się tuż przy owalnym otworze, czyli przy okienku, poza którem jest umieszczony właściwy narząd słuchu. Nad tą kwestją uczeni przez długi czas łamali sobie głowę. Dopiero najnowsze badania zdołały wykryć niesłychaną misterność tej cudownej budowy.

Okienko prowadzi do następnej jamy z kości, mającej tak zawiły kształt, że dawna anatomja ochrzciła ją słusznie nazwą "labiryntu". W tym labiryncie dokonywa się ostateczna przemiana drgań dźwiękowych na odpowiednie dźwięki i tony. Cała konstrukcja ucha przypomina budowę fortepianu, z tą różnicą, że w struny fortepianu uderzają klawiszowe młoteczki, a w struny naszego narządu słuchowego uderzają drgające fale powietrza.

Na rysunku 1 widzimy szereg linij układem swym podobnych do strun fortepianowych. Są to włókna nerwowe, które dźwięczą, gdy drganie powietrza, jakby niewidzialne palce, po nich uderza. Ażeby to uderzanie odbywało się w sposób tak mistrzowski jak to dzieje się w naszem uchu, potrzebny jest właśnie ten skomplikowany system trzech kosteczek, zwanych "młotkiem", "kowadłem" i "strzemieniem". One to bowiem sprawiają, że drganie powietrza dostaje się do narządu słuchowego w odpowiedniej i koniecznej formie. Te trzy kosteczki możnaby porównać do pedałów przy fortepianie, wzmacniających lub osłabiających tony.

Jak więc widzimy, natura jest niezrównaną mistrzynią w każdym swoim tworze i wszystko co robi, robi doskonale w najdrobniejszych szczegółach.



Mistrzowski Chwyt

NAPISAŁ ZYGMUNT OSIKA

GDY w niedzielę, na dwa mniej więcej tygodnie przed Bożem Narodzeniem, kapitan Warecki przypomniał przy rozkazie, by się zgłosili ci, którzy chcą wyjechać na święta, zakipiało w kompanji od uciechy.

Zgłoszenia były tak liczne, że sierżant, dostawszy ich spis w ręce, zaklął siarczyście:

— Do stu tysięcy bomb i kartaczy! Ktoś przecie pozostać musi. Bo któż służbę pełnić będzie, gdy rozjedziecie się wszyscy?

Przeglądając wręczony mu regestr, zatrzymał się nagle.

—Gędzik! — zawołał tonem takim, jak gdyby świat przed jego oczami wywracał się z posad.

— Ty także?

— Wedle rozkazu, panie sierżancie! — ozwał się Gędzik, ponsowiejąc jak indyk.

— Tego byłbym nie przypuszczał! Tobie wybierać się na święta? Widziałem wiele rzeczy dziwnych, ale takiego, jak ty, niedołęgi nie zdarzyło mi się spotkać. Woła byłbym nauczył używać karabina, a ciebie nie mogę!

Żołnierz dla odmiany pobladł i tylko ciężko dyszał. Sierżantowi żal się zrobiło chłopca. Zaprzeczyć bowiem nie podobna: Gędzik sumienny był, jak rzadko, i chęci miał jaknajlepsze.

Nakiwawszy więc do syta głową nad wykazem, sierżant oświadczył ostatecznie:

— Ha! Dziej się wola nieba! Gędzik wprawdzie nic nie umie, ale Gędzik stara się i dlatego przedstawię Gędzika do raportu. Zobaczymy co będzie!



Czemuż nie podniosłeś czapki?

— Chwała Bogu, — pomyślał biedak — przynajmniej nadzieja ocalona.

— Jakże ja ciebie mogę puścić? — rozwodził się nazajutrz przy raporcie kapitan Warecki. Pojadą inni chłopcy, zuchy, aż miło. A ty co? Jakie wyobrażenie ludzie mieć będą o wojsku, gdy ciebie zobaczą?

Widząc jednak, że Gędzikowi łzy stanęły w oczach, zaczął inaczej.

— Wiesz co? — rzekł po chwili. — Zrób ty mi jeden chwyt dobrze, a pojedziesz. Masz kilka dni przed sobą; przecież to nie taka znowu sztuka, abyś jej nie dał rady.

I na tem stanęło.

Gędzik wziął sobie słowa komendanta do serca. Kaprala uprosił, aby mu pozwolił utrzymywać po dziewiątej światło w izbie i gdy towarzysze chrapali w najlepsze, on do północy, a nieraz i dłużej, harce wyprawiał z karabinem. Obrał sobie komendę: Na ramię broń! Do nogi broń!

Szło mu z kamienia. Karabin ani rusz nie chciał układać się do ręki, wyprawiał skoki tak dziwne, że rozpacz brała Gędzika.

— Jutro pójdzie lepiej! — pocieszał się, padając na tapczan, gdy mu już tchu zabrakło.

Lecz nazajutrz powtarzała się ta sama historja, dzień po dniu, a poprawy, jak nie było, tak nie było.

Przemęczonemu żołnierzowi twarz wychudła z trudu i niewyspania, oczy wpadły głęboko, ręce drżały, gięły się kolana. Na popis przed kapitanem szedł, jak na stracenie. Oficer oczekiwał go już.

— No, Gędzik — przemówił poruszony widokiem niezmiernego strachu, jaki malował się na twarzy żołnierza. — Tyl-

ko spokojnie, głowy ci nie urwę. Jaki chwyt przerobiłeś?

— Na ramię broń! Do nogi broń! panie kapitanie... wedle rozkazu! — zdławionym głosem wybąkał zapytany.

— To bardzo piękny chwyt, chłopcze. Jakże go robisz?

A w duchu powiedział sobie:

— Może przecież bezpieczniej nie przypatrywać się zbyt ciekawie.

Gędzikowi poczerniało przed oczyma. Westchnąwszy o pomoc do Pana Boga, jak nie szarpnie karabinem... Zaprawdę, choć w krótkiej karjerze wojskowej miał sposobność pokazania wielu ohydnych, potwornych chwytów, tak szkaradnego nigdy jeszcze nie udało mu się wykonać. Nawet czapkę przeraziła niezręczność żołnierza do tego stopnia, iż spadła Gędzikowi z głowy.



Kapitan zgorszony odwrócił się.

— Ochłonie tymczasem, — myślał — przedewszystkiem podejmie czapkę, no, i może mu się przecie uda wykonać jako tako chwyt nieszczęsny.

Spojrzawszy po chwili, ku niezmiernemu swemu zdziwieniu, ujrzał, że Gędzik stoi jak skamieniały ciągle w tejsamej postawie. Czapka leżała na ziemi nietknięta.

Tego już było oficerowi za wiele.

— Patrz, — zżymał się, co za niezdara z ciebie! Czemuż nie podniosłeś przynajmniej czapki? Naumyślnie odwróciłem się, byś ją nasadził na tę głupią głowę, a ty stoisz, jak nosorożec, co ugrząźł w błocie i wygramolić się stamtąd nie umie!

— Panie kapitanie, — ja nie mogłem czapki ruszyć.

— Dlaczego?

— Byłem pewny, że pan kapitan nie widział, jak mi spadła z głowy. Gdybym więc skorzystał ze sposobności i nasadził ją napowrót, znaczyłoby to, że okłamuję pana kapitana.

Oficer spojrzał żołnierzowi bystro w oczy, potem dał mu znak, aby odszedł — i na tem skończył się popis.

— Już po moich świętach! — powiedział sobie Gędzik.

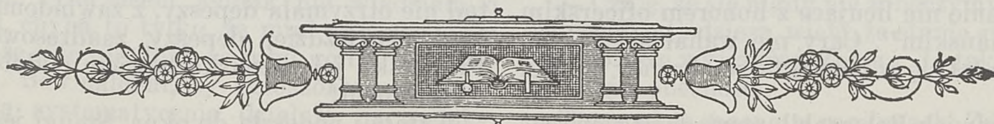
Nie rozpaczał jednak, znużenie uspokoiło go. Nie miał sobie zresztą nic do wyrzucenia. Uczynił, co mógł — a nie udało się, to trudna rada. Jeszcze nikt przecież głową nie przebił muru.

Następnego dnia po ukończeniu ćwiczeń kapitan, stanąwszy przed frontem kompanji, oznajmił, że przeczyta nazwiska tych, którym pozwolono wyjechać na czas świąteczny do domu. Gędzik własnym uszom nie chciał wierzyć, gdy w spisie znalazło się także jego nazwisko. Musiano go dopiero zapewnić, że to nie pomyłka.

Na odchodnem kapitan życzył wyjeżdżającym wesołych świąt, podszedłszy zaś ku Gędzikowi, podał mu rękę i serdecznie ją uścisnął ze słowami:

— Dzielny chłopak z ciebie!

W godzinę później szczęśliwy, jakby stu koni dosiadł, znalazł się Gędzik w wagonie. Gwiżdżąc i sapiąc, pociąg ruszył w drugę. Coraz spieszniej turkotały koła, coraz prędzej przesuwały się śnieżne przestrzenie przed oczyma żołnierza, który stęsknionym wzrokiem patrzył ku stronom rodzinnym. W bezmiernem szczęściu jedna tylko zagadka niepokoiła go przez całą drogę: z jakiej przyczyny kapitan nazwał go dzielnym chłopcem i dlaczego podał mu rękę, właśnie jemu i jemu jednemu tylko?



BELLE BURNS GROMER

GDY PTAK UDERZYŁ SKRZYDŁEM W SZYBĘ

DOPIERO gdy telegram był wysłany, gdy fantastyczny projekt, który powstał w nocy, tak jak tysiące innych dzikich kaprysów Leili Thayer, stał się rzeczywistością, ogarnął ją wówczas dziwny, niewytłumaczony lęk. Lęk ten nie odstępował jej, gdy wsunęła cicho klucz do zatrzasku i potem gdy, nie zdradzając swej obecności najmniejszym szelestem, wślizgnęła się do mieszkania. Zrzuciła szybko przemoczone ubranie i nałożyła swą ulubioną suknię, miekką i zieloną, obszytą koło szyi i rąk ciepłem futerkim. Leila wiedziała, że żadna suknia nie stanowi piękniejszej oprawy dla jej popielatych włosów i podłużnych, zielonkawych oczu.

Zresztą Cary lubił ją w zielonym kolorze. Serce Leili zadrgało. Cary otrzymuje w tej chwili w San Diego wieść, że Leila Thayer, jego żona, zginęła w wypadku samochodowym. Dałaby wszystko, co posiada, by wiedzieć, czy płacze, czy rozpacza, czy wytrąci go nareszcie z równowagi bolesna wiadomość.

Na kominku i bibliotece palił się ogień, Leila usiadła w głębokim fotelu, wpatrzyła się w tańczące płomienie. Lokaj przyniósł zrana bukiet późnych jesiennych chryzantem. Zapach ich złączył się z zapachem choiny schnącej w odległym kącie pokoju: był to jakby oddech Bożego Narodzenia.

W cudnych oczach Leili odbijały się jaskrawe promienie i źrenice jej lśniły, jak czerwone szkło. Cary nie powinien był zostawić jej samej wobec nadchodzących świąt. To było egoistyczne, potworne. Żaden obowiązek nie tłumaczył jego czynu. Zresztą czy miłość takiej, jak ona kobiety nie powinna stać wyżej nad wszelkie obowiązki? Cóż znaczył fakt, że Bob McKayn, jego najlepszy przyjaciel, wzywał go do siebie? Tak długo starała się go przekonać, lecz stalowe oczy Cary'ego, oczy szare jak okręty wojenne stojące w dalekim porcie, były niewzruszone. Pogardliwy grymas wykrzywił usta Leili. Nienawidziła w tej chwili Mac Kayna, nienawidziła przyjaźni jego w Carym. Jednakowa przyjaźń ta trwała od młodzieńczych lat koleżeństwa w Akademji Morskiej i Cary nie mógł się jej wyrzec. Przed paroma dniami zakomunikowano mu, że komandor McKayn jest oskarżony o "zachowanie nie licujące z honorem oficerskim i gentlemańskim". Cary nie wahał się ani sekundy i udał się w charakterze obrońcy do San Diego.

— Cokolwiek Bob zrobił, powiedział wówczas Cary, jestem przekonany, że nie uczynił nic, coby nie znalazło usprawiedliwienia. Zastanawia mnie jednak, że Bob tak się zmienił od paru lat. Dawniej nie było można skłonić go do picia, a dzisiaj?...

Cary miał wykształcenie prawnicze i czuł, że przy swem doświadczeniu i zdolnościach potrafi niezawodnie obronić przyjaciela, więc nie wahał się i pojechał.

Mimo gniewu, Leila odczuwała pewną dumę. Cary był tym człowiekiem, który jej imponował. On pierwszy rozbudził w niej coś więcej, niż pobłażliwą obojętność. Aż do chwili, gdy on przyszedł, nie znała nawet uczucia sympatji. Często zastanawiała się, skąd się wzięło jej uczucie dla Cary'ego: czy źródłem jego był czar, który rzucał na kobiety, a którego siłę umiał tak ładnie narzucać, czy może świadomość, że między nimi była jakaś zapora, jakiś cień wątpliwości? Myśli te prześladowały ją dniami i nocami i sprawiały, że tak często raniła męża boleśnie, a rany te nadawały jego oczom barwę pochmurnego nieba. Cary był skryty, nie lubił mówić wiele o swem uczuciu. Jaka to będzie radość dla Leili, gdy wreszcie wybuchnie. Niech klnie, niech ją uderzy nawet, byle wreszcie przełamać jego upartą wolę.

Wicher, szalejący za oknami, wywoływał w niej uczucie przygnębienia. Tak było już oddawna, nawet wtedy, gdy była jeszcze małą, słabą istotką, która nigdy nie czuła się szczęśliwą. Nie kochała rodziców, wydawali jej się za mało wytworni, może byłaby kochała matkę, gdyby ta miała kolję z czarnych pereł, bogate futra i gdyby jej obecność przesiąknięta była zapachem subtelnych perfum... Gdy Leila miała dwanaście lat, epidemja zabrała jej rodziców. Ciotka Franceska Armsby, jedyna siostra jej matki, a wdowa po oficerze marynarki, mieszkała stale w Waszyngtonie. Leila wychowywała się u niej. Od dnia, w którym weszła do domu ciotki, rozpoczęła walkę o piękność i nigdy żadna kobieta nie osiągnęła podobnego triumfu. Piękność Leili była istotnie bez skazy, niedość na tem, była nieosiągalna przez swą oryginalność.

Leila spojrzała na zegar: była za kwadrans piąta. Cary powinien być w pociągu. Czemu dotąd nie otrzymała depeszy, z zawiadomieniem o jego przyjeździe, depeszy zaadresowanej do Franceski, jej nazwisko bowiem podpisała pod telegramem?

Wstała i podeszła do okna. Smugi jesiennego

deszczu spływały wolno po szybach. Nagle jakiś łoskot uderzył jej ucho. Obróciła się strwożona, lecz było to tylko polano przepalonego drzewa, które osunęło się na rozżarzone węgle kominka. Ogień błysnął krwawym odcieniem i oświetlił pokój. Wówczas oczy Leili spotkały uporczywy wzrok Cary'ego, którego fotografja stała na biurku. Spojrzenie tych martwych oczu przykuło jej wzrok, jakby dziwną hipnozą. Wydało jej się, że to nie fotografja, a sam Cary sądzi ją w tej chwili. Dreszcz wstrząsnął jej ciałem.

— Śmierć przeszła przez pokój... — uśmiechnęła się do siebie, przypominając sobie jedno ze starych wschodnich wierzeń, o których jej opowiadał Bob McKayn.

Bob... Ciekawa była, jak sobie da radę teraz, gdy Cary odjechał i zbraknie mu obrońcy... Była mu mimo wszystko wdzięczna, że nigdy nawet słówkiem nie wspomniał Cary'emu o tem, co ich dawniej łączyło.

Poznała Boba McKayna w Waszyngtonie. Kochało się w niej tak wielu mężczyzn, a jednak nie mogła się zdecydować na poślubienie kogokolwiek. Bob był miły, przystojny, bogaty, pochodził ze starej rodziny i miał wszelką przyszłość przed sobą. Czuła, że powinna już wyjść zamąż i wybrała Boba, lecz postawiła warunek, że zaręczyny ich pozostaną w zupełnej tajemnicy. Leila czytała w oczach Boba taki bezmiar uczucia, że rozbudziła się w niej ciekawość niemal wyrafinowana. Zupełnie świadomie darła jego serce na strzępy, by zobaczyć, z czego jest zrobione.

Nadawała się odpowiednia sposobność do ogłoszenia zaręczyn: ciotka Franceska urządzała przyjęcie dla swych przyjaciół. Tego wieczoru Leila była piękniejsza niż zwykle. Schodząc ze schodów do dużego hallu, zauważyła dwóch mężczyzn, którzy prowadzili ożywioną rozmowę: jednym z nich był admirał K., drugiego nie znała. Pomyślała, że był to zapewne adjutant, który niedawno przybył do Waszyngtonu.

W tym momencie nieznajomy spojrzał na nią, i spojrzenia skrzyżowały się. Leila nie umiała oprzeć się sile tego wzroku. Przed samym obiadem zawołała Boba do buduaru:

— Jeszcze nie dziś, Bob — rzekła kapryśnie. — Dziś nie jestem w nastroju. Musisz nauczyć się znosić dziwne fantazje, które mną rządzą. Widzisz, ja nie jestem zwykłą kobietą...

Spotykała Cary'ego często. Drażniło ją to, że lubił jej obecność, ale jej nie szukał. Drażniło ją to, że nie wiedziała, czy działa na niego jej uroda. Opanowała ją żądza władzy nad tym człowiekiem. Tymczasem jednak nie wiedziała o nim nic, chyba to tylko, że miał powodzenie u kobiet, że o to nie dbał, że lubił golfa, psy i polowanie. Bob nalegał, by ogłoszono zaręczyny, lecz ona systematycznie działała na zwłokę. Drżała, że Cary dowie się o jej stosunku do McKayna i odejdzie.

Na zegarze wybiła szósta. Przepływające minuty wlekły za sobą sznur męczących wspomnień. Nagle zadźwięczała szyba: spłoszone oczy Leili pobiegły w kierunku okna, lecz był to tylko pewno ptak, oślepiony światłem, który się trzepotał za szybą.

— Ptak uderzający skrzydłem o szybę, to zwiastun śmierci — pomyślała i uśmiechnęła się. — Co za przesąd.

Machinalnie bawiła się platynowym pierścieniem z wielkim szmaragdem. Przypomniała sobie, że Cary powiedział kiedyś o jej rękach, iż są podobne do rąk Madonny Greuze'a.

Dlaczego dziś właśnie wspomnienia wzięły ją w swą wszechwładną moc? Tak wyraźnie, jak nigdy zobaczyła cudowną chwilę oświadczyn Cary'ego i tragiczne zerwanie z Bobem.

Czuła duszący zapach herbacianych róż, które stały na stole, słyszała szarpiący duszę szloch McKayna. A potem przyszło ukojenie i przeżyła na nowo w swej wyobraźni czarowne dnie upojeń i miłości, skąpanej w gorącem słońcu Egiptu... Cary... Nie wątpiła ani przez chwilę w jego uczucie, a jednak tak dobrze zdawała sobie sprawę z tego, że wyrosło ono na żelaznym podłożu woli, o której pokonaniu marzyła naderemnie. Spełniał jej życzenia, a nawet kaprysy, pomimo tego czuła, że była to jego wola, a nie jej władza. Powoli skrystalizowało się w niej pragnienie złamania tej siły.

Kiedyś spotkali Boba i Leila rzuciła mu w twarz swoje szczęście. Wówczas przekonała się, że był to człowiek złamany, jednak bała się go, bała się, że jedno słowo, które powie Cary'emu, może zniszczyć radość ich życia. Nie umiała zażądać od męża zerwania przyjaźni z Bobem. A potem przyszedł list, który mówił:

"...Bob jest w niebezpieczeństwie. W tych dniach ma stanąć przed sądem. Uderzył w twarz jednego z młodych dyplomatów. Stało się to w klubie, w obecności admirała. Bob był zupełnie trzeźwy i to jest właśnie najgorsze. Podobno uniósł się dlatego, że młody człowiek odezwał się obelżywie o żonie jednego z oficerów. Mówią także, że McKayn kochał się w niej bez pamięci..."

— Czy nie rozumiesz, kochanie — powiedział Cary, gdy błagała go, by nie jechał — czy nie rozumiesz, że muszę ratować przyjaciela? Czyż nie widzisz, jak boli mnie, że muszę cię opuścić?

— Cary, Cary... — prosiła, nadając swym podłużnym oczom najbardziej kuszące błyski i zarzucając mu na szyję białe pachnące ramiona.

— Czuję, że się nigdy nie zobaczymy. Ach, Cary, jeżeli odjedziesz, wiem, że stanie się coś strasznego. Nie wyjeżdżaj. Zostań. Ja tak potrzebuję twojej obecności.

Trzymał ją mocno w ramionach. Zdawało się,

że jego wola słabnie. Serce zabiło triumfalnie. I wówczas odszedł nagle.

Tej nocy obmyśliła wyrafinowany plan. Zatelegrafować do Cary'ego, że została zabita i w ten sposób zmusić go do powrotu. Wtedy dowie się nareszcie, jak dalece ją kocha, wtedy może zerwie się tama jego powściągliwości i Cary wybuchnie ślepem uwielbieniem, którego tak łaknie dusza Leili.

W porcie zapalono światła. Depesza powinna już nadejść. Wlokące się godziny czekania osłabiły nerwy Leili. Jakiś natężony muskuł zaczął drgać i pulsować.

Dosłyszała szmer przy drzwiach frontowych. Pewno posłaniec z telegramem. Wzięła ze stołu książkę i otworzyła ją na chybił trafił. Nie widziała nic, prócz chaosu ciemnych zygzaków. Muskuł ciągle drgał. Słyszała, jak chłopak stawiał rower koło drzwi.

W chwilę potem zadźwięczał dzwonek. Wydało jej się, że wieki przeszły, nim lokaj stanął w drzwiach, niosąc na srebrnej tacy żółtą kopertę.

Spojrzała na adres: oczywiście na kopercie widniało nazwisko pani Franceski Armsby. Serce jej biło mocno. A więc plan się udał. Cary jest już pewno w drodze.

W tej depeszy wyczyta cząstkę jego rozpaczy. Rozdarła kopertę i wyprostowała starannie żółty papier. Jak dziwnie długa depesza. Spojrzała na podpis—dziwne—podpisany McKayn. Zaczęła czytać. Oczy jej nagle rozszerzyły się i zamarły. Po raz drugi z niedowierzaniem pochłaniała słowa. Papier wysunął jej się z rąk i leżał na dywanie w świetle kominka. Chciała przetrzeć oczy, lecz nie mogła unieść bezwładnej ręki z poręczy fotela.

A jednak umysł jej ani przez chwilę się nie przyćmił. Gdybyż świadomość chciała ją opuścić choć na sekundę.

...Cary przybył na okręt po południu. W chwilę potem otrzymał jej telegram. Teraz już wiedziała jak bardzo ją kochał Cary Thayer. Była ślepą, szaloną... Ręce jej skurczyły się jak w agonji... Po przeczytaniu depeszy mąż jej zeszedł spokojnie do kajuty.

W kilka minut później znaleziono go ze zmiętym papierem w dłoni i kulą w sercu...

A przeto była jego słabością; nie chciał iść przez życie bez niej. Ptak uderzający skrzydłem o szybę oznacza śmierć... Śmierć... Cary, jej ukochany, nie żył. Stanęła na progu świadomości, że jedyna istota, o którą dbała poza sobą, odeszła — i poprzez szereg lat, które leżą przed nią, nie będzie miała siły iść przez życie...

HENRYK ZBIERZCHOWSKI.

JESIENIĄ

Park drzemie... drzewa, jak schorzałe twarze
Zewsząd zwiędłemi rumieńcami świecą...
Z szelestem szklanym liście zwiędłe lecą,
Patrząc na niebo, co umierać każe...

O! Gdzieś na gwiazdach wicher łka rozpacznie
Wskrzeszając zmarłe, zapomniane głosy.
Już brzozy-płaczki rozpuściły włosy
— Wkrótce się obrzęd pogrzebowy zacznie.

Pomiędzy bagna mętne, zardzewiałe,
Ścieżki, jak widma przypadłszy do ziemi,
W pomroku ręce wyciągają białe.

Aż w końcu, dwiema linjami jasnemi
W krzyża potworne wyrosły ramiona.
—Chodźmy stąd... cicho... w tej chwili ktoś kona...

IGUANY

Na nielicznych wyspach grupy Galapagos znajdują się jeszcze przedstawiciele dawnych potężnych zwierząt ziemnowodnych z epoki kredowej i triasowej, znanych ludzkości tylko ze szczątków wykopaliskowych. Są to jedyne w swoim rodzaju jaszczurki, zwane iguanami.

Iguany żyją tylko i wyłącznie na wyspach Galapagos. Po egipskich "varanach" iguany są największemi jaszczurkami na świecie. Długość ich dosięga półtora metra przy 80-centymetrowym ogonie, a ważą aż do 30 funtów. Na Galapagos pojawiają się iguany bardzo licznie; gnieżdżą się zazwyczaj na przybrzeżnych skałach i nie opuszczają tych skał dobrowolnie, nie ośmielając się przechodzić dalej niż na dziesięć metrów wgłąb lądu.



Gromadka iguanów wygrzewa się na słońcu, w pobliżu swego gniazda w szczelinie skalnej.

Jaszczury te są znakomitymi pływakami. W wodzie poruszają się nadzwyczaj szybko i z niezmierną łatwością wyginają wężowate ciało, a sterują przytem swym długim, spłaszczonym ogonem. Przy pływaniu nogi trzymają zupełnie nieruchome i stale przyciśnięte do tułowia. Dopiero przy lądowaniu posługują się nogami, które, dzięki szponowatym pazurom świetnie spełniają swą rolę, umożliwiając iguanom wdrapywanie się po oślizgłych głazach nadbrzeżnych i złomach lawy, typowych dla wulkanicznych wysp.

Zaledwie iguany wypełzną na suchsze miejsce, dokąd nie dosięgają wypryski spienionych fal, poczynają grzać się gromadnie na słońcu, szeroko rozstawiając nogi, jak to widzimy na załączonem zdjęciu. Jeżeli ktoś w takiej chwili zakłóci spokój tych ciekawych stworzeń, pozwolą raczej zapędzić się w głąb lądu, niż poszukać ratunku w wodzie morskiej. Jest to ciekawe i niepojęte zjawisko, które Darwin tłumaczy strachem przed rekinami. Morscy ci rozbójnicy czatują bowiem pod skałami na pływające iguany i tępią je masowo. Dlaczego jednak te jaszczurki w innych okolicznościach, gdy niefrasobliwie nurkują w wodnych odmętach, wtedy nie obawiają się rekinów? Tego Darwin nie wyjaśnia. Gdyby rzeczywiście strach przed rekinami powstrzymywał iguany od przebywania w wodzie, nigdy nie wchodziłyby do morza.



Podrażnione, iguany przybierają groźny wygląd, nadymają się i nastawiają grzebień grzbietowy.

Iguany podrażnione i zaskoczone w ten sposób, że nie mają otwartej drogi do ucieczki, przybierają postawę obronną i usiłują przybierać możliwie najgroźniejszy wygląd, aby odstraszyć napastnika. Wydymają wtedy workowatą skórę podgardla, nastraszają grzebień grzbietowy i wydając złowieszczy syk, przybierają strasznie wojowniczą pozę.

Doprowadzone do ostateczności skaczą na przeciwnika, a jeśli uda im się pochwycić go swemi mocnemi zębami, nie wypuszczają łatwo i smagają boleśnie spłaszczonym, a giętkim ogonem.

Mięso iguanów uchodzi za wielki przysmak i dlatego te jaszczurki są poszukiwaną zdobyczą specjalnych łowców, którzy na nie polują. Jako pieczyste, czy też gotowane wraz z jajami, pozbawionemi prawie zupełnie żółtek, mają wielkich zwolenników wśród najwybitniejszych smakoszów. Pojmane iguany mają zawsze rynek zbytu i przynoszą stosunkowo wysokie ceny. Handlarze iguana-

mi, aby uniemożliwić jaszczurkom kąsanie, przewlekają im przez skórę dolnej szczęki mocny, elastyczny pnącz, który zawiązują na węzeł, obie zaś pary nóg krępują na grzbiecie ścięgnami, wyprutemi z palców schwytanych zwierząt. Ten barbarzyński sposób obezwładniania iguanów tłumaczy się ich nadzwyczajną żywotnością, gdyż unieruchomione pozostają przy życiu przez cztery lub pięć tygodni.



Ukąszenie helodermy jest niebezpieczne nawet dla ludzi.

Próbowano już zaprowadzić racjonalną hodowlę iguanów, która po wielkich trudach przynosi jakie takie wyniki, ale nie opłaca się. Iguany w niewoli są dzikie i złośliwe, i rzucają się wściekle na ludzi i zwierzęta. Przy bardzo umiejętnej hodowli w niektórych wypadkach dają się opanować, uspokajają się, pozwalają głaskać i brać na ręce.

Rzadko można zobaczyć iguany w ogrodach zoologicznych, gdyż trudno utrzymać je dłuższy czas w niewoli przy życiu.

Drugą niezmiernie ciekawą jaszczurką jest heloderma. Jest to jaszczurka jadowita, posiadająca w dolnej szczęce dwa gruczoły i zęby jadowe. Skóra tej jaszczurki jest pocentkowana żółto-białemi, pomarańczowemi i czerwono-buremi plamami. Heloderma dosięga 25 cali długości, a ukąszenia jej są śmiertelne dla drobnych zwierząt i ptaków. Dla ludzi helodermy są mniej groźne, aczkolwiek ukąszenie ich powoduje osłabienie, związane z wysychaniem skóry i stan gorączkowy.

Obydwa wymienione gatunki jaszczurek budzą ciągle zainteresowanie uczonych, a badacze amerykańscy organizują specjalne wyprawy, mające na celu poznanie tych ciekawych gadów, których życie jest w niejednym wypadku rozwiązaniem zagadnień życia przedhistorycznych epok rożwoju fauny naszego globu.

ARTUR OPMAN

— JAK UMIERAŁ GENERAŁ DĄBROWSKI —

Na polowem złożyli go łożu...
A łan polski kołysał się w zbożu;
z nad kwiatami barwiącej się łąki
wielkopolskie wzlatały skowronki,
dzwon kościelny na "Anioł" bił z wioski...
I umierał generał Dąbrowski...

W cichym dworze cykają zegary,
podniósł głowę z poduszki wódz stary,
błękitnemi oczyma bez trwogi
spojrzał dumnie w twrz mary złowrogiej...
Lwie to oczy i razem dziecięce,
a śmierć kładzie już na nim swe ręce...

Zdjął generał z makaty nad głową
dar Kościuszki: swą szablę bojową;
każe czyścić na służbę za światem
stary mundur z ponsowym rabatem,
i zabiera na Boże pokoje
trzy ordery zasługi: kul troje...

Stary wachmistrz z wąsami jak wiecha
chlipie w kącie, a wódz się uśmiecha;
stary wachmistrz z nad Trebji, z pod Novi,
siodłał konia, broń ostrzył wodzowi,
biegł z nim stokroć pod kulę armatnią,
teraz patrzy na bitwę ostatnią...

I powiada generał z uśmiechem:
— Dawne boje powiały mi echem,
w pękających płomieniu granatów
ja was widzę, o duchy kamratów!
Nazbyt długom zasiedział się doma:
Bębnij capstrzyk, żołnierska znajoma!...

Zataczając na słońcu swe kółka
za oknami świegoce jaskółka,
śród pachnących jaśminów ogrodu
brzęczą pszczoły, lecące do miodu,
szemrze lipa, jak cicha muzyka,
a śmierć kosą skazówek dotyka...

Siadł na łożu generał Dąbrowski:
— Gra mi trąbka od ziemi gdzieś włoskiej,
jakby drzewa szumiały w niebiosy,
oddalone wołają mnie głosy,
las proporców nad głową mi furka...
zanuć, Basiu, mojego mazurka...

Poleciała piosenka legjonów
do szumiących kłosami zagonów,
zaglądając od chaty do chaty,
puka w serca jak anioł skrzydlaty,
chłopskim dzieciom twarzyczki ozłaca,
uśmiechnęła się grobem — i wraca...

Płynie złota wieczorna godzina,
wódz się żegna z piosenką... wspomina:
jak to niegdyś z tęsknotą i bólem
od Ojczyzny szli borem i polem,
jak nad Tybrem, Adygą, Sekwaną
budowali Ojczyznę kochaną...

Coraz ciszej pieśń dzwoni i ciszej
wódz usypia... uśmiecha się, słyszy...
pieśń zapada w wieczorny świat niemy:
nie umarła... dopóki... żyjemy...
jak anielskich przewionął szmer piórek...
Z duchem wodza uleciał mazurek.

CONAN DOYLE

ŚMIERCIONOŚNA SKRZYNIA

(Przekład Adama Czekalskiego)

CO pan o t e m m y ś l i, Allardis? — spytałem.

Obok mnie stał na pokładzie pomocnik sternika. Stał, szeroko rozkraczywszy nogi, gdyż na pokładzie było bardzo ślisko. Oparł na przecznicy masztu lunetę i długo przyglądał się tonącemu w naszych oczach okrętowi, który to wydobywał się na powierzchnię fal, to znów pogrążał się w toni. Morze pochłaniało go coraz bardziej i korpus statku, pomalowany na kolor zielony, ledwo trzymał się na wodzie.

Był to wielki bryg. Główny maszt złamał się w środku i leżał na pokładzie. Dokoła okrętu widniały na wodzie kawałki drzewa i płaty żagli, podobne do połamanych skrzydeł jakiegoś olbrzymiego ptaka. Przedni maszt był jeszcze cały, ale ciemny żagiel porwany na nim w kawały swobodnie powiewał na wietrze. Nigdy jeszcze nie widziałem okrętu w tak opłakanym stanie.

Nie można było jednak dziwić się tej katastrofie statku. W ciągu ostatnich trzech dni pogoda była tak straszna, że byliśmy zmuszeni stawiać sobie całkiem poważnie pytanie: czy dojdzie nasza barka do miejsca przeznaczenia, czy też nie wytrzyma nawału ciągłej burzy?

Przez trzydzieści sześć godzin błąkaliśmy się bezradnie po falach morza. Ocalenie nasze zawdzięczaliśmy tylko temu, że barka nasza "Mary Sinclaire" była okrętem doskonale zbudowanym. Mimo to jednak musieliśmy złożyć ofiarę huraganowi. Bałwany spłukały nam wielką łódź ratunkową i oderwały część parapetu. Wreszcie burza ucichła i oto ujrzeliśmy, że inni nie wyszli z niej tak szczęśliwie jak my. Mieliśmy przed sobą rozbity, tonący okręt. Bezradnie kołysał się na zielonawo-szarej toni morza i lada chwila miał zupełnie zatonąć. Wygląd tego statku, skazanego na zagładę, był wymownem świadectwem, jak straszne chwile musiała przeżyć jego załoga.

Pomocnik naszego sternika, Allardis, był powolnym i metodycznym Szkotem. Długo i uważnie przyglądał się tonącemu statkowi. Przyglądali mu się i nasi marynarze, stojąc na pokładzie, lub wspinając się na maszty. W ciągu ostatnich dziesięciu dni nie spotkaliśmy nikogo na morzu, to też wszyscy byliśmy więcej zainteresowani napotkanym statkiem, niż gdyby to było w innych warunkach.

— Statek ten jest, jak mi się zdaje, bez załogi — odezwał się Allardis.

Ja również byłem tego zdania, ponieważ na pokładzie tonącego okrętu nie było widać żywej duszy. Na głośne wołania i sygnały naszych marynarzy nie dostawaliśmy żadnej odpowiedzi. Widocznie załoga porzuciła okręt, nie sądząc, aby tak długo mógł się utrzymać na powierzchni.

— Hm... niedługo będzie on się tak jeszcze trzymał — zauważył znów Allardis. — Spójrzcie tylko, jak wsadza dziób do wody, a ogon podnosi. Woda zalewa już pokład.

— Jaka na nim flaga? — spytałem.

— O to właśnie chodzi, że nie mogę rozeznać. Cała flaga pokręciła się i pomotała z masztowami linami. O... widzę, widzę! To flaga brazylijska, tylko wywieszona górną stroną ku dołowi, zupełnie odwrotnie.

Znaczyło to, że przedtem nim porzucono statek, załoga dała sygnał o tem, że ginie. Być może, że okręt został porzucony niedawno. Wziąłem lunetę Allardisa i zacząłem badać dokoła spienioną jeszcze, ale spokojną, zlekka tylko zmarszczoną toń oceanu. Napróżno jednak rozglądałem się — nigdzie nie było widać śladów człowieka.

— Może na statku zostali jeszcze żywi ludzie? — rzekłem. — Musimy zbadać zbliska.

Skierowaliśmy barkę i zatrzymaliśmy się w odległości stu jardów od brygu. Staliśmy teraz naprzeciwko siebie, zanurzając się i kołysząc na wodzie, jakby dwóch tańczących klownów, którzy kłaniają się sobie nawzajem.

— Spuścić jedną z wielkich łodzi — rozkazałem. — Panie Allardis, weźmie pan ludzi i popłynie pan do brygu. Musimy dowiedzieć się czy tam niema kogo przy życiu.

W tej chwili wyszedł na pokład mój pierwszy oficer, Armstrong. Za kilka minut miał mnie zmienić na wachcie. Wtedy przyszło mi na myśl, żeby samemu popłynąć na bryg i zobaczyć co się na nim dzieje. Porozumiałem się więc z Armstrongiem, wskoczyłem do łodzi i popłynęliśmy.

Niewielką mieliśmy przestrzeń do przebycia. Po kilkunastu minutach wiosłowania znaleźliśmy się tuż przy tonącym zwolna brygu. Na korpusie statku widniał wielki napis, nazwa brygu "Nossa Senhora da Vittoria".

— Z tej strony, sir! — zawołał sternik — dostaniemy się na pokład. Hej, cieśla, rzucaj haki!

Po chwili byliśmy już na pokładzie brygu. Cieśla poszedł pod pokład zbadać jak wiele tam już jest wody, a ja, Allardis i jeszcze jeden mary-

narz, zaczęliśmy uważnie badać okręt i jego ładunek. Cały pokład zasłany był szczątkami masztów, żagli i połamanemi klatkami, w których przewalały się martwe ptaki. Z czółen ratunkowych pozostało tylko jedno z przedziurawionem dnem, co świadczyło, że załoga opuściła statek.

Kajuta kapitańska mieściła się na pokładzie; jedna jej połowa była zgruchotana. Prócz książek i papierów, zapisanych po hiszpańsku i portugalsku, w kajucie nic więcej nie było. Zacząłem szukać księgi okrętowej, dziennika, ale nigdzie jej nie znalazłem.

— Widocznie nie prowadzono tutaj dziennika — rzekł Allardis. — Ci południowoamerykańscy kupcy nie mają pojęcia o księgach okrętowych. A jeżeli na tym statku była taka księga, to oczywiście zabrali ją z sobą.

— Mam zamiar spakować i zabrać te papiery — rzekłem. Niech pan zapyta cieśli, czy długo jeszcze ten rozbitek utrzyma się na wodzie.

Odpowiedź była uspokajająca. Okręt, jakkolwiek do połowy zalany, miał ładunek lekki i dłuższy czas mógł się unosić na falach.

— A więc, mister Allardis, — rzekłem, — nie mamy się czego obawiać. Idź pan zobaczyć, czy nie da się uratować przynajmniej części ładunku, a ja zapakuję te papiery.

Z dokumentów, które znalazłem w kapitańskiej kajucie, dowiedziałem się, że brazylijski bryg, na którego pokładzie teraz się znajdowałem, wyszedł przed miesiącem z Bachji. Kapitan nazywał się Techeira. Informacji o liczbie załogi na okręcie nie znalazłem. Bryg płynął do Londynu i ładunek miał taki, że niewiele mogliśmy z niego korzystać. Ładunek ten składał się z orzechów, imbieru i drzewa w postaci wielkich belek mahoniowych i innych kosztownych gatunków. Drzewo to nie pozwalało statkowi iść na dno, ale o przeładowaniu go na naszą barkę myśleć nawet nie można było. Resztę ładunku stanowiły paki z konserwowanemi owocami i skrzynie piór, zniszczonych przez wodę.

Przeglądając papiery natknąłem się na krótką notatkę, która zwróciła moją uwagę. W zapisce tej było powiedziane: "Jednocześnie wysyła się rozmaite hiszpańskie i indjańskie zabytki i starożytne rzeczy, wydobyte z Stanta - Remskiej kolekcji. Rzeczy te mają być odstawione do Londynu na Oxford street, dla panów Ponterata i Numanna. Prosi się uprzejmie, aby te cenne rzeczy były umieszczone w bezpiecznem miejscu na statku, gdzie nikt nie ma przystępu, aby zapobiec możliwej kradzieży lub zniszczeniu. Specjalną uwagę uprasza się zwrócić na skrzynię ze skarbami, należącemi do Don Remireza Direira. Skrzynię tę należy koniecznie umieścić w takiem miejscu, gdzie nikt nie będzie się mógł dostać".

— Skrzynia ze skarbami Don Remireza! Cenne i jedyne w swoim rodzaju rzeczy! Dla nich warto się potrudzić, — pomyślałem.

Wstałem z papierami w rękach, gdy na progu kajuty zjawił się mój sternik, Allardis.

— Na statku nie wszystko w porządku, sir — rzekł dziwnym głosem.

Na twarzy tego surowego i odważnego człowieka wyczytałem jakiś przestrach.

— O co chodzi? — spytałem.

— Morderstwo! Oto o co chodzi, sir. Znalazłem człowieka z roztrzaskaną czaszką!

— Może burza go zabiła?

— Mogło i tak się zdarzyć, ale jestem pewien, że nie powtórzy pan tych słów, skoro pan spojrzy na niego.

— Gdzież on jest?

— Proszę za mną do głównej kajuty...

Poszliśmy. Na okręcie było bardzo brudno.

Pomocnik sternika wprowadził mnie do wielkiej kajuty, której podłoga była cała usiana rozbitemi naczyniami. Na prawo i lewo były drzwi, wiodące do kajuty oficerów. W jednym kącie tej kajuty stała ogromna skrzynia, pomalowana na kolory biały i czerwony. Czerwony prawie zupełnie wyblakł, a biały był do tego stopnia brudny, że wyglądał raczej na szary. Skrzynia miała cztery i pół jarda długości, przeszło trzy wysokości i szerokości. Była to ogromna skrzynia, znacznie większa od tych, których używają marynarze.

Kiedy jednak wszedłem do kajuty, uwagę moją pochłonęła nie skrzynia, ale zgoła coś innego.

Na podłodze, wśród skorup i śmieci leżał mały, czarnowłosy człowiek z niewielką kruczą brodą. Leżał w najdalszym kącie od skrzyni, z nogami wyciągniętemi w jej kierunku.

Biały kawałek żagla, na którym spoczywała jego głowa, cały był zbroczony zastygłą już krwią. Twarz miał spokojną, jak małe dziecko.

Pochyliłem się nad nim i ujrzawszy jego ranę, krzyknąłem i przerażony odskoczyłem w tył. Widoczne było, że ktoś, podszedłszy z tyłu do tego człowieka, zadał mu straszliwie silny cios w głowę. Cios ten rozbił mu czaszkę i przeniknął głęboko do mózgu. Miejsce rany wyraźnie wskazywało, że nieszczęśliwy nie widział nawet swego zabójcy.

— Co pan o tem sądzi, kapitanie Barklay, — spytał mnie Allardis — czy to morderstwo, czy też nieszczęśliwy wypadek?

— Ma pan rację, panie Allardis. Człowiek ten został zamordowany; ktoś podszedł do niego ztyłu i uderzył go ostrem i ciężkiem narzędziem. Ale kto on jest i za co go zabito?

— To prosty marynarz,—odpowiedział sternik — niech pan spojrzy na jego ręce, a upewni się pan w tem przekonaniu.

Mówiąc to, Allardis nachylił się i zaczął przeszukiwać kieszenie zabitego. Po chwili wyciągnął z nich talję kart, paczkę gumy do żucia i mieszek z brazylijskim tytoniem.

— Aha! Spójrz pan — zawo-

łał nagle, ujrzawszy na podłodze wielki składany nóż o potężnem ostrzu.

Stal była czysta i błyszcząca, a więc nóż nie był narzędziem zbrodni. W każdym razie można się było domyślać, że zamordowany trzymał w ręku nóż, w chwili, kiedy zadano mu cios w głowę. Nóż leżał na podłodze zboku, po prawej stronie jego ręki.

— Mojem zdaniem, sir, on wiedział, że znajduje się w niebezpieczeństwie i trzymał nóż w pogotowiu — rzekł Allardis. — Ale dziwne jakieś rzeczy są w tej kajucie, niech tylko pan popatrzy...

Do ściany kajuty stały przymocowane jakieś starożytne zabytki, broń i narzędzia.

— Są to jedyne cenne rzeczy, które możemy zabrać z całego ładunku —odpowiedziałem.— Niech pan da znać na barkę, żeby nam przysłali drugą łódź. Trzeba to wszystko zabrać.

Allardis wyszedł spełnić polecenie, ja zaś pozostałem, aby obejrzeć dziwną zdobycz, która się nam dostała. Antyki były pozaszywane w płótno żaglowe, tak, że nie mogłem dokładnie ich obejrzeć. Natomiast uwagę skierowałem na skrzynię. Cały jej wierzch był okuty metalem, na którym widniał hiszpański napis. Napis głosił:

"Skrzynia ze skarbami don Remireza Direira, kawalera orderu świętego Jakóba, gubernatora i generała - kapitana Terra Firma i prowincji Vera-Cruz".

W jednym rogu skrzyni była wyryta data "1606". W drugim był naklejony biały kawałek płótna, na którym napisane było po angielsku:

"Skrzyni tej nie wolno pod żadnym pozorem otwierać."

Taki sam napis powtórzony był niżej po hiszpańsku. Zamek skrzyni był bardzo wielki i ciężki, zrobiony z doskonałej stali. Na nim był wyryty jakiś napis w języku łacińskim, którego nie rozumiałem.

W czasie, gdy badałem napisy na skrzyni, nadeszła druga łódź z Armstrongiem i niebawem zaczęliśmy ładować na nią starożytne rzeczy, które rzeczywiście były jedynemi przedmiotami, przedstawiającemi większą wartość. Po naładowaniu łodzi odesłałem ją do barki, a następnie, z Armstrongiem i Allardisem wynieśliśmy skrzynię i umieściliśmy ją w środku naszej łodzi. Była bardzo ciężka i gdybyśmy nie postawili jej na samym środku, byłaby z pewnością ciężarem swoim przewróciła i zatopiła łódź.

Trupa zostawiliśmy w tem samem miejscu, gdzie znaleźliśmy go.

Sternik wyraził przypuszczenie, że w chwili opuszczania brygu przez załogę, ten nieszczęśliwy marynarz chciał otworzyć skrzynię, ale został zabity przez kapitana dla zachowania dyscypliny. Kapitan uderzył go, według wszelkiego prawdopodobieństwa, toporem lub jakiemś innem, ciężkiem a ostrem narzędziem.

Objaśnienie to było dosyć prawdopodobne, ale mnie ono nie przekonało. Zresztą, co tu objaśniać? Ocean pełen jest ciemnych tajemnic, to też i śmierć marynarza z brazylijskiego brygu zaliczyliśmy do tych tajemnic.

Ciężką skrzynię wyciągnęliśmy z trudem na pokład "Mary Sinclaire", poczem umieściłem ją przy pomocy marynarzy w kajucie, między stołem i ścianą.

Tam też stała podczas wieczerzy. Po wieczerzy zacząłem rozmawiać z oficerami o wypadkach dnia. Popijając gorącym grogiem, przeszliśmy wszystkie szczegóły znalezienia skrzyni.

Pierwszy oficer Armstrong był chudnym, wysokim mężczyzną, z twarzą niewyraźnej barwy. Był to doskonały marynarz, ale człowiek ogromnie chciwy i skąpy. Skrzynia niezwykle go zainteresowała, to też z błyszczącemi chciwością oczyma zaczął obliczać, wiele też każdy z nas otrzyma po podziale łupu.

— A więc, kapitanie, powiada pan, że tu napisane, jakoby ta skrzynia zawierała jedynie rzeczy cenne i rzadkie, a to przecie nie byle co. Według wszelkiego prawdopodobieństwa mieszczą się w niej bezcenne skarby. Ja myślę, że mamy przed sobą kosztowności wartości wielu dziesiątek tysięcy funtów szterlingów. Zapewniam was, panowie, że sowicie się obłowimy.

— Wątpię — odpowiedziałem. — W skrzyni znajdują się prawdopodobnie południowo - amerykańskie antyki, a wartość tych rzeczy nie jest znów tak wielka.

Armstrong jednak obstawał przy swojem.

— Nie, nie, sir... zrobiłem w życiu kilkadziesiąt podróży, ale tak wielkiej i tak okutej skrzyni nigdy jeszcze nie widziałem. Sama skrzynia kosztuje wiele pieniędzy, a cóż dopiero to, co w niej się znajduje! Jakiż to ciężar! Czy nie powinniśmy jej zaraz otworzyć?

— Jeżeli pan rozbije zamek, zniszczy pan skrzynię — odpowiedział Allardis.

Armstrong przykucnął przed skrzynią, skłonił głowę i przybliżył swój długi, cienki nos do zamka.

— Skrzynia jest zrobiona z dębowego drzewa — rzekł — i wydaje mi się, że jest bardzo stara. Gdybym miał dłuto lub inne odpowiednie narzędzie, podważyłbym zamek, nie uszkodziwszy samej skrzyni. Nawet dobrym nożem...

Słowa Armstronga o nożu przypomniały mi zamordowanego marynarza.

— Kto wie, — odezwałem się — może i ten zamordowany poniósł śmierć w chwili, kiedy chciał otworzyć skrzynię.

— Tego nie wiem, sir, — rzekł Armstrong, — ale jestem pewien, że gdybym miał cokolwiek, potrafię otworzyć. Ot, tam, na półce leży śrubociąg. Panie Allardis, niech mi pan poświeci, a ja zajmę się tym zamkiem.

Oczy zapłonęły mu ciekawością i chciwością; nachylił się nad skrzynią.

— Poczekajcie — rzekłem. — Niema się czego spieszyć. Czy nie widzi pan napisu, wzywającego, żeby nie otwierać i nie ruszać tej skrzyni? Nie wiem i ja, co oznacza to wszystko, ale postanowiłem, że otworzymy ją nie tu, na pokładzie "Mary Sinclaire" ale po wylądowaniu, w biurze właściciela statku.

Armstrong uczuł się mocno dotknięty mojemi słowami i odpowiedział, kwaśno się uśmiechając:

— Ależ, sir... dlaczego? Czyż godzi się wypuszczać tę skrzynię z rąk naszych? Powinniśmy zajrzeć do niej i wiedzieć, co się w niej znajduje. Później mogą nam nie oddać naszej części. A wreszcie...

— Dosyć, panie Armstrong. Otrzyma pan swoją część, bądź pan spokojny, ale ja nie chcę, żeby otwierać przed lądowaniem.

Allardis wstał i dodał:

— Niechże pan zauważy, że ostrzeżenie napisane jest po angielsku, z czego wynika, że Europejczycy już zaglądali do tej skrzyni. Może tam wcale niema skarbów o jakich pan myśli? Nie wiedzieliśmy o jej istnieniu i dobrze nam było, czekajmyż teraz cierpliwie, jakby jej wcale nie było na pokładzie.

— Jak chcecie — odparł niechętnie Armstrong, rzucając śrubociąg na stół..

Przesiedzieliśmy przy stole cały wieczór, rozmawiając o najrozmaitszych sprawach, ale zauważyłem, że spojrzenia Armstronga nie opuszczały starej, tajemniczej skrzyni ani na jedną chwilę.

Teraz przechodzę do tych wypadków, których wspomnienia nawet napełniają mnie zimnym strachem.

Główna kajuta, w której siedzieliśmy, miała kilkoro drzwi, prowadzących do kajut oficerskich. Ja zajmowałem najbardziej oddaloną kabinę, która łączyła się z główną kajutą wąskim korytarzem. Nocnej służby nie odbywałem nigdy prawie. Dyżur nocny był podzielony między trzech moich oficerów. Tej właśnie nocy dyżurował Armstrong, a zmienić go miał Allardis o czwartej rano.

Muszę zaznaczyć, że sypiam bardzo twardo i nie byle co może mnie zbudzić.

Tej nocy, a raczej już o świtaniu, zbudziłem się nagle. Mój chronometer wskazywał akuratnie pół do piątej: zerwałem się jak uderzony czemś... usiadłem na łóżku. W uszach dzwoniły mi jeszcze dźwięki, które mnie zbudziły. Był to straszliwy trzask i obłędny, okropny ludzki jęk. Nerwy moje były w strasznem naprężeniu.

Zacząłem nasłuchiwać, ale dokoła panowała głucha cisza. Czyżby ten krzyk, który dotąd dźwięczał w moich uszach był tylko złudzeniem? Nie... to być nie może. Krzyk słyszałem wyraźnie i prawdziwie!

Zerwałem się z łóżka, narzuciłem na siebie byle jak ubranie i ruszyłem do głównej kajuty.

W pierwszej chwili nie zauważyłem nic nadzwyczajnego. W chłodnym, wilgotnym brzasku wczesnego poranka widziałem całkiem dokładnie bufet, nakryty czerwoną ceratą, barometr wiszący na ścianie, a dalej, między stołem a oknem, wielką skrzynię. Już zawróciłem, aby wyjść na pokład i zapytać pełniącego już służbę Allardisa, czy nie słyszał tego trzasku i krzyku, gdy nagle wzrok mój padł na coś, co wysuwało się z pod stołu. Była to noga ludzka, obuta w wysoki but...

Nachyliłem się i zajrzałem pod stół. Leżała tam postać ludzka, z wyciągniętemi wprzód rękami, z twarzą wykrzywioną wyrazem śmiertelnego przerażenia. Poznałem tę twarz natychmiast...

Był to pierwszy mój oficer, Armstrong.

Był martwy.

Parę chwil stałem nieruchomo, ciężko oddychając, poczem skoczyłem na pokład.

Wezwałem Allardisa.

Razem poszliśmy do kajuty. Wyciągnęliśmy nieżywego Armstronga a pod stołu. Całą głowę miał krwią zbroczoną. Spojrzeliśmy na siebie i nie wiem, który z nas był bledszy.

— Ta sama historja, co z brazylijskim marynarzem — odezwałem się.

— Ta sama! Boże, zlituj się... Niech pan spojrzy na jego rękę!

Podniósł rękę zmarłego i ujrzeliśmy, że trzymał w niej zaciśnięty kurczowo śrubociąg, którym wczoraj wieczorem chciał otwierać skrzynię.

Allardis zaczął mówić:

— Uważa pan, kapitanie, próbował otworzyć skrzynię. Wiedział, że ja znajduję się na pokładzie, a pan i trzeci oficer śpią. Klęknął przed skrzynią, otworzył zamek śrubociągiem i podniósł wieko. Następnie coś strasznego z nim się stało... Krzyknął i pan ten jego krzyk usłyszał.

— Ale co się z nim stało, Allardis? — szepnąłem.

Szkot wziął mnie pod ramię i zaprowadził do swojej kajuty.

— Tu mogę z panem porozmawiać, kapitanie Barklay, a tam, djabeł wie, kto nas może podsłuchać. Jak pan myśli, kapitanie, co się znajduje w tej skrzyni?

— Pojęcia nie mam, Allardis. W każdym razie, coś strasznego.

— No, to ja mogę dać panu objaśnienie. Jedno tylko, ale ono wyjaśni całą sprawę. Niech pan tylko zwróci uwagę na metalowe okucia i rzeźby, znajdujące się dokoła skrzyni. Wśród nich ukryte są niewielkie otwory. Otwory do przepuszczania powietrza. Niech pan sobie przypomni, jaka ciężka była skrzynia. Jeden człowiek próbował ją otworzyć na tamtym statku. Armstrong chciał się do niej dostać tej nocy... Obydwaj zginęli w jednakowy sposób. Niech pan weźmie to wszystko pod uwagę i niech się pan zastanowi, co to wszystko może oznaczać...

— Chce pan powiedzieć, że w tej skrzyni jest człowiek ukryty?

— Tak, kapitanie. Tam z pewnością siedzi człowiek. Wszak wie pan, jakie historje dzieją się w tych południowo-amerykańskich republikach. Dziś jest ktoś prezydentem, a jutro mordują go jak wściekłego psa. Nic innego, tylko w skrzyni siedzi jeden z takich prezydentów albo generałów i w ten sposób chce uratować swoje życie przed byłymi poddanymi. Bezwątpienia siedzi tam uzbrojony, a jak widać, zdeterminowany i dzielny musi być człowiek. Zanim go obezwładnimy, będzie się zażarcie bronił.

— Ale czemże się żywi i co pije?

— O, kapitanie... skrzynia pakowna; można było napakować w nią dosyć prowiantów. Co się zaś tyczy picia, przypuszczam, że na tamtym statku miał spólnika, który dostarczał mu wszystkiego.

— Sądzi więc pan, że napis na skrzyni jest zrobiony umyślnie, żeby odstraszyć każdego od otwierania?

— Naturalnie. Zresztą, niech pan powie, jak można inaczej wytłumaczyć te wypadki?

Musiałem przyznać, że innego tłumaczenia nie można było znaleźć. Spytałem Allardisa, jak powinniśmy postąpić z tą skrzynią w dalszym ciągu.

Pomocnik sternika odpowiedział:

— Człowiek siedzący w skrzyni musi być niesłychanie niebezpiecznym łotrem. Nie powstrzyma się przed niczem. Sądzę, że najlepiejby było uwiązać skrzynię na linach i potrzymać z pół godziny zanurzoną w morzu. Niech się ptaszek dobrze pokołysze pod wodą, to będzie można bezpiecznie otworzyć skrzynię. Albo też pozatykać wszystkie dziury w skrzyni, żeby powietrze nie dochodziło...

Przerwałem mu zirytowany:

— Głupstwa, panie Allardis, pan opowiada. My wszyscy, cała załoga statku, mamy się obawiać jednego człowieka, siedzącego w skrzyni? Jeżeli tam rzeczywiście jest ten człowiek, to ja go stamtąd wyciągnę...

Udałem się do swej kajuty, wziąłem nabity rewolwer, wróciłem do Allardisa i rzekłem:

— No, teraz pójdziemy. Pan będzie otwierał skrzynię, a ja stanę na straży.

— Na Boga, niech się pan zastanowi, co pan robi, kapitanie! — zawołał sternik. — Dwóch ludzi zginęło już przy tej skrzyni... Niech pan patrzy, jeszcze krew Armstronga nie obeschła na dywanie...

— Tembardziej, — odrzekłem, — powinniśmy pomścić śmierć towarzysza.

— Niechże pan pozwoli, kapitanie, bym zawołał cieślę. We trzech w każdym razie nie tak niebezpiecznie, jak we dwóch. Przytem nasz cieśla, silny chłop, na wypadek może nam wiele pomóc.

Allardis poszedł po cieślę, a ja zostałem w kajucie.

Nie należę do ludzi trwożliwych ani nerwowych, mimo to jednak nie podszedłem bliżej do skrzyni. Stałem zdaleka od tego tajemniczego przedmiotu i czekałem na zgłębienie tajemnicy. Tymczasem coraz bardziej się rozwidniało i coraz wyraźniej występowały z pomroku kształty skrzyni.

Po chwili do kajuty wszedł Allardis z cieślą, który niósł w rękach ogromny młot.

Cieśla spojrzał na zwłoki Armstronga, pokiwał głową i rzekł:

— Zła sprawa, sir. Czy pan także sądzi, że w skrzyni jest człowiek?

Allardis z wyglądem człowieka zdecydowanego na wszystko, wziął w rękę śrubociąg i przystąpił do skrzyni, mówiąc:

— A więc, w tej chwili podważę zamek, a wy stańcie z obu stron. Jeżeli będzie chciał wyskoczyć, wal go młotem po łbie... gdyby zaś rękę podnosił, niech pan strzela, panie kapitanie. No, w imię Boże!

Ukląkł przed skrzynią i wsunął śrubociąg pod zamek. Rozległ się zgrzyt.

— Baczność! — krzyknął Allardis i uniósł ciężkie wieko skrzyni. Wieko odskoczyło do góry, a my... odskoczyliśmy w tył! Ja z rewolwerem, gotowym do strzału, cieśla z podniesionym nad głową młotem.

Ze skrzyni jednak nikt nie wyskakiwał. Przybliżyliśmy się ostrożnie i zajrzeliśmy do wnętrza.

Skrzynia była pusta.

Właściwie nie zupełnie pusta, gdyż na dnie leżał starożytny, jak się zdawało, złoty lichtarz, niezwykle dziwacznego kształtu, rzecz niewątpliwie wielkiej wartości. Oprócz lichtarza w skrzyni nic więcej nie było.

— Boże wielki! — zawołał Allardis. — Własnym oczom nie wierzę! Dlaczegoż jednak ta skrzynia tak ciężka?

— Ot, czemu — odpowiedziałem — czyż nie widzi pan grubości ścian? A wieko? Toż ma conajmniej pół stopy grubości. Wreszcie niech pan spojrzy na tę żelazną sztabę, biegnącą wpoprzek wieka.

— Ta sztaba ma za zadanie podtrzymywanie wieka — odrzekł Allardis, obmacując żelazny pręt. — Niech pan patrzy, jaka mocna, nawet się nie poruszy. A co to za napis wewnątrz?

— Napis ten głosi — odpowiedziałem, przeczytawszy, — że ta skrzynia była zrobiona w roku 1606-ym, przez Johna Totsteina z Augsburga.

— Solidna też to robota — mówił dalej Allardis. — Mimo wszystko jednak, kapitanie Barklay, tajemnicy nie zgłębiliśmy. Czem to wszystko teraz objaśnić? Lichtarz jest z pewnością szczerozłoty. Trzeba go dokładnie obejrzeć...

Chcąc wyjąć ze skrzyni lichtarz, pochylił się. Ale ja, tknięty jakiemś wewnętrznem przeczuciem, czy ostrzeżeniem, chwyciłem go za ramię i odciągnąłem od skrzyni. Tak, było to przeczucie. Wreszcie być może, że kierowałem się tylko instynktem samozachowaw-

czym. Może w tej właśnie chwili przyszło mi do głowy opowiadanie z czasów średniowiecznych. Może wzrok mój padł na rdzawą plamę na górnym zamku skrzyni, plamę przypominającą świeże ślady krwi, dosyć, że odciągnąłem sternika na bok.

W każdym razie działałem instynktowo, bez zastanowienia się, dlaczego to robię.

— To jest jakieś djabelstwo — rzekłem. — Podajcie mi tylko jaki pręt.

Cieśla podał mi zwykłą trzcinę z zagiętym końcem. Wziąłem trzcinę za koniec, zaczepiłem obłączkiem za lichtarz i pociągnąłem silnie.

I nagle, jak błyskawica, z pod wieka wysunął się cały szereg ogromnych, stalowych zębów. Stara skrzynia zadrgała i wieko z trzaskiem spadło na swoje miejsce. Wstrzas był tak silny, że talerze i szklanki w bufecie zadzwoniły podskakując.

Allardis siadł na krześle i ocierał spocone czoło. Drżał na całem ciele.

— Uratował mi pan życie, kapitanie Barklay — wyrzekł zmienionym głosem.

W ten sposób została zgłębiona tajemnica owej skrzyni, należącej do starego don Remireza Direira, który kiedyś krył w niej swoje skarby. Choćby złodziej był najsprytniejszy, nie domyśliłby się, że za dotknięciem złotego lichtarza, s p a d n i e nań piorunująca śmierć.

Przez poruszenie lichtarza zaczynała działać potężna sprężyna i zabójcze zęby wbijały się w mózg nieszczęśliwego, który pokusił się o skarby starego skąpca. Siła uderzenia była tak ogromna, że ofiara zostawała odrzucona daleko wtył, a skrzynia sama się zamykała. Ilu ludzi padło ofiarą przemyślnego mechanika z Augsburga, nikt wiedzieć nie będzie.

Namyślałem się co zrobić z przeklętą skrzynią i powziąłem postanowienie.

— Panie Allardis — rzekłem — proszę przyprowadzić ludzi i niech wyniosą tę skrzynią na pokład.

— Chce ją pan wyrzucić do morza? — spytał.

— Tak, panie Allardis. Nie jestem człowiekiem zabobonnym, ale są rzeczy dla marynarza fatalne.

— Słusznie pan sądzi, kapitanie. Teraz i ja się nie dziwię, że bryg się rozbił. Czyż może załoga liczyć na pomoc bożą, gdy na statku znajduje się takie djabelstwo? Im prędzej pozbędziemy się tej skrzyni z pokładu, tem dla nas lepiej.

Nie czekaliśmy nawet na marynarzy. Przy ogromnym wysiłku we trzech wyciągnęliśmy skrzynię na pokład. Odsunąłem część balustrady i zepchnęliśmy narzędzie śmierci do wody. Morze zbałwaniło się, zawirowało i pochłonęło piekielną maszynę.

Teraz skrzynia ta leży na dnie morza, na średniej głębokości trzech tysięcy stóp. Nikt jej tam nie odnajdzie i nie pokusi się o jej otwarcie.

Uczeni twierdzą, że morza wysychają i przekształcają się na lądy. Jeżli miejsce, w którem spoczywa ta skrzynia, znalazłoby się na suchym lądzie, współczuję człowiekowi przyszłych czasów, który napotka ją i zapragnie zgłębić jej tajemnicę.

F. KONARSKI

ODA DO GROSZA

O najcenniejszy upominku boży,
Gwiazdo przewodnia wśród ziemskich bezdroży,
Kotwico szczęścia, porcie pożądany,
Groszu miedziany!

Ciebie, jak bóstwo, czczą świata narody,
Boś ty aniołem pokoju i zgody.
Lub — miljonami karabinów zbrojny —
Tyś bogiem wojny!

U stóp twych leży i pan i gmin podły,
Nieuk i mędrzec śle do ciebie modły,
Młody czy stary, mąż czy białogłowa,
Cześć twoją chowa!

Ty jesteś ojciec, tyś jest matka czuła —
Wszak ojca, matkę, zastąpi szkatuła...
Ona zastąpi — utrzymuję śmiało —
Rodzinę całą!

Tyś przyjacielem najszczerszym w niedoli,
Człek wielbi człeka twej miłości gwoli,
Tyś jest magnesem i — co idzie za tem —
Najpierwszym swatem!

Gdzie ty zagościsz, tam i spokój gości,
Ty jesteś stróżem niewieściej miłości,
Zaś w ręku żony twoja moc zwycięża
Każdego męża!

Ty jesteś cnotą i wiedziesz do nieba...
Kto ciebie dzierży, temu kraść nie trzeba...
Gdy zaś kieszenie nawiedzisz posuchą,
To z niebem... krucho!

Kto ciebie nie zna, ten każdego czasu
Błądzi w ciemnościach, jak łódź bez kompasu;
Ślepy i niemy trudno myśli kupi —
Zaginie głupi!

Tyś charakterem, rozumem, szacunkiem,
Tyś dla występków zapomnienia trunkiem,
Wdziękiem, talentem i wawrzynu listkiem —
Ty jesteś wszystkiem!

Ludzkości całej o mocarzu wielki,
Wysłuchaj pienia muzy wielbicielki
I w dom mój, gdzie się pustki rozgościły,
Zejdź, gościu miły!

Dr WŁADYSŁAW POCIECHA.

Miłość w dawnej Polsce w świetle korespondencji miłosnej.

„Miłość stara jak świat" — mówi znane przysłowie. Czy to prawda? Gdybyśmy nasze współczesne wyobrażenia o miłości (w znaczeniu ściślejszem stosunku obojga płci) przyjęli jako podstawę do wydawania sądu o jej młodości, to stwierdzilibyśmy, że w dziejach różnych narodów pojawia się ona *dopiero w czasach rozkwitu wyższej kultury umysłowej*. Lecz jakkolwiek zdefinjowalibyśmy pojęcie miłości, to obok tego, co jest sztuczne jako wytwór kultury, musielibyśmy uznać w niej i ten element zasadniczy, ogólno-ludzki, który przez wszystkie czasy pozostaje niezmieniony; z niego bowiem, jak z najniższej komórki, mogło dopiero rozwinąć się w odpowiednich warunkach to najsilniejsze uczucie, będące motorem naszego życia, którego charakterystyczne ślady spotykamy w różnych epokach dziejów u różnych ludów.

Historja miłości, jako odcinek historji kultury, była przedmiotem badań bądź ogólnych, obejmujących całokształt tego zagadnienia, bądź szczegółowych, ograniczonych w czasie i przestrzeni. *My nie posiadamy jeszcze historji miłości w dawnej Polsce*. Wiąże się to poczęści ze znamiennym faktem, że *zabytki źródłowe z tego zakresu są u nas nader skąpe*, co niektórzy badacze tłumaczą młodszością cywilizacyjną naszego narodu i przyjmują *jako przełomową datę pierwsze dziesiątki XV w.*, *rzekomo początek nowej ery w dziejach polskiej miłości*. Udział Polaków w soborze bazylejskim (r. 1431) miał nietylko zaszczepić posiew humanizmu na polskiej glebie, lecz i zapoznać nas bliżej z kulturą miłosną narodów zachodnio-europejskich. Że ten *sąd był przedwczesny*, o tem przekonują nas nowsze badania prof. Ganszyńca (Polskie listy miłosne dawnych czasów, Lwów 1925). Wyjaśnienie tej okrytej jeszcze mrokiem dziedziny naszej przeszłości może dać tylko krytyczne opracowanie tematu, oparte na szerszem tle historji naszej kultury. To co dotąd zrobiono (pomijamy tutaj ogólne zarysy historji kultury i obyczajów w dawnej Polsce oraz studja literackie) ogranicza się do dziejów polskich listów miłosnych (Bruchnalski, Merwin, Ganszyniec). Jednak i ta wiązanka zabytków naszej kultury miłosnej jest bardzo charakterystyczna i godna bliższego poznania. Gdyż *list miłosny* jest bodaj najlepszym, najbardziej bezpośrednim wykładnikiem miłości. *Pojawia się już w dawnych kulturach*, a początki jego sięgają zamierzchłej przeszłości, jeśli przyjmiemy (za prof. Ganszyńcem), że *już w starożytnym Egipcie około 1100 r. przed Chr. spotykamy się z pierwszą wzmianką o nim*, coprawda w formie literackiej. Jako produkt literatury przeszedł całą ewolucję w świecie antycznym w Grecji i Rzymie. *U Rzymian* spotykamy też *pierwszy listownik*, t. j. prawidła, tyczące się zarówno listów dla starających się o względy, jak i odpowiedzi, zestawione przez Owidjusza w jego „Sztuce kochania". Literacki list miłosny miał więc i swój odpowiednik w życiu, t. j. list rzeczywisty, pisany przez zakochanych, chociaż *zachował się tylko jeden oryginał starożytnego listu miłosnego*, odkryty *na węgarze sali grobowca* (ulubionego wówczas miejsca schadzek) w Marissa, mieście idumejskim.

Listy miłosne wczesnego średniowiecza pojawiają się dopiero w epoce humanizmu karolińskiego i mają swoje własne oblicze: *formę listów poetyckich*. Ten związek listu z pieśnią jest charakterystyczny dla tej epoki, gdyż w średniowieczu pieśń była ulubioną formą wyrażania uczuć. Dopiero w *XII w. spotykamy prozaiczną formę* w listach Abelarda (1080—1142) do Heloizy. W tych nieśmiertelnych wynurzeniach kochających serc znalazł swój wyraz niedościgniony ideał najczystszej miłości, który jest najszlachetniejszem odzwierciedleniem ducha owych czasów. Dzięki pierwiastkom ogólno-ludzkim listy powyższe były ulubioną lekturą i doczekały się licznych wydań i przeróbek aż do *XIX w*. Charakterystyczne są również jako wyraz epoki listy prozaiczne z Tegernsee skońca XII w., gdyż panna pochodząca ze sfer rycerskich wynurza swą idealną miłość klerykowi. Średniowiecze bowiem, pozostające pod wpływem warstw społecznych, nadających ton ówczesnej kulturze, t. j. kleryków i rycerzy, uznawało i ten rodzaj wytwornego flirtu. U schyłku średniowiecza mamy już różne formy listów miłosnych: o charakterze epicznym, prozaiczne i zwrotkowe. Pojawiają się także listowniki dla zakochanych, pierwszy mistrza Boncompagno (1180—1250), oraz liczne dalsze scholastyczno humanistyczne, które w pewnej szablonowej formie starały się zadośćuczynić ówczesnym wymogom życia.



Przyroda i uczucie.
Drzeworyt Daniela Chodowieckiego.

Dla nas najcenniejszym tego rodzaju zabytkiem jest *rękopiśmienny listownik polsko-łaciński z ok. 1480 r.*, gdyż zawiera jako wzory m. in. *listy miłosne z przed połowy XV w., zaczerpnięte niewątpliwie z oryginałów pochodzenia krakowskiego*. Oto wyjątek z listu panny do kochanka, bawiącego w Krakowie:

„Pozdrowienie ślę Ci przyjacielskie i nizki ukłon głowy. Najmilszy mój! A więc zdrów jesteś słyszę: jakżeż radowałam się i cieszyłam i tej samej godziny Bogu dzięki złożyłam! O mojem zaś zdrowiu opowiadać nie mogę, nie posiadam go bowiem, gdyż dniem i nocą nurtują mnie myśli, gdy dumam tak o widoku Twej osoby i marzę o tem, by ją ujrzeć. Jakież największe złożyć Ci zaklęcie? Gdyby tylu było pisarzy, ile dziewic na świecie i gdyby woda w morzu w atrament się rozlała, gdyby wszystkie trzciny piórami, a całe niebo papierem się stało, jeszczeby tego pisać nie zdołało, co w sercu mojem dla Ciebie ja żywię."

List, zakończony przypiskiem: „O gdybym Ci mogła być klejnotem (t. zn. skarbem) mój miły", adresowany jest „do przedziwnie pięknego pana Henryka, bawiącego w Krakowie, ze wsi (napisany) przez ręce Katarzyny do wręczenia (jej) przyjacielowi".

Listownik, aczkolwiek opierał się na wzorach oryginalnych, zawiera listy *o charakterze literackim* typu konwencjonalnego, czerpiące ze źródeł obcych. *Listy krakowskie pochodzą z kół wykształconych studentów*, którzy w Polsce niewątpliwie dużą rolę odegrali w rozwoju kultury miłosnej. Nie mogą więc służyć jako wyraz rodzimego ducha. *Pierwszy w języku polskim napisany list miłosny, który nie jest typu literackiego*, chociaż znalazł się przypadkowo w zbiorze formuł (przepisany ręką Marcina z Międzyrzecza) *pochodzi z 1429 r.* Podajemy go w całości (w transkrypcji prof. Ganszyńca):

„Służba ma naprzód ustawiczna, doskonała, bezprzestanna, Panno ma namilsza! Gdy chciałem na służbę od Ciebie jechać precz, przyszedłem do domu Twego, Ciebie żegnając; dziwne rzeczy, tyczące się miłości, poczęły się między nama, t. j. aby mnie nie zapomniała, bardzo ciem Twej Miłości począł prosić, a Twa Miłość na mą prośbę ślubiła to uczynić. A tak z tobą się rozstając, serce me poczęło bardzo płakać. A ja także ślubuję Twej Miłości nie zapomniać, ale wszędzie cześć i lubość czynić. Wiedz, moja najmilsza Panno, iż aczkolwiekiem

ja od ciebie daleko, jednakże nigdy nie była ani będzie nad Cię inna miła, jeno ty sama, Panno namilsza ma! Niedawno mię rzecz była spotkała, abych bardzo krasnę pannę miłował — ale, gdym na Cię wspomniał, tegom uczynić nie chciał. A te wszystkie rzeczy proszę Twej Miłości, aby były tajemne między mną a między Tobą. A proszę Twej Miłości, abyś się mej matuchnie pokłoniła. Dano w Szamotułach, we środę".

Przebija z tego listu szczere i głębokie uczucie, wypowiedziane w formie prostej, bezpretensjonalnej.

Z innych zabytków tego rodzaju z XV w. zachował się m. i. list panny do kochanka z r. 1450. Prawdopodobnie jest to list mieszczanki, utrzymującej stosunki z akademikami, gdyż autorka naśladuje jakiś wzór listu miłosnego i popisuje się erudycją, porównując kochanka z największemi postaciami świata starożytnego.

W XVI w. mamy listy miłosne podane przez naszych humanistów, nawiązujące do epistolografji Owidego, ale pozostały one obce naszej kulturze. Wogóle humaniści więcej oddawali się miłostkom, co tak dobrze wyraził J. Dantyszek, opisując swe miłosne przygody na obczyźnie:

„I czy lądem, czy morzem zawiniesz gdzie w gości
Zmienny amor do nowej pokusza miłości."

Listy Zygmunta I do Barbary Zapolyi, Zygmunta Augusta do Barbary Radziwiłłówmej, a później listy kanclerza w. kor. Jana Zamoyskiego do „swej najmilszej małżonki Pani Krystyny Radziwiłłówny Zamoyskiej", aczkolwiek są wyrazem szczerego uczucia i zdają się chlubnie świadczyć o epistolografji miłosnej tych czasów, przecież należą do wyjątków i wyszły z najwyższych warstw społecznych. I rzecz znamienna, że w stuleciu, którego literatura wykazuje świetny rozwój poezji erotycznej, w nieprzebranem wprost bogactwie zabytków epistolografji ówczesnej tak mało znajdujemy listów miłosnych. Z ciekawszych wymienić należy list rymowany z 1554 r., ostatni już okaz form średniowiecznych, w którym zapewne jakiś student w jaskrawych barwach maluje głębokość i szczerość swojego uczucia. List o pewnym pokroju literackim zaczyna się od słów:

„W jedności i stałości serca mego
żadnemu nie objawiam tego
jeno tobie najmilszej, moje pocieszenie
a przy tem pozdrowienie
i pokłonienie na obiedwie kolanie
aż do samej ziemi..."

Autor nie podał swojego imienia, a tłumaczy nast.:

Imienia miła, nie wypisuję swego
dla podejrzenia ludzkiego
bo dziś, co młodzi ludzie baczą
na to i wrony kraczą...

Wiek XVII stanowi niewątpliwie epokę przełomu w dziejach polskiej miłości, gdyż pod wpływem przenikania do nas na szerszą skalę obcej obyczajowości i nowszych poglądów, zwłaszcza francuskich, zaczyna przekształcać się stosunek obojga płci i *wytwarza się nowy styl listów miłosnych*. Szczytowym wyrazem tych nowych prądów są *przepiękne listy króla Jana Sobieskiego* do „jedynego duszy i serca kochania, najśliczniejszej i najwdzięczniejszej Marysieńki", które śmiało *mogą rywalizować z najlepszemi wytworami tego rodzaju kultury francuskiej*. Z epoki Sobieskiego pochodzą listy do ukochanej, napisane z podróży. Przytaczamy z nich następujący jako próbkę ówczesnego stylu:

„Jako szczególna dni moich pociecha, lubem WMPanney paść oczy me wejrzeniem, jako jedyna sercu kontentia, nieporównanej przypatrować się grzeczności, obecne z ochotnem woli Pańskiej wykonaniem oddając usługi, tak gdy miejsca odległość, lub słuszna inna przeszkoda tego zabrania szczęścia, nie mogę tylko ciężko boleć, nie małą frasobliwe myśli karmiąc tęsknicą. Ta tylko zostaje lubo nierówna pociechy rezerwa, że i tą martwą kartą przy niskim pokłonie, o zdrowiu i powodzeniu WMMPanny pytać się bez naruszenia jej łaski będzie godziło, oraz i o zielone, w którego grę za WMMPanny pozwoleniem wkroczyłem, nie zwiędłą do skonu nieleniwej usługi mej ofiarując ochotę. O to śmiem nisko prosić, abym wdzięcznym pieszczonej rącki WMMPanny charakterem mógł tęskliwe ukontentować serce, czym i żałosnego pocieszysz, i już cale obowiązanego tym ochotniej do wiecznej usługi i słodkiej mile pociągniesz niewoley..."

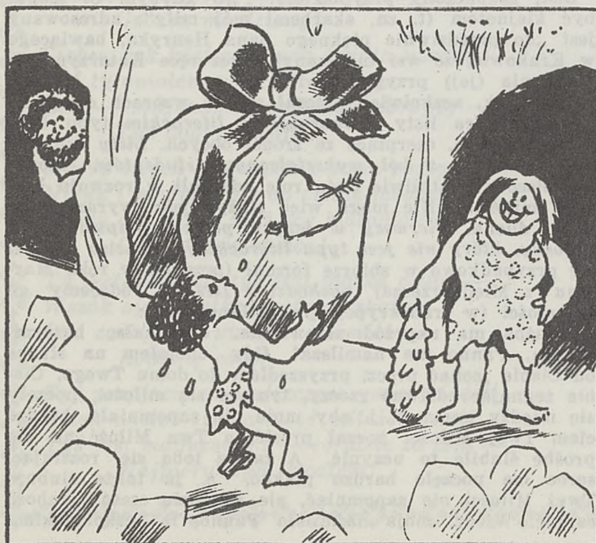
To, co zapoczątkował wiek XVII, widzimy już *w pełnym rozkwicie w XVIII w.* Są to czasy, w których *wpływ cudzoziemczyzny* wycisnął swoje piętno na życiu towarzyskiem i erotycznem. Wówczas powstają i u nas pierwsze „salony", a miłość wolna, poza małżeńska wywalcza sobie uznanie. U schyłku tego stulecia i *list miłosny wyzwala się z pod jarzma form konwencjonalnych*, w myśl zasady S. Szymanowskiego, autora najlepszego w tym czasie listownika: „Ludzie! Piszcie, co tylko myślicie, a piszcie tak, jakbyście mówili! Oto cała w listach teorja". Tak też wyrażała swoje uczucia w czasach stanisławowskich jakaś zakochana panna w listach do swojego „Franulka", z którym ją nielitościwie rozłączono: „Ostatnie czynię na tym moiem nieszczęśliwym wyjeździe pożegnanie, przy którem milionowe zasyłam uściskania i całowanie. Zważywszy wszystko, mogę się policzyć między nieszczęśliwemi! Więcej pisać nie mogę, bo się zalewam łzami, których żadnym sposobem zatrzymać nie mogę. Adyje! bywaj zdrów i łaskaw; już cię żegnam mój najmilszy kochaneczku! Adyje sercem ukochane pieszczoty".

W tak różnorodny sposób na przestrzeni wieków usiłowano dać wyraz przepełniającemu serce uczuciu. Jaką rolę odegrała miłość w kulturze nowszych czasów, najlepiej może wypowiedział to największy genjusz epoki Napoleon Bonaparte w liście do Józefiny:

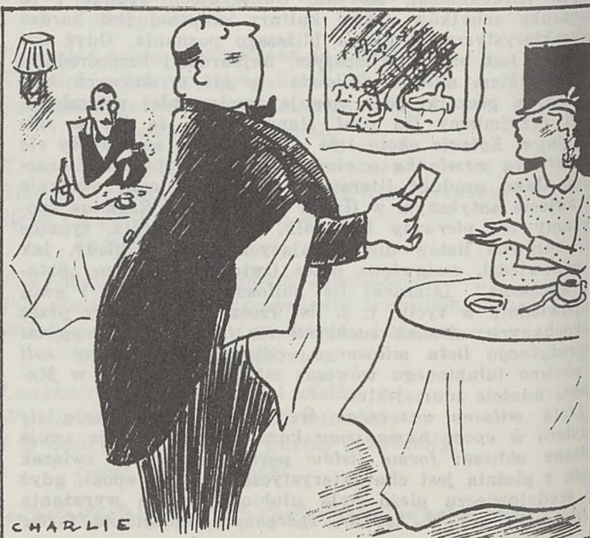
„Gdy chcę przeklinać życie, wówczas kładę rękę na sercu: tam wewnątrz puka Twój obraz; oglądam go, miłość jest absolutnem szczęściem... żyć dla Józefiny! Oto historja mego życia..."

Te słowa są już zwiastunem epoki, w której miłość, apoteozowana przez poetów, zrywała się do wzlotów.

Humor i satyra.



Liścik miłosny w epoce kamiennej...



...i dzisiaj.

TADEUSZ KOWALSKI

PREPARAT

W TEJ właśnie chwili, gdy zegar, wskazujący godzinę dwudziestą pierwszą, wybijał trzecie z kolei uderzenie, powietrze przeszył ostry dźwięk elektrycznego dzwonka.

Doktor Selen był niezwykle punktualny. Zjawił się, olśniewając białością gorsu koszuli frakowej, zadziwiając intensywną czernią błyszczącego cylindra.

Chód miał elastyczny, zrównoważony. Stąpał lekko i zwinnie, przerzucając środek ciężkości ciała z jednej nogi na drugą, co czyniło wrażenie poruszania się dzikiej bestji, świadomej swego absolutnego bezpieczeństwa, lecz gotowej w każdej chwili do skoku.

Nie był lubiany. Wyszukana jego elegancja drażniła wszystkich, bezwzględności i kategoryczny sposób wygłaszania twierdzeń powiększały szeregi wrogów, całkowity brak namiętności i słabostek przerażał stykających się z nim ludzi.

Lecz był podziwiany.

Za genjalną niemal inteligencję, fenomenalną zręczność, z jaką przeprowadzał operacje, za śmiałość pomysłów, za spokój, zachowywany zawsze i wszędzie. Być może nawet — za elegancję i bezwzględność...

Natura ludzka jest skomplikowana.

Wszedł, rozsiewając nieuchwytną, subtelną woń perfum, drażniącą z powodu znikomości. Jednem spojrzeniem siwych oczu objął cały pokój i wszystkie zgromadzone w nim osoby. Ułamkiem sekundy zatrzymał swój wzrok na każdej z nich, jakby chcąc z poszczególnych fragmentów stworzyć sobie sumaryczne wrażenie całości, poczem skłonił się głęboko.

— Jesteśmy w komplecie — powiedział cichym, miękkim głosem. — Pan Bogusz jest również. Przypuszczam, iż nie odczuwa pan żadnej zbytecznej tremy przed tem interesującem doświadczeniem?

Wysoki, młody brunet o wielkich, głębokich oczach i zastanawiającej bladością twarzy, poruszył przecząco głową, uśmiechając się lekko czerwienią ruchliwych, nerwowych ust.

— To dobrze. Mam nadzieję, iż do końca zachowa pan ten chwalebny spokój.

Wyciągnął z teczki, którą przyniósł z sobą, kryształowy flakon, napełniony płynem idealnie przezroczystym. Przez chwilę przypatrywał się uważnie odbiciu silnych lamp elektrycznych w jednej z polerowanych płaszczyzn szklanego korka.

— Przyrządziłem wyciąg chloroformowy peyotlu. Mam wrażenie, że jest o wiele lepszy i skuteczniejszy w działaniu od spirytusowego. Loforynę, wchodzącą obok meskaliny w skład peyotlu, oddzieliłem przy pomocy eteru. Dzięki temu, po zażyciu preparatu nie będzie pan miał żadnych przykrych konsekwencyj w rodzaju wymiotów i bólu głowy. Chciałbym przygotować jednak pana na wszelkie ewentualności. Przed kilku dniami wyjaśniałem już szczegółowo dziwne właściwości kaktusa, zwanego peyotlem, i wskazywałem wspaniałe możliwości zastosowania jego w medycynie, oraz nieobliczone wprost korzyści, jakie może przynieść rozpowszechnienie i spopularyzowanie tej rośliny wśród najszerszych warstw społeczeństwa.

— Zamierzam obecnie przystąpić do przeeksperymentowania działania alkaloidów zawartych w kaktusie. Otrzymałem wprawdzie roślinę w postaci wysuszonych plasterków i z nich to właśnie sporządziłem ten wyciąg, ale to nie powinno w najmniejszej mierze wpłynąć na intensywność i przebieg seansu. Peyotl wywołuje wizje o charakterze wybitnie kolorystycznym. Na tem polega jego czar i fascynujący urok. Niekiedy zdarza się, iż cudowne oszołomienia świetlne ustępują miejsca ponurym i groźnym obrazom, powodującym u osobników o przeczulonych nerwach silne wstrząsy psychiczne. Nie o to mi jednak teraz chodzi. Taki seans peyotlowy trwa zazwyczaj koło pięciu godzin, w tem trzygodzinny okres pobudzania ośrodków nerwowych przez meskalinę i dwugodzinne pasmo świetlnych emocyj. Po upływie tego czasu wszystko znika. Wraca poczucie rzeczywistości, umysł jest wypoczęty i zdolny do wytężonej pracy, a ciało giętkie i sprężyste. Szkodliwych skutków żadnych.

— Tak przedstawia się normalnie przebieg działania peyotlu na organizm. Dziś chciałbym posunąć się nieco dalej. Nikt dotychczas nie próbował natychmiast po ustaniu wizyj wziąć nową, silniejszą dawkę wyciągu i zbadać, czy to będzie miało wpływ na pracę systemu nerwowego. Wytworzyłem już o tem własną teorję. Doświadczenie winno ją potwierdzić. W tym właśnie celu zorganizowałem to zebranie. Pan Bogusz, jako ustrój o charakterze wybitnie nerwowym, znakomicie nadaje się do przeprowa-

dzenia próby. Czy godzi się pan na przeciągnięcie doświadczenia poza ramy zakreślone normalnem oddziaływaniem na meskalinę mózgu i rdzenia pacierzowego, odgrywającego tu rolę decydującą przy przeżywaniu wizyj?

W obliczu ważności, być może zresztą imaginacyjnej, doświadczenia, zachwiała się równowaga duchowa młodego człowieka, który wymówił chwiejnie i bardzo cicho skromne: "zgadzam się."

— Możemy zatem przystąpić do dzieła. Zechce pan łaskawie usiąść w tym fotelu możliwie wygodnie. Zwolnić wszystkie mięśnie. Oddychać równo i spokojnie. Przedewszystkiem spokój. Proszę zamknąć oczy.

Oślepiające światło żyrandolu znaczyło białe refleksy na włosach spoczywającego w fotelu młodzieńca. Zdawały się one specjalnie interesować doktora, który milcząc przyglądał się im przez czas dłuższy. Nagle wyrzucił szybko i bardzo gwałtownie:

— Czy woli pan przełykać wyciąg, czy mam zrobić panu szereg zastrzyków?

Bogusz otworzył gwałtownie oczy. Pobladł tak mocno, że nawet czerwone zwykle usta nabrały różowej matowości.

— Nie, nie! Niech pan nie robi zastrzyków... — wyszeptał zduszonym głosem.

— Proszę się nie obawiać. Peyotlu się nie wstrzykuje, zażywa się go tylko do wewnątrz. Chciałem jedynie zbadać pańską pobudliwość nerwową. Wszystko w porządku. Proszę zamknąć oczy i oddychać spokojnie.

Doktor Selen położył dłoń na czole Bogusza. Po minucie odjął ją i wziął flakonik z preparatem. Wlał kilka kropel na łyżeczkę i wsunął ją między wargi młodzieńca.

— Nie odczuwa pan żadnego smaku?

Odpowiedzią był powolny, przeczący ruch głową.

— Tak. Wyciąg jest sporządzony bardzo starannie. Nie posiada barwy, smaku ani zapachu.

Nastąpiło pół godziny naprężonej ciszy, mąconej jedynie szmerem kilkunastu oddechów i słabem, sączącem się leniwo przez mur, tykaniem zegara ściennego z sąsiedniego pokoju.

Doktór powtórzył dawkę, nieco większą, i znowu zaległa cisza nużąca, pełna dziwnego niepokoju. Ciężar przytłoczył wszystkim serca. Atmosfera przymusu i podświadomego lęku opadła mgłą na mózgi zgromadzonych.

Trzy godziny zupełnej nieruchomości, spędzonej na wpatrywaniu się w coraz bledszą twarz Bogusza, wpłynęły stanowczo deprymująco. Sytuacji nie poprawiał widok doktora, schylającego się co trzydzieści minut z dokładnością chronometra nad leżącem w fotelu ciałem.

Westchnienie ulgi wydobyło się z kilku piersi razem z pierwszem wymówionem przez doktora Selena słowem:

— Minął już trzygodzinny wstępny okres pobudzania ośrodków nerwowych przez peyotl. Za chwilę powinien się rozpocząć proces wizualny, jako druga część przebiegu zjawiska. Czy nic pan jeszcze nie widzi?

I znowu denerwująca cisza. Przeszła długa jak wieczność minuta, potem następna, wreszcie trzecia. Przy końcu czwartej z ust Bogusza wyrwał się okrzyk:

— Kot! Wielki czarny kot siedzi na dywanie o przeczystej, błękitnej barwie. Co za niezwykły odcień cudownego błękitu! Dywan jest prześwietlony silnym blaskiem. Kot porusza skórą. Z końców każdego włoska sypią się czerwone, nie... zielone, teraz fjoletowe iskry. Widzę najdrobniejsze szczegóły budowy ciała kota. Porowatość skóry na nosie, osadzenie pazurów. Pazury są żółte i błyszczą własnem, silnem światłem. Kot się wydłuża... Rośnie w górę... Wieża z czerwonej cegły, bardzo gładkiej... Pomiędzy cegłami mieni się warstwa tęczowej zaprawy... Cegły żyją... poruszają się... zmieniają odcień. Wyrastają z nich liczne ramiona, gałęzie, na których chwieją się przepyszne owoce, wielkie i lśniące, o subtelnej, fjoletowej barwie. Wodotrysk!

Nastąpił cały szereg okrzyków, w których wyczuwało się najwyższy zachwyt dla oglądanych obrazów. Rysy twarzy Bogusza wyrażały ekstatyczny podziw. Usta mełły wyrazy niezrozumiałe, krótkie, z gorączkowym pośpiechem wymawiane.

W ciągu pełnych dwóch godzin roztaczał przed słuchaczami obrazy czarownych wizyj świetlnych, które oglądał, posługując się przytem całym zasobem posiadanych wyrazów w celu określenia wszelkich możliwych barw, ich subtelności, odcieni i specjalnych właściwości.

O pół do trzeciej nad ranem wszystkie zjawiska ustały. Bogusz wstał z fotelu, rozmawiał, żartował nawet. Umysł jego wykazywał niezwykłą sprawność i zdolność kombinacyjną. Nie odczuwał zmęczenia.

— Teraz przystępujemy do właściwej istoty doświadczenia — mówił doktor Selen. — Wszystkie halucynacje znikły i tylko ponowna, bardzo silna dawka może spowodować ich przywrócenie. Jest rzeczą najzupełniej prawdopodobną, że spotkamy się tu z jakiemś nieznanem zjawiskiem, nieoczekiwaną reakcją nerwów. W każdym razie najbliższe minuty powinny nam przynieść rozwiązanie tego ciekawego zagadnienia. Czy czuje się pan dobrze?

— Doskonale, panie doktorze.

Ćwierć szklanki wyciągu, wlanego do ust Bogusza, spowodowało silny wstrząs ciała. Ręce drgały konwulsyjnie na poręczach fotelu. Mięśnie twarzy skurczyły się, układając w bolesną maskę.

Cisza pokoju wchłaniała chciwie słowa doktora:

— Ciemność... Mrok całkowity przed pań-

skiemi oczami. Pustka wieje zewsząd. Żadnego kształtu, żadnego obrazu. Martwota i próżnia. Znajduje się pan w przestrzeni pozbawionej wszelkiej materji i wymiaru. Jest pan zawieszony w eterze, daleko poza sferą krążenia planet, rozpylony na najdrobniejsze atomy, nie posiada pan ciała ani żadnej władzy psychicznej. Nie zajmuje pan miejsca, błądząc zespolony w całość z tą pustką i głęboką ciemnością, która pana otacza. Czy to pan właśnie odczuwa?

Strach zmroził czoło siedzącego drobnemi kropelkami potu, łączącemi się i spływającemi zygzakowatą linją po nosie, po policzkach, po brodzie. Ściągnięte brwi i silnie zaciśnięte usta były wyrazem walki wewnętrznej Bogusza i przejawem jego usiłowań przerwania potwornych halucynacyj.

Z grupki stłoczonych osób wyrwało się ciężkie westchnienie i w tej martwej ciszy przetworzyło się w niesamowite echo.

Wreszcie milczenie przerwał pewien mężczyzna o twarzy łagodnej, inteligentnej:

— Panie doktorze, pan przecież najwyraźniej wmawia w niego te wszystkie rzeczy. Obrazy, oglądane przez Bogusza, są fikcją, stworzoną przez pana.

Pogardliwe spojrzenie ironicznie zmrużonych, stalowych oczu przygniotło mówiącego.

— Objawy wtórne po zażyciu wyciągu peyotlowego są zawsze te same. Wyjaśnia to szczegółowo doktor Alexandre Rouhier w książce "Le Peyotle".

— Czytałem tę książkę — powiedział ktoś, patrząc w oczy eksperymentatora i usiłując przypomnieć sobie treść dzieła, ale im dłużej spoczywał wzrokiem na lśniących źrenicach doktora, tem szybciej zapominał, co chciał powiedzieć.

Nastrój silnego, nerwowego lęku opanował wszystkich. Zdawano sobie ogólnie sprawę z tego, że w samej technice prowadzenia seansu zaszła nieprawidłowość, nie umiano jednak wykryć właściwej istoty defektu.

Jedna z pań, mnąc w ręku z wielkim zapałem koronkową chusteczkę i mrugając powiekami, z trudem wyszeptała:

— Mówił pan przecież, że nikt dotychczas nie przeciągał doświadczenia poza normalny czas działania alkaloidów. Skąd pan może wiedzieć o dalszym przebiegu zjawiska?

— Czy rzeczywiście tak mówiłem? Mam wrażenie, że pani się myli. Napewno tego nie mówiłem.

Błyskawiczne spojrzenia skrystalizowanych w stalowy kształt oczu przeskakiwały po zgromadzonych i nikt istotnie nie mógł sobie przypomnieć słów, wyrzeczonych poprzednio przez doktora.

Muskularna, rasowa dłoń oparła się na głowie Bogusza.

— Czuje pan straszny ciężar, który ciśnie na mózg pański, gniecie szarą korę, niszczy komórki. Wszystko wiruje dokoła pana. Wie pan o tem, chociaż ciemność nie pozwala nic rozróżnić. Odczuwa pan lęk straszliwy przed nieznanemi siłami. Całą masą bezpostaciowego ciała posuwa się pan naprzód, przejęty rwącym bólem, obłędnym strachem. Oślepiające błyskawice zapalają się dokoła, wyżerając intensywnością światła oczy...

— Sunie pan ku kłębiącej się w dali białej mgławicy... Prędzej! Tam, być może, pański ratunek, ucieczka przed okropną torturą... Oh... Koniec... Katastrofa! Spada pan w przepaść, otchłań czarną, próżnię... Niżej i niżej i prędzej jeszcze... Śmierć!...

Głowa Bogusza utrzymywała się przez chwilę na szyi, pozbawionej zwyłej giętkości, i powoli opadła na ramię. Całe ciało zwisło na fotelu jak mokra szmata.

Doktór, ujmując przegub ręki młodego człowieka, przyłożył jednoczenieś ucho do jego piersi. Po chwili wyprostował swój korpus.

— Nie żyje...

Krótki, rozdzierający szloch wydarł się z pomiędzy otaczających fotel osób, wibrował przez kilka nieskończenie długich sekund w powietrzu i zamarł w cichym, bolesnym jęku.

— Pan go zabił, doktorze — padło oskarżenie. — Zastosował pan zbyt silną dawkę trucizny...

Doktór wyciągnął rękę z flakonem w stronę mówiącego:

— Proszę zbadać. Czysta woda, nic więcej. Aqua destilata — powiedział spokojnie, jak zwykle.

Przerażająca chwila oczekiwania, zlepiająca potem kosmyki włosów nad czołami, wyolbrzymiła całą ważność pytania, czającego się w spojrzeniach dziesięciu par oczu, skierowanych nieruchomo w stronę doktora.

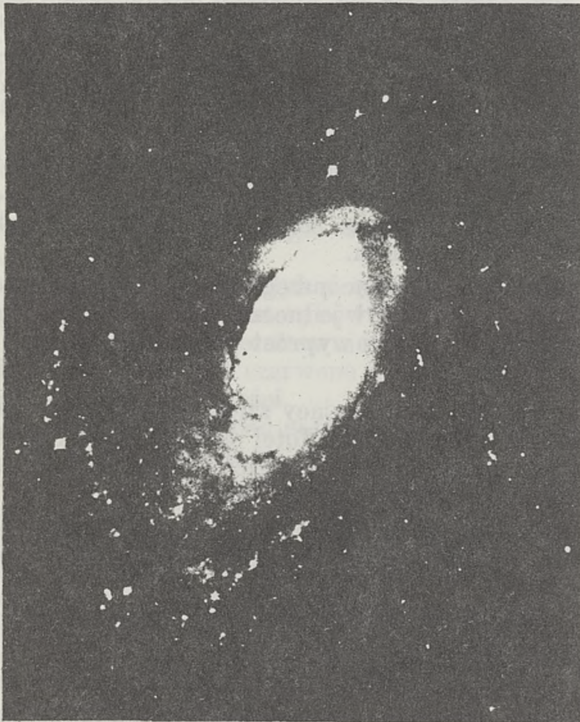
— Byliście państwo świadkami doświadczenia z dziedziny sugestji. Udało się najzupełniej i potwierdziło dotychczasowe moje na tem polu badania teoretyczne. Należy jedynie żałować, że pan Bogusz był tak podatny, chociaż z drugiej strony nie wolno nam zapominać, że przez śmierć swoją dodał potężną cegłę do gmachu współczesnej wiedzy o siłach psychicznych w człowieku.

Silny brzask poranku wdzierał się już przez zamglone szyby do pokoju i zmieszany z żółtem światłem lamp elektrycznych, podkreślił stygmat śmierci na kredowej twarzy trupa, któremu grupa osób przyglądała się z rozszerzonemi niesamowitym lękiem źrenicami.

Budowa Kosmosu.

Za największy dotychczasowy sukces astronomji należy uważać bezsprzecznie *rozwiązanie w ostatnich kilkunastu latach problemu budowy Wszechświata.* Rzeczywistość, która została ostatnio ujawniona przez astronomów, przeszła wszelkie przypuszczenia. Nasz system planetarny, otaczający Słońce, okazał się drobną, nikłą kolonją, rzuconą w bezmiary pustych przestrzeni międzygwiazdowych, pozorny zaś chaos widocznych dokoła gwiazd ułożył się w rozległe zbiorowisko materji: *Drogę Mléczną.*

Gdy promień światła, biegnąc przez puste przestrzenie z szybkością 300 000 km/sek, dociera od Słońca *do krańców naszego układu po upływie 11 godzin,* to na pokonanie odległości, dzielących nas *od najbliższych gwiazd, zużywa kilka lat,* na przemierzenie zaś *od krańca do*



Mgławica pozagalaktyczna w gwiazdozbiorze Wielkiej Niedźwiedzicy.

Zamknięty w sobie Wszechświat, złożony z wielu miljardów gwiazd, odległy od nas o miljony lat światła. — Fotografja dokonana na Mt Wilson przy pomocy teleskopu o średnicy 1½ m.

krańca Drogi Mlecznej — 200 000 lat. Droga Mleczna, stanowiąca „nasz Wszechświat“, w który wtłoczone jest Słońce wraz z Ziemią, zawiera *około 400 miljardów gwiazd,* tworzących jedno zwarte kolisko światów, krążących dokoła wspólnego środka masy całego układu. *Jeden obrót Drogi Mlecznej dokoła jej środka masy trwa około 500 miljonów lat.* Orbity poszczególnych gwiazd, a więc i naszego Słońca, są elipsami różnego kształtu i różnych rozmiarów.

Lecz tu dopiero, w pojęciu nowoczesnego astronoma, stajemy u progu Wszechświata, gdyż *Droga Mleczna — to w rzeczywistości nic innego, jak tylko jedna ze „znormalizowanych“ cegiełek, z jakich zbudowany jest potężny gmach Kosmosu.*

Nowoczesne narzędzia ujawniają *we wszystkich możliwych kierunkach przestrzeni obecność ogromnej liczby układów, analogicznych do Drogi Mlecznej,* nazwanych, ze względu na swój wygląd i położenie, *„mgławicami pozagalaktycznemi“.* „Sondowania“ głębin Kosmosu, przeprowadzone na Mt Wilson, wykazują *istnienie w przestrzeni mniejwięcej co 1 miljon lat światła jednej mgławicy pozagalaktycznej,* stanowiącej zamknięty w sobie Wszechświat, zawierający wiele miljardów gwiazd.

2½-metrowy teleskop wspomnianego obserwatorjum pozwala dzisiaj *sięgać dokoła w promieniu 240 miljonów lat światła* i odkrywać ustawicznie coraz to nowe i dalsze mgławice pozagalaktyczne. Lecz narzędzie to, acz kolwiek o tak potężnym zasięgu, jest bezsilnem wobec ogromu Wszechświata, bowiem, według Einsteina, *promień Kosmosu liczy obecnie 84 miljardy lat światła,* czyli, że *dotychczas obserwatorzy przejrzeli zgrubsza zaledwie 1/350 część jego promienia,* a więc *tylko 1/43 000 000 część jego objętości.* Pozostałe olbrzymie obszary Kosmosu pozostają do zbadania.

Bliższe studja nad rozkładem mgławic pozagalaktycznych w przestrzeni wykazały, że te mgławice nie występują luźnie, lecz grupują się w gromady (t. zw. *supergalaktyki),* złożone z wielu setek tych utworów. Gromady te, jak wynika z pomiarów spektroskopowych, obdarzone są *ruchem postępowym* (o szybkości wielu tysięcy km/sek) *w kierunku „od nas“, zgodnie z teorją rozszerzającego się Wszechświata.* Obliczono (Eddington), że *po upływie 1 400 miljonów lat promień Wszechświata ulegnie podwojeniu w stosunku do promienia obecnego.*

DŁUGOŚCI FAL.

Fale elektromagnetyczne	od	50 km	do	0,2 mm
„ cieplne (podczerwone)	„	200 μ	„	0,8 μ
„ świetlne (widzialne)	„	0,8 μ	„	0,4 μ
„ pozafiołkowe (niewidzialne)	„	0,4 μ	„	0,2 μ
„ obszaru Schumanna	„	195 μμ	„	122 μμ
„ obszaru Lymana	„	122 μμ	„	51 μμ
„ obszaru Millikana	„	51 μμ	„	14 μμ
Promienie Röntgena	„	700 Å	„	0,2 Å
„ gamma	„	0,2 Å	„	0,002 Å
„ kosmiczne	„	0,53 X	„	0,21 X

MIKROKOSMOS.

	rozmiary	masa
Elektron	$\frac{1}{10^{13}}$ cm	$\frac{9,26}{10^{28}}$ gr
Proton (jądro atomowe)	$\frac{1}{10^{13}}$ „	1840 mas elektronu
Atom (proton otoczony elektronami)	$\frac{1}{10^{8}}$ „	masa protonu + masa elektronów
Molekuła (zbiorowisko atomów)	$\frac{1}{10^{7}}$ „	masa atomów składowych

MAKROKOSMOS.

	rozmiary	masa
Głowa komety	10^7—10^{11} cm	10^4—10^{24} gr
Układ Ziemia — Księżyc	10^{11} „	6×10^{27} „
Gwiazda	10^9—10^{14} „	10^{32}—10^{34} „
Układ słoneczny	10^{15} „	2×10^{33} „
Kuliste gromady gwiazdowe	10^{20} „	10^{37}—10^{39} „
„Obłoki“ gwiazdowe	10^{22} „	10^{40}—10^{42} „
Układ Drogi Mlecznej	3×10^{23} „	5×10^{14} „
Kosmos (według Einsteina)	$4,5 \times 10^{29}$ „	10^{55} „
Gęstość materji w Kosmosie		$1,5 \times 10^{31}$ gr/cm³

ILOŚĆ GWIAZD NA NIEBIE WIDOCZNYCH.

Gołem okiem (z poziomu morza)	około	5 000
Lornetką	„	50 000
Lunetami w obserwatorjach polskich	„	10 000 000
2½ m teleskopem z Mt Wilson bezpośred.	„	1 000 000 000
Tym samym teleskopem przy pom. fotogr.	„	1 500 000 000

DO ZIEMI BIEGNIE ŚWIATŁO:

Z Księżyca 1,28 sek.; ze Słońca 8 min. 19 sek.; z Plutona (w czasie jego opozycji, gdy planeta znajduje się w swej średniej odległości od Słońca) 5,4 g.; z najbliższej gwiazdy „Proxima Centauri“ 4,27 lat; z centrum Drogi Mlecznej (położonego w „chmurze gwiazdowej“ w Wężowniku i Niedźwiadku) 47 000 lat; z najdalszej gromady kulistej gwiazd: N. G. C. 7006, znajdującej się na krańcach Wielkiej Galaktyki, 220 000 lat; z najbliższej mgławicy pozagalaktycznej: M. 33 w Trójkącie (t. j. sąsiedniej drogi mlecznej) 850 000 lat; z najdalszych, dotychczas znanych mgławic pozagalaktycznych 240 000 000 lat; „dokoła przestrzeni“ (według teorji Einsteina) 500 000 000 000 lat.

Ostatnio (w r. 1934) skonstatowano, iż *szybkość rozchodzenia się światła ulega perjodycznym fluktuacjom,* prawdopodobnie *w okresie 40 lat,* w granicach od 300 000 do 299 780 km/sek. *Najmniejszą wartość osiągnęła szybkość światła w r. 1932.* Obecnie wielkość ta zaczyna wzrastać.

DANE Z BADAŃ WSZECHŚWIATA.

(Według J. Jeans'a.)

Astronomowie używają teleskopów około	300 lat
Astronomja istnieje	„ 3 000 „
Ludzkość istnieje na Ziemi	„ 300 000 „
Życie organiczne istnieje na Ziemi	„ 300 000 000 „
Wiek Ziemi (od czasu skrzepnięcia jej powierzchni), na podstawie przemiany uranu w ołów	„ 1 400 000 000 „
Wiek Ziemi oraz planet układu słonecznego	„ 2 000 000 000 „
Wiek Słońca oraz gwiazd	„ 8 000 000 000 000 „
Wiek Wszechświata	„ 200 000 000 000 000 „

MIARY DŁUGOŚCI MIKRO- I MAKROKOSMOSU.

Mikrokosmos.

1 kilometr (km) = 1 000 m
1 metr (m) = 10 dm = 100 cm = 1 000 mm
1 decymetr (dm) = 10 cm = 100 mm
1 centymetr (cm) = 10 mm = 10 000 μ
1 milimetr (mm) = 1 000 μ = 1 000 000 $\mu\mu$ = 10 000 000 Å
1 mikron (μ) = 1 000 $\mu\mu$ = 10 000 Å
1 mikromikron ($\mu\mu$) = 10 Å
1 Angström (Å) = 1 000 X

(Angström (Å) — jest to jednostka długości, używana w spektroskopji przy pomiarach długości fal. X (iks) — jest to nowo wprowadzona jednostka długości, stosowana specjalnie przy pomiarach długości promieni kosmicznych.)

Makrokosmos.

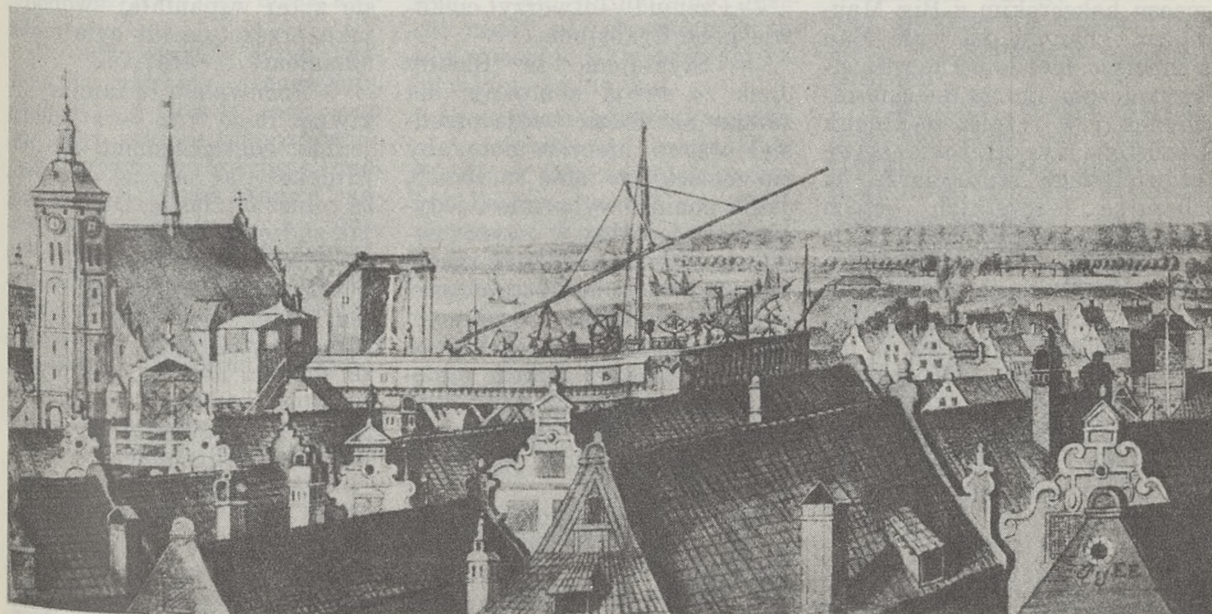
1 jednostka astronomiczna = 149 450 000 km (średnia odległość Ziemi od Słońca)
1 sekunda światła = 299 796 km
1 minuta światła = 60 sekund światła = $17{,}988 \times 10^{6}$ km
1 godzina światła = 60 minut światła = $1{,}079 \times 10^{9}$ km
1 doba światła = 24 godzin światła = $25{,}902 \times 10^{9}$ km
1 rok światła = $365\,^1/_4$ dni światła = $9{,}461 \times 10^{12}$ km = 63 290 jednostek astronomicznych = 0,3069 parseków
1 parsek = 3,258 lat światła = 206 265 jednostek astr. = $30{,}84 \times 10^{12}$ km
1 kiloparsek = 1 000 parseków
1 megaparsek = 1 000 000 parseków

(Kiloparsek oraz megaparsek zostały wprowadzone do astronomji w ostatnich latach, a to w związku z dokonywaniem pomiarów odległości mgławic pozagalaktycznych.)

Prędkości kosmiczne.

Księżyc	(średnia prędkość ruchu postępowego dookoła Ziemi)	1,024 km/sek
Pluton	„ „ „ „ „ Słońca)	4,68 „
Neptun	„ „ „ „ „ „	5,23 „
Uran	„ „ „ „ „ „	6,80 „
Saturn	„ „ „ „ „ „	9,64 „
Jowisz	„ „ „ „ „ „	13,05 „
Mars	„ „ „ „ „ „	24,11 „
Ziemia	„ „ „ „ „ „	29,77 „
Wenus	„ „ „ „ „ „	34,99 „
Merkury	„ „ „ „ „ „	47,83 „
Komety	(prędkość ruchu postępowego dookoła Słońca w aphelium)	cm sek
„	„ „ „ „ „ w odległości 1 jedn. astronom.)	42 km sek
„	„ „ „ „ „ w perihelium u niektórych komet) ok.	500 „
Meteory	(prędkość ruchu względem Ziemi)	12—72 „
„	(„ „ „ Słońca — jak u komet)	
Słońce	(„ „ „ sąsiednich gwiazd)	19 „
Gwiazdy	(średnia prędkość ruchu postępowego względem Słońca)	30—40 „
Arkturus	(alfa Bootis, prędkość ruchu postępowego względem Słońca) . . .	413 „
Słońce	(prędkość ruchu po orbicie eliptycznej dokoła centrum Drogi Mlecznej) .	300 „
Najdalsze mgławice pozagalaktyczne	(prędkość oddalania się od nas, wyśledzona IV 1934)	39 200 „

Prędkość ruchu światła w próżni: 299 780—300 000 km/sek. Jest to największa możliwa prędkość w Wszechświecie.



Obserwatorjum Jana Heweljusza w Gdańsku.

Według miedziorytu Heweljusza w „Machina Coelestis" (r. 1683).

PROCENT OD SZCZĘŚCIA

NIE zostało bezwzględnie ustalone, czy istotnie — jak mówiono — Hough Crabstone zawarł jakiś pakt z djabłem. Nie ulega jednak wątpliwości, że podobne przypuszczenie było wystarczająco usprawiedliwione.

Człowiek ten miał nadzwyczajne, fenomenalne, niesamowite szczęście.

Odkrycie kopalni rubinów w Borneo mogło być ostatecznie prostym przypadkiem, jak uratowanie się z rąk chińskich piratów na Żółtem morzu mogło być tylko prostym zbiegiem okoliczności. Kiedy jednak Hugh Crabstone zaciągnął się na kupiecki szkuner "Antiope" i podczas gwałtownej burzy spadł z najwyższego masztu w olinowanie, nie ponosząc przytem żadnego niemal uszkodzenia — stwierdzono powszechnie, że nie może tu być mowy o żadnych zbiegach okoliczności, a poprostu, że Houghie ma piekielne, bękarcie wprost szczęście.

Rozbicie banku w jednej z szulerni Honolulu, szereg wygranych zakładów w strzelaniu do świec, zwycięstwo w meczu bokserskim z Big Mauricem, znanym na całe San Francisco mordobijcą, wszystko policzono mu na ten sam rachunek i w rezultacie Hough Crabstone zyskał sobie sławę największego szczęściarza na obszarze wszystkich trzech oceanów z przyległościami. Nic też dziwnego, że liczba zawistnych, zazdrosnych wrogów urosła dokoła niego, jakby był jakąś aktorką filmową, a nie zwykłym sobie włóczęgą i obieżyświatem.

Było to właśnie w tym okresie, kiedy sława Hugha Crabstone'a dosięgła szczytu, kiedy mianowicie coraz uporczywiej zaczęto go posądzać o utrzymywanie stosunków z mocami piekielnemi. W tym właśnie okresie, kiedy po szczęśliwej grze na akcjach nieistniejącej kopalni miedzi w Meksyku Hough zbił kabzę tak pękato, że porzuciwszy swój właściwy zawód włóczęgi i blufiarza, osiedlił się na stałe w niewielkiej miejscowości Collar, na pograniczu Texasu, jako właściciel ślicznie urządzonego szynku, prosperującego głównie dzięki połączonej z nim tajemnie szulerni.

Otóż — aby wielką chryję w niewielu pomieścić słowach — przyszedł pewnego pięknego poranku do Hougha jego stary przyjaciel, Tim Goodluck, towarzysz wszystkich n i e m a l Hughowych przygód i awantur, człowiek, na którego zdaniu zawsze można było polegać. Zasiadłszy przed szynkwasem, za którym królował Crabstone, pokiwał smutno kanciastą twarzą nad szklaneczką dżinu i rzekł:

— Martwię się, Hughie. Smutna jest dusza moja aż do śmierci... Nie zazdroszczę ci, broń Boże — ciągnął — twojego szczęścia. Nic nie mam przeciwko niemu pozatem, że wietrzę w niem bardzo a bardzo przykre dla ciebie skutki...

— Czemu? —otworzył ciekawie gębę Crabstone.

— Słyszałem, że Bloody Jack ze swoją kompanją ma zamiar nawiedzić twoje przedsiębiorstwo; nietylko poto, aby się zemścić na tobie za straty, jakie poniósł wyłącznie i jedynie z twojej winy w owym miedzianym interesie, lecz raczej aby się przekonać ostatecznie, czy masz kontakt z djabłem i czy twoje piekielne, jak wiadomo, szczęście potrafi odpędzić czterdzieści dziewięć kul, jakie Jack i jego zacna kompanja mają zamiar poświęcić dla twojej osoby...

To rzekłszy zadumał się stary Goodluck. Co zaś do Hugha, ten najpierw zaczął się rozglądać za swoją wypróbowaną wielokrotnie spluwą, p o t e m rozwinął w o b e c przyjaciela plan obrony przed spodziewaną zemstą, wreszcie uderzył się w czoło i rzekł:

— Djabelnie, powiem ci prawdę, znudziła mnie już ta dziura, w której muszę porać się z handelkiem, licho wie po co. Nie jestem tchórzem, jak wiesz, Tim... Sądzę że mnie zrozumiesz...

— Rozumię, nie bój się.

— Poprostu uważam, że powołaniem mojem nie jest kupczenie alkoholem, ani obdzieranie bliźnich przy pomocy tajemnej ruletki. Urodziłem się niewątpliwie na włóczęgę.

— Tak jest — przytaknął Tom, nadstawiając szklaneczkę.

— A więc, co myślisz o tem, abym plunął na wszystko, cokolwiek łączy mnie z tą obrzydliwą teksaską dziurą, abym, naprzykład, ofiarował Bloody Jackowi całe moje przedsiębiorstwo i, spełniwszy ten akt łaski — zgodzisz się przecie, że to jednak łaska i to niepowszednia — abym odszedł znów w szeroki świat posmakować słonego wiatru, spotykać nowe przygody i cieszyć się z tej wspaniałej swobody, jaka przez tyle lat była moim udziałem?... Hę?...

— Pochwalam te zamiary — kiwnął łbem Tim — z jednem jednak zastrzeżeniem: nie powinieneś dać odczuć Jackowi, że robisz mu łaskę. On bowiem, jak sądzę, może pogardzić twoją wspaniałomyślnością, a co gorzej, obrazić się i nie czekając, dołożyć do swych czterdziestu dziewięciu kul jeszcze ze siedem. Jest to, jak wiesz, człowiek bardzo źle wychowany i nie rozumiejący się na delikatnych odruchach.

— A zatem?

— Jak ci już mówiłem, Houghie, chęć zemsty Jacka niczem jest w porównaniu z jego pragnieniem dowiedzenia światu, że piekielne twoje

szczęście jest nędznym bluffem, mitem i legendą. Sądzę tedy, że właściwą byłoby rzeczą naprzykład przegrać do niego w karty całe twe przedsiębiorstwo. To może ułagodzić jego krwiożercze zamiary tem więcej, że teza jego o twojem szczęściu będzie najzupełniej potwierdzona. I bądź przytem pewien, że opinja, jaką się cieszysz, nie poniesie żadnego szwanku, jeśli wyjaśnimy później, że dobrowolnie i rozmyślnie przegrałeś tak wielką stawkę.

— Oczywiście. A trzeba dodać, że nie przegram nic więcej ponad to, co zyskałem na miedzi meksykańskiej, której nigdy nie było...

— Wróciwszy zaś na szlak włóczęgowski, spełnisz swoje marzenia i będziesz naprawdę szczęśliwy...

— O tak! A trzeba wziąć też pod uwagę fakt, że właściwie nic mnie to wszystko nie będzie kosztować. Z radością pozbędę się tego...

— Właśnie.

— Mam więc — zachichotał Hough — poprostu mówiąc, wyrzec się piekielnego szczęścia na parę minut, dać mu w pysk, skopać je i splugawić, przegrywając do Jacka całe moje przedsiębiorstwo. W tem rzecz?...

— Tak jest. Czy masz karty?...

W tejże chwili drzwi "saloonu" huknęły rozgłośnie. Wtoczył się Bloody Jack, a za nim jego sześciu kompanów.

Gęby to były złowrogie i nieprzyjemne. To też Hugh Crabstone wyzyskał każdą sekundę, dzielącą go od możliwej śmierci. Nim Jack zdążył wymówić pierwsze słowo grubjańskiego powitania, Hugh zatrajkotał z szybkością karabina maszynowego:

— Wiem poco przychodzisz, Jack. Szanuję twoje szlachetne zamiary. Odłóż jednak spluwę i posłuchaj, co chcę ci powiedzieć...

— Co? — warknął Jack.

— Czy masz karty przy sobie?...

— Mam — zdziwił się awanturnik, ogłupiony niespodziewanem pytaniem.

— Proponuję, żebyśmy rozegrali na jedną partję bakarata całą stawkę...

— Jaką stawkę?

— Wszystko, co tu mam. Rozumiesz chyba, że jeśli przegram, odzyskasz wszystko, co straciłeś na miedzi, oraz przekonasz się o słuszności twego twierdzenia, jakoby moje szczęście było tylko i jedynie bajką, którą ludzie wymyślili i powtarzają na moje utrapienie... Zgoda więc?

— A jeżeli wygrasz?

— W takim razie zdaję się na twoją łaskę i niełaskę, z tem jednak zastrzeżeniem, że odłożysz nasze porachunki na jeden dzień. Uczciwie, po amerykańsku, tak jak przystało na dobrych Yankesów. Zresztą, powiem ci, że w takich warunkach jak obecne, nie powinienem wygrać. Mam do wyboru, albo śmierć, albo utratę majątku. Wolę to drugie. A ty też chyba wolisz majątek, niż prawdopodobne w razie mojej śmierci więzienie?

Bloody Jack roześmiał się szeroko.

— He, he! — zawołał. — Chcesz się tanio wykupić, Houghie!... Liczysz na szczęście, na twoje piekielne szczęście... No, spróbujemy. Jeszcze nigdy nie słyszałem o takim sposobie likwidowania rachunków, he, he, he...

Stasowano karty, śmierdzące i polepione od brudu. Tom Goodluck jako świadek przełożył. Zagrano w orła i reszkę o trzymanie banku i po chwili Jack dostał pierwszą kartę. Hugh z bijącem sercem pociągnął sobie. Była to dama.

Dał Jackowi drugą. Pociągnął i sobie. Dostał asa.

— Daję — szepnął radośnie.

— Sam stoję...

— Daj. Odświęć. Co masz?

— Jeden — wrzasnął uszczęśliwiony Hugh.

— A ja... baka... zero! Trzy figury. Masz rzeczywiście piekielne szczęście. A ja... siedem kul w magazynku, wobec których nawet to twoje szczęście jest poprostu niczem — wycedził Jack, wyciągając rewolwer z pochwy.

Odtrącone, zbite po pysku, splugawione szczęście wróciło do Hugha Crabstone'a w towarzystwie nie czterdziestu dziewięciu i nie siedmiu nawet (trzy wystarczyły) kul rewolwerowych.

Biedny Hugh Crabstone, najszczęśliwszy człowiek na obszarze trzech oceanów z przyległościami, wyciągnął się jak długi za szynkwasem. Był martwy, zanim zwalił się z nóg.

I dopiero po jego śmierci ustalono, że od szczęścia swego, biedaczysko, zawsze i wszędzie musiał jednak spłacać nieznanym mocom pewien — jak to nazwać? — no, procencik.

A więc: odkrycie kopalni związane było ze śmiercią jego żony, która w parę dni wykończyła się na żółtą febrę. Uratowanie z rąk piratów przypłacone było utratą całego majątku, uzyskanego ze sprzedaży rubinowego skarbu. Upadek z masztu okupiony został zwichnięciem lewej ręki. Szczęśliwe ocalenie z katastrofy "Antiope" — zdarciem skóry z połowy czaszki. Rozbicie b a n k u — zainkasowaniem trzech kul dużego kalibru w udo. Zwycięstwo w San Francisco — złamaniem chrząstki nosowej.

Reszta? No, reszta przyczyniła się tylko do tego, że Hough Crabstone gorzko odpokutował wkońcu za swoje piekielne szczęście, ginąc z rąk tych, którzy tego szczęścia mu zazdrościli i wybaczyć nie chcieli.

Niemniej jednak sława Hugha Crabstone'a, jako największego szczęściarza trzech oceanów, utrzymywała s i ę przez czas bardzo długi, zasługując w pełni na okazane nią zainteresowanie.

Trzeba jednak przyznać, że ostatni spłacony przez niego procent od szczęścia był — co się zowie — lichwiarski...

Marja Czeska

ZWYCIĘSTWO ŚMIERCI

NOWELA

MALUCHNA dziewczynka tuliła główkę do kolan matki; by szalejącej burzy nie słyszeć, przymykała powieki, bo olśniewające światło błyskawic wdzierało się w jej wrażliwą duszyczkę bezmiernym lękiem...

— Nie bój się, dziecino... nic się bez woli Boga nie stanie, a zobaczysz, jak po burzy ożyje cała natura.

— Ja się nie o siebie boję, mamo... ale ten grad... ten grad... jak on musi boleć moje kwiatki!

— Dziecino... kwiaty muszą przekwitnąć, a czy zwiędną dzień wcześniej czy później, to jedno.

* * *

Rozsunęły się ciężkie zwały chmur i złoty promień słońca zaigrał tęczą w kałużach wody deszczowej.

Dziewczynka klęczała w grząskiej ziemi, drobne jej paluszki usiłowały podnieść kwiaty zniszczone, a łzy spływały po pochylonej twarzyczce.

Smukłe lilje, które przed godziną wydawały się jej do kadzielnic żywych podobne, leżały bezsilne, przez poszarpaną biel płatków przeglądała wilgotna, czarna ziemia. Rezedę wbił grad w błoto, z jaśminów otrząsnął płatki, u róż pączki połamał.

Jak je to musiało boleć!

— Burza jest konieczną, dziecino... połamała ci kwiaty, ale spójrz, jak po niej odżył świat cały...

— Grad tyle zniszczył, mamo... dlaczego? Dlaczego?

— Jedno zniszczyła burza, drugie ożywiła... snać tak było potrzeba — tłumaczył spokojny głos matki.

Ale dziecko nie mogło dojrzeć wzmożonej siły i piękności ziemi, bo głuszył ją dla niej silny zapach umierających kwiatów, widok płatków poszarpanych, i klęczała wśród nich bezradna, spłakana, z pierwszem pytaniem w duszy i z pierwszym bólem.

* * *

Siostra Marta wstrząsnęła głową, zaszeleściły białe, sztywne skrzydła kornetu, a jej ciemne, błękitne oczy rozbłysły łzami. Tak żywo przypominała się jej ta chwila dalekiego dzieciństwa... Może dlatego, że serce dojrzałej kobiety przeżywa dzisiaj ze wzmożoną siłą chwile uczuć tych samych, litości bezmiernej, paraliżującego siły przeświadczenia o własnej niemocy i tego samego podświadomego buntu.

Stała w progu płóciennego namiotu i patrzyła na ruszające do ataku wojska... na białe obłoki pękających granatów... Jak mrówki wyglądali ci ludzie na zboczu ziejącej ogniem dział góry.

Obok niej grupa doktorów wojskowych omawiała konieczność wojny... Ewentualne rozszerzenie granic państwa przyniesie sanację stosunków wewnętrznych, wzmoże dobrobyt...

— Wojna ma podobieństwo do burzy — mówi ktoś — jak jedna powietrze, tak druga oczyszcza stosunki kraju. Państwa, które zbyt długo utrzymują stan pokojowy, chorują na rozkład wewnętrzny.

— Zawsze wolę, jak się w organiźmie złe soki wrzodem nazewnątrz wyrzucą, niżeli gdy z całego człowieka zrobią żyjącego trupa. Wojna — to wrzód... przetnie się, ropa odpłynie i na szeregi lat człowiek zdrów.

— Zdaniem kolegi jest to więc rodzaj chirurgicznego zabiegu?

— Pewno... i zjawisko wprost konieczne. Jak długo będą ludzie, będą i wojny, kolego...

Rozmowa milknie, bo obok namiotu przejeżdża oddział konnicy; w słońcu mienią się złocone szamerowania mundurów. Pochyleniem szabli prowadzący oficer wita grupę doktorów i szare postacie zakonnic. W spojrzenu jego młodzieńczych, śmiałych źrenic jest szacunek i lęk...

Ten sam błysk trwogi w źrenicach wita zakonnice ze wszystkich tych twarzy, takich młodych, dziecinnych prawie... Mają dla nich te szare postacie, ocienione skrzydłami białych kornetów, coś z bólu i śmierci, z chłodu grobu i tchnienia nieskończoności.

Najbardziej nawet zmysłowi z pomiędzy nich, przez tę mieszaninę czci i lęku nie dostrzegają kobiecości... Bezpłciowemi stają się istoty ludzkie, strzegące misterji bólu i śmierci.

Siostra Marta spogląda poza siebie. W martwem świetle, przedzierającem się przez płócienne ściany namiotu rysują się szeregi tapczanów, narzuconych żółtawą bielą prześcieradeł.

Dreszcz ją przejął. Odnosiła wrażenie, że pomiędzy szeregami tych legowisk próżnych snuje się coś niewidzialnego, strasznego, i czeka... Za chwilę wypełznie przed namiot... skurczy się jak zwierz do skoku i runie w dolinę...

— Tam, ten łan żywych istnień, cofających się teraz przed morderczym ogniem dział.

A gdziekolwiek przesunie się swoją bezszelestną, widmową stopą, tam życie ludzkie padnie, jak kwiat burzą złamany.

— Widzi siostra... tam... za nami na lewo... w tej grupie wojskowych, na gniadym ogierze... to głównodowodzący...

Jeden z lekarzy podaje jej lunetę. Zrzucił już mundur, zapina teraz fartuch i odwija rękawy, obnażając do łokci potężne, muskularne ręce.

Siostra Marta patrzy przez lunetę we wskazanym kierunku.

Głównodowodzący...

Pan życia i śmierci...

W grupie wojskowych wyższych stopni rozróżnia spokojną, skupioną twarz i rękę drobną, trzymającą dalekowidz.

Pozycja dla lazaretu cofnięta, zabezpieczona, dobrze wybrana.

Głównodowodzący ma minę człowieka, grającego w szachy, tak obojętną, jakgdyby pionkami przesuwał, nie ludźmi. Od czasu do czasu jego wygolone, złowrogie w zarysie wargi rzucają jakieś wyrazy. Wtedy ktoś z otoczenia spina konia... wytworny piruet... lekki, pełen wdzięku galop. Ktoś podsunął mapę... po ostrej twarzy dowódcy przebiega uśmiech... Tłumaczy coś.

Obok lazaretu przelatuje wymuskana sylwetka oficera sztabowego. Niepokalanie białe rękawiczki, uniform obciągający kształty... Posłaniec śmierci. Obok sztabu przesuwa się tymczasem czarna, gąsienicowa linja piechoty... Patrzą w wodza... On pochylił się w siodle i salutuje...

— "Ci, którzy mają umrzeć, pozdrawiają cię, cezarze..." — słowa pogańskich gladjatorów zdają się ożywać znowu.

— Będziemy mieli niedługo robotę, siostro, już nam niosą rannych...

— Już.

Siostra Marta wraca wgłąb namiotu, tam, gdzie na długim stole leżą zwoje bandaży i stosy waty, ręce jej drżą, gdy przygotowuje narzędzia, a w duszy jej poprzez wrażenie lęku, krzyk litości i poczucie niemocy, przesuwa się uspakajające zapewnienie Chrystusa, niosąc ulgę jej trwodze: "Królestwo moje nie jest z tego świata".

Więc jej usta poruszają się szeptem błagalnej modlitwy, by te dusze, które teraz ciała opuszczą, odnalazły drogę do tego obiecanego królestwa. Ale pomimo tego serce jej drży, wije się, kona w oczekiwaniu i okrutnej przedśmiertnej męce...

O śmierci... jakim że wrogiem życia wydajesz się w tej chwili...

* * *

Umilkło echo wystrzałów.

Rozwiały się dymy...

Zwycięzcy i zwyciężeni przesunęli się wraz z terenem samej walki wgłąb kraju. I tylko na wzgórzach zostały lazarety, by podjąć walkę ze śmiercią.

Po szarej, smutnej płaszczyźnie doliny, po zboczach gór przesunęła się Ona... stratowane łany, zesztywniałe młodzieńcze postacie, ścierwa koni, porzucone wozy znaczą jej ślady... I plamy krwi, jak olbrzymie płatki maków purpurowych, wszędzie... wszędzie... ziemia niemi przesiąkła, zaróżowiły się wiosenne kałuże. Martwa cisza.

Słodkawy, mdły zapach krwi świeżej unosi się nad pobojowiskiem. Groza i lęk.

Od dwunastu godzin miłosierdzie ludzkie usiłuje zatrzeć ślady ludzkiego okrucieństwa.

W milczeniu, po wybojach drogi, posuwają się oddziały sanitarne, bo ból snujący się w przestrzeni, żałoba, lęk... przytłaczają swoim ciężarem garstkę żyjących. A tam już groby kopią — szerokie, obszerne doły... Uniformy obu armij snują się po pobojowisku... nienawiść zniknęła. Miłosiedzie nie zna narodowości i nie zna wrogów.

Przed wózkiem sanitarjuszy, otoczona gronem milczących żołnierzy, idzie wysoka, szara postać. Kołyszą się skrzydła kornetu.

Po całodziennym trudzie, zamiast skorzystać z chwilowego wypoczynku, siostra Marta prosiła, by jej wolno było iść z oddziałem na pobojowisko.

W duszy jej trzepotał się lęk, że tam, pomiędzy tymi martwymi, mogą być jeszcze żywi...

A przytem pragnęła spojrzeć z bliska na dzieło potężnej a wrogiej śmierci, z którą walczyła od wczoraj.

W pierwszej chwili, gdy przebywszy dolinę, stanęła wśród martwej ciszy, a spojrzenie jej pobiegło po zwikłanych masach ludzkich ciał, ogarnął ją bezmiar znużenia.

Wrócić się... wrócić... byle na to dzieło ludzkiego okrucieństwa nie patrzeć!

Wrócić się... wrócić...

Cała kobiecość w niej wzdrygała się na myśl wstąpienia na tę ziemię od krwi czerwoną.

A jeżeli... między tymi umarłymi są jeszcze żywi?...

Ogarnęła ją jakaś dzika żądza szukania w tem państwie śmierci życia i ocalenia go.

Do każdej zesztywniałej postaci się chyli, przejrzyste jej dłonie kładą się na skroniach chłodnych, wsuwają pod uniformy rozpięte, szukając tętna serca.

Z natężeniem siostra Marta słucha w nadziei, że jakiś jęk, westchnienie, znak życia, doleci ją z tego łanu ściętego przedwcześnie.

— Siostro... doprawdy, ci tutaj naszej pomocy już nie potrzebują... rannych zabrano już wszystkich... to tylko umarli...

— Jeszcze chwilkę — siostra Marta nie może rozstać się ze swojem pragnieniem wydarcia choćby jednej ofiary z tego państwa ciszy, a przytem... zdawało się jej czy też naprawdę doleciał skądś jęk...

— Wracajmy, siostro... miłosierdzie ma też swoje granice, a poza niemi staje się bezsensem. Zresztą głodni już jesteśmy i pomęczeni jak psy...

— Cicho... na Boga, cicho! Tam... pod tym stosem ciał jest ktoś żywy, ktoś ranny...

Siostra Marta gorączkowo pomaga usuwać zwłoki, bo teraz słychać jęk. Dłonie zakonnicy odczuwają nareszcie rozpalone czoło pod dotknięciem.

— Żyje...

— A żyje... i jeżeli żyć będzie, to tylko dzięki uporowi siostry. A psiakrew! Jaka noga! Cóż, weźmiemy go? Życie dla niejednego wątpliwa przysługa...

— Watę... bandaż...

— Brać go! Ostrożnie, durniu... No!

Krótka komenda, ciało złożono na noszach, ostrożnie przesuwa się orszak drogą powrotną, ale martwą ciszę ożywia jęk rwący się przy każdem wstrząśnieniu ze spalonych gorączką warg rannego.

Siostra Marta podłożyła mu pod głowę obie dłonie i czuje na nich ciepło sączącej się przez bandaż krwi... Ach, tyle razy płynęła już krew dzisiaj po jej dłoniach... tyle razy, że przestała się już wzdrygać przed tą wilgotną, ciepłą, lepką cieczą i tylko lęk ją chwytał, że sączyła się godzinami może, a teraz...

Ale w duszy siostry Marty jest uczucie triumfu, gdy patrzy na tę maskę błota i krwi pokrytą twarz o rozszerzonych, niespokojnych źrenicach... Wydarła to życie przemocą niemal i pragnie je ocalić.

To też serce ściska się jej najpierw zwycięskiem uczuciem radości, a potem bezmiernym żalem, gdy obmywszy twarz rannego, dojrzała dziecinne niemal rysy, a równocześnie usłyszała niechętny głos naczelnego lekarza:

— Amputować trzeba lewą nogę w biodrze... Rana w głowie nie niebezpieczna, ale krwi stracił dużo... Lepiej go było zostawić gdzie był...

— Zostawić!...

Z żywym protestem siostra uniosła pochyloną głowę, a głos jej drżał oburzeniem.

A doktór w straszliwie zakrwawionym fartuchu, zdenerwowany do szaleństwa, wyczerpany pracą do ostateczności, dorzuca twardo:

— Pewno... Byłby skończył za godzinę. W lazarecie i tak ciasno, a krajać takiego pół-trupa, to tylko strata czasu...

— Doktorze... ja go tak pragnę ocalić!

— Oszaleć można z tem waszem babskiem miłosierdziem! Dawać go tu na stół... chloroform...

W pół godziny potem na tapczanie, w samym kącie namiotu złożono go po operacji.

Duszne wyziewy gorączki, potu, słodkawy, mdły zapach chloroformu i ostry karbolu, zlewają się w atmosferę do zniesienia trudną.

Siostra Marta czuwa, usiłując odegnać sen od powiek znużonych, zmienia okłady, przysuwa szklanki z wodą lub koniakiem do ust spieczonych, a chwilami zdaje się jej, że lazaret zmienił się w przedsionek piekła... Cała gehenna bólu woła do niej z tych oczu rozwartych szeroko, z wykrzywionych męką twarzy... Na niektórych kocach głównodowodzący przypiął krzyże zasługi. Przeszedł przez lazaret z tą samą skupioną, obojętną twarzą i płacił za krew, za życie — słowami uznania i krzyżami za waleczność...

I teraz w półmroku migają te złote i srebrne odznaki... krzyże umarłym... krzyże kalekom... krzyże walecznym...

O zakonnico... dziwne myśli szaleją ci w mózgu...

Przystanęła na chwilę, podnosząc płótno namiotu, z prawdziwą rozkoszą wdychając świeże, wonne powietrze, ale wiatr zmienił kierunek i jak przedtem z gór niósł zapach sosnowych lasów, tak teraz z doliny przyniósł zabójczą woń rozkładających się ciał.

I znowu siostra Marta odniosła wrażenie, że ta jakaś okrutna siła, która wczoraj taiła się w kątach pustego lazaretu, a potem szalała tam wdole, że powraca teraz zwolna z tym zapachem trupich ciał do szpitala, by dokończyć żniwa.

W namiocie doktora pali się światło. Operują jeszcze. W tej chwili z bocznego skrzydła wysunęło się dwóch żołnierzy, niosących na marach nieboszczyka.

Krwawy lęk schwycił duszę szarej siostry, drżące palce kurczowym ruchem trzymały ogniwa różańca... Ona tak pragnęła dla tych tam biedaków powrotu do ojczyzny dalekiej, do rodziny, do swoich...

O, gdybyż można tej sile niewidzialnej, pełznącej z doliny, własnem ciałem zagrodzić drogę...

Gdybyż można wziąć ten cały ból na siebie, jak niegdyś Pan jej, poświęcić się za nędzę i występki ludzkości.

Za tych umarłych...

Za rannych...

I za tych zdrowych, z których każdy ma na sumieniu mord uprawniony.

Gdybyż można...

Rozpoczęła znowu swoją wędrówkę od tapczanu do tapczanu, uspokajając, dodając odwagi, odbierając ostatnie polecenia.

— Siostro...

To jej ranny. Z młodej twarzy spojrzały w nią pociemniałe bólem oczy błękitne. Był w nich błysk przytomności. Ucieszyło ją to. Pochyliła się nad nim.

— Jakże się czujecie, co?

Zbladła tragedja strasznego niepokoju patrzyła ku niej z tych oczu, spieczone wargi poruszał szept, rwący się co chwilę:

— Siostro... co się stało z moją nogą?

Ogarnęło ją wzruszenie ogromne. Ten człowiek nie wiedział, że parę minionych godzin uczyniło go kaleką.

Łagodnie ręka siostry poprawia bandaże na czole rannego, byle tylko zyskać na czasie i nie patrzeć w te bolesne oczy człowieka, któremu uratowała życie.

Przed kilku godzinami czyn ten wydawał się jej wielkim jak zwycięstwo, a teraz... teraz... powieki jej spuszczają się przed badawczym wzrokiem rannego.

— Siostro... ja... ja prawą nogę czuję, a lewej... a lewej...

— Bo ranny w nią jesteś i masz ją zabandażowaną silnie — pierwsze to było kłamstwo w jej życiu, więc ma matowy, nieprzekonywujący dźwięk.

— O... gdybym ja mógł się poruszyć i przekonać... czasem mi się zdaje, że ją mam, że boli mnie w kostce, a czasem... łka ranny.

Z dziecinnych, błękitnych oczu płyną łzy.

— Boże! Boże... bo gdybym ja miał być kaleką... to lepiej byłoby nie żyć! Lepiej!

Głuche, suche łkanie i takie piekło bezsilnego bólu w łzawych źrenicach.

— Cicho.. cicho... zaszkodzisz sobie... utraciłeś tak wiele krwi, znaleziono cię tak późno na pobojowsku... musisz być bardzo spokojny i posłuszny, żebyś mógł odzyskać zdrowie i siły. Trzeba zaufać Bogu... wielkiemu, litościwemu, miłosiernemu Bogu i... i... poddać się jego woli. Przecież chciałbyś wrócić do swoich... chciałbyś, prawda?

— Do swoich... do swoich... — rzewny ton głosu gaśnie naraz, ustępując twardym, suchym dźwiękom: — Tylko kaleką... nie! Siostro,... powiedz mi prawdę... ja... ja się tak strasznie boję...

— Prawdę ci mówię... ranny jesteś, ale o kalectwie mowy niema...

— Przysięgłabyś mi na to? — rwie się żałośnie z wyczerpanej piersi rannego.

Chwila ciszy. Jego oczy wiszą spojrzeniem na jej ustach słodkich, łagodnych, Jałmużny się nie odmawia, a jej kłamstwo będzie jałmużną litości.

Krzywoprzysięstwo...

Nie, nie! Jej Bóg, który się poświęcił za ludzkość całą, który miłował i litował się, nie może jej za złe poczytać tej przysięgi... Ujęła rękę rannego... Jak w niej puls szaleje... toż to już konanie prawie. Więc jej jasny głos, powtarza bez wahania już:

— Przysięgam ci.

Powieki rannego przymknęły się. Na rzęsach zawisły łzy... zdjął z niego ten łagodny głos mękę straszną ostatniej godziny.

— Dziękuję, siostro... bo gdyby... gdyby... to byłbym zdarł bandaż... Uratowałaś mnie.

— Po raz drugi dzisiaj — myśli siostra, a w głębi jej duszy snuje się pytanie: poco?

I ona jest znużona i jej gorączka pali usta, a z dziwną siłą rysują się jakieś zjawy. Ot i teraz zdaje się jej, widzi tę młodą, wynędzniałą chorobą postać, tylko niema już na niej barwnego uniformu. Szare łachmany, głęboko wpadnięte oczy, zamiast nogi kula, a na piersi medal za waleczność, w ręce... w tej ręce, której palce drżą dziwnie na prześcieradle... kapelusz, wyciągnięty tym wymownym, żebraczym gestem, przesmutnym ruchem nędzy, uciekającej się do miłosiedzia ludzkiego... Przez jaką otchłań moralnego bólu przejść musiała ta młodzieńcza postać, zanim doszła do tego kościelnego progu. Nędza zgasiła inteligencję oczu, stępiła ducha...

Wizja jest tak wyraźna, tak żywa, tak straszna w swojej realnej, nagiej prawdzie, że z piersi siostry wyrywa się jęk...

Boże, Boże!

Jakże szczęśliwi są ci, którzy polegli..

O, śmierci, jakiemż błogosławieństwem jesteś, ciszą, ukojeniem, jakimż bezmiernym darem Boga i jakiem szaleństwem opór przeciwko tobie!

Siostra Marta nie pragnie już własnem ciałem bronić tych uratowanych. Reszta mimowolnego oporu przeciw przeznaczeniu rozpłynęła się wobec tej okrutnej wizji życia.

A zjawa śmierci, która na początku bitwy przybierała dla niej kształty drapieżnego zwierza, żądnego krwi, ma teraz słodycz macierzyńskiej pieszczoty, a przejście jej bezszelestnej stopy staje się aktem łaski bożej dla człowieka...

Aktem łaski...

Palce rannego poruszają się na kocu tym charakterystycznym ruchem, pełnym dziwnego niepokoju, a właściwym konającym. Szeptem opowiadają zbladłe wargi o domu rodzinnym, polach wiosennych, stepach liljowych... Na młodą, zmęczoną twarz wybiega błysk uśmiechu.

Siostra Marta modli się, a cała jej dusza korzy się przed tą siłą potężną a zbawczą, przed potężnym objawem miłości Boga dla swego stworzenia.

Z Piosenek Wojska Polskiego

HEJ, MINĘŁY MOJE DNI SPOKOJNE

Hej, minęły moje dni spokojne,
Jasiuleńka wzięli mi na wojnę!
W oknie chaty siedzę zapłakana,
Od wieczora czekając do rana.
Już mię dzisiaj nie weselą kwiaty,
Co na grzędzie rosną wedle chaty,
Nie cieszy mnie krasnych sznur korali,
Co go ojciec na chrzcie świętym dali.
Już nie słychać kołowrotka w domu,
Hej, bo na nim prząść dziś niema komu.
Ze świtaniem rannem, z ranną rosą
Jasiuleńka mi mojego niosą.
Jasiuleńka niosą mi ułany,
Krew wycieka z malusieńkiej rany.

Ostawili koniki na dworze,
Jasiuleńka złożyli w komorze.
Teraz siedzą przed chatą na przyźbie,
A ja oczy wypłakuję w izbie,
Złe moskiewskie przeklinam pałasze,
Co przecięły miłowanie nasze.
Hej, niedługo dziewki w Polsce płaczą,
Gdy na wojnie kochaneczka stracą.
Już pobudki grają i fanfary,
Jasiuleńka wdziewam mundur szary,
Ucałuję jego liczko blade,
Na wojenkę z ułanami jadę.
Jasiuleńku, leż spokojnie w grobie,
Mundurowi ja wstydu nie zrobię!

WIEK XVIII — PIERWSZE REFORMY

Od półtora wieku trwający rozkład wewnętrzny Polski, który za Sasów przybrał najjaskrawszy obraz, dokonał wreszcie swego. W roku 1772 nastąpił pierwszy rozbiór. Polska nie miała siły przeciwstawić się zaborcom. Doprowadziła do tego stanu rzeczy rozpasana swoboda szlachecka. Posługując się „liberum veto" mógł szlachcic zerwać każdy sejm. I zrywał. W ciągu wielu lat nie mogło więc być mowy o jakichkolwiek reformach. To też co światlejsi mężowie zrozumieli, że naprawę Rzeczpospolitej należy zacząć od obalenia „tradycyjnego" prawa. By się to jednak mogło dokonać, trzeba było chociaż część szlachty przekonać o słuszności tego czynu. Trzeba ją było wychować. Tak rozumował wykształcony pijar Stanisław Konarski (1700—1773). Zaczął więc od zreformowania szkolnictwa. W szkole, którą założył dla synów magnackich (Collegium Nobilium) zerwano z tępym wbijaniem wiadomości, zrozumiano, że z rozwojem umysłowym musi iść rozwój fizyczny, zwrócono baczną uwagę na język Polski, zamiast średniowiecznej filozofii scholastycznej zaczęto przekazywać nowożytne prądy rozwijające się we Francji (racjonalizm) i Anglii (empiryzm), a przede wszystkim zwrócono uwagę na ideał moralny obywatela. Uczelnia ta stała się więc wzorem dla innych. Nawet zaciekli przeciwnicy pijarów jezuici, musieli uznać jej wyższość. Dopiero po latach takiej pracy mógł Konarski ogłosić swoje dzieło: „O skutecznym rad sposobie" (1760—1763). Obaliło ono ostatecznie „liberum veto". Lecz może ważniejsze jest to, że dzięki jego pedagogicznej działalności znalazła się pod koniec tego wieku grupa ludzi, która rozwijając myśli Konarskiego, próbowała je przemienić w czyn. Była nim Konstytucja 3 MAJA. Lecz zanim do niej doszło trzeba było jeszcze wielu lat pracy.

Ośrodkiem, w którym skupiał się ten nowy prąd demokratyczny, pragnący uzdrowić bardzo zacofane życie Polski, stał się królewski dwór. Ostatni król Polski — Stanisław August Poniatowski, to człowiek bardzo wykształcony, ale pozbawiony zupełnie zdolności dyplomatycznych i wojskowych, był bowiem wielbicielem kultury



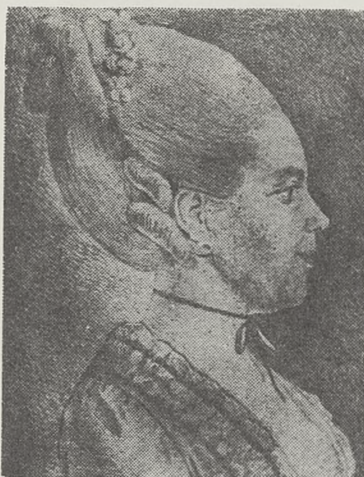
i gorącym mecenasem życia literackiego. On to założył pierwsze w Europie ministerstwo oświaty (Komisja dla Edukacji Narodowej — 1773) i pierwszy w Polsce teatr publiczny (1765). Z jego inicjatywy zaczęto wydawać pierwsze w naszym kraju pismo periodyczne („Monitor" — 1763). Na słynnych obiadach czwartkowych gromadził twórców ze świata literatury i nauki. Wiedział, że ludzie tacy jak Hugo Kołłątaj, Stanisław Staszic, Andrzej Zamoyski, Stanisław Małachowski, zdolni są wypracować nowoczesną koncepcję państwa polskiego. Dwaj pierwsi byli przecie pisarzami politycznymi tej samej klasy co Modrzewski czy Skarga. Uzdrowienie Polski widzieli w zrównaniu stanów i silnym rządzie konstytucyjnym.

Warszawska Moda

„...GDZIE ZALOTNOŚĆ jest na porządku dziennym (pięknych i młodych kobiet w Warszawie zalotność jest głównym zajęciem), tam musi też wysoko stać upodobanie w modach i strojach. Warszawskie elegantki i eleganci wiele na to czasu, myśli i pieniędzy szafują” — tak zaczyna opis mody warszawskiej Inflantczyk Fryderyk Schulz, zwiedzający stolicę w roku 1791. A dalej:

„Sama rozmaitość strojów tłum czyni malowniczym. Strój polski, francuski i mieszany ubiera ludność. Od ludu począwszy do średniej klasy wszyscy się jeszcze noszą po polsku. Średnia klasa chodzi w długiej sukni spodniej, na wierzch wdziewając drugą — cały strój podobny jest nieco do kobiecego. Ulubiona polska, rogata, obszyta futrem czapka nakrywa głowę latem i zimą. Strój kobiet klasy średniej taki sam prawie, jak w całej Europie, do tego dodają w zimie krótkie polskie futerko z długimi rękawkami”.

Tzw. klasa wyższa Warszawy hołdowała w owym czasie modzie francuskiej. Oto jak pisał o tym współczesny nam poeta:



Fryzura damska — wiek XVIII.

„W blaskach słońca lśnią
Łazienki
Biały salon króla Stasia,
Panie, panny i panienki,
Kazia, Stefcia, Julcia, Basia.
Jakby Paryż był tu blisko
Dyskurs obcym tchnie
tematem,
Polskie imię i nazwisko
I polskości koniec na tym”.

Modne warszawianki kokietują przede wszystkim nadzwyczajnymi fryzurami, podobnymi często do wiszących ogrodów, pełnych kwiecia lub ptaków. Szanująca się modnisia nie obywa się bez „muszki” — krążka czarnej materii, przylepianej na twarzy dla podniesienia efektu



Modnisia z czasów rokoka.

białoróżowej cery, najczęściej, co prawda, uczynionej sztucznie za pomocą pędzelków i szminek. Oczywiście — przy tym krynoliny, tiurniury, wachlarze i kosztowne przejrzyste szale. Po kołpaczkach, których moda przeszła — obowiązkowym nakryciem głowy stały się wielkie kornety. Upinano je — na wzór paryskich — w Warszawie, skąd rozchodziły się po całym kraju. Najtańszy kornet był za 6 zł, najdroższy — za 20. Urzędowe upinaczki kornetów — jak pisze Jędrzej Kitowicz — siedziały ze swoimi dziewczętami w sklepach, zwabiając kupców do kupowania. A obuwie? Modna warszawianka nosiła tylko trzewiki bławatne, atłasowe i grodetorowe rozmaitych kolorów, gładkie, bez haftu, zapinane na sprzączkę srebrną, początkowo małą, potem — zakrywającą cały wierzch pantofla. Majętne damy kupowały nowe trzewiki co miesiąc, biedniejsze panny musiały mieć przynajmniej cztery pary na rok. Szewcy warszawscy dorobili się dużych fortun na owych trzewikach, które rozchodziły się z Warszawy po całym kraju. Mężowie dla żon, ojcowie dla córek, kawalerowie dla dam zakupywali trzewiczki tuzinami. Nawet w prezentach przedślubnych niepoślednie miejsce zajmował warszawski trzewik.



Romantyczna dama z szalem.

Moda francuska obejmowała także i mężczyzn. Oto jak opisuje „warszawskiego paryżanina" w nieco pogardliwy sposób Kajetan Koźmian: „Werżet na głowie pod samą skórą wystrzyżony, upudrowany grubo, loki zawinięte koło uszów, włosy z tyłu głowy ujęte i schowane w szeroki czarny worek jedwabny, plecy pod tym workiem upudrowane, frak czy w zimie czy w lecie atłasowy, kanarkowy z fioletowymi wyłogami, guziki szklniące a pod szkłem cały zbiór robaków, jakby z gabinetu historii naturalnej. Kamizelka i spodnie podobnież fioletowe, z haftowanymi w różne kolorowe desenie szlakami i podwiązkami, sprzączki stalowe, pończochy jedwabne białe, no i trzewiki z ogromnymi sprzączkami złotymi lub srebrnymi. Twarz Sarmaty na papkinowatą przekształcona; szczerość serca — na dworską obłudę, prawe obyczaje narodowe — na lekką i płochą cudzoziemszczyznę przemienione."

Tych to kawalerów modnych i ich ojców wykpiwa Franciszek Bohomolec, nie oszczędzając także i „żon modnych".

Wiek XIX, a zwłaszcza druga jego połowa, zmienia gusty i upodobania. Przełom XVIII i XIX stulecia przyniósł większą prostotę kroju strojów, wzorowanych na antyku, przepuszczonym przez filtr smaku paryskich dyktatorek mody epoki Empiru — Pierwszego Cesarstwa. Podczas gdy w strojach damskich także i w następnym okresie romantyzmu zachowały się jeszcze żywe kolory, zanikały one stopniowo, aż znikły zupełnie, w ubiorach męskich, które stały się raczej szare. O ile za czasów króla Stasia cały przepych wielkiego świata paryskiego rozbił w Warszawie swój błyskotliwy, stubarwny namiot, o tyle obecnie następuje w modzie opamiętanie.

Charakterystycznym okresem dla mody stołecznej są lata po powstaniu styczniowym. Wówczas to na ulicach Warszawy pojawiają się mężczyźni w czamarach i rogatywkach, zaś kobiety przywdziewają strój żałobny. Była to jedyna w swoim rodzaju moda — znak protestu przeciw uciskającej władzy carskiej. Warszawianki zrezygnowały w owym czasie nawet z noszenia błyszczących ozdób — pierścionków, broszy



W czasach żałoby narodowej.

kolczyków — zakładając na ich miejsce czarne klejnoty.

Po okresie żałoby warszawska moda wraca do żywych kolorów, choć stroje warszawianek nie są już tak bogate, jak w czasach króla Stasia. Ówczesny kronikarz notuje o zabawie w Resursie Obywatelskiej w roku 1872: „Owo zebranie towarzyskie miało jedną cechę, obcą od dawna wszelkim zabawom. Ubiory dam odznaczały się skromnością i prostotą".

Oryginalnością ubioru zwraca teraz uwagę warszawska cyganeria—malarze, poeci, muzycy. Na Krakowskim Przedmieściu pojawiają się często młodzieńcy w czarnych pelerynach, z fantazyjnymi kokardkami pod brodą. Znajdują chętnych naśladowców zwłaszcza wśród warszawskich snobów, którzy pragną choć swym ubiorem zaliczyć się do tzw. świata artystycznego.

Koniec XIX i początek XX wieku — to znowu czasy bardzo modnych przejażdżek konnych. W alejach Ujazdowskich i w Łazienkach rojno jest od dam, paradujących w strojach do konnej jazdy. Wśród warszawianek modny staje się typ amazonki. Obowiązuje moda angielska. Na głowie — mały cylinderek, melonik, dżokejka, albo stosowny kapelusz, spódnica — szeroka, wcięty, długi żakiet i pod szyją plastron (rodzaj krawata), przypięty szpilką w kształcie podkowy. Moda damska zaczyna stylizować się na męską. Emancypantki wolą krawaty od koronek pod szyją. Przed I wojną światową modę zaczynają dyktować firmy warszawskie — rękojmią elegancji jest ubieranie się u Janiszewskiego czy Hersego. Gorsety kupują piękne panie tylko w firmie „Aurelia", futra — u Chowańczaka.

Wyraźnym przełomem w modzie staje się I wojna światowa. Przynosi zmianę stylu życia. Kobiety zaczynają coraz liczniej pracować zawodowo. Odchudzają się, nabierają smukłej linii. W owym



Nie było mowy o męskim stroju dla kobiet-amazonek.



Salony Domu Mód Hersego narzucały nowe modele.



Gorset od słynnej „Aurelii”.

okresie następuje przewrót i w modzie. Sukienki są krótkie i wąskie, na głowach — głębokie, przypominające garnek, kapelusze. Warszawianka stylizuje się teraz chętnie na chłopczycę. Jest smukła, płaska, pali papierosy, maluje się. Jak należy się ubrać — dyktują warszawskie firmy. Szanująca się elegantka wybiera suknie u Myszkorowskiego lub Cousin-Cattley, futra nabywa u Apfelbauma. Mistrz sztuki szewskiej Leszczyński posiada najnowsze wzory pantofelków, które chytrze podpatrują jego koledzy po fachu, wiedząc dobrze o tym, że innego fasonu warszawianki na nogi nie założą. W „Old England” eleganci warszawscy kupują konfekcję i kapelusze.

W owych czasach triumfy święci w karnawale instytucja „królowej balu”. Nie ma balu w stolicy, na którym nie wybierano by najpiękniejszej, najefektowniej ubranej pani, jaśniejącej wśród innych pomysłowością stroju. Warszawianki z wrodzonym sobie zmysłem elegancji potrafią doskonale odróżnić, co jest modne, co nie — a nade wszystko — w czym im jest najbardziej do twarzy. Od nich uczy się szyku prowincja.

Letnim salonem Warszawy stają się konkursy hippiczne. Tam spotyka się cały świat towarzyski stolicy, tam też odbywa się, nieoficjalna wprawdzie, rewia najpiękniejszych toalet i najmodniejszych strojów męskich. Punktem honoru każdej warszawianki jest obecność na konkursach. Modele sukien letnich formowane są na wzór tych, które co znaczniejsze damy nosiły w Łazienkach.

Co cechuje warszawską modę kobiecą w tym okresie? Przede wszystkim dążenie do jak największej prostoty stroju, unikanie jaskrawych kolorów. Ulubionym kolorem warszawianek staje się szary. Zaczynają wchodzić też w modę pończochy gazowe, słynne kajzery. Obowiązuje w dalszym ciągu nakrycie głowy — bez kapelusza żadna kobieta nie wychodzi na ulicę.

Przed samą II wojną światową moda nakazuje nosić suknie nieco dłuższe. Druga wojna — (działają tu przecież względy ekonomiczne!) skraca znów długość sukni kobiecej — dopiero po wojnie pierwsze warszawianki (za przykładem zagranicy) — rzucają hasło powrotu do dłuższych sukien.

Po raz pierwszy też w stolicy pojawiają się tzw. „bikiniarze”. Modne stają się kontrastowe, żywe kolory, króciutkie, niemal po męsku przystrzyżone włosy u kobiet — natomiast długie u mężczyzn. Warszawski „bikiniarz” zaopatruje się na „ciuchach” we wzorzyste, ekstrawaganckie koszule i krawaty. W lecie chodzi bez marynarki. Kobiety chętnie zaczynają nosić spodnie — strój sportowy przenosi się na ulice miasta. Jak za czasów dziewiętnastowiecznej Warszawy, ekstrawagancką modę zaczynają propagować warszawscy plastycy i aktorzy. Najjaskrawiej rysują się różnice w uczesaniu. U kobiet modne stają się długie włosy, upięte w kok lub związane — jak mówią dowcipnisie — „w koński ogon”. U mężczyzn — odwrotnie — krótko „na Tytusa” przystrzyżone włosy. U pań — szerokie spódnice, u panów — wąskie, obcisłe spodnie.

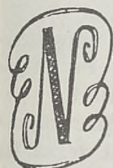
O tempora, o mores! Warszawska moda idzie zawsze z postępem.. czasu. A że są to czasy niezwyczajne, czasy ery atomowej — jaką nam też modę w najbliższej przyszłości przyniosą?



Wytworny kapelusz z 1926 r.

Sielanka

I



a Saskiej Kępie w niedzielę. „Pod Dębem" rojno i ludno jak na jarmarku. Pełno było ludzi w ogrodzie przy białych stolikach, pełno na huśtawkach, pełno na karuzelach, pełno przy kręgielni, pełno po altanach skrytych jaśminami rozkwitłymi — i pełno w sali, gdzie tańczono mazura.

Stary fortepian brzęczał jakby szkłem potłuczonym, flet gwizdał niby kos schrypnięty, skrzypce jęczały zmęczone, a rożek łkał, jakby przez pijacką czkawkę — a wtórowały im tupania siarczyste, pokrzyki dyszące, śpiewy, szczęki kufli, ostre głosy moździeży, w które dzwoniono w kuchni, że „gotowe", i krzyki dzieci, i strzały w strzelnicy, i popsute głosy katarynki przy karuzelach, i głuchy gruchot kul w kręgielni, i dalekie, głębokie szumy Wisły.



Mazur na „drewnianej sali".

W ogromnej izbie, przyciemnionej mocno, bo drzewa zaglądały do okien, tańczono zapamiętale, podłoga skrzypiała i gięła się pod nogami niby klawisze, sufit czarny, popękany, zdawał się leżeć na głowach tej zbitej, splątanej gęstwie ludzkiej, kręcącej się zapamiętale w kółko. Kilkadziesiąt osob stało pod ścianami, a drugie tyle tańczyło w pośrodku. Tupot był ogłuszający, tumany kurzu pokrywały szarym obłokiem całe wnętrze, że tylko czerwone twarze migotały, białe sukienki, koszule tancerzy i niewyraźne zarysy rąk i nóg...

Jakiś ogromny chłop bez surduta, z czerwoną głową, tańczył na przodzie, porywał za sobą tłustą dziewczynę. Machał serwetą i schrypłym głosem, przytupując ogniście, ryczał:

— Mazur wszystkie pary, mazurrr!...

Rżał jak źrebiec i z pasją szaloną rzucał się po sali, przebiegał, bił obcasami w podłogę, zakręcał, przystawał, a co chwilę wołał:

— Z życiem, panowie! Z życiem! Rum, rum! Dyż! dyż! dyż!

I znowu biegł, a za nim waliła ciżba ludzka, niby ogromna fala przewalała się z końca w koniec sali porwana muzyką, której szalony, pijacki rytm z dziką siłą porywał w wir, w zapamiętanie, w szał...

Widzowie spod ścian, ze drzwi, z okien, z ogrodu nawet pomagali tańczącym — głosami, przytupywaniem, śpiewami.

Aż naraz ciżba zatrzymała się tak gwałtownie, że kilka par poleciało w bok, na ściany i na bufet, bo rudy pan zatrzymał się na czele i zaśpiewał:

„Uciekła mi przepióreczka w proso —
A ja za nią nieboraczek boso!"

Tłum się rozłamał na dwoje i uformował dwie groble wzdłuż sali, a środkiem przelatywał, jak wieszcz, pan z czerwoną głową i gonił tancerkę. Fortepian przymilkł, tylko skrzypce, do spółki z fletem, zaczęły przyśpiewywać jakby młodymi głosami dziewczyn.., igrać swawolnie... przekomarzać się... to uciekały swawolnie... to zdawały się rwać... to słaniały się jakby zmęczone... to znowu wybuchały kaskadą tonów pełnych radości... a gwaru... a śmiechu...

„Trzeba mi się pani matki spytać,
Czy pozwoli przepióreczkę chwytać?"

śpiewali wszyscy i po tych pojedynczych, solowych zapędach, znowu wir porwał wszystkich, fortepian dał pobudkę, a rożek grzmiał fanfarą triumfalną, a tłum się rozszedł i taniec już szedł dziki, zadyszany, bezładny, a ognisty...

— *Z życiem panowie! Dyź! Dyź! Dyź!*

Dom drżał w posadach, szyby brzęczały, bufet dygotał, pot zalewał twarze, kurz przysłonił wszystkich, zmęczenie obezprzytomniało, ale tańczono wciąż, tańczono bez odpoczynku... do upadłego... po polsku...

— *Dyź! Dyź! Dyź!* — **ryczał pan z czerwoną głową.**

Obok sali, w małym pokoju o jednym oknie, stała para ludzi tak zatopiona w sobie, że prawie nie słyszeli tańca.

— *Odprowadzę panią do domu, dobrze?*

— *Musiałby pan długo czekać, do zamknięcia.*

— *Zaczekam.*

— *Panienko! Cztery piwa!*

— *Zaraz. A przytem... odprowadza mnię zawsze... ktoś...*

— *Ten rudy, wiem. Niech pani zapomni, że on istnieje.*

— *Dobrze, już nie pamiętam, jeśli pan chce tego* — **szepnęła miękko.**

— *Zośka! Do pani, prędzej!* — **krzyknął ktoś z drzwi bocznych.**

— *Zaraz! Co się stało, że pan dzisiaj przemówił?...*

— *Chciała pani tego?*

— *Czekałam... tak czekałam...* — **dodała cicho, z naciskiem, pochylając się ku niemu — pocałował ją namiętnie w rękę. Cofnęła się prędko... bladą, matową jej twarz powlókł różowy cień; bezwiednie poprawiła pukiel ciemnych, puszystych włosów i przejrzała się w lustrze wiszącym na ścianie. Radosne zakłopotanie ją przejęło i pełna pomieszania rozkosznego i trwogi zarazem, trwogi denerwującej, szepnęła:**

— *Czekałam dawno, od Nowego Roku, jeszcze tam... pod „Gwiazdą"!*

Spojrzał na nią tak dziękczynnie, taka miłość buchnęła z jego ogromnych niebieskich oczu, taki żar, że dziewczyna spąsowiała.

— *Muszę iść, bo gospodyni mnie zwymyśla.*



Podwarszawska majówka.

— *Ale zajrzy pani do mnie?*

— *Niech pan siądzie na werandzie, tam będę mogła prędzej przylecieć, albo chociaż z daleka zobaczę pana...*

— *Dobrze... ale czy ten rudy, to może narzeczony?...*

— *I... chciał nim zostać, ale jest tylko takim tańcusiem od odprowadzania... Przyczepił się i pozbyć się go nie mogę. Głupi facet, myśli, że za pudry i perfumy to u mnie co wskóra!* — **Zaśmiała się cynicznie i pobiegła, zbierając po drodze ze stolików próżne kufle.**

Zapiął mundur i przeniósł się na werandę, pokrytą starym, spróchniałym dachem, przez który, niby przez gęste sito, przesiewały się słoneczne blaski na tłum rozsiadłych przy stolikach.

Nie mógł się skupić, drżał jeszcze wewnętrznie od wrażenia tej sceny z Zośką. Po całym roku zdecydował się przemówić do niej... i teraz czuł, że obcym ani obojętnym dziewczynie nie jest. Z radością głęboką chwytał teraz jej spojrzenia, przesuwała się pomiędzy stolikami, przez werandę, to widział ją w ogrodzie, to wychylała się za nim, z sali, której okno wychodziło tuż przy nim.

— *Niech pani odpocznie trochę...* — **prosił cicho.**

— *Nie, nie można, jutro mam odpoczynek.*

— *Ma pani dzień wolny, co?*

— *Cały dzień, cały, aż nie wiem, co z nim zrobię...*

— *Pomogę pani!*

— *Hej! Panno, piwa!* — **krzyczał ktoś, więc pobiegła.**

A on pozostał przy nietkniętym piwie, gonił ją wzrokiem, ale zapadał w jakieś głębokie odrętwienie, w dziwny spokój, płynący z nerwowego wyczerpania.

Restauracja wrzała krzykami i muzyką, a z całej wyspy, ze wszystkich stron dolatywały głosy śpiewów, muzyk, katarynek, krzyków — parowce co pewien czas darły świstami powietrze — widział ich czarne, postrzępione dymy na tle czystego, bezchmurnego nieba. Wzgórza warszawskie, obsiadłe szeregami domów, wież, dachów. lśniących kopuł i ogrodów — majaczyły blado w rozprażonym, upalnym powietrzu. Drzewa stały bez ruchu, piły słońce i ten kurz szalony, który bił z dróg i z placów i zacieniał Kępę, niby mgła. Upał się kończył, bo słońce się już zsuwało na Pragę i świeciło skośnie, ale natomiast podnosił się „pod Dębem" coraz większy gwar i krzyk. Spocone „bawarki", garsoni w brudnych koszulach i poplamionych frakach biegali jak opętani wśród gości.

Naraz w sali przycichła muzyka i cała fala zmęczenia, rozgrzana, przepocona wylała się na werandę i w ogród już i tak dosyć zapełniony. Gwar się podniósł nie do opisania, wszyscy mó-



Widok Warszawy z Saskiej Kępy.

wili na raz, śmiali się, szczękali kuflami, krzyczeli na garsonów, śpiewali chórem.

— *Do karuzeli! Do karuzeli!* — krzyczał chudy, mały Żyd, przeciskając się przez gęstwę z koszem.

— *Cetno—licho! Kto gra, ten wygra! Do szczęścia, panowie, do szczęścia! Cetno—licho! Mam dzisiaj pech! Do karuzeli! Do karuzeli!* — krzyczał coraz głośniej, natarczywiej i jakby błagalnie.

A z drugiej strony ogrodu, pomiędzy stolikami obsiadłymi przez całe rodziny, przeciskał się wysoki, chudy człowiek o wypełzłych oczach, trupio bladej twarzy, czarnych wąsach i bródce; frak miał wyplamiony, niby biały krawat i jakieś podejrzane ordery na piersiach. Pochylony mocno, wyciągał ręce podobne do szponów nad stolikami, pokazywał sztuki magiczne.

— *Szanowne państwo! Jestem wędrowny profesor czarnej magii — króla egipskiego i szkockiego. W przejeździe z Londynu do Paryża na krótką chwilę wpadłem na Saską Kępę... Kto ciekawy? Nadzwyczajne tajemnice! Czytam w myślach! Wróżę z ręki i z kart! Kto ciekawy? Za pół rubla tajemnice przyszłości i przeszłości! Za dwa złote! Kilka sztuk magicznych, które wykonywałem w haremie, przed sułtanem! Szanowna publiczności! Był widelec, co? Nie ma widelca! Gdzie widelec?... W brzuszku moim! Kto nie wierzy... Szanowne... itd.* — Krzyczał w kółko przy stolikach i brał często to dziesiątkę, to kufel piwa, to inny poczęstunek, to kopnięcie albo wymyślania — nie zważał na takie drobiazgi, wytrwale bawił gości.

W jednej z altan, gęsto pokrytej winem i krzakami jaśminu, rozległ się pijacki śpiew.

— *Milczeć tam, cicho!* — wołali groźnie w ogródku, bo śpiew był rosyjski. Więc śpiew umilkł natychmiast, a w miejsce tego jakiś głos krzyczał potężnie:

— *Panna Zosia! Panna Zosia do nas! Zosia!* A ona znowu stała z nim, w oknie.

— *Kto to woła?*

— *To te oficery z altany...*

— *Nie pójdzie pani przecież do Moskali?!...*

— *I... nie boję się, cóż mi zrobią...*

— *Niech panna idzie do oficerów, kazała gospodyni!* — wołał garson.

— *Nie pójdę, niech Mańka idzie...*

— *Bardzo pani zmęczona?*

— *O, ja już przywykłam, jutro odpocznę.*

— *Może pani co zje?*

— *Nie mam czasu, a przy tym w niedzielę stara nie da siedzieć z gośćmi na sali, chyba w gabinecie...*

— *To chodźmy do gabinetu.*

— *Zośka! Idź mi natychmiast do oficerów! Ale, będzie mi się tu gzić z gołymi studentami, przy piwie, a tam szampańskie piją panowie oficerowie i chcą, żebyś przyszła...* — krzyczała gospodyni.

Zośka zerwała się, jakby biec chciała.



„Kolonia“ na Saskiej Kępie.

— *Proszę dla mnie gabinet, kolację na dwoje i szampańskiego!* — krzyknął przez okno do gospodyni i tak piorunująco spojrzał na nią, że cofnęła się i przez drzwi zawołała:

— *To już nie chodź, powiem tamtym, żeś już wyszła...*

— *Dobrze tak, dobrze?* — pytał.

— *Strasznie pana... lubię* — szepnęła mu cicho, bo jej zaimponował ogromnie tym energicznym wystąpieniem.

— *Gdzie to ten gabinet?*

— *Zaprowadzę pana.*

Spiesznie wyszedł z werandy, bo mu wstyd było, że zwrócił tym głośnym poleceniem uwagę publiczności...

Ale już w sali zabiegł drogę ten z czerwoną głową...

— *Panno Zosiu, proszę do naszej kompanii, obiecała pani...*

— *Nie mam czasu...*

— *E, czas to widać jest, ale dla studentów...* — dodał wyzywająco.

— *Nie zawracaj pan kontramarki!* — krzyknęła groźnie, wprowadzając jego do gabinetu. — *Niech się pan do niego nie odzywa, to awanturnik... Zaraz przyjdę.*

Otworzył jedyne, małe okienko, bo duszno było w tym niby porządnym pokoju. Okno wychodziło na ogród warzywny, zasłonięty ogromnym klombem róż dzikich i jaśminów, a wysoko ponad zrębami drzew majaczyły czerwone mury Starego Miasta.

A on stał przy oknie, wdychał zapach jaśminu i rozmyślał, że za chwilę ona tutaj przyjdzie, że będą sami... A co dalej? Co z tego będzie? Nie, nie chciał nic wiedzieć, nic myśleć, bo dobrze mu tak było, jak było, jak zaraz będzie, gdy ona powróci...

Słuchał — ale tylko wrzawa ogródka szumiała i drzewa pod oknami zaczęły szemrać jakby pacierz wieczorny, jakby pożegnanie dnia, a fale wiślane łkały coraz głośniej i coraz bliżej...

Zośka wpadła z pośpiechem.

— *Zaraz przyniosę szampańskie.*

— *Alboż ja czekam na wino?*

— *Nie?...*

— *Nie wie pani na kogo, co?...*

Stali na wprost siebie, pierś w pierś, oddychali prędko, twarze im płonęły, oczy świeciły gorączką, żarem, pożądaniem... Miał szaloną chęć ująć ją w ramiona i całować — nie śmiał, tylko pochwycił ręce i pokrywał pocałunkami. Zośka tak się wygięła, że wypukłymi piersiami dotykała jego piersi, chciała go również całować. Odsunął się nieco — a ona dotknęła tylko palcami jego ust pąsowych.

— *Dobry pan jest, dobry mój Stach...* — szeptała.

— *Zosia!*

Siedli przy sobie na kanapce — nie widząc nic dookoła, ni brudów wstrętnych tego gabinetu, ni że już wieczór mrokami wsączał się do pokoju, trzymali się za ręce, czasem mówili coś bez związku, czasem wybuchali śmiechem bez przyczyny, patrzyli sobie w oczy, patrzyli głęboko, dotykali się ramionami — a nie śmieli się całować, nie potrzebowali nawet tego, dość im było być przy sobie i czuć tę wiośnianą szczęśliwość pierwszych chwil kochania...

— *Zosiu!*

— *Stachu!*

Szeptali wzruszonymi, rozpalonymi słowami i w tych słowach krótkich zamykali wszystko, co ich serca przepełniało. Nie powiedzieli sobie tego słowa: kocham! Bo i po co? Alboż nie wiedzieli o tym, nie mówili sobie oczami, milczeniem, tą ciszą serca? Odsunęli się nieco od siebie, bo garson wniósł kolację i wino... Nie, nie mogli jeść, pili tylko dosyć.

Stach był blady jak płótno, rozpiął mundur, tak mu było gorąco, a Zośka po kilka razy ocierała twarz kolońską wodą, żeby się ochłodzić.

Ale teraz Stach już umyślnie trzymał się od niej z daleka, bał się dziewczyny, bał się jej ufności bezgranicznej, bał się samego siebie — pożerał ją oczami, a cofał rękę, gdy się mimowolnie spotkała z jej ręką, a usuwał się na drugi brzeg kanapki, bo ciała się ich gięły, prężyły, szły i nieprzeparcie ciążyły ku sobie. Zauważyła tę jego walkę i spoglądała nań z jakąś dziwną czułością i dumą...

— *Pan nie taki facet jak wszystkie!*

Wychyliła się przez okno i urwała cały pęk jaśminów.

— *Niech pachnie, będzie nam jeszcze lepiej.*

— *Dlaczego ja pani nie znałem dawniej? Nie wiem, żal mi tylko, że tyle lat żyłem i nie znałem pani...*

— *Prawda, czemu się nie znamy dawniej! Prawda!...* — szeptała, przyciskając jaśminy do

ust zgorączkowanych, opadła głową na tył kanapy, zamknęła oczy i tak długo leżała bez ruchu i bez słowa. Czasem otwierała oczy i spotkawszy jego gorące, namiętne spojrzenie uśmiechała się słodko.

— *Stachu! Stachu!* — skandowała cicho, z lubością...

— *Znam panią już cały rok, cały rok! Pamiętam dobrze ten dzień poznania pani, było tak samo jak dzisiaj, w czerwcu, byliśmy tutaj całą gromadą...*

— *Miał pan taki biały mundur, pamiętam.*

— *A pani była w jedwabnej czarnej sukni.*

— *Nie, nie mam jedwabnej sukni. Gdybym tylko chciała... ale nie mam.* — Zapaliła papierosa, pociągnęła kilka razy i włożyła mu do ust.

— *Niech pan Stach pali! Pan jest medykiem?*

— *Tak, tak.*

— *To pan kraje trupy!* — Wzdrygnęła się nerwowo...

— *Nie, mało, bo przecież nigdy nie będę leczył nikogo.*

— *A po co się pan Stach tego uczy?*

— *Ojciec chciał tego, ale mnie medycyna nie obchodzi wiele...*

— *A co?*

— *Panna Zosia przede wszystkim!*

Dialogowali naiwnie, bezmyślnię prawie, aby tylko pokryć tę burzę, jaka się w nich podniosła.

— *Gorąco strasznie!* — powiedział.

Usiadła na oknie, przyciągnęła gałąź jaśminu i liśćmi chłodziła czoło i twarz.

— *A ten brunet, co to był przeszłej niedzieli z panem?*

— *To mój przyjaciel.*

— *Widziałam go na sali, tańczył.*

— *Dzisiaj?*

— *Może przed godziną. Ś iczny chłopak, ale pan Stach ładniejszy.*

Poczerwieniał i miał ochotę pocałować ją w nogę, którą bujała i wybijała w ścianie takt, bo muzyka znowu grała w sali.

— *A panna Zofia to wprost śliczna!*

— *Blaguje pan! Panowie to wszystkie tak blagują.*

— *Ja nie.*

Zerwała się z okna i długo przed oknem poprawiała włosy, wyjęła mu z kieszeni grzebyk i przyczesała grzywkę.

— *Niechże panna idzie do pani!* — zawołał garson przy drzwiach.

— *Zaraz powrócę!*

Jakoż i przyszła w jakieś parę minut, a raczej wpadła z ogromnym pośpiechem, zatrzaskując drzwi za sobą.

— *Panno Zosiu! Pomiłuj, otwórz gołąbko, otwórz krasawico!* — wołał ktoś po rosyjsku za drzwiami i dobijał się energicznie.

— *Idź pan do diabła, odczep się pan ode mnie!* — krzyknęła.

Stach się rzucił do drzwi.



Stary dworek na Pradze

— *Daj mu pan spokój, pijanica, oficer, zrobi zaraz awanturę. Wie pan, wyjdziemy oknem, a on niech się modli za drzwiami.*

— *Duszo ty moja, gołąbko, lubko, otwórz, panna Zosia!* — błagał oficer.

A Stach, że okno było dosyć wysoko nad ziemią, wyskoczył pierwszy.

— *Zniosę panią!* — szepnął, wyciągając ręce.

— *Boję się... boję...* — szepnęła, ale nie bała się, spuściła nogi na drugą stronę, a on je ujął mocno i przycisnął do siebie tak szalenie, że krzyknęła z bolesnej rozkoszy, objęła go ramionami, usta się ich spotkały.

Uniósł ją w cień głębszy, pod jaśminy, które ich pokryły okwieconym dachem i nie puścił z rąk, całował namiętnie, obejmował sobą, czuł ją w sobie, jej piersi wypukłe, jej nogi, jej plecy, jej biodra, jej ramiona, całą... całą...

Nie było czasu na słowa, a że siły ich opadły, przysiedli na zroszonej trawie i nowa, straszna, niezmożona fala pożądania rzuciła ich sobie w ramiona. Pożerali się pocałunkami, świat przepadł dla nich, nic nie widzieli, nic nie wiedzieli.

— *Stachu mój, Stachu, co pan robi!* — oprzytomniała pierwsza.

— *Kocham cię, kocham!*

— *Nie, już nie można, nie...*

— *Nie chcesz? Boisz się?*

— *O tak się boję, tak nie chcę, tak!* — Rzuciła się wprost na niego i całowała mu głowę, oczy, usta, rzuciła się przed nim na ziemię, objęła jego kolana i nim zdążył ją podnieść, całowała jego nogi...

Ktoś szedł obok domu, więc się rozerwali, zdążyła tylko powiedzieć:

— *Zaczekaj na sali!*

Siedział na sali i czekał, słyszał jakby muzykę, jakieś śpiewy gdzieś się rozlegały, jakieś krzyki, jakaś bijatyka wrzała w ogrodzie. Coś jak cienie, jak emanacja tylko głosów, ruchów, rzeczy — przewijało się przez mózg jego, nic nie widział, żył teraz w dreszczu tych pocałunków, w ekstazie zmysłów rozbujanych; spostrzegł czasami Zośkę przebiegającą przez salę i miał wtedy szaloną ochotę wstać i krzyczeć: Zośka! Zośka!... I długie godziny tak przesiedział nieprzytomnie, aż dobrze po dwunastej ocuciła go cisza i trzask zamykanych okiennic. Zośka stała przed nim już ubrana do wyjścia.

— *Idziemy!*

— *Idziemy!* — zawołał radośnie.

I poszli przez pustą, uśpioną wyspę ku Pradze.

Księżyc świecił wspaniale, cisza leżała ogromna, a gdzieniegdzie w gęstwach nadbrzeżnych pogwizdywały ptaki. Chłodne, białe mgły niby wody ogromne zalewały łąki i przysłaniały plany dalsze. Daleki, przesiany przez ciszę i przez bełkot głuchy fal, gwar Warszawy jak echo drżał w powietrzu.

Żaby rechotały gdzieś na łąkach...

Szli mocno przywarci do siebie, czasem przystawali, patrzyli sobie w oczy i w cieniach drzew przydrożnych całowali się długo i namiętnie...

— *Odpoczniemy może, zmęczona jesteś!...*

— *Nie, nie!* — protestowała energicznie. — *Ty! mój łobuzie* — dodała z przesadą i ugryzła go w szyję.

— *O której przyjść jutro po panią?*

— *Po panią to można się wcale nie fatygować, a po swoją Zośkę można przyjść przed samą szóstą. Muszę się wyspać, muszę iść do krawcowej, muszę sobie nowy gorset kupić. Potem zajrzę do siostry... tak o szóstej.*

— *Będę przed szóstą.*

— *A potem co? Frajda i wielka ekstrawagancja!*

— *Co tylko zechcesz!*

— *Już dom widać!*

Mieszkała z rodzicami w małym drewnianym domku, przyciśniętym bokiem do wału, tuż prawie koło rzeźni.

Przystanęli przed bramą.

— *Do jutra!*

— *Do jutra!* — Pocałował ją w obie ręce, nie śmiał w usta, bo latarnia stała przed domem, ale ona nie zważała na światło, objęła go mocno i znowu się zwarli w szalonym, oniеprzytomniającym pocałunku...

Na moście ocknął go z zadumy odgłos szybkich kroków, jakby goniących.

— *Hej, panie student!* — posłyszał głos i drgnął, nieprzyjemnie zdziwiony, to ten pan z czerwoną głową biegł za nim, a zrównawszy się, zajrzał mu głęboko i z bliska w oczy.

— *Tylko słówko powiem kawalerowi... Jak się Zośce stanie krzywda, to jak mi Bóg miły dam majchrem w brzuch... Nie chciała mnie, ale krzywdy nie dam jej zrobić nikomu... Żeby pan nie był studentem, to jużby było aus!* — Spojrzał na niego groźnie i błysnął mu przed oczami nożem.

Stach się nie przestraszył, przystanął tylko i powiedział szczerze:

— *Ożenię się z nią, to się jej żadna krzywda nie stanie.*

— *Ręka?* — zawołał gwałtownie czerwony pan.

— *Ręka!*

Poszli dalej w najlepszej zgodzie i tak się szybko porozumieli, że Stach zabrał go do siebie na noc, na Hożą, bo czerwony mieszkał aż za Wolskimi rogatkami, pracował w jakiejś fabryce, więc Stach błyskawicznie powziął jakieś zamiary na niego...

II.

Na drugi dzień posłał jej ogromny bukiet kwiatów, pudełko cukierków i pudełko perfum, bo jej heliotropowych znosić nie mógł — a już w pół do szóstej szturmował do małego domku.

— *Czego?* — krzyknęła ostro stara pani, wysuwając głowę.

— *Panna Zofia w domu?*

— *Zaczekać! Zośka! Jakiś pan do ciebie!* — Ale Zośka już biegła naprzeciw niego i nie przedstawiając go matce pociągnęła za sobą do drugiego pokoju.

— *Bałam się, że pan zapomni!* — wykrzyknęła radośnie.

— *Czy mógłbym?*

Przywitali się spokojnie, bo drzwi do matki były otwarte i stara co chwila zaglądała do nich.

Pożerał ją oczami, bo wyglądała dzisiaj nadzwyczajnie, jakaś prosta bladofiołkowa suknia tak podnosiła delikatność jej bladej twarzy, że patrzył na nią ze zdumieniem.

— *Ależ w tej sukni jest pani cudownie.*

— *To nie w sukni, a że pan przyszedł... Już używałam pańskich perfum, niech pan powącha jakie!...*

Nadstawiła mu gors zlany wonnościami — nachylił się i długo całował... Ale ogólnie czuli się dziwnie dzisiaj skrępowani i onieśmieleni... Siedzieli z daleka od siebie, to rumienili się oboje i uciekali z oczami, bo równocześnie przypominali sobie wieczór wczorajszy. Nie wiedzieli oboje, co mówią ze sobą... Tam, w restauracji, Zośka była śmielsza, przyzwyczaiła się do „gości", umiała z nimi mówić, śmiać się i prowadzić ten specjalnie restauracyjny flirt, ale teraz... teraz... ten elegancki, wykwintny, młody chłopak, o takiej cudnej, a dziwnej twarzy, onieśmielał ją, onieśmielała ją jego prostota, jego szlachetność, jego maniery, wszystko — bo był tak różnym, tak zupełnie innym od „gości" zwykłych, a wydał się jej tak obcym i dalekim, że zabolało ją serce ze zgryzoty. Nie, to nie może być, żeby to on ją kochał, on, nie... — myślała ciężko i bezwiednie, cichutko szepnęła:

— *Stachu! Stachu mój!*

— *Zośka!* — odpowiedział również cicho i szybko ją pocałował w usta.

— *Tak, to ty, to ty...* — ożywiła się ogromnie, poweselała.

— *Tak, to ja, ten sam, ten wczorajszy, pamiętasz?*

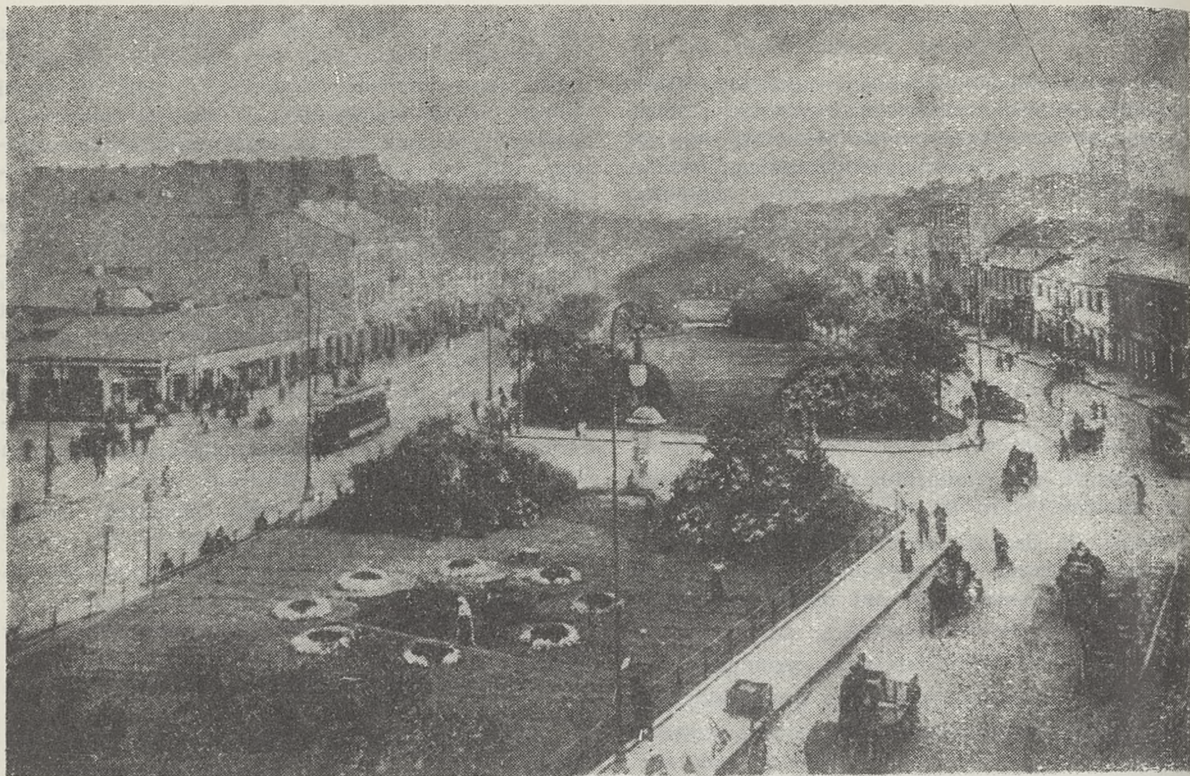
Odpowiedziała mu równie szybkim a gorącym pocałunkiem.

— *Gdzie pójdziemy wieczorem, co będziemy robić?*

— *Gdzie pan tylko chce, co pan tylko chce... Ja już nie jestem ja, teraz jestem pan Stach, co, dobrze?*



Wiadukt Pancera i most Kierbedzia



Ulica Targowa

Czy dobrze? Byłaby się zaczęła seria dłuższych pocałunków, ale wszedł niziutki, chudy, dosyć czysto ubrany pan; miał rzadką bródkę żółtawą, wąsiki jak sznureczki opadały mu na brodę, czerwone oczy i cała twarz dziwnie zmięta, pomarszczona, pofałdowana...

— *Strasznie chciałem pana poznać!* — **zawołał, gdy Zośka ich zapoznała ze sobą.**

— *Zawraca ojciec!*

— *Dziecino moja, bądź cicho!* — **zawołał patetycznie, a ze słodyczą krokodyla. Czerwonymi oczkami obmacywał Stacha, długi, czerwony nos jego był w ciągłym ruchu, jak trąba słonia.**

— *Strasznie pić mi się chce!* — **wykrzyknął.**

— *Mama da zaraz herbatę...*

— *Herbatę! Strasznie lubię herbatę; nie uważa pan, widzę, herbaty za wskazaną do picia, co?*

— *Ani uważam ani nie, pijam, ale mi to obojętnym!*

— *Pan doktór stały mieszkaniec Warszawki! Strasznie lubię Warszawę!*

— *O nie, jestem z Kieleckiego, ze wsi...*

— *Ze wsi, ze wsi! Strasznie lubię wieś!*

— *Zośka, cukru nie ma nic do herbaty, daj no pieniędzy!*

— *Dziecino moja, daj, to przyniosę sam, mnie zabrakło drobnych.*

Ale Zośka spojrzała na niego, aż się niby zakaszlał.

— *Sama pójdę!*

— *To panią wyręczę.*

— *Nie, nie, nie wie pan, gdzie czego szukać.*

— *A przynieś groczku, dziecino moja do herbaty;* — **szepnął papa, i gdy Zośka wyszła przysunął się do Stacha, odkaszlał, skrzywił się.**

— *Co, prawda, jaka śliczna ta moja dziecina? Strasznie ją kocham! Poznasz pan starszą, jeszcze piękniejsza, ale straszna dama, straszna, Mieszka jak księżniczka, powozy, lokaje... Ale Zośka lepsza, o lepsza! Mówię: daj rubla! — da zaraz, a z tamtą nie zawsze widzieć się można. A pieniążki potrzebne, strasznie potrzebne, proces prowadzę, straszny proces... o miliony! Wygram, ale tymczasowo nędza... straszna nędza... dziecina moja pracować musi... urodziła się na panią... a pracuje jak... Ale wygram... teraz właśnie zakładam opozycję... do senatu... zwłóczy się, bo brak mi paru rubli na marki!... Od paru rubli zależy los całej rodziny!... Straszne rzeczy nie mieć paru rubli... straszny...*

— *Mogę panu służyć!* — **powiedział Stach, bo zrozumiał to dobrze.**

— *Wstyd mi, strasznie mi wstyd... od nieznajomego brać... ale... tak z dziesięć, z piętnaście... ze dwadzieścia rubelków — to zbawienie by było... straszne zbawienie.*

— *Dam panu dziesięć, sądzę, iż to ostatecznie wystarczy!*

— *Zbawco mój! Może dać kwit, albo na zastaw jaką kosztowność rodzinną!... Mojej dzieciny nie widać jakoś... A jaka ona w pasie... A jakie ma biodra! Strasznie ładna...* — **wykrzykiwał.**

A Zośka wkrótce przybiegła i siedli do herbaty.

Papa gadał niestworzone rzeczy, a pił tak sumiennie, że pod koniec araku zabrakło, więc pożegnał się i wyszedł za „interesami".

A mama nie odzywała się prawie, tylko raz w raz coś poprawiała na Zośce, to jakąś wstążkę, to coś zeszywała na niej, to poczesywała jej włosy, a potem robiła pończochę, liczyła oczka i biegała oczami po córce, wyszukiwała, co by jeszcze poprawić, to podnosiłą się i przynosiła herbatę.

Skończyło się to prędko, odetchnęli całą piersią na wale praskim, a szczególnie Stach, który się dusił po prostu w dusznej atmosferze.

— *Dojedziemy do Zjazdu, co?*

— *Mam dorożkę!* — skinął i „guma" potoczyła się ku nim. Wsiedli i jak wicher pomknęli do Warszawy.

— *Dobrze?* — pytał.

— *Dobrze!* — odpowiedziała, radośnie ściskając mu rękę.

Objechali ważniejsze ulice i wjechali w Aleje, w długi sznur powozów i dorożek, ciągnących do Łazienek...

— *Moja siostra!* — wykrzyknęła, kłaniając się damie rozpostartej w piaskowym powozie z taką liberią; dama była bardzo piękna, bardzo wymalowana i bardzo jaskrawo ubrana.

— *Mieszka w Warszawie?* — zapytał, niemile dotknięty.

— *Jest w teatrze! Oho! to wielka pani! Żyje z hrabią...*

— *Panią to cieszy?...*

— *Tak, bo ona zrobiła grubą karierę, ten hrabia się z nią ożeni... czeka tylko jeszcze... bo matka jego się nie zgadza...*

I zaczęła opowiadać ze szczerym i naiwnym zachwytem o siostrze, o jej toaletach, ile ona wydaje pieniędzy. Zupełnie, zupełnie nic w tym jej życiu złego nie widziała! — przeciwnie, czuć było w jej głosie jakby zazdrość cichą.

Stach słuchał ale posmutniał i siedział milczący i chmurny.

— *Co panu? Gniewa się pan na mnie, co? Niech się pan Stach nie gniewa! Zośka głupia, Zośka niedobra, ale strasznie i dotąd będzie prosić, aż się Stach rozchmurzy.*

Roześmiał się radośnie, bo tyle głębokiego uczucia dźwięczało w jej głosie, taką miłością pałały jej oczy, tak piękną była! A potem cóż ona winna, że nie ma poczucia żadnej moralności, żadnej etyki? Trzeba ją wychować na nowo — myślał.

Przejechali Łazienki — siedzieli trochę na Patelni i pojechali do teatru na operetkę, a potem na kolację.

Bawili się wyśmienicie, niewiele widzieli, co ich otaczało, ale bawili się sobą, miłością swoją.

Dość już dobrze po północy odwiózł ją do domu.

— *Starzy śpią, niech pan wejdzie — zrobię herbaty na maszynce... Posiedzimy trochę i pogadamy...*



Na Placu św. Aleksandra

Niewiele gadali, niewiele... Stach już tam pozostał u niej, za daleko miał chodzić do domu. Tylko rano Zośka nie poszła do zajęcia, napisała list i papa zaniósł go do gospodyni...

I tak się ciągnęła ta ich słodka sielanka aż do jesieni.

Stach codziennie odprowadzał ją do domu, często zostawał u niej, nie zważając na rodziców.

Papa często łapał go w bramie i po cichu, żeby Zośka się nie dowiedziała, pożyczał rubelka, to dwa... ile się dało.

A mama czuwała tylko nad garderobą Zośki, bo nie było dnia, żeby swoim jękliwym głosem nie mówiła:

— *Widziałam dzisiaj w kościele śliczną sukienkę różową. Zosi byłoby w takiej do twarzy...*

Więc Stach dawał na różową, dawał na czarną, na wszystkich barw i odcieni dawał na kapelusze, na chustki, a potem i na naftę i na mieszkanie, i na wszystko... Obdzierali go uczciwie...

A dawał, bo kochał Zośkę naprawdę i głęboko.

Uplanował sobie, że zaraz po wakacjach, od kwartału, wynajmie specjalne mieszkanie i wtedy nie da już jej chodzić do knajpy.

Juści, że Zośka zgodziła się na to z radością, kochała go namiętnie, z taką ślepą i ogromną miłością, tak mu ufała bezgranicznie, tak go czciła — że życie jej było teraz ogromną, pełną pieśnią szczęścia. Nawet nie pomyślała, że wszystko się skończyć może — że wszystko się skończyć musi.

I Stach nie myślał o tym.

A tymczasem kochali się całą młodością i szałem...

Pewnego dnia matka zaczęła jęczeć...

— *Dobrze to wszystko — kochacie się! Widzę... widzę... już drugie łóżko popsute... Ożenisz się z Zośką; — to dobrze. Nie ożenisz — to jej sprawa... Ale pamiętaj pan, że Zośka już zaszła... i na chorobę trzeba będzie dużo pieniędzy... dużo pieniędzy!...*

Już na drugi dzień Zośka nie poszła do zajęcia, ale pod wieczór, bo Stach cały dzień u niej siedział, przyleciał ten pan z czerwoną głową... i coś mu długo i trwożnie gadał... Stach pożegnał się i wyszedł... a rudy mu wyłuszczał, kogo wzięli dzisiejszej nocy... i dokąd powieźli.

— *Ma pan papiery jakie, to zabiorę i schowam...*

Ale nim zdążyli to zrobić, schowali obu, żandarmi już czekali na nich na schodach i w mieszkaniu Stacha.

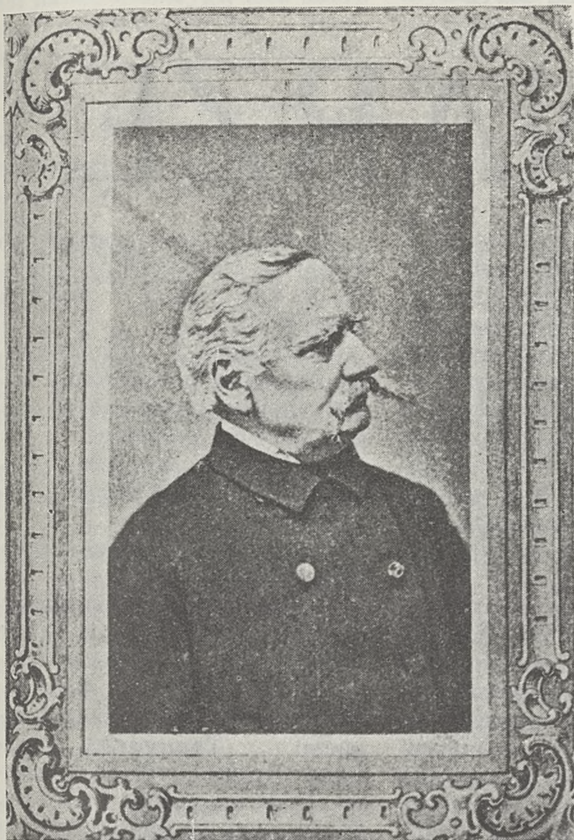
Nie poszedł już na drugi dzień do Zośki, ani następnych...

Sielanka się przerwała...

(1901 r.)



Przed Pawiakiem — w dzień przyjęć



Piewca Ziemi Naszej

ZOFIA ZAWISZA-KERNOWA

KIEDY przy końcu XVIII wieku rząd austriacki nasłał całe zastępy swych urzędników dla zgermanizowania zagrabionych ziem polskich — najlepsze jednostki spośród tych Niemców pożeniły się z Polkami i wychowały dzieci na gorących patriotów polskich... Z takiej właśnie rodziny pochodził piewca naszej tradycji rycersko-szlacheckiej, Wincenty Pol.

Urodzony w 1807 r. dzieciństwo i pierwszą młodość spędził we Lwowie, przeważnie w środowisku krewnych matki, całkowicie polskim. Często goszczony u nich na wsi, wcześnie poznał i pokochał życie rolniczo-ziemiańskie, przyrodę i lud — a z opowiadań starców, pamiętających czasy przedrozbiorowe, wiał na chłopca urok przeszłości, od którego nie wyzwolił się już nigdy.

Wcześnie straciwszy ojca, poznał niedostatek i poważne troski o byt, zanim jeszcze mógł ukończyć studia. Uniwersytet lwowski stał wówczas tak nisko, że kurs filozofii niewiele dał w gruncie rzeczy zdolnemu i chciwemu wiedzy młodzieńcowi: pogłębiał też swe wiadomości sumiennym dokształcaniem się, dążąc do kariery naukowej. Po wielu trudnościach wkracza wreszcie na tę drogę w r. 1830, jako zastępca profesora w Wilnie, przy katedrze języka niemieckiego. Widać zdobył sobie zaufanie nowego otoczenia, skoro już w początkach 1831 r. znalazł się w ścisłym gronie spiskowców przygotowujących wybuch powstania w Wilnie. Zaniechano wszakże tego zamiaru i w kwietniu kilkuset studentów, a z nimi i Wincenty, opuściło miasto, by się przyłączyć do partyzantów, działających już w okolicy. Niestety, całe powstanie litewskie to łańcuch porażek, błędów i klęsk: w tym ponurym obrazie wyróżnia się postać Pola dzielnością i rozsądkiem. Nie miał sposobności do efektownego bohaterstwa, ale potrafił w ciężkich chwilach podtrzymywać zniechęconych towarzyszy, z narażeniem życia dostarczać im żywności — prowadził w odwrocie tabor z rannymi i uratował go od grożącej z bliska zagłady. Poza tym, powierzono Polowi kilkakrotnie wywiady, w korpusie Giełguda-Chłapowskiego, np. przed atakiem na Wilno i Szawlę. Toteż po złożeniu broni w czasie kwarantanny w Prusach, został mianowany porucznikiem i odznaczony krzyżem Virtuti Militari.

Podczas rocznego pobytu w Niemczech, rozwija Pol wszechstronną działalność, zwłaszcza jako pomocnik gen. Bema, przy organizowaniu emigrantów, w nadziei wznowienia wkrótce akcji powstańczej. W Dreźnie poznaje Mickiewicza, Odyńca, Zana; zjednani jego pierwszymi próbami, zachęcają go oni do twórczości literackiej. Czerpie też natchnienie ze ścisłej przyjaźni z uwielbianą opiekunką wygnańców Klaudyną Potocką. Przetłumaczył wtedy i wydał „Die Volkslieder der Polen" — powstała też wówczas większość tak popularnych później „Pieśni Janusza", pełnych uroku i entuzjazmu, opowiadań wierszem i piosenek na tle niedawnych przeżyć żołnierskich.

Powrócił w rodzinne strony latem 1832, objechawszy wpierw Poznańskie, jako wysłannik prawego skrzydła emigracji, by ostrzegać przed emisariuszami Zaliwskiego, nawołującymi do nowego wybuchu zbrojnego, bez należytego przygotowania. Z podobnymi poleceniami udaje się później do Królestwa, na Podole, Wołyń i Ukrainę. Przeważnie jednak przebywa w tym czasie we Lwowie i okolicach. Szanowany już powszechnie i podejmowany po przyjacielsku po dworach i pałacach — był Pol jednak raczej demokratą-ludowcem, czemu dawał dobitny wyraz w utworach z tego okresu. Najwięcej znaną i lubianą jest „Pieśń o Ziemi naszej" — wierszowana opowieść o przyrodzie, mieszkańcach o obyczajach różnych dzielnic Polski, bardzo prosta, wdzięczna i serdeczna. „Historia szewca J. Kilińskiego" to opowieść epiczna na podstawie pamiętników bohatera. „Obrazy z życia i z podróży" zawierają piękne ustępy o Tatrach i góralach. Dopiero w r. 1836. udało się poecie osiąść na wsi, o czym od dawna marzył i założyć rodzinę po 9-letnim narzeczeństwie. Jako dzierżawca folwarku Kalenicy w Sanockiem wziął się gorliwie do gospodarki, a zarazem do akcji reformatorsko-oświatowej wśród zaniedbanego ludu.

Na tym polu jednak niezbyt mu się wiedzie — toteż zniechęca się i po dwóch latach przechodzi stopniowo do studiów nad geografią, interesującą go od dawna. Od r. 1840-46 zamieszkuje Pol z rodziną malutką posiadłość koło Gorlic, darowaną mu przez przyjaciół, oddany już całkowicie pracy naukowej; odbywa też liczne wycieczki po kraju, zwłaszcza dla badania biegu rzek, opracowuje obszerną geografię i mapę Polski. Cały ten dorobek przepadł podczas zamieszek 1846 r. — co gorsza, autor został poraniony przez zrewolucjonizowane chłopstwo i wtrącony do więzienia austriackiego we Lwowie.

W ciągu swego życia (zmarł w 1872 r.) zdążył kilka razy zmienić zawód; prowadził wykłady dla młodzieży, redagował we Lwowie naukowo-literacki miesięcznik „Biblioteka naukowego zakładu im. Ossolińskich" — później w Krakowie stworzono dla niego nową katedrę geografii na Uniwersytecie, gdzie owacyjnie witany prowadzi wykłady do jesieni 1851 r. nie zaniedbując przy tym twórczości poetyckiej. Rapsod rycerski „Mohort", „Wit Stwosz" oraz gawędy: „Pamiętniki B. Winnickiego" i „Senatorska Zgoda" — są dowodami, że myśl i natchnienie Pola zwracały się już wyłącznie ku przeszłości narodowej, w pietyzmie bezkrytycznym, nawet wobec haniebnego rozkładu czasów saskich.

Chociaż i „Mohort" nie uniknął poważnych zarzutów ze strony krytyków — uważam go jednak za szczyt twórczości Pola. Potrafił on, choć w niezbyt skoordynowanych obrazach, tak przedstawić postać sędziwego niezłomnego rycerza kresów ukrainnych, że staje się ona zrozumiała i droga nie tylko czytelnikom sprzed stu lat, ale i nam dzisiaj!

MACIEJ WIELICZKO

MARYNARZE

DZIAŁO się to w epoce wydawania b i a ł e g o chleba na kartki żywnościowe, w onych pamiętnych przedświtach pokoju, gdy Gdańsk po raz pierwszy rozwarł ramiona ku Polsce i popychany przez konferencje i posiedzenia, padał w objęcia entuzjazmu i depesz.

Otóż, w pewnym dniu owej epoki, pan Baczko, właściciel wziętej i licznie uczęszczanej razury, zamknął zakład na klucz, zawieszając na szybie kartę z następującym napisem: "Z PRZYCZYN NATURY WYŻSZEJ, ZAKŁAD W DNIU DZISIEJSZYM NIE FUNKCJONUJE".

Stało się to o godzinie 12-ej w południe, a zatem w porze niezwykłej. Uczyniwszy to pan Baczko zawezwał towarzyszy sztuki fryzjerskiej: pp. Brzytwińskiego, Mydełkiewicza i Dekolońskiego do sali głównej i zwrócił się do nich z następującem przemówieniem:

— Szanowni Panowie! Rozumiecie zapewne, że dziejowe chwile robią dziejowych ludzi. Każdy z nas, niewątpię, czuje doskonale, iż drzemią w nim uśpione potęgi genjusza, który wobec fachu i szarzyzny życia, nie może przejawić się nazewnątrz. Przychodzą przecież chwile, gdy genjusz upomina się o prawa swoje. Opierać sie wówczas, byłoby zbrodnią. W danym wypadku mówię o sobie. Żyłem lat trzydzieści i pięć, trudniąc się rozmaitemi zawodami, lecz zawsze czułem, że nastąpi chwila, gdy wyjdę z szeregu pospolitych fryzjerów, sięgając po laury chwały i nadzwyczajności. Coś podobnego przeżywał także mój szwagier ślusarz, pracujący nad wynalezieniem kulochronnego pancerza. I wynalazł go, skonstruował tak chytrze i mądrze, że obecnie tylko metal trzeba będzie pociągnąć pewnym płynem, a kule imać się człowieka nie będą... To jest genjalne! I właśnie obecnie czas swój poświęca na wyszukanie płynu, a gdy go wynajdzie — stanie się zbawcą ludzkości. Podobne dążenia i ja miałem. Nie przyjęły one dotychczas żadnego kierunku, bo nie było nawet pola do działania.

— Dopiero wczoraj, gdym przeczytał o przyznaniu nam Gdańska, genjusz upomniał się o prawa swoje. Zrozumiałem w jednej chwili, iż przeznaczeniem mojem jest... morze! Stało się to nagle i niespodziewanie. Ni z tego ni z owego, zrozumiałem ów żywioł całkowicie. Tak dokładnie, jak samego siebie. Zrozumiałem, że powołaniem mojem jest na wzór Kolumba spędzić resztę życia wśród spienionych fal i bałwanów.

— Tak, panowie! Więc, po nieprzespanej nocy postanowiłem zwinąć zakład i... wstąpić do marynarki polskiej.

Wypowiedziawszy to, pan Baczko spojrzał na wszystkich znacząco, oni zaś poprawili na sobie marynarki.

— Do was przeto — kończył pan Baczko — zwracam się obecnie w imię obowiązku pracy i idei społecznej. Kto mnie rozumie, niech wstąpi razem ze mną. To moja propozycja! Zaręczam zgóry, iż imię jego nie przepadnie w zapomnieniu, bowiem zostanie zapisane złotemi głoskami na liście pierwszych krajowych marynarzy... O jakże nędzne są inne formacje wojska... Nie masz nic nad marynarzy!...

— Więc — zwrócił się z naciskiem do obecnych — jakżeż? decydujecie się?!

Na to fryzjerzy spojrzeli po sobie, zaś Dekoloński rzucił zeza w kąt razury i rzekł za wszystkich:

— Owszem... Na tych samych warunkach możemy bardzo chętnie pracować na morzu, prawda, panowie?

— Owszem, owszem... — podchwycił Brzytwiński i Mydełkiewicz.

Twarz pana Baczko rozpromieniła się.

— Spodziewałem się tego — zawołał z impetem, ściskając kolejno ręce. — Jesteście dzielni chłopcy! Daj nam Boże, żebyśmy pracowali na jednej fregacie!... Tymczasem zapraszam panów "Pod Makolągwę" na sznapsika i obiadek. Musimy uroczyście oblać ten przełomowy moment w życiu naszem. Jest to stary, uświęcony zwyczaj marynarski.

Pracownicy absolutnie nie mieli nic przeciw temu.

Po chwili wierna czwórka opuszczała zamknięty, cichy jak grób zakład fryzjerski pana Baczko.

Po drodze Brzytwiński, człowiek usposobienia bardzo filozoficznego, nie biorący w życiu żadnej rzeczy tak, jak ona wydaje się na pierwszy rzut oka, szepnął do ucha obok idącemu Mydełkiewiczowi:

— Coś w tem musi być! Ta "fregata" jakoś nie wydaje się mi... tego. To nie może być tak, w tem coś innego, coś głębszego się czai... czuję rzeczy zupełnie inne... bodaj nawet, czy nie dwuznaczne... Pan słyszał? Przecież on najwyraźniej powiedział: fre ga-cie...

Mydełkiewicz tylko chrząknął znacząco, gdyż wstępowali właśnie w progi restauracji.

Pan Baczko rozsiadł się, jak admirał, kazał podać wódkę. Z karty wybrał same ryby... py-

tał nawet o ostrygi, lecz skoro się dowiedział, że są... uspokoił się i... kazał podać śledzia.

Obiad obficie oblewany piwem i skrapiany sznapsem znakomicie usposabiał do pogawędki na tle morskich tematów.

Pan Baczko przesuwał przed oczami słuchaczy jak w kalejdoskopie, wspomnienia o widzianych na ilustracjach okrętach, statkach, fragmentach bitew morskich, o połowie śledzi, walce z rekinami i tem podobne. Komentował przytem ruchami i mimiką opowiadania tak barwnie, że żaden kinematograf nie byłby zdolny dokładniej uplastycznić ogromu życia, skupionego na powierzchni, dnie i wybrzeżach morza.

Przy trzeciem daniu pan Baczko odczuł wyższe podniecenie. Odsunął karpia w sosie, stuknął widelcem w blat stołu i przywołał kelnera.

— Hem...! — huknął groźnie. — Czy do licha niema w kraju nareszcie coś bardziej morskiego? He?

Kelner przymróżył jedno oko i bez zająknienia wyrecytował:

— Było, proszę szanownego pana, było jeszcze wczoraj, ale wyszło...

Świadomość tego, że jednak było, uspokoiła nieco pana Baczko. Zjadł z apetytem karpia, popił piwem i cały świat stał się dlań morskim.

— Whiskey- Grogu! — wrzasnął na skalę pełnią potężnej piersi.

Buńczuczny i nieutemperowany animusz marynarza ponosił go coraz wszechwładniej. Porwał się z miejsca.

— Hej! — zawołał ze łzą w głosie, patrząc na ociekającą pianę z kufla, — hej! niemasz to jak to nasze morze! O morze... morze... morze... spienione, głębokie i burzliwe — powtórzył kilkakrotnie, przeciągając się pod wpływem nieokiełznanej tęsknoty.

Nagle uderzył się palcem w czoło.

— Panowie — zawołał — jest myśl! Genjalna myśl! Do czynu! Do przeznaczenia! Dalej naprzód, bracia marynarze, do Łazienek na łódki! Niech żyje marynarka!

I porwawszy melonik z wieszaka, włoczył go na głowę z fantazją, cokolwiek na bakier, stanął pośrodku sali restauracyjnej i wodząc palcem w powietrzu w ten sposób, że można było się domyślać, iż ma na myśli wschód, zachód, północ i południe, rzucił potężnym piersiowym głosem:

— Marrrrrynarze!

Poczem zwrócił się wojskowym obrotem do Mydełkiewicza.

— Mydełkiewicz! — zawołał. — Baczność! Mianuję cię miczmanem, bo ty bracie, najlepiej... golisz! Baczność! Front naprzód! Marynarze, na ulicę, maarrsz!

I pierwszy skierował się ku wyjściu. Za nim podążyli inni. Brzytwiński zaraz za drzwiami, korzystając ze sposobności, szepnął tajemniczo Dekolońskiemu na ucho:

— W tem coś jest. Ten "miczman" nie wydaje mi się... tego... To nie może być tak. W tem się coś kryje. Czuję rzeczy zupełnie inne, bodaj nawet, czy nie dwuznaczne... Pan słyszał przecie? On najwyraźniej powiedział: miczman!

Dekoloński otarł nos znacząco i tłumiąc echa odbijającego się obiadu, równym, żołnierskim krokiem starał się jaknajnabożniej zdążać za chlebodawcą.

Pan Baczko prowadził, krocząc o dwa kroki na przodzie. Twarz jego przybrała wyraz rozpromieniony i triumfujący.

Oto idzie za nim trójka przyszłych bohaterów, a wiedzie ją on!... Bohater — bohaterów. Patrzył półokiem na ludzi, przez mgłę odprysków burzącego się morza.

W Alejach Ujazdowskich przystanął na minutę, patrząc z lubością na polewanie ulicy. Strumienie "żywiołu" mieniły się tęczą wśród słońca. Były to jego własne marzenia. Westchnał głęboko i poszedł dalej.

W okolicy parku spotkał młodzieńca wystrojonego w uniform marynarski. Nie wytrzymał! Wyprężył się, jak struna i zasalutował.

Przed Łazienkami obejrzał się na swoją "wiarę".

Korzystając z okazji Dekoloński delegacyjnie podszedł do niego i jąkając się, wybąkał:

— Ale... właśnie, proszę pana, myśmy chcieli powiedzieć, że żaden z nas nie umie wiosłować...

— Głupstwo — zawołał Baczko. — Macie się czego wstydzić. Ja również przez całe trzydzieści pięć lat nie pracowałem na morzu.

Dekoloński przybladł cokolwiek.

— Ale... my też nie umiemy pływać — bąknął.

Pan Baczko wziął się za boki od śmiechu.

— A cóż wy, kaczki, gęsi, że byście potrzebowali pływać?... Wy — marrrynarze!

Spojrzawszy na pozostałych znacząco, zawrócił się na pięcie i wszedł do ogrodu.

Na przystani panował ścisk, gwar i tłok. Pan Baczko poczuł się, jak u siebie w domu. Rączo i dziarsko podskoczył do odnajmującego łódki.

— Panie kapitanie — rzekł z tajemniczym i znaczącym uśmiechem — prosimy o jeden torpedowiec.

— Na długo?

— Na całe życie!

— Niema tak dobrze. Dziś duży ruch, dużo gości! Może być tylko na pół godziny!

— Zgoda i na to.

— A... wiele osób?

— Cztery.

— Bagatela. Są tylko pojedynki i gondole na osiem osób.

— Dawaj pan na osiem osób. Wydołamy — zawołał pan Baczko, spoglądając z otuchą na towarzyszy. Lecz towarzysze pogrążyli się w niemej obserwacji paznokci. Nie otrzymawszy przeto odpowiedzi, pan Baczko podążył za "kapitanem".

Gondola była przedpotopowa. Pan Baczko spojrzał na nią z prawdziwem ukontentowaniem, zaś właściciel przystani,

rzuciwszy okiem na towarzyszy, rzekł ostrzegawczo:

— Tylko ostrożnie, bo... panowie, jak widzę, trochę... marynarze

— A tak, tak! marzynarze— podchwycił pan Baczko, uśmiechając się radośnie. — A więc... do wioseł. Ty, Brzytwiński, do steru, reszta do wioseł! Marrrsz!

Powiedziawszy to, wbił rozmarzone źrenice w twarz kapitana i robiąc prawą ręką ruch rozlewny po stawie, tyłem wsiadał do łodzi, śpiewając łzawo:

— Woooda... woooda... woooda...

Mydełkiewicz i Dekoloński trzymali wiosła w dłoniach, kręcąc niemi na wszystkie strony, niby pędzlami do mydlenia.

Pan Baczko spojrzał i rozczulił się, poczem wskazując ręką na most, zawołał do Brzytwińskiego:

— Sternik! Jedź... tam. Dwadzieścia węzłów na godzinę!

Niestety! Pomimo, że pan Baczko również chwycił za wiosło, gondola nawet na dystansie jednego węzła nie ruszyła się naprzód. Stała!

Na szczęście właściciel łódek potężnem pchnięciem ramienia uratował sytuację, wypychając gondolę na środek stawu. Poczęły się dziać wówczas dziwne rzeczy.

Przedewszystkiem okazało się, że woda jest wrogiem osobistych mrzonek i nie znosi indywidualnych dążeń, każde, nawet najsilniejsze uderzenia wioseł rozbieżnie wiosłujących przyjmowała z flegmą i obojętnością. Następnie jasnem się stało jak dzień, że tylko pogodna myśl, narzucona żywiołowi, zdolna jest go ujarzmić. Wszelkie mętne patrzenie na świat nie wywołuje pożądanych wyników. Lecz z tego nie wypływa, aby ktokolwiek, znajdujący się w walce z żywiołem, miał tracić nadzieję na osiągnięcie zamierzonego celu. Bynajmniej. To też pan Baczko nie upadał na duchu.

— Płyniemy pod prąd — tłumaczył — ale z powrotem, zobaczycie! Pójdzie, jak po Wiśle.

Obecnie jednak szło jak po grudzie.

Po bardzo licznych i długich wysiłkach podróżujący marynarze znaleźli się, jak określał pan Baczko, w odległości pięciu węzłów od mostu, obranego na cel ekspedycji. Jak się to stało, trudno powiedzieć. Przeważnie dzięki ruchowi innych łódek na stawie, no, i dzięki dziwnym zbiegom okoliczności.

Już pan Baczko chciał oznajmić, że niebawem będą u celu podróży, gdy z przystani rozległ się tubalny głos:

— Gondola! Panowie, już czas minął. Proszę wracać!

Lecz nie tak łatwo było powstrzymać pana Baczko w raz podjętych postanowieniach. Kto zdecydował się na morze, po tym należy spodziewać się, że zdecyduje się na rzeczy nie mniej doniosłe. Przeto, stanąwszy w gondoli i złożywszy ręce zwyczajem morskim w kształt tuby, huknął w przestrzeń niby rozkaz do ataku:

— Pła-cę za dru-gie pół-godzi-ny! — poczem siadłszy, z podwójną gorliwością oddał się żeglarskim namiętnościom. Wobec takiego stanu rzeczy, gondola rzeczywiście po pewnym czasie przybyła pod most, wetknąwszy głowę i szyję drewnianego łabędzia do wnętrza budki, stojącej tuż pod mostem.

Bywalcy Łazienek przypominają sobie z dawnych chwil zapewne ową budkę, stojącą w wodzie; należy jednak wątpić, czy znalazł się chociaż jeden człowiek, który wiedziałby po co ta budka właściwie tam stoi. Stąd też powstała klęska, bowiem nad rzeczami, których przeznaczeniem i treścią jest "niewiadomo po co", najczęściej ciąży fatum.



Ale nasi marynarze nie oddawali się podobnym refleksjom. Przeciwnie. Twarze ich lśniły podwójnie — potem i radością zadowolenia wewnętrznego.

Pan Baczko jednak nie mógł usiedzieć. Nęciły go dalsze triumfy. Nie zwlekając więc, napędził podwładnych do ponownych wysiłków, informując pocieszająco, iż obecnie popłyną z prądem, a zatem czeka ich praca mniej forsowna. Przewidynia jednak zawiodły! Łódź stała jak zaklęta. Pomimo, że marynarze kładli się na wznak, na wprost, na ukos i na dno łodzi z nadmiaru wysiłków, łódź ani drnęła! Pracowali, jak wilki morskie! Skutek był tylko ten, że pod wrażeniem tytanicznej postawy walczących, oraz przedziwnej sytuacji na brzeg zbiegło się tysiące gapiów i przygodnych widzów... I to gapiów gminnych, nie zdających sobie sprawy z wielkości zagadnienia. Jak niski był poziom umysłowy obserwujących, najlepiej wyjaśnił fakt, iż cmokano na marynarzy tak, jak to ma miejsce w stosunku do koni, ciągnących pod górę wozy ciężarne.

Oczywistem jest, iż podobne zachowywanie się działało denerwująco na pana Baczkę. Szukał wyjścia. Oprócz mięśni wytężył bystrość umysłu w pogoni za genezą tak ciężkich zawikłań. Znalazł ją wreszcie.

Oto oko jego spoczęło na szyji łabędziej mocno i beznadziejnie zaangażowanej w głębokościach budki. Zrozumiał. W jednej chwili rzucił wiosła i, patrząc z triumfem na tłum cmokającej gawiedzi, podążył w stronę budki.

— Panowie — zawołał. — Baczność! Wjechaliśmy na ra-

fę... wiosła na pogotowiu! maarsz!

Ledwie Brzytwiński zdołał szepnąć Dekolońskiemu na ucho, że ta rafa wydaje mu się wcale... nie tego, gdy pan Baczko oparty całym ciężarem ciała o daszek budki pchnął łódź oporną! Gondola wypłynęła z uwięzi z niebywałą szybkością, równocześnie jednak, z tą samą szybkością, pan Baczko wywinął w powietrzu koziołka i rozpaczliwie machając w powietrzu nogami, wpadł głową na dół — do stawu. Na szczęście woda w tem miejscu była dość płytka, przeto niebawem na powierzchni ukazała się głowa pana Baczki w meloniku szczelnie wepchniętym po same dziurki od nosa i przyozdobionym w zieleń różnorodnej wodnej roślinności. Ukazanie się jego wywołało niezmierny efekt i wesołość wśród nadbrzeżnych widzów.

Inaczej jednak widok ten podziałał na pozostałych marynarzy. Przerażeni, śmiertelnie bladzi, rzucili się do wioseł i naciskając z sił wszystkich, podjęli ucieczkę na środek stawu, niby przed widmem własnej, życiu grożącej zagłady.

Udawało się to im z przedziwną zręcznością, której nikt by się nie domyślił po poprzednich niefortunnych ćwiczeniach gimnastycznych. Okazało się, że strach dodaje człowiekowi odwagi i siły, jednocześnie jednak okazało się, że strach również pozbawia rozumu, bowiem, pan Baczko, nie wiedzieć dlaczego, miast skierować się do brzegu, który był tuż pod bokiem, by mokrą nogą stanąć na suchej ziemi, puścił się w pogoń za uciekającą łodzią, używając możliwego w podobnych wodnych pielgrzymkach, impetu. Zaznaczyć należy, iż pościg ten, z punktu widzenia estety, wypadł dla pana Baczki fatalnie. Poły rozciętego tużurka rozpłynęły się po wodzie, nadając figurze kształt polipa bez nóg, płynącego jak liść, lecz z głową podniesioną i umajoną przedziwną zielenią. Gdy dodamy, że pan Baczko machał na oślep rękoma, zaś z ust jego wydobywały się niezrozumiałe, ale mrożące do szpiku kości okrzyki w rodzaju:

— Łałuuach... Łałuch! — zrozumiemy, iż przygodni, nadbrzeżni obserwatorzy, miast okazania pomocy, chociażby w znaczeniu informacyjnem, tarzali się po trawnikach ze śmiechu wśród swawolnych wierzgań kończynami ciała. Podobne pojmowanie rzeczy nawet w kamieniach zdolne byłoby wzbudzić pewien rodzaj pogardy dla rodu człowieczego. Lecz mniejsza o to.

Chodzić powinno o samą treść wypadku, który poczynał przyjmować coraz groźniejsze rozmiary. Pan Baczko z każdą chwilą pogrążał się coraz głębiej w odmęty żywiołu... Kto wie, coby nastąpić mogło, gdyby z przystani nie nadjechała łódź ratunkowa, dzięki której udało się opanować żywioł przerażenia w uciekających, oraz zapał, ścigającego pana Baczko.

Po chwili wszyscy znajdowali się na stałym lądzie w otoczeniu, zbiegającego się niczem na odpust, pospólstwa. Patrzono na pana Baczko tak, jak się patrzy na przygnanego burzą orła i osadzonego w Łazienkach w klatce, jak się patrzy na zagranicznego ambasadora, wreszcie na kandydata do Tworek. Zwolna jednak tłum począł rzednąć i życie wróciło do właściwego koryta. Jeden tylko człowiek poważniejszy, stojący opodal nad brzegiem stawu, nie zmieszał się z tłumem, nie opuścił bohatera! Przeciwnie, gdy tłum rozpełznął się po ogrodzie, przystąpił do pana Baczki i z błyskiem oka takim, jaki mają skoczkowie i wielcy publiczni akrobaci, wyciągnął rękę i rzekł współczująco:

— Widziałem! Winszuję! — Zrobił to nie z wielkiej wysokości, ale z wielkiem poczuciem godności osobistej.

Pan Baczko wydął dumnie wargę dolną.

— Należało się tego spodziewać! — mruknął z pogardą. — Żeby jednak było w tem wszystkiem choć pół funta soli... ale to grząz... zwyczajny, kontynentalny grząz... Tfu — i splunął w głąb stawu.

Towarzysze sztuki fryzjerskiej spojrzeli po sobie znacząco.

Brzytwiński, stojący najbliżej odsunął się nieco od pana Baczki i szepnął tajemniczo Dekolońskiemu na ucho:

— Coś w tem musi być! To "kontynentalne" wydaje mi się bardzo.... nie tego. Jak uważacie panowie, co z tego właściwie może być takiego? Wszak słyszeliście? — Najwyraźniej powiedział: kon-ty-nen-tal-ny.

Dekoloński tylko chrząknął znacząco, a Mydełkiewicz rzekł półszeptem:

— Mnie się zdaje, że napewno znów pójdziemy do restauracji... Takie mam przeczucie.

Na to Brzytwiński przełknął ślinę, podniósł brwi do góry i westchnął znacząco...

— Może... Może...

Poczem wszyscy trzej spojrzeli na pana Baczko...

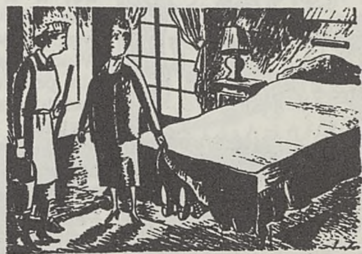
Pan Baczko stał jak posąg.

Pogardliwy pół - uśmiech osiadł na jego ustach... W oczach płonęły ognie marzeń o bezdennym słonym oceanie... Stał i zwolna obsychał na słońcu.

— Może... — szepnął Dekoloński.

— Może... może — powtórzyli dwaj inni.

I poprawiwszy marynarki, oddali się spodziewaniom i wielkim nadziejom na przyszłość.



– Pod łóżkiem gospodyni zapomniała chyba sprzątnąć?

Z DAWNYCH LAT

OGRODY WARSZAWY

(z książki prof. Jana St. Bystronia „Warszawa")



WARSZAWA w czasach stanisławowskich jest jeszcze miastem ogrodów. Miasto jest szeroko, dość bezładnie zabudowane. Pałace są najczęściej otoczone wcale znacznymi posesjami, na których niejednokrotnie urządzano z wielkim nakładem kosztów i pomysłowości wytworne ogrody. Poza tym dużo było ogrodów warzywnych i to na najbliższych przedmieściach.

Nowy Świat był jeszcze ulicą, na której obok wielkich pałaców mieściły się domki ogrodnicze. Cała skarpa wiślana, zaniedbana i niewyzyskana, była zajęta albo przez ogrody magnackie, spadające od pałaców ku Wiśle, albo też przez chaty ubogich ogrodników.

Wzrastający poziom życia mieszczan, którzy biorą wzór z pałaców i dworków doprowadza do powstania ogrodów publicznych, dostępnych wszystkim mieszkańcom, którym coraz trudniej jest znaleźć nieco miejsca wolnego dla odpoczynku czy zabawy wobec znacznego ruchu budowlanego na peryferiach miasta. Ogród Saski, będący wciąż — aż do końca istnienia dawnej Rzeczpospolitej — własnością saskiej rodziny królewskiej, jest dostępny publiczności. Fr. Schultz, opisując ogród ten za czasów wielkiego sejmu, stwierdza, że był on świetny, *„i o niektórych godzinach można tu było spotkać wszystko co najpiękniejszego, najbogatszego, najwytworniejszego a politycznie najznakomitszego miała Warszawa w swoich murach. Nie przypominam sobie w żadnym z wielkich miast, które zwiedzałem* — pisze dalej podróżnik — *tak licznych obojga płci zgromadzeń ludzi, zajmujących wybitne stanowisko w społeczeństwie, jak w tym ogrodzie. Zwykle też panuje tu niezmierny ruch. Patriotyzm i miłość zwłaszcza zarówno są tu czynne; miłość i zalotność, radość i smutek objawiają się równie głośno i jawnie, jak zwykle w Polsce gdzie uczuć się nie zwykło ukrywać. Często przychodzi tu do niepokojących wystąpień między przeciwnymi stronnictwami, często przyjmuje się tu osoby, nie hołdujące powszechnym przekonaniem, z takimi oznakami niechęci, że musiały one uciekać z ogrodu, aby głos opinii publicznej w czyn się nie zmienił. Widziano tu nieraz wystąpienia na mniejszą skalę przypominające te, które zaraz po wybuchu rewolucji w Palais Royal w Paryżu się trafiały, z tą tylko różnicą, że tu królowie tego kraju z gwiazdami i orderami o swobodzie mówili i wykrzykiwali, a tam lud biedny bez koszul i czapek, że tu i tam zalotne dziewczęta bawiły patriotów, to rozumie się samo przez się".* O wyglądzie samego ogrodu informuje wybitny architekt ówczesny, Zug. Otóż ogród ten składał się z długiego i szerokiego parteru, otoczonego lipami i kasztanami, pod którymi stały posągi nie znajdujące uznania w jego oczach; parter ów kończy się otwartym salonem, ozdobionym korynckimi kolumnami, gdzie jest miejsce sprzedaży napojów i przekąsek. Za tymi budynkami są cieniste aleje, a z obu stron parteru sady i ogrody warzywne z mało wartościowymi budynkami. Środek parteru był dostępny dla wszystkich.





Nowy ogród publiczny powstaje przy pałacu Krasińskich, nazywanym podówczas pałacem Rzeczypospolitej, gdyż tam mieściły się najwyższe urzędy państwowe; w r. 1766 z rozkazu Komisji Skarbowej ogrodnik Chrystian Knakfus urządził tam wielki ogród oddany następnie do użytku publiczności. W ogrodzie tym grywała kapela, niejaki Szum utrzymywał tam kręgielnię, a cukrownik Wiadrowski miał ozdobny namiot, w którym sprzedawał swoje wyroby. Margrabia pałacu miał obowiązek pilnowania, by mieszkańcy przyległych domów od ul. Świętojerskiej nie wyrzucali do ogrodu śmieci, ani też nie wybijali prywatnych furtek.

Dla zamożniejszej publiczności, pragnącej bardziej efektownej zabawy, przeznaczony był ogród Vauxhall (Foksal) przy Nowym Świecie. Powstaje on w r. 1776 według projektu kamerdynera królewskiego, wpływowego i pomysłowego Ryxa. Był to wielki, piękny ogród, położony na skarpie, spadający ku Wiśle; ustawiano tu namioty, w których umieszczone były restauracje, pozatem popisywali się linoskoczkowie, palono ognie sztuczne itd., wszystko przy dźwiękach orkiestry. Do ogrodu nie wpuszczano pospólstwa i osób w liberii.

AUSTIN PARKER

PASAŻERKA BALONU

TO POWABNE, jasnowłose półdjablę — ciągnęła Mrs. Chency — stało się prawdziwym postrachem w Boscom Hills. Nie mam za złe Daremu Carr, że chce się z nią żenić, ale — uśmiechnęła się na myśl o losie Darego i dodała łagodnie — niech go Bóg ma w swojej opiece!

— Masz rację — odparł na to jej mąż.

Podniósł do oka kij golfowy i patrzał nań pod światło.

— Nie mam nic przeciwko Daremu, ale szkoda byłoby Anne. A więc "Postrach Boscom Hills'u?"

Wybiegł wzrokiem ku spadzistości murawy ku Anne Farquhar, która z gestem zniecierpliwienia odtrąciła laski podawane jej przez chłopca i zawróciła wolnym, zdecydowanym krokiem, jakgdyby wzgardziwszy golfem.

— Czy nie zasłużyła sobie na to przezwisko? — spytała Mrs. Chency z uśmiechem. — Dziwić się tylko należy, — dodała — że nasze miejscowe kumoszki nie zorganizowały komitetu do poskromienia Anne.

— W każdym razie na to potrzebny lepszy komitet, niż Dare Carr — mruknął Eric Chency. — To mazgaj! — Zwrócił się do nadchodzącej panny:— Hallo, Anne. Dałaś za wygraną?

— Mam tego wszystkiego wyżej uszu! — wydęła wargi wzgardliwie.—Nic nie pozostaje, tylko pękać ze złości.

Zdarła z głowy wiotką panamę, strasząc czupurnem zmarszczeniem brwi z pod czupryny.

— Eddie, rzuć te pręty do jeziora!

— Słucham pani — odpowiedział piegowaty chłopak i pogalopował ku szopie, gdzie przechowywano przybory do gry.

— Chodźmy na werandę — zaproponowała Mrs. Chency.

Wyciągnąwszy się wygodnie w obszernem krześle trzcinowem, panna robiła wrażenie pikantnego podlotka. Małe, opalone ręce złożyła na kolanach i siedziała nieruchomo, opuściwszy się całem ciałem. Patrząc na teren golfowy, z dąsem niemal westchnęła.

— Czuję się zgnębiona — objaśniła, przenosząc spojrzenie

swych ciemnoniebieskich oczu na starszą od siebie towarzyszkę. — Czy pani czuje się tak samo w wilję urodzin? Jutro skończę lat dwadzieścia. Za dziesięć lat będę miała trzydziestkę.

— Ależ, Anne, kochanie, nie taki djabeł straszny, jak go malują. Naprawdę! Mnie udało się nawet przekroczyć trzydziestkę...

— Wiem — przytaknęła panna. — Ale pani jest szczęśliwa. Czy pani przypuszcza, że ja będę kiedyś szczęśliwa?

— Sądzę — uśmiechnęła się Mrs. Chency. — A jeżeli nawet nie będzie pani szczęśliwa, to w każdym razie czeka panią wiele wrażeń, jak każdą z nas zresztą. Sądzę, że będzie pani szczęśliwa, jeżeli znajdzie pani odpowiedniego męża — ciągnęła. — Ma pani zdrowie, urodę, masę życia... tak — dodała, jak ktoś, co znalazł właściwe określenie — ma pani w sobie tyle życia.

Lecz nie udało się jej odwieść Anne od smutnych myśli.

— Obiecałem Daremu dać ostateczną odpowiedź — rzekła wreszcie — gdy będę miała lat dwadzieścia. Jutro przyjdzie po odpowiedź.

Mrs. Chency wpatrzyła się bystro w dziewczynę.

— Ja lubię Darego, ale — Anne urwała, przeciągając bez wiednie to "ale". — Wujostwo — dodała po chwili — mieli nadzieję, że wyjdę za Darego. Gdy go odpalę, będą mocno dotknięci.

Mrs. Chency zamyśliła się.

— G d y b y m była panią, Anne, — ozwała się wreszcie — wyszłabym zamąż tylko za tego, któremu sama miałabym ochotę oświadczyć się. Naturalnie, możemy zawsze doprowadzić mężczyznę do oświadczenia się...

Lecz Anne myślą była daleko. Pożerała oczyma mały punkcik, raz czarny, to znów lśniący, koziołkujący się na niebie.

— To aeroplan — powiedziała. Oparłszy się łokciami na kolanach, ukryła podbródek w dłoni i tęsknem spojrzeniem goniła aparat. — Czy pani kiedy latała? — spytała. — Ha! To rozkosz! Wydałam raz całomiesięczną pensję na latanie. Ciekawam, czyj to samolot?

— Eric powiedział mi, że ktoś nazwiskiem Squire kupił dawną farmę Johnsona na doświadczalną stację aeronautyczną.

— Squire? — pytała Anne. — Czy, to czasem nie Bill Squire? Ten Squire był lotnikiem, a jego siostra to moja koleżanka. Mając lat czternaście znosiłam jej cukierki, aby tylko zerknąć na fotografję jej brata. — Poruszyła się nagle. — A to byłby kawał, gdyby to rzeczywiście był Bill Squire!

— O, Boże! — westchnęła Mrs. Chency, gdyż wiedziała, że lotnik miał William na imię.

. . . .

Gdzie przedtem były kartofle, piętrzył się obecnie olbrzymi grzyb - balon i wydymał się ku niebu, wielki jak dom. Za balonem, regulując wypływ gazu z długich, czarnych cylindrów do wnętrza balonu, stał Bill Squire. Na odgłos tententu po drodze, podniósł głowę.

— Halo — zauważył jego mechanik O'Ryan — mamy gościa. A mówiłem, żeby wywiesić napis "Wstęp wzbroniony".

Ze szpaleru, na rosłym koniu wypadła dziewczyna w białej bluzce, trzepoczącej na wietrze. Spostrzegłszy wydęty do połowy balon, koń prychnął i próbował zawrócić, przebierając w powietrzu przedniemi nogami, rzekłbyś, usiłując stawać dęba. Kręcił się, dawał w tył dziwaczne skoki, trząsł głową i, choć dziewczyna pewną ręką ukróciła jego cugle, cofał się wstecz i boczył.

— Jeździ jak cowboy! — zawołał O'Ryan. Nie spuszczał amazonki z oka i zawyrokował: — Ma klasę!

Kołysząc się w strzemionach, Anne Farquhar pochyliła się naprzód. Klepała konia po szyi i przemawiała doń łagodnie.

— Uważaj pan na gaz — rzucił Bill Squire pomocnikowi.

Podszedł do panny wolnym krokiem.

— Potrzymać za uzdę? — spytał uśmiechając się do niej.

Anne spostrzegła, że ma bardzo miły uśmiech. Dokoła jego błyszczących, niebiesko - szarych oczu powstawały zmarszczki, zbiegające się aż w kątach ust. Był to rodzaj uśmiechu, zniewalający do odwzajemnienia się także uśmiechem. Z kolei Anne się uśmiechnęła.

— Proszę... przez chwilę — odpowiedziała, opadając na siodło. — Roxy to taki warjat. On pewno myśli, że chcę go zmusić do skoku przez to — wskazała głową balon. — Może mu pan nos potrzeć. On to lubi...

Wziąwszy konia za uzdę, Bill Squire rozcierał aksamitny, drgający nos Roxy.

— Mam nadzieję, że nie gniewa się pan na mnie za najazd — powiedziała panna konwencjonalnie.

— Wcale nie — odpowiedział Bill Squire. — Jest pani naszym pierwszym gościem.

Potem zaś dodał wyjaśniająco:

— Robimy doświadczenia ze statkami powietrznemi, motorami i ślizgowcami przeważnie.

— Ale balon! — zawołała Anne Farquhar, odrzucając wszelki konwencjonalizm. — Balon! Jakim cudem doszedł pan do tego balonu?

Przeniosła wzrok z olbrzymiego wora, falującego na wietrze, na młodego człowieka. Oczy jej pełne były szczerego zdumienia.

Koń, czując, że zaniedbuje się w swoich obowiązkach, odstąpił o krok.

— Było to tak — odrzekł Bill Squire w zamyśleniu. — Dostałem pieniądze, których się nie spodziewałem. Bojąc się wydać je na głupstwa, kupiłem balon. Uważam to za czysty zysk!

Oczy ich spotkały się i Anne zaśmiała się wesoło.

— Tak niewielu pomyślałoby o kupieniu balonu — powiedziała, myśląc o Darym Carr.

Ten nie kupiłby balonu,chyba, gdyby balony stały się modne.

— Czy wyrusza pan już niedługo? — spytała.

— Gdy tylko wypełnimy go gazem.

— Dokąd pan poleci?

Zrobił gest nieokreślony.

— Ot, na północno-wschód.

— Pan nie wie dokładnie dokąd? — Aż wychyliła się z siodła, robiąc wielkie oczy.

— Nie. Poprostu: polecę.

— To wspaniałe! — opuściła piąstkę na grzbiet koński z taką siłą, że Roxy parokrotnie przebrał nogami. — To musi być kapitalny sport — dodała tonem, nie pozostawiającym najmniejszej wątpliwości, że zapala się do tego sportu.

— Lubię go — odpowiedział. —Gdy mam coś do obmyślenia. dobrze wylecieć na sam dach świata i zdać się na wolę wiatru. Jeżeli o sport chodzi, lot balonem jest przyjemniejszy od lotu płatowcem.

Dwaj robotnicy zaczęli wkładać brzuchate worki płócienne do kosza. Balon targał się na linach.

— To balast, piasek — objaśnił Bill.

— Zabiera pan z sobą taką masę piasku? — spytała ze zdziwieniem.

— Tak, bo wystrzeliłbym w górę, jak rakieta.

— Ale zamiast piasku mógłby pan wziąć pasażera, czyż nie?

— Ba, nie miałbym ochoty wyrzucać pasażera, gdy trzeba byłoby ulżyć balonowi. Pasażer nie zastąpi balastu.

— Oh... — rozczarowanie odmalowało się na twarzy Anne.

— Oczywiście — ciągnął dalej Bill Squire — gdy bierzemy pasażera, musimy wziąć więcej balastu. Dla równowagi. Wzlatując, mamy za wiele gazu. Potem gaz się ulatnia lub kurczy, więc wyrzucamy balast. Gdy gaz się rozszerza...

— A więc pan mógłby — przerwała mu, zeskoczyła na ziemię i zrobiła krok ku niemu — mógłby pan wziąć pasażera?

— Tak — przytwierdził.

— Chce pan mnie wziąć?

Bill pokręcił głową.

— Czasem — odpowiedział — latanie balonem jest bardzo niebezpieczne.

— Nie boję się.

— Nie wątpię o tem, ale...

— Proszę, niech pan posłucha — prosiła. — Powiedział pan, że dobrze wzlecieć balonem, gdy się ma coś do obmyślenia. — Opalona rączka uderzyła patetycznie między piersi. — Otóż dziś kończę lat dwadzieścia i mam coś bardzo ważnego do obmyślenia. Mówię prawdę... Zgadza się pan? O, proszę!

Bill Squire przeniósł wzrok z Anne, patrzącej nań błagalnie, na balon i z powrotem.

— A rodzice pani nie wpadną w trans, gdy się dowiedzą? — spytał, zaczynając mięknąć.

— Mam tylko ojca, który jest w południowej Ameryce.

— Dobrze więc...

— Pan jest wspaniały! — zawołała Anne.

. . . .

Stała w koszu za Billem, a cichy uśmieszek zadowolenia igrał na jej ustach. Bill i O'Ryan, który stał obok nich na ziemi, porozumiewali się w niezrozumiałym żargonie lotników. Worki z balastem wędrowały tam i z powrotem.

— Odstąpić! — rozkazał Bill wreszcie. Oglądając po raz ostatni gotowy do drogi balon, rzucił okiem i na dziewczynę.

— Zaraz puszczą liny — powiedział. — A nie zmieniła pani zamiaru?

Anne Farquhar zaczerwieniła się z gniewu. Dlaczego mężczyźni uważają panny za tak nielogiczne, chwiejne stworzenia?

— Naturalnie, że nie zmieniłam!

Roześmiał się.

— To dobrze. Wznosimy się.

Ziemia bezdźwięcznie usunęła się z pod nich i stała się kilimem z różnobarwnych kanciastych łat, poplamionych plamami domów, poprzecinanych szaremi, gdzieniegdzie gęsto skrzyżowanemi wąskiemi wstęgami dróg, po których maleńkie samochody, wyglądające jak zabawki dla dzieci, czyniły milimetrowe postępy. Trawniki do gry w golfa przybrały postać małych plamek szmaragdowych, a jezioro przy klubie miało wygląd małego owalnego lusterka, odbijającego błękit nieba.

Bill zajęty był wyrzucaniem balastu. Z workiem w ręku odwrócił się na dźwięk perlistego śmiechu Anne. Zrozumiał, że zapomniała w tej chwili o jego istnieniu, zapomniała o świecie całym, całkowicie pochłonięta i oczarowana nowem, nieznanem dotąd przeżyciem.

Stała w koszu bez kapelusza, z rozsypanemi jasnemi włosami i z lekko pochyloną głową. Ramiona zwisały jej bezwładnie wzdłuż ciała — niepotrzebne, skoro zdobyła skrzydła. Jej postawa, to bezwzględne oddanie się wrażeniu chwili, lepiej od najwyszukańszych słów powiedziały mu, że niemniej od niego, i ona kocha ten lot. Serdeczne struny zadrgały w nim jak kamerton, nastrojony na jeden głos. Była tak młoda, tak zdobywczo piękna, wesoła i żądna przygód!

Przypomniał sobie wreszcie, że ma wyrzucić jeszcze trochę balastu. Piasek posypał się z balonu, jak wachlarz, rozkładając się na wietrze i znikając.

Bill przemówił:

— Za chwilę prąd zepchnie nas ku dołowi. Przelatujemy nad jeziorem.

Kosz uległ lekkiemu wstrząsowi. Bill schwycił Anne za rękę, przytrzymał ją i na pytający jej wzrok, odpowiedział:

— Spadniemy z paręset stóp, nim wiatr nas wyniesie z tej dziury, a potem dostaniemy się w prąd, który nas do góry wyniesie.

Wkrótce doznali wrażenia, że dno kosza rośnie im pod nogami. Bill skinął głową i spojrzał na instrumenty, przymocowane do grubych lin. Zadowolony z przeglądu, usadowił się na burcie kosza i oparł się wygodnie o liny. Ale i Anne, nie zdołał jej w tem przeszkodzić, chwyciła się lin i siadła na bur-

cie naprzeciw niego. Objęła cały ów górny świat spojrzeniem i zawołała z zapałem:

— To nieporównane, cudowne!

Uśmiech zwycięskiego zadowolenia, królewski uśmiech dumy, przemknął między niemi, jak hasło i odzew. Milczeli w sposób naturalny, jak ludzie zaprzyjaźnieni od bardzo dawna.

Anne siedziała, wsparta na jednej z lin, rozchodzących się promieniście od środkowego pierścienia balonu, z oczyma przymkniętemi i cokolwiek rozchylonemi ustami. Od pierwszego wejrzenia, gdy tylko najechała jego farmę, wydała mu się interesującą, od chwili zaś, gdy wdarła się do jego balonu, uczuł dla niej żywą sympatję. Zdawała się bosko pewną siebie i tego zawodnego punktu oparcia na wysokości pięciu tysięcy stóp nad ziemią. Robiła na nim wrażenie wielkiego dziecka, które przed dziesięciu minutami wyszło z kąpieli, z rąk impetycznej niańki. Była równomiernie opalona. Płeć jej lśniła matowym atłasem. Miała małe, wysmukłe ręce, ale ich nie cechowało wydelikacenie i bezużyteczność. Były jednak doskonale utrzymane. Na ręce, którą trzymała się liny wystąpiły dobrze rozwinięte mięśnie.

— Czy to prawda, że miała pani coś ważnego do obmyślenia? — spytał Bill po dłuższem milczeniu.

— Czysta prawda. Ale taki tu panuje spokój — tłumaczyła się, — że wszystko wydaje się błahostką. Chociaż — podjęła z namysłem — w gruncie rzeczy już namyśliłam się i postanowiłam.

— Co?

Anne zastanowiła się nad odpowiedzią, ale uśmiechnęła się tylko.

— Byłby pan zdziwiony, gdybym panu powiedziała. A pan? Przyszedł panu jaki dobry pomysł?

— Nie, ani jeden — wyznał szczerze.

Pijąc z jednego kubka od termosa, rozprawiali o balonowaniu, statoskopach, klapach, balaście i linach. Nagle Bill urwał w pół słowa:

— Wiatr się zmienił i lecimy ku cieśninie morskiej — zawołał. — A, źle! Spróbujmy wznieść się wyżej.

Błyskawicznie przystąpił do obserwacji pozycji balonu: podarł papier na skrawki i wysypując je za kosz, obserwował dokąd lecą. Na północy, zasnute szaro-brunatną mgłą rosło w oczach morze. Blade widmo parowca zionęło czarnym pióropuszem dymu, zwiewanym ku przeciwległemu brzegowi cieśniny.

— Wolałbym wylądować na tym brzegu — powiedział. — Wpadniemy w prąd nadolny, przelatując nad zakrętem rzeki, potem silny, nagórny prąd porwie nas nad Sheltonville i wyniesie prawie na wysokość ośmiu tysięcy stóp. Teraz polecimy na łeb na szyję — ostrzegł ją. — Niech pani się przygotuje!

— Gotowa jestem — upewniła go Anne z błyskiem w oczach.

Kosz usuwał się im z pod nóg. Pęcherzyk statoskopu zabulgotał w rurce i zaczął opadać. Wysokościomierz wskazywał, że spadają w niewidzialną dziurę z szybkością ośmiuset stóp na minutę. Pozornemu spokojowi, panującemu dokoła, kłam zadawało wrażenie zawrotnej szybkości.. Potem liny się naprężyły, kosz zatrzeszczał. Znaleźli się w prądzie gorąca, bijącego od rozrzuconych hut Sheltonville. Wzbijali się w górę. Pęcherzyk statoskopu ruszył w przeciwnym kierunku i wskazówka wysokościomierza zaczęła się podnosić.

Bill Squire wychylił się za burtę kosza i popatrzył w górę.

— Uderzymy o chmurę — rzekł, wracając na miejsce.

Chwycił sznur od klapy i zaczął wypuszczać gaz, zmniejszając tym sposobem szybkość wzlotu.

— Podlatujemy od dołu pod chmurę — objaśnił. — Gaz skurczy się od zimna i zacznie-my spadać. Zupełnie tak, jakgdyby kto rzucił piłkę tenisową o sufit.

Między balonem a słońcem wychylił się ostrzegawczo cień chmury. Potem liny zwolniały i kosz skoczył. Spadali wdół niemal prostopadle i kosz zostawał w tyle za balonem. Bill ściągnął liną dolną część balonu, aż opona wygięła się, i zaczął wyrzucać balast. Piasek zdawał się pływać w powietrzu pozornie wbrew prawu ciężkości. Anne, przywarłszy do burty kosza, wodziła za lotnikiem oczami.

— Hm, do licha — mruknął ze złością, gdy przestali spadać i statoskop wykazał znów wzniesienie. — Widzi pani, stracililiśmy na tem gaz i balast. Oto, co znaczy zły pilotaż.

To jej się podobało. Żadnych wymówek. Poprostu — zły pilotaż.

— Czy umie pani pływać — spytał jej nagle.

— Tak.

— Nie przypuszczam, by do tego doszło — odparł śmiejąc się. — Mam nadzieję, że nie dojdzie. Ale chciałem wiedzieć.

Spadali znów w mgłę nad cieśniną. Znosiło ich ku niej. Napróżno szukali wciąż wiatru z nad powierzchni wód, żeby ich odniósł od wody.

Zielona, pomarszczona toń cieśniny powoli pod nich podpełzała. Bill powiódł po niebie posępnem spojrzeniem. Biała gaza z przed paru minut ustąpiła miejsca czarnym ławicom. Deszcz wisiał tylko w powietrzu. Od chłodu balon kurczył się i tracił siłę nośną.

— Gdy krzyknę: precz z balastem! — zawołał Bill — ma pani wyrzucać wszystko, wszystko, co się pod rękę nawinie... instrumenty i wszystko. Możemy się skąpać!

Dostali się nad nurty morskie, lecz od brzegu dzieliło ich osiem mil, a krople deszczu zaczęły plamić powierzchnię cieśniny. Na gwałt wysypywali piasek, który płynął za niemi brunatnym strumieniem. Opadali.

— Precz z balastem! — roz-

kazał nagle ostrym głosem.

Reszta piasku, puste worki, termos, instrumenty i skórzane kurtki zapluskały na wodzie. Anne wyprostowała się i obejrzała, czy jeszcze co zostało do wyrzucenia, ale kosz był pusty, jak wymiótł.

Zapytała spokojnie:

— Więc się skąpiemy?

— Zanosi się na to. Ale to nic. Byle ten deszcz ustał, a nie myśli bestja ustawać, utrzymalibyśmy się w powietrzu.

Pociągnął za linę, której zwój wisiał po zewnętrznej stronie kosza; rozwinęła się pod niemi. Koniec jej smużył wodę biczem białego pierza. Była bezużyteczna, więc ją odrzucił. Spadła z pluskiem i płynęła za niemi, jak długi wąż.

Chwycił ją za rękę i umieścił przed sobą.

— Niech pani klęknie i schyli się!

Posłuchała bez słowa. Czuła, że zasłonił ją sobą. Kosz skoczył. Liny zwisły luźno i wyprężyły się nagle. Stali po kolana w wodzie.

— Wszystko w porządku — powiedział Bill.

— Anne powstała. Spostrzegła, że po twarzy Billa latają dreszcze bólu i że trzyma się za lewe ramię.

— Co panu?

— Nic wielkiego.

Balon leżał na wodzie, pływając, falując, wzdymając się. Wielki pierścień środkowy, który go na dół ściągnął, ciskał się w różne strony targając za liny i kapryśnie podrywając i włócząc kosz po wodzie... Nagle kosz wykręcił się i oboje zderzyli się w dolnej jego połowie.

— Wdrapię się w linowanie i odetnę kosz — powiedział Bill szybko. — Pani może wdrapać się ze mną lub zostać w koszu. Utrzyma się z dziesięć, dwanaście godzin. Przypłynę łodzią po panią. Tak bezpieczniej...

Chwyciła go za ramię.

— Chcę wdrapać się z panem!

Nie było czasu na spory.

— A więc, hajda w górę! — zawołał, stając na brzegu tarzającego się i skaczącego za balonem kosza, z którego mogli lada chwili wypaść. Wziął ją pod pachy, podniósł, odgiął naprężone liny, przytrzymując środkowy pierścień, aż się na nim umieściła. Poszedł potem za jej przykładem. Wyjął wielki, składany nóż i poprzecinał liny, łączące pierścień z koszem.

Ostatnia lina odleciała, jak pęknięta struna. Balon oderwał się od powierzchni wody i uwolniony od przeszło tysiąca funtów ciężaru kosza, poszybował w górę.

Wśród ciszy, która ich otoczyła, westchnienie ulgi wyrwało się z piersi Billa.

— Doskonały z pani towarzysz! — ozwał się z przekonaniem. Dłonią pokrył jej rączkę.

— Nie opuszczam pana... oto wszystko! — odpowiedziała z lekkiem drżeniem w głosie. — A teraz, dokąd?

— Na brzeg, jeśli Bóg łaskaw i szczęście nam dopisze — odpowiedział Bill Squire.

Brzeg występował coraz wyraźniej, nakształt ciemnej smugi na jaśniejszem tle mgły.

— Wiatr ustaje, ale nas jeszcze doniesie — oświadczył Bill.

— Moglibyśmy stąd już dopłynąć — odpowiedziała.

— I to możliwe... lepiej niech pani zrzuci obuwie i rozluźni ubranie o tyle, by móc się go pozbyć w wodzie, gdy przyjdzie potrzeba.

Szamotała się z namokniętemi trzewikami, lecz zerwawszy pierwszy, zauważyła, że linja brzegu pod nich już podpełzła. Pierwszy podmuch wstrząsnął balonem i wykręcił go na bok. Następny podmuch wepchnął ich ponad ląd.

— Spadamy! — krzyknął Bill. — Niech się pani trzyma!

Pociągnął za sznur od klapy. W prostej linji przed niemi zamajaczył rząd drzew. Balon spadał z ogromną szybkością. Nagle zawirowały im przed oczami liny i pręty. Poczuli wstrząs okropny...

Potem Anne uczuła, że coś ją wyrwało z chaosu, podtrzymało i osadziło na miejscu.

Była w ramionach Billa Squire. Osłonił ją i wyciągnął ze szczątków. I zdążyła przytem skonstatować, że były to ramiona silne, w które miło się schronić.

Postawił ją na nogi i obejrzał, czy nie poniosła szwanku.

— Wszystko dobrze?

— O!

— Jak się pani teraz balon podoba?

— Ba!

Serdeczny uścisk dłoni.

. . . .

Dostali się na jakąś farmę o zmroku. Namówili gospodarza, farmera starej daty, by ich odwiózł do najbliższego miasteczka swym staroświeckim wózkiem.

Anne Farquhar opadła wygodnie na poduszki kocza z głową ponętnie w tył odrzuconą.

— Jestem szczęśliwa — westchnęła. — Naprawdę szczęśliwa...

Bill spojrzał na nią zgóry i uśmiechnął się z pewnem zakłopotaniem. Przyszła mu chęć pocałowania jej w usta i nim zdążył się opamiętać, już wargi ich się zwarły.

Uczuł, jak ramiona jej oplatają mu szyję.



ANNA JUNOSZA

NASZE WITAMINY

POLNA RÓŻA

Jest czerwiec. Zakwitają krzewy polnych róż. Na tle soczystej świeżej zieleni złożonych liści krzewu róży widać stulone ciemno różowe pączki. Gdzieniegdzie rozwinęły się już kwiaty. Odcinają się one subtelną, delikatną, bladoróżową barwą pięciu płatków od ciemnego tła liści. Wnętrze kwiatu wypełniają pręciki i słupki. Trudno jest zerwać kwiat polnej róży, gdyż wszystkie gałązki, a także i liście wzdłuż „żyłek" najeżone są ostrymi kolcami.

Ogrodnicy we wszystkich częściach świata starali się wytworzyć róże o pięknych kwiatach. Udało im się to wspaniale. W naszych ogrodach mamy obecnie parę tysięcy odmian róż pełnokwiatowych o najbardziej wyszukanej skali barw: biało-zielonych, białych, różowych, jasnych i ciemnych, w odcieniach złotawych i blado kremowych, czerwonych i bordo prawie czarnych. Zachwyca nas także zapach róż. Wielkie plantacje róż dostarczają surowca do otrzymywania olejku różanego. Aby osiągnąć 1 gram olejku zużywa się około 3—4 kg. płatków różanych.

Hodowla róż zmierzała dotychczas przede wszystkim do otrzymania pięknych kwiatów. Ogrodnicy całego świata starali się przekształcać kwiaty róży. Zapewne jednak. i jej tak zwane owoce mogą być bardzo cennym produktem. Dziwne rzeczy na ten temat znajdujemy w historii tej rośliny. Występuje ona jako roślina pokarmowa, z której gotuje się „pożywną zupę", zaparza się ją i pije jako herbatę, a ponadto mówi się o tym, że owoce jej mają własności lecznicze.

Przytaczamy urywek z „Historii roślin", opracowanej przez Ludwika Fiquier, „...róża zwyczajna dzika czyli polna zwana niekiedy szepszyną, czasem niewłaściwie eglanteryją jest gatunkiem naszym krajowym, trafiającym się nad brzegami lasów, na polach, w zaroślach itp., której owoce jajowate po dojrzeniu pięknej koralowej barwy mają miękisz żółtawy, kwaskowato ściągający; robią z nich konserwy, skuteczne przeciw zgniliźnie i sporządzają zupę zdrową i posilną pod nazwą niewłaściwą zupy głogowej znajomą; ziarniaki mogą się używać za lekarstwo przeciw-robaczne; wyciąg z młodocianych liści daje infuzyją, mogącą zastąpić herbatę; korzeń używał się niegdyś jako specyfik przeciw wściekliźnie, i stąd nazwa gatunkowa tej róży; (Rosa canina L.)

Tworzące się niekiedy narośla mszyste, które są skutkiem zakłócia owadu, miały kiedyś wielki rozgłos pod nazwą bedeguaru; używano ich jako lekarstwo przeciw robaczne, przeciw-skrofuliczne..." Tyle osobliwości z historii roślin wydanej w 1871 roku. A teraz odwołajmy się do przeprowadzonych badań chemicznych.

Badania chemiczne wykazały, że w tzw. owocach róż rosnących dziko na naszych polach i w lasach znajduje się znaczna ilość cukru, kwasu cytrynowego, ciał pektynowych, i substancji garbnikowych. Ponadto zawierają one przeciwszkorbutową witaminę C (kwas askorbinowy). W miękiszu tzw. owoców róży znajduje się witaminy C 1500 mg%, a w liściach 335 mg%. Ponadto znajduje się karotyna (prowitamina A), witamina B_2 (riboflawina) i witamina K. Ponieważ wiemy jak wielkie znaczenie ma choćby tylko witamina C w procesach życiowych organizmu ludzkiego, możemy zawartość jej w tak zwanych owocach róży wykorzystać na otrzymanie preparatów witaminowych. Produkcja koncentratu witaminy C z tzw. owoców róży odbywa się u nas na szeroką skalę.

Fot. Z. Zwolińska



Dr EUGENJUSZ LATACZ

O pochodzeniu polskiej husarji.

Pochodzenie husarji polskiej nie zostało jeszcze należycie zbadane i wyjaśnione. Przystępując do skreślenia uwag na powyższy temat, należy przedewszystkiem rozpatrzeć *pochodzenie słowa husarz (usarz)*, od którego wzięła nazwę słynna ongiś w Europie jazda polska.

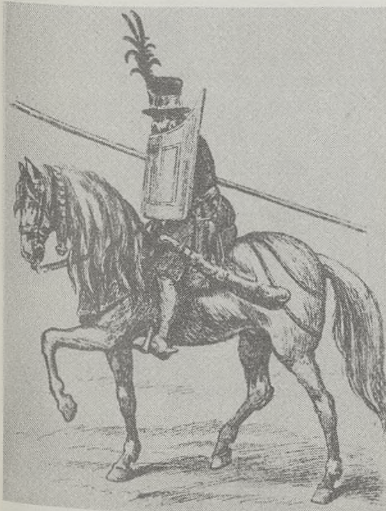
Co do *pochodzenia słowa husar* istnieją dwie, względnie nawet *trzy hipotezy.* Pierwsza, najsłabsza, wywodzi je *od cymbryjskiego dussar, dursar,* co równało się pojęciu wojownika olbrzyma. Druga, przyjęta przez większość historyków polskich i węgierskich, wiąże słowo husarz (huszar) *z węgierskim liczebnikiem „husz"* (dwadzieścia) i dopatruje się w tym związku systemu poborowo-organizacyjnego, którego odpowiednik znajdujemy w naszej, pochodzenia zresztą węgierskiego, piechocie wybranieckiej. Trzecia wreszcie teza wyprowadza nazwę „husar" *od słowiańskiego słowa „chąsa"*, co w serbskiej formie tego słowa „*chusa*" oznaczało: chodzić na rozbój, a także: oddział konnego wojska nieprzyjacielskiego; stąd chusar (w prawach Duszana Cara gusar) rozbójnik konny. — Z trzech wymienionych tez *ostatnia wydaje się być najbardziej odpowiadająca prawdzie.* Za tezą tą przemawiają już nietylko fakta, że słowo husar, gusar, w znaczeniu rozbójnik, pirat, znajdujemy w najstarszych dialektach jak windyjskim (w Styrji), chorwackim, dalmatyckim, raguzańskim i bośniańskim, ale zwłaszcza te *przekazy źródłowe* (Bielski: Sprawa rycerska...), które utożsamiają *racki,* t. j. serbski sposób wojowania z husarskim (usarskim). Nie bez wartości będzie tutaj także przekaz stwierdzający, że *jeszcze w roku 1511 zaciągali Polacy do walki z Tatarami roty rackie (husarskie) aż w Tracji.* W serbskim w końcu (c)husarzu-rozbójniku konnym z łatwością dopatrzeć się możemy podobieństwa do naszych kozaków, w ich początkowej fazie tworzenia się. I tak, jak nasi kozacy rozbójnicy nadali nazwę późniejszej lekkiej jeździe polskiej, tak mogło być z *(c)husarzami serbskimi,* których jednak początkowo, dla podkreślenia ich narodowości, zwano pospolicie *Racami,* a sposób ich wojowania *rackim* albo *husarskim (usarskim).* A ponieważ sposób ten, niewątpliwie *pochodzenia wschodniego (tureckiego),* specjalnie nadawał się do walki z Turkami i Tatarami, byli Racowie, już gdzieś *od końca XIV w.*, bardzo chętnie zaciągani na służbę przez tych sąsiadów, którzy, podobnie jak oni, narażeni byli na ustawiczne walki z Turkami i Tatarami. Zaciągali ich więc przedewszystkiem Węgrzy, za których pośrednictwem Racowie (i ich sposób wojowania) zaczęli *przenikać na ziemie polskie* i litewskie. *Ten nowy typ jazdy* rozpowszechnił się na Węgrzech w pierwszej poł. XV w., a za panowania rycerskiego Macieja Korwina stanowił jedną z głównych części węgierskiej siły zbrojnej. Dla jazdy tego typu przyjmuje się za tegoż króla *nazwa husar (huszar),* która sczasem, podobnie jak to miało miejsce w Polsce, *wyparła zupełnie nazwę Rac, racki.*



Ryc. 1. Husarze serbscy „Racowie". Ze zbioru rycin Muzeum XX. Czartoryskich. Pierwszy raz reprodukowane.

Odrębność i nowość jazdy typu racko-husarskiego polegała nie tyle na uzbrojeniu zaczepnem, które składało się ze znanej Zachodowi kopji (drzewa) oraz szabli, ale 1) *na braku jakiegokolwiek, z wyjątkiem tarczy, uzbrojenia ochronnego,* co jeździe tej umożliwiało wielką, w porównaniu do ciężkiej jazdy kopijniczej, ruchliwość, pozwalającą na szybkość działań i manewrów; 2) na *nieznanym dotychczaś sposobie atakowania przeciwnika w pełnym galopie,* oraz, częściowo, *na płytkim cztero- lub najwyżej pięcioszeregowym szyku.*

Czasu, w którym zaczęły przenikać na ziemie Polski i Litwy *pierwsze roty racko-husarskie,* nie da się, przynajmniej jeszcze narazie, ściśle określić. Jeżeli wierzyć Bielskiemu, a nie mamy powodów aby wątpić w prawdziwość jego przekazów, to czas ten przypada *na okres panowania w Polsce Ludwika Węgierskiego* (1370—1382). Przekaz Bielskiego znajduje zresztą silne poparcie w fakcie, że polski herb Topacz, mający jako główny motyw skrzydło, odpowiadające zupełnie skrzydłom, jakie w XIV—XV w. znajdujemy na tarczach husarzy węgierskich i na chorągwiach husarzy polskich, został przyniesiony do Polski przez Topacza Racę, t. j. husarza serbskiego, w czasie panowania w Polsce Ludwika Węg. Prawdopodobne jest więc, że *już wówczas zaczęły pojawiać się w Polsce i na Litwie, drogą przez Węgry, pierwsze, początkowo pojedyńcze roty konne walczące sposobem racko-husarskim.* Pewniejsze ślady zaciągania na służbę polską rot rackich znajdujemy dopiero w drugiej







Na lewo: Jeździec polski typu racko-usarskiego, podług obrazu przedstawiającego bitwę pod Orszą 1514 r. (w Muzeum Miejskiem we Wrocławiu). — W środku: Lekki jeździec polski typu usarskiego z drugiej połowy XVI w. Ze zbiorów Muzeum XX. Czartoryskich. — Na prawo: Husarz polski spoczątku XVII w., podług współczesnej ryciny.

połowie XV w., kiedy liczniejsze już roty serbskie obserwujemy w Koronie, a przedewszystkiem na Litwie.

Z nazwą husarz, usarz, spotykamy się na ziemiach polskich dopiero w ostatnich latach XV w. Początek natomiast XVI w. przynosi rozpowszechnienie się tej nazwy *z równoczesnem, stosunkowo szybkiem zanikaniem dawnego określenia „Rac", „racki".* Pozostawało to niewątpliwie w związku z faktem, że w rotach, w których poprzednio służyli sami Serbowie (Racowie), *skończem XV w. i w początkach XVI w. zaczęli służyć masowo już Polacy,* wobec czego *odpaść musiała nazwa oznaczająca obcą narodowość, pozostawiając miejsce nazwie oznaczającej raczej typ.*



Ryc. 5. Jeździec polski z pocztu dworskiego z czasów Władysława IV, podług rysunku Della Belli.

Zbiegło się to z drugiej strony z przeprowadzaną wówczas *w Polsce reformą w uzbrojeniu jazdy,* która to reforma wynikła na skutek *zetknięcia się na ziemiach polskich dwóch, zasadniczo dotychczas obcych sobie sztuk wojennych: zachodniej i wschodniej.* Z chwilą bowiem pojawienia się w Polsce, dotychczas uzbrojonej przeważnie na wzorach zachodnich, *rot racko-husarskich,* o tak skutecznym w walkach z Tatarami sposobie walki, musiało w krótkim czasie przyjść do *skrzyżowania się obu sztuk wojennych.* Skrzyżowanie to znalazło *pełny wyraz w polskiej husarji,* która *z jazdy lekkiej typu rackiego przemieniła się w XVI w. w jazdę najcięższą w Europie, przy równoczesnem jednak zachowaniu wszelkich zdobyczy taktycznych, wniesionych przez lekkie roty racko-husarskie.*

Zachowując *wschodni sposób walki* (atak kopjami w pełnym galopie) oraz płytki cztero- lub pięcioszeregowy szyk, *przywdziewa husarz polski typu rackiego zrazu zbroję lekką* (podobną strzeleczej: kolczuga i szyszak), później, za czasów Stefana Batorego, który uzbraja go „more hungarico", uzbrojenie to staje się *coraz cięższe* (szyszak, kirys złożony z naplecznika i napierśnika, obojczyk, naramiennik, nabiodrki). Uzupełnia się także *uzbrojenie zaczepne,* które obok długiej kopji i szabli składa się teraz z koncerza (długi miecz), rusznicy lub pary pistoletów, czekanu (rodzaj młota na długiem ramieniu), a często i z łuku. Najważniejszą częścią uzbrojenia pozostała jednak nadal kopja zwana popularnie drzewcem, długa na 8 do 9 łokci. Zakończona była długim, wąskim, dwukolorowym proporczykiem oraz ostrem żeleścem. Zwierzchu malowana, albo owinięta przędziwem dla pewniejszego chwytu. *Za Batorego ustalił się ostatecznie nowy typ husarji polskiej jako jazdy ciężkiej,* która w niezmienionej prawie postaci przetrwała do XVIII w.

Ta nagła stosunkowo ewolucja znajduje częściowe wytłumaczenie: 1) w powolnej likwidacji ciężkiej jazdy kopijniczej typu średniowiecznego, nienadającej się już do działań wojennych odradzającej się sztuki wojennej; 2) w pojawieniu się na ziemiach naszych nowego typu jazdy lekkiej, t. zw. kozaków, którzy zajęli miejsce dawnej jazdy lekkiej typu rackiego.

A teraz kilka jeszcze uwag o *niewyjaśnionem dotąd pochodzeniu skrzydeł husarskich,* ich różnych rodzajach i sposobie noszenia.

Zwyczaj ozdabiania hełmów piórami z rozmaitych ptaków był znany i szeroko rozpowszechniony zwłaszcza wśród średniowiecznego rycerstwa zachodnio-europejskiego. Z podobnym zwyczajem spotykamy się też na wschodzie, gdzie jednak spowodu silnych wpływów tureckich, przybrał już nieco odmienną, bardziej egzotyczną formę. *W Turcji* ustalił się w niewiadomym czasie *zwyczaj, azjatyckiego prawdopodobnie pochodzenia, przyozdabiania tarcz lub pleców wojowników skrzydłami,* którym nadawano kształt sztuczny, bądź też pozostawiano im kształt naturalny. Często jednak ograniczano się tylko do wymalowania skrzydła lub skrzydeł na tarczach. Zwyczaj ten, zupełnie w tej samej postaci, w jakiej widzimy go spoczątkiem XIV w. *w Turcji* (ryc. 6), przejęty został przez te ludy europejskie, które z tych czy innych powodów stykały się bezpośrednio z Turkami. Przyjęli go więc przedewszystkiem *Serbowie* (Racowie) oraz *Węgrzy,* którzy *przenieśli go skolei na ziemie polskie.* Używali skrzydeł jako ozdób *także i Tatarzy* (ryc. 12).

Jest rzeczą najbardziej charakterystyczną, że we wszystkich krajach, w których przyjął się ten zwyczaj, miał on *zastosowanie tylko w odniesieniu do jazd lekkich,* zorganizowanych na sposób turecki.

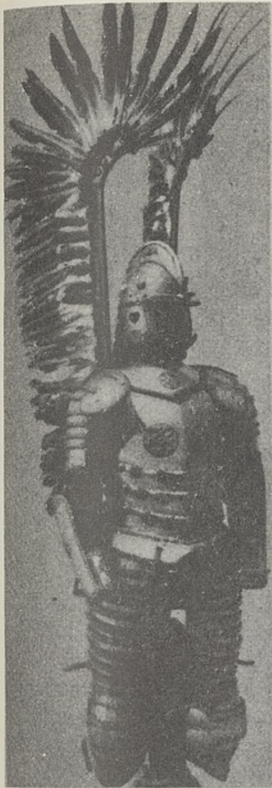
Mają więc *Racowie tarcze kształtu skrzydeł* (ryc. 1), skrzydła przymocowane do tarcz lub malowane na tar-







Na lewo: Ryc. 6. Lekki jeździec turecki t. zw. „Deli" z drugiej połowy XIV w. — W środku: Ryc. 7. Husarz polski z połowy XVII w., podług współczesnej ryciny. — Na prawo: Ryc. 8. Husarz polski z rysunku Della Belli „Wjazd Ossolińskiego do Rzymu" w 1633 r.



Ryc. 9. Pełna zbroja husarska ze skrzydłami w ich ostatecznej formie. Zdjęcie z eksponatu znajdującego się w Muzeum Wojska w Warszawie.

czach znajdujemy w XIV—XV w. *u husarzy węgierskich* (ryc. 10), skrzydła wreszcie mają na swych tarczach, chorągwiach i barkach *husarze polscy.*

Nasuwa się pytanie, *jakie mogło być podłoże tego bądź co bądź oryginalnego zwyczaju.* Jeszcze końcem XVI w. silną była na Węgrzech tradycja, przenosząca początek tego zwyczaju *aż w czasy Attyli,* który zwykł był rzekomo, przyozdabianiem skrzydłami, nagradzać najdzielniejszych ze swoich wojowników.

Nie jest jednak wykluczonem, że obok wyżej wspomnianego inne mogło być jeszcze podłoże tego zwyczaju. Ponieważ we wszystkich krajach, gdzie się przyjął, a także w Turcji miał pierwotne zastosowanie tylko w odniesieniu do jazdy lekkiej, nasuwa się *przypuszczenie, mające wszelkie cechy prawdopodobieństwa, że skrzydła, względnie ich rysunek nie był niczem innem, jak tylko symbolem lekkości i szybkości jazdy lekkiej typu wschodniego,* która to jazda w porównaniu z ciężką jazdą średniowieczną z wichrem i ptactwem mogła iść w zawody. Poza symbolem *używanie skrzydeł dawało także korzyści praktyczne,* albowiem szum, jaki czyniły skrzydła w czasie ataku, płosząc konie, czynił *popłoch wśród jazdy nieprzyjacielskiej.*

Pierwszą wzmiankę o „pierzu" noszonem przez husarzy polskich mamy pod rokiem 1508. Później jest ich znacznie więcej, aż wreszcie pod rokiem 1553 znajdujemy u Orzechowskiego wyraźną notatkę o srebrnych skrzydłach zawieszanych na barkach husarzy. *Sposób noszenia skrzydeł w Polsce był początkowo identyczny jak w Turcji.* Przypinano je więc albo do *tarcz,* lub noszono *na plecach* przymocowywane do tylnej części kirysu (naplecznika). Stosowano także często oba sposoby równocześnie. Początkowo ogólnie *używano skrzydeł tylko naturalnych* (ryc. 7), gęsich, łabędzich i indyczych, rzadziej natomiast sępich lub orlich. *Dopiero za Stefana Batorego,* który nie kładł jednak specjalnego nacisku na skrzydła i inne ozdoby husarskie, *skrzydła przybierają formę sztuczną* i zbliżyły się do typu, który obok typu pośredniego (używanego przez lekkie poczty dworskie, ryc. 5), *ustalił się ostatecznie za panowania Zygmunta III (ryc. 9).* — Do skrzydeł tych *używano wyłącznie piór orlich lub sępich,* w wyjątkowych zaś wypadkach ufarbowanych gęsich. Jako oprawę dla piór stosowano drzewo lub cienką blachę, nieraz silnie posrebrzaną a nawet i złoconą. *Zasadniczo używano skrzydeł podwójnych,* jednakże często *ograniczano się do jednego skrzydła,* które przymocowywano na środku pleców (ryc. 5). Za Zygmunta III przyjął się także w Polsce zwyczaj umieszczania skrzydeł zamiast na barkach husarzy *przy siodłach* (ryc. 13), a to ze względów wygody i praktyczności. W poł. XVII w. weszło w zwyczaj przyozdabianie hełmów małemi skrzydłami (także zwyczaj turecki), co doprowadziło końcem tegoż wieku do powstania charakterystycznego dla husarji polskiej hełmu skrzydlatego (ryc. 11).



Od góry: Ryc. 10. Tarcza husarzy węg. z XIV—XVI w. — Ryc. 11. Hełm skrzydlaty husarzy polskich skońca XVII w. Z Muz. XX. Czartoryskich.

Wypada zaznaczyć wkońcu, że *nie wszyscy husarze polscy nosili skrzydła.* Były liczne chorągwie husarskie, które ich nie używały. Zdarzało się również i przeciwnie, t. j. że *chorągwie konne typu nie husarskiego używały skrzydeł* w ich wszystkich odmianach i formach noszenia.



Ryc. 12. Jeździec tatarski z drugiej poł. XVII w. Ze zbiorów Muz. XX. Czartoryskich. Pierwszy raz reprodukowane.



Ryc. 13. Uprząż konia spocz. XVII w. Skrzydła przymocowane do siodła. Ze zbiorów Muz. XX. Czartoryskich.

PIOTR CHOYNOWSKI

WYZNANIE

NOWELA

WŁADEK, mąż lat przeszło jedenastu, uczuł nagle, że życie jest doprawdy psa warte.

Zdarzyło się to w chwilę potem jak panna Wanda wyszła ze stołowego, nakazawszy mu uczyć się słówek powtórnie. Próżno przysięgał się na matkę, że jeśli nawet nie umie z polskiego na łacinę, to jeszcze nie dowód: jak świat światem, Szwec nie pytał inaczej, niż z łaciny na polski. Toć byle "pierwszakowi" wiadomo!

Ale czy babie można co wytłumaczyć? Nie wysłucha nawet porządnie, uprze się i rób co chcesz!

— Psa warte takie życie, ech! — westchnął ciężko, uderzając w stół brudną pięścią. — Ostatki, cały tydzień świąt, a ty, człowieku Boży, siedź w mieście, kując przeklęte słówka! Dla jednej głupiej dwójki na cenzurze! W dodatku niesprawiedliwej. Cała druga klasa zaświadczy, że Szewc, wziąwszy pigułą w łeb na gimnazjalnem podwórku, uprzedził się do Władka... Żeby choć rzeczywiście on cisnął — no... byłaby jakaś satysfakcja. Ale tak... Starzy napisali do pani Hennisz, że tylko ośmioklasiście Mietkowi wolno wrócić na wieś, do domu. — "Jeszcze się to nazywa miłość rodzicielska" — jęknął z goryczą. — Chryste Panie! Jak tam w Zawadach musi być rozkosznie! Przymrozki trzymają, a może i śnieg leży jeszcze... Kto wie? Pojechałby na nowym kucu do Stefka Gałeckiego... U Ziemięckich bal, jak co roku... pączki kupami! Faworki... Mieciura dryblas używa — pomyślał zazdrośnie. — A on tu sam jeden między babskiem! Ile tego jest? Cztery? Nie, pięć... Zaraz... — liczył na palcach: — Stara kwoka Henniszowa, panna Stefanja, (uch, pudło), panna Wanda, Mańka, Zośka... pięć, jak lodu! Pięć bab, a on jedyny mężczyzna. Do djabła z taką zabawą!

Zatkawszy uszy rękami, kiwał się uroczyście nad książką, z umysłu wykrzykując na całe mieszkanie, aby przekonać kogo trzeba o pilności.

Trwało to zresztą możliwie krótko.

— Panno Wando, już!

— Ucz się! Nieprawda!

— Kiedy mówię, że już! No, niech pani przyjdzie...

Do pokoju weszła przystojna, pięknie wyrośnięta panienka w szkolnym mundurku.

— Coś strasznie prędko...

— Łatwo się przekonać. O, proszę! Książka tutaj.

Obciągnąwszy kurtkę, wyprężył rysy w inteligentnem oczekiwaniu.

— Pocisk?

— Telum.

— Wstępować na co?

— Es... es... zaraz, zaraz... Escendo, escendi, escensum! Aha!

— Gardzić, lekceważyć?

— Gardzić... gardzić... Kiedy bo pani na wyrywki...

— Nie umiesz. Spermo, sprevi, spretum. Wiać?

— Nie mogę tak prędko... Zaraz... Panno Wando, mam list do pani!

— Co takiego?

— Mam list do pani!

Panienka spojrzała nań nieufnie, zmieszana.

— Kłamiesz pewnie. Od kogo?

— Od Mietka.

Łgał najserdeczniej, patrząc jej prosto w oczy. Co za szczęście, że sobie w porę przypomniał o owych brata "amorach"; byłby wpadł znowu ze słówkami, jak amen w pacierzu.

— No, daj ten list!

— Ba! A zaświadczy pani, żem umiał?

— Zaświadczę, zaświadczę... Dawaj!

Sięgnąwszy do bocznej kieszeni, szukał w niej chwilkę. Nagle twarz jego wyraziła silny niepokój.

— Tu niema... Zaraz... Pewnie w kamizelce...

Rozpiął się, ze skupioną miną badając bezdenne skrytki ubrania. Panna Wanda przerwała z tłumioną wściekłością:

— Kłamczuch przebrzydły!

Z flegmą dokończył wywracania kieszeni na świadectwo prawdzie. Wreszcie stwierdził z głębokim żalem:

— Niema. Zgubiłem, widać, w szkole...

— Nieprawda!

Obraził się.

— Zaraz "nieprawda!" Napiszę do Mietka, że mi pani strasznie wymyśla i chce listu koniecznie... Jutro zaraz napiszę! Oho!

Panienka zarumieniła się po uszy.

— Ani mi się waż, głupi!

— Nie? Dziwne... Mogę odejść?

— A idź! Wynoś się!

Wyszedł wolno, ruchami pełnemi godności. Za drzwiami dopiero, chichocząc triumfalnie, zrobił "lewka" jako symbol stanowczej przewagi męskiego ducha. "Głupie są te babska, że no! Ani im się umywać do belfrów" —myślał z żalem.

Zmierzał teraz do "dziewczyńskiego" pokoju, gdzie od niedawna wprowadził rozkoszną zabawę "w Indjan". Wchodząc zgóry w swoją rolę, skradał się wzdłuż ciemnego korytarza na palcach, cichuteńko... Stanąwszy przed niedomkniętemi drzwiami, nasłuchiwał chwilę. Nic. Zajrzał. Dziewczynki gawędzą cicho, przytulone do siebie. W ostrem świetle lampy długa, przeźroczysta twarz Zośki Janickiej wydaje się kredowej bladości. Szepce coś gorliwie najmłodszej Henniszównie, o czemś ją przekonywa, a tamtej aż zorze wystąpiły na krągłe policzki.

Władek skrzywił się niechętnie.

— Znowu jakieś głupie tajemnice — mruknął.

Pchnął gwałtownie drzwi i skoczył na środek z wrzaskiem:

— Jam jest Dżibennosah, Duch puszczy!

Dziewczęta krzyknęły ze strachu. Nim jednak ochłonąć mogły, pytał surowo, marszcząc się przeraźliwie:

— Azali gotów jest ten wigwam na przyjęcie wojownika?

Mania replikowała bez zająknienia:

— Udziec bawoli piecze się przy ognisku.

— Słuszna pokrzepić siły, bowiem Siuksy i Komancze szykują nową wyprawę na siedziby białych twarzy — i zaraz po "nie indyjsku":

— Dalej, Zośka! Krzesełka do kupy! Ściągnąć kołdry! Zrobimy namiot, jak nigdy. Prędzej, bo kolacja!

Dziewczęta nie ruszyły się z miejsca.

— Cóżto? Czemu stoicie?

— Pani Hennisz zabroniła rozbierać łóżka — tłumaczyła Zośka nieśmiało.

— Iii... ktoby tam słuchał! Nic nie będzie! Do roboty, dalej!

— Tak, tobie nic, a na nas się skrupi, to nie twój pokój...

Władek wydął usta ze wzgardą.

— "Blada twarz ma twarz dziecka, a serce jelenia"... Z babami tak zawsze! Nie zna się to na niczem i gada... Cała zabawa na nic!

— Możeby w co innego? W ślub, naprzykład...

— W ślub? Hm...

Wahał się chwilę, wietrząc w tej historji coś niemęskiego. Jakieś tam śluby! Ale Zosia nastawała gorliwie:

— No, zgódź się, Władek! Przecież i dorośli panowie...

— Dorośli robią wogóle dużo głupstw — pouczył.

— Tak... ale co ci szkodzi? Zobaczysz — będzie ślicznie. Uszyłam sobie muślinowy welon, włożę wianek — zobaczysz, zobaczysz! Mania odprawi wszystko przy komodzie... niby ołtarz...

Mania odcięła sucho:

— Tylko, że ja nie chcę być księdzem.

— Dlaczego?

— Chcę być panną młodą.

— Przecież nie masz welonu, ani nic!

— Wszystko jedno. Dlaczego ty wybierasz sobie najlepsze?

— Uu... zazdrośnica!

— Niech tam, a księdzem nie będę!

Władek wzruszył ramionami.

— Mądrale! To ja wam dam ślub... dobrze?

Dziewczęta spojrzały po sobie niepewnie. Wreszcie Zosia:

— Kiedy panny nie żenią się przecie z pannami...

— Ba! A księdzem też baby nie bywają!

— Tak, ale zawsze ksiądz ma suknię.

Zmuszony uznać pewną słuszność argumentu, Władek rozgniewał się tembardziej

— Głupie gęsi! Gą, gę, gę! Zgadzasz się, Mańka, bo idę do siebie?!

— Nie, ale można w sekretarza.

Chłopiec ustąpił zniechęcony.

— Warto się z byle kim kłócić! Niech się sroki nacieszą!

Za chwilę siedzieli nad stołem, pochyleni, zasłaniając przed sobą kartki papieru rękami. Władek długo moczył ołówek w ustach, czerpiąc z sufitu natchnienie. Wreszcie uśmiechnął się z zadowoleniem. Jest! Wysunąwszy koniec języka, smarował olbrzymieni kulwonami sprytne zagadnienie: "Obliczyć wartość panny Stefanji, jeżeli funt starych kości kosztuje dwa grosze".

Nagle jego uwagę zwróciły szepty i ostre chichoty dziewcząt. Udając, że pisze, obserwował je z pod oka. Mańka dostała jakąś karteczkę od Zosi i cieszy się, zaśmiewa, jakby ją kto łechtał. Oho! Teraz znowu Zośka aż nogami dryga z radości. Na pewno te obrzydłe sekrety! Ciekawość zaostrzyła się niepomiernie. Postanowił jednak działać z rozwagą.

— No, babska, czytać głośno!

Panienki zakręciły się na krzesłach, chichocząc jeszcze bardziej.

— Jazda! Co tam znowu?

Zosia przybrała minę zakłopotaną tajemniczo.

— Widzisz, to nasze prywatne listy, panieńskie... Chłopcy nie o wszystkiem mogą wiedzieć.

— Patrzcie no! Panieńskie! Mizdrzy się, jak cielę do proboszcza! Taka była umowa?

— Proszę cię bardzo... Po pierwsze nie wymyślaj, a po drugie — nie mogę pokazać. Trudno...

Mówiła to głosem spokojnym, pełnym dystynkcji. Władka aż podnosiła wściekłość, lecz dusił ją w sobie roztropnie. Włożywszy ręce do

kieszeni, kiwał się obojętnie na krzesełku, z ramionami wzniesionemi wzgardliwie aż do sufitu

— Phi... Nie, to nie! Nic mi po babskich tajemnicach. Chociaż i ja mógłbym coś ciekawego opowiedzieć... Naprzykład... o Mietku i pannie Wandzie...

Zerwały się gwałtownie.

— Opowiedz, Władek, opowiedz! Prosimy cię... Koniecznie!

— A pokażecie wasze bazgroty?

Spojrzały po sobie.

— Kiedy bo... my nie możemy. Naprawdę, Władek...

Najchętniej wyrwałby siłą, lecz bał się, aby nie podarły kartek. Raptem olśniła go genjalna myśl.

— No dobrze... Powiem Mańce, jeśli przysięgnie, że ani mrumru...

Zosi, zawsze płaczliwej, odrazu stanęły łzy w oczach.

— A mnie?

— Dobrze... i tobie, bekso. Ale potem. Chodź, Mańka!

Wyprowadziwszy dziewczynkę do ciemnego pokoju, udawał przez chwilę, iż bada, czy nikogo niema w pobliżu. Wreszcie, nachylony nad jej błyszczącemi oczętami, zaczął mówił szeptem, powoli:

— A nie powiesz?

— Nie.

— Jak Boga kochasz?

— Jak Bozię kocham.

— To słuchaj... No, słuchasz?

— Słucham.

— Mam ci powiedzieć... że... że... — raptem parsknął śmiechem w sam nos — żeś głupia, jak but! Wiesz teraz?

Szybko wepchnął zdezorjentowaną Manię do pokoju i wołał na drugą:

— Zośka! Teraz tobie, prędzej!

— Nie chodź! On oszukuje tylko!

— Uuuu! Zazdrośnica! Chce sama wszystko wiedzieć! Chodź, Zosia!

— Nie wierz, Zosia, nie wierz!

Ale już była za drzwiami. Władek patrzał na nią drwiąco, ze złośliwym uśmieszkiem.

— Wiesz, dlaczego Mańka nie chciała, bym ci powiedział?

— No?

— Bo sama pokazała mi twoją kartkę... O, patrz!

Powiewał przed jej oczami ćwiartką czystego papieru.

— Ładna historja! Pokażę to starej, będziesz się miała z pyszna! Pisać takie rzeczy!

Zosia przybladła z przerażenia.

— Pokazała? Co ty, Władek? Naprawdę pokazała?

— Widzisz przecie. Mówiłem — nie zadawać się z byle smarkatą!

Dziewczynce popłynęły ciurkiem łzy.

— Lizus... Uuuu... A przysięgała się... Poczekaj, Mańka! Kiedy tak, to i ja także! Zobaczysz... Masz, Władek, masz...

Wyrwawszy jej gorączkowo kartkę, Władek wpadł do pokoju z triumfalnym wrzaskiem i czytał przy lampie, zanosząc się od śmiechu:

— "Ja także kocham się we Władku!" Ha, ha, ha! Ładnie, Mańka, ładnie! Niema co! Powiem matce, będą wały! Będą wały! Ha, ha, ha! Przy wszystkich powiem, przy kolacji!

Mania patrzała na to oszołomiona. Zrozumiawszy, zaczerwieniła się z gniewu, jak wiśnia i splunąwszy symbolicznie pod nogi Zosi, wyrwała drugą kartkę z kieszeni.

— Nie ja tylko!... Masz! I nic mi nie będzie, żebyś wiedział!

Entuzjazm Władka dobiegł szczytu.

— "Czy ty nie kochasz się we Władku? Chciałabym go pocałować" — czytał — Brawo, Zośka! To ci dopiero warjatki, no! Chciałabym go pocałować!... Pocałuj psa w nos! Ha, ha, ha! Powiem, powiem! Umrą wszyscy ze śmiechu! Ha, ha, ha!

Targał je za sukienki, skacząc po pokoju i przewracając krzesła w szale radości. Co chwila skrobał dziewczętom "marchewkę", to znów kręcił się w dzikim "tańcu wojennym", wydając wściekłe wrzaski zadowolenia.

Przez półotwarte drzwi zajrzała panna Wanda, zwabiona hałasem.

— Co tu za krzyki? Władek, co ty wyrabiasz!

— Panno Wando! Niech pani idzie! Niech pani to przeczyta! Proszę pani!

— Kto pisał te głupstwa? Wy, dziewczęta?

Władek wytykał palcem winowajczynie, czerwone ze wstydu, z ustami ściętemi w podkówkę.

— A któżby?! One, one... O, głupie gęsi! Gą, gę, gę! Panno Wando, co?!

Panna Wanda parsknęła nagle rozdzwonionym śmiechem, Dziewczynki w bek, ale ona, nie dbając już o powagę, zaśmiewała się tem bardziej, podniecana do coraz to nowych wybuchów przez Władka, który, stojąc naprzeciwko z dłońmi wspartemi na kolanach, ryczał wprost z ukontentowania. Wypadła wreszcie z pokoju, dusząc się od śmiechu.

— O smarkate! Niemądre kozy! Ha, ha, ha! Stefa, Stefa!

Stara panna przejrzała kartki przez założone binokle. Jej wysoka, szczupła postać, nachylona nad lampą, rzucała monstrualny cień na przeciwległą ścianę. Dziewczęta chlipały pocichutku, z rezygnacją, nawet Władek zaciskał usta pięścią, czekając na efekt, by dać sygnał wesołości. Ale uśmiech prześlizgał się tylko po wąskich wargach panny Stefanji. Za chwilę szeptała coś siostrze z niezadowoleniem.

Władek nastawił ucha: "...dziwię się tobie... Co z niego wyrośnie, jeśli już teraz... z kobietami..."

— Jędza, stare pudło — przemknęło mu przez myśl nienawistnie.

Ze zdumieniem słuchał łagodnych wyrazów, zwróconych do płaczących dziewcząt:

— No, no, nie beczeć! On, głupie, nie wart tego...

Mania spojrzała nań z gniewem poprzez perliste łzy.

— Oszukaniec! Myśmy dla siebie tylko... Skarżypyta — pół kopyta! Uuu!

Wysunęła język, jak mogła najdalej, lecz chłopiec odwrócił się tylko pogardliwie. Czuł, że sprawa przybrała jakiś dziwny obrót. Na nim się skończy, jak zawsze! O, wyprowadza je, głaszcze nawet... tak, tak... teraz do niego... rozumie się...

Zaciąwszy się w sobie, czekał z zuchwałym uśmieszkiem.

— Tyś czego kontent, niemądry? Co? Zamiast być wdzięcznym za życzliwość...

— Nie dbam o ich głupie życzliwości...

— Powinieneś dbać!

— Iii... Wcale się nie proszę!

— Cicho! Nie wiesz to, że prawdziwy mężczyzna musi być dobry dla kobiet?

— Takie tam kobiety...

—Wszystko jedno. Słabsze są od ciebie, rozumiesz?

— To też się z niemi nie biję.

— Nie odpowiadać! W tej chwili mi je przeprosisz! Słyszysz!

Milczał, zdumiony tym niepojętym rozkazem. Wreszcie zakipiała w nim wściekłość. Zwarjowała baba, czy co? Patrząc jej prosto w oczy, wycedził powoli, starannie oddzielając wyrazy:

— Ani... mi... się... śni!

Panna Stefanja poczerwieniała, jak piwonja.

— Co? Coś ty powiedział? Marsz mi do kąta! Natychmiast!

— A jakże! Nie pójdę!

Chwyciła go lekko za ramię, popychając ku szafie. Tego mu tylko było trzeba: przykucnąwszy pod jej ręką, darł się na cały głos, skrzywiony boleśnie:

— Oj, oj! Za co mnie pani bije? Powiem matce! Oj, oj! Niech mnie pani nie szczypie, bo naskarżę... Mnie boli! Uuu! uu! uuu!

Zasłoniwszy twarz ręką, udawał, że płacze. Panna Stefanja puścił go momentalnie.

— Ach, ty nicponiu! Ty komedjancie! To ja dla niego, jak dla kogo dobrego!... Pisałam właśnie do Zawad, że można cię zabrać, mimo łaciny... O, ziółko! Poczekaj, popamiętasz ty ruski miesiąc!

Ruszyła do drzwi z takim impetem, że ledwie ją uprzedzić zdołał, zastawiając sobą drzwi.

— Panno Stefanjo! Ja już pójdę do kąta!

— Oho! Zapóźno, kotku! Puszczaj!

— Nie, panno Stefanjo! Pani się mści zaraz... Ja przeproszę...

— Przeprosisz?

— Hm... A możeby lepiej stać w kącie całą godzinę?... I tak kara... No, panno Stefanjo, proszę...

Za chwilę siedział na podłodze przy piecu, dźwigając losy z filozoficznym spokojem.

Że to właściwie dziewczyniska powinny stać w kącie, było dlań jasne, jak słońce; niechby on wypisał takie brednie, no!... Zna ich przecie! Wie, czego się spodziewać! A tym srokom nic! Prawie pochwała!

Z serdeczną ulgą rozpoczął obmyślanie jakiejś finezyjnej zemsty na po świętach.

KAZIMIERZ LASKOWSKI.

MOJA NUTA

Moja nuta, moja własna,
to ta po dolinie,
co nadbrzeżnem kwieciem krasna
z szmerem rzeki płynie;
co to dźwięczne nosi echa
po leśnych pagórkach,
w jasnem słonku się uśmiecha,
tonie w śnieżnych chmurkach!

Moja nuta — ta rodzona
dziewa — kołowrotek,
lniana kądziel u wrzeciona,
zgrzebnej przędzy motek;
to matula nad kołyską
w nockę księżycową,
to żeńcami rojne rżysko
porą dożynkową!

Moja nuta, ta kochana,
za pługiem w siermiędze,
czarną skibą przepasana
na zagonów wstędze.
To ligawek smętne granie,
żórawiane studnie,
to pastuszych stad klaskanie,
dzwonek na południe!

Moja nuta, ta weselna,
to dworek szlachecki,
stare lipy, gędźba pszczelna,
taniec mazowiecki.
To ów zegar kurantowy
w portretowej sali,
podgolone w bliznach głowy,
misiurka ze stali.

Moja nuta, ta święcona:
cmentarniane brzózki,
sygnaturka rozdzwoniona,
krzyż na skraju wioski.
To kurhanek darnią szyty,
pasyjka przy strudze,
kielich życia niedopity,
łzy swoje, łzy cudze!

Moja nuta, moja własna!
Toć ją ziemia rodzi...
jej weselem płynie jasna,
jej żalem zawodzi.
Moja nuta — krew serdeczna
tyleć mego — tyle,
że gdy zajrzy ciemność wieczna,
załka na mogile!

BERNHARD DE VILLIERS

ZJAWA

ROBERT DULAURT zbliżał się do Łuku Tryumfalnego, gdy nagle dwie młode kobiety nadeszły z przeciwnej strony i o kilka kroków przed nim skręciły w wąską przecznicę. Jedna z nich w tej chwili spojrzała uważnie na Roberta, który, spostrzega ją właśnie i staje odrętwiały, z bijącem sercem.

Przemożne wzruszenie dusi go, paraliżuje. Nieruchomy nie ma siły przemówić, zbliżyć się do Madzi.

Zawahała się chwilę zdziwiona zapewne, że Robert nie podchodzi, poczem szepnęła coś do ucha towarzyszki — siostry swej — i poszła dalej. Na przestrzeni krótkiej ulicy Madzia odwraca się wiele razy, a wstępując w bramę ostatniego domu wychyla się jeszcze, aby spojrzeć na Roberta, który stoi dalej w tem samem miejscu. Wreszcie znika.

Nie widział jej czternaście lat. W roku 1914-ym, zanim przyszło lato spotykali się często, odbywali wspólne spacery, niekiedy bardzo miłe. Madzia miała ośmnaście lat, on dwadzieścia pięć. — "Bardzo pana lubię", mówiła z wdzięczną powagą małej kotki. Robert zwlekał z oświadczynami. Nagle wybuchła wojna.

Poszedł na front. Przez pierwsze miesiące otrzymał sporą ilość listów od Madzi. Potem przestała pisać. Podczas pierwszego urlopu, a potem później, usiłował dowiedzieć się o nią. Nikt nie potrafił objaśnić go, co się z nią dzieje. Po zawieszeniu broni Robert szukał na wszystkie strony również bez powodzenia i przekonał się, że tylko wypadek może go zetknąć znowu z kochaną, utraconą towarzyszką lat młodych.

Po czternastu latach nadzieja się ziściła. Ale pod wrażeniem tak nagłem i potężnem Robert stanął oniemiały, przygnieciony, a przedewszystkiem zdumiony odkryciem samego siebie.

Dusza nasza kryje wiele tajemnic. Robert wiedział o tem, że kochał Madzię. Ale żeby do tego stopnia! Tego nie spodziewał się nigdy. Ileż wydarzeń przeżył od tego czasu. Nowe uczucia, kłopoty, prace, wspomnienia piętrzące się, zasłaniające jedne drugie, zacierające się stopniowo. Wystarczyło jednak pojawienie się Madzi, a już uczuł w głębi duszy święty, potężny płomień wielkiej miłości, której, — zdawało mu się, nigdy nie przeżywał.

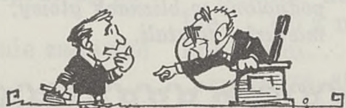
Nazajutrz wczesnym bardzo rankiem Robert udał się do tego domu, w którego bramie zniknęła Madzia.

Nie znano jej tam.

Od tej chwili rozpoczęła się dla niego egzystencja detektywa. Przez cały dzień pilnował małej uliczki. Dziesięć razy wypytywał dozorczynię, która zaniepokoiła się wreszcie. Może człowiek ten mimo przyzwoitego wyglądu jest bandytą, przygotowującym włamanie? To też gdy zaproponował, że pójdzie od mieszkania do mieszkania wypytywać lokatorów, strażniczka ujęła pod ramię podejrzanego osobnika i donośnym, straszliwym głosem zagroziła, że wezwie policję. Byłaby to niewątpliwie uczyniła, gdyby Robert nie uciekł czemprędzej w obawie skandalu.

Odwiedził rządcę domu i komisarza dzielnicowego, nie uzyskując nic więcej, jak chłodne zaprzeczenia, że podobnej nie znają, poczem znalazł się w obliczu zawiłego zagadnienia, jak wśród czterech miljonów ludzi, chodzcych po asfalcie Paryża, odnaleźć uroczą Madzię Marceau, która może wyszła zamąż, zmieniła nazwisko?

Nie zniechęcił się jednak. Tomy możnaby pisać o jego usiłowaniach, nadziejach, tysiącach śladów, za którymi kroczył, aby przekonać się, że są błędne, a także drwinach, na jakie się naraził, wypytując setki osób, nie mówiąc już o pieniądzach wydanych na opłacenie różnych Sherlock Holmesów, którzy pracowali sprytnie i sumiennie. Nie ich winą było, że Madzi nie odszukali.



— Kiedy pomyślę, — mówił sobie zrozpaczony Robert, że owego wieczora byłoby wystarczyło, abym uczynił sześć kroków!

Wreszcie po miesiącu ciężkiej, upokarzającej pracy udało mu uzyskać adres niejakiej panny Lemercier, która była ongiś wielką przyjaciółką Madzi.

— Może ona będzie coś wiedzieć — westchnął nie śmiejąc żywić zbyt wielkiej nadziei.

Drżał jednak cały, idąc do niej. Panna Lemercier przyjęła go bardzo uprzejmie. Pamiętała, że znali się kiedyś. Na pierwsze zapytanie wykrzyknęła wesoło:

— Madzia? Ależ naturalnie, że mam wiadomość od niej.

Otworzyła szufladę, wyjęła z niej kartkę papieru i pokazała ją Robertowi.

— Widzi pan, ten list dostałam przedwczoraj.

Robert, pod którym uginały się kolana, poznał zdaleka drogie mu pismo. Kiedy chciał zapytać o adres Madzi, panna Lemercier uprzedziła go i rzekła:

— Nie są to oczywiście nowiny bardzo świeże. Poczta stamtąd idzie trzydzieści pięć dni.

— Stamtąd? Więc panna Magdalena nie mieszka w Paryżu?

— Jakto? Pan nie wie? Ale Madzia już od dziesięciu lat jest w Australji... Nie, nie wyszła zamąż, daje lekcje francuskiego w Melburn.

Robert chwiejąc się schodzi po schodach. Ma ochotę płakać, ale wybucha śmiechem.

— Więc, — mówi sobie — to nie była Madzia, owa kobieta, którą spotkałem przed miesiącem. Przecież w tym czasie pisała z Melburn do panny Lemercier. Komiczny głupiec ze mnie!...

Wgłębi duszy czuje jednak, że spotkała go katastrofa. Największa jego miłość, jedyna w życiu utraciła rację bytu, stała się niepotrzebną, śmieszną.

Może jednak nie. W drodze do domu wstępuje do biura towarzystwa żeglugi morskiej, aby dowiedzieć się o warunki podróży do Australji.

Tadeusz Żeleński (Boy)

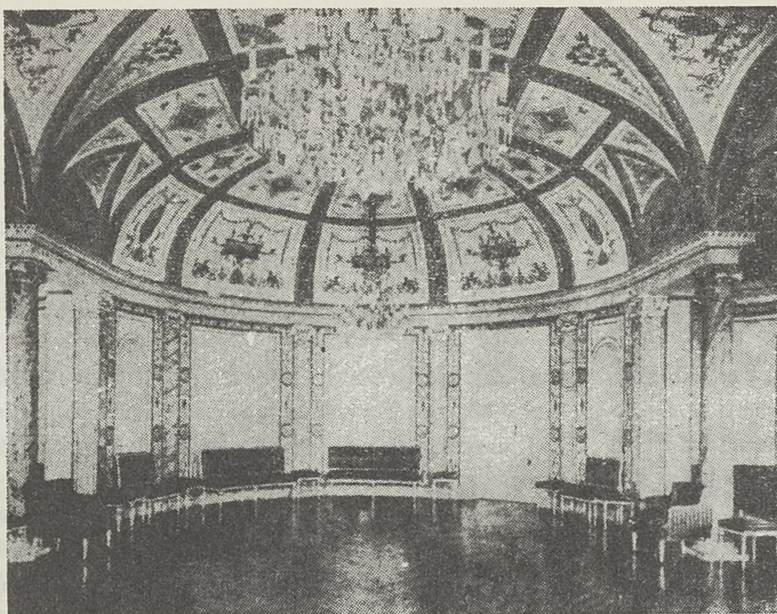
Karnawał warszawski

Na każdym kroku oblega nas porównanie nowych form życia z dawnymi; zestawienie to wydaje mi się szczególnie pouczające, nawet w błahostkach. Ot, na przykład, zdarza mi się parę razy do roku zajrzeć na chwilę na dancing i przyglądać się z przyjemnością parom, falującym rytmicznie na niedużym kręgu posadzki. Mówi się wiele o „szale tańca", jako o symptomie dzisiejszym, powojennym. Niezupełnie ściśle. Bo szał tańca istniał i dawniej, i z pewnością większy niż dziś; tyle tylko, że był umiejscowiony co do czasu. Tańczono na przestrzeni sześciu czy ośmiu tygodni karnawału. Ale za to wszyscy i bez mała co dzień. Poszukiwany tancerz — lub w ogóle człowiek, mający znajomości — hasał noc w noc do siódmej lub ósmej rano. I nie tak jak dziś, gdy tańczy się marzące tanga, spokojne bostony. Wówczas co za tańce! Pot lał się z czoła, kołnierzyk skręcał się na szyi w mokry sznurek; przy zmianie koszuli (bo wytrawni tancerze brali z sobą zapasowe koszule) można było wyżąć z niej kubeł wody. Potem karnawał się kończył; jeszcze ostatni biały mazur, gasła cała feeria i zaczynało się beztaneczne życie, trwające resztę roku.

Instytucja karnawału była dość ciekawym przykładem, do jakiego stopnia kultura mieszczańska nie umiała wytworzyć własnych form; jak bardzo była w tym pod uciskiem tzw. arystokracji i ziemiaństwa, z którego w znacznej części „inteligencja" w Polsce, a przede wszystkim w Warszawie, zdegrengolowała. W wielkim świecie karnawał był to generalny zjazd wszystkich dzielnic, rodzaj targów małżeńskich; był zresztą jedną z form świętowania, trwającego cały rok. W sferze ziemiańskiej, gdy prace rolne były ukończone, gdy w kabzie było trochę grosza a w piwnicy wina, z dawien dawna odwiedzano się kuligami, zjeżdżano do miast i miasteczek, również aby pokazać sobie wzajem synów i córki, aby swatać i krzyżować swoje młode. W mieście, gdzie ludzie mogą widywać się ciągle, takie „kontakty" straciły poniekąd swój społeczny sens; mimo to instytucja karnawału utrwaliła się i w mieście. Wiem oczywiście, że można ją wywieść od pogańskich orgiastycznych tradycji; ale nie mam zamiaru sięgać tak daleko; pragnę jedynie wskazać tutaj parę jej dość paradoksalnych rezultatów.

Przede wszystkim, karnawał magnacki czy ziemiański kojarzył się z pojęciem wywczasu. W mieście natomiast, w sferze ludzi pracujących, przypadał on w pełnym sezonie pracy. Po przetańczonej nocy, urzędnik szedł do swej budy, młody lekarz do kliniki, student na wykłady. Biura, szpitale funkcjonowały swoim trybem. Jak to połączyć z conocnym tańczeniem do upadłego? Toteż wzięty tancerz chodził przez te dwa miesiące w dzień jak błędny, w nocy wyciskał ostatek sił czarną kawą, winem, koniakiem. Pod koniec karnawału bywał rozpity na dobre. Wątlejszy dostawał krwotoku płuc. Iluż młodych ludzi wykoleił karnawał, te dwa miesiące nierealnego życia, przewracającego wszystkie wartości do góry nogami!

Niedorzeczność tej formy zabaw na gruncie burżuazyjnym objawiała się i w czym innym. Tradycyjne tańce, urodzone



Sala Pompejańska w Hotelu Europejskim

Zawsze były jakieś panny, które „siedziały", jakaś brzydka kuzynka, wołająca o zmiłowanie. Niech będzie tancerz jaki chce, byle był. Jeszcze tańce wirowe mógł nie tańczący gość sabotować, ale kiedy przyszły tańce angażowane, które były głównym wypełnieniem wieczoru, obchodzono sale i wyławiano wszystkich mężczyzn zdatnych do służby — cenzus równie rozciągliwy, jak w czasie wojny. Zawsze zresztą — o ile przedstawiał inne szanse życiowe — kawaler mógł być przez jakieś hoże dziewczę wybrany, a wówczas odmowa równała się najcięższej niegrzeczności.

w pałacach, na wielkich salach balowych, przechodziły do coraz mniejszych mieszkań. Dziś da się ślicznie tańczyć bluesa na paru metrach kwadratowych posadzki. Ale jak w niedużym pokoju, szumnie nazwanym „salonem", wyglądały kadryle, kotyliony — mazur zwłaszcza — bez których szanująca się zabawa nie mogła się obyć? Stąd owe figury mazurowe, przez wszystkie ubikacje, łącznie z kuchnią, prowadzone przez zziajanych Fikalskich, ale jakże mało mające wspólnego z tańcem.

Ale największe barbarzyństwo ujawniało się w powszechnym obowiązku tańca. Dziś tańczy kto chce, kto ma warunki i kwalifikacje po temu; nawet na dancingu jedni tańczą, drudzy sobie rozmawiają spokojnie, inni ssą w barze cocktail prosto od jakiej krowy. Dawniej, ponieważ całe życie towarzyskie skupiało się na owym przez cały rok wyczekiwanym karnawale, gromadził on wszystkich. I każdy, czy prosty czy krzywy, czy miał słuch czy nie, czy umiał czy nie umiał — a taniec jako umiejętność był, w klasie średniej, u mężczyzn przynajmniej, w wielkim zaniedbaniu — musiał tańczyć. Inaczej ściągał na siebie opinię człowieka bez wychowania, pasożyta, który przychodzi wyjadać kolację.

Cóż za widok! Pokazano nam raz w kabarecie takiego autentycznego kadrylo-mazura z owych czasów, nic nie przesadzając; wystarczyło, aby pęknąć ze śmiechu. Iluż godnych, przyzwoitych i inteligentnych ludzi dyskredytowało się, podskakując jak wróbel na nitce, przytupując nie w takt, komiczni, przeraźliwi. I nikt tego nie uniknął; bo nawet kadryl, który był tańcem konwersacyjnym, „chodzonym", kończył się najzdradliwszą „galopką z figurami". Była to niby złośliwa pułapka, bo właśnie kadryl to był taniec, do którego poszukiwani byli panowie poważni, epuzerzy. Rozmowa zaczynała się od byle czego, a mogła się skończyć oświadczynami i w chwilę potem ów odpowiedzialny konkurent zmieniał się w ledwodrypę od siedmiu boleści, depczącego po nogach w galopadzie.

Wszystko to wydaje się błahe, ale miało swoje bardzo poważne znaczenie. Bo karnawał, przy braku innych terenów spotykania się płci odmiennych, zachował i w miejskiej sferze charakter targów małżeńskich; zawsze rezultatem jego była pewna liczba oświadczyn i zaręczyn. Ale dobór odbywał się w tej sferze na swoistych zasadach. Kandydata na męża kwa-

lifikowało jego stanowisko, zdolność utrzymania rodziny. Tym samym dobrzy fachowcy, mole książkowe, pilni pracownicy, poważniejsi panowie mieli for. Stąd zabawne poplątanie. Bo niewątpliwie taniec sam w sobie ma charakter zalotów, zabiegów przedpłciennych — jak mówi nieoszacowany Kurkiewicz — jest jednym z elementów doboru płciowego. Coś niby turniej, w którym mężczyzna ma się wykazać dziarskością, zręcznością, wdziękiem. Ale tutaj z tą paradoksalną poprawką, że ci którzy się najlepiej „wykazali" w tańcu, to były przeważnie zawodowe nieroby, karnawałowe łaziki, w najlepszym zaś razie ludzie młodzi, bez stanowiska, nie nadający się (na razie przynajmniej) do małżeństwa. W tych warunkach trudno o większy absurd, niż łączenie przeznaczeń małżeńskich z turniejem tanecznym. Wprawiano młodą dziewczynę w trans szału po to, aby jej kazać wybierać rozsądkiem. Wnoszono w jej duszę nieuchronny zamęt: z kim innym idealnie się jej tańczyło, w innego ramionach drżała rozkosznie — a innego, za podszeptem rozsądnej matki, brała na oko jako kandydata na męża.



Na warszawskim balu

Ale, co więcej, tego przyszłego męża stawiano w możliwie najgorsze warunki. Ten sam kandydat, nieraz tęgi i wartościowy człowiek, w którym panna mogłaby się szczerze zakochać (jak dziś na przykład) jako jego uczennica, podwładna czy koleżanka w biurze — na jakimkolwiek terenie zresztą, z wyjątkiem tańca — musiał, jakby umyślnie, pokazywać się ze swojej najsłabszej strony: w tym, w czym bił go na głowę lada dureń. Na tym gruncie pocieszne były owe zaloty cierpiane z roztargnieniem, niezrecznie, przerywane co chwila przez jakiegoś fircyka, który porywał pretendentowi pannę w pół słowa sprzed nosa i odnosił mu ją pobladłą z tanecznej rozkoszy. A cóż dopiero, kiedy ten pan „na stanowisku", prokurator, lekarz czy profesor uniwersytetu, podrygiwał w tańcu bez wdzięku, kiedy młoda dziewczyna widziała biegnące za nim drwiące spojrzenia i rumieniła się za niego! Słowem, inteligencki karnawał był instytucją kojarzenia par, przy równoczesnym dyskredytowaniu przyszłych mężów w oczach przyszłych żon i niezdrowym rozszczepieniu serc panieńskich w samym zaraniu decyzji. Ileż kompleksów musiało się wytwarzać, które najpoważniej zaciążyły — wręcz fizycznie! — na losach takich małżeństw.

Jeszcze niedorzeczniejszy i okrutniejszy był karnawał w stosunku do wielu panien, które zmuszał do wystawienia się na pokaz, do podejmowania kobiecej walki o byt w warunkach również najniekorzystniejszych. Znów ta sama historia: dzielna, inteligentna dziewczyna, której zalety można by ocenić na właściwym jej terenie — tam, na sali balowej, beznadziejna weteranka kilku karnawałów, w zbyt opatrzonej sukience, wystawiona na banalne rywalizacje, wyczekująca pod okiem mamy aż się ktoś do niej zbliży, sterczała nieraz do rana z powściąganymi



Bal w salach pałacu Paca

łzami w oczach, lub też uciekała w pełni balu pod pozorem bólu głowy, aby w domu gorzko płakać do rana. Kilkadziesiąt bukiecików, które gromadziła „królowa balu“ — najczęściej koronna gęś — to było tyleż skalpów, zdartych z głów skromniejszych rywalek.

Stanowczo, mimo wszystkiego co można by zarzucić naszej epoce, ludzie żyją dziś jakoś dorzeczniej, swobodniej i estetyczniej. Nawet taniec odzyskał swą godność i sens, gdy przedtem bywał rajfurem małżeńskim, i to rajfurem niezręcznym i nielojalnym. I kiedy mi się zdarzy rozejrzeć po dzisiejszym boisku tanecznym, gdzie dobrane pary kręcą się bezinteresownie w spokojnej harmonii, a potem przypomnę sobie dawną salę balową o siódmej rano: straszliwy rząd matek dogorywających pod ścianą, ale jeszcze ścigających nienawistnym okiem krzywdzicielki swoich niedotańczonych córek; i ochrypłego wodzireja z błędnym wzrokiem, obwieszonego papierowymi orderami, ryczącego swoje: „rrą! z życiem panowie! dziś, dziś, dziś“; i owo pospolite ruszenie pociesznych mazurzystów, którzy za godzinę, ledwie zdoławszy się trochę obmyć, pójdą, wpół przez sen z ciężką głową, sądzić, leczyć, operować, wykładać, egzaminować — muszę stwierdzić, że to był dopiero prawdziwy „szał tańca“. Nawet nie szał, ale „wścieklizna tańca“, przeciw której dzisiejszy dancing jest błogosławioną szczepionką.

(1937 r.)



Bohaterowie kotylionu

MARJA KONOPNICKA

NASZA SZKAPA

Opowiadanie z życia biedaków

ZACZĘŁO się to od starego łóżka, cośmy na niem we trzech sypiali. Tego dnia ojciec zły czegoś wrócił z rzeki i, siadłszy na ławie, ręką głowę podparł. Pytała się matka raz i drugi, co mu, ale dopiero za trzecim razem odpowiedział, że się ta robota koło żwiru skończyła, i że szkapa tylko piasek wozić będzie. Zaraz mnie Felek szturgnął w bok, a matka jęknęła zcicha.

Miał ojciec nad wieczorem po doktora iść, ale mu jakoś niesporo było. Chodził, medytował, po kątach zazierał, aż stanął przed matką i rzekł:

— Co chłopakom po łóżku, Anulka? Sypiam ja na ziemi, toż i oni mogą.

Spojrzeliśmy po sobie. Dwie złote iskry zabłysły w siwych oczach Felka. Prawda! Co nam po łóżku? Piotrusia tylko pilnować trzeba, żeby z niego nie spadał.

— Dalej! Jazda! — krzyknął Felek i zanim odpowiedzieć zdążyła, już eśmy we trzech siennik na ziemię ściągnęli, a Felek kozły na nim wywracać zaczął.

Po ściągnięciu wszakże siennika okazało się, że desek w łóżku brakuje dwóch, a bok jeden ze wszystkiem odłazi. Nie chciał tedy "handel", którego mi ojciec zawołać kazał, o łóżku ani gadać, pieniądze, naliczone miedziakami zgarnął w mieszek, związał i za chałat na piersi wsadził. Opuścił mu ojciec dziesiątkę, potem dwie, potem złotówkę całą, ale się żydzisko uparło. Z sieni dopiero głowę do izby wsadził, postępując pół rubla bez siedmiu groszy, jeśli mu ojciec i poduszkę sprzeda.

Zawahał się ojciec, spojrzał na nas, spojrzał na matkę; wszystkiego razem miało być jedenaście złotych.

— Cóż, chłopaki? — zapytał wreszcie — obejdziecie się bez poduszki tymczasem, póki matka chora?

— O jej! — wrzasnął Felek przyduszonym głosem, gdyż właśnie na głowie stał, a nie zmieniając pozycji poduszkę na izbę cisnął. Chwycił ją Piotruś i na Felka rzucił. Felek znów na mnie, aż nam ją "handel" z rąk wyrwał, żebyśmy nie poszarpali.

— Ale bez poszewki! — odezwała się słabym głosem matka.

Natychmiast wyrwaliśmy "handlowi" poduszkę, którą już pod pachą trzymał i zaczęliśmy z niej poszewkę ściągać.

Po ściągnięciu wszakże poszewki okazało się, że poduszka w jednym rogu rozpruta, i że z niej pierze sypie. Znów tedy "handel" jedenastu złotych dać nie chciał, tylko dziesięć bez piętnastu groszy.

Targ w targ, zgodził się z ojcem na całe dwa ruble, ale żeby mu jeszcze kołdrę naszą dodać.

Ojciec spojrzał na matkę. Była tak osłabiona i blada, że wyglądała jak martwa, leżąc nawznak, z głęboko zapadłemi oczyma.

— Anulka? — szepnął ojciec pytająco.

Ale matkę chwycił kaszel, więc odpowiedzieć nie mogła.

— My tam kołdry, proszę ojca, nie chcemy — krzyknął Felek. — My się tylko o tę kołdrę co noc bić musimy. Niech Wicek powie!...

— Prawda, proszę ojca! — potwierdziłem gorliwie. — Co noc bić się musimy, bo spada...

"Handel" już kołdrę zwinął i pod pachę wsadził. Wybiegliśmy za nim z triumfem w podwórko.

— Wiecie? — krzyknął Felek chłopakom, co tam w klipę grali — "handel" kupił nasze łóżko, kołdrę i poduszkę! Będziemy teraz na ziemi na sienniku spali!

— Wielka parada! — odkrzyknął blady Józiek od krawca z lewej suteryny. — Ja już dwa lata u majstra na ziemi sypiam i bez siennika nawet.

Zaimponował nam. Sypianie takie nie było więc, widać, wynalazkiem naszym.

Tego dnia był u nas doktór, a ja biegałem aż dwa razy do apteki, bo matce znów było gorzej; ale kiedy przyszedł wieczór, tośmy ledwie ziemniaków dojeść mogli, tak nam pilno było na siennik, któryśmy sobie ułożyli w kąciku za piecem. Felek to nawet z chlebem w ręku do pacierza klęknął i, oglądając się raz w raz na siennik, w trzy migi "Ojcze nasz" i "Zdrowaś" przetrzepał, tak, żem ja ofiarowania nie zaczął, a on już się w pierś bił, aż dudniało w izbie i, tylko katankę zrzuciwszy, zaraz się od pieca położył.

— Czemże ja was, robaki, odzieję? — rzekł ojciec, patrząc, jakeśmy się jeden do drugiego tulili. Obejrzał się po izbie, zdjął z kołka swój granatowy płaszcz i rzucił na nas. Wrzasnęliśmy z uciechy i natychmiast powsadzaliśmy ręce w rękawy. Piotruś tylko piszczał, nie mogąc do nich trafić, aleśmy go z głową peleryną nakryli, więc ucichł. Ojciec, nim się położył, raz jeszcze podszedł do nas.

— No i cóż, ciepło wam, bąki? — zapytał.

— Mnie tam ciepło — odpowiedziałem z głębi płaszcza.

— A mnie jak! — krzyknął Felek. — O, proszę ojca, jak mi gorąco! — I wystawił swoje długie, chude nogi, żeby pokazać, jako o przykrycie nie dba.

Istotnie, przyjemne ciepło szło na nas z pieca, bo ojciec koksu przed wieczorem przyniósł, ogień rozpalił i matce herbatę gotował. Usnęliśmy też zaraz. Ale nad ranem zrobiło się bardzo chłodno. Pociągnąłem tedy płaszcz w swoją stronę.

Przy tem wsuwaniu się musiał jakoś nacisnąć Piotrusia, bo malec nagle piszczeć zaczął a potem się na dobre rozbeczał.

Matka stęknęła raz i drugi.

— Filipie! — zawołała słabym głosem—a zajrzyj-no do chłopców, po Piotruś czegoś płacze...

Ale ojciec spał.

— Chłopcy! — odezwała się znów matka — a czego tam Piotruś płacze?

— To Felek, proszę mamy! — odrzekłem.

— Nieprawda, proszę mamy, to Wicek — zaprzeczył natychmiast

zaspanym głosem.

Matka ciszej jeszcze stęknęła, a gdy nie przestawał płakać, zwlokła się z łóżka, wzięła Piotrusia na ręce i zaniosła na swoją pościel.

Za parę dni potem znów przyszedł "handel". Nikt go nie wołał, ale przyszedł, jak mówił, dowiedzieć się czy matka zdrowsza. Zaraz też zaczął chodzić po izbie, oglądać szafę, stołki. Ale ojciec chmurny był czegoś i gadać z nim wiele nie chciał.

Nazajutrz "hadel" znowu przyszedł. Tego dnia mieliśmy na obiad ziemniaki z solą tylko, bo okrasy brakło. Chleb też się jakoś skończył, a Piotruś do ochrony bez śniadania poszedł. Mnie ojciec kazał worek na węgle szykować. Stałem już chwilę, ale ojciec zapomniał widać o węglach, bo, siedząc na matczynem łóżku, zadumał się i wąsy skubał. Wtedy właśnie wszedł "handel" i szafę targować zaczął.

Czekałem jeszcze chwilę, ale mi okrutnie pilno było, bo woda koło pompy zamarzła i Felek poleciał jeździć; zaryzykowałem tedy i znacząco chrząknąłem. Jak się też ojciec nie obróci, jak nie palnie pięścią w stół! Skoczyłem duchem do sieni, a "handel" też wyszedł nie bawiąc i na żydka z przeciwka palcem kiwać zaczął. Ojciec mnie tymczasem zawołał, szesnaście groszy odliczył i po węgle biec kazał.

Kiedym wrócił, "handel" i Żydek z przeciwka wynosili szafę. Ojciec od drzwi zastąpił, żeby dużo mrozu nie naszło, matka odwróciła głowę do ściany i stękała cicho.

Matce w tych czasach pogorszyło się jakoś; doktór jej kazał jeść dobry rosół i mięso, a choć płakała na taką stratę i, jak mogła, ojcu broniła, to jednak coś przez tydzień do rzeźnika codzień latałem, czasem i po całe pół funta.

A "handel" to już tak do nas przywykł, że, czy go kto wołał, czy nie wołał, codzień choć przez drzwi zajrzał. Już nawet Hultaj, pies stróża, nie szczekał na niego. Po szafie kupił od nas cztery na orzech bajcowane krzesła, cośmy na nich do obiadu siadali. Przy tych krzesłach tośmy mieli uciechę, bo "handel" nie mógł wziąć sam więcej niż dwa, a drugie dwa samiśmy nieśli aż na Ordynackie.

Tak nam ta wyprawa zasmakowała, żeśmy się tylko pytali, co trzeba wynosić.

Szczególniej Felek miał nowe pomysły. Jak tylko wrócił z ochrony, zaraz ręce za plecy zakładał, po izbie chodził i po kątach jak taksator patrzył.

— A możeby, proszę ojca, garnek żelazny? A może balję albo zegar?

— Poszedł precz! — fuknął na niego ojciec, który teraz prawie ciągle był czegoś zły i smutny.

— Felek! Co ty gadasz! — odezwała się słabym głosem matka. — A tobyś ty niedługo duszę w ciele sprzedał.

Ja i Piotruś zaczęliśmy także silnie protestować.

— Ale!... Garnek! Jeszcze czego! A w czem to będziemy gotowali kaszę albo ziemniaki?

— Albo zegar!... — dodał z oburzeniem Piotruś. — A jakże będziesz bez zegara wiedział, kiedy ci się jeść chce albo spać?

— O jej! — zawołał Felek z miną skończonego libertyna — żeby o co, jak o to!... A ty, czy zegar pokazuje, czy nie pokazuje, to tylkobyś ciągle jadł.

— A tylko sklepikarce po bułki latasz, żeby ci kadryla (najtańszy gatunek salcesonu) dała!

— Nie latam! — odparł Franek, zaczerwieniwszy się.

— Latasz!

— Nie latam!

— Owszem, latasz! Sam widziałem, jakeś kadryla jadł...

— Ja kadryla? Jak Boga kocham, tak nie jadłem! — Uderzył się pięścią w piersi, aż jękło.

— No, to chuchnij!

Nastawił się Felek i chuchnął, aż para poszła. Z próby tej wyszedł z triumfem. Nic nie zdradzało spożycia kadryla, a z głębi zapadłej brzuszyny dobyła się czczość wielka.

Pewnego dnia Felek obchodząc izbę i poglądając po ścianach krzyknął nagle:

— A rondel, proszę ojca! A moździerz!

Struchleliśmy, słuchając. Rondel, moździerz i żelazko — to były niemal klejnoty rodzinne. Na półce wprost drzwi ustawione, błyszczały olśniewające, złote prawie... Środkowe miejsce zajmował rondel. Jak zapamiętać mogę, nigdy nie widziałem żeby się w tym rondlu coś gotowało. Byłaby to profanacja poprostu. Co sobotę wszakże czyściła go matka cegłą lub popiołem, i tak świecący stał z wystawionem na izbę uchem, błyskając w same oczy, gdy się do stancji wchodziło. Przy nim stał moździerz z tłuczkiem z jednej strony, a żelazko z drugiej. Moździerz był rówieśnikiem moim. Kupił go ojciec, gdym na świat przyszedł, aby matkę uradować i dobre jej serce za syna okazać. Matka zdejmowała ten moździerz raz do roku tylko, w Wielki Piątek, aby tłuc cynamon do wielkanocnego placka. Wtedy to zwykle powtarzało się to opowiadanie, w którem ja i moździerz byliśmy bohaterami. Właściwie różniliśmy się tylko tem, że mnie przyniósł bocian darmo, a za moździerz trzeba było zapłacić.

Żelazko także bardzo rzadko zstępowało z wyżyn półki na poziom naszego codziennego życia. Matka prasowała niem tylko półkoszulki niedzielne ojca i swoje tiulowe czepki; reszta bielizny szła pod maglownicę. Raz nawet o to żelazko pogniewała się matka ze stróżką, która je od nas pożyczyć chciała.

— Moja pani! — powiedziała jej matka bardzo stanowczym głosem. — Taki "porządek" to nie na pożyczki, nie na ludzkie ręce... To kosztuje!... To raz na całe życie sprawunek!...

Wszyscyśmy pamiętali, jak na to stróżka drzwiami trzasnęła, jak w sieni język rozpuściła. Od tej chwili żelazko nezmiernie poszło w górę w mojem rozumowaniu. A teraz, patrzcie państwo, Felek tak o żelazku mówił, jakby to była warząchew albo stara miotła.

Spojrzałem na ojca; byłem pewny, że się Felkowi po uszach oberwie. Ale ojciec oczy w ziemię wbił, skubał wąsy. Dobrze jeszcze, że matka spała w tej chwili.

Tego dnia nie latałem po mięso dla matki. Kości mi tylko ojciec za trojaka kupić kazał i krupnik z nich uwarzył.

Nazajutrz przyszedł zziębnięty i, zacierając ręce skostniałe, od proga zawołał:

— Ciesz się, Anulka! Wisła tylko patrzeć jak puści, bo się wiatr na zachód obrócił.

Ale matka, spojrzawszy na ojca, klasnęła w ręce i aż na pościeli siadła.

— Filip! — krzyknęła — a kożuch?!

Teraz dopiero spostrzegłem, że ojciec był bez kożucha.

Nie miałem czasu wielce się rozglądać, gdyż ojciec Piotrusia za

ręce chwycił i siarczystego młynka z nim wywinął. Potem głośno się zaśmiał, Piotrusia puścił i, na łóżku matczynem siadłszy, śmiał się, aż mu łzy po twarzy sczerniałej pociekły. Otarł je prędko rękawem starego spencerka.

— I cóż, Anulka? Jak ci tam? — zapytał.

Ale matka na poduszkę opadłszy, leżała jak nieżywa.

— Filip! — szepnęła wreszcie z wyrzutem. — Co ty? Kożuch sprzedał?

— Kożuch! Kożuch! Wielka parada — odparł ojciec. — No i cóż kożuch! Dość go się nadźwigałem przez tyla czasu. A to ciężki, psia noga, jak młynarskie sumienie. Aż lżej człowiekowi, że go z siebie zrzucił!

A gdy matka jęknęła z cicha, po włosach ją pogładził ręką i dodał:

— A też z ciebie, Anulka, krzywe drewno, że lada czego stękasz... Był kożuch, niema, ta i straszna historja! Cóż to? Da mi kożuch jeść, albo za nas komorne zapłaci, albo co? Wiosna za pasem, tylko patrzeć, jak rzeka puści, a ja się tam będę w kożuchy fundował... A to, poczekawszy i w spencerze za gorąco będzie, jak się robota otworzy...

Tego dnia był znów u nas doktór i znów biegłem do apteki.

— Zimno tu jakoś — mówił pan doktór, wychodząc — i wilgoć czuć. Trzebaby lepiej palić...

Ojciec słuchał ze spuszczoną głową. Cały ten dzień był bardzo wesół, ale równo musiało mu coś być, bo, jak tylko matka nie patrzała na niego, zwieszał głowę, a oczy to mu się z siwych aż czarne robiły, taką w nich żałość miał.

Całe pół puda węgli kupiliśmy na odwieczerz w sklepiku i ogień był, że aż huczało w piecu. Ojciec ławę przysunął do naszego siennika i siadł sobie na niej, matka też się obróciła, żeby na ogień patrzeć i takeśmy się wszyscy wygrzali, że to ha!

Upłynęło znów ze dwa tygodnie. Ojciec niewiele co zarobku miał, a tu i w domu roboty było dość; tu szmaty upierz, tu strawę uwarz, choć się tam i niezawsze warzyło, zawsze nie jedno, to drugie, a z nas to najwyżej posyłka jaka... Matce też nie było lepiej ani gorzej. Wyschła tylko strasznie i na twarzy zbielała jak chusta; ciężkie kaszle też na nią przychodziły coraz częściej, osobliwie na świtaniu.

Zaglądały czasem sąsiadki do izby, dziwując się matce, że taka zmizerowana.

— Żeby już albo w tę, albo w tę stronę pan Jezus dał! — mówiła gwoździarka do ojca.

— Tfu! — ojciec splunął. — Co tam pani takie rzeczy będzie gadała! Cóżto, przykrzy mi się, czy co? Czy my to tylko na zdrowe czasy przysięgali sobie, a na te chore to nie? Czy to ona przy kim, nie przy mnie, nie przy moich dzieciach, zdrowie straciła?

I na tem się skończyło.

A mróz trzymał. Piotruś to już i do ochronki nie szedł, tylko za piecem albo w nogach matczynego łóżka siedział, taki delikacik. A my z Felkiem piguły ze śniegu robili i walili w siebie na rozgrzewkę.

Jakoś jednego dnia nie paliło się w piecu. Ojciec matkę przyodział derką, a mnie do sąsiadki posłał po kawałek cukru do ziółek. Ale sąsiadka nie miała. Otworzył tedy ojciec kuferek, czy jeszcze gdzie nie wytrząśnie jakiej kruszyny, bo matka kaszlała tak, że aż w piersiach coś rwało. Zaraz my we trzech obstąpili ojca, bo w kuferku bywały różne rzeczy, któreśmy rzadko kiedy widywali. Były w pudełku brzytwy ojca, były w drugiem korale matczyne, była czarna jedwabna chustka, co ją ojciec w wielkie święta na szyję wiązał; była szuba matczyna z czerwoną podszewką, była żółta serweta w kwiaty, była kapa na łóżko z zielonego persu.

Ale tym razem zupełnieśmy się zawiedli — kuferek był pusty. W kątku tylko, w czerwoną chusteczkę zawiązana, leżała kawalerska harmonijka ojca. Ojciec potrącił ją raz i drugi, szukając odrobiny cukru, jakby się bał ją podnieść i usunąć z kątka. Brzękła i umilkła. Ale Felek już wsadził rękę do kuferka.

— A harmonijkę, proszę ojca! — krzyknął, podnosząc czerwone zawiniątko. — Nie możnaby harmonijki?

— Felek! — zawołała matka słabym głosem z łóżka.

Ojciec się zaczerwienił. Felkowi chusteczynę z harmonijką odebrał i, włożywszy do kuferka, zamknął na klucz.

Tego dnia bardzośmy długo śniadania nie jedli; a obiadu — to też nie było. Myślałem, że mnie ojciec po chleb pośle, ale nie. Piotrusiowi tylko dostała się wczorajsza kromka. Poszliśmy z Felkiem do sieni grać w klasy, bo nam się dłużyło jakoś. Druga już może była, albo trzecia, kiedy matka zawołała mnie do łóżka i rzekła zmęczonym, przerywanym głosem:

— Wpadnij no Wicuś do maglarki na Szczyglą, wiesz?...

— O jej... Co nie mam wiedzieć... Pod trzeci...

— Pod trzeci — powtórzyła matka. — To porządna kobieta, może kupi żelazko...

— Żelazko? — powtórzyłem, niepewny, czy dobrze słyszę.

— Tylko żeby dopiero zmierzchem przyszła, żeby w podwórzu stróżka nie widziała... No, idź...

Chwyciłem czapkę, kiedy mnie zawołała drugi raz:

— Wicuś!...

Ale kiedym podszedł, popatrzyła na mnie i rzekła:

— Nic już, nic... Idź!

Byłem we drzwiach, kiedy mnie zawołała raz trzeci.

Była podniesiona na łóżku, zapadłe jej oczy otwarte były szeroko.

— I moździerz... — szepnęła tak cicho, żem dosłyszał ledwie.

Skamieniałem. Doznałem wrażenia, jakby mnie samego sprzedawać miano.

— Moździerz? — powtórzyłem szeptem, nachylając się ku twarzy matki.

Dyszała ciężko, nierówno, w piersiach słychać było świst ostry. Nie odpowiedziała nic, tylko mnie przytrzymała za rękę. Dłoń jej była zimna, wilgotna. Dwa czy trzy razy otwarła usta bez głosu, pożółkłe jej czoło potem się okryło. Chwyciła powietrza głębokim, do westchnienia podobnym oddechem.

— I rondel... — szepnęła z wysiłkiem.

— Rondel? — powtórzyłem równie cichym głosem.

Skinęła tylko ręką, głowa jej opadła na poduszkę, oczy się przymknęły.

Wyleciałem jak oparzony, trzymając czapkę w garści. W sieni spotkałem Felka.

— Słysz, ty! — krzyknąłem mu w ucho. — I rondel, i moździerz, i żelazko, wszystko ci het przedajem!

— Siarczyste! — rozśmiał się Felek i wyskoczył w górę, trzasnąwszy się dłońiami po udach.

Zaraz też we dwóch polecieliśmy na Szczyglą, bo Felek ambitny był i nigdy mi o włos przed sobą nie dał.

Ale maglarka nie chciała wiele ze mną gadać. Powiedziała, że jej rondel niepotrzebny i żelazko ma swoje. Wyszliśmy oburzeni.

— Dzisz babę! — krzyknął Felek. — Rondel jej niepotrzebny! Taki rondel, jak nasz i jej niepotrzebny!

Z błyszczącemi oczyma czekała matka, a gdym jej o skutku naszej wyprawy powiedział, westchnęła, jakby doznawszy wielkiej ulgi.

Przed wieczorem jednak znów mnie zawołała i kazała bieżeć po "handla". Wylecieliśmy z Felkiem, uszczęśliwieni, że się jeszcze ta sprawa nie kończy. "Handel" przyszedł, obejrzał żelazko, obejrzał rondel i powiedział, że to wszystko na szmelc chyba. Żelazko przepalone, moździerz, mały, rondel cienki... Za wszystko dawał dziesięć złotych.

Porwała się matka i na łóżku siadła.

— Co?! Dziesięć złotych?... Sam moździerz kosztował złotych pięć i groszy piętnaście! A żelazko! A rondel! Idźcie... Idźcie!... Niech was moje oczy nie widzą! Nie wy jedni na świecie!

I posłała nas natychmiast po innego "handla", po Rudego, co od nas stół kupił. Lubiliśmy bardzo tego Żydka, bo koncepty różne, kupując ów stół prawił, a za odniesienie go na drugą ulicę mnie i Felkowi po orzechu dał. Polecieliśmy tedy po Rudego. Szwargotał na rogu przed sklepikiem z tym pierwszym, który od nas wyszedł. Zaraz jednak worek na plecach poprawił i za nami poszedł.

Ale obejrzawszy moździerz, rondel i żelazko, dawał za nie tylko dziewięć złotych i piętnaście groszy; mówił też że moździerz to się i na szmelc nie zda. Matkę aż febra trzęsła i, choć się ruszyć prawie nie mogła na łóżku, wyrwała przecież Rudemu rondel i puściła go na ziemię. Jęknął, jak dzwon rozbity...

Dziwnego wrażenia doznałem, słuchając tego jęku. Zdawało mi się, że jęknęły węgły naszej izby... Matka zasłoniła oczy i zaczęła płakać.

Nim wieczór przyszedł było u nas jeszcze z pięciu "handlów", ale co jeden to mniej dawał.

Powynosiły się nareszcie Żydy, zaduchu w izbie narobiwszy; rondel, moździerz i żelazko stały rzędem przy matce na ławie. Patrzyła na mnie wzrokiem smutnym, zmęczonym, osłupiałym prawie. Ale gdy mróz coraz większy na noc brał, a Piotruś piszczeć zaczął, że mu zimno, że głodny, kazała mi matka bieżeć do stróżki i zapytać, czy żelazka nie kupi.

Ale stróżka nie zapomniała widać owej matczynej odmowy. Odęła się też zaraz jak karmelicka bania.

— Jak będę miała kupować, to se nowe kupię! Co mi tam po starym gracie!

Kiedym to powtórzył matce, ognie uderzyły na nią.

— Nie, to nie! — zawołała głosem drżącym z gniewu. — Widzicie ją! Stary grat! Jaka pani! Jak pożyczyć, to jej było dobre, a jak kupić, to stary grat! Poczekaj ty flądro... jędzo...

Zakaszlała się i za piersi chwyciła, ale nie było co dać popić, bo ziółka dawno wyszły.

— Wicuś! — odezwała się matka przerywanym głosem — biegaj no do tego najpierwszego "handla" co dziesięć złotych dawał. Do tego czarnego, wiesz? Niech przychodzi. — I przymknąwszy oczy, szeptała: — Za psie pieniądze przedam, zmarnuję, a tobie flądro jedna, wara od starych gratów na ludzki dobytek wydziwiać... Nie użyjesz!

Felek aż się piętami bił, tak ze mną po Żyda leciał. Myśleliśmy, że go Bóg wie gdzie szukać przyjdzie, a on prawie wprost naszej bramy stał, zupełnie jakby czekał na nas. Kiedy Felek, podleciawszy, szturgnął go w łokieć, błysnęły mu oczy zmrużone, jak kotu i pociągnął nosem. Poszedł za nami prędko, skwapliwie. Ale i on teraz nie chciał dać więcej jak "równe dziewięć złotych".

Matka znów się zapaliła na twarzy.

— Człowieku! — krzyknęła. — A toćże tego nie ubyło! A toćżeście pierw dziesięć dawali...

— Dawałem, alem się namiszlił...

— Dajcież już te dziesięć... Miejcież sumienie!...

— Nu, ja sumienie mam. Żeby ja sumienie nie miał, toby ja osiem dawał...

— A żeby was Bóg ciężko skarał za moją krzywdę — jęknęła matka.

— Co to skarał? — szarpnął się "handel". — Za co skarał? Czy ja darmo chcę wziąć? Nu, ja daję gotowe pieniądze.

Matka nic już nie odpowiedziała, twarz jej była biała, jak krążek opłatka. Kiedy Żyd liczył pieniądze, Felkowi oczy latały za każdą dziesiątką. Co tylko która była trochę starta, natychmiast ją z szeregu wyrzucał, krzycząc, że fałszywa.

Nareszcie doliczyli się jakoś. Żyd z łoskotem żelazko, moździerz i rondel do brudnego worka wrzucił, a mnie matka posłała po chleb i węgle. Kiedy ojciec przyszedł, popatrzył na ogień, potem po izbie spojrzał, a kiedy wzrok jego zatrzymał się na opróżnionej półce, spuścił oczy i na palcach do łóżka matczynego podszedł.

Niedługo jakoś potem zelżało. Ogromny huk pękających lodów na Wiśle słychać było nocami. Węgiel jednak ciągleśmy jeszcze kupowali, bo wilgoć w izbie była taka, że się po ścianach sączyło. Stancja nasza wypróżniła się do czysta.

Poszła gorsza matczyna suknia, poszedł zegar, poszła balja, a kiedy i płaszcz ojca granatowy poszedł, straciłem zupełnie wiarę w te rzeczy które są "raz na całe życie" zwłaszcza po niedawnem doświadczeniu z żelazkiem.

Jednego razu ojciec u kuferka na ziemi przysiadł, otworzył go i długo medytował. A była tego dnia duża odwilż, wróble się darły, a słońce pierwszy raz tej zimy do naszej suteryny zajrzało. Ale matce było znowu gorzej. Całą noc kaszel ją męczył, a pić wołała z pięć razy. Lekarstwa nie było. Ojciec głową kiwał, wąsy skubał i patrzył w milczeniu na czerwone zawiniątko w kuferku. Sięgnął wreszcie po nie, harmonijkę wyjął i, siadłszy na matczynem łóżku, grać zaczął.

Matka ożywiła się nieco. Słuchając, kazała sobie Piotrusia podać do łóżka, a my stanęliśmy w pobliżu. Zrazu grał ojciec wesoło, a grając, tak mówił do matki:

— Pamiętasz, Anulka, Bielany? Pamiętasz, jak my się to poznali? Jakem ci przygrywał wtedy?

— Pamiętam, serce — rzekła matka cicho.

— Albo to, pamiętasz? To ci było w Trójcę na odpuście, na Solcu...

— Pamiętam — szepnęła matka.

— Miałaś wtedy tę różową w kratkę suknię i okrutnie mi się potem bez ciebie cniło, coś ze trzy dni — mówił ojciec miękkim głosem. — A to, Anulka?

— Nie wiem.

— Jak nie wiesz? To przecie było na Woli, co my tam ze szwagrem poszli, com to kuflem cisnął w tego Niemca, że się do ciebie przysiadł...

— A prawda! — szepnęła matka.

Ojciec grał dalej. Harmonijkę na kolanie trzymał, rozciągał ją i zesuwał, a po klawiszach przebierał drobniutko palcami. Jak żyję nie słyszałem piękniejszej muzyki.

— A to, Anulka, a to? Jakże?...

— Pamiętam, Filipku — mówiła matka — to było tej niedzieli, kiedyś na zapowiedzi dał. W Czerniakowie my byli z nieboszczką matką... A jak ty wtedy grałeś, serce... Jak grałeś...

Uśmiechnęła się, westchnęła, zdawała się zasypiać.

Ojciec i teraz grał ślicznie. Z początku wesoło, raźnie, jakgdyby do tańca, a potem jakby do tej wesołości coś się przymieszało, coraz smutniej, coraz smutniej, jakby do płaczu, tak że i Felek pięścią oczy raz i drugi wytarł; aż rozciągnął ojciec harmonijkę razem ze stron obu i dobył z niej głos tak żałosny, jak na organach, kiedy umarłemu grają.

Matka spała. Często na nią teraz przychodził sen taki, jakby kto nagle oczy makiem jej posypał. A budziła się potem osłabła, blada, z zimnym potem na wychudłej twarzy.

Posiedział ojciec ze zwieszoną głową, posiedział, poczem westchnąwszy, wstał, harmonijkę w chustczynę owinął, pod pachę ją wsadził i nasunąwszy czapkę, na palcach wyszedł.

Kiedyśmy się znaleźli we trzech na sienniku pod matczyną chustką, trącił mnie Felek w bok i rzekł półgłosem:

— Wicek! Wiesz, Stary to ci płakał przy tem graniu...

— E-e-e...

— Dalibóg — przysiągł Felek, palnąwszy się pięścią w piersi, aż mu w nich coś jękło. — Przecieżem nie ślepy, widziałem... Tylko mu te łzy po wąsach kipiały... A cóż chcesz — dodał po chwili — jak sobie człowiek tak wszystko rozpomni... Westchnął ciężko, poleżał chwilę cicho i na bok do pieca się obrócił; zaraz potem usłyszałem jego chrapanie. Kiedym się obudził, Felek już stał na sienniku i zapinał pasek na opadających go porciętach. Przez otwartą, srodze połataną koszulę sterczały mu wychudzone żebra, z kołnierza wychylała się szyja cienka, a niezmiernie chude nogi czyniły go znacznie wyższym, niż był w istocie.

— Felek! — zawołałem — cóżeś ty jak tyka przez ten miesiąc urósł?

— Głupi! — rozśmiał się Felek. — Ja tylko tak się wyciągam, żeby brzuch mniejszy był.

Wyciągnął się przede mną jak struna.

— A co? — zapytał.

— A to wyglądasz jak śledź marynowany.

— To dobrze — zawołał — walę na pajaca!

A kiedym się śmiał, rzekł:

— A co? Zły to chleb?

I trzasnąwszy się rękami po udach, w górę wyskoczył, kozła w powietrzu przewrócił poczem na cztery łapy, jak kot, cicho padł.

— Wiesz? — rzekł. — To przez tego pędraka takem się wyciągnął — i wskazał głową na Piotrusia. — Jak idziem do ochrony, to ci całą drogę skomli, że głodny. Muszę ci mu codzień pół mego chleba fasować, żeby cicho był...

— E-e-e? — zapytałem niedowierzająco, czując, że jabym się może na takie bohaterstwo nie zdobył.

— Jak Pana Boga kocham — przysiągł się natychmiast, grzmotnąwszy się kułakiem w suche jak szczapa piersi.

. . . .

— Wiesz co, Anulka, — rzekł tego dnia ojciec, siadając na matczynem łóżku. — Trza będzie chyba szkapę między ludzi puścić...

— Szkapę? — zawołała matka i aż na łóżku się podniosła. — Bój się Boga, Filipie! A toć ona nas wszystkich żywi!...

Ojciec ciężko na ręku się wsparł i wąsy w milczeniu skubał.

— Żywi albo nie żywi — odezwał się po chwili. — Z kacierzem na rzece się nie pokaż, woda rwie, że to ha! Koło żwiru roboty nijakiej niema, piasku też licho odchodzi, na plecach by człowiek rozniósł, a tu na każdy dzień sieczki kup i otrąb choćby garstkę, boć to owsa nie uwidzi w żłobie. Teraz pomieszczenie, teraz ściółka, a wszystko drogo...

Matka jęknęła tylko.

Struchleliśmy, słuchając. Piotruś oczy na ojca wytrzeszczył i otworzył usta; ja stałem jak skamieniały. Dopiero Felek taką mi sójkę w bok wsadził, że mnie aż zamroczyło.

— Słyszysz, Wicek! — krzyknął mi w samo ucho.

— A toćżem nie głuchy — huknąłem mu w ucho głośniej jeszcze. I zaraz my wylecieli do sieni, bo nas taka żałość zdjęła, że tylko się za łby drzeć.

Szkapę kochaliśmy niezmiernie. Jak tylko zapamiętam, na świecie zawsze był ojciec, matka i nasza szkapa. Felka dopiero potem bociany przyniosły, Piotrusia takoż; ale szkapa należała do rzędu tych istot, które są zawsze. Są, bo są. Wyobrazić sobie poprostu nie mogłem ani jej początku, ani też jej końca. Szkapa należała do nas, a my do niej; ani my od niej, ani ona od nas nie mogła się odłączyć. Kogo by brakło w naszej gromadce, toby brakło, ale nigdy szkapy. Toć to była cała nasza uciecha.

Kiedy ojciec z rzeki do domu wracał, wybiegaliśmy — gdzie! Aż na pół drogi, byle szkapę prędzej zobaczyć. Co który miał, to jej niósł i do pyska wtykał: kawałek chleba, ziemniak, znalezioną w śmietniku skórkę z cytryny...

I szkapa kochała nas bardzo. Zdaleka już rżała ku nam i przyśpieszała kroku, strzygąc radośnie uszami, a kiedyśmy ją po szyi, po bokach klepali, rozumiała wybornie tę pieszczotę i, zwiesiwszy swój ciężki łeb, skubała nas po włosach, po kurtkach. Piotruś zwłaszcza był jej ulubieńcem; poprostu rżała na ojca, żeby go wziął z sobą.

Kiedy ją ojciec wyprzągł, zaczynała się dopiero prawdziwa zabawa i podczas kiedy szkapa zanurzała swój łeb ogromny w głębinach worka z chudą sieczką, dokazywaliśmy z nią co nie miara, a szkapa wszystko znosiła, poglądając niekiedy na nas jednem swem okiem, podczas gdy na drugiem, ślepem i zbielałem, powieka o siwej rzęsie podnosiła się i opadała zwolna, jakgdyby z wyrzutem...

— Słysz, Wicek — mawiał Felek. — Co ta szkapa takiego ma w tem ślepiu, co tak świdruje? A tobym ci wolał, żeby mnie ojciec paskiem przemierzył, niż kiedy ona

tak smutno spojrzy. Do samego ci hunoru człowiekowi sięga...

Szkapę czyściliśmy codzień. Ale nigdy nieobeszło się przy tem bez bijatyki o szczotkę i zgrzebło. Cośmy jej wtedy sierści nadarli! Cośmy naplątali grzywy! Stała jednak szkapa cierpliwie, zmrużywszy zdrowe oko i tylko od czasu do czasu machała wypełzłym ogonem, jakby się oganiała od bąków.

Zaraz po Wielkiejnocy zaczynało się pławienie szkapy. Jeszcze woda zimna była jak lód, a my już zawijamy porcięta i dalej do rzeki. Jaki to był triumfalny pochód! Chłopaki z całej ulicy chcieli z nami lecieć, aleśmy ich odpędzali biczem.

Dopieroż szkapę wodą chlustać, dopieroż jej pęciny i boki wycierać, dopieroż jej wygwizdywać, jakeśmy to u ojca słyszeli! Największa bieda była, kiedy szkapa dla uwolnienia się od nas i naszej opieki parę kroków dalej w wodę poszła.

— Utopi się! Utopi! — wrzeszczał Piotruś i aż siniał i przysiadał na ziemię, brzucha się własnego trzymając. Brnęliśmy tedy po nią i za ogon ku brzegowi ciągnęli, poczem zziajani, zmęczeni, wracaliśmy do domu, szkapa naprzód, my za nią mokrzy, ociekający wodą jak topielcy.

I tę to naszą kochaną szkapę ojciec by sprzedać miał?

Było to w naszem rozumieniu coś, jakby skończenie świata.

Jużeśmy do izby wrócili, bo zimnisko ze dworu gnało, a ojciec precz jeszcze perswadował matce:

— Tera ci się za nią siaki taki grosz weźmie, a jak przychudnie, boć już i sieczki ujmuję, to kto za nią co da? Cóż, Anulka, Jak se myślisz, serce?

Matka westchnęła ciężko.

— I cóż ja se mam myśleć, mój Filipie?... Myślę, że nas Bóg ciężko dotknął tą chorobą. Myślę, żem ci się kamieniem u szyi stała i do dna cię ciągnę... O tych sierotach myślę...

Zakryła oczy ręką i zaszlochała głośno. Ojciec całował ją po głowie.

— Anulka,serce, Anulka!... — powtarzał, aż nagle sam ryknął płaczem.

— Siarczyste!... — mruknął za mną Felek, wycierając oczy kułakiem.

Matka miała się coraz gorzej. Jej ciężki, chrypiący kaszel z twardego snu dziecięcego po nocach nas budził. Ojciec chodził po izbie zgarbiony, żółty, jakby mu z dziesięć lat życia przybyło, a rękę na nas twardą miał i o byle co do czubów sięgał, aleśmy się wiele nie nastręczali, dużą część dnia spędzając w stajence. Od kiedy zagroziła nam możność utracenia szkapy, stała się nam podwójnie drogą. Rozrzewniało nas teraz każde jej parsknięcie, każde ruszenie ogonem.

Siadaliśmy z obu jej stron na żłobie i godzinami przyglądaliśmy się każdemu jej ruchowi. Ziemniaki nawet, które już teraz codzień dostawaliśmy bez okrasy, tuśmy przynosili, aby razem ze szkapą obiad jeść, chociaż dzielić się z nią nie było czem, bo nam samym jakoś coraz szczuplej się dostawało.

Weselej też było w stajence niż w izbie, bo słońce w same zęby świeciło nam przez drzwi, a do suteryny do naszego kąta nie zajrzało nigdy.

* * *

— Ależ tu zimno u was — mówił pan doktór, zachodząc do matki. — I wilgoć straszna! Powinniście się postarać o suchą i ciepłą izbę dla żony — dodawał, gdy go ojciec wyprowadzał do sieni. — Żona wasza nie może w takiej izbie leżeć. Powietrze fatalne, żadnej wentylacji, żadnego światła. Powinniście przecie dbać o kobietę, kiedy chora. Z nią coraz gorzej, i musi być gorzej w takich warunkach...

Ojciec gryzł wąsy i milczał ze spuszczoną głową.

— Mleka by jej też trzeba świeżego, mięsa, wina kieliszek czasem... Tu lekarstwa nic nie pomogą, tu djetę trzeba posilną prowadzić...

Poszedł już i na drugą ulicę skręcił, a ojciec precz jeszcze w sieni stał w ziemię patrzył i wąsy gryzł.

Aż nagle się poruszywszy, koszulę na piersiach szarpnął, woreczek ze szkaplerzem rozerwał i, dobywszy z niego srebrny pieniądz z Matką Boską, mnie po węgle i po mleko posłał, przykazując, żebym nie powiadał matce, jak i skąd.

Nazajutrz w południe wszedł ojciec nagle do stajenki, a za nim pan Łukasz Smolik, chrzestny Piotrusia naszego, dorożkarz z Pragi. Pan Łukasz, próg przestąpiwszy, bat swój w kącie postawił, ogromny, kościsty nos w połę kapoty granatowej utarł i, wyciągnąwszy długą szyję, tabakę zwolna zażywał. Człowiek to był już stary, wysoki i dobrze zgarbiony; oczki miał małe, czarne, świdrowate, brwi krzaczaste i chudy, zarastający od spodu podbródek. Pod jego kościstym nosem sterczały żółte, saperskie wąsy, któremi, biorąc tabakę, jak królik poruszał.

Kiedyśmy się przypatrywali panu Łukaszowi, ojciec, jakby nas nie widząc, do żłobu prosto podszedł, szkapę odwiązał i po zadzie dłonią ją uderzył.

— A no, stara! — zawołał, obracając ją łbem do światła. Szkapa zmrużyła zdrowe oko, a ślepem, osłupiałem, szeroko rozwartem zdawała się patrzeć gdzieć daleko.

Pan Łukasz szczyptę tabaki u nosa trzymając, zaczął się słodko uśmiechać, a przekrzywiwszy głowę, patrzył na szkapę to z lewej, to z prawej strony.

— He!... He!... He!... A co to kumeczek przedawać chcesz? Skórę czy kości?

Spojrzał ojciec posępnie z pod oka i zaraz mu się wąsy podniosły, ale przełknął tylko ślinę i rzekł:

— Skóra i kości zarobią u was, kumotrze, na mięso. Byle temu pochlebić trochę owsem, to będzie jak kluska okrągłe.

— A bodaj też kumeńka! — rozśmiał się znów pan Łukasz. — Pochlebić! Pochlebić! Ale to owies drogi tera, kumeńku. Pięć złotych ćwiartka, kumeńku. I siano też drogie...

— A drogie — rzekł obojętnie ojciec, ale widziałem, że mu się oczy zapaliły.

— Nastąp! Noga! Ano!... — zawołał, uderzając szkapę, która przystąpiła wlokące się za nią postronki.

— He!... He!... He!... — rozśmiał się słodziej jeszcze pan Łukasz. — I szpacik widzę jest...

— A jest! — odparł ojciec krótko suchym głosem.

— U-u-u... szpat... psia... — mówił pan Łukasz. — U-u-u... szpat... — i ustami cmokać począł. — Nie wyjdzie już ona z niego, nie! — dodał, wciągając niuch tabaki i kiwając głową.

Ojcu podnosiły się wąsy coraz wyżej, aż je ręką wdół szarpnął.

— Ja jej tam kumotrowi nie wpieram! — rzekł, patrząc w ziemię. — Dla mnie ona i ze szpatem dobra! Żeby nie choroba kobiety,

tobym kobyły pewno nie puszczał między ludzi! Toć żywicielka nasza.

— A co ona! Ślepa? — zapytał nagle pan Łukasz i rozsunąwszy palcami zmartwiałą powiekę szkapy, zbliska jej w oczy zajrzał.

— A ślepa — odprzekł napodziw spokojnym głosem ojciec, choć znów mu się wąsy zjeżyły. — Na lewe oko ślepa. Takem ją kupił i taka jest. U mnie ta nie oślepła.

Pan Łukasz otrząsnął palce i tabakierkę schował.

— Jak ona ślepa jest — rzekł — to znów inszy interes, insze gadanie...

Po twarzy ojca przeleciał nagły ogień.

— A cóż tam za insze gadanie ma być? — rzekł porywczo. — Ślepa to ślepa. Przecie na książce kumoter uczyć jej nie da, do szkoły nie pośle... — mówił zwolna, ale głos mu kipiał.

Nagle, jakby nas dopiero co zobaczył, chwycił Felka za kark i pchnąwszy go we drzwi, krzyknął:

— A nie pójdziecie wy mi stąd, psianogi!

Dmuchnęliśmy jak wiatr ze stajenki i jak wiatr do izby wpadli.

W parę pacierzy potem wszedł ojciec do izby wraz z panem Łukaszem, jako że nie godzi się o bydlę targu dobijać inaczej, tylko w izbie, pod dachem; cygany tylko nie pilnują tego. Zaraz też zaczęli sobie rękę dawać, pan Łukasz przez połę swej dorożkarskiej kapoty, ojciec przez spencer, co mu w strzępach na grzbiecie wisiał.

— Bóg świadkiem — mówił ojciec — żebym obcemu, a jeszcze Żydowi, za żadne pieniądze tej kobyły nie oddał. Tak, wiem przynajmniej że w dobre ręce idzie.

— He... he... he... — śmiał się pan Łukasz — po kumoterstwie! Po kumoterstwie! Krzywdy jej nie zrobię... A jakby, nie daj Boże — tu głową wskazał na matkę, która jak martwa z zamkniętemi oczami leżała — no, toć człowiek nie kamień, toć po przyjacielstwie darmo wywiozę...

Nie odrzekł ojciec nic, tylko oczy spuścił i wąsów szarpnął, a matka obudziła się z jękiem. Może nie spała nawet...

Kiedy pan Łukasz, zgiąwszy się we dwoje, z izby za ojcem wychodził, rzuciliśmy się w te pędy, żeby do szkapy lecieć.

Ale ojciec odwrócił się nagle.

— Ani mi nosem za próg! — krzyknął ostro. — W izbie siedzieć!...

I trzasnął drzwiami.

Byliśmy jak ogłuszeni. Patrzyłem na Felka, a on patrzy na mnie; oczy robiły mu się coraz większe, coraz przeźroczystsze, usta i broda jak w febrze latały, aż, schwyciwszy się obu garściami za włosy — Siarczyste! — krzyknął i zaniósł się wielkim płaczem.

Zaczęły się teraz dobre czasy. W izbie zrobiło się ciepło, grzyby po ścianach róść przestały, od sklepikarki pożyczyliśmy drugiego saganka na kaszę. Tylko że bez szkapy okrutnie się nam widziało smutno, a co który na stajenkę spojrzał, to mu świeczki w oczach stawały... A i matka jakoś nie miała poprawy.

— Już ja będę umierać, Filipie...— mówiła takim cichutkim głosem, jak ten wiatr letni. — Już ty się nie kosztuj na mnie...

I umarła w nocy tak cicho, że nikt nie słyszał nawet. Piotruś przy niej tej nocy spał, a i on nie słyszał. Wyszła z niej duszyczka jak para; ani się tyle nie załomotało, co wróbel, kiedy odlata.

Więc kiedy ojciec, oderwawszy głowę od jej wyschłych piersi, krzyknął, że matka nie żyje, stanęliśmy przed łóżkiem w wielkiem zadziwieniu, patrząc na posiniałe usta, to na Piotrusia, który przy jej zimnych, sztywnie wyprostowanych nogach spał ciepły, rumiany, perlistym potem na czołku okryty... Taki ci pędrak, że go śmierć łokciem trąciła, a on nic.

Zaraz się w naszej izbie tumult wielki zrobił, sąsiadek się naschodziło, zaczęły radzić, głowami kiwać, wzdychać, a że nam ojciec tego dnia kaszy nie gotował, a Piotruś jeść płakał, więc go sklepikarka wzięła do siebie, a i nam po bułce dała.

— A to ci baba skruszała — szepnął Felek, poczem ją zaraz w rękę pocałował i bosemi nogami szastnął się w zamaszystym ukłonie.

Cały dzień było mi tak, jakby mi kto do ucha szeptał: "Niema już matki!... Umarła już matka..." To zaraz wycierałem pięściami oczy, bo mi się okrutnie płakać chciało.

Mimo to jednak bawiliśmy się tego dnia doskonale, bo taka ciżba u nas była, jak na Ordynackiem. Jak zapamiętam, nigdym nie widział tyle ludzi w naszej suterynie; co kto przejdzie koło nas, to po głowach głaszcze, to się lituje, to pociąga nosem. Wczoraj jeszcze w całej kamienicy nikt na nas inaczej nie wołał, tylko łobuzy, albo urwipołcie, a dziś, jakby im kto gęby miodem posmarował: "Sieroty! Sieroteńki! Niebożątka!"

A Felek tylko się nadstawia, a oczami mruga, a co kto przejdzie, to mnie poszturchuje.

Ojciec tymczasem jak nieprzytomny po izbie chodzi, co weźmie to położy, choć tam w tej pustce nie było wielce czego się jąć.

Żeby nie to ludzkie litowanie, tobyśmy i nie czuli tak bardzo, że matka umarła. Z pół roku już się nie podnosiła w tej chorobie, a w ostatnich czasach taksamo cichutko na pościeli leżała, jak i teraz. Zupełnie jak dawniej leżała, tylko że się tak świece nie paliły przy niej...

Od świec tych padała na nią żółtość przeźroczysta, która mnie straszyła; uczułem też, że zimne miała ręce, gdy nam je ojciec pocałować kazał... Ojcu jednak ciepło przy niej być musiało, bo, nabiegawszy się cały dzień, kiedy się ludzie rozeszli, na zydlu u łóżka siadł, ręką głowę podparł i patrzył: to na krzyż czarny, nad łóżkiem matki wiszący, to na głębokie cienie jej zamkniętych oczu. Usnąłem, a on jeszcze siedział. Ale w nocy obudziło mnie ciche szlochanie.

To Felek, który przez cały dzień szastał się i nastawiał i z ludzi wydziwiał, siedział teraz na sienniku, w otwartej na piersiach koszulinie, rękami sterczące kolana objął, patrzył w pustą izbę i płakał...

Trzeciego dnia, spaliśmy jeszcze pod maglem, w sionce, gdzie nam ojciec siennik zaciągnąć kazał, kiedy we śnie usłyszałem jakgdyby znajome rżenie.

Zerwałem się; serce mi biło, jak młotem.

Rżenie odezwało się znowu.

— Felek! Szkapa rży! — krzyknąłem, chwyciwszy go za ramię.

Szarpnął się i na drugi bok przewrócił, ale gdy znów słyszeć się dało, porwał się i on także, na sienniku siadł i, szeroko otworzywszy oczy, słuchał...

Przeciągłe, ciche rżenie odezwało się jeszcze.

— Szkapa! — wrzasnął Felek i, porwawszy na siebie katankę, ku schodom suteryny się rzucił.

Zacząłem się na gwałt odziewać,

a tak mi ręce latały, żem do żadnego guzika nie mógł trafić.

— Wstawaj, Piotruś! — wołałem — wstawaj! Szkapa przyszła!

I trząsłem nim, jak wiązką słomy, bo się niełatwo budził.

Istotnie, przed bramą, zaprzężona do prostego, zasłanego kilimkiem woza, stała nasza szkapa. U karku jej wisiał już Felek, objąwszy go oburącz, o ile dostać mógł. Przy wozie stał pan Łukasz Smolik i częstował stróża tabaką.

Podnieśliśmy zaraz wrzask nie do opisania.

— Szkapa nasza, szkapa! Nasza droga, kochana, stara szkapa! —wołaliśmy naprzemian, głaszcząc ją, klepiąc, tuląc się do niej, gdzie kto mógł. Piotruś gwałtem gramolić się na nią chciał.

— Stęskniła się bez nas szkapa, co? Przyszła do nas szkapa?... Przyszła?... Poczciwa, dobra, stara szkapa nasza...

I nuż zaglądać jej w zęby, nuż jej obmacywać nogi, nuż jej grzywę palcami czesać. Ani nam to w myśli nie postało, po co ta szkapa do nas przyszła, na co ten wóz czekał...

Ale i ona poznała nas także, i ona cieszyła się nami: przednią nogą, którą szpat znacznie pogrubiał, uderzała po bruku wesoło, ochoczo, jakoby krzesząc dla nas iskierki radości; łeb jej to podnosił się, to schylał, nozdrza parskały raźno; to znów na głosy nasze i śmiechy strzygła uszami, wyciągała szyję, a donośne jej rżenie przenikało nas niewymowną rozkoszą.

Rżenie to zlewało się w jedno z trynitarskim dzwonem, który w tej chwili posępnie bić zaczął. Jednocześnie rozległ się z suteryny głuchy odgłos młotka. Aniśmy się spostrzegli, kiedy na wozie ustawiono trumnę.

— Wio! — zawołał pan Łukasz. Szkapa ruszyła, a my przy niej kłusem.

Na rogu ulicy obejrzałem się: gromadka przechodniów i sąsiadek już się rozproszyła, a za wozem, na którym pan Łukasz siedząc, powoził, szedł ojciec sam, z czapką w ręku i zwieszoną głową.

Co do nas, biegliśmy tuż przy szkapie ochoczo, ani na chwilę nie przerywając rozmów i pieszczot. Poranek był majowy, promienne słońce zalewało blaskiem ulice, most, Wisłę. Z każdego gzemsu ćwierkały wróble. Głośniej wszakże niż wróble, szczebiotała nasza gromadka.

Ludzie oglądali się za nami. Dziwnym się wydawał ten pogrzeb, z trójką bawiących się dzieci na przedzie. Zwłaszcza na moście, gdzie wolniej w tłoku trzeba było jechać, robił nasz orszak pogrzebowy szczególne wrażenie.

Przechodnie stawali i wzruszali ramionami. Parę razy nawet krzyknął pan Łukasz, żeby za wozem iść, aleśmy ani na krok szkapy odstąpić nie chcieli.

Słońce przygrzewało coraz silniej, droga stała się piaszczysta, żmudna; szkapa ciągnęła swój ciężar z pewnem wysileniem: zdrowe jej oko mrużyło się od blasku, na ślepem, osłupiałem, siadały rozdrażnione gorącem muchy. Natychmiast ułamaliśmy kilka wierzbowych gałązek i zaczęli ją skwapliwie oganiać. Sami nie czuliśmy zmęczenia. Boso, w lichych szarawarkach i kurtkach łatanych, dreptaliśmy obok szkapy, a krzyże cmentarne wciąż rosły a rosły przed nami...

Że trumny nie miał kto nieść, puszczono nas z wozem za bramę. Ale tu czekać trzeba było, gdyż grabarz dołka nie skończył kopać i dopiero teraz pośpiesznie wyrzucać zaczął z niego żółty piasek. Natychmiast skoczyliśmy rwać dla szkapy szczaw zajęczy i soczystą babkę, której pełno było na drożynie. Tymczasem pan Łukasz z ojcem zdjęli z woza trumnę i postawili nad brzegiem dołka. Nie musiała być ciężka, bo kumoter choć stary, prosto pod nią stał, a jednak ojca tak zgięła do ziemi, jak ten krzyż padającego Chrystusa, com Go na stacjach widział.

Zaraz też brzęknął cienkim głosem dzwonek, a w chwilę potem przyszedł ksiądz w komeżce i kościelny z krzyżem i kropidłem. Spojrzał na nas ojciec surowo, więc my poklękali z Felkiem, trzymając w garściach pęki świeżej trawy. Pan Łukasz i ojciec poklękali także, grabarz kończył robotę. Raz, dwa, trzy, odprawił ksiądz swoją łacińską modlitwę, wspomniał imię i nazwisko matki, "Ojcze nasz" mówić kazał, sam zacząwszy głośno.

Podniósł ojciec twarz i obie ręce w niebo; z oczu jego padały łzy ciężkie, grube. Felek, tuż przy mnie klęcząc, trzepał pacierz z wzrokiem utkwionym w szkapę.

Zrobiła się cisza taka, że słychać było leciuchne szmery wierzby i cykanie świerszcza.

— O, je! je!... — rozległ się nagle wśród tej ciszy cienki głos Piotrusia, który pełne rączyny trawy i wiosennego kwiecia szkapie przed pyskiem trzymał, rozsypując bratki polne i białe stokrocie. Szkapa delikatnie z rąk dziecka brała wargami trawę i żuła ją, melancholicznie zwróciwszy ślepe, zbielałe oko w słońce. Spojrzał ksiądz, zmarszczył się ojciec, a ponieważ najbliżej klęczałem mu pod ręką, silnie mnie za ucho pociągnął.

Wnet Felek zaczął się rozgłośnie pięścią walić, na znak, jako już pacierz i wszystko, co do niego należało, dokumentnie skończył, zaczem, zerknąwszy na ojca, chyłkiem do szkapy pomknął a i na mnie kiwnął. Ksiądz też, trumnę pokropiwszy, z czego i nam się coś niecoś poświęcenia dostało, z kościelnym odszedł.

Dołek jeszcze nie był wybrany. Grabarz na glinę natrafił i potrochu ją, jak masła na chleb, na łopatę brał.

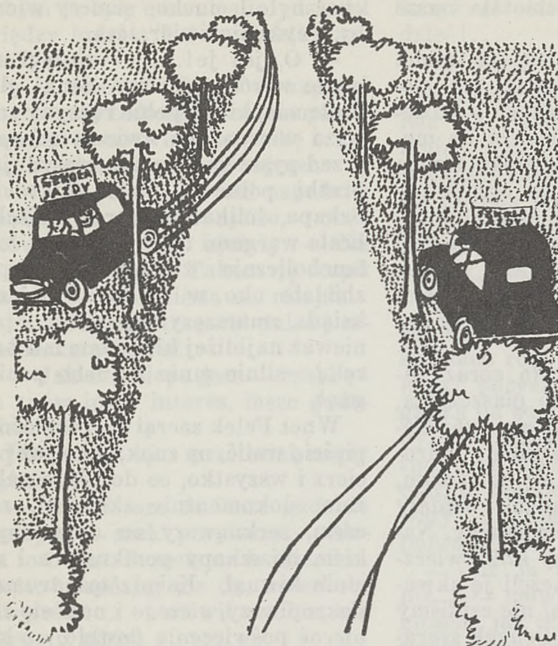
Ojciec modlił się ciągle. Wszakże panu Łukaszowi pilno widać było, bo raz wraz tabakę niuchał i na wóz pozierał, a w głowę się drapał, aż się ścisnęli, potrzęśli raz i drugi z wielkiem przyjacielstwem, poczem kumoter do szkapy poszedł.

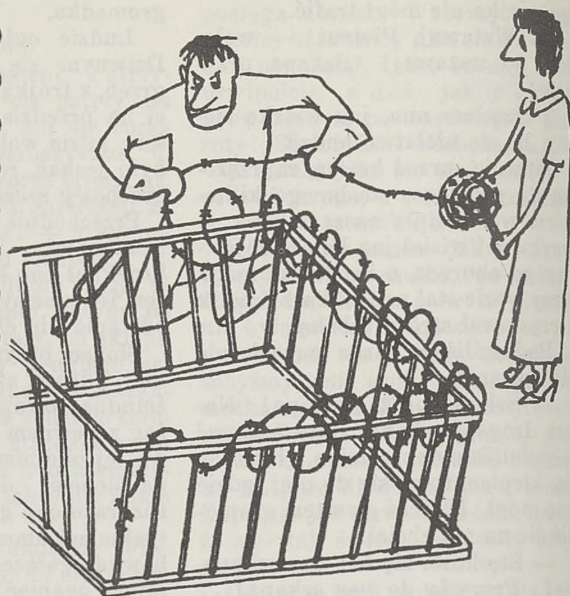
Jużeśmy ją wystroili, jakby pannę młodą. Świeże, rozkwitłe gałęzie akacji sterczały jej za uszami, za uprzężą, za chomontem, gdzie tylko co wetknąć się dało. Pęk żółtych mleczów tkwił nad czołem pod skrzyżowanym rzemieniem. Z grzywy opadały ostróżki i zajęcze maczki. Resztę zieleni trzymaliśmy w rękach, aby szkapę od bąków opędzać.

Zaczął się teraz prawdziwy triumfalny pochód.

Najpierw kroczył Piotruś, nie patrzący drogi, nadeptując małe, świeże, z żółtego piasku sypane grobki dziecięce, ile razy się na wóz obejrzał. Za Piotrusiem — szkapa wyrzucała z cichem parskaniem łbem, obciążonym kwieciem i zielenią, ja zaś i Felek, jak giermkowie po lewej i prawej stronie...

Wóz toczył się zwolna, to podnosząc się, to opadając na zapadłych grobach, a za nami z głuchym, coraz głuchszym łoskotem padała ziemia na matczyną trumnę...





Kraszewski jest wielkim i niezmiernie zasłużonym pisarzem polskim. Pracę całego swego życia poświęcił on dla dobra społeczeństwa polskiego, na które wywarł ogromny wpływ. Powieściami swemi przyczynił się do rozbudzenia ruchu umysłowego wśród ogółu, który przedtem miał do czytania bardzo niewiele dzieł w literaturze własnej. Przez poruszanie w powieściach spraw, żywo zajmujących wszystkich, Kraszewski zmuszał do zastanawiania się nad niemi, a wypowiadając w tych sprawach myśli zacne i rozumne, pobudzał do pracy i nauki, krzepiąc charaktery, kształcąc umysły i serca.

Kraszewski nie był jedynie powieściopisarzem; był on jednocześnie poetą, komedjopisarzem, dramaturgiem, historykiem, krytykiem, archeologiem i publicystą, pozostawiając po sobie obfity plon pracy w wymienionych działach piśmiennictwa. Najwięcej napisał powieści. Wiele z nich pisał pod pseudonimem Bolesławita.

Zamieszczone niżej urywki wyjęte są z powieści "Tułacze". W powieści tej autor maluje losy kilku Polaków, których wypadki polityczne, rozgrywające się wówczas w kraju, zmusiły do tułaczki po szerokim świecie. W tułaczce tej zawędrowali oni do dalekiej Ameryki, walczącej wówczas o swą niepodległość, i wzięli udział w tej walce. Byli to: Kazimierz Pułaski, brygadjer, dowódca jazdy w armji bohaterskiego Washingtona; adjutant Pułaskiego Karol Pluta; przyjaciel i towarzysz obydwóch jeszcze z czasów Konfederacji Barskiej, major Maciej Rogowski, — oraz największy z Polaków tych czasów, późniejszy generał wojsk amerykańskich, naczelnik powstania 1794-ego roku — Tadeusz Kościuszko.

WIGILJA ŻOŁNIERZY—TUŁACZY

Urywki z powieści "Tułacze" J. I. Kraszewskiego.

BYŁO to w przede dniu wigilji Bożego Narodzenia 1777-ego roku.

Pułaski ze swoim oddziałem stał naówczas w stolicy New Jersey, w Trenton, małam miasteczku u ujścia Sapping do Delawary, w jednej z najpiękniejszych okolic tej części kraju.

Nadchodzące dnie świąteczne, u Anglików także obchodzone z wielką uroczystością, Karolowi poddały myśl sprawienia polskiej wilji Pułaskiemu. Nosił się z nią długo, dumał, rozpytywał, wreszcie uznawszy możność, postanowił tę niespodziankę doprowadzić do skutku. Może i jemu samemu przypomnienie to dla stęsknionego było potrzebne serca.

Taił się w początkach z tem, jak je zwał, dzieciń都stwem, ale naostatek musiał się zwierzyć Maciejowi, bo bez jego pomocy wykonać się to nie dawało.

— Panie Macieju — rzekł do niego, wszedłszy — mam do was prośbę; gdybyście mi trochę pomóc chcieli, zrobilibyśmy coś, spodziewam się, miłego generałowi.

— Z duszy, serca, wiesz wszak, że ja dla niego dałbym się w kawałki posiekać, — tylko mów.

— Jutro wigilja Bożego Narodzenia.

— Prawda! wigilja! mój Boże, u nas to wielkie święto, ale jak się tu do niej przybrać?

— Ja wszystko urządzę, mam już zamówione i ryby morskie z Delawary, jaja żółwie... przyprawy, murzyn nasz ugotuje, ja mu rozpowiem, o ile potrafię, o szafranie i innych sosach. Będzie to piąte przez dziesiąte, ale zjemy na sianie, po polsku i przy gwiazdach, kraj się nam przypomni.

— A! niech ci Bóg płaci! myśl złota... Ale skądże ty opłatka weźmiesz? — zawołał Rogowski, załamując ręce, — tu w Trenton ani księdza katolickiego, ani nic podobnego do opłatków niema. A bez opłatka znów, co to będzie za wilja! niema wilji bez

niego, to darmo! Opłatek się piecze...

— Wiem nawet, jak się piecze, — rzekł Karol, — bom nieraz widział u nas, jak kapelan piekł opłatki, ale przyboru nie mam. To bieda w istocie, bo opłatka nie wiem, czy dostanę.

— A cóż po rybie z szafranem, jeśli nie będzie opłatka! — dodał Rogowski.

Napróżno łamali sobie głowy.

Zgodzono się wszakże, bądźcobądź, zastawić wieczerzę z ryb na sianie, a w kącie snop polski...

— Snop! miły Boże... skąd tu nawet było wziąć w Ameryce ów snop polskiego zboża. Gdzie te, co rosną na naszych łanach: żyto, pszenica, jęczmień, owies, wszystko aż do lnu i tatarki, bo w snopie na wilję nic nie powinno braknąć.

A im tego wszystkiego potrzeba było, by polską macierz przypomniało jej dzieciom.

Karol, do spisku wciągnąwszy Rogowskiego, latał jak opętany, posyłając starego murzyna, gniewając się na jego pomyłki, ale na włos nie chcąc ustąpić ze swego planu.

Rogowski nie brał nic na siebie, oprócz, że miał utrzymać w niewiadomości do ostatniej godziny Pułaskiego i odciągać go, gdyby przedwcześnie do wielkiej izby na dole chciał zaglądać.

Karol zresztą wszystko wziął na swoje barki. Zdawało mu się, że to przypomnienie ziemi rodzinnej, religijnego obrzędu, dnia, w którym w Polsce z jej zboża upieczonym opłatkiem cały lud się łamie, wleje pociechę w smutną duszę wodza.

Dom, w którym stali razem, był dosyć obszerny, ale prosty. Na piętrze mieścił się Pułaski we dwóch pokojach, z których jeden był sypialnią, a drugi służył do przyjęcia i pracy. Jadalny dzielił je od dwóch izb, w których mieszkali po żołniersku, prawie bez sprzętów, dwaj towarzysze nieodstępni, Karol i Rogowski.

Obszerna izba na dole służyła na skład rzeczy, pomieszczenie przybywających posłańców i różne nieprzewidziane wypadki. Raz nawet była więzieniem dla wziętych w niewolę Anglików, dopóki ich nie wymieniono.

W tej izbie oczyszczonej, wyświeżonej naprędce, przybranej, Karol urządzić miał swą tajemniczą wieczerzę. Murzyn stary, osiwiały, słynny ze swej sztuki kucharskiej równie przynajmniej, jak ze swej słabości do rumu, — służył za jedynego wykonawcę. Obietnica rumu i sowitej nagrody czyniła go nader usłużnym i uprzejmym. Młody gospodarz pragnął, aby żadnego przyboru, który polską wilję odznacza, nie brakło.

Jedną z najnieubłagańszych trudności był niedostatek, jaki naówczas cierpieli. Zapasy z Europy wyczerpały się i często musieli żyć o własnym koszcie. Karol, co miał, oddał towarzyszom; Pułaski, co mógł, to w pułki wkładał, a płaca nie dochodziła... Były dnie, trudno uwierzyć temu, prawie bez chleba... żyło się o miłosierdziu Bożem i cnocie rycerskiej.

Rogowski nie śmiał się spytać, skąd się wezmą pieniądze na ucztę... wiedział bowiem, że ich nie było u nikogo. Karol miał od ojca dany złoty zegarek z łańcuchem; długo oszczędzał go, wahał się, żałował... ale dla wodza ukochanego możnaż było poskąpić ofiary? Poszedł i sprzedał go po cichu... Z tego grosza miała się wilja odprawić. Szło tylko o opłatek.

Wszystkim się zdawało, że czemś zastąpić lub ominąć niedostatek opłatka jest niemożliwem. On właśnie jest znamieniem wilji, on jeden starczyłby za wszystko... on mógł być wilją całą, bez niego wieczerza na sianie tą uroczystą ucztą naszą nazwać się nie mogła.

Już Karol myślał o upieczeniu opłatka, gdy chodząc na zwiady, dowiedział się, że w niedalekiej osadzie, która była jakby przedmieściem Trenton, zwanej Lamberton, za rzeką Sapping, mieszkał ksiądz francuz, który tam w kapliczce, urządzonej w pokoju, mszę dla szczupłej liczby katolików odprawiał.

Karol siadł na koń i piorunem popędził do księdza po opłatki.

. . . .

W czasie jego nieobecności, przybył od granic Kanady Tadeusz Kościuszko.

Tak owa wilja Bożego Narodzenia stała się podwójnie dniem uroczystym... Pułaski był uszczęśliwiony z przybycia ziomka, którego nie wiedział, jak ugaszczać i przyjmować.

Został mu ten stary, szlachetny nałóg nasz polski, co z sercem dom i dłoń otwiera, coby krwi utoczył gościowi, byle go jak króla uszanować i dowieść, że mu się nic nie skąpi. Ale przy niedostatku żołnierskim jak tu było okazać tę tradycyjną serdeczność?

Zasępił się biedny Pułaski.

Całą resztę dnia tego spędzili jakby w gorączce, mówiąc o kraju, o dziejach konfederacji, o starych i nowych domowych sprawach.

— Słuchaj, mój Rogowski, — rzekł Kazimierz wieczorem, odwiódłszy go na stronę, — nasz święty ojcowski zwyczaj gościa pobożnie przyjmować... a jeszcze taki gość! nasz! Polak! Musimy, bracie, wystąpić... ale jak? Sprzedaj co chcesz, zastaw, pożycz... a trzeba, żeby widział, żeśmy mu radzi.

Rogowski tylko co się z projektowaną wilją nie wygadał, ale sobie języka zakąsił.

— Panie generale, — rzekł, — proszę być spokojnym, ja z Karolem obmyślimy środki a jakoś to będzie. Tylko co się tyczy jutra... to post i wilja...

— Wilja! a prawda — rzekł smutnie Pułaski.

— Więc jutro... to się jakoś przekołacze, a na Boże Narodzenie ja za lusztyk ręczę... — dodał Rogowski. — Zastawim się, a postawim się po szlachecku!

Cała noc niemal zeszła na gawędzie przerywanej i wiązanej na nowo. Rozchodzono się i, pożegnawszy, wracano znów. Zastawiono wieczerzę, ale mało kto ją tknął, poiło i karmiło żywe słowo. Mówili o Polsce, nagadać się nie mogli. Każdy z sakwy podróżnych pamiątek dobywał, co miał najdroższego, wszystko swoje tak mu się wydawało zajmującem. Karol, który powrócił rychło, więcej się przysłuchiwał niż mówił.

. . . .

Późno w noc, gdy już nareszcie szli na spoczynek, Rogowski pochwycić mógł Karola.

— Bracie dobrodzieju! — zawołał, — teraz dopiero tryumf cię czeka, gdy wystąpisz z wilją! Generał sam mnie prosił i zaklinał, ażeby skąd wziąć, to wziąć, a przyjęcie gościowi sprawić świetne... Ale powiedzże, skąd ty grosza dostałeś?

Karol się zarumienił.

— No, miałem tam coś — rzekł, — to moja rzecz.. dosyć, że nie zabraknie, tylko czyście nie wyśpiewali już o wilji?

— Uchowaj Boże, nic a nic...

— No, to dobrze.

— Ale czy będzie dobrze?

— O ile z murzynem, zamiast mazura, polską wilję można zgotować, — odpowiedział Karol, ruszając ramionami. — Co za szkoda, że człowiek nic się nie domyśla, co go czeka! Gdybym był w domu lepiej się kuchni przypatrywał i przeczytał sekreta z książki matczynej!

— No, jadło tam, jak jadło! — zawołał Rogowski, — byle przez gardło przelazło, ale cóż z opłatkiem?

— W tem, jak wiecie, była trudność największa, — po cichu rzekł Karol. — Wiecie, że jeździłem do Lamberton, szukając księdza Francuza... Ledwiem się o niego dopytał, ale oznajmiwszy mu się jako Polak i katolik zostałem dobrze przyjęty. Po krótkim wstępie powiedziałem mu, o co go prosić przybyłem; ale mnie nie zrozumiał wcale, obruszył się strasznie i począł łajać, sądząc, że niepoświęcanej hostji do jakiegoś zabobonnego żądam obrządku. Ledwiem mu zdołał wytłumaczyć, że to u nas jest przez duchownych uznanym zabytkiem prastarych czasów. Zrozumiał mnie nie rychło, gdym już prawie łzy miał na oczach, ulitował się w ostatku i tknięty moją wymową, skłonił się dać mi parę opłatków! A! z jakąż pochwyciłem je radością!

— Masz tedy szczęśliwcze opłatki! — krzyknął Rogowski w uniesieniu. — A! będziemy się więc po polsku łamali opłatkiem... Mój Boże! komuż to łez nie wyciśnie!... Kto nie czuje nic... ten... — dodał, bijąc pięścią o stół, — ten... psa nie wart! A teraz — sza!

— Majorze... na Boga! tajemnica!

— Zmilczę, dochowam jej! ale zlituj się wystąp jak należy. Jeżeli pieniędzy zabraknie... mam jeszcze łańcuszek złoty... zastawimy go lub sprzedamy.

— Niepotrzeba... — przerwał Karol, — wy tylko skłońcie generała i gościa, żeby z obiadem, wedle zwyczaju narodowego i religijnego do gwiazd poczekali...

— To moja rzecz i nie będzie trudno, — odparł Rogowski.

. . . .

Rogowski wypełnił zlecenie, namówił z łatwością Pułaskiego i Kościuszkę, aby się z obiadem do gwiazd wstrzymali i zmienili go obyczajem polskim na wieczerzę. Obaj poklasnęli tej myśli.

Dzień zszedł szybko, poszli oglądać okolicę nad brzegi Delawary, potem wrócili, nic nie zobaczywszy, bo nad nią stojąc, mówili o Wiśle i Bugu. Nastręczała się też sposobność mówienia obszernego i o Ameryce; Kościuszko przybywał od armji północnej; rozpowiadał o niej, o generale Gates, o Washingtonie, mówiono o Francji, wyglądając od niej posiłków.

Nareszcie przyszedł wieczór. Na wypogodzonem niebie pokazał się krzyż południa; coraz ciemniejszy szafir okrywać się począł tysiącem iskier, jakby na ucztę zapalonych. Karol już tylko oczekiwał na ukazanie się gwiazd, był w gotowości.

Serce mu biło, jak swawolnemu studentowi, który zamierza spłatać figla... wbiegł do ogródka, po którym się przechadzali i uśmiechając się, rzekł do Pułaskiego:

— Panie generale, wieczerza na stole!

— A! wieczerza! tak!... — podchwycił gospodarz, — żartuj zdrów! co mi za wieczerza w Ameryce! Nie polska to nasza owa wilja braterska, uczta święta, ale... co Bóg dał, chodźmy...

Ująwszy pod rękę Kościuszkę, zmierzał na górę, gdy Karol wskazał mu drzwi na dole.

— To tu, — rzekł.

— Tu?—spytał Pułaski, — cóż tu jest?

— Tak nam wypadło, — odpowiedział Karol.

Wtem murzyn, kryjąc się za niemi, drzwi otworzył.

Salka przedstawiała widok niezwyczajny i niespodziewany. Naga izba ubrała się świątecznie, ściany jej zawieszone były zielonemi gałęźmi cedrów, jodły i cisów, stół świecił rzęsisto, okryty białym obrusm, pod którym siana domyślać się było można. W kącie stał ogromny snop zboża, jeśli nie gatunkiem jego, to formą przypominający nasze godło pracy rolniczej.

Stary murzyn w czerwonej koszuli stał u drzwi, pokazując resztę białych zębów. Na talerzach świeciła migdałowa polewka z ryżem i rodzenkami, o którą pono było najłatwiej.

Pułaski, jak olśniony, stanął w progu i zobaczył naprzód na talerzu opłatki; odwrócił się do Karola i ze łzami prawie porwał go za szyję, całując...

— Poczciwy, kochany przyjacielu... — zawołał rozrzewniony, — chyba twe złote serce dokazać tego mogło.

Drżącą ręką chwycił opłatek Pułaski i podał go pierwszemu Kościuszce.

— Gdy w Polsce rozłamiesz go kiedyś z braćmi, przypomnij mnie i Trenton, — rzekł cicho.

Czy łza nie stoczyła się nań i nie poświęciła go — nie wiem.

Milczący, poważni jak kapłani, uroczyście jak w świątyni, z myślą do Boga wzniesioną, do ludzkości... łamali się tułacze chlebem życia... a myśli ich i serca biegły tam, gdzie do nich także biły piersi stęsknione rodziny, braci, przyjaciół...

Tadeusz otarł łzę.

— Dawno, — rzekł, — dawno nie kosztowałem takiej rozkoszy; to godło Chrystusa spoiło nas, jak rodzinę. Ze wszystkich polskich obrzędów i uczt to najpiękniejsza, to najuroczystsza, to najwięcej mówiąca do duszy.

— Bo też to dzień narodzenia Tego, — rzekł Pułaski, — który skruszył kajdany świata.

Łamali się opłatkiem, patrząc niedowierzająco na tę dawno niewidzianą kraju pamiątkę...

Z rozweselonem czołem zasiedli do stołu. Niestety! murzyn barszczu z uszkami robić nie umiał, zastępowała go polewka.

Inne potrawy, jeśli nie miały smaku naszych, przypominały je przynajmniej z pozoru, murzyn ów (przezwany Mandarynem), czego nie mógł dobrze wyrozumieć, w to kładł jaknajwięcej pieprzu, który w jego przekonaniu zdolnym był zastąpić wszystko i omylić podniebienie. Ryby wszakże z szafranem, po żydowsku i smażone z kapustą wybornie się udały.

Dobyto parę butelek; nie było to owe Hungaricum... Cracoviae educatum, ale stara Malaga, Xeres i wina krajowe. Po kilku kieliszkach rozmowa się ożywiła i z toru smętnego przeszła w ową wesołość polską, co nikogo nie kąsa, a każdego zabawić umie.

Dziś niema już tych gawędziarzy z profesji, którzy choćby sto razy powtarzali jedno, zawsze słuchano ich mile; co gdy weszli do izby, już się wszystkie rozchmurzały oblicza; co mieli koncept na wszelką przygodę, komplement w każdym wypadku, a w

potrzebie i toast do kielicha i ucinek gładkim wierszem na imieniny.

Pułaski nie był wesół, ale Rogowski w tem celował, a jako ex-konfederat, miał anegdot obfite zapasy. On to ożywiał towarzystwo i wziął na siebie utrzymywanie dobrego humoru. Dokazał tego, że pod koniec uczty twarze i serca się śmiały.

Mandaryn tymczasem biegał z coraz nowemi półmiskami, a zakończył deserem obfitym, rad, że nareszcie sam do jadła i obiecanego rumu dopadnie.

Biesiadnicy pozostali długo w noc przy tym stole, pito niewiele, powoli, ale mówiono dużo.

Późno już ktoś przypomniał obyczaj wilji naszej wyciągania z pod obrusa siana. Miało to podobno znaczenie, iż kto najdłuższą trawę wysunął, u tego najpiękniejszy len miał obrodzić.

— Ciągnijmy więc, — dodał, śmiejąc się Pułaski, — i będziemy sobie z tych roślin nowego świata prorokowali o żniwie.

W tem sianie z nad Delawary i Sapping były, prawdę rzekłszy, przeróżne rośliny, nie wszystkie do trawiastej rodziny należące. Każdy rękę włożył pod obrus, a co pochwycił, wyciągnął i podniósł do góry.

Pułaskiemu dostał się kwiat jakiś nieznany, zeschły już, na którego łodydze para tylko listków zieleńszych została.

Rogowski dobył kiść jakąś bardzo długą, w którą się mniejszych dużo wplątało; na końcu jej grono nasionek przypominało prozaiczną naszą hreczkę.

Karol wyciągnął łodygę zieloną, niemal świeżą, z kwiatami jeszcze niezupełnie zwiędłemi, nakształt dzwońców.

A pan Tadeusz zdziwił się, znajdując — uciętą młodą gałązkę o liściach laurowych.

Śmieli się wszyscy, niewielkie do tego przywiązując znaczenie, a pan Pułaski rzekł:

— Wam laury, panie Tadeuszu! daj Bóg, byś je zbierał! Mnie się dostało coś zeschłego, czarnego jak ja... i bez życia... taką może pamięć zostawię po sobie. Karolowi jego kwiaty obiecują, że będzie rozkwitał i dzwonił, a dalej pan Rogowski... ty masz czyste i jasne proroctwo, że jeszcze hreczkę siać będziesz na swoim zagonie.

— Ale ba! — zawołał Rogowski — co o tem, to mi się nie śni!

— Mnie też o wyprorokowanym mi końcu... zeschłą gałęzią myśleć się nie chce... przynajmniej dopóki mam szkaplerz ks. Marka na piersiach.

Karol zamyślił się nad swoją Campanullą... pobiegł sercem do Skały... tam obchodzono jej imieniny... a on nie mógł nawet cichem ją rozbudzić życzeniem...

Ale ufał, wierzył, że tam kiedyś powróci, że ona go tam czekać będzie, stała, wierna, niezmieniona. Niestety! Znał świat tylko ze swego poczciwego serca... w które się jeszcze zęby czasu nie wpiły...

Pili zdrowia.

A w ostatku owo polskie, owo stare... owo nasze... kochajmy się!

Bez tego symbolicznego kielicha miłości i zgody nie było nigdy w Polsce uczty żadnej.

Niech mi kto pokaże na świecie naród, któryby myśl tak świętą, tak wielką zamknął w dwu słowach, bez których nie było biesiady, nie było przyjęcia...

Coś w tem większego jest nad rozpasanie ducha, bo pragnienie świętości, harmonji, braterstwa na ziemi...

Czyśmy się kochali? Bóg osądzi, ale żeśmy kochać pragnęli, uważali za obowiązek, żeśmy na sztandarze tradycji zapisali to godło, które w sobie mieści całą naukę nową... to przecie coś znaczy... Nie czcze, nie czcze to było słowo!

Wstali wszyscy.

Jeszcze raz ścisnęły się dłonie, ucałowały usta, każdy poszedł do pościeli nie zasnąć, ale myślą polecieć ku domowi...

SAVANNAH

Napisał Mieczysław Romanowski.

Obozem hufce stanęły na błoniach
Spocząć; Pułaski spoglądał na morze,
Złote się gwiazdy migotały w toniach
I rubinowe kąpały się zorze;
Fala za falą wstawała z zwierciadła
I szła i do nóg wodzowi się kładła.
Czy wy od Polski, fale? Czy wam znany
Dniepr i zielone ponad Wisłą pola? ....
Ósmy rok zdala od ziemi kochanej
Po obcych błoniach goni go niedola,
A jeśli spocznie, jak żóraw na straży,
Za Polską wodzi oczyma—lub marzy.
Już świt.—Już wrzasły trąby ostre głosy,
Słońce wnet błysło na morze i błonia;
Pułaski szablę otarł z rannej rosy,
Przeżegnał piersi i wskoczył na konia;
Mgła się po ziemi rozścieliła ranna,
Wódz pomknął, za nim grzmiało:
"Na Savannah!"

Niegdyś mu grzmiała pieśń konfederacka,
Orły mu siwe wskazywały drogi,
Kiedy na wrogów rankiem szedł znienacka,
Wpadał na działa i siekł co do nogi.
Takiej tu pieśni nikt mu nie zanuci;
Orły czekają w Polsce—czy nie wróci?

Smutny więc jechał i do towarzysza
Mówił o swoim zgubionym szkaplerzu:
"Wkrótce, mój bracie, będzie w sercu cisza,
I drobna prochu garść po twym Kaźmierzu;
Zły znak! ... Duch czuje drogę, bracie miły!—
Jam się spodziewał w ojczyźnie mogiły.
Bez sakramentów zginę! ... Bądź Twa wola!"
Rzekł, a Savannah już mu widne z dali;
Cwałem więc z jazdą kopnął się na pola,
Kędy Anglicy szeregami stali
I usypane reduty ze szańców
Siały kartaczów gradem na powstańców.

I w porę przypadł, bo pod jego wzrokiem
Wrzała już bitwa zacięta wśród łanów.
Już szli Anglicy wyciągniętym krokiem
Z bagnetem w ręku na Amerykanów;
Wnet jedna chwila los bitwy przeważy ...
A jemu zapał zajaśniał na twarzy.

"Naprzód!" i w dwieście poskoczyli koni,
Za bohaterem lecieli na działa;
Wiatr ich zaledwie doścignął na błoni;
Szable migały w słońcu, ziemia drżała,
I przełamali Anglików dwa fronty ....
A wtem błysnęły na okopach lonty.

Zagrzmiało... "Jezus — Marja!" wódz krzyknął
I padł: — zwycięzca padł na polu chwały
I skonał śmiercią, do której przywyknął;
I leżał z szablą swą jak posąg biały,
I Bóg mu rozlał na obliczu ciszę;
Wkoło płakali: druch i towarzysze.

I usypali mu grób pod Savannah
I krzyż na grobie zatknęli brzozowy, —
Niech cię przed Boga wiedzie święta Panna,
Tak jak ty w taniec wodziłeś bojowy!
A módl się za nas, niech nam Bóg obudzi
Takiego jak ty pośród wiernych ludzi!

LEONIDAS ANDREJEW

ANIOŁEK

Przełożył A. Ludwikiewicz



OLEK nieraz już pragnął skończyć z tem wszystkiem, co składało się na jego życie: nie myć się co rano w zimnej wodzie, w której pływają cienkie tafelki lodu, nie chodzić do szkoły, nie słuchać, jak go tam łają, i nie czuć bólu w pasie i w całem ciele, gdy matka przez cały wieczór klęczeć mu każe. Miał jednak dopiero trzynaście lat i nie wiedział w jaki sposób można przestać żyć, chodził więc w dalszym ciągu do szkoły i klęczał w domu, — zdawało mu się, że to życie nie skończy się nigdy. Minie rok, znów rok i jeszcze rok, a on wciąż będzie chodził do szkoły i klęczał w domu.

A że Olek miał śmiałą i hardą duszę, nie mógł więc spokojnie znosić krzywdy i mścił się za nią. Bił więc kolegów, psocił w szkole, darł książki i przez cały dzień okłamywał nauczycieli i matkę, nie kłamał tylko przed ojcem. Gdy który z kolegów skaleczył mu w bójce nos, Olek rozdrapywał skaleczone miejsce jeszcze bardziej i ryczał, nie płakał, ale ryczał tak głośno, że wszyscy krzywili się i zatykali uczy. Dopiero, kiedy mu się sprzykrzyło ryczeć, milknął nagle, pokazywał wszystkim język i zabierał się do rysowania karykatur; rysował siebie, jak ryczy, wychowawcę klasy z zatkanemi uszami i trzęsącego się z przerażenia zwycięzcę. Cały kajet jego pełen był karykatur, a najczęściej powtarzała się taka: gruba, niska kobieta biła wałkiem od magla cienkiego jak zapałka chłopaka. Pod rysunkiem widniał napis, ułożony ogromnemi, krzywemi literami: "przeproś szczeniaku", a obok odpowiedź: "choćbyś pękła, nie przeproszę".

Przed Bożem Narodzeniem Olka wydalili ze szkoły. Gdy matka go za to wybiła, ugryzł ją w palec. Ten postępek uczynił go swobodniejszym. Nie mył się odtąd, cały dzień spędzał na zabawie z rówieśnikami, których zawsze bił, ile wlazło. Strach odczuwał tylko przed głodem, a że matka nie chciała mu wcale dawać jeść, żywił się ziemniakami, które ojciec dla niego potajemnie chował. Życie w takich warunkach wydawało mu się znośne.

W wigilję Bożego Narodzenia Olek bawił się na dworze z chłopcami; rozeszli się wreszcie wszyscy i zaskrzypiała na zardzewiałych zawiasach furtka za ostatnim z nich. Zmierzch już był i z pól, do których prowadziła mała, ślepa uliczka, nadchodziła śnieżna, szara mgła. W czarnej, małej chatce, zamykającej uliczkę, zabłysło czerwonawe, niemigotliwe światełko. Mróz tężał i Olek, przechodząc przez jasny krąg, utworzony odbiciem światła latarni, widział maleńkie, suche płatki śniegu, kołyszące się lekko w powietrzu. Czas był wracać do domu.

— Gdzie ty się włóczysz po nocy, szczeniaku? — krzyknęła matka jego, Teoktrisa, podnosząc pięść do góry; nie uderzyła go jednak. Odwinięte rękawy sukni obnażyły jej ręce, białe i tłuste, a

na płaskiej, pozbawionej brwi twarzy świeciły kropelki potu. Mijając matkę, Olek poczuł zapach wódki. Matka podrapała się w głowę brudnym palcem o krótkim szczerniałym paznokciu i, nie mając, widać, czasu na klątwy, splunęła tylko, mrucząc:

— Statyści i tyle!

Olek pociągnął pogardliwie nosem i wszedł za przepierzenie, skąd dawał się słyszeć ciężki oddech ojca jego, Iwana. Iwanowi ciągle było zimno, rozgrzewał się więc, siedząc na gorącym przypiecku i podkładając pod siebie obie ręce.

—Olek! Swiecznikowie zaprosili cię na choinkę, — szepnął. — Była tu ich kucharka.

— Łżesz? — z niedowierzaniem spytał Olek.

— Jak Boga kocham. Ta wiedźma naumyślnie nic ci nie mówi, ale kurtkę dla ciebie już przygotowała.

— Łżesz? — dziwił się coraz więcej Olek.

Bogaci państwo Swiecznikowie, którzy oddali go na swój koszt do szkoły, teraz, gdy został wydalony, zabronili mu pokazywać się im na oczy. Ale ojciec przysięgnął się raz jeszcze, — Olek zamyślił się.

— Posuń się, cóżeś się tak rozwalił, — ofuknął ojca, skacząc na krótki przypiecek. Po chwili zaś dodał:

— A do tych djabłów nie pójdę. Gotowi pomyśleć, że są nie wiem już czem. "Zepsuty chłopak". — przedrzeźniał Olek przez nos słyszane, widać, u Swiecznikowych, do niego zwrócone powiedzenie. — Sami niezepsuci, mordy krzywe!

— Oj, Olek, Olek! — Skurczył się od chłodu ojciec, — ty źle skończysz!

— A ty dobrześ skończył? — oburknął go Olek. — Milczałbyś lepiej! Baby się boi! Ech, ty!

Ojciec siedział cicho, skurczony. Przez szeroką szczelinę w przepierzeniu wpadało nikłe światło, kładąc się jasną plamą na wyniosłem jego czole, pod którem rysowały się głębokie oczodoły. Dawniej Iwan strasznie pił i wtedy żona jego bała się go i nienawidziła. Kiedy jednak zaczął pluć krwią i nie mógł już pić, ona z kolei pić zaczęła. I wówczas to powetowała sobie wszystko, co kiedykolwiek wycierpiała z winy tego chudego, wysokiego człowieka, który wypędzany był stale ze służby za krnąbrność i pijaństwo, mówił zawsze tak, że ona nic nie rozumiała, i przebywał w towarzystwie takich samych długowłosych, niespokojnych duchów, jak on sam. Miała przytem tę nad nim przewagę, że im więcej piła, tem zdrowszą się czuła, a pięści miała coraz cięższe.

Ona teraz z kolei gościła u siebie najrozmaitszych mężczyzn i kobiety, kogo tylko chciała, śpiewając z niemi swawolne piosenki. A Iwan w tym czasie siedział za przepierzeniem milczący, wstrząsany nieustannemi dreszczami, rozmyślając o strasznej niesprawiedliwości i nędzy życia. Każdemu, z kim rozmawiała, Teoktrisa powtarzała, że na całym świecie nie znalazłaby wrogów większych od jej męża i syna: obaj zarozumialcy i statyści.

— W godzinę później Teoktrisa zabrała się do Olka.

— A ja ci mówię, że pójdziesz! — wołała, uderzając przy każdem słowie w stół, na którym szklanki podskakiwały, trącając się o siebie i brzęcząc.

—A ja ci mówię, że nie pójdę!— odpowiadał z zimną krwią Olek, któremu kąciki warg drżały z chęci wyszczerzenia zębów. Za to przyzwyczajenie przezwali go w szkole wilczkiem.

— Zerżnę cię, ech, jak zerżnę! — krzyczała matka.

— Rżnij!

Teoktrisa wiedziała, że nie może bić syna, który kąsa, gdyby zaś wyrzuciła go za drzwi, włóczyłby się przez całą noc i zmarzłby prędzej, aniżeli miałby pójść do Swiecznikowych. Odwołała się przeto do powagi męża.

— Z ciebie to też ojciec! Pozwolisz mu matkę tak poniewierać!

— Idź, Olek, dlaczegoś się tak uparł? — odezwał się Iwan z przypiecka. — Może się znów tobą zaopiekują. To dobrzy ludzie.

Olek uśmiechnął się pogardliwie. Dawno już temu, zanim Olek na świat przyszedł, ojciec jego dawał lekcje u Swiecznikowych i od tego czasu uważał, że to są dobrzy ludzie. Służył wówczas w statystycznym wydziale samorządu powiatowego i wódki nie brał do ust. Przestał bywać u Swiecznikowych z chwilą, gdy ożenił się z córką swej gospodyni, która zaszła przez niego w ciążę, — wtedy to zaczął pić i stoczył się tak nisko, że znajdowano go nieraz na ulicy spitego do nieprzytomności i odwożono do cyrkułu. Mimo to Swiecznikowie nie odjęli mu swej życzliwości. Teoktrisa, nienawidząc ich, jak wszystko wogóle, co przypominało przeszłość jej męża, ceniła jednak znajomość tę i chlubiła się nią.

— Idź, Olek! Może mi co przyniesiesz z choinki, — namawiał go ojciec.

Olek rozumiał, że ojciec użył podstępu, aby tylko skłonić go do pójścia. Pogardzając ojcem za to kłamstwo, Olek poczuł jednocześnie, że bardzoby pragnął przynieść cośkolwiek temu choremu, nieszczęśliwemu człowiekowi. Odkąd on już nie miał dobrego tytoniu!

— Prędzej! — burknął na matkę. — Daj kurtkę! Guziki przyszyłaś?

II

Jeszcze nie wprowadzono dzieci do pokoju, w którym była choinka, bawiły się więc w dziecinnym pokoju. Olek z pogardliwą wyniosłością przysłuchiwał się ich naiwnym rozmowom, obmacując w kieszeni już nawpół połamane papierosy, które udało mu się ściągnąć z gabinetu pana domu. Tymczasem podszedł doń najmłodszy synek Swiecznikowych, Kola, i stanąwszy przed nim przyglądał mu się z ciekawością i zdumieniem. Nóżki Kola miał rozstawione szeroko palcami do środka, a paluszek w buzi. Wprawdzie Kola dawno już obiecał rodzicom, że nie będzie kładł palca do buzi, dotąd jednak nie mógł jakoś rozstać się z tem przyjemnem przyzwyczajeniem. Miał jasne włosy, ucięte równo nad czołem, spadające w lokach na ramiona, oczy duże, błękitne i zawsze zdziwione, słowem z powierzchowności należał do kategorji chłopców, specjalnie niecierpianych przez Olka.

— Ty jesteś brzydki chłopczyk, — powiedział Kola. — Mnie miss mówiła. A ja dobli.

— Pewnie, lepszy, — odrzekł Olek, przyglądając się krótkim, aksamitnym spodeńkom i wykładanemu kołnierzykowi małego Swiecznikowa.

— Chces stselbę? Mas! — tu Kola wycągnął rączkę, w której trzymał drewniany, strzelający korkiem, pistolet.

Olek wziął pistolet, wymierzył w nosek nic nie przeczuwającego Koli i nacisnął rękojeść: korek trafił w sam koniec noska i odskoczył, chwiejąc się na nitce, którą był przywiązany do pistoletu. Błękitne oczy Koli powiększyły się jeszcze, a w kącikach ich ukazały się

łzy. Kola dotknął wyjętym z buzi paluszkiem zaczerwienionego noska, mrugnął parę razy długiemi rzęsami i szepnął:

— Bzydki.... bzydki chlopczyk....

Tymczasem do pokoju weszła młoda, ładna kobieta z gładko uczesanemi włosami, zakrywającemi jej część uszu. Była to siostra pani Swiecznikowej. Ją to niegdyś uczył ojciec Olka.

— To ten, — rzekła, wskazując Olka łysemu panu, który wszedł z nią razem do pokoju. — Ukłońże się, Olku, czy nie wiesz, jak powinieneś się zachować?

Pomimo napomnienia, Olek nie ukłonił się ani jej ani łysemu jegomościowi.

Piękna pani nie przypuszczała, że Olek wie o wielu rzeczach. Wie, że jego biedny ojciec kochał ją, a ona wyszła zamąż za innego; stało się to, coprawda, wówczas, gdy ojciec jego był już żonaty, mimo to jednak Olek uważał to za zdradę i nie mógł jej tego darować...

— Zła krew! — westchnęła, zwracając się do łysego pana: — Czy nie mógłby pan zająć się tym chłopcem? Mąż mój jest zdania, że rzemiosło będzie dla niego właściwsze niż szkoła. Olku, chcesz iść do rzemiosła?

— Nie chcę! — krótko odpowiedział Olek, usłyszawszy wyraz "mąż".

— To pastuchem pewnie będziesz, prawda? — spytał łysy pan.

— Nie, nie pastuchem, — obraził się Olek.

— No więc czem?

Olek nie wiedział, czem chce być.

— Mnie wszystko jedno, — rzekł po namyśle, — mogę być nawet pastuchem.

Łysy pan podejrzliwym wzrokiem przyglądał się dziwnemu chłopcu. W chwili, gdy z połatanych butów Olka przeniósł spojrzenie na jego twarz, chłopiec wysunął język, chowając go potem tak szybko, że piękna pani tego nie zauważyła; nie mogła tylko zrozumieć powodu rozdrażnienia, w które wpadł nagle łysy pan.

— Ja do rzemiosła pójdę, — skromnie odezwał się Olek.

Ucieszyła się, usłyszawszy to piękna pani.

— Wątpię tylko, czy znajdzie się wolne miejsce, — zauważył sucho łysy pan, starając się nie patrzeć na Olka i gładząc ręką resztki włosów na ciemieniu. — Ale pomyślę o tem.

Dzieci bawiły się hałaśliwie, z upragnieniem wyczekując choinki. Przykład z pistoletem korkowym, dany przez chłopca, który wzbudzał uszanowanie swym wzrostem i reputacją zepsutego, znalazł naśladowców i kilka małych nosków już poczerwieniało. Dziewczynki, pochylając się i przyciskając obie rączki do piersi, śmiały się uszczęśliwione, gdy ich kawalerowie, zmarszczeni w odważnem oczekiwaniu, otrzymywali uderzenia korkiem. Wtem ktoś otworzył drzwi i zawołał:

— Chodźcie, dzieci. Wolniej, wolniej!

Z wytrzeszczonemi zawczasu oczkami i wstrzymanym oddechem



dzieci wchodziły w porządku, parami do jasno oświetlonego salonu i, milcząc, obchodziły wkoło choinkę. Na ich twarzyczki o zaokrąglonych oczach i ustach padał jarzący blask świateł. Przez chwilę panowała cisza głębokiego zachwytu, ustępując następnie przed zgiełkiem radosnych okrzyków. Jedna z dziewczynek, nie mogąc opanować wrażenia, podskakiwała bez słowa na miejscu, króciutki warkoczyk z wplecioną weń błękitną wstążką, podskakując, uderzał ją po ramieniu.

Olek był ponury i smutny, coś niedobrego działo się w jego małem, zgorzkniałem sercu. Choinka oślepiała go swą pięknością, krzyczącem, brutalnem światłem niezliczonych świeczek; była dla niego tak obcą i wrogą, jak skupione koło niej czyste, ładne dzieci. Miał ochotę pchnąć ją, aby przewróciła się na jasne ich główki. Zdawało mu się, że jakieś żelazne ręce ujęły jego serce i wyciskają z niego ostatnią kroplę krwi. Wcisnąwszy się za fortepian, Olek bezwiednie dołamywał ostatnie, jeszcze całe, papierosy, myśląc o tem, że ma ojca, matkę i dom swój, a tak jakoś wygląda, jakby ich wcale nie miał i nie miał dokąd iść. Spróbował myśleć o swoim scyzoryku, który niedawno dostał od kolegi wzamian za książkę i bardzo lubił, ale przypomniał sobie, że scyzoryk ma cienkie, starte ostrze, na rączce brakuje połowy kościanej oprawy i wogóle jest całkiem zły... Jutro złamie scyzorek i wówczas nic już nie będzie miał swojego.

W pewnej chwili wąskie oczy Olka błysnęły zdziwieniem, a na twarzy jego pojawił się hardy i pewny siebie wyraz. Na zwróconej do niego, słabiej oświetlonej części choinki ujrzał nagle coś, czego właśnie brakło mu w życiu. Był to aniołek z wosku, niedbale zawieszony w gęstwie ciemnych gałęzi. Skrzydełka jego przezroczyste, jak u konika polnego, drżały pod spadającemi na nie gwiazdkami śniegu, czyniąc go żywym i gotowym do lotu. Różowe rączki o pięknie odrobionych paluszkach miał wyciągnięte do góry, a za niemi widniała główka o takich samych włoskach, jak u Koli. Było jednak w niej coś, czego pozbawiona była twarzyczka Koli i wszystkie inne twarze. Na twarzy aniołka nie znać było radości, ani smutku: był tam wyraz innego uczucia, którego nie da się wyrazić słowami, a które może być zrozumiałe tylko przez drugie takie samo uczucie. Olek nie wiedział, jaka to siła tajemna przyciąga go do aniołka, czuł tylko, że zna aniołka oddawna, że zawsze go znał i zawsze kochał, kochał więcej niż scyzoryk, więcej niż ojca, więcej niż wszystko inne. Pełen zdumienia, trwogi i niepojętego zachwytu Olek złożył ręce, szepcząc:

— Kochany... kochany aniołek!...

Im uważniej przyglądał się, tem poważniejszą, więcej uroczystą była twarz aniołka. Taki był niepodobny do wszystkiego naokół, nieskończenie daleki... Inne zabawki i świecidła jakgdyby pyszniły się z tego, że wiszą strojne, piękne na oświetlonej choince, on zaś uciekał przed natrętnem, jarzącem światłem i krył się w ciemnej zieleni, by nikt go nie mógł dojrzeć. Byłoby poprostu okrucieństwem

dotknąć się jego delikatnych skrzydełek.

—Kochany... kochany!... — szeptał Olek.

Głowa Olka płonęła. Założył ręce wtył i, przygotowany do walki za aniołka, przechadzał się ostrożnemi, chytremi krokami; nie patrzył na aniołka, aby nie zwracać nań uwagi innych, czuł jednak, że aniołek jest, że nie odleciał.

Tymczasem weszła do pokoju pani Swiecznikowa, wysoka, poważna, w białej aureoli siwych, wysoko upiętych włosów. Otoczyły ją zaraz dzieci, głośno wyrażając swój zachwyt, a mała dziewczynka, która dotąd podskakiwała przed choinką zawisła jej na ręku, sennie mrugając zmęczonemi powiekami. Olek też zbliżył się do tej pani. Skurcz chwycił go za gardło.

— Ciociu, — starał się mówić jaknajłagodniej i najgrzeczniej, ale mimo to głos jego zabrzmiał twardo, nieprzyjemnie, — cio... cioteczko!

Pani nie usłyszała, Olek niecierpliwie pociągnął ją za suknię.

— Czego chcesz? Dlaczego obrywasz mi suknię? — zdziwiła się siwa pani. — Niegrzeczny jesteś.

—Cio... cioteczko... daj mi aniołka z choinki.

— Nie mogę ci go dać, — obojętnie odpowiedziała pani, — zabawki zdejmie się z choinki dopiero po Nowym Roku.

Olek doznał wrażenia, że zlatuje w przepaść. Użył ostatniego środka:

— Ja przepraszam... Będę się uczył, — mówił urywanym głosem, ale obietnicę tę tym razem siwa pani przyjęła bez wrażenia.

— Doskonale zrobisz, mój chłopcze, — odparła chłodno.

Wtedy Olek twardym, kategorycznym tonem zażądał:

— Daj aniołka!

— Mówiłam ci już raz, że nie można, — odparła niechętnie pani, — że też ty nie rozumiesz tego!

Olek, istotnie, nie mógł tego zrozumieć i, gdy pani zwróciła się ku wyjściu, poszedł za nią z wzrokiem, utkwionym w jej czarną, szeleszczącą suknię. W gorączkowo pracującym mózgu jego przesunęło się nagle wspomnienie, jak jeden z jego kolegów, nie mogąc wyprosić u nauczyciela dobrego stopnia, uklęknął przed nim, złożył ręce jak do modlitwy i zapłakał. Nauczyciel rozgniewał się za to, ale żądany stopień postawił. Olek w owym czasie uwiecznił ten epizod karykaturą, w tej chwili jednak pomysł ten wydał mu się ostatnią deską ratunku. Pociągnął znów siwą panią za suknię, a gdy się obejrzała, upadł przed nią z hałasem na kolana, złożył ręce, tylko zapłakać, pomimo wysiłku nie mógł.

— Czyś ty oszalał? — zawołała siwa pani. — Czego ty chcesz odemnie?

Olek z nienawiścią spojrzał na nią i krótko zażądał:

— Daj aniołka!

W oczach jego, utkwionych w jej usta, i wyczekujących na pierwsze ich drgnienie, musiało błyszczeć coś niedobrego, gdyż siwa pani pospiesznie odrzekła:

— Ależ dobrze, dam ci go, dam. Jaki ty niemądry jesteś! Przecież i tak dałabym ci go, chciałam tylko, byś poczekał do Nowego Roku. Wstańże prędzej z kolan! I pamiętaj, — dodała pouczającym tonem, — żebyś nie klękał nigdy przed nikim. Klękać należy tylko przed Bogiem!

— Możesz sobie mówić, — myślał Olek, wracając co tchu do choinki.

Kiedy siwa pani zdjęła z choinki zabawkę, Olek wpił się w nią wzrokiem, boleśnie zmarszczył nos i rozstawił palce: zdawało mu się, że pani zgniecie aniołka.

— Bardzo ładny, — rzekła pani, której widać żal było kosztownej zabawki. — Kto go powiesił na choince? Co ty z nim zrobisz, Olku? Jesteś już dużym chłopcem, na co ci taka zabawka? Są tu książki z obrazkami, możebyś chciał? Aniołka tego obiecałam dać Koli, tak mnie o to prosił, — skłamała na prędce.

Zdawało się Olkowi, że nie zniesie już dłużej tego oczekiwania. Konwulsyjnie zacisnął zęby i, mimowoli, zazgrzytał niemi. Siwa pani nie lubiła awantur, podała mu więc prędko aniołka.

— Masz już, masz, — rzekła z niezadowoleniem. — Uparciuch!

Obie dłonie Olka, któremi ujął aniołka, były naprężone i mocne, jak dwie stalowe sprężyny, uczynił to jednak Olek tak ostrożnie i miękko, że aniołek mógł mieć złudzenie, że płynie w powietrzu.

—Aach! — wyrwał się z piersi chłopca długi, zciszony okrzyk, a w oczach jego zalśniły dwie maleńkie łzy, które zatrzymały się na rzęsach, jakby bojąc się światła. Olek nie spuszczał rozjaśnionych oczu z pani domu i, zbliżając woluiutko aniołka do siebie, cichł, owładnięty uczuciem nieziemskiej radości. Zdawało się, że gdy delikatne skrzydełka aniołka dotkną wątłych piersi Olka, stanie się coś tak radosnego, tak jasnego, co nigdy, nigdy dotąd nie zdarzało się na tej smutnej, grzesznej, cierpiącej ziemi.

— Aach! — dał się znów słyszeć ten sam okrzyk, a raczej głębokie westchnienie, gdy skrzydła aniołka dotknęły Olka. Wobec blasku jego twarzy ściemniała nagle bezmyślnie przystrojona, jaskrawo oświetlona choinka, radosny uśmiech wykwitł na twarzy siwej pani, drgnęło coś w suchem obliczu łysego pana, umilkły dzieci, na które powiało tchnienie ludzkiego szczęścia. A w przeciągu tej krótkiej chwili zauważyli wszyscy dziwne, tajemnicze podobieństwo między niezgrabnym chłopcem w zaciasnem, znoszonem ubraniu, a aniołkiem, uduchowionym dłonią nieznanego artysty.

W chwilę potem obraz ten zmienił się całkowicie. Kurcząc się, jak pantera do skoku, Olek ponurym wzrokiem powiódł po twarzach obecnych, jakgdyby szukając tego, ktoby poważył się odebrać mu aniołka.

— Pójdę do domu, — rzekł wreszcie głucho, — do ojca.

III.

Teoktrisa spała już, zmęczona całodzienną robotą i odurzona wódką. W maleńkiej izdebce za przepierzeniem stojąca na stole lampka kuchenna rzucała przez zakopcone szkło słabe, żółtawe światło, kładąc fantastyczne cienie na twarzach Olka i Iwana.

— Piękny? — pytał szeptem Olek. Pokazywał aniołka zdaleka i nie pozwalał ojcu go dotknąć.

— Jest w nim coś tajemniczego, — również szeptem mówił ojciec, wpatrując się zamyślonym wzrokiem w zabawkę. Twarz miał, podobnież jak Olek, radosną i skupioną. — Patrz! — powiedział — on zaraz odleci!

— Zaraz to spostrzegłem, — tryumfująco odparł Olek. — Cóż to, myślisz, że ślepy jestem. A spójrz na jego skrzydełka. Cyt, nie ruszaj!

Ojciec cofnął rękę, oglądając wciąż uważnym wzrokiem aniołka, a Olek szeptał pouczająco:

— Masz takie paskudne przyzwyczajenie, żeby wszystkiego dotykać łapami. Przecież możesz popsuć!

Na ścianie były widoczne niekształtne, nieruchome cienie dwóch pochylonych ku sobie głów: jednej dużej z rozczochranemi włosami, drugej małej, gładkiej, okrągłej. W dużej głowie odbywała się trudna a jednocześnie radosna praca. Iwan patrzył nieruchomo na aniołka, który pod tem natężonem spojrzeniem, zdawało się, rósł i jaśniał coraz więcej; skrzydełka jego zaczynały poruszać się bezszelestnem drganiem, a wszystko wokół — Olek, drewniana, zakopcona ściana, brudny stół, wszystko! — stapiało się w jakąś szarą masę bez świateł i bez cieni. I wówczas nawiedziło tego zmarnowanego człowieka kłamliwe marzenie, że oto słyszy jakiś głos litości ze świata, z tego cudnego świata, w którym żył niegdyś, a z którego wygnany był na zawsze... W świecie tym nie znają brudu i ponurych złorzeczeń, przerażająco smutnej, ślepej i okrutnej walki egoizmów; tam nie wiedzą nic o męce człowieka, podnoszonego ze śmiechem na ulicy i bitego bezlitosnemi rękami policjantów. Czysto tam, słonecznie i radośnie, a wszystko, co najczystsze i najradośniejsze zamieszkało w jej duszy, — tej, którą kochał więcej niż życie, a jednak utracił ją, zachowując niepotrzebne życie. Z zapachu wosku, który dawał się czuć od aniołka, sączył się jakiś nieuchwytny aromat — i przywidziało się temu upadłemu człowiekowi, że widzi, jak oto dotykają aniołka jej kochane palce, które chciałby całować wszystkie po kolei, całować długo, aż póki śmierć nie zamknie ust jego na zawsze. Dlatego to tak piękny był aniołek. Spłynął on z tego niebieskiego świata, w którym przebywała jej dusza, i rzucił jasny promień światła w wilgotną, zaczadzoną izbę i w ponurą duszę ludzką, której odjęte było wszystko: miłość, szczęście i życie...

A obok oczu przeżytego już człowieka błyszczały oczy zaczynającego żyć chłopca i pieściły aniołka. Z przed oczu tych również znikła w tej chwili teraźniejszość i przyszłość: zawsze smutny, nieszczęśliwy ojciec, nieznośna, ordynarna matka, cały ten czarny tuman krzywd, okrucieństw, poniżeń i raniącej tęsknoty. Bezkształtne i niejasne były marzenia Olka, tem głębiej przeto wstrząsały jego wzburzoną duszą. Wszystko dobro, promieniejące nad światem, wszystek ból, tęskniącej do Boga duszy, wchłonął w siebie aniołek i dlatego to biło od niego to uduchowione, nieziemskie światło, dlatego bezgłośnie drżały jego skrzydełka przezroczyste, jak u konika polnego...

Ojciec i syn nie widzieli się wzajemnie; z innych źródeł biegły płacz, tęsknota i radość ich chorych serc, było jednak w ich uczuciach coś wspólnego, co łączyło ich serca, zapełniając tę bezdenną otchłań, która rozdziela ludzi i sprawia, że są tacy samotni, nieszczęśliwi i słabi. Ojciec nieświadomym ruchem położył rękę na szyi syna, który również bezwiednie przycisnął głowę do suchotniczej jego piersi.

— Ona ci go dała? — spytał szeptem ojciec, nie spuszczając wzroku z aniołka.

Innym razem Olek urągliwie za-



przeczyłby, w tej chwili jednak, świadomie kłamliwa odpowiedź sama wybiegła z głębi duszy na usta:

— A któżby? Tylko ona.

Umilkli znów obaj. W sąsiednim pokoju rozległ się skrzyp, trzask, poczem zegar pospiesznie i chrypliwie wybił: raz, dwa, trzy...

— Olek, czy tobie się kiedy co śni? — w zamyśleniu zapytał ojciec.

— Nie, — odparł Olek. — Raz śniło mi się, że z dachu spadłem. Po gołębie wchodziłem i spadłem.

— A mnie się nieustannie coś śni. Cudne czasem sny... Widzi się wszystko, co było, kocha się i cierpi, jak na jawie...

Znów zamilkł, a Olek poczuł, że ręka, leżąca na jego szyi, drgnęła. Drżała tak coraz silniej, aż wreszcie czujną ciszę nocy przerwał stłumiony, żałosny głos hamowanego płaczu. Olek surowo ściągnął brwi i ostrożnie, tak, aby nie poruszyć drżącej, ciężkiej ręki, strząsnął łzy z powiek. Tak dziwnie było patrzeć, jak płacze stary, duży człowiek.

— O, Olku, Olku! — łkał ojciec, — dlaczego tak jest?

— Cóż ty? — surowo szepnął Olek. — Zupełnie... zupełnie jak dziecko.

— Nie będę już, nie będę... — żałośnie powtarzał ojciec. — Zresztą, już niema po co... Teraz?

Poruszyła się nagle Teoktrisa na łóżku, westchnęła, splunęła i mruknęła głośno kilka razy: trzymaj, trzymaj!

Czas był już spać iść, wpierw jednak trzeba było ulokować aniołka. Olek powiesił go na nitce na ryglu od pieca tak, że wyraźnie rysował się na białym tle kafli. W tem miejscu widzieli go obaj. Rzuciwszy w kąt naprędce garść łachmanów, na których sypiał, Olek położył się na wznak, aby móc patrzeć na aniołka.

— Dlaczego nie rozbierzesz się? — spytał ojciec, drżąc i przykrywając się podartym kocem; nogi okrył starem paltem.

— Nie warto. Niedługo wstanę.

Olek chciał jeszcze powiedzieć, że mu się zupełnie nie chce spać, ale nie zdążył, zasnął bowiem tak szybko, jakgdyby poszedł do dna głębokiej, bystrej rzeki. Wkrótce ojciec też zasnął. Litościwy sen uspokoił i złagodził zarówno rysy człowieka, który życie swe miał już za sobą, jak twarz chłopca, który dopiero w nie wstępował.

A tymczasem aniołek, zawieszony na gorącym piecu, począł topnieć. Niezgaszona lampa napełniała pokój zapachem nafty, rzucając nikłe światło na dzieło powolnego zniszczenia.

Aniołek jakgdyby poruszał się.

Wzdłuż różowych jego nóżek spływały duże krople wosku i upadały na przypiecek. Do zapachu nafty domieszał się duszący zapach topionego wosku. Wreszcie aniołek zatrzepotał się, jakby chcąc wzlecieć, i upadł miękko na gorącą blachę. Ciekawy karaluch przebiegł, okrążył nieforemną grudkę wosku, wdrapał się na przezroczyste, jak u konika polnego, skrzydełka, ruszył wąsikami i pobiegł dalej.

Skroś zasłonięte okno przenikał błękitnawy świt budzącego się dnia, a do drzwi już stukał czerpakiem zziębnięty woziwoda.



KAROL SNOP

NIEFORTUNNA WIZYTA

PAN ALFRED GAPSKI, od niedawna dziedzic Psiej Wólki, był to młody, dwudziestoparoletni człowiek, który własną, ciężką pracą przebijał się przez życie, aż niespodziewany spadek po bezdzietnym wuju uczynił go właścicielem majątku ziemskiego w ziemi radomskiej.

Porzuciwszy z westchnieniem ulgi posadkę, na której biedował, pan Gapski odrazu zmienił się w energicznego hreczkosieja: gospodarował z zapałem, doprowadzając do kwitnącego stanu zaniedbany majątek i nic poza pracą swoją nie widząc.

Po trzech latach takiej pracy pan Gapski zyskał sobie w okolicy sławę zamiłowanego gospodarza oraz pracowitego i solidnego człowieka, który niewątpliwie w niedługim czasie musi dojść do znacznej fortuny. Wszystkie mamusie, czekających na męża młodszych i starszych panien, z nieukrywanem zainteresowaniem słuchały opowiadań o wzrastającej wciąż zamożności pana Alfreda i zabiegliwie starały się ściągnąć do siebie tego pożądanego kandydata do ręki ich córek.

Ale pan Alfred nie spieszył się. W ciągu swego dość krótkiego, ale bardzo pracowitego żywota nie miał wiele okazji do zabawy i rozrywki, nie był więc obyty w towarzystwie, w salonie czuł się nieswojo, z ludźmi obcymi, a zwłaszcza z kobietami, nie bardzo wiedział o czem mówić. W codziennem ubraniu i długich butach, na polu, w stodole lub spichrzu — czuł się najlepiej i, choć już trzy lata minęły, jak osiadł w Wólce, jeszcze nikomu z sąsiadów wizyty nie złożył. Skutek był taki, że obrażone mamusie urobiły mu opinję dziwaka i odludka.

Jedyną znajomością towarzyską pana Alfreda był przyjaciel jego i kolega z ławy szkolnej, Zygmunt Łapiński, urzędnik Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego, który swój urlop wypoczynkowy spędzał zawsze u kolegi w Psiej Wólce.

Było im ze sobą znakomicie! Prowadzili nieskończone nigdy rozmowy, pełne wspomnień o dawnych czasach, o wspólnie spędzanych dniach chłodu i głodu, chodzili po polach, polowali na zające i kuropatwy, którym zwykle, oprócz przestrachu, żadnej innej krzywdy nie wyrządzali, snuli różne plany i projekty, siedząc nieraz późno w noc przy butelce wina.

Łapiński, starszy od Gapskiego, również kawaler, był smakoszem, — umiał i lubił dobrze zjeść i wypić. Piwnica w Psiej Wólce, obficie zaopatrzona przez nieboszczyka wuja we wszelkie specjały, była celem nieustannych westchnień Zygmunta.

— Zyź! — przymrużał filuternie oko Gapski, kiedy wrócili z wieczornej włóczęgi po ciemnych alejach parku, — a gdybyśmy tak dziś pożyczyli jedną większą od wuja dobrodzieja, co?

Na twarzy Zyzia zjawiał się wyraz anielskiego zachwytu.

— Byłożby to możliwe?... — mówił w upojeniu. — Ależ tak, na Boga! masz słuszność. Należy nam uczcić pamięć zacnego starca, który nam te szlachetne napitki zostawił nie po to, by je pleśń kryła. Okażmy się godnymi jego pamięci...

Schodzili tedy razem do piwnicy, gdzie na stojących pod ścianami wysokich, drewnianych półkach stały niezliczone szeregi butelek różnego kształtu i z różnych pochodzące czasów.

Zyź z nabożeństwem zdejmował kapelusz i wodził po półkach zachwyconemi oczyma.

— Szlachetny, zacny starzec!— szeptał z rozrzewnieniem. — Co za umiejętność w zebraniu tak czcigodnego zespołu omszałych naczyń życiodajnego nektaru! Ale i co za serce! Nie wypić tego, ale zostawić potomności, aby miała czem uczcić cnotę minionych lat i minionych ludzi! To zadziwiające, niesłychane!

Tyradę tę przerywał Gapski, pokazując pękatą butelkę, wyjętą z jednego z głębiej umieszczonych szeregów, pokrytą grubą warstwą szarego, sędziwego pyłu..

— A gdyby tak tę? — pytał.

— Węgierskie... Rok 1825-ty... — czytał Łapiński ze wzruszeniem. — Fred! Czy ty rozumiesz? Sto lat, z górą sto lat to niebożątko tu sobie stoi, czekając na znawcę, co ją oceni. Daj, ja ją poniosę, ty trzymasz ją w garści jak cepy.

Umieścił butelkę na kapeluszu i niósł ją ostrożnie oburącz, pouczając przez drogę Alfreda:

— Boże broń taką butelką potrząsnąć! Zamącić taki napitek to grzech, śmiertelny grzech!

— Wypić lada chłystek potrafi, — mówił później, otwierając butelkę, — ale obchodzić się z nią jak należy, umie ten tylko, kto ma dla trunku nietylko żołądek, w którym go chce ulokować, ale i szacunek! Przyjrzyj się żółtodziobie i pamiętaj, że nigdy się butelki nie otwiera stojąc i ciągnąc korek, jak wiadro ze studni. Trzeba ją położyć na płask i wolniutko, o tak, wyciągać....

Nalał kieliszki i przyglądał się winu pod światło.

— Co za kolor! Co za zapach! — rozpływał się w zachwytach. — Poprostu żal to połknąć!

— To daj! — wyciągnął rękę

Alfred, — postawimy z powrotem na półkę.

— Idź do djabła! — przestraszył się Zygmunt, — nie lubię głupich żartów!

Pili, delektując się szlachetnym napojem, który ciepłem rozlewał się po ich żyłach, rozjaśniał myśl i podniecał fantazję. Zygmunt rozprawiał z ożywieniem, plotąc co mu ślina na język przyniosła.

Jednego dnia, a była to druga połowa grudnia, siedzieli po wczesnym obiedzie opróżniając drugą już z kolei butelkę. Rozmawiali o opinji odludka, jaką miał w okolicy Alfred.

— Powinieneś zacząć bywać, — twierdził stanowczo Zygmunt. — Cóż to? Jesteś obywatelem ziemskim, czy nie jesteś? Jesteś! Wlazłeś między wrony, to krakaj! Nie można wciąż przy piecu siedzieć! Przecież i ożenić się kiedyś musisz, a gdzie pannę znajdziesz, jak nie między ludźmi? Zresztą, co tu gadać, już postanowione: jedziesz dzisiaj z wizytą!

— Zwarjowałeś, czy co? — przeraził się Alfred. — Dlaczego zaraz dzisiaj? Nie pali się przecież! Muszę się namyśleć, rozejrzeć...

— Aha! właśnie! namyśleć i rozejrzeć... Mnie na to nie weźmiesz! Chciałbyś się znów okrągły rok namyślać. Nie, bratku! Jedziesz dzisiaj! Zaraz ci powiem do kogo.

Podniósł kieliszek do ust i pił wolno, smakując. Alfred uczynił to samo. Dostałe, stare wino uderzyło im już do głowy.

— Blizko Wólki są dwa dwory, — mówił, stawiając kieliszek Zygmunt. — Jeden to Laseczkowo Wrońskich. Bogaci, wykwintni, grzeczni, aż za grzeczni. Podobno, jak pan Wroński spóźni się na pociąg to zaraz idzie przeprosić za to zawiadowcę stacji. Papa, mama, córeczka i synek. Córeczka śliczności, powiadam ci, cudo, palce lizać, — ma szesnaście lat, uczy się w domu pod kierunkiem nauczyciela, niby to pensjonarka jeszcze, a powiadam ci z drugiego województwa przyjeżdżają, żeby ją zobaczyć...

— Co ty mówisz? — zaciekawił się Alfred. — Zrobiło mu się nagle gorąco.

— A widzisz mydłku jeden! — śmiał się tryumfująco Zygmunt. — Ledwom ci o jednej pannie powiedział, już zaczynasz się palić i radbyś w tej chwili tam lecieć. Czekaj teraz. Drugi dwór to przystań Krutyńskich. Też papa, mama, córeczka, tylko synka niema. Ale na djabła ci synek, — będziesz miał swego. Krutyńscy także zamożni, ale nie tak, jak Wrońscy. Przytem sknery okropne, a mamusia ma podobno maleńkiego fijałka. Tak mówią. Kto przyjedzie do nich porządnie ubrany — przepadł, mamusia zaraz powie, że to utracjusz i rozrzutnik, wogóle nic dobrego. Jak będziesz jechał do nich, ubierz się w co masz najgorszego. Córeczka wcale, wcale niczego, brunetka, z tych ognistych takich, rozumiesz? Ma już ze dwadzieścia dwa lata i wiele razy mogłaby już wyjść zamąż, ale wszyscy się mamusi boją. Ale ty się nie będziesz bał mamusi!

— Nie będę się bał! — powtórzył grzmiącym głosem Gapski, który uczuł, że wstępuje nagle w niego dziwna energja i odwaga. — Hej, tam! Różka! Niech Mateusz zaprzęga do powozu i zaraz zajeżdża!



— To lubię! — krzyknął Zygmunt. — Nie mydłkować! Jest córeczka? — Brać córeczkę! Wiwat państwo Gapscy, wiwat duże gapy i małe gapięta! Fredziu! chodź, niech cię ucałuję!

Objęli się i zaczęli całować, gdzie który trafił. Dopiero jednak, kiedy wstali, okazało się, że nogi im się porządnie chwieją. Nie było to nic dziwnego, gdyż prawie całą poprzednią noc przesiedzieli przy butelce, byli więc porządnie niewyspani.

— Zyź! — zafrasował się nagle Alfred, — urżnąłem się! Jakże ja tak pojadę? Wyleją mnie.

— Dopiero druga, kładź się spać! — zakomenderował Zygmunt. — Prześpisz się do piątej, trzy godziny wystarczy ci i pojedziesz. Obudzę cię!

Wypili resztę wina i po chwili, rozołożeni na dwóch kanapach, usnęli głębokim snem. Łapiński, wytrawny bibosz, spał, jak suseł, chrapiąc potężnie. Alfred, mniej przywykły do trunków, spał niespokojnie, rozprawiał przez sen, wiercił się i kręcił do tego stopnia, że machnąwszy raz ręką przewrócił stojący obok stolik, zrzucając z hałasem położony tam przed zaśnięciem zegarek. Żaden z nich jednak ani drgnął — spali dalej.

Mijały godziny. Niebo ściemniało i gęsty mrok grudniowej nocy zwolna napełnił pokój. Od czasu do czasu dawał się słyszeć świst wiatru, a za sczerniałemi szybami nikłą białością zamigotały spadające płatki śniegu.

W głębi dworu odezwał się zegar ścienny i powoli, donośnie wybił dwanaście uderzeń. Była północ.

Z ostatniem uderzeniem zegara ocknął się Alfred. Usiadł na kanapie i, wytrzeszczając ociężałe od snu oczy, starał się zebrać zmysły. Wstał wreszcie i, namacawszy na stole zapałki, zapalił jedną, a od niej zapalił stojącą na oknie świecę. Stanął potem przyglądając się ze zdziwieniem przewróconemu stolikowi. Dojrzawszy koło niego leżący na ziemi zegarek, podniósł go i przyjrzał mu się uważnie.

— Za kwadrans piąta, — mruknął. — Jakie te dnie już krótkie. Tak ciemno!

Położył na stole zegarek i stał tak chwilę, medytując. Nagle z za okna usłyszał parskanie koni. Wyjrzał — przed gankiem stał powóz, zaprzężony w parę koni, tylko stangreta na koźle nie było.

— Prawda, przecież mam jechać z wizytą, — przypomniało mu się nagle.

Pomyślał o tem z niechęcią. Głowa mu ciężyła, myśli wlokły się leniwo, był oszołomiony winem i snem, nie chciało mu się nic robić; myśl o tem, że trzebaby się przebrać przejęła go przerażeniem.

— Za nic! — pomyślał tępo, patrząc na jasną smugę światła, rzuconą na śnieg przez płomień świecy. W smudze tej ukazały się nagle dwa cienie. Alfred poznał je: była to pokojówka Rózia, hoża, ładna dziewczyna oraz syn stangreta, Mateusza, Janek. Widocznie wracali skądś razem, gdyż szli od drogi ku domowi. Gdy już byli blizko, przystanęli i nagle z dwóch cieni utworzył się jeden, nieruchomy cień. Zespoleni w gorącym uścisku, z ustami na ustach, trwali tak długo. A słodki



to musiał być pocałunek wiśniowych, pełnych warg Rózi!...

Fala ciepłej krwi zabarwiła policzki Alfreda. Odetchnął głęboko i wyprostował się.

— Jadę! — zdecydował się nagle. — Przebierać się nie potrzebuję, ubranie mam porządne, nie wizytowe coprawda, ale przecież Zyź mówił, że to lepiej, jak skromniej. Mamusia będzie rada!

W parę minut potem okutany w wielką wilczurę stał na ganku, budząc śpiącego w powozie Mateusza. Najwyraźniej szła zadymka i zacinał lepki mokry śnieg. Alfred z rozkoszą wciągnął w płuca chłodne powietrze nocy; orzeźwiło go to, zostawiając jednak nadal lekki, przyjemny zawrót w głowie.

— Olaboga! — zawstydził się Mateusz, że go na spaniu w powozie złapano. — Takem sobie jeno krzynkę przysiadł, że to dziedzica nie było i nie było widać... Ale już chyba nie pojedziem?

— Ruszaj na kozioł! — skomenderował Alfred, rzucając się na poduszki powozu. — Do Laseczkowa!

Mateusz, mrucząc, wszedł na kozioł, zebrał lejce i cmoknął na konie, które, znudzone długiem wyczekiwaniem, raźno poderwały z miejsca lekki powozik i, parskając, wybiegły za bramę.

— Zdrów! Zdrów! — odpowiadał im Mateusz, który ani rusz nie mógł zrozumieć, po kiego licha oni jadą, kiedy śnieg wali coraz gęstszy, noc robi się coraz ciemniejsza, a nic o tem nie słyszał, żeby w Laseczkowie dziś jaki zjazd się szykował.

Rozłożony wygodnie na poduszkach powozu, kołysany rytmicznie miarowym jego ruchem, pan Alfred ani się spostrzegł, gdy już stanęli przed pałacem w Laseczkowie. Wiatr sypał śniegiem coraz gęstszym, żywego ducha nie było widać naokół, a sam pałac na głucho zamknięty, patrzył na nich nieruchomemi ślepiami czarnych szyb.

— Jaśnie dziedzicu! — rzekł nieśmiało Mateusz, — musi zawrócimy, noc ci to przecie!

— Głupiś! — odparł krótko Alfred, trochę stropiony głuchą ciszą pałacu. W tej chwili dopiero uprzytomnił sobie, że naprawdę przyjechał z wizytą do Wrońskich. Wrodzona nieśmiałość zaczęła go znów ogarniać, doradzając mu dać stąd poprostu jaknajprędzej drapaka. Wstyd mu się jednak zrobiło Mateusza — podszedł więc do drzwi frontowych i delikatnie zadzwonił.

Upłynęła długa chwila oczekiwania — nie słychać było, aby się w pałacu kto poruszył. Alfred zadzwonił poraz drugi — cisza.

— Co u djabła! — mruknął. — Niema ich, czy pospali się już? Przecież chyba jeszcze niema szóstej?

Sięgnął po zegarek, żeby zobaczyć, która godzina, ale nie znalazł go, najwidoczniej zostawił go w domu. I nagle, jak to bywa często z ludźmi nieśmiałymi, zwłaszcza, gdy sobie zaprószą trochę głowę, Alfreda ogarnęła szewcka pasja. Ze spokojem i pewnością siebie, które Bóg wie skąd się zjawiły, Alfred energicznie i długo przycisnął kilka razy dzwonek, a później potrząsnął mocno klamką.

Bezpośrednio potem rozległ się zgrzyt klucza w zamku i na progu ukazał się lokaj w bieliźnie, z rozczochranemi włosami.

— Czego pan potrzebuje? — zapytał zaspanym głosem.

— Są państwo? — zapytał ostro Gapski.

— Są, a bo co?

— Tobie nie będę się opowiadał! Masz, zawiadomić państwa, że przyjechałem. Gapski z Psiej Wólki. Z wizytą.

Lokaj otworzył szeroko usta i podejrzliwie oglądał Alfreda ze wszystkich stron.

— He! he! — wyszczerzył nagle zęby w uśmiechu. — Z wizytą? O tej porze? A to komedja!

— Błaźnie! Jak śmiesz? — trząsł się ze złości Alfred. — Cóż ty sobie myślisz? Twoja rzecz zawiadomić państwa, a już ja im powiem, jak przyjmujesz ich gości!

Lokaj przestraszył się.

— Słucham wielmożnego pana! — powiedział pospiesznie. Rozebrał gościa, wprowadził go do jakiegoś pokoju, zapalił lampę i dudniąc bosemi nogami po posadzkach, pobiegł w głąb mieszkania.

Alfred rozejrzał się po pokoju. Był to ogromny, wykwintnie urządzony salon. Usiadł na krzesełku. Czuł się nieswojo. W głowie czuł lekki szum podnieconej winem krwi i jakąś senną, leniwą omdlałość. Po okazanej dopiero co energji znów czuł się jakoś zalękniony. Stropiły go te ciemności, panujące w całym domu, jakgdyby uśpionym już oddawna.

— Co mi ten błazen o jakiejś tam porze wygadywał? — myślał. — Przecież wyjechałem z domu o piątej, więc nie może być teraz później niż szósta. Z kurami tu spać chodzą, czy co? E, pewnie przyłożyli się na drzemkę poobiednią...

Sięgnął znów do kieszonki od zegarka. Była pusta.

— Psiakrew! — rozzłościł się na dobre. — Potrzebne mi było to wszystko. Oj! Zyziu! Zyziu! Już ja ci za twoje rady podziękuję! Czystą wodę będziesz żłopał, a nie wino!

W przyległym pokoju rozległy

się kroki i do salonu wszedł wysoki, elegancki mężczyzna. Na ściągłej, ułożonej w grzeczny wyraz twarzy, widać było resztki snu i starannie tajonego zdziwienia.

— Gapski jestem, — podniósł się Alfred z krzesła, wyciągając rękę.

— Wroński. Bardzo mi miło,— odpowiedział przybyły, dodając uprzejmie: — pan będzie łaskaw spocząć.

Usiedli. Wroński podejrzliwie, choć dyskretnie, przyglądał się nieoczekiwanemu gościowi. Siedzieli chwilę milcząc. Alfred czuł, że trzeba coś powiedzieć, ale co?

— Dawno już chciałem... — zaczął wreszcie, ale mu jakoś zabrakło słów. Zrobił szeroki ruch ręką w stronę mieszkania, który miał oznaczać, że dawno chciał tu właśnie przyjechać.

—Bardzo się cieszę, — odpowiedział Wroński, patrząc wciąż na Alfreda i na jego mimikę z dyskretnem niedowierzaniem. — Muszę nawet szczerze powiedzieć, żeśmy się tego spodziewali i nie umieliśmy sobie wytłomaczyć powodów, dla których pan dotąd od nas wszystkich stronił.

— Wiem, — roześmiał się Alfred, — że uważają mnie państwo za dziwaka, ale wydaje mi się, że niesłusznie.

Pan Wroński odchrząknął z zakłopotaniem. Nie wiedział co o tem sądzić. Czy gość jego kpi, czy mówi serjo? Ale kto przyjeżdża w nocy z wizytą?

— Czy mógłbym złożyć uszanowanie małżonce? — zapytał z kurtuazją Gapski.

Wroński przez sekundę zawahał się. Co zrobić? Stanowczo, w takiej sytuacji jeszcze nigdy w życiu nie był. Wrodzona grzeczność przemogła.

— W tej chwili poproszę żonę, — rzekł wstając.

Trudno opisać osłupienie pani Wrońskiej, którą mąż obudził, prosząc, aby wyszła do salonu do gościa.

— Ależ to napewno warjat, ja się go boję! — mówiła, ubierając się pospiesznie. — Czy nie masz takiego wrażenia?

— Wyobraź sobie, że nie, — mówił Wroński. — Wygląda dość normalnie, a mówi o tej wizycie swojej tak, jakgdyby ją składał według wszelkich prawideł, o pierwszej w południe.

—A może to bandyta? — przestraszyła się nagle Wrońska. Skąd wiesz, że to Gapski? Czy widziałeś go już kiedy?

Wroński zastanowił się.

— Owszem, raz zdaleka. Nie, to napewno on. W każdym jednak razie dla twego spokoju...— tu Wroński wyciągnął z szuflady rewolwer i schował go do kieszeni. — No chodźmy już!

— W Imię Ojca i Syna... — żegnała się trwożnie Wrońska, idąc do salonu.

Ucałowawszy z możliwie największą elegancją rękę pani domu, Gapski znów rozpoczął.

— Dawno już chciałem złożyć uszanowanie... Czułem się w obowiązku... Ale cóż, praca nie puszcza! Trzeba było czekać stosownej pory... Dopiero więc dzisiaj...

Pani Wrońska, ogarnięta strachem, nie umiała tak dobrze nad sobą panować, jak mąż jej, na którego podniosła teraz wylękłe spojrzenie. — On to nazywa stosowną porą! — można było czytać w jej wzroku.

— Prześliczna tu okolica, — bawił ją Gapski, — bardzo ładna! Choć coprawda dzisiaj nie dało się tego zaobserwować, gdyż dzień jest wyjątkowo pochmurny.

— Dzień pochmurny? — powtórzyła drżącym głosem, pełnym zdumienia i trwogi Wrońska, po chwili jednak, czując na sobie spokojny wzrok męża, odrzekła:

— A tak dzień... to jest... pochmurny... chciałam powiedzieć.

— Co jej się stało? — dziwił się w duchu Gapski, myśląc jednocześnie nad tem, jakby nakierować rozmowę na osobę panny Wrońskiej, którą przecież koniecznie musi poznać.

— Opowiadano mi wiele o stajni w Laseczkowie, — wymyślił na prędce. — Szczególniej wierzchowiec córeczki szanownych państwa ma być podobno wielkiej krwi.

Spojrzał niepewnie na Wrońskiego, jak mu się ten pomysł powiedzie? — Przecież nie może być, żeby nie jeździła konno, — myślał, — a jeżeli jeździ, to chyba ma swego konia?



— Nadzwyczajnie byłbym rad zobaczyć... — dodał. Nie wiadomo tylko było co chce zobaczyć: konia czy córkę?

Pan Wroński z zakłopotaniem spojrzał na okno, poza którem czerniał mrok zimowej, grudniowej nocy.

— Byłoby to może dość trudne w tej chwili, — rzekł wreszcie, — ale jeżeli pan sobie tego życzy...

— Ależ broń Boże! — zaprotestował gorąco Alfred, który wcale nie był ciekawy stajni. — Nie chciałbym oglądać tego wierzchowca bez pozwolenia jego właścicielki! Chyba, że mógłbym zapytać ją o zgodę.

— O, nie! — poruszyła się żywo pani Wrońska, mitygując się jednak w tej chwili: — córka moja obecnie... obecnie...

Nie wiedziała, czem wytłomaczyć niemożność przyjścia swej córki. — Pomóż mi! — prosiła wzrokiem męża.

Gapski spojrzał na nią z niechęcią. Postanowił nie dać za za wygraną.

— Rozumiem, — rzekł z uśmiechem, — u córeczki jest... zapewne w tej chwili nauczyciel? Ale ja poczekam...

Pani Wrońska szerokiemi z osłupienia oczyma patrzyła przez chwilę w uśmiechniętą uprzejmie twarz Gapskiego.

— Henryku! — krzyknęła nagle, rzucając się do męża. — To jest okropne! Ja nie mogę, chodźmy stąd!

—Pan wybaczy, rzekł chłodno Wroński, — tylko odprowadzę żonę, zaraz wrócę.

— E, baba ma fijoła! — zdecydował Alfred. — Zygmunt się pomylił. To nie Krutyńska, tylko ta ma bzika!

Podniósł się z krzeszła i wziął do ręki kapelusz, który, jak to dopiero teraz spostrzegł, przyniósł ze sobą do salonu. Z zachowania się Wrońskich nabrał przekonania, że córki nie chcą mu pokazać, wskutek czego poczuł nagle taką nudę, że postanowił natychmiast wracać do domu.

— Co ja tu będę robił? — myślał ze złością, idąc dużemi krokami ku wyjściu.

W tej chwili na progu pokoju stanął pan Wroński.

— Pan pozwoli pożegnać się, — rzekł Alfred, kłaniając się z nieukrywanem niezadowoleniem, — i przeprosić go za mą wizytę, jak się zdaje, dla państwa niepożądaną.

Wroński, który wszedł do pokoju chłodny i sztywny, nic nie odrzekł, oddając zdaleka ukłon.

— Mateusz! — wrzasnął Gapski z ganku, starając się przekrzyczeć świst wiatru i otulając się szczelnie w wilczurę. Zadymka szalała w całej pełni, — ciemno było, choć oko wykol. Zatupotały kopyta końskie i o kilka kroków przed Gapskim zjawiło się coś dużego, całkowicie zasypanego śniegiem. Był to powóz.



— Jazda! — rzucił Gapski, usadowiwszy się w powozie. — Tylko pospieszaj!

— Aha! — mruknął zmarznięty, głodny i zły Mateusz, który ledwie że konie mógł dojrzeć. — Pospieszaj! W taką zawieję! Ktoby chciał konia w zad pocałować, to teżby nie trafił. Pospieszymy, jak żydy z jarmarku!

— Co ty tam mruczysz? — spytał Gapski.

— Mruczę! Co nie mam mruczeć? — gderał dalej. — Łaska Boska będzie, jak się tu zaraz nie wysypiemy do rowu. O! nie mówiłem! Ażeby was pokręciło, zatracone szkapy, gdzie to polazły! Prrrr!... Pódź tu!...

— Uważaj! — wrzasnął Gapski, gdyż powóz tak się przechylił, że zdawało się, już leżą.

— Uważaj! — złościł się Mateusz. — Ślepy tak samoby uważał! A bo ja co widzę!?

Jechali długo noga za nogą, wpadając co chwila w dziury, których na wyboistej, polnej drodze było pełno. Wreszcie poczuli, że jadą nie po grudzie drogi, ale po czemś równem i miększem.

— Musi, zjechaliśmy na pole,— oznajmił Mateusz, wytężając oczy, żeby dojrzeć cośkolwiek, po czem mógłby poznać, gdzie się znajdują. Nic jednak nie dojrzał, natomiast w tej chwili dyszel utknął w czemś miękkiem i powóz stanął. Dało się słyszeć parskanie i charakterystyczny szczęk żucia nierozkiełznanych koni. Jednocześnie zrobiło się jakoś ciszej.

A co tam? — sennie zapytał Gapski.

Utknęliśmy w stertę albo w stóg, rzekł Mateusz. — Musi, postoimy tu do rana.

— Zwarjowałeś? — ofuknął go Gapski. — Cóż to, niema dogi?

— Dlaczego ma nie być? Jest. Gdzieby się zaś podziała? Ino, że sama do nas nie przyjdzie, a nie wiedzieć gdzie jej szukać.

— Coś ty za stangret, bałwanie, żeby drogę zgubić! — irytował się Gapski. — I ty myślisz, że ja tu będę sterczał do rana? Też koncept! Rób co chcesz, ale musimy jechać do domu. Widzicie go, jaki mądry! Do rana! Toż to ze dwanaście godzin jeszcze do tego głupiego twojego rana. Chcesz, żebyśmy tu zmarzli na kość?

— Iii... Mateusz lekceważąco machnął ręką. — Nie tak już do rana daleko. Musi, jest już po trzeciej, to i za cztery godziny świtać będzie.

Gapski otworzył usta i tak został.

— Co ten głupiec gada? — Jakto: już po trzeciej w nocy? Przecież u Wrońskich był nie dłużej, jak półtorej godziny. Wypadałoby z tego, że przyjechał do nich... Nie, to niemożliwe! Chociaż... — i tu przypomniał sobie ciemny, milczący pałac, zaspanego lokaja, wszystko, co go tak dziwiło... — Boże drogi, a może on rzeczywiście pojechał w nocy z tą pierwszą swoją wizytą?

— Jesteście pewni, że to już trzecia? — spytał całkiem innym, niepewnym głosem?

— Co nie mam być pewny? — zabrał głos Mateusz. — Zajechałem zaraz, jak pan kazał. Stoję i stoję. Kole ósmej pytam się Rózi, to mówi, że pan śpi. To ja zawróciłem do stajni, dałem jeść koniom, sam zjadłem i znów przed ganek. Północ już była, jak pan wyszedł i kazał jechać. Jechać, to jechać, co mi tam! Mówiłem, że noc, to pan mie sponiewierał, żem głupi. Jak głupi, to jechać!

Gapski słuchał bez słowa. Mimo przejmującego chłodu zrobiło mu się nagle ciepło, gromada mrówek przeszła mu wzdłuż ciała od karku do pięt, a stamtąd wróciła tą samą drogą. — Więc to prawda! To on, idjota, pojechał z pierwszą wizytą o północy!... Zacisnął z przerażeniem zęby.

— O, Zyziu! Przeklęty Zyziu!— pomyślał. — Toś mnie urządził!

Osunął się bezwładnie na poduszki powozu. Wyobrażał sobie, jakiem pośmiewiskiem okolicy stanie się teraz. Aż zgrzytał zębami na tę myśl. Powoli jednak opanowało go znużenie i zdrzemnął się. Mateusz też drzemał już na koźle. Konie tylko od czasu do czasu parskały, wyciągając ze stogu siano.

Dzień już był, gdy Mateusz pierwszy się ocknął i rozejrzał się wokół sennemi oczyma.

— Tfu! — splunął nagle z pogardą i oburzeniem. — A żeby to djabli wzięli!...

— A co tam? — spytał, budząc się Gapski.

— Przecieśmy w domu! — sierdził się Mateusz, pokazując batem czerniejące tuż za stogiem zabudo-

wania folwarczne Psiej Wólki. Rzecz była jasna, że zbili się z drogi pod samym domem, i zamiast przed dwór, zajechali z tyłu folwarku pod stóg, ustawiony za stodołą.

Alfred tak był zgnębiony, że nic na to nie odrzekł, żuł tylko w zębach przekleństwa, przeznaczone dla Zygmunta. Ruszli z miejsca i w pięć minut potem Alfred łomotał do drzwi dworu. Otworzyła mu Różka dziwnie zdyszana, z pałającemi policzkami. Alfred wpadł do przedpokoju, potrącił po drodze Janka, który z błyszczącemi oczyma i miną niewiniątka stał u wejścia do służbowego pokoju, i pędem skierował się do pokoju Zygmunta.

Zastał go w łóżku, otulonego z głową w kołdrę i pogrążonego w głębokim śnie.

— Łotrze! — huknął mu nad uchem Alfred. — Łajdaku! Czy ty wiesz, coś narobił?

— Co się stało? — wyściubił Zygmunt nos z pod kołdry.

— Pojechałem z pierwszą wizytą do Wrońskich o pierwszej w nocy! Z wizytą, na którą ty mnie namówiłeś! W nocy! Słyszałeś, coś podobnego? Czy nie idjota ze mnie?

— Idjota! — zgodził się spokojnie Zygmunt, przewracając się na drugi bok. — A teraz całuj psa w nos, idź do djabła i nie przeszkadzaj mi spać!

— A, drabie jeden, toś ty tak mnie urządził, a teraz myślisz, że będziesz sobie spać spokojnie? — złościł się Alfred. — Janek! — krzyknął, widząc we drzwiach głowę chłopaka, który zaglądał zaciekawiony, czego dziedzic tak krzyczy, i wskazując mu dzban z wodą: — bierz to i lej mu na łeb!

Jankowi nie trzeba było tego dwa razy powtarzać. Gdy Alfred jednym ruchem ręki zdarł z nic nie przeczuwającego Zygmunta kołdrę, Janek zamachnął się i całą zawartość wiadra chlustnął na łóżko.

— Aa! — wrzasnął wielkim głosem Zygmunt, zrywając się z łóżka na równe nogi. — Bydlę! Warjat! Tak gościa traktujesz? Aa!...

— Lej drugi dzbanek! — komenderował Gapski.

— Ani mi się waż! — darł się opętany Łapiński, uciekając przed goniącym go z wodą Jankiem. — Słyszysz? Ani mi się waż!

Przeraźliwy wrzask napełnił pokój, darli się bowiem wszyscy trzej: Zygmunt ze strachu, Janek z uciechy, a Alfred z pragnienia zemsty za doznane w ciągu nocy niepowodzenia.

— Czy mogę widzieć się z panem Gapskim? — dał się słyszeć od progu jakiś obcy głos.

Wrzask ucichł, jakby siekierą uciął, a walczący obejrzeli się na drzwi: stał w nich pan Wroński ze zdumieniem patrzący na scenę, jaką miał przed oczyma.

— Proszę pana... Jestem...— bąkał Alfred, zbliżając się powoli i myśląc: — ten mnie teraz potraktuje!

— Przepraszam pana, że nachodzę go o tak wczesnej godzinie, — powiedział Wroński, — ale przyznam otwarcie, że nie mogłem dłużej z tem czekać. Czy pan nie byłby łaskaw wyjaśnić mi celu wizyty, tak nieoczekiwanie złożonej nam dziś w nocy?

— Ależ oczywiście... naturalnie... — mówił niepewnym głosem Alfred, czerwieniąc się i spuszczając wzrok przed badawczem spojrzeniem Wrońskiego. Zdawało mu się, że spali się ze wstydu. Błądząc oczyma po pokoju, napotkał nagle zegarek, zapomniany przez niego na stole. Schwycił go i spojrzał: była za kwadrans piąta. Przyłożył do ucha: stoi.

— Dobrze! — krzyknął nagle zdecydowany na wszystko. — Powiem panu! Przed wyjazdem z wizytą do państwa położyłem się spać. Obudziwszy się, myślałem, że jest za kwadrans piąta, o, tak, jak jest na tym zegarku. Nie spostrzegłem się, że szelma nie chodzi.

To mówiąc, cisnął z rozmachem zegarek o ziemię.

— Najmocniej przepraszam za to pana i szanowną małżonkę pana, — dodał, kłaniając się. — Uczyniłbym to osobiście, ale rozumiem dobrze, że po tem, co zaszło, państwo znać mnie nie będą chcieli i słusznie.



—Ha! ha! ha! — rozległ się na cały pokój śmiech Zygmunta. — Trzymajcie mnie, bo pęknę! Ha! ha! ha!...

— Milcz, błaźnie! — mełł w zębach czerwony jak rak Alfred.

— Szanowny pan pozwoli, że się przedstawię, Zygmunt Łapiński jestem... — rzekł ten ostatni z powagą, wysuwając się nagle na środek pokoju. Dalsze jego słowa zagłuszył wybuch śmiechu, który wyrwał się z ust wszystkich obecnych. Żałosny, a nieskończenie komiczny to był widok. Mokry cały, ze zlepionemi włosami, w długiej koszuli, z której ciurkiem leciała woda, Łapiński zgiął się w poważnym, pełnym uszanowania ukłonie przed Wrońskim. Śmiał się, nie mogąc zachować powagi Wroński, śmiał się wbrew woli Alfred, na całe gardło rechotał uszczęśliwiony Janek!

— Pan zaziębi się, — zawołał wreszcie Wroński, narzucając na tę komiczną postać swe futro.

— Nic mu nie będzie, — śmiał się dalej Alfred. — Piec aż bucha od żaru!

— Ma pan przed sobą ofiarę przyjaźni, bezinteresownej, oddanej przyjaźni, — z niewzruszoną powagą mówił Zygmunt. —Zadar serca mego ten oto bandyta w tak fatalny sposób przyspiesza chwilę, w której w Królestwie Niebieskiem odbiorę nagrodę za me, pełne cnót i poświęceń, życie. Pragnąc jednak do końca wytrwać w cnocie, nietylko nie żywię ku niemu złości, ale przeciwnie, gorąco proszę pana o darowanie temu biedakowi jego nocnego na dom pański najazdu.

— Ależ oczywiście, nie ma o czem mówić, — odpowiedział Wroński, ściskając ręce obydwóch przyjaciół.

— Wina! — krzyknął Zygmunt, ucieszony z nadarzonej szczęśliwie okazji. — Takiego gościa nie sposób puścić na sucho!

Wnet znalazło się wino i potoczyła się wesoła rozmowa, ale to już do opowieści o niefortunnej, nocnej wizycie pana Alfreda Gapskiego nie należy...



A. SOCHACZEWSKA

GWIAZDKOWA ŻONA



NIE można było ani na chwilę przypuszczać, by Jan Koryda powrócił do zdrowia. Nawet i on o tem zwątpił i naprawdę w głębi duszy był mocno przekonany, że właściwie żyć niema po co. Nawet z pewnem zniecierpliwieniem oczekiwał śmierci. Niechby już raz djabli...

Jan spał teraz prawie po całych dniach; w nocy bywało trochę gorzej, bo i gorączka zwiększała się i trapiły go jakieś uciążliwe, męczące widma. Ale ostatecznie przyzwyczaił się i do tego; więcej męki, mniej męki — wszystko jedno, i tak umrze.

A tu śmierć nie przychodziła, przychodzili natomiast przyjaciele i krewni, którzy z uśmiechniętą twarzą twierdzili, że Jan coraz lepiej wygląda i nawet — Boże kochany — tyje!

Jan z początku traktował te wizyty przyjaźnie, można nawet powiedzieć oczekiwał ich z pewną niecierpliwością, potem zaczęły go nudzić, aż wreszcie z dosłyszanych półsłówek dowiedział się, że — o zgrozo! — czekają na jego spadek i jego, krótko mówiąc — śmierć!

Jan tedy oznajmił wszem wobec i każdemu z osobna, że umrzeć ani myśli i że przyjemność zrobią mu ci wszyscy, którzy już nigdy nie przestąpią progu jego domu.

I pozostał sam. Przykazał lokajowi, aby wszystkim, którzyby chcieli odwiedzieć "kochanego" wujcia i stryjcia — oznajmiał, że pana niema w domu i prawdopodobnie przez dłuższy czas nie będzie.

Koryda trząsł się od śmiechu, kiedy słyszał jak po każdem takiem zapewnieniu Wincentego zatrzaskiwały się drzwi za "stęsknionym" intruzem, który jego, Jana, chciał ujrzeć nareszcie umarłym.

A on jakby na złość wszystkim żył jeszcze i nawet czuł się coraz lepiej. Do tego Jan bał się przyznać otwarcie; o tem nieznacznem ale ciągłem polepszaniu zdrowiu bał się pomyśleć; bał się, by nie spłoszyć i nie zniszczyć sił, których napływ poczuł w sobie.

I nagle przyplątała się do niego myśl, że to niewytłumaczone i nieprzewidziane polepszenie jest tylko nieomylnym znakiem zbliżającej się śmierci.

Czasami porywał go bunt. Cóż u licha, on, mężczyzna trzydziestosiedmioletni, nie kaleka i nie kretyn, pan trzech majątków, trzech wyścigowych stajen, — rozpieszczony benjaminek fortuny, lew salonowy i bożyszcze kobiet — miałby umrzeć? Umrzeć na pociechę rodziny i rozwydrzonych kuzynek, umrzeć, kiedy, na Boga, nic w życiu nie zrobił? Ten wyrzut nawiedził go dopiero w czasie choroby. Niech piorun wszystko spali, on żyć będzie!

W tych dniach szamotania się i niepewności przyszedł do niego list ze stemplem z Paryża. Jan długo go obracał w rękach, zanim przeczytał krótkie słowa, skreślone zamaszystym charakterem pisma:

"Dowiedziałam się, że jesteś chory, przyjadę w tych dniach do ciebie. Anka."

Anka... Był wówczas dwudziestopięcioletnim studentem...

Pewnego dnia w wesołem towarzystwie kolegów jechał odkrytym powozem. Skądciś wzięła się ta mała roznosicielka gazet, która skoczyła na stopień powozu z nieopisaną wprawą i zręcznością. Oczywiście Jan gazety nie kupił, ale wcisnął w rękę małej zwitek banknotów. Lecz stała się rzecz dziwna: mała, widząc, że otrzymuje jałmużnę, rzuciła mu pieniądze na kolana i równie szybko zeskoczyła z powozu. Rozbawione towarzystwo kazało zatrzymać konie. Jakież było ich zdziwienie, kiedy ujrzeli małą, jak uniósłszy sukienczynę, zrobiła w ich kierunku gest, który był wyraźną obrazą moralności.

A jednak ten gest zastanowił Jana. I podczas, kiedy jego wesoła kompanja zanosiła się od śmiechu, on myślał o dziwnych rzeczach.

Jakto? Ta mała, oberwana nędzarka, ten dzieciak, wychowany prawdopodobnie nad rynsztokiem, posiadał tyle ambicji i pychy? Nigdy nic podobnego w życiu nie spotkał.

Myśl o niej nie opuszczała go przez następne dni, aż wreszcie dopiął swego: dziewczynkę sprowadził do domu i zaopiekował się nią najzupełniej formalnie i w największej tego słowa rozciągłości.

Rodzina jego trzęsła się z oburzenia, reszta "towarzystwa" albo snuła najnieprawdopodobniejsze domysły, albo wzruszała lekceważąco ramionami na ten objaw "pańskich wyskoków".

A Jan się uparł. Żadne tłumaczenia ciotek i babek, żadne

"przemawiania do rozsądku" nie pomogły.

Łożył na wykształcenie Anki i z ciekawością obserwował inteligencję tego rozpuszczonego siedmioletniego dzieciaka.

Anka była sierotą. Biedny młodociany opiekun miał nielada kłopot z rozkiełznaną, hardą dziewczyną, która traktowała go z dziwną nonszalancją i lekceważeniem.

Ulica nauczyła ją odwagi, a wrodzona rzutkość i niewytłumaczona w tem dziecku pycha dopełniła reszty.

Do lat czternastu Anka wychowywała się w domu Jana, otoczona gromadą guwernantek i bon.

Aby utrzymać jaki taki ład w domu i ustanowić kontrolę nad niesforną pupilką, Jan przyjął na stałe jednę ze swych dalekich kuzynek, która od niepamiętnych czasów odznaczała się cichą pokorą i chronicznym brakiem pieniędzy. Ta dobra, staropanieńska dusza miała jakoby kłaść hamulec na rogaty, czupurny charakter Anki.

Rozumie się, była to tylko teorja, bo Anka rządziła wszystkiem. Jej stosunek do Jana, dotychczas sękaty, nierówny i niespokojny, stosunek, jaki może być tylko między dzikiem, obserwowanem zwierzątkiem a ciekawym obserwatorem — zmienił się zasadniczo od chwili, kiedy Jan uległ ciężkiemu wypadkowi: Oto raz, będąc w laboratorjum swego przyjaciela chemika, spowodował niechcący wybuch jakiejś gryzącej mieszaniny. Niebezpiecznie poparzonego, omdlałego z bólu, przyniesiono go do domu.

Wtedy dopiero Anka pokazała co umie. Wysiłkiem woli zamknęła w sobie swój buntowniczy, rwący temperament i snuła się po pokojach cicha i spokojna, nieomal tak jak jej opiekunka—ciotka Anastazja. Siadywała po całych dniach i nocach przy łóżku chorego, znosząc jego kaprysy i wymagania...

Gdy Anka zaczęła rok piętnasty, Koryda poważnie zamyślił się nad przyszłością dziewczyny. Chować ją nadal u siebie w domu było niemożliwością, wiedział o tem doskonale. Umieścić ją w pensjonacie — nie chciał; radzić się nikogo nie mógł, nie pozwalała mu na to ambicja człowieka, który kilka lat temu odrzucił wszelkie rady i wszelką pomoc. Mógł się radzić tylko Anki. I tu spotkała go nieczekiwana odpowiedź:

— Chcę wyjechać zagranicę.

Był zdumiony, ale musiał przyznać w duchu, że dziewczyna dobrze wybrała. Chciała tam skończyć wyższą szkołę, a potem wstąpić do szkoły sztuk pięknych. O zdolnościach jej do malarstwa wiedział, ale nie przywiązywał do tego żadnej wagi. Teraz jednak, kiedy Anka wyraźnie zapragnęła kierunku kształcenia się, nie wahał się ani chwili.

Wybrano Paryż. Anka wyjechała z ciotką Anastazją i przez trzy lata Jan otrzymywał krótkie pocztówki, regularnie przesyłane przez ciotkę Anastazję, z których dowiadywał się o istnieniu i postępach swej pupilki. Sama Anka pisywała bardzo rzadko i skąpo. Wreszcie któregoś dnia zawiadomiła swego wychowawcę, że ciotka Anastazja umarła.

W jakiś czas potem otrzymał list, w którym Anka dziękowała za opiekę i pomoc, zawiadamiając, że chce prowadzić życie samodzielne, że zatem kwoty pieniężne, przysyłane regularnie przez opiekuna, są zupełnie zbyteczne. Na końcu tego listu kilka prostych, ale serdecznych słów, z których Jan dowiedział się, że nigdy nie będzie zapomiany.

Przez ostatnie dwa lata wiadomości o Ance ustały w zupełności. Ani listu, ani nawet pocztówki, ani słowa. Aż dopiero teraz spadła na niego nagle wiadomość, że Anka ma przyjechać.

Jan niecierpliwił się. Leżał teraz całemi dniami, patrząc w sufit, albo na wyiskrzone mrozem szyby. Ponieważ miewał dreszcze, kazał palić w olbrzymim piecu po kilka razy dziennie. Słuchał z lubością szumu płomienia i charakterystycznego szczęku zamykanych drzwiczek.

Któregoś wieczoru ktoś delikatnie pociągnął za dzwonek. Stary lokaj podreptał szybko do drzwi, potem szybciej podbiegł truchcikiem do pokoju Jana.

— Proszę jaśnie pana... przyjechali...

— Kto przyjechał? — Jan oparł się na łokciu.

— Panienka z dzieckiem.

W tej chwili weszła Anka. Podeszła szybko do Jana, w kapeluszu na głowie, prosta, śniada, zmieniona do niepoznania.

Nim podali sobie ręce Jan spostrzegł, jak szybko w oczach jej mignął płomyk przerażenia, a potem znany mu już wyraz spokoju i pewności siebie.

— Zmieniłeś się, Janie.

Po krótkiem przywitaniu rozgościła się swobodnie. Stała się rozmowna i miła, przysunęła stolik do łóżka Jana i piła herbatę razem z nim, bawiąc go opowiadaniem o podróży.

Jan patrzył z wytężeniem na jej twarz. Dziwnem mu się zdawało, że ani na chwilę nie spostrzegł w niej zmieszania czy niepewności. Ot, tak, jakby się wczoraj rozstali. Machinalnie poprosił o drugą filiżankę herbaty, potem jeszcze o jeden sucharek. Wszystko co Anka mówiła o sobie przesuwał w myślach gdzieś na bok, dając się rozgościć jedynej, jednej myśli: "Skąd dziecko?"

Wyraźnie słyszał dziecinnie seplenione słowa w którymś tam pokoju. Anka wciąż mówiła dalej. W pewnej chwili Jan przerwał:

— Mam wrażenia, Anko, że trzeba, byś się zajęła... dzieckiem... Jest przecież znużone podróżą...

Dziewczyna wzięła jego dłoń w swoje ręce.

— Janie, właśnie chciałam się zapytać... Więc pozwolisz, żeby ze mną zostało?

— Ależ naturalnie... Jest przecież...

Nie dokończył, gdyż była już za drzwiami.

....

Jan dziecka nie lubił. Patrzał zawsze na chłopca z pewną rezerwą i zawsze z oddalenia. Dzieciak był cichy i spokojny, garnął się tylko do Anki i tylko ona miała jego zaufanie.

Mijały tygodnie. Tak się jakoś złożyło, że kwestja dziecka nie została więcej poruszona. Ponieważ zdrowie Jana znacznie się polepszyło, postanowiono święta spędzić na wsi. Wyjechała najpierw Anka z małym Tomkiem, a w kilka dni później zjechał otulony w futra i pledy Jan z nieodstępnym Wincentym.

Dwór zastał oświetlony i ciepły. Nawet w olbrzymim hallu, gdzie w każdej porze roku wiał od ścian przejmujący chłód, ciepło było i przytulnie. Z góry dochodziły dźwięki fortepianu i śmiech Tomka.

Potem raptowna cisza, szybkie kroki na schodach i wbiegła rozpromieniona, uśmiechnięta Anka. Uścisnęła mu serdecznie rękę i zaraz zaprowadziła do jego pokoju.

— Nie boli cię już, prawda? Lepiej wyglądasz, Janie...

— Dziękuję ci, Anko. Tak, lepiej się czuję.

Potem pozostał sam. Powoli podszedł do biurka i rzucił się w głęboki miękki fotel. Naraz tu, w tym pokoju, gdzie spodziewał się zastać spokój i ukojenie, ogarnęło go przemożne uczucie nudy, i tego, czego za żadne skarby świata nie chciał nazwać po imieniu. Czyż to możliwe? Czy możliwe?

Przypominał sobie rok po roku nieomal każde swoje słowo, każdy gest, przypominał sobie drobne zajścia, sprzeczki i nieporozumienia, jakie miewał z małą Anką; dźwięczały mu w uszach buntownicze, rozkrzyczane, złe słowa dziecka... Nie, tamto dawniej go bawiło, interesowało nieraz... Teraz, musiał wreszcie przyznać sam, teraz kochał ją...

Wcześniej czy później musiał to sobie powiedzieć, jak również i to, że mały Tomek był jej synem.

I tu wszystkie jego poglądy na charakter Anki rozbijały się w puch, wszystkie jego wolnomyślne i postępowe teorje stawały się marnemi, pustemi dźwiękami, gdy chodziło o jej osobę; wiedział tylko, że cierpi i że te święta, które chciał spędzić zdaleka od miejskiego gwaru i swych przyjaciół i krewnych, nie będą ukojeniem.

....

Za kilka dni miała się odbyć tradycyjna, wigilijna wieczerza. Ponieważ Jan nie wychodził prawie wcale ze swego pokoju, przyszła do niego Anka.

Siedział zajęty rysowaniem jakiegoś planu.

— Janie... — i tu po raz pierwszy spostrzegła, że trudno jej mówić mu po imieniu.

— Janie, przyszłam zapytać o wilję. Ponieważ to będzie nasza pożegnalna uczta, bo zaraz po świętach wyjeżdżam, chciałabym, aby było uroczyście. Przytem musi być choinka dla Tomka i zresztą dla nas samych, rozumiesz?

Jan poruszył się niespokojnie na krześle.

— Chcesz wyjechać?

— Naturalnie. Mam tam mnóstwo prac zaczętych i zresztą nie mogę teraz przebywać w twoim domu.

Zapalił papierosa, poczem wyrzekł powoli:

— Tak... nie możesz u mnie zostać... Ale, Anko, powiem ci rzecz ważną... Nie bierz z sobą Tomka do Paryża, mam wrażenie, że będzie ci tam przeszkadzał, zostaw go mnie, będę go tak chował jak ciebie, jak... mego syna...

— Dziękuję ci!

Anka szybko zbliżyła się do niego. Oczy jej płonęły.

— Oh, Janku, niema chyba lepszego jak ty człowieka... Chciałam ci to dawno, bardzo dawno powiedzieć, kiedy jeszcze byłam małą dziewczynką. I wiesz... to mnie najwięcej męczy, że chyba nigdy nie potrafię ci się odwdzięczyć... Ale chłopca wezmę, kocham go i nie mogłabym rozstać się z nim...

Jan patrzał w okno, na pusty biały ogród, na szronem przysypane drzewa.

— Tak, tak... rozumiem to... Rób zawsze tak, jak myślisz... Rozumiem...

....

W dzień wigilijny padał deszcz i strumienie wody uderzały w szyby monotonnym szelestem. Jan powstrzymywał gorzki ból i zniechęcenie, i jako dobry, wzorowy gospodarz troszczył się o wszystko i o wszystkich.

Zajrzał nawet do kuchni. W blasku ognia widział krzątającą się Małgorzatę i Ankę, rozpłomienioną, żywą. Miała umączone ręce. Na widok jego uśmiechnęła się radośnie.

W kąciku, za krzesłem siedział Tomek, robiąc z ciasta maleńkie placuszki. Jan zbliżył się do niego. Patrzył na ciemną głowinę i szeroko otwarte, ciemne oczy.

— A jednak do Anki wcale nie jest podobny — myślał z odcieniem zadowolenia.

Tymczasem Tomek ujął go za rękę.

— Czy to prawda, że ty mi ubilałeś choinkę i że coś dostanę?

Jan leciutko pogłaskał go po twarzy.

— Prawda, Tomku, choinka i wszystko jest dla ciebie i dla... Anki.

— I dla Anki — powtórzył chłopiec poważnie.

....

Nad wieczorem Jan stał się niewidzialny; nawet nie zajrzał do pokoju, gdzie Anka czyniła tajemnicze przygotowania pod choinką. Ostatni złoty łańcuch był już zawieszony. Stanęła zdaleka, by podziwiać swe dzieło. I nagle wszystko wydało się jej smutne i puste. Oto po raz ostatni zasiądzie do stołu z Janem. Ostatni raz będzie jeść z nim wilję. Potem znów sama gdzieś u obcych ludzi, sama, bez nikogo. Właściwie żyje niewiadomo dlaczego... Wprawdzie ma swoją sztukę i swego Tomka, ale to

przecież nie może zastąpić... Czyż to możliwe, by właśnie ona, jego... Jana tylko pokochała?

Teraz uprzytomniła sobie, że to była wielka prawda i prawdzie tej spojrzała śmiało w oczy. Kochała go oddawna, nie wiedząc sama o tem. A jakże teraz ciężko porzucić nieświadomą a silną miłość i nadzieję...

Łamali się opłatkiem nie patrząc sobie w oczy. Zwykłe, banalne życzenia zdrowia, szczęścia... Przy tem "szczęściu" oboje opuścili głowy...

Tomek siedział pod choinką, oburącz ściskając za szyję wypchanego konika. Tyle cudów jeszcze nigdy nie widział: mieniące się gwiazdy na zielonem drzewku, długie złote nitki, puch śnieżny, maluśkie czerwone gruszeczki, które w ustach rozpływają się w cudownym smaku... Miał pełen fartuszek orzechów, a gdyby tylko chciał—dostałby od Anki jeszcze jeden talerzyk przysmaków. Ale już jeść nie chce, ma oto konia, oto jest zbłąkany w lesie i kryje się pod drzewem... Drży. Przy poruszeniu gałązki spada mu na głowę płatek śniegu i trąca go złocista szyszka na długim drucie. Ogniki w gałązkach się palą, chrobocą w fartuszku wielkie, pomarszczone orzechy.

Tomek słyszy, jak z dołu, z kuchni ktoś śpiewa grubym głosem "W żłobie leży", potem piskliwie i cieniutko: "...kolędować małemu"... To głos Małgorzaty. Głowa opada mu na dywan, potem rączkami ściska znów konia i usypia, jak prawdziwy wędrowiec, w prawdziwym lesie, w towarzystwie najprawdziwszego rumaka. Nie słyszy i nie widzi, jak tamci dwoje jedzą ostatnią smutną wilję.

— Janku, to takie przykre, że ja ci nic dać nie mogę... Doprawdy, ta bransoletka jest tak cudna, że chyba nigdy nie będę miała odwagi włożyć ją na rękę.

Odeszli od wigilijnego stołu, by zasiąść przy małym stoliczku, na którym Wincenty postawił przed chwilą maszynkę do kawy. Rozdzielała ich mała lampka z kokietryjnym, liljowym abażurkiem. Tuż przy talerzyku Anki migotała wspaniała bransoleta, którą Jan ofiarował jej na gwiazdkę.

— Ja ci nic dać nie mogę...

Uśmiechnął się lekko, potem nagle twarz mu spoważniała. Odsunął gwałtownie lampę i już bez przeszkody spojrzał jej prosto w oczy.

— Anko, chcę porozmawiać z tobą... Już nie odjeżdżaj... zostań u mnie... zostań u mnie na zawsze... Chcę, byś była moją żoną. Anko... twojego syna już razem będziemy wychowywać... Zostań ze mną!

Twarz skurczyła mu się wielkiem cierpieniem i wielkiem uczuciem.

Dziewczyna patrzyła w tę twarz nieruchomemi, zdumiałemi oczyma.

Nagle pojęła wszystko.

— Ty myślałeś... ty myślałeś... O Boże! Rozumiem teraz... Więc dlatego byłeś dla mnie taki chłodny i taki obcy... A ja sądziłam, że on cię nie interesuje, nie pytałeś nigdy... Wogóle o nic nie pytałeś i dlatego ja sama nigdy o tem nie mówiłam... Więc przypuszczałeś, że... że Tomek jest moim synem?

Na twarz jej buchnęły rumieńce.

— Anko, co to znaczy?

— To znaczy, że Tomek—to biedny sierota, mały Francuzik, który został mi w spadku po mojej gospodyni w Paryżu... Wiesz, chciałam się nim zaopiekować, jak ty mną, gdy byłam taka mała i taka niczyja... I, Janku... ja ciebie... ja ciebie... dawno...

Otoczyły ją silne kochające ramiona. Usłyszała radosny, szczęśliwy głos:

— Dałaś mi najśliczniejszą gwiazdkę, najdroższy prezent na święta... Siebie dałaś mi, Anko, moja ty najdroższa, gwiazdkowa żono!

A Tomek uśmiechał się przez sen, bo mu się zdawało, że z wysoka, z choinki spadła na niego najcudowniejsza gwiazdka i przylgnęła mocno do jego serduszka.

KOLENDA

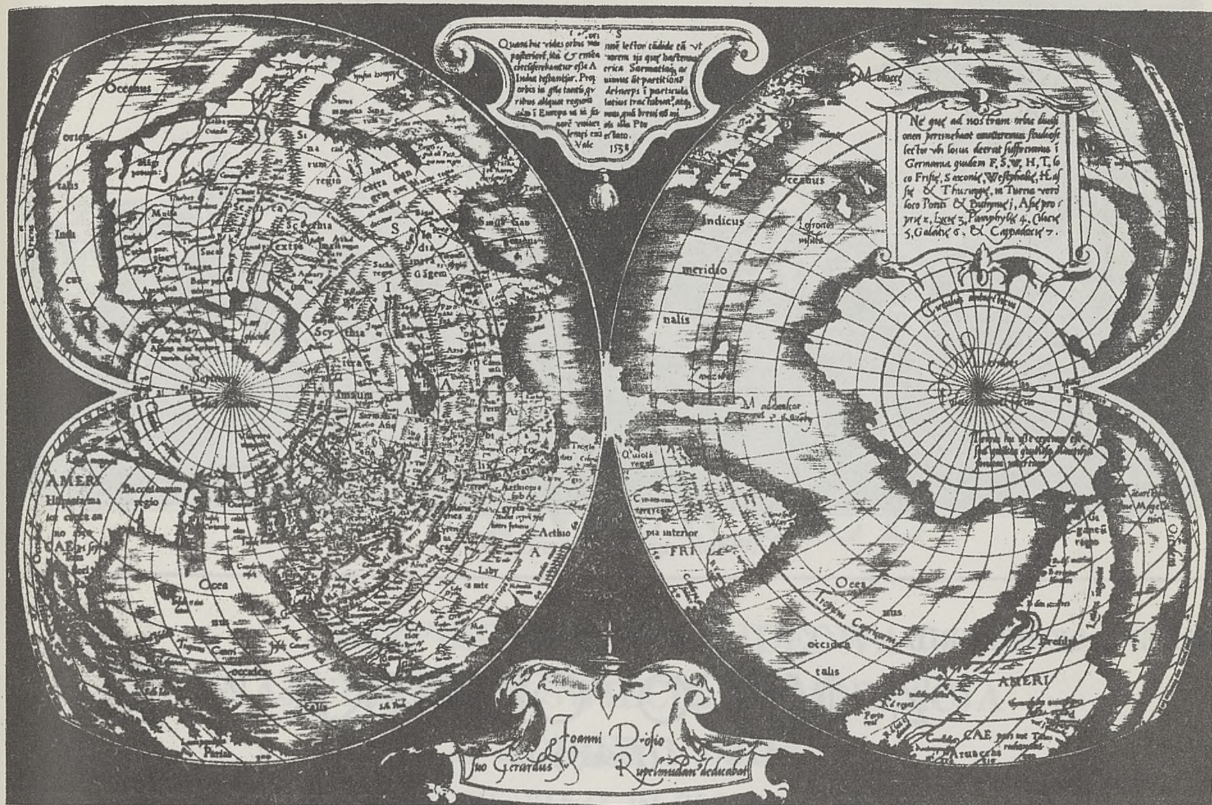
Nie w Betlehem, Galilei bardzo podłem mieście,
Ale w Polsce mały Jezus rączką gwiazdy pieścił,
Matka Boska wieczorami lniane nitki przędła
I śpiewała z prząśniczkami: Kolęda, kolęda!
A zaś Józef, cieśla święty, już od wielu laty
Stawiał chłopom kryte słomą stodoły i chaty...
Zaorywał pługiem ziemię, po roli szedł boso,
Siał pszenicę, jarkę, grykę, jęczmień, żyto, proso.

Rosło zboże, rosło, rosło, wysoko pod dachy.
Święty Józef klął na wróble i ustawiał strachy.
Mały Jezus mówił ptakom: Nie bójta się płaty,
Straszydliska-gałganiska, drewnisko i szmaty.
Więc nie bały się wróblęta i dziobały kłoski...
Oj, gniewał się święty Józef, skarżył Matce Boskiej.
Mały Jezus z chłopakami pasł krowy na łące
I ligawki dla zabawki wykręcał grające.

Wieczorami pod oknami siadali sąsiedzi,
Godzinami rozprawiali, gadali o biedzie...
A Jezusik — hop-sa, hop-sa — z podwórzowym Burkiem
Danaż-moja, dana-dana — z górki na pazurki!
Częstowali go śliwkami, gruszkami i miodem
Sołtys Kasper, wójt Baltazar, Melchjor i Nikodem.
Nie w Betlehem, Galilei bardzo podłem mieście,
Ale w Polsce mały Jezus rączką gwiazdy pieścił...
Matka Boska wieczorami lniane nitki przędła
I śpiewała z prząśniczkami: Kolęda, kolęda!

ALEKSANDER MALISZEWSKI.

ŚWIAT W LICZBACH.



Mapa świata z przed 400 lat.

Mapa półkul (północnej i południowej) w rzucie sercowatym podwójnym, wydana w r. 1538 przez Gerarda Mercatora (1512—1594). Jest to jedna z pierwszych prac tego największego kartografa XVI w., mimo to ilustruje znakomicie ówczesny stan wiedzy geograficznej, gdyż Mercator przy jej opracowywaniu oparł się na najlepszych wówczas materiałach kartograficznych, zużytkowując m. in. także wyniki pierwszej podróży naokoło świata Ferdynanda Magelana (1519—1521). Nie mniej jednak, jak widać z mapy, przedstawienie wnętrza wszystkich lądów wykazuje jeszcze ogromne luki i błędy, a równie wadliwie odtworzone zostały wybrzeża i wyspy O. Spokojnego oraz pn. części Atlantyku, gdzie np. Grenlandia ma połączenie lądowe z Europą. (Reprodukcja wg A. E. Nordenskiölda, Facsimile—Atlas.)

ELEMENTY KULI ZIEMSKIEJ

Promień równika	6,378,388 km.
Pół osi ziemskiej	6,356,009 ”
Obwód równika	40,070,368 ”
Obwód zwrotnika	36,778,000 ”
Obwód południka	40,003,423 ”
Obwód koła polarnego	15,996,280 ”
Powierzchnia ziemi	510,156,300 km. kw.
Objętość ziemi	1,082,841,315,400 km. sze.
Masa ziemi	6,000,000,000,000,000,000,000 ton
Średnia gęstość ziemi (woda—1)	5,52
Gęstość warstwy powierzchniowej	2,7—2,8
Gęstość jądra (wedł. H. Haalcka)	9,2—11,2
Ciśnienie w jądrze ziemi	3,100,000 atm.
Masa atmosfery	5,150,000,000,000,000 ton
Długość ekliptyki	936,250,000 km.
Średnica odległości Księżyca	384,892 ”
Odległość w perigeum	356,410 ”
Odległość w apogeum	406,710 ”
Odleg. od Słońca w perihelium	146,950,000 ”
Odleg. od Słońca w aphelium	151,960,000 ”
Średnia odległość od Słońca	149,450,000 ”

Według pomiarów holenderskiego geofizyka Vening Meinesza, r. 1934, środek masy Ziemi nie pokrywa się z jej środkiem geometrycznym, co ogólnie uważano za pewnik od czasów Keplera, ale jest przesunięty ku pn. o 65 m.

LĄDY I MORZA

Powierzchnia lądów.............. 149,097,100 km. kw. tj. 29,40%, czyli ponad jedną czwartą całej powierzchni.

Powierzchnia wód .... 361,059,200 km. kw. tj. 70.6%, czyli blisko ¾ całej powierzchni ziemi.

Objętość wód morskich ....1,370,000,000 km. kw.

Do oceanów wpływa rocz. wód rzecz. 30,600 km. sz.

Średnia wysokość lądów — 710 m.

Średnia głębokość oceanów — 3,795 m.

Średnia wysokość powierzchni ziemi — 2,418 m.

(Na strefę gorącą przypada 39.7% całej powierzchni kuli ziemskiej, na strefy umiarkowane 52,0%, na strefy zimne 8.3%. Na lądy pokryte obecnie lodami przypada 15 milionów km. kw., tj. 10% ogólnej powierzchni kontynentów.)

DANE Z BADAŃ WSZECHŚWIATA

Astronomowie używają teleskopów około 300 lat.

Astronomia istnieje około 3,000 lat.

Ludzkość istnieje na Ziemi około 1,000,000 lat.

Życie organiczne istnieje na Ziemi około 300 milionów lat.

Wiek Ziemi (od czasu skrzepnięcia jej powierzchni), na podstawie przemiany uranu w ołów, około 1,600,000,000 lat.



Widok ogólny Tarnopola

JÓZEFA SKOWZGRID

Z MEGO OKIENKA

(Ideały)

Na czwartym piętrze, przy mym okienku,
Lubię siadywać w szarych godzinach,
Zdala od świata, trudu i zgiełku,
Za ideałem błądzić w wyżynach;
Błądzić i szukać, w sobie wyczuwać,
Ukochać wszystko, wszystkich i . . . dumać.
Lecz czasem z głębi mojej istoty,
Coś jakby pyta, wymówki czyni,
Jaki cel mają samotne wzloty?
Gdy w nich udziału nie biorą inni,
Co ludziom, światu ze siebie dałam,
Za nie ziszczonym mknąc ideałem.
Wtedy słuchając głosu sumienia,
Spowiedzi—może bez rozgrzeszenia,
Prędko przymykam moje okienko,
Do pracy myśli, do trudu, zgiełku,
Z czwartego piętra na ziemię schodzę,
I ludzi szukam na mojej drodze.
Każdemu w oczy zaglądam szczerze,
Nie dbam rozumem, wielki czy mały,
Ja ducha szukam—chcę wierzyć, Wierzę!!
Że w każdej duszy są ideały.
Bo mi coś mówi, nie chodź daleko,
Nie pora jeszcze za błękitami,
Szukaj na ziemi, szukaj w człowieku,
A przede wszystkim znajdź w sobie samej,
I coś mi mówi i coś mi szepce,
I coraz jaśniej w duchu pomroce.

Myślami widzę dziecko w kolebce,
I uśmiech matki w bezsennej nocy,
Pracę maluczkich, co w każdej dobie,
Wartość jej dłońmi twardemi dają,
Ludzie nauki, którzy na sobie
Praktykę czynią—i umierają—
Słucham o prawdzie mówiących śmiele,
Szukam odważnych bez próżnej chwały,
Do ksiąg zaglądam, czcząc myślicieli—
I w duchu wołam—to ideały.
W godzinie zwątpień—coś iść mi radzi,
Za tym zbiorowym ducha promieniem,
Do domu starców, sierot prowadzi,
Pokornie klęka przed poświęceniem,
Gdzie ludzkość prawdę świadczy czynami,
Jak nad wiecznymi mknie pomnikami,
I idąc ze mną poprzez świat cały,
Wskazują pracę i ideały.
Więc gdy już wracam w swoją samotnię,
Myśli me biegną w stronę zawrotnie,
Bo przez okienko od stron im znanych,
Do ideałów biegną kochanych.
I tylko czasem w owe godziny,
Biegnąc ku niebu—wzrok mój wysłały
Z prośbą by zechciał Ten nad wyżyny,
Zesłać prąd światła w me ideały.

Chicago, Ill.



ZWIĄZEK POLEK W AMERYCE

UBEZPIECZENIOWA I IDEOWA
NAJWIĘKSZA W ŚWIECIE ORGANIZACJA
DLA KOBIET I DZIECI
LICZY PRZESZŁO 91,000 CZŁONKIŃ

GRUPY W KAŻDYM WIĘKSZYM OSIEDLU POLSKIM
W STANACH ZJEDNOCZONYCH

Prowadzi Klasy Tańców Ludowych Polskich Dla Młodzieży
Wydaje Stypendia Do Uniwersytetów Amerykańskich

ZASOBY: PRZESZŁO $21,000,000
OD ZAŁOŻENIA WYPŁACONO PRZESZŁO
$13,706,258 POŚMIERTNEGO

GŁÓWNE BIURA:

Polish Women's Alliance of America

1309 North Ashland Avenue

Chicago 22, Illinois

Polskie Pisma w Stanach Zjednoczonych Ulegają Likwidacji



J. S. ŚWIERCZYŃSKI,
Zarządca Pism Z. N. P.

POLSKIE SPOŁECZEŃSTWO w Stanach Zjednoczonych jest zaniepokojone tragiczną sytuacją Prasy Polskiej w Ameryce.

Parę lat temu przestał się ukazywać w Buffalo zasobny dziennik i wytworzyła się tam luka w działaniu Polonii wprost nie do zastąpienia.

Uległ likwidacji inny poczytny dziennik polski w Bostonie i przeszedł na tygodnik—Polonia tamtejsza została bez trybuny, z której mogła się upominać o swoje prawa. Nie wychodzi już więcej jeden z najstarszych dzienników polskich w Milwaukee, gdyż został zmuszony przez ciężkie warunki do kapitulacji i stał się tygodnikiem.

Kurczy się stan posiadania prasy polonijnej. Wiele potężnych Organizacji na tym terenie zaprzestało wydawania swoich organów prasowych i likwidują się drukarnie.

POLSKIE SŁOWO pisane, przestaje docierać do czytelników.

Na tle tego upadku i zagrożenia, jak bastion prasy w polskim języku trwa na swoim posterunku DZIENNIK ZWIĄZKOWY.

Wydawnictwa Związkowe w oparciu o największą polską Organizację w wolnym świecie —Związek Narodowy Polski—pracują i wypełniają swoje zadania w służeniu całej Polonii Amerykańskiej.

Wydawnictwa Związkowe drukują urzędowy Organ Związku Narodowego Polskiego—ZGODĘ, która obchodzi 80-lecie swego istnienia. Również drukują co roku KALENDARZ ZWIĄZKOWY w formie książkowej i POLSKI KALENDARZ ŚCIENNY.

Tu przeszło od pięćdziesięciu lat nie milkną maszyny drukarskie i codziennie—za wyjątkiem niedziel—wychodzi spod prasy DZIENNIK ZWIĄZKOWY.

DZIENNIK ZWIĄZKOWY, który jest pismem wszystkich Związkowców, który jest Twoim przyjacielem i informatorem.

Dziennik Związkowy dociera wszędzie—od Kalifornii do New Yorku, od Florydy do Alaski. Prenumerują to pismo żołnierze polskiego pochodzenia w bazach zamorskich, posiada on czytelników w Europie, Australii i Afryce.

Siedziba Dziennika Związkowego w Chicago mieści się we własnym gmachu u zbiegu ulic Milwaukee i Division. Jest to okazały budynek, z którego dumni są Rodacy zwiedzający Chicago. Mieści się on obok gmachu Związku Narodowego Polskiego.

Obydwa te gmachy zostały wzniesione wysiłkiem i ciężką pracą przez dawne pokolenia Związkowców. Każdy kamień i cegła—to pot i wysiłek Wasz, Związkowczyń i Związkowców—to Wasze gmachy, tak jak DZIENNIK ZWIĄZKOWY jest WASZYM pismem. W pracy maszyn drukujących to pismo biją dumne serca Ojców Waszych.

Oby te maszyny nigdy nie zamilkły. Obowiązkiem i powinnością Waszą jest popierać Dziennik Związkowy. Powinnieście to pismo prenumerować, zalecać czytanie go innym. Na Was, Rodacy, opiera się egzystencja Dziennika Związkowego. ISTNIEJE ON DLA WAS I NIE MOŻE ISTNIEĆ BEZ WAS.

Apelujemy serdecznie do wszystkich, którym zależy na istnieniu polskiej gazety, aby przyczynili się do wzmocnienia Dziennika Związkowego.

Dziennik Związkowy przetrwa wszystkie burze i przezwycięży wszelkie trudności, jak dotąd przetrwał, o ile będzie miał za sobą aktywne poparcie Wasze, Związkowcy i Związkowczynie!

Poprzyjcie czynem DZIENNIK ZWIĄZKOWY.

DZISIEJSZE GAZOWE PIECE CZYNIĄ GOTOWANIE O WIELE ŁATWIEJSZYM

Oto kilka automatycznych urządzeń jakie znajdziecie w nowych Gazowych Piecach

•

Nowy Palnik z "Mózgiem" "wyczuwa temperaturę potrawy na każdej patelni, automatycznie dostosowuje płomień by utrzymać dokładną ciepłotę jaką nastawiliście na tarczy. Potrawa nie może przypalić się lub wykipieć. Wszystkie wierzchnie palniki w dzisiejszych gazowych piecach są lekkie i mogą być wyjęte dla łatwiejszego czyszczenia.

Nowa Automatyczna Blacha do Pieczenia utrzymuje ciepłotę jednakowo rozprowadzoną po całej powierzchni . . . nie może spalić lub przepalić potrawy. Blachę do pieczenia można łatwo zmienić na piąty palnik. Jest też do nabycia nowy Rotis-O-Grill z przyrządami do przypiekania, pieczenia na ruszcie i pieczenia na rożnie na otwartym ogniu potraw na wierzchu pieca.

Nowy Piekarnik Kontrolowany Zegarem piecze całe posiłki automatycznie . . . Zaczyna w czasię wybranym przez was . . . a gaśnie gdy pieczenie skończone. Wiele gazowych pieców posiada wbudowany termometr do mięsa, który wskazuje dokładnie temperaturę mięsa pieczonego wewnątrz piekarnika. Flame-Master system kontrolny piekarnika z urządzeniem dla utrzymywania ciepła utrzymuje potrawę ciepłą przez godziny bez potrzeby późniejszego odgrzewania.

Nowe Przyrządy Do Pieczenia i Rotisseries są również dostępne w dzisiejszych piecach gazowych. Mięsa pieczone na różnie na otwartym ogniu na automatycznym rotisserie z pewnością zadowolą całą rodzinę. Nowy pionowy przyrząd do przypiekania z jego palnikiem z podczerwonym promieniem przypieka mięso z obu stron równocześnie—zachowując ustalone soki i smak mięsa.

I jak zawsze przypiekanie na gazie jest bezdymnym.

•

Uzyskujecie wszystkie te urządzenia oraz ekonomię, gdy gotujecie na nowoczesnym automatycznym gazowym piecu. Zobaczcie rozmaitość modeli do nabycia u waszego dostawcy lub w jakimkolwiek biurze Peoples Gas.

•

Nowoczesne gazowe przyrządy i wyposażenie służy wam najlepiej przy gotowaniu, ochładzaniu żywności, ogrzewaniu wody, suszeniu odzieży, ogrzewaniu i klimatyzacji powietrza w waszym domu, oraz paleniu odpadków.

THE PEOPLES GAS LIGHT AND COKE COMPANY

122 SOUTH MICHIGAN AVENUE, CHICAGO 3, ILLINOIS

THE FLAMELESS ELECTRIC KITCHEN

GDY UNOWOCZEŚNIACIE SWĄ KUCHNIĘ, PAMIĘTAJCIE . . .

Elektryczna Kuchnia bez płomienia nie wyjdzie z mody

Pani na powyższym zdjęciu pokazuje nadzwyczajne zalety kuchni elektrycznej bez płomienia. Może ona umieścić swą elektryczną automatyczną suszarkę gdziekolwiek chce, ponieważ nie ma rur opałowych, któreby przeszkadzały. Całe urządzenie do prania można ustawić na małej przestrzeni za ozdobnymi rozsuwalnymi drzwiami.

Naturalnie, elektryczny piec jest ośrodkiem każdej elektrycznej kuchni bez płomienia. Przy pomocy jego, możecie gotować swe posiłki bez nadmiernego nagrzewania swej kuchni (lub gorąca dla was samych).

A ponieważ elektryczne piece nie zużywają opału, więc nie tworzy się brud. Wasza kuchnia (i wszystko w niej) pozostaje czystą dwa razy dłużej.

Zanim wydacie centa na kuchenne przeróbki, postarajcie się o zawodowo przygotowany plan, oparty o wasze specyficzne wymagania i o wasz budżet. Doświadczony specjalista od kucheń może wam wykazać, jak pomysłowe planowanie może zaoszczędzić wam biegania i usunąć niepotrzebne schylania się i sięgania wzwyż.

W sprawie nazwisk i adresów specjalistów w zakresie unowocześnienia kuchen w waszej dzielnicy, zatelefonujcie do najbliższego Commonwealth Edison lub do biura Public Service Company.



Commonwealth Edison
AND
Public Service Company

FLAMELESS
ELECTRIC KITCHEN
So Clean, So Safe, So Modern

SERDECZNE ŻYCZENIA

Na Rok 1962

Składa

NATIONAL TEA COMPANY

Z okazji 80-cio lecia Oficjalnego Organu
Związku Narodowego Polskiego Dwutygodnika

ZGODA

serdeczne życzenia, aby nadal spełniał on chlubne i zaszczytne zadania jakie przypadają w udziale P r a s i e Polskiej w Stanach Zjednoczonych

Również na 82-gą rocznicę Istnienia Związku Narodowego Polskiego, Największej Polskiej Organizacji w Stanach Zjednoczonych w Szlachetnych Poczynaniach Wszelkiej Pomyślności

---

W Sprawach Finansowych Jest Zawsze Dobrze Zasięgnąć Rady Doświadczonej Firmy Hipotecznej, a Wyjdzie Wam To Na Korzyść

HENRY S. BANACH & SON

ZNANA POLSKA FIRMA BANKIERSKO-HIPOTECZNA

Wiele Lat Doświadczenia

Także znany z Pięknego Miejsca Wakacyjnego BANACH ISLAND-FISH PARADISE, Route 2, Box 181, Eureka Springs, Arkansas. Rezerwacje można uczynić zawsze. Piękne, wygodne podwójne kabiny i wiele innych udogodnień.

5606 NORTH WESTERN AVENUE
TELEFON UPtown 8-1700
CHICAGO 45, ILLINOIS

LOOMIS
Savings & Loan Association


Feliks Frankowski, prezes

1359 West 51st St.

Telefon YArds 7-6700 **Chicago 9, Illinois**





Oszczędzajcie w Spółce LOOMIS
Która Wypłaca Wysokie Dywidendy

4½%

Wasze Konta Są Zabezpieczone Do Sumy $10,000

DAJEMY POŻYCZKI NA DOMY
NA BARDZO DOGODNYCH WARUNKACH

ZARZĄD I DYREKCJA

FELIKS FRANKOWSKI, Prezes
TEODOR CISZEWSKI, Wiceprezes
DAVID OPAS, Wiceprezes
ANDRZEJ WASYLIK, Kasjer

JÓZEF E. KWIATKOWSKI, Dyrektor
i Zarządca Pożyczek
TADEUSZ MATECKI, Dyrektor
FRANCES MATECKI, Sekretarz


MIROSLAV LUKAS
Wykonawczy Wiceprezes

OSZCZĘDZANIE JEST RZECZĄ WAŻNĄ!

GDZIE Oszczędzanie Jest Też Rzeczą Ważną

Oszczędzajcie Tam, Gdzie Liczy Się Doświadczenie

NASZA SPÓŁKA OBSŁUGIWAŁA CAŁE CHICAGO OD 1909

KONTA UBEZPIECZONE DO
$10,000
PRZEZ FSLIC

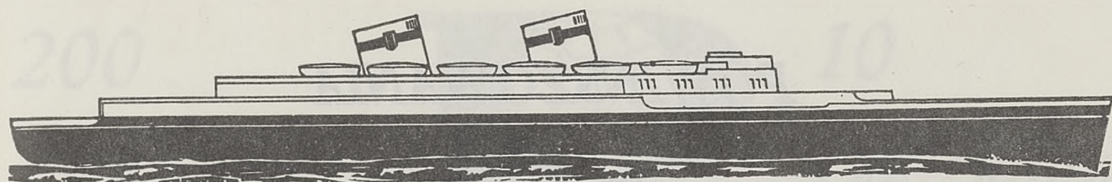
4½%
BIEŻĄCEJ STAWKI DYWIDENDY NA WSZYSTKICH KONTACH







PROSPECT FEDERAL
SAVINGS AND LOAN ASSOCIATION of CHICAGO
1715 West 47th St., Chicago 9, Ill.
LAfayette 3-3145



M.S. BATORY

Odpływa z Kanadyjskich Portów

do Southampton, Kopenhagi i GDYNI

GDY DO POLSKI, TO NA POLSKIM STATKU!

Kto w drodze do Polski wstępuje na pokład Motorowca BATORY, ten znajduje się już w Polsce. Bo czyż można czuć się lepiej, niż pod troskliwą opieką rodaków, w swojskiej, przyjaznej atmosferze ?

Podróż na BATORYM — to przyjemność i zadowolenie, wypoczynek i zabawa. I nigdzie nie karmią tak dobrze, jak na BATORYM: smacznie, pożywnie i obficie.

ROZKŁAD ODJAZDÓW 1962 R.

Z QUEBEC: — 6-go kwietnia; z MONTREALU: — 4-go maja, 8-go czerwca, 6-go lipca, 10-go sierpnia, 14-go września, 15-go października, 13-go listopada; z QUEBEC: — 10go grudnia.



Po wszelkie informacje i rezerwacje zwracajcie się do Lokalnych Agentów lub

GDYNIA AMERICA LINE

PICKFORD & BLACK LIMITED,
General Agents

220 Bay Street, Toronto 1, Canada





IMPORTED POLISH HAMS

The world-famous Polish Canned Meat Products
can be obtained
at your favorite food shop
under the following brands:

ATALANTA • KRAKUS • TALA • P. O. M.

NOW — Available in convenient 2 Lb., 3 Lb., 4 Lb. and 5 Lb. Consumer Sizes.

If You Wish Any Further Information Write To

ATALANTA PRODUCTS CORP.

3-5 HARRISON STREET • NEW YORK 13, N.Y.

L. J. SHERIDAN & CO.

REAL ESTATE

APPRAISALS — MANAGEMENT

111 W. WASHINGTON — RAndolph 6-7744

CHICAGO, ILLINOIS

VICTOR HOKANSON

FRANK WELLS

APPRAISERS

MEMBER — THE AMERICAN INSTITUTE OF REAL ESTATE APPRAISERS

4¼% WYNOSI NASZA BIEŻĄCA DYWIDENDA

Na Wszystkich Kontach Inwestycyjnych

Wasze Oszczędności Zawsze Zarabiają Więcej u Nas . . .



Każde Konto Jest Ubezpieczone Do $10,000.00

Otwórzcie teraz konto . . . Każdy oszczędzający otrzyma piękny prezent. Cieszymy się waszymi przyjacielskimi wizytami.

Nasi Kasjerzy i Pracownicy mówią po polsku.

ST. ANTHONY SAVINGS & LOAN ASS'N

1447 SO. 49th COURT — CICERO 50, ILLINOIS

JOSEPH F. GRIBAUSKAS, EXEC.-SECY. • TEL. TO 3-8131 and BI 2-1397

Assets Over $20,000,000.00

HOURS, MONDAYS 9 TO 8—TUESDAYS, THURSDAYS, FRIDAYS 9 TO 5—SATURDAYS 9 TO 1—WEDNESDAYS CLOSED ALL DAY



FRANCIS X. CONNELL

Przewodniczący Centralnego Komitetu Partii Republikańskiej Powiatu Cook oraz Komityman 37ej Wardy z Partii Republikańskiej

Znany jest on również jako jeden z tych, którzy nie słowem, ale czynem popierają sprawy naszej Polonii, oraz Jej aspiracje.

W 80-tą Rocznicę Założenia Zgody, Organu Związku Nar. Polskiego serdeczne gratulacje oraz życzenia dalszego pomyślnego rozwoju i kontynuowania tej szlachetnej zbożnej, a tak bardzo pożytecznej pracy we wszelkich kierunkach



WILLIAM J. CULLERTON

Alderman 38-ej Wardy



P. J. CULLERTON

ASSESSOR OF COOK COUNTY

Były Alderman 38ej Wardy obecnie Komityman Demokratyczny Tejże Wardy Były Przewodniczący Komitetu Finansowego w Radzie Miejskiej Miasta Chicago

Z Okazji 80ej Rocznicy Założenia Zgody, Organiu Z. N. P., Wszystkiego Najlepszego i Sukcesów w Dalszej Publikacji

---

Serdeczne Życzenia 1962 Roku

PAŃSTWO S. DYBA

WŁAŚCICIELE

●

AMERICAN SPRING & WIRE SPECIALTY CO.

●

816 N. SPAULDING AVE.

Telefon VAn Buren 6-0800

CHICAGO, ILL.

Przesyłam moje z głębi serca płynące życzenia z okazji 80-letniej rocznicy wydawania dwutygodnika ZGODA, oficjalnego organu Związku Narodowego Polskiego, oraz całej Polonii — jak największego rozwoju i owocnej pracy społeczno-narodowej i wszelkich sukcesów we wszystkich zamiarach.



JOHN A. CULLERTON

Trustys, Wiceprezes Sanitarnego Dyst.

W 80-tą rocznicę publikacji Dwutygodnika ZGODA, oficjalnego organu Związku Narodowego Polskiego—serdeczne życzenia kontynuowania dalszej owocnej i pożytecznej pracy we wszelkich kierunkach i poczynaniach.



OTTO F. JANOUSEK

Alderman i Komitymanem 22-ej Wardy

Sędziowie Frank H. Bicek, George B. Weiss Eugene L. Wachowski, Lillian Piotrowski

Stanowa Rep. 30-go Dystryktu Wraz z Całą Regularną Demokratyczną Organizacją

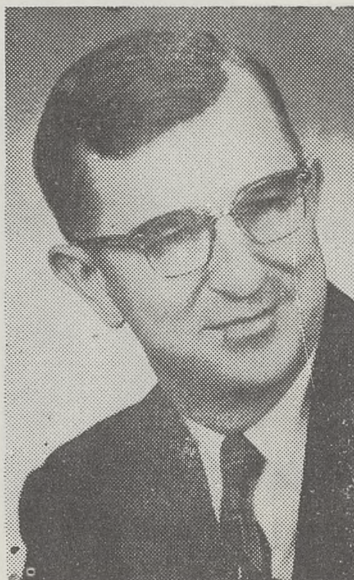
Z Okazji 80ej Rocznicy Istnienia Zgody — oficjalnego organu Z.N.P. — zapewniamy, że sprawy prasy polskiej, sprawy Polonii Amerykańskiej są nam zawsze bliskie i drogie dla nas wszystkich. W roku 1962 oby cele pracy i zamiary dla dobra Polonii i sprawy polskiej zostały osiągnięte.



KAZIMIERZ R. WACHOWSKI

139 NO. CLARK STREET

Telefon FRanklin 2-5107



Z okazji 80-lecia ZGODY najlepsze życzenia wszystkiego najlepszego we wszelkich poczynaniach

Poza regularnymi studiami lekarskimi, po kilku latach praktyki specjalizacji jako chirurg, obecnie urzęduje w swym jedynym biurze nowocześnie urządzonym. Zawsze jest dla usług wszystkich.

DR. TADEUSZ A. POREMSKI

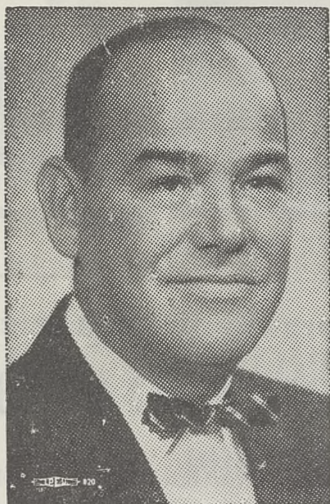
5645 Milwaukee Ave.

Telefon SPring 4-6822

Członek Tow. Bartosza Głowackiego

Grupa 899 ZNP

Dla moich Rodaków Wszystkiego Najlepszego
we Wszystkich Waszych Poczynaniach
i Staraniach dla Dobra
Sprawy Polskiej



TED. J. ZAREMBA

SKARBNIK-SUPERWIZOR
MIASTA CICERO, ILLINOIS

**Zawsze oddany dla dobra Sprawy Polskiej
i zawsze popiera wszystko co polskie.**



POWODZENIA
ŻYCZY

EMIL V. PACINI

**ALDERMAN 10-EJ WARDY
I COMMITTEEMAN**



KAROLINA BUDZ

Wiceprezeska Kongresu Polonii
Na Stan Illinois

Wiceprezeska Gminy 39 Z. N. P.

Kasjerka Tow. Białego Orła, Gr. 2727 Z.N.P.

Organizatorka Związku Narodowego Polskiego

Tel. GRovehill 6-2046

NASZEJ SZANOWNEJ KLIENTELI
DZIĘKUJEMY ZA ZAUFANIE
I POLECAMY SIĘ NADAL
JEJ PAMIĘCI.



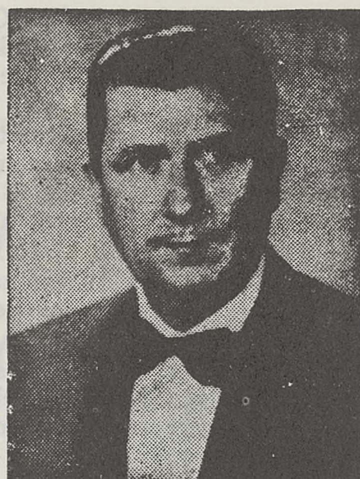
W. SZYJEWSKI i SYNOWIE

WŁAŚCICIELE EUROPEJSKIEGO
SKŁADU WĘDLIN

1941 W. DIVISION STREET

Tel. ARmitage 6-2911

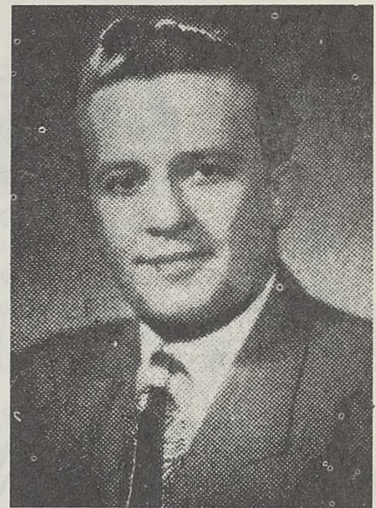
Chicago, Illinois





Serdeczne ŻYCZENIA Na Rok 1962

— przesyłają —



JOHN A. SIEROCIŃSKI

E. JOHN SIEROCIŃSKI

SECOND FEDERAL SAVINGS
AND LOAN ASSOCIATION

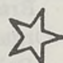
26th STREET I PULASKI ROAD
CHICAGO, ILLINOIS

JOHN A. SIEROCIŃSKI, Prezes

E. JOHN SIEROCIŃSKI, Wiceprezes







B. W. LESNIAK

Biuro w śródmieściu:
188 WEST RANDOLPH STREET
Telefon CEntral 6-6152

Brighton Park:
4268 ARCHER AVENUE
Telefony LAfayette 3-5784-5785
Chicago 32, Illinois

Załatwiamy:
SPRAWY REALNOŚCIOWE, HIPOTEKI
INWESTYCJE, ASEKURACJA
NOTARIUSZKA PUBLICZNA



JAN KOWALSKI

Zawsze zachowuje staropolski zwyczaj względem swych gości, mówiąc:

"CZEM CHATA BOGATA, TEM GOŚCIOM RADA"
Wstąpcie do

RITE LIQUORS

1649 W. DIVISION ST. CHICAGO, ILL.

Na Składzie Mamy Wszelkiego Rodzaju Tutejsze oraz Importowane: WÓDKI, LIKIERY, WINA i PIWA.
Ceny Bardzo Przystępne Dla Wszystkich.

**Z Okazji 82-lecia Istnienia
Związku Narodowego Polskiego**

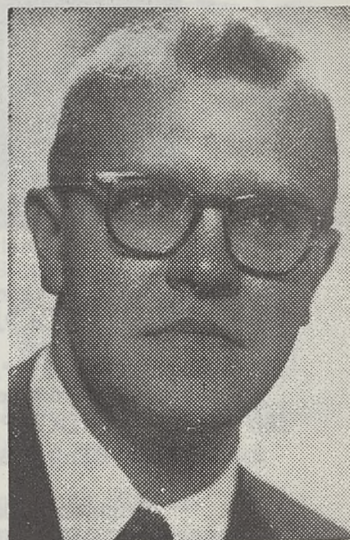
Największej
Bratniej
Organizacji
Polskiej
Na Świecie

Najserdeczniejsze
Życzenia
Wszelkiej
Pomyślności

— i —

Dalszego
Rozwoju ZNP.

— zasyła —



EDWARD J. DERWINSKI

KONGRESMAN 4-GO DYSTRYKTU

Członek Tow. Obrońcy Wolności
Im. Tadeusza Kościuszki, Gr. 1876 ZNP.

Istniejąca
Od 1889



73 Lat
Postępu

DYWIDENDY NA WASZYCH OSZCZĘDNOŚCIACH

Będziecie zadowoleni z nowoczesnej pomocnej obsługi dostępnej Wam w ST. PAUL FEDERAL:

KONTA OSZCZĘDNOŚCIOWE—KONTA INWESTYCYJNE—POŻYCZKI NA DOMY—POŻYCZKI NA UBEZPIECZENIA—H O J N E DYWIDENDY—UBEZPIECZONE ZABEZPIECZENIE—DOGODNE WYCOFANIE—REALIZACJA CZEKÓW—POŻYCZKI NA OSZCZĘDNOŚCI—KLUB GWIAZDKOWY —PIENIĄDZE NA WAKACJE.

ZABEZPIECZONE SKRZYNKI DEPOZYTOWE
DRIVE IN OKIENKA

ST. PAUL FEDERAL SAVINGS AND LOAN ASS'N OF CHICAGO

Instytucja Oszczędnościowa Na 125 Milionów Dolarów
FRANK P. KOSMACH, Prezes
Fundusze Ponad $125,000,000.00

GODZINY BIUR.:— PONIEDZIAŁEK i CZWARTEK 9 DO 4 PO POŁ.; WTOREK i PIĄTEK 9 DO 8 WIECZOREM; ŚRODA i SOBOTA 9 DO 12.

6720 WEST NORTH AVENUE, CHICAGO 35, ILL.
Telefon: NAtional 2-5000

ZATWIERDZONA i NADZOROWANA PRZEZ RZĄD STANÓW ZJEDNOCZONYCH

3 SZEROKIE BEZPŁATNE PARCELE DO PARKOWANIA

NAJSERDECZNIEJSZE ŻYCZENIA

DALSZEGO ROZWOJU ZWIĄZKU NARODOWEGO POLSKIEGO, DOBRA POLONII AMERYKAŃSKIEJ W ROKU 1962

——składają——

URZĘDNICY	**DYREKTORZY**
JOSEPH A. WIEWIORA Prezes	THOMAS J. BOWLER Wspólnik Brighton Bldg. & Maintenance Co.
A. A. MAZEWSKI Wiceprezes	MICHAEL L. CHILETTI Prezes Black Top Roads Company
ANTON J. VALONIS Asyst. Wiceprez. i Kasjer	A. A. MAZEWSKI Adwokat
BERNICE ZAUR Asyst. Kasjer	PREMO WESTOL Prezes Alcon Metal Products, Inc.
ROBERT LOTARSKI Asyst. Kasjer	JOSEPH A. WIEWIORA Prezes



METROPOLITAN STATE BANK

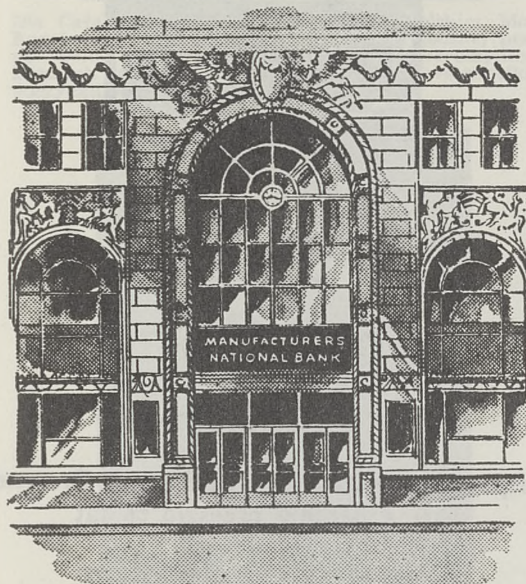
2201 WEST CERMAK ROAD
CHICAGO, ILL.

Large enough to accommodate you, small enough to appreciate you

ZASOBY PRZESZŁO $20,312,294.64

Depozyty w tym banku gwarantowane do $10,000 przez "Federal Deposit Insurance Corporation"

Kompletna Obsługa Bankowa



URZĘDNICY

FRANK BOBRYTZKE, Przewodniczący	JOS. B. DUBIEL, Asyst. Wiceprezes
C. N. PALECZNY, Prezes	EDWARD WOJNOWSKI, Asyst. Kasjer
MATT A. SAWYER, Wykonawczy Wiceprez.	LEO S. KUJAWA, Asyst. Kasjer
PAUL I. MITCHELL, Wiceprezes i Kasjer	EDWARD H. KAY, Asyst. Kasjer
JOSEPH M. BARON, Wiceprezes	NICK J. LAPETINA, Audytor
VICTOR JANKOSKI, Asyst. Wiceprezes	LOUIS JANKIEWICZ, Asyst. Audytor

DYREKTORZY

FRANK BOBRYTZKE	C. N. PALECZNY
JOSEPH J. BOBRYTZKE	TED PIECH
STANLEY P. DYBA	MATT A. SAWYER
Z. GEO. JAWOROWSKI	BERNY SCHULMAN

WM. C. WINKLER

DEPOZYTY GWARANTOWANE DO $10,000 PRZEZ FEDERAL DEPOSIT INSURANCE CORP.

THE

Manufacturers National Bank

OF CHICAGO

1200 N. Ashland Ave.

BRunswick 8-4040

Lota do Parkowania Na Division Ulicy Obok Banku

Godziny Urzędowania:
Poniedziałek, Wtorek, Czwartek 9 do 2
Środa, Sobota 9 do 12
Piątek 9 do 2 i 4:30 do 7

SERDECZNE ŻYCZENIA NA ROK 1962

COLUMBUS SAVINGS AND LOAN ASS'N



2525 W. 47th St.
Chicago 32, Illinois
LAfayette 3-4284



PRZEKONAJCIE SIĘ GDZIE SĄ WYPŁACANE NAJWYŻSZE DYWIDENDY

4½% PŁACIMY NA INWESTYCJE

PRZEKONAJCIE SIĘ GDZIE OTRZYMACIE NAJLEPSZE WARUNKI DŁUGO TERMINOWYCH POŻYCZEK

PRZEKONAJCIE SIĘ GDZIE OTRZYMACIE NAJLEPSZĄ OBSŁUGĘ

Godziny: w Poniedziałek i Czwartek do 8ej wieczorem. we Wtorek i Piątek 9 rano do 5 po południu, w Soboty 9 rano do 12 w południe. W środę nie załatwiamy żadnych interesów.

CHARLES KOZŁOWSKI, Sekretarz i Zarządca

Serdeczne Życzenia

Na

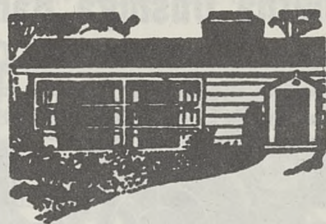
ROK 1962

składa

Samuel Sachnoff

FR 2-6800

38 SO. DEARBORN





FINE ARTS STUDIO

1452

W. Chicago Av.

POLSKI ZAKŁAD FOTOGRAFICZNY

LUDWIK i HELENA SKIKIEWICZ
Właściciele Studia

Specjalnością Naszą Są Fotografie Ślubne, Pojedyńcze i Grupowe

Zdjęcia Dzieci do Komunii Świętej i Podczas Graduacji. Ukończenia Szkoły. Każde Nasze Zdjęcie Jest Piękne i Czarujące

Po umówienie telefonujcie:

HAymarket 1-0610

OSZCZĘDNOŚCIĄ I PRACĄ LUDZIE SIĘ BOGACĄ

Dla Dobra, Bezpieczeństwa i Lepszej Przyszłości Waszej Całej Rodziny Oszczędzajcie w Polskiej Spółce

WORKMEN SAVINGS and Loan Association

Telefon CLiffside 4-2121

2703 WEST 47th STREET

CHICAGO, ILLINOIS



WALTER KOWALKOWSKI
Prezes

FR. KRZYŻANOWSKI
Wiceprezes

RAY A. ZABER
Sekretarz i Kasjer

JOSEPH CHOJNACKI
Dyrektor

EDWARD A. KSIAZEK
Dyrektor



ACORN ROOFING SUPPLY CO.

2655 West 48th Street

Telefon YArds 7-5851

CHICAGO 32, ILLINOIS

Hurtowni Dystrybutorzy Materiałów Izolacyjnych "Roofing Siding" "Fibre Glass" Izolacje

Chętnie skierujemy Was do odpowiedzialnych kontraktorów dla pomożenia wam w rozwiązaniu waszych problemów "Roofing", "Siding" i Izolacji.

Streptomycyna-Rimifon, Penicylina, Insulina, Witaminy i Leki . . .



Pakujemy i wysyłamy do Europy Rimifon, który jest jednym z najnowszych i najskuteczniejszych środków na GRUŹLICĘ, jest bardzo pożądany w Polsce.

TYSIĄCE ZADOWOLONYCH KLIENTÓW OD 1920 ROKU

UNIVERSAL MEDICINE CO.

JAN KUKLIŃSKI

DYPLOMOWANY APTEKARZ

1901 W. DICKENS AVE.

Tel. BRunswick 8-4360 Chicago, Ill.



Polska Restauracja

F. & T.

Tel. EVerglade 4-9777

Sandwich Shop

SMACZNE i ZDROWE PRZEKĄSKI i DANIA

LIKIERY i WÓDKI

1182 MILWAUKEE AVENUE

CHICAGO 22, ILLINOIS

LEŚNIAK ROOFING CO.



FIRMA POKRYWANIA DACHÓW i ROBÓT BLACHARSKICH

Reperujemy i Kładziemy Nowe Dachy

Wykonujemy Wszelkie Roboty Blacharskie

Obliczenia Darmo — Ceny Niskie

Robota Gwarantowana

1802-06 West 18-ta Ulica Telefon CAnal 6-0569

U WASZEGO GROSERNIKA, W SKLEPACH MIĘSA PYTAJCIE SIĘ O NASZE WYROBY

WARSAW PACKING CO.

1839 DELAWARE ULICA

Gary, Indiana Tel. TUrner 2-2361

Doskonały Wyrób—Pierwszorzędna Jakość

Smak Niezrównany i Doskonały.

Ceny Przystępne Zawsze.

CAS' FLORAL SHOP

PLANTS and CUT FLOWERS

FOR ALL OCCASIONS

Flowers Telegraphed Anywhere

Telephone BRunswick 8-4738

2016 W. WEBSTER AVE.

Chicago 47, Ill.

C. L. BRZOZOWSKI

Właściciel

Już od wielu lat obsługuje ku najpełniejszemu zadowoleniu Polonię w Cicero, Ill.

Skład Żelaztwa i Przyborów Domowych

W. T. CHOJNACKI & SON

Paints - Hardware - Electric Appliance

2900-02 So. 48th Court Cicero 50, Ill.

Telefon OLympic 2-3205

Wszelkiej Pomyślności dla Członków Związku Narodowego Polskiego i Zarządu

---

KOŚCIUSZKO

SALA i GOSPODA

oraz

FAMILY CATERERS PLACE AND STYLE

Józef i Stefania Kędzierski, właściciele

1758 West 48-ma Ulica

Wypełniamy Zamówienia na Wesela, Bankiety, Przyjęcia Rodzinne w Naszej Sali, Lub Też Gdziekolwiek

Podajemy do Stołów na Sposób Rodzinny

Piękna Sala na Posiedzenia, Bankiety, Wesela, Zabawy i Inne Rodzinne Uroczystości

Telefonujcie po rezerwacje

Telefon VIrginia 7-3898

---

for YOUR PARTY



Jesteśmy w Chicago i Okolicy Na Wasze Usługi Sposobem Catering

EDWARD MOSKAL,

Prezes Gminy 75 Z. N. P.

Z ŻONĄ WANDĄ ORAZ JÓZEF, OJCIEC,

WŁAŚCICIELE

Pięknej Gospody i Sali

831 NORTH ASHLAND AVENUE

Trunki Krajowe i Importowane oraz Sala pięknie odnowiona z air conditioned na posiedzenia, zabawy, wesela, bankiety i inne okazje. Sposobem CATERING obsługujemy wesela, bankiety, i przyjęcia ku najlepszemu zadowoleniu Waszych gości i Was samych.

Po zamówienia telefonować: **HAymarket 1-9011**

KALENDARZ ZWIĄZKOWY
CZYTA KAŻDY ZWIĄZKOWIEC



NIE WYSTARCZY JEDNAK CZYTAĆ
KALENDARZ POŻYCZONY OD SĄSIADA



TRZEBA KALENDARZ KUPIĆ SAMEMU
i INNYM GO POLECAĆ!

HUMOR

PRÓBA

— Ten człowiek jest tak uczciwy, że nie ruszyłby nawet szpilki!

— Nie mam zaufania do prób ze szpilkami. Radzę ci spróbować z jedwabnym parasolem.

KŁAMSTWO

— Moja droga, pamiętaj, że kłamstwo jest rzeczą bardzo brzydką.

— Oczywiście Ale — widzisz — jak dotąd, nie znaleziono lepszego sposobu krycia prawdy.

NA LEKCJI FIZYKI

— Tlen jest dla życia niezbędny. Nawiasem mówiąc, odkryty został w roku 1773..:

— A jak ludzie przedtem żyli?

POŻYCZKI HIPOTECZNE

5%

5½%

6%

Niskie

Spłaty Miesięczne

Związek Narodowy Polski

1520 W. DIVISION STREET

ARmitage 6-0700

Proszę zgłosić się do biura realnościowego

F. W. MICHALAK

ZARZĄDCA

10,-